

Eliot Pattison

PIĘKNE DUCHY

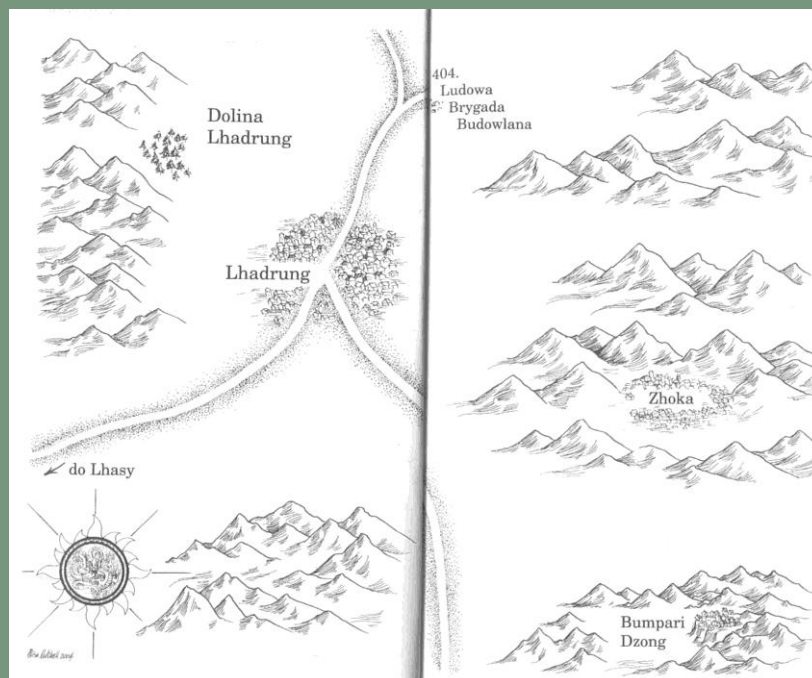
Przełożył Norbert Radomski



Książkę tę poświęcam pamięci lamy i prawnika

Patricka J. Heada

Bardzo dziękuję Natashy Kern, Keithowi Kahli, Catherine Pattison i Lesley Kellas Payne



CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Są w Tybecie dźwięki, jakich nie słyszy się nigdzie indziej na ziemi. Na stokach okrytych śniegiem gór rozbrzmiewają głuche, dobywające się znikąd jęki. Dolinami, pod bezchmurnym niebem, przetaczają się podobne grzmotom pomruki. W księżycowe noce pośród górskich pustkowi Shan Tao Yun słyszał ciche dźwięczne tony spływające z gwiazd.

Początkowo, gdy leżąc na więziennej pryczy, wsłuchiwał się w te niesamowite odgłosy, budziły one w nim strach. Później uznał, że można to racjonalnie wytłumaczyć. Przekonał sam siebie, że przyczyną jest rozrzedzone wysokogórskie powietrze, przesuwające się masy lodu oraz różnice temperatury pomiędzy szczytami i dolinami. Ale teraz, po pięciu latach spędzonych w Tybecie, nie był już tego pewien. Żyjąc tak długo w tym kraju, porzucił większość dawnych poglądów na temat funkcjonowania świata.

Szarpiący nerwy dźwięk, który poniósł się teraz górską kotliną, z pewnością nie miał źródła w fizycznym świecie. Młoda kobieta stojąca obok Shana jęknęła i uciekła, zasłaniając dłońmi uszy. On sam, gdy po raz pierwszy usłyszał to, co wydobywało się teraz z ust siedzącego dziesięć metrów dalej mężczyzny w bordowej szacie mnicha, wzdrygnął się i również miał ochotę rzucić się do ucieczki. Ten dziwny, zgrzytliwy jęk nazywali gardłowym śpiewem, Shan jednak wołał określenie swojego starego przyjaciela i dawnego towarzysza z obozowego baraku, Lokesha. Dźwięk, który wydawał w tej chwili stary mnich Surya, Lokesh nazywał rżeniem duszy, wyjaśniając, że w świecie dolin dusze są często tak niedojrzałe, że dźwięk ten słyszy się jedynie u ludzi bliskich śmierci, gdy dusza się szamoce, wyrывая się na wolność. Ale w Tybecie nikt nie mówi z trwogą o rżeniu przedśmiertnym. Tu dźwięk ten jest domeną żyjących. Tu wierni nauczyli swe dusze przemawiać bez pośrednictwa języka.

Shan z ukłuciem smutku przyglądał się uciekającej kobiecie. Był to dzień wielkiej radości, ale i jeszcze większego niebezpieczeństwa. Nielegalni mnisi, wśród których mieszkał, od dziesięcioleci ukrywający się w swojej sekretnej pustelni, postanowili nie tylko pokazać się ludziom ze wzgórz, ale i odprawić z ich udziałem zakazane przez władze obrzędy. To będzie dzień cudów, oświadczył Gendun, ich przewodnik duchowy, jeden z tych dni, które zmieniają świat.

Shan uprzedził mnichów, czym może grozić sprowadzenie przygodnych Tybetańczyków do zrujnowanego klasztoru. Gendun w odpowiedzi przyklęknął na jedno kolano i przewrócił kamyk. Była to aluzja do sentencji, na którą powoływali się czasem mnisi: Świat może odmienić nawet najdrobniejszy uczynek, jeśli tylko jest czysty, a nawet najdrobniejszy uczynek jest czysty, jeśli tylko jest wolny od lęku i gniewu. Ale ci pasterze przez całe życie znali jedynie strach.

Pekin rozprawił się brutalnie z mieszkańcami surowych górzystych terenów w południowej części okręgu Lhadrung, którzy uparcie stawiali opór chińskiej okupacji długo po tym, jak wysłane przez Pekin wojska zajęły Lhasę. Ruiny, wśród których stali w tej chwili, były wszystkim, co pozostało z gompą Zhoka, klasztoru, który przez całe wieki służył ludziom mieszkającym na południe od doliny zajmującej centralną część okręgu. Przed czterdziestu laty został zbombardowany przez lotnictwo Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i podzielił los tysięcy innych unicestwionych przez Pekin gomp. Dzielnych, pobożnych ludzi, którzy nadaremnie usiłowali ocalić Zhokę i życie, jakie symbolizowała, rozproszono, wymordowano lub po prostu złamano ich ducha.

- Zaaresztują nas! - zawołała kobieta w obszarpanej czerwonej kamizelce, gdy Shan i Lokesh wyszli im na spotkanie na trawiasty grzbiet ponad gompą i skierowali ich w dół, ku leżącym na powierzchni niemal kilometra kwadratowego ruinom.

- Tam straszy! - zaprotestował inny pasterz, kiedy Lokesh zagłębił się w labirynt walących się kamiennych murów. - Tam nawet żywi stają się jak duchy!

Lokesh jednak szedł dalej, śpiewając starą pielgrzymią pieśń, i mężczyzna po chwili wahania ruszył za pozostałymi między ruiny. Szli skrzepowani, w milczeniu, póki nie dotarli do miejsca, które niegdyś stanowiło centralny dziedziniec gomp.

- Cud! - wykrztusiła kobieta w czerwonej kamizelce, chwytając za ramię idącą obok staruszkę. Wpatrywała się w najwyraźniej nowo zbudowaną, wysoką na trzy metry stupę stojącą pośrodku dziedzińca. Obie kobiety podeszły niepewnie do czortenu, popatrując na siedzącego przed nim Suryę. Dotykały śnieżnobiałej budowli, z początku sceptycznie, jakby nie wierzyły własnym oczom, po czym w nabożnym skupieniu usiadły przed mnichem. Inni powoli poszli w ich ślady, niektórzy sięgnęli do wiszących u pasa różańców.

Ale teraz, gdy Surya rozpoczął swój gardłowy śpiew, kilkoro mieszkańców wzgórz wycofało się w cień. Ci, którzy pozostali, sprawiali wrażenie sparaliżowanych tym dźwiękiem. Rozszerzonymi oczyma przyglądali się mnichowi, który śpiewał, radośnie odrzuciwszy głowę.

- Bogobójca! - rozległ się nagle przeraźliwy krzyk. Dobiegał zewsząd i znikąd, odbijając się echem od resztek murów. Nad ramieniem Shana przeleciał kamień, który uderzył w kolano Suryi. - Morderca! - rozbrzmiało znowu.

Mnich zająknął się i przerwał śpiew, wpatrując się w kamień, który weń uderzył.

- Bogobójca! - rozległo się po raz drugi i Shan, odwróciwszy się w stronę, z której padło to słowo, ujrzał niskiego mężczyznę o ogorzałej twarzy, w obszarpanym pasterskim stroju, z wściekłością w oczach wskazującego na Suryę.

Zanim pasterz zdążył podnieść kolejny kamień, Shan przyskoczył do niego i chwycił go za rękę. Mężczyzna, usiłując się oswobodzić, wykręcił dłoń i spróbował odepchnąć Shana.

- Uciekajcie! Ratujcie się! Mordercy! - wołał do pozostałych, którzy wciąż jeszcze stali na dziedzińcu.

Po drugiej stronie pasterza stanął wysoki, chudy Tybetańczyk ze szczeciną białych włosów na głowie i podbródku. Pasterz znieruchomiał, przyglądając mu się niepewnie. Lokesh rozchylił mu palce i kamienie, które tamten trzymał w dłoni, upadły na ziemię.

- Surya to mnich - powiedział spokojnie Lokesh. - Jest przeciwieństwem bogobójcy.

Surya na nowo podjął śpiew.

- Nie - warknął pasterz. W jego oczach nie było już gniewu, ale rozpacz. - Władze wysyłają ludzi w mnisich szatach, żeby nas zwieść. Chcą, żebyśmy wrócili do dawnych zwyczajów, a potem aresztują nas albo jeszcze gorzej.

- Nie dzisiaj - odparł Lokesh. - Nie tutaj.

Pasterz pokręcił głową i jakby na dowód, że stary Tybetańczyk się myli, wskazał ręką za siebie, w cień pomiędzy walącymi się kamiennymi murami.

Pojawiła się tam jakaś kobieta trzymająca oburącz za plecami jeden koniec długiego, owiniętego kocem, ciężkiego przedmiotu. Za nią, z powagą dźwigając brzemień od drugiego końca, szli dwaj chłopcy o zapadniętych, znużonych oczach; starszy miał nie więcej niż dziesięć lat. Gdy podeszli do pasterza i złożyli ciężar na ziemi, chłopcy przypadli do kobiety, wtulając głowy w fałdy jej grubej filcowej spódnicy. Młodszym wstrząsnął długi, bezgłośny szloch.

Lokesh uklęknął i powoli odwinął skraj koca. Z jego gardła wyrwał się ochrypy jęk.

W kocu leżał człowiek, starzec z cienką, rzadką brodą. Jego lewe ucho zwisało luźno, niemal oderwane od głowy. Lewą stronę jego twarzy, zapadniętą w miejscu, gdzie zostały zgruchotane kości policzka i szczęki, pokrywała zakrzepła krew. Pozbawione życia oczy zdawały się pytać patrząc w niebo.

- Pobili go na śmierć - szepnął pasterz, wciąż nieufnie spoglądając na Shana i Lokesha. - Pobili go i zostawili, żeby tak leżał.

Shan pochylił się i odsunął koc. Obie nogi mężczyzny wyglądały na złamane, jedna była ugięta pod nienaturalnym kątem, druga zakrwawiona przy rozdarciu w nogawce, przez które widać było fragment kości.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - zapytał Shan, patrząc w brązowe oczy trupa.

- On nazywał się Atso - odrzekł pasterz. - Miał przeszło osiemdziesiąt lat. Mieszkał sam w chatce pod urwiskiem trzy kilometry na wschód stąd, w stronę doliny. - Oczy pasterza wypełniły się bólem. Umilkł na chwilę, jakby zmagając się z falą emocji. - Najlepiej ze wszystkich ludzi ze wzgórz znał dawne zwyczaje.

- Zabito go za to, że przestrzegał dawnych zwyczajów? - zapytał Shan.

Pasterz wzruszył ramionami.

- Na tych wzgórzach zabijają za jedno słowo - odparł głuchym, rzeczowym głosem, od którego Shanowi przebiegł po plecach dreszcz. Wyciągnął zza pasa nóż i końcem ostrza usunął spomiędzy włosów Atso gałązkę wrzosu. Tybetańczycy unikali dotykania zmarłych. - Nigdy by nie pozwolił obcym zbliżyć się do siebie, chyba że któryś z nich nosiłby mniszą szatę - dodał oskarżycielsko, zerkając niespokojnie w stronę kobiety i chłopców, którzy podeszli do śpiewającego Suryi. - Mordercy są wśród nas - szepnął.

Jego słowa sprawiły, że Shan mimo woli spojrział w stronę grzbietu górującego nad zrujnowaną gompą. W kępie letnich kwiatów siedziała tam samotna postać, szczupła kobieta w czerni obserwująca okolicę przez lornetkę. Liya, jedna z nielicznych mieszkańców tych wzgórz, którzy w sekrecie pomagali mnichom, trzymała straż.

- Trzeba zmówić modlitwy - oświadczył Lokesh.

- Nie - zaproponował pasterz. - Na tych wzgórzach nie odprawia się żadnych obrzędów. Za to właśnie ludzie trafiają do więzień.

- Ale przyszedłeś tu dziś - zauważył Lokesh.

- Tamta kobieta na górze - odparł pasterz, wskazując Liye - jeździła od obozowiska do obozowiska i mówiła, tak jak przy całej mojej rodzinie, że dzisiaj zdarzy się tu cud. Jak mogłem jej odmówić, kiedy dzieci tego słuchały? Dziś rano nawet śpiewały po drodze. Nigdy nie śpiewają. A potem znaleźliśmy Atso... leżał koło swojej chatki.

To nie wydarzenia, o których mówił ten człowiek, były najbardziej bolesne, uświadomił sobie Shan, ale to, jak o nich opowiadał, z tępą, pozbawioną emocji rozpaczą, jak gdyby dawno już stracił zdolność odczuwania smutku.

- A teraz jakiś przebrany mnich chce zwabić nas w pułapkę - dodał pasterz. - Tak właśnie robią bogobójcy. Określenie to przeszywało Shana jak oścień za każdym razem, kiedy je słyszał.

- Dlaczego używasz takiego okropnego słowa? - zapytał. Pasterz uniósł nożem nieduży worek leżący obok zwłok.

Shan sięgnął po niego i opróżnił. Kiedy jego zawartość zsunęła się na koc, z ust Lokesha wyrwał się kolejny żalony jęk. Była to srebrna, subtelnej roboty, mała figurka Tary, bogini opiekuńczej, doskonała pod każdym względem, jeśli nie liczyć głowy, zmiażdżonej potężnym ciosem. Końcem noża pasterz przewrócił posążek na drugą stronę. Plecy bogini były rozplątane, jak gdyby dźgnięto ją od tyłu.

Wydawało się, że widok zniszczonej figurki wstrząsnął Lokeshem jeszcze bardziej niż widok martwego człowieka. Stary Tybetańczyk podniósł okaleczoną boginię i z lśniącymi od łez oczyma tulił ją przez chwilę w ramionach, po czym ułożył obok sponiewieranych zwłok, cały czas do niej szepcząc. Shan nie mógł rozróżnić słów, jednak przyjaciel wypowiadał je z bezbrzeżnym smutkiem.

Kiedy Lokesh znów uniósł wzrok, w jego oczach nieoczekiwanie pojawiła się determinacja. Wstał wolno i ująwszy pasterza za ramię, poprowadził go parę kroków do miejsca, skąd znów mogli widzieć Suryę. Nie zamierzał pozwolić, żeby obawy mężczyzny zepsuły ich święto.

- Posłuchaj dźwięku, który on wydaje. Popatrz na ten czorten - powiedział pasterz, wskazując stupę. - Jeśli tego człowieka nie przysłały władze, musi być czarnoksiężnikiem. Każdej wiosny pasę swoje owce na tych wzgórzach. Nigdy przedtem tu tego nie było. To dzieło duchów.

Dzieło duchów. Shan i Lokesh wymienili spojrzenia. W pewnej mierze ten człowiek miał rację, gdyż to mnisi z Yerpy, ukrytej pustelni, gdzie mieszkali Shan i Lokesh, postawili przy świetle księżyca tę małą, harmonijną budowlę. Jeden mnich zawsze się modlił, gdy reszta wznosiła schodkową podstawę i zwieńczoną iglicą kopułę. Miał to być pomnik zrujnowanej gompy, znak, że bóstwa nie zapomniały całkiem o mieszkańcach tych ziem.

- Duchy i mordercy, a Liya namówiła mnie, żebym przyszedł tu z całą rodziną.

- Zdradzę ci sekret - szepnął Lokesh z niezwykłą nutą emocji w głosie. Shan wiedział, jak boli jego starego przyjaciela podejrzliwość i nieufność ludzi z okolicznych wzgórz. Lokesh przymknął na chwilę oczy, jakby starał się uspokoić. Tylko włos dzieli nas od porażki, uzmysłowił sobie Shan. Jeszcze kilka słów pasterza do pozostałych Tybetańczyków i

wszyscy uciekną. Niektórzy będą pewnie opowiadać o zabójcach, inni jednak rozniosą wieść o nielegalnych mnichach, która sprowadzi w te góry żołnierzy.

Lokesh sięgnął po swoje gau, srebrne puzderko na amulet, które nosił na szyi, i otworzył je ostrożnie. Rzadko robiło się to przy obcych, toteż pasterz umilkł. W gau, pod kilkoma złożonymi świstkami papieru, które Lokesh wysypał sobie na dłoń, znajdowało się maleńkie zdjęcie łysego mnicha o twarzy tchnącej pogodnym spokojem i oczach śmiejących się zza okularów.

- Ten mnich, który śpiewa, ma na imię Surya - wyjaśnił Lokesh. - Pochodzi z wysokich gór, nie ze świata w dole. On także nosi w swoim gau zdjęcie dalajlamy. - Sękatym palcem wskazał fotografię. - Naprawdę zapomniałeś, jaki dziś jest dzień?

Pasterz zmarszczył brwi. Przycisnął dłoń do skroni, jak gdyby nagle zdjął go ból. Spojrzał na Lokesha, potem na Suryę i strach powoli zniknął z jego oczu; zastąpiło go smutne zakłopotanie. Sięgnął pod koszulę i wyciągnął zawieszoną na szyi puzderko.

- Ja też mam takie. Nosił je mój ojciec i dziadek. - Spojrzał na swoje piękne srebrne gau. - Ale jest puste - dodał zgnębiony. - Kiedy byłem mały, mój nauczyciel spalił to, co było w środku. - Zdawało się, że własne słowa przypomniały mu o niebezpieczeństwach czyhających wśród wzgórz. Spojrzał za siebie, na zwłoki Atso. - Ten, kto go zabił, gdzieś tu jest i poluje na starych Tybetańczyków. Ty też musisz uciekać. W mieście mówią, że wyznaczono nagrodę za czyjąś głowę. Żołnierze przeszukują góry. Musimy... - Urwał w pół zdania, S^oy jego wzrok znów padł na Lokesha.

- Jakich starych Tybetańczyków? - spytał zaniepokojony Shan. - Co za nagroda...? - Słowa zamaryły mu w gardle, gdy zerknął na przyjaciela. Stary Tybetańczyk ostrożnie wydłubywał paznokciem zdjęcie ze swego gau. Na oczach zdumionego pasterza umieścił je w jego relikwiarzyku.

- Poprosimy Suryę, żeby napisał modlitwę, którą będziesz mógł nosić na sercu - powiedział.

Pasterz na przemian to otwierał, to zamykał usta, jak gdyby odebrało mu mowę.

- Mówisz poważnie? On jest prawdziwym mnichem? - Przez jego twarz przetoczyła się burza emocji. Zaskoczenie, ale także wdzięczność, a zaraz potem podziw i ból. - Mam na imię Jara - wyszeptał, wpatrując się w Suryę. - Przez całe życie ani razu nie widziałem mnicha, z wyjątkiem tych, którzy raz do roku przyjeżdżali z Lhasy, z Urzędu do spraw Wyznań. Oni wygłaszali przemówienia, nie modlitwy. Dzieci nigdy... - Słowa uwięzły mu w gardle. - To zbyt niebezpieczne dla prawdziwego mnicha - podjął nerwowo. - Jeśli on jest prawdziwym mnichem, to nie ma prawa tu być. Żołnierze zabiorą go do tamtego obozu w

dolinie. Powinien schować swoją szatę. Proszę, ze względu na nas wszystkich, zakryj mu ją czymś. Nie masz pojęcia, jaki to straszny obóz.

Lokesh uśmiechnął się i podwinął rękaw. Pasterz patrzył na niego zdezorientowany, dopóki jego wzrok nie padł na długi ciąg cyfr wytatuowany na przedramieniu starego Tybetańczyka.

- Byłeś tam? - wystękał. - Byłeś więźniem i tak się narażasz?

Lokesh wskazał stojące obok czortenu popękane metalowe naczynie na żar, stary obrzędowy samkang, w którym mały ogień lizał gałązki jałowca.

- Wonny dym przyciąga bóstwa. One nas ochronią. Przekonasz się.

Shan zerknął na Liyę, która wciąż siedziała wysoko na stoku wzgórza. Nie wszyscy zdawali się tylko na ochronę bóstw. Liya patrzyła na zachód, w stronę garnizonu w dolinie Lhadrung, i z pewnością ostrzegłaby ich, gdyby zauważyła żołnierzy.

- Ten jego śpiew to jakaś modlitwa? - odezwał się Jara, wskazując Suryę.

Lokesh wzruszył ramionami.

- To część święta. On znalazł spokój ducha i raduje się - dodał, wymieniając z Shanem niepewne spojrzenie. Poprzedniego dnia w Yerpie zobaczyli, jak Surya niszczy obraz, wizerunek jednego z bóstw, nad którym pracował od wielu tygodni. Nie odpowiedział im, gdy pytali, dlaczego to robi, jedynie w milczeniu ciął płótno. Odtąd nie odezwał się do nikogo ani słowem. Teraz jednak wydawało się, że śpiew przywrócił do życia dawnego, radosnego Suryę, jakiego obaj znali.

Słowa Lokesha najwyraźniej wzmogły niepokój Jary. Nerwowo obejrzał się za siebie, na wzgórze.

- Tybetańczycy w Lhadrung nie obchodzą świąt, chyba że chińskie. To teren pułkownika Tana - dodał, wzdrygając się. Mówił o oficerze, który żelazną ręką trzymał cały okręg, jeden z nielicznych, które wciąż znajdowały się pod zarządem wojskowym.

- Nie. Teraz jesteś w Zhoce - odparł Lokesh, jakby smagana wiatrem kotlina była innym światem, azylem wyjętym spod władzy Tana. - Jest tyle powodów do radości.

Jara powiódł wzrokiem po zrujnowanej gompie, gdzie ani jeden budynek nie pozostał cały, i po gromadce przerażonych, wynędzniałych Tybetańczyków na dziedzińcu, po czym spojrzał na Lokesha jak na kogoś niespełna rozumu.

- Wiem, jaki dziś jest dzień - powiedział, znów szeptem. - Człowiek z herbaciarni w mieście został aresztowany za to, że zaznaczył go w kalendarzu na wystawie.

- Więc nazwij go inaczej. Świętem powrotu mnichów. Jara zatoczył ręką, wskazując sterczące z jałowej ziemi ruiny.

- Skąd? Z krainy zmarłych? W kraju, w którym żyję, mnisi nie wracają, chyba że Urząd do spraw Wyznań zdecyduje inaczej.

- W takim razie nazwij to świętem wyboru.

- Wyboru?

Lokesh spojrział smutno na Jarę i przeniósł wzrok na swoje gau.

- Począwszy od dziś, możesz wybrać miejsce, w którym żyjesz.

Pasterz prychnął oschłym, gorzkim śmiechem. Gdy znów spojrział na starego Tybetańczyka, twarz Lokesha nabrała nieobecnego wyrazu, jak gdyby patrzył poprzez oczy Jary gdzieś głębiej, w inną część jego istoty. Pasterz z powagą odwzajemnił jego spojrzenie i niepewnie unióś dłoń, jakby chciał dotknąć pokrytej siwym zarostem szczęki wysokiego Tybetańczyka, podobnie jak wcześniej inni niedowierzająco dotykali czortenu.

- Odmienisz na zawsze kraj, w którym żyjesz - powiedział cicho Lokesh, chowając teksty modlitw do swego relikwiarzyka.

Gdy to mówił, wśród ruin ukazała się wysoka postać w mnisiej szacie, poruszający się z gracją mężczyzna o twarzy wygładzonej przez czas niczym kamień w rzece. Gendun, przełożony mnichów z Yerpy, ukrytej pustelni, która była domem Suryi, Shana i Lokesha, spojrział na Jarę pogodnym wzrokiem, po czym uśmiechając się smutno, przypatrzył się zwłokom Atso.

- Lha gyal lo - odezwał się cichym, nabożnym tonem. Niech zwyciężą bogowie.

Na widok lamy w oczach Jary rozbłysło radosne podniecenie. Nikt nie mógł patrzeć w otwartą, pogodną twarz Genduna i podejrzewać podstęp. Gdy lama skierował się w stronę dziedzińca, Jara powoli ruszył za nim, wskazując ręką zwłoki.

- Zabójca wciąż gdzieś tu jest - powiedział niepewnie, jakby spierał się sam ze sobą.

- Nie tutaj. Nie dzisiaj - oświadczył po raz drugi tej godziny Lokesh.

Ku zaskoczeniu Shana stary Tybetańczyk nie ruszył za Jarą, gdy pasterz dołączył do żony i dzieci na dziedzińcu, ale skinieniem ręki przywołał Shana z powrotem w cień. Gdy zatrzymali się parę kroków od ciała Atso, Lokesh odwrócił się w stronę dziedzińca i stanął w rozkroku jak wartownik. Shan przez chwilę przyglądał mu się zdziwiony, dopóki nie uświadomił sobie, że i on, i Atso są teraz niewidoczni dla pozostałych Tybetańczyków.

Zsunąwszy na tył głowy kapelusz z szerokim rondem, Shan uklęknął przy trupie i obejrzał go pospiesznie, notując w pamięci spostrzeżenia. Jedną z dłoni Atso była zaciśnięta na gau zawieszonym na starym srebrnym łańcuszku, palce drugiej oplatała mala, różaniec. Na grzbiecie dłoni ściskającej puzderko na amulet zauważył ranę o poszarpanych brzegach, jak od ciosu pałką lub kolbą karabinu. Obie ręce były podrapane i poobcierane, końce paznokci

rozszczerzone i połamane. U pasa trupa wisiała na sznurku mała plastikowa butelka do połowy wypełniona wodą. Shan odciągnął koc, odsłaniając lewą stopę tkwiącą w znoszonym skórzanym bucie owiniętym na pięć centymetrów szeroko grubym jutowym sznurkiem.

W kieszeniach spodni Atso miał dwie sakiewki, jedną ze świeżo zerwanymi główkami kwiatów, drugą z drzazgami jałowca. W wewnętrznej kieszeni jego filcowej kamizelki Shan znalazł złożoną w kostkę kartkę papieru, drukowane zawiadomienie o bezpłatnych badaniach lekarskich dla dzieci w dolinie. Na odwrocie drobnym, ścisłym pismem zapisana była mantra mani, modlitwa o współczucie, zwarte rządki maleńkich tybetańskich znaków. Shan przypatrzył się twarzy starca, po czym znów spojrzał na papier. Mantra została powtórzona co najmniej tysiąc razy, a kartka była zwinięta i poskładana, jak gdyby Atso zamierzał ją umieścić w czymś bardzo ciasnym.

Podniósł zniszczoną małą srebrną Tarę. Pokrywała ją patyna starości, z wyjątkiem wypolerowanego do połysku miejsca na jednym ramieniu, gdzie wierny pocierał ją na szczęście. Przysunął figurkę do oczu, obracał ją pod różnymi kątami, uważnie oglądając zmiażdżoną głowę oraz długie cięcie na plecach bogini. W uszach wciąż dźwięczało mu dziwne stwierdzenie Jary. „Na tych wzgórzach zabijają za jedno słowo”. Figurka była pusta. Tybetańczycy często wkładali do takich posążków zwitki z tekstem modlitwy.

Spojrzał na Lokesha. Zamiast rozpocząć obrzędy pogrzebowe, jego stary przyjaciel zachęcił go do oględzin zwłok - chociaż ludzie ze wzgórz nie byłiby zadowoleni, że Shan dotykał ciała Atso, chociaż obaj wiedzieli, że mnisi sprzeciwiliby się jakimkolwiek próbom wyjaśnienia tego morderstwa przez Shana, gdyż ich zdaniem jedynymi dociekaniem, jakie mają znaczenie, są dociekania duchowe. Odłożył figurkę na koc i podszedł do Lokesha.

- Co takiego wiesz? - zapytał. - O czym mi nie mówisz? Pokazał mu zapisaną kartkę. - Co tak dręczyło Atso, że zadał sobie tyle trudu i napisał tysiąc mantr?

Lokesh ze smutkiem wpatrywał się w papier, jak gdyby czytał każdą mantrę z osobna.

- Spotkałem go tylko raz, dwa tygodnie temu, kiedy zbierałem jagody tam w górze - powiedział, wskazując głową ośnieżone szczyty na wschodzie. - Pytał mnie, co takiego robimy w Zhoce. Kiedy mu powiedziałem, że to tajemnica, że powinien przyjść dzisiaj, żeby się przekonać, rozgniewał się, a potem posmutniał. Stwierdził, że nic nie rozumiemy, że Zhoka jest siedzibą tajemniczych potężnych sił, które należy zostawić w spokoju. Powiedział, że najgroźniejszy błąd to nie rozumieć, czym Zhoka jest dla ludzi.

- Chcesz powiedzieć, że on zginął z powodu czegoś, co jest tutaj? - zapytał Shan.

Lokesh odwrócił się i spojrzał na ciało.

- On szuka tego, co odeszło - szepnął cicho.

Shan przyjrzał się przyjacielowi. Starzy Tybetańczycy, żeby wyrazić najistotniejsze treści, często mieszały czasy, nie zważając na to, że od jakiegoś wydarzenia minęły dziesiątki, a nawet setki lat. Chciał właśnie go poprosić, żeby mu wyjaśnił, co miał na myśli, gdy nagle w cieniu za ciałem Atso pojawiła się młoda kobieta w czerni, z włosami splecionymi w długie, opadające na plecy warkocz. Uklękła obok zwłok i nie przyglądając się zniszczonej figurce, włożyła ją do worka, a następnie ujęła skraj koca i na powrót okryła nim zwłoki, przyglądając go dookoła, jakby układała do snu ukochanego. Nim skończyła, Shan dostrzegł przez moment prawy but Atso. On także, podobnie jak lewy, owinięty był jutowym sznurkiem. Ale ten but nie był tak znoszony jak drugi, zmarły nie musiał go związać, żeby się nie rozpadł.

- Liya - zapytał Shan - gdzie wcześniej widziałaś tę figurkę?

Kobieta uniosła wzrok. W jej oczach lśniły łzy.

- Kiedy byłem dzieckiem, Atso brał mnie na barana, żeby owce mnie nie stratowały. Nie widziałam go od dziesięciu lat, odkąd umarła mu żona i przeniósł się do tej chatki.

- Dokąd oni go nieśli? - zapytał Shan, nie rozumiejąc, dlaczego ci Tybetańczycy najwyraźniej nie chcą odpowiadać na jego pytania.

- Wczoraj w nocy, kiedy jechałam przez góry, między Zhoka a doliną natknęłam się na obcych - odparła Liya z bólem w oczach. - Zsiadłam z konia, pomyślałam, że uda mi się ukryć. Ale oni nagle nakierowali na mnie latarki i zaczęli krzyczeć. Nie wolno mi jechać na wschód, powiedzieli, jakby teren wokół Zhoki był ich. Wydawało mi się, że to pasterze, którzy przeciągają tędy i martwią się o pastwiska. Pomyślałam, że mnisi byliby zadowoleni, gdyby dziś przyszło tu jak najwięcej ludzi. Kiedy powiedziałam, że razem z mnichami szykujemy święto, dwie osoby zaczęły z ożywieniem rozmawiać po angielsku. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna oświetlił mi latarką twarz i przeprosił po chińsku, a potem wszyscy odeszli. To kompletnie bez sensu. Co cudzoziemiec mógłby wiedzieć o Zhoce? Nawet Chińczycy nie pamiętają chyba o tym miejscu. - Potarła dłonią oko. - Powinnam była być mądrzejsza. Powinnam była ostrzec ludzi.

- Dzieła, które tu powstawały, były słynne w całym Tybecie, słynne nawet wśród bogów - wtrącił nagle Surya głębokim, łagodnym głosem. Stał parę kroków za Shanem, w czymś, co niegdyś stanowiło wejście do małego budynku, i wpatrywał się z natężeniem w trzymany w dłoni kamień. Nie kamień, zorientował się Shan, ale okruch tynku, fragment malowidła ściennego. Widać było wyraźnie głowę i część tułowia jelenia, znajomą postać ze sceny pierwszego kazania Buddy. - Tu - mówił dalej wysoki chudy mnich, zwracając się do jelenia przeprasającym tonem - tu zostaniesz przygwożdżony do ziemi.

Gdy Shan ruszył ku niemu, Surya odszedł w głąb zrujnowanego budynku, wciąż, jak poprzedniego dnia, zdając się nie dostrzegać nikogo dokoła.

Po dziwnych słowach mnicha zapadła cisza. Shana ogarnęło nagle złowrogie przecucie i niespokojnie rozejrzał się po gruzach, wśród których stał Surya. Zachował się tu tylko fragment jednej ze ścian, z reszty nie pozostało nic poza stertami kamieni, okruchów tynku i zwęglonych belek. Surya zrobił kolejny krok i nagle opadł na kolana, jakby zabrakło mu sił. Lokesh podbiegł do niego, lecz zastygł w bezruchu, gdy mnich uniósł długie palce ku niebu, raz po raz otwierając i zamykając dłonie, jak gdyby próbował dosięgnąć czegoś w górze.

Po chwili Surya wyciągnął ręce w stronę odległej o parę kroków sterty spalonych belek i potrzaskanych dachówek. Shan ruszył niepewnie ku rumowisku. Liya dołączyła do niego i w niespełną minutę odgrzebali popękana drewniana skrzynkę z dwiema szufladami, wysoką na dwadzieścia centymetrów i niemal dwa razy tak długą. Oczy Suryi rozblęskły podnieceniem, gdy Shan podał mu ją, jakby mnich, który podobnie jak oni wszyscy był obcy w tych ruinach, znał tę skrzynkę. Krucha przednia ścianka pękła, gdy Surya wysunął dolną szufladę. Sięgnął do środka i wyjął stamtąd garść długich, pięknych pędzli. Ściskając je mocno w dłoni, podniósł je ku niebu, zamknął oczy, jakby się modlił, po czym zaczął rozdawać pędzle, po jednym dla każdego.

- Dzisiaj nastąpi kres wszystkich rzeczy - oświadczył suchym, dziwnie przy tych słowach radosnym szeptem. Uśmiechnął się, podając ostatni pędzel Shanowi. - Błogosławiony Atso. Błogosławiony obrońca! - wykrzyknął.

Shan spojrzał na niego zupełnie zbity z tropu. Surya wiedział o zmarłym. Czy mnich próbował na swój sposób wyjaśnić, co przydarzyło się Atso?

- Słuchajcie tamtej dziewczynki! - dodał Surya. - Ona zaczyna rozumieć. - Gwałtownie podniósł się na nogi i odszedł w stronę dziedzińca. Shan i Lokesh wymienili zdziwione spojrzenia. Nie było tu żadnej dziewczynki. Jedynymi dziećmi, jakie widzieli, byli synowie Jary.

„Dzisiaj nastąpi kres wszystkich rzeczy”. Słowa Suryi rozbrzmiewały echem w umyśle Shana, gdy wraz z Lokeshem wrócił na dziedziniec z długim cienkim pędzlem w kieszeni. Jeśli dziś przyjdą żołnierze, istotnie będzie to kres - Genduna i mnichów.

Wysiłkiem woli skupił uwagę na śpiewie i rozmodlonych Tybetańczykach na dziedzińcu. Jara wraz z żoną stali trzy metry od czortenu, przyglądając się młodemu mnichowi, który podjął śpiew, i pokiwali głowami, gdy Surya usiadł obok, żeby śpiewać wraz

z nim. Lokesh trącił Shana w ramię. Żona Jary obejmowała ramieniem ośmio - lub dziewięcioletnią dziewczynkę, która kulila się między nią a pasterzem.

- To córka mojej siostry - wyjaśnił Jara, kiedy Shan podszedł do niego, przyglądając się dziewczynce. - Z miasta w prowincji Sichuan, setki kilometrów na wschód stąd. Przyjechała do nas, żeby poznać życie w Tybecie. Jej rodzice pochodzą z tych gór, ale zanim ona się urodziła, zostali wysłani do pracy w chińskiej fabryce. Nigdy tu nie była, nigdy nawet nie zetknęła się z Tybetańczykami, jeśli nie liczyć rodziców.

- Wiesz, skąd pochodzi ten posążek? - zagadnął Shan. Zauważył, że jedna ze starszych Tybetanek, potem druga, wstały i odeszły w cień, tam, gdzie leżały zwłoki Atso.

- Jest takich mnóstwo, jeżeli się wie, gdzie szukać - odparł pasterz. - Tamten człowiek - ciągnął, wskazując głową stojącego o dziesięć metrów od nich potężnie zbudowanego pasterza w brudnej filcowej kamizelce - znalazł pierwsze zamordowane bóstwo. Powiedział, że bogobójcy to gorsza odmiana demonów. Przyniósł martwego do nas, licząc na to, że ktoś z mojej rodziny będzie umiał go uleczyć.

- Czy to bogobójców miałeś na myśli - zapytał Shan - kiedy mówiłeś o tych, którzy zabijają za jedno słowo? Co to za słowo?

Pytanie podziało na Jarę jak fizyczny cios. Pasterz cofnął się odruchowo, przycisnął pięść do ust, jakby obawiał się tego, co mogłoby mu się z nich wymknąć, i odszedł.

- Co się dzieje? - odezwała się nagle dziewczynka, wpatrując się jak zahipnotyzowana w siedzącego zaledwie parę kroków od niej Suryę. - Co się stało tym biednym ludziom?

- To po prostu dźwięk, jaki wydają dusze - odparł Lokesh, uśmiechając się radośnie. Jego słowa sprawiły, że dziewczynka jeszcze głębiej wtuliła się w fartuch ciotki.

- W tych fabrycznych miastach nie uczą słuchać dusz - powiedziała ostrzegawczym tonem żona Jary.

- A jednak coś w niej próbuje usłyszeć - zauważył Lokesh, gdy dziewczynka wyprostowała się i przekrzywiwszy lekko głowę, przyjrzała się Suryi już nie ze strachem, jak się zdawało, ale ze zdumieniem. Jedna ze starszych Tybetanek, które podeszły do zwłok Atso, wróciła na dziedziniec z chmurną, zaniepokojoną miną, ale nie wszczęła alarmu. Starła się opanować lęk, spostrzegł Shan. Mimo śmierci Atso nie chciała zakłócać pierwszego święta, jakie obchodzili od tak wielu lat.

- Boję się - wyznała nerwowo żona Jary. - Ci wszyscy mnisi... Gdyby ktoś z miasta...

- Moja matka mawiała, że ten dzień jest pełen cudów - powiedział Lokesh, w zamyśleniu gładząc się po siwym podbródku. - Twierdziła, że mogą na nie przybyć święci z jakiegoś bayalu - ciągnął z błyskiem w oku, mając na myśli jedną z mitycznych ukrytych

krain zamieszkałych przez bóstwa i świętych. - To czas radości, nie lęku. Kiedy po raz ostatni świętowałaś ten dzień?

Kobieta odwróciła głowę, Shan nie wiedział jednak, czy zrobiła to ze wstydu, czy po prostu chciała zignorować Lokesha. Po chwili wolno przeniosła wzrok na Suryę.

- Wtedy byłam jeszcze dzieckiem - odparła z nikłym, jakby nieobecny uśmiechem.

Lokesh odwrócił się w stronę glinianego dzbanka stojącego za nim na płaskim kamieniu, jednego z kilku rozstawionych po całym dziedzińcu. Zanurzył w nim dłoń, po czym wyciągnął ją w jej stronę. Kobieta schowała ręce za plecami, jakby przestraszona, ale po chwili, z wahaniem, wyciągnęła jedną przed siebie i pozwoliła, żeby Lokesh nasypał jej na dłoń garść białej mąki. Spojrzała na nią niepewnie.

Lokesh uśmiechnął się szeroko i dla zachęty kilka razy machnął lekko w górę otwartą dłonią.

- Jeden z moich krewnych siedzi w więzieniu za to, że zrobił coś takiego, o co prosisz - odezwała się kobieta, z powagą wpatrując się w kopczyk mąki na swej dłoni. Westchnęła i nagle wyrzuciła go w powietrze. Z ust jej męża wyrwał się radosny okrzyk. Po chwili Lokesh zrobił to samo, tak że przez moment spowijała ich chmura jęczmiennej mąki.

Napięta twarz kobiety rozciągnęła się w uśmiechu, gdy Lokesh, wyciągnąwszy ręce na boki, puścił się w płas, tak lekko, że zdawało się, iż mógłby odlecieć z wiatrem. Rzuciła w powietrze następną garść mąki, klasnęła w dłonie i uniosła głowę, pozwalając, by mąka opadła jej na twarz.

- Niech żyje przez kolejny rok! - zawołała. Jej okrzyk podjęło kilkoro starszych Tybetańczyków, którzy również zaczęli sięgać do dzbanków.

Rzucanie w powietrze jęczmiennej mąki było tradycyjnym tybetańskim elementem świętowania, ale władze traktowały to jako przestępstwo, gdy rzucano ją w tym konkretnym dniu. Był to bowiem dzień urodzin wygnanego dalajlamy.

- Lha gyal lo! - wykrzyknął Lokesh ku niebu. Niech zwyciężą bogowie!

Kobieta spojrzała gdzieś nad ramieniem Shana. Shan odwrócił się i zobaczył stojącą za nimi dziewczynkę. Na jej twarzy znów malował się niepokój. Ciotka rzuciła na nią garść mąki, a ona cofnęła się przed obłokiem, najwyraźniej przestraszona.

Radosny nastrój kobiety ulotnił się. Skinęła na dziewczynkę, żeby wróciła do Suryi i młodszego śpiewaka.

Jednak gdy Shan opuścił dziedziniec, dziewczynka ruszyła za nim. Po paru krokach usiadł na kamieniu, a ona po chwili wahania przysiadła się do niego.

- Czy to jest w porządku? - zapytała nieśmiało, przechodząc na chiński.

- W porządku? - powtórzył Shan po tybetańsku.

- Wolno im to robić?

Shan stwierdził nagle, że nie potrafi spojrzeć jej w oczy. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dziewczynka zaczęła nerwowo ścierać z policzków mączny pył.

Wyciągnął rękę i delikatnie powstrzymał jej dłoń.

- Nie musieli mnie pytać.

- Jesteś Chińczykiem.

Przypomniał sobie dzień przed pięciu laty, kiedy żołnierze wypchnęli go z ciężarówki w obozie pracy pod Lhadrung. Leżał twarzą w dół w zimnym błocie, półprzytomny, nie wiedząc, gdzie się znajduje, z krwawiącym uchem, szarpany bólem rozchodzącym się od ramion i brzucha poparzonego od elektrowstrząsów, starając się skupić wzrok i myśli, gdyż narkotyki, których używano w czasie przesłuchań, wciąż krążyły w jego organizmie. „Od dziś twoje cierpienie będzie słabnąć”, usłyszał nagle cichy głos i z wysiłkiem otworzywszy oczy, spojrzał w pogodną twarz starego Tybetańczyka, jak się wkrótce dowiedział, lamy, który miał za sobą przeszło trzydzieści lat więzienia. „Już nigdy nie będzie ci tak źle”, dodał ów lama, pomagając mu podnieść się na nogi. Ale w ciągu roku, jaki minął od jego zwolnienia, Shan odkrył nowy ból, którego nawet lamowie nie potrafili uleczyć, dręczące poczucie winy, które mogło wyzwolić nawet niewinne pytanie małej dziewczynki. Położył jej dłoń na ramieniu, by ją zatrzymać.

- Chciałbym, żebyś dała mi być wśród swojego ludu - powiedział prawie szeptem. - Życzę mu długiego życia.

- To znaczy, że jesteś buddystą?

Starca dłoń podsunęła Shanowi czarkę z maślaną herbata.

- Coś w tym rodzaju - odezwał się ze śmiechem Lokesh. Kucnął przed nimi, popijając z drugiej czarki. - Kiedy byłem mały - ciągnął, patrząc poważnie na dziewczynkę - matka zabierała mnie wysoko w góry, żeby mi pokazać stare mosty wiszące przerzucone nad bezdennymi przepaściami. Te mosty łączyły nas z zewnętrznym światem. Nikt nie wiedział, jak je zrobiono ani co je utrzymywało. Wydawało się niemożliwe, że można je było zbudować. Kiedy o to zapytałem, matka powiedziała mi, że one po prostu są, ponieważ ich potrzebujemy. Tak właśnie jest z naszym Shanem.

- Ale to jest w porządku? - nieśmiało, z powagą powtórzyła pytanie dziewczynka.

- Jak ci na imię? - zapytał Shan.

- Dawa. Mój tato jest przodownikiem pracy w chińskiej fabryce - dodała szybko. - Oszczędzał przez cały rok, żeby móc mnie tu wysłać. Wystarczyło tylko na autobus dla mnie. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałam z miasta.

Shan zerknął na Lokesha. „Słuchajcie dziewczynki”, powiedział Surya, jakby ich ostrzegał. Ale Dawa nawet nie знаła Tybetu.

- Dawa, ja chcę, żeby to było w porządku. Ty też tego chcesz? - Czy o to właśnie chodziło Surysi, zastanawiał się Shan, że zdołają zrozumieć dziwne wydarzenia tego dnia, jedynie patrząc na nie jak ludzie z zewnątrz?

Dziewczynka nieśmiało skinęła głową, wpatrując się badawczo w Shana.

- Jak Chińczyk może robić takie rzeczy? - zapytała. - Być mostem... Czy on chciał powiedzieć, że jesteś na pół Tybetańczykiem?

- Inni Chińczycy wtrącili mnie do więzienia, nie za jakieś przestępstwo, ale dlatego, że się bali, że powiem prawdę. Chciałem wtedy umrzeć. Powinienem być umrzeć. Ale Lokesh i inni tacy jak on na nowo nauczyli mnie żyć.

Dawa wciąż wyglądała na nie przekonaną. Shan sięgnął po dzban z mąką i podsunął go jej. Dziewczynka wolno przeniosła wzrok na naczynie, po czym drżącymi palcami wyjęła z niego trochę mąki. Dygocząc z przejęcia, rzuciła mąkę ponad ich głowy i z powagą przyglądała się, jak opada.

- Widziałam, gdzie oni chodzą. Myślę, że znam drogę do ukrytej krainy - odezwała się niepewnie, patrząc na Suryę, który właśnie wstał z miejsca, w którym siedział obok młodszego śpiewaka, i wolnym, pełnym wdzięku krokiem szedł przez dziedziniec.

Shan, nic nie rozumiejąc, spojrzął na dziewczynkę, która ruszyła za mnichem w głąb ruin. Niespodziewany, obco tu brzmiący dźwięk kazał mu odwrócić głowę w stronę czortenu. Śmiech. Grupa starszych Tybetańczyków ze śmiechem obrzucała się nawzajem garściami mąki. Świętowanie rozpoczęło się na dobre.

Nagle ktoś chwycił go za ramię. Obok stała Liya. Pobladła na twarzy wskazała głową starą kamienną wieżę na górującym nad gompą grzbiecie, niemal półtora kilometra dalej.

Z początku nic nie dostrzegł, ale po chwili pod wieżą poruszyło się coś zielonego i serce skoczyło mu do gardła. Byli tam żołnierze, co najmniej kilkunastu. Pospiesznie rozejrzał się po dziedzińcu. Nikt inny nie zauważył, że obserwuje ich wojsko. Gdyby ich ostrzeżono, Tybetańczycy wpadliby w panikę i rzuciliby się do ucieczki, choć większość z nich mieszkała na zachodzie, na wzgórzach ponad doliną, i droga powrotna była dla nich odcięta.

- Musisz mu powiedzieć - odezwała się Liya. - Musisz spróbować - dodała płacząco.

Shan wolno skinął głową. Patrzył na Liyę, póki nie znikła za węglem najbliższego zrujnowanego budynku, po czym spójrzył na rozradowanych Tybetańczyków. Udało im się wreszcie zapomnieć o ciężkich warunkach, w jakich wegetowali na skalistych stokach wzgórz, zapomnieć o lękach, które kładły się cieniem na całym ich życiu, ale ich radość miała się zaraz skończyć. Ruszył poszukać Genduna.

Znalazł go pięć minut później na małym placyku na północnym skraju ruin. Stary lama patrzył w głąb stu pięćdziesięciometrowej przepaści wyznaczającej północną granicę terenu dawnej gompy. Co dziwne, siedział z nogami beztrosko zwieszonymi z urwiska. Z radosnym błyskiem w oczach obserwował jastrzębia szybującego nad wąwozem na wznoszących prądach powietrza. Nie odwracając głowy, poklepał skałę obok siebie, zapraszając Shana, żeby usiadł.

- Nie pamiętam takiego dnia, odkąd byłem chłopcem - powiedział. - W górach, gdzie się urodziłem, stawialiśmy pod klasztorem biały namiot. Śpiewaliśmy przez cały dzień. Mnisi umieszczali na wysokim słupie tajemne błogosławieństwo i wszyscy na zmianę wspinaliśmy się, próbując je ściągnąć.

- Tam są żołnierze - szepnął Shan, przyglądając się zerwanym linom i potrzaskanym deskom zwisającym z przeciwległego skraju wąwozu, szczątkom starego mostu, który niegdyś prowadził do placyku przed północną bramą gompy.

Gendun, jakby z wyrzutem, odwrócił głowę w stronę dłu giego kamienia, nadproża zawalonej bramy spoczywającego na niskiej stercie głazów i belek. Ktoś odrzucił z niego gruz, odsłaniając wymalowane słowa, wyblakłe, ale wciąż czytelne „Zgłębiaj jedynie Absolut”. Na kamieniu stał oprawiony w ramkę portret dalajlamy i fragment naturalnej wielkości posągu z brązu: pełne wdzięku, wzniesione w górę ramię.

- Kiedyś ten dzień był świętem całego narodu - powie dział lama. Jego głos przypominał szelest suchej trawy na wietrze. - Sprawiamy, że znów tak będzie. To jest początek.

Dla Genduna był to początek, ale Surya twierdził, że t(kres. Shan spojrzył jeszcze raz na napis na kamieniu, po czym przypatrzył się Gendunowi. Twarz starego lamy bywała zmienna jak niebo. Jego oczy spoważniały. Nie życzył sobie rozmawiać o niebezpieczeństwach grożących mnichom o mordercach ani o cudzoziemcach kryjących się pośród wzgórz.

Shan przywołał z pamięci chwilę, gdy Gendun ujrzał zwłoki Atso. Lama nie okazał zaskoczenia, nie wyraził żalu, lecz radośnie pozdrowił martwego starca.

- Rinpocze, nie rozumiem, co się dzieje - powiedział w końcu Shan, używając tytułu, jakim zwracano się do szanowanych nauczycieli.

- To, co dziś robimy, nie jest zwykłym poświęceniem sanktuarium - oświadczył Gendun. - To ponowne poświęcenie gompy Zhoka ożyje na nowo. Surya tu zamieszka.

Shan poczuł, że lodowata pięść ściska mu trzewia. Surya i Gendun nie mieli pojęcia, jak bezwzględni, a często okrutni są pracownicy Urzędu do spraw Wyznań, dla których każdy nielicencjonowany mnich jest przestępcą. Ci lamowie nie znali pułkownika Tana, który mógł ich bez sądu skazać na lata ciężkich robót.

Ponownie spojrzął na Genduna i nagle ogarnął go głęboki smutek. Tak właśnie bronili się Tybetańczycy - trwając w cnocie mimo niewyobrażalnych przeciwieństw. W pierwszej fazie wojny przeciwko chińskim najeźdźcom tysiące Tybetańczyków rzucało się na karabiny maszynowe ze strzelbami skałkowymi i mieczami, a nawet jedynie z tekstami modlitw w dłoniach. Przybycie Suryi do Zhoki było przejawem tej samej postawy.

- Lha gyal lo - powiedział w końcu przez ściśnięte gardło. Stary lama ponuro skinął głową.

- Dlaczego właśnie teraz? - zapytał Shan. Gendun wskazał ręką ruiny.

- Zhoka była kiedyś bardzo ważnym miejscem, dochodziło w niej do wielkich cudów. Jest tu mnóstwo rzeczy, które musimy poznać. I wskrzesić.

Shan powiódł wzrokiem po opuszczonej gompie. Głęboka kotlina, w której zbudowano klasztor, miała przeszło pół kilometra szerokości, a ruiny wylewały się na okoliczne stoki. Wiele z kamiennych murków, otaczających niegdyś dziedzińce i ogrody, wciąż stało, zachowało się nawet kilka ścian budynków, choć żadnej nie można było nazwać nienaruszoną. Potężny fragment muru z poszarpaną, szeroką na dwa metry wyrwą pośrodku, zapewne szczytowa ściana dawnej sali zgromadzeń, wznosił się niemal na sześć metrów. Z przechylonych pod niebezpiecznym kątem ścian sterczały nadpalone belki stropowe. Shan nie wiedział zbyt dużo o Zhoce, poza tym, że słynęła z artystów. Na wielu z ocalałych murów gompy znać było ślady malowideł, takie jak odkryty przez Suryę fragment z jeleniem. Surya był najznakomitszym artystą Yerpy, twórcą wspaniałych thanek, tradycyjnych tybetańskich malowideł na tkaninie, oraz polichromii, które zdobiły ściany pustelni. Jak stwierdził kiedyś Lokesh, dla Suryi sztuka była modlitwą. Ale teraz Gendun kazał mu zamieszkać w miejscu, gdzie sztuka umarła.

Siedzieli w milczeniu, słuchając odległego gardłowego śpiewu.

- Co można powiedzieć tym wszystkim ludziom, którzy nigdy nie byli w świątyni? - odezwał się wreszcie Shan. - Tym którzy żyją w takim strachu, że nigdy nawet nie rozmawiali

z mnichem? - W południe miał być podany posiłek, podczas którego Gendun chciał przemówić do zgromadzonych.

Lama uśmiechnął się.

- Nauczmy ich spadać z otwartymi oczyma. - Tę jedną ze starych nauk Gendun objaśnił Shanowi w początkach jego pobytu w Yerpie. „Co jest istotą ludzkiego życia?”, zapytał uczeń. „Spadanie z otwartymi oczyma w głąb studni”, odparł mistrz, Choć w pierwszej chwili słowa te wydawały się szokujące, Shan z czasem dostrzegł, że świetnie obrazują życie mieszkańców Yerpy. Dusza w swym rozwoju tuła się przez rozliczne formy życia, powiedział Shanowi Surya podczas jego pierwszych dni w Yerpie, i może liczyć na krótkie przebywanie w ludzkim ciele jedynie raz na tysiąc innych żywotów. Życie jest tak krótkiej a ludzkie wcielenie tak cenne, że pustelnicy z Yerpy poświęcali każdą chwilę, by je wzbogacać, nie tylko zgłębiając prawdę wiary, ale także tworząc cudowne dzieła sztuki, iluminując manuskrypty, spisując kroniki, układając wiersze i tworząc piękno, by przełożyć nauki o współczuciu na najdrobniejszą z czynów. Kiedy już pojmiesz, że spadasz do studni, mawia często Gendun, cóż innego możesz zrobić?

Gendun wiedział równie dobrze jak Shan, że jeden donosiciel, jeden zabłąkany patrol może tego dnia doprowadzić do zagłady Yerpy, która od niemal pięciuset lat dawała schronienie mnichom, uczonym i pustelnikom. Do zagłady miejsca, w którym Shan zaczął widzieć jeden z największych skarbów ziemi, lśniący klejnot na szarym czerepie świata.

- Przyniosłem ci potrzebne rzeczy, Shan - powiedział Gendun, wskazując obszarpany płócienny worek, na którym eleganckimi, teraz już wyblakłymi znakami tybetańskiego pisma namalowano mantrę mani, tradycyjną inwokację do Bodhisattwy Współczucia. - Dziś wieczorem Lokesh pokaże ci drogę. Jest pełnia księżyca.

Worek ten Gendun i Shan spakowali poprzedniego dnia. Robili to w uroczystym nastroju. Lama opowiadał o dawnych pustelnikach i recytował napisane przez nich wiersze. Wśród wrażeń dnia Shan zapomniał, że ma się właśnie udać na miesięczne odosobnienie w jednej z jaskiń ukrytych wysoko w górach.

Widok worka wyzwolił nową falę emocji. Przed miesiącem, wkrótce po tym, jak wrócił z północy, Shan ciężko zachorował. Rozpalony gorączką, przez trzy dni na przemian to tracił, to odzyskiwał przytomność. Gdy wyzdrowiał, spostrzegł, że Gendun jest przy nim bardzo milczący, jakby zatroskany. Coś się wydarzyło, coś, o czym nikt nie chciał mówić. Obawiając się, że mnichom grozi jakieś nowe niebezpieczeństwo, Shan tak długo nękał Lokesha, aż stary Tybetańczyk wyjaśnił mu, że pewnej nocy, w gorączce, z płaczem, jak przerażone dziecko, wołał Genduna, prosząc, żeby go puścił do domu, by go uwolnił.

Te wykrzyczane w malignie słowa Shana dziwnie wstrząsnęły Gendunem i Lokeshem. Gorączka trawiła go tak długo, oświadczył Lokesh, i osłabiła do tego stopnia, że ledwie mógł usiąść na łóżku, gdyż jego dusza została wytrącona z równowagi i zapadł na to, co tybetańscy lekarze nazywają zaparciem serca.

Shan uważał Yerpę za swój dom, mnichów i Lokesha za swą jedyną rodzinę. Lokesh wyjaśnił jednak, że gorączka przepaliła się do mrocznego miejsca we wnętrzu Shana, bolesnego miejsca, którego nie dosięgły lecznicze zabiegi Tybetańczyków, bo nie umieli do niego dotrzeć. Zwątpienie we własne siły malujące się na twarzach Genduna i Lokesha bardzo bolało Shana i minęło wiele dni, nim zebrał się w sobie na tyle, żeby o tym porozmawiać, spróbować to zbagatelizować, może wskazać jak przyczynę sen, jeden z nawiedzających go od czasu do czasu snów, w których na powrót stawał się chłopcem i szukał ojca; Nie wiercie temu głosowi, chciał im powiedzieć, nie wiercie, że jakaś część mnie chce was opuścić, nie wiercie, że nic sprawdzacie się jako nauczyciele.

- Musisz wyprawić się do swego wnętrza - stwierdzi w końcu Gendun; tak czasem mówił o długotrwałej medytacji. - Musisz znaleźć sposób, jak przestać więzić sam siebie. Znam pewną jaskinię - dodał, po czym spędzili ponad tydzień na przygotowaniach, wspólnie medytując, wybierając przedmioty, które miał zabrać Shan. Kilka lampek maślanych. Dwa koce. Worek jęczmienia, mały garnek, worek jaczego łąjna na opał. I jego stare, pamiątkowe patyczki wróżebne, których przed nim używało kilka pokoleń jego przodków do losowania ustępów z *Tao Te Ching*.

- Jak mógłbym teraz odejść? - szepnął Shan. Nie wiedział czy Gendun go słyszy, ale znał odpowiedź. - Żołnierze powiedz? pułkownikowi Tanowi o naszym świętowaniu. Mnisi z Yerpy znajdują się w niebezpieczeństwie, większym niż kiedykolwiek przedtem.

- Najważniejsze dla nas jest spotkać się z tymi ludźmi, dla których Budda przez te wszystkie lata był tylko cieniem. Dla ciebie najważniejsze jest udać się do tej jaskini.

Coś poruszyło się za ich plecami. Wstali i zobaczyli, że sto tam Liya. Nieśmiała młoda kobieta patrzyła na nich niepewnym, zbolałym wzrokiem. Za nią pojawił się Lokesh, który zerknął z troską na Shana. Uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

Z cienia wyszedł pasterz o byczej posturze, a za nim Jari i większość pozostałych mieszkańców wzgórz.

- Żołnierze! - warknął, wskazując starą kamienną wieżę. - Między nami i naszymi domami! - Tybetańczycy szeptali między sobą z ożywieniem. W ich oczach znów pojawił się strach. - Cały świat wie o twoim tajnym święcie! - zwrócił się oskarżycielskim tonem do Liyi. - Równie dobrze mogłaś wysłać temu cholernemu pułkownikowi osobiste zaproszenie!

Liya odwróciła się w stronę Genduna i nagle jej oczyma rozszerzyły się z zaskoczenia. Shan podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i spostrzegł, że lama usadowił się na zwalonym kamiennym nadprożu. Siedział w pozycji lotosu, z prawą dłonią zwróconą grzbietem do przodu i palcami skierowanymi w dół w jednym z rytualnych gestów, mudrze wzywania ziemi na świadka. Patrzył ku wschodniemu grzbietowi, w stronę żołnierzy. Jedna ze starych kobiet, które wcześniej siedziały przy czortenie, przepchnęła się do przodu i usiadła na ziemi przed lamą.

- Jeśli ci żołnierze przyjdą tu dzisiaj, tutaj właśnie mnie znajdą - oświadczyła.

Liya podeszła do niej.

- Możemy się ukryć, będziemy bezpieczni - powiedziała. - Shan i jego przyjaciele nam pomogą.

Co dziwne, na te słowa w tłumie zapadła cisza. Liya jęknęła i gwałtownie uniosła dłoń do ust, po czym przerażona spojrzała na Lokesha.

- Shan?! - wrzasnął wielki pasterz. Podeszedł do Shana i strącił mu z głowy kapelusz z szerokim rondem, którego cień padał mu na twarz. - Niech mnie diabli! - zaklął, po czym odwrócił się ku stojącym za nim ludziom. - To jest on? Ten Chińczyk, który wciąż się wtrąca do tybetańskich spraw? Ona ma rację, Shan pomoże nam wybrnąć z kłopotów - stwierdził z okrutnym uśmiechem. Jego pocięta bliznami twarz nabrała dzikiego, drapieżnego wyrazu.

- Shan idzie na odosobnienie - wtrącił Lokesh, jakby zbierało mu się na płacz, i stanął pomiędzy Shanem a pasterzem.

- Jasne - warknął mężczyzna. - Tam, gdzie dadzą mu kajdany i kilof. - Odwrócił się do zgromadzonych za nim Tybetańczyków. - To właśnie jego szukają. Wyznaczyli cenę za jego głowę - oświadczył, unosząc głos. - Sto amerykańskich dolarów. Dość, żebyśmy wszyscy mieli co jeść przez parę miesięcy.

Gendun zaintonował mantre.

Shan, któremu gardło nagle wyschło na wiór, spoglądał to na przyjaciela, to na zapalczywego pasterza.

- Kto płaci? - usłyszał własny głos. Takie nagrody nie były rzadkością we współczesnym Tybecie, którego komunistyczni władcy wypracowali własną, wielce osobliwą wersję gospodarki rynkowej.

- To tylko plotka - odparła zduszonym głosem Liya. - Luj dzie mówią, że kazano cię odprowadzić do pułkownika Ta na. - Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Nigdy nie chodź do miasta. Nawet gdyby to była prawda, myśleliśmy, że tutaj będziesz bezpieczny. Ci ludzie cię nie znają. To znaczy dotąd cię nie znali - poprawiła się z bólem w oczach.

- To nie żadna plotka - wtrącił pasterz. - W witrynach sklepów wiszą listy gończe.

- Przepraszam - ciągnęła Liya, zwracając się do Shana. - Tan najwyraźniej chce, żebyś wrócił. Musisz po prostu zaszyć się w górach. W swoim ustroniu. Ruszaj tam zaraz - dodała wskazując ręką worek.

Shan nie został oficjalnie uwolniony. Liya chciała powie dzieć, że Tan życzy sobie jego powrotu do obozu pracy, do 404 Ludowej Brygady Budowlanej.

Spojrzenie Shana powędrowało ku workowi ozdobionemu mantrą mani. Wiedział, że przyjaciele ani nie próbowali go zwieść, zatajając, że wyznaczono cenę za jego głowę, ani go chronić. Spadały bomby, w powietrzu latały pociski, rozsyłani listy gończe. Shan, podobnie jak jego tybetańscy przyjaciele nauczył się postrzegać takie rzeczy jak coś w rodzaju bur; gradowych i wichrów, element surowego świata, który za mieszkivali. Mogli mocniej nasadzić na głowę kapelusze i przy spieszyć kroku, lecz nie schodzili z takiego powodu z obranej drogi. Dla Lokesha i Genduna list gończy miał równie małe znaczenie. Dla nich liczyło się to, że Shan powinien spędzić miesiąc w odosobnieniu.

- Jeżeli ci żołnierze wpadną w złość, spalą nam dom i wytluką stada - warknął olbrzym.

Liya stanęła obok Lokesha, żeby osłonić Shana.

- Nie wydamy Shana, tak jak nie wydamy żadnego z tych mnichów - oświadczyła stanowczo.

- Nic nie rozumiesz! - krzyknął pasterz o pociętej blizną twarzy, patrząc na nią wściekłym wzrokiem. - Nie powiedziasz nam, co tu chcecie zrobić. To nie jest pora na mnichów i święta. Co za naiwność! - prychnął. - Ty sama ściągnęłaś na nas kłopoty, wabiąc wszystkich fałszywą nadzieją! Teraz możemy się uratować przed tymi żołnierzami, tylko jeśli wydamy im Shana.

Podeszła do nich żona Jary, prowadząc za ręce obu swych synów i badawczo, z natężeniem patrząc na męża. Jara zrobił krok w jej stronę, lecz nagle zerknął w dół, na swoją pierś, jakby zaskoczony widokiem własnej dłoni mocno zaciśniętej na gau. Powoli uniół głowę, spojrzał na Lokesha i synów, odwrócił się i usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed Gendunem. Dwóch innych pasterzy, twardych, niemłodych już mężczyzn o surowych twarzach, przecisnęło się obok żony Jary i stanęło obok olbrzyma, przyglądając się Shanowi wyglodniałym wzrokiem. Ale kobieta zdawała się ich nie dostrzegać. Zdumiona wpatrywała się w męża, wciąż ściskającego swe gau, i na jej twarz z wolna wróciła radość.

- Sto dolarów! - mruknął poblížniony pasterz. - Oni chcą go mieć za drutami! - Odwrócił się ku stojącym za nim ludziom. - Czy mieliśmy kiedyś szansę wpakować

Chińczyka za druty? - zapytał z drwiącym śmiechem. - Może jednak będzie dziś okazja do świętowania!

- Nie! - krzyknęła Liya. - On jest jednym z nas! Jest pod ochroną naszego klanu!

- Ty po prostu uciekniesz i ukryjesz się na południu, kiedy nadejdzie niebezpieczeństwo - ofuknął ją pasterz. - Łatwo ci pojawić się na jeden dzień i zniknąć. My nie możemy się ukryć. Musimy tu żyć. Atso został zamordowany. Czy to nie wystarczające ostrzeżenie? Musimy pozbyć się Chińczyków i ich bogobójców - warknął, wskazując palcem na mnichów.

Shan stał bez ruchu. Czuł, jak Liya naprężyła mięśnie, i pomyślał, że chce się rzucić na olbrzyma, jednak tylko zacisnęła dłoń na ramieniu Shana, jakby nie chciała go im oddać.

- Atso nie został zamordowany - odezwał się. - To był wypadek.

- Skąd możesz wiedzieć? - burknął pasterz.

- Od niego samego. Twarz pasterza pociemniała.

- My nie kpimy ze zmarłych.

- Ale chcecie sobie kpić z prawdy? - zapytał poważnie Shan, wodząc wzrokiem po twarzach otaczających go ludzi. - Dla czego Atso leżał pod urwiskiem?

- Bo tam właśnie znaleźli go bogobójcy, tam właśnie go pobili, trzydzieści metrów od jego chatki.

- Buty miał owinięte jutowym sznurkiem, choć wcale się nie rozpadały. Dłonie miał podrapane i pokaleczone.

- Bronił się - warknął pasterz. - Oni pewnie zniszczyli t(małą Tarę na jego oczach, żeby go dręczyć.

- Nie - odparł Shan. - To się stało gdzie indziej. - Zerkną na Liyę, która skinęła głową i biegiem opuściła dziedziniec. - Co robił Atso przez te wszystkie lata od śmierci żony?

Tybetańczycy niepewnie spojrzeli po sobie. Najstarsi unikali wzroku Shana.

- Na jego ubraniu nie było strzępków wełny, na rękach nie miał śladów lanoliny, a miałby je, gdyby zajmował się owcami. Powiem wam, co myślę - oświadczył Shan. - Orz opiekował się starymi ukrytymi sanktuariami. Miał puzderko na amulet i różaniec. W kieszeni trzymał dwie sakiewki jedną z kwiatami, drugą z kawałkami drewna. I wodę. Takie rzeczy w dawnych czasach składano na ołtarzach. On wciąż wierzył. Szedł do ołtarza.

Liya wróciła ze srebrnym posążkiem. Shan postawił go na płaskiej skale, w jasnym słońcu.

- Myślę, że znam dolinę, w której mieszkał Atso - ciągnął. - Jest bardzo sucha, same skały i wrzos. Dlaczego mieszkał właśnie tam, w tej chatce? Kto wybrałby takie miejsce na

dom? - Gdy nikt nie odpowiedział, Shan wskazał rozprute plecy bogini. - Jeśli przyjrzyście się uważnie, zobaczycie, że coś tu utkwilo, ponieważ ten, kto zniszczył posązek, najpierw go rozciął, a potem odwrócił i zmiażdżył głowę. Na ziemi. W pojętym srebrze uwięzło źdźbło trawy. Tam, gdzie mieszkał Atso, trawa nie rośnie.

Liya wyjęła z kieszeni scyzoryk i podważyła nim wgięty metal. Sięgnęła do środka i wyciągnawszy zielone źdźbło uniosła je, żeby pokazać wszystkim.

- To niczego nie dowodzi - burknął pasterz.

- Dlaczego mieszkał właśnie tam, w tej chatce? - ponownie zapytał Shan, cedząc słowa.

- Powyżej było tam urwisko zwrócone na południe, a w dole małe źródło - wtrącił z namysłem Lokesh, wymieniając dwa spośród tradycyjnych atrybutów siedliska duchowych mocy. Stary Tybetańczyk odwrócił się ku pozostałym i powtórzył pytanie Shana.

- Grota - powiedziała cicho siedząca przy Gendunie staruszka. Ktoś obok niej zaklął, ktoś inny krzyknął, żeby zamilkła. Ona jednak nie dała się uciszyć. Odwróciła się do Genduna, jak gdyby właśnie on zadał to pytanie, i wykrzyknęła: - Wysoko na ścianie urwiska jest pradawne miejsce, w którym mieszkają bogowie! Tę chatkę zbudowano dla tych, którzy chronią groty, dla tych, którzy służą bogom!

Shan spojrział na Genduna i uświadomił sobie, że spojrzenie, jakim lama obrzucił zwłoki Atso, oraz jego krótkie słowa powinny być powiedzieć mu wszystko, co musiał wiedzieć o zmarłym. Lama wiedział, że Atso prowadził zbożne dzieło.

- Kiedy znalazł tę boginię na jakimś trawiastym stoku, uznał, że musi zapewnić jej ochronę - stwierdził Shan - być może uleczyć ją, zanosząc do tej świętej groty.

- Tak właśnie musiało być! - wykrzyknęła w nagłym olśnieniu staruszka.

- Zapisał tysiąc mantr dla zapewnienia jej opieki bóstw, po czym owinął buty sznurkiem, żeby lepiej trzymały się skały, i wspiął się na urwisko - ciągnął Shan. - Ale spadł i połamał sobie nogi, oderwał ucho i pogruchotał kości policzka, którym uderzył o skały. Nie ma żadnego mordercy - oświadczył wolno i donośnie. - Nie ma żadnych mnichów zabójców.

Gdy kończył, Liya z podnieceniem wskazała na starą wieżę.

- Żołnierze zniknęli! - zawołała.

Tybetańczycy spojrzeli w tamtym kierunku, po czym znów odwrócili się do Shana. Patrzyli na niego szeroko otwartymi oczyma, jakby wykonał jakąś czarodziejską sztuczkę. Jeden po drugim zaczęli opuszczać potężnego pasterza. Kilkoro podjęło mantrę Genduna. Olbrzym o pokiereszowanej twarzy westchnął.

- Lha gyal lo - mruknął zrezygnowany, lecz na odchodnym kopnął kapelusz Shana. Znow rozległ się gardłowy śpiew. Święto rozpoczęło się naj nowo. Schylając się po kapelusz, Shan słyszał urywki modlitw; a potem przyglądał się, jak grupka Tybetańczyków obejmują się nawzajem. Kilkoro z nich podeszło do niego i uścisnęło mii dłoń. Ktoś dał mu mały szal modlitewny. Dzieci przyniosły dzbany z dziedzińca i zaczęły rzucać mąkę w powietrze, znow śmiejąc się wesoło. Ich radosne okrzyki brzmiały teraz żywiej, bardziej szczerze niż przedtem, jak gdyby zniknięcie żołnierzy i to, że Shan przegonił widmo czającego się wśród wzgórz morH dercy, dowiodło, że istotnie jest to dzień cudów. Gendun, który wciąż siedział na zwalonym nadprożu, uśmiechnął się. Będą jednak mieli swoje święto, lama mimo wszystko przemów do ludzi ze wzgórz. Lokesh zaczął uczyć pasterzy następnej pieśni pielgrzymiej.

Gdy Shan przyłączył się do Liyi, żeby pomóc jej rozdawać mąkę, kobieta przekrzywiła głowę, zwracając ucho ku dzie dzińcowi.

- Słuchaj...

- Nic nie... - zaczął i nagle przypomniał sobie o gardłowym śpiewie, który miał trwać bez przerwy aż do kazania Genduna.

Kiedy odwrócił się w stronę centralnego dziedzińca, martwą ciszę przeszył krzyk. Rzucił się biegiem tam, skąd dobiegał.

Drżący skowyt, wrzask przerażonego rozhisteryzowanego dziecka, rozlegał się wciąż na nowo. Shan jeszcze był na placyku, gdy Dawa wypadła z dziedzińca. Przód bluzki miała przesiąknięty krwią. Nie przestając krzyczeć, jak oszalała wymachiwała rękoma nad głową. Shan spostrzegł, że także jej dłonie są szkarłatne od świeżej krwi, która spływała jej na przedramiona.

Dziewczynka nie dawała się uspokoić. Jara podszedł do niej wyciągając ręce, lecz ona, jakby go nie dostrzegała, pędziła dalej. W biegu chwyciła najbliższy dzban z mąką i cisnęła go do wąwozu, potem rzuciła następny i następny, a one leciały w dół, ciągnąc za sobą długie białe smugi mąki. Zdawało się, że dziewczynka chwyta na oślep i rzuca w przepaść wszystko, co leży na ziemi. Nie na oślep, uświadomił sobie po chwili Shan. Niszczyła wszystko, co miało związek z buddyzmem, wszelkie ślady utajonego święta. Zdjęcie dalajlamy. Z wdziękiem uniesione ramię z brązu. Nagle jej ręce sięgnęły po pustelniczy worek z mantrą mani. Shan ruszył ku niej, by ją powstrzymać, ale nie zdążył. Worek, wraz z jego zapasami na następny miesiąc i cennymi, pamiątkowymi patyczkami wróżebnymi, poleciał w głąb wąwozu.

Shana dobiegły teraz inne odgłosy, rozpaczliwe okrzyki ludzi w popłochu wspinających się na stoki. Wybiegł na centralny dziedziniec. Lokesh stał przy czortenie, patrząc ze zgrozą w stronę głazu, na którym siedzieli śpiewacy, a wśród nich Surya, którego nie widzieli od godziny, ubrany jedynie w szorstki szary strój z muślinu, który nosił pod mnisią szatą. Szata, a raczej to, co z niej zostało, leżała na jego kolanach. Z nieprzytomnym wyrazem twarzy Surya rozdzierał bordowy materiał na strzępy i ciskał je do płonącego w samkangu ognia. Lokesh podszedł do niego, unosząc dłoń, jak gdyby chciał powstrzymać jego rękę przed ponownym sięgnięciem w płomienie. Ale Surya odepchnął go. Lokesh opierał się przez moment, po czym zamarł, wpatrując się w mokry ślad, jaki zostawiła dłoń Suryi. Była to krew.

- Nie jestem już mnichem - jęknął Surya, gdy ogień pochłoniął ostatni skrawek jego szaty. - Zabiłem człowieka - dodał żalonym, głuchym głosem. - Nie jestem już mnichem. Nie jestem człowiekiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na dziedziniec, wciąż krzycząc, wybiegła Dawa. Zaczęła okładać pięściami pierś Jary, gdy dopędził ją i objął ramionami. Lokesh sięgnął do samkangu, daremnie próbując ocalić resztki płonącej tkaniny, po czym spojrzął na Shana z bezbrzeżnym smutkiem w oczach. Znowu ktoś stracił życie. Ludzie ze wzgórz uciekali w popłochu, a Surya wyrzekał się swych ślubów. Spadali z otwartymi oczyma w głąb studni.

Lokesh wyciągnął zza paska jakiś przedmiot i spróbował wcisnąć go w dłoń Suryi. Była to jego mała. Mnich wpatrywać się tępo w szczątki swej szaty, gdy Lokesh rozchylił mu palce i zacisnął je na paciorkach różańca.

- *OM MANI PADME HUM* - zaintonował Lokesh płaczliwym szeptem, jakby Surya potrzebował przypomnienia, jak przywołać Bodhisattwę Współczucia. Stary mnich na chwilę uniósł ku niemu oczy, puste jak szkło, i opuścił je znowu, naj różaniec w swych palcach. Otworzył dłoń i mała upadła na ziemię. Lokesh podniósł ją i rozpoczął nową mantrę, pospieszną inwokację do Tary, opiekunki wiernych.

Mąka nie wlatywała już w powietrze. Radosne okrzyki przestały wzbijać się ku niebu. Nieliczni mieszkańcy wzgórz, którzy pozostali na dziedzińcu wraz z Surya, wycofali się pod ściany, wpatrując się w niego zdezorientowani i przestraszeni. Młodszy mnich, który wcześniej towarzyszył mu w gardłowym śpiewie, milczał z udręką na twarzy, utkwivszy wzrok w płonącej szacie.

Nadeszła Liya i z przerażeniem rozejrzała się dokoła. Oparła się o czorten jedną ręką, potem dwiema, zamknęła na chwilę oczy, wreszcie wyprostowała się, spokojniejsza, i wzięła stojący za czortenem gliniany garnek z wodą. Jara przytrzymał łkającą Dawę, a Liya w milczeniu zaczęła zmywać krew z dłoni dziewczynki.

Shan, zupełnie bezradny, podszedł do niegdyś radosnego, łagodnego mnicha.

- Surya - szepnął mu tuż koło ucha - to ja, Shan. Powiedz mi, co to było. Co się stało?

Mnich nie dał po sobie poznać, że go słyszy. Z jego ust wydobywał się teraz inny dźwięk. Nie gardłowy śpiew, nie mantra, ale mrozący krew w żyłach cichy, zgrzytliwy charkot, rżenie konającego zwierzęcia. Oczy jak gasnące węgle wbił w ziemię.

Shan wzdrygnął się i podszedł do Dawy. Gdy stojąca obok Liya uniosła ku niemu wzrok, wskazał uciekających Tybetańczyków.

- Tamci żołnierze wciąż mogą być w górach - zauważył ponuro.

Liya przygryzła wargę. Przez chwilę patrzyła ze smutkiem na dziewczynkę, wreszcie podała Shanowi garnek i puściła się biegiem w stronę zbocza.

- Co to było, Dawa? - zapytał, klękając obok małej, która wtuliła głowę w pierś wuja.

- Co zobaczyłaś, kiedy poszłaś za Suryą? - Ona i jej wuj zdawali się go nie słyszeć. Potem z nagłym poczuciem winy Shan przypomniał sobie, że dziewczynka odezwała się do niego pytająco, a on nie odpowiedział. „Myślę, że znam drogę do ukrytej krainy”, powiedziała. Wstał i rozejrzał się po ruinach, starając się odtworzyć w pamięci poczynania Suryi po jego pierwszej turze śpiewania.

Podczas przerwy między śpiewami Surya i pozostali mnisi zwykle siedzieli i medytowali. Jeśli Surya miał zamieszkać w ruinach, z pewnością obejrzał je dokładniej niż inni, być może znalazł sobie odosobnione miejsce do medytacji. Shan ruszył ścieżką, którą wcześniej poszła Dawa, i wkrótce zobaczył dwa naturalne słupy skalne, podpierające niegdyś jedną ze zburzonych budowli.

Wszedł między nie. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że zamiast podłogi ma przed sobą wykute w skale, niknące w mroku schody, wyżłobione przez wieki, od góry obrośnięte porostami. Nigdy dotąd nie zauważył tego szerokiego na dwa i pół metra zejścia pod ziemię, być może dlatego, że osłaniające je z obu stron ściany pochylały się pod takim kątem, że wydawało się, iż niebezpiecznie się do nich zbliżać. Przez chwilę przyglądał się im. Gdyby któraś runęła, zostałby uwięziony na dole, w ciemnościach. Z pewnością Dawa nie zapuściłaby się w takie miejsce, a Surya nie uznałby go za odpowiednie do medytacji. Miał się już odwrócić i odejść, gdy nagle spostrzegł kilka wilgotnych czerwonych kropek układających się w linię, której koniec nikał w mroku, pod ziemią. Zagłębił się w ciemność.

Naliczył sto osiem stromych, wysokich na niemal trzydzieści centymetrów stopni, nim wreszcie ten niemalże szyb przeszedł w korytarz. Sto osiem była to obdarzona wielką mocą symboliczna liczba, liczba paciorków tybetańskiego różańca. W powietrzu unosiła się woń spalonego masła, drażniąca, smolista pozostałość lampek maślanych. Shan zastygł w bezruchu. Wyczuwał również inne zapachy. Lekką, zatęchłą woń kadzidła, którego dym zapewne osiadł na ścianach, unosząc się przez setki lat z kadzielnic. Ulotny aromat herbaty. I coś świeższego, obcego. Tytoń. Pięć metrów dalej w głębi korytarza żarzył się blady płomyk. Była to przewrócona na bok lampka maślana, z której na skalną podłogę wylewał się migotliwy strumyk tłuszczu. Odłamkiem kamienia zgarnął masło z powrotem do lampki, po czym podniósł ją i ruszył chłodnym korytarzem. Kilka kroków dalej zatrzymał się przed dwójgim drzwiami osadzonych naprzeciw siebie po obu stronach tunelu, który tuż za nimi kończył się litą skalną ścianą.

Wejście z prawej strony prowadziło do małego kwadratowego pomieszczenia, półtora na półtora metra, które mogło być celą medytacyjną albo jakimś składem. Wewnątrz znajdował się wielki gliniany dzban z wodą oraz kawał grubego, zgrzebnego płótna, wystarczająco duży, by mógł służyć jako koc lub dywanik do medytacji. Podniósł płótno. To był worek, miękki, nie wyschły ze starości, zszyty u dołu plastikową nitką. Wymalowane przez szablon wielkie chińskie ideogramy oznajmiały, że pierwotnie zawierał ryż wyprodukowany w prowincji Guangdong.

Drugie pomieszczenie było większe, niemal pięć metrów na pięć z kolejnymi, mniejszymi drzwiami na końcu prawej ściany. Shan wszedł do niego, zrobił dwa kroki i zamarł, wpatrując się w lśniąca czarną plamę na podłodze pod drugimi drzwiami. Zamknął oczy, żeby się uspokoić, po czym podszedł do ciemnej plamy i przykucnąwszy, dotknął jej palcem. Była to kałuża świeżej krwi.

Wytarł palec o kamienną podłogę i wstał. Uniósł lampkę nad głowę i rozejrzał się. Wyczuwał teraz wilgotną, metaliczną woń krwi, zmieszaną z innym zapachem, który nauczył się rozpoznawać w obozie pracy. Nie był to prawdziwy zapach, ale jak powiedziała by Lokesh, pewne doznanie duszy postrzegającej rzeczy niedostępne dla fizycznych zmysłów. Jeśli się jej na to pozwoli, twierdził, potrafi ona wyczuć cień niedawnego przerażenia, niczym utrzymujące się echo albo zakłócenie powstałe, gdy inna dusza wyrwała się na wolność ze zniszczonego nagle ciała. Shan chętnie by sobie oszczędził tego doznania, ale nie wiedział, jak to powstrzymać. Małą salkę nawiedziła śmierć.

Nagle poczuł pustkę i chłód. Jakiś wewnętrzny głos krzyczał mu, by wracał czym prędzej na górę, i Shan przyłapał się na tym, że przywarł plecami do skalnej ściany i osuwa

się w dół, aż w końcu siedział w kucki, z ręką wyciągniętą nad głowę i zaciśniętą pięścią, jakby szykował się do odparcia napaści. Co Atso powiedział o Zhoce? To siedziba tajemniczych, potężnych sił, a najgroźniejszy błąd to jej nie rozumieć. Nie, niedokładnie tak. Powiedział, że najgroźniejszym błędem jest nie rozumieć, czym ona jest dla ludzi. Shan zamknął oczy i uspokoił się. Gdy opuścił rękę, jego dłoń natrafiła na coś lodowato zimnego. Powoli wyciągnął palce, ujmując długi, metalowy cylinder. Była to latarka, lśniąca i ciężka, jedna z tych, jakie cenią sobie funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, gdyż mogą służyć również jako pałki do poskramiania tłumów. Przycisnął włącznik w górnej części. Nic. Jego palce znów były mokre. Latarka była zakrwawiona.

Upuścił ją i wstał, by obejść pomieszczenie. Ściany były niegdyś fachowo otynkowane i pokryte malowidłami. Przystanął przy kałuży krwi, znów unosząc wysoko maślaną lampkę. W górze znajdowało się malowidło przedstawiające gniewne bóstwo trzymające wypełnioną krwią czarkę z ludzkiej czaszki. Był to jeden z mitycznych lokapalów, strażników świata i wiary. Miał dziewięć gniewnych głów i kilkanaście par rąk! Wszystkie głowy zostały oślepione, niektóre oczy precyzyjnie wydlubano, inne jakby wypalono papierosem. Potężne bóstwo sprawiało wrażenie smutnego i bezradnego, kałuża krwi na podłodze wyglądała, jakby wylała się z przechylonej czarka w jego dłoni. Pod malowidłem, w rzędku, tak jak potoczyła się pod ścianę, leżały ciemne, wytarte paciorki. Shan podniósł jeden z nich, przyglądając mu się ze smutkiem. Surya rozea rwał swój zabytkowy różaniec używany przez wiele pokolei mnichów pustelników i porzucił go, jak gdyby nic dla niego nie znaczył.

Od kałuży do pierwszych drzwi, w stronę schodów, proj wadziły wilgotne szkarłatne smugi. Ręce Suryi aż do łokci pokrywała krew, podobnie jak dłonie Dawy i przód jej sukienki. Nawet na jej butach były krwawe plamy. Przyjrzał się uważnie śladom na podłodze. Dawa pośliznęła się i upadła w makabryczną kałużę, podpierając się rękoma. Ale kosztowna metalowa latarka nie należała do niej, a ona nie weszłaby tutaj bez światła. Surya musiał być w środku, z lampką maślaną! Skoro dziewczynka zapuściła się tak daleko, że wdepnęła w krew, Surya na pewno był dalej, po drugiej stronie mniejszych drzwi. Shan przekroczył kałużę krwi i wszedł w mroki. Dopiero teraz zauważył inny ślad, już nie smugi, lecz sznui wielkich kropli krwi, który musiał pozostawić człowiek, który tu zginął. Za drzwiami znajdował się tunel, rozszerzający się i łagodnie opadający w dół. W ciemności niósł się ledwie uchwytny szmer, niczym odległy szum wiatru. Po prawej znajdowała się mała cela medytacyjna. Gdy skierował się w jej stronę, potracił stopą jakiś leżący na ziemi przedmiot! Pochylił się i wzdrygnął z odrazą. To była kość, ludzka kość udowa ociekająca świeżą krwią.

Znów przywarł plecami do ściany. Ktoś został zabity i odarty z ciała, jęknął w nim strach. Niemożliwe, odezwał się inny, niepewny głos. Surya nie miał czasu popełnić tego makabrycznego czynu. Surya nie był mordercą.

Zmusił się, by spojrzeć na zakrwawioną kość. Krew była świeża, ale kość nie. Z takich kości wykonywano kanglingi, tybetańskie trąby obrzędowe. Pod ścianą stały jeszcze trzy podobne. Zapewne były tu od dziesiątków lat, pozostawione przez jednego z rzemieślników Zhoki. Ale przestawiono je. Środkowa kość stała pionowo, pozostałe opierały się o nią, tworząc strzałkę wskazującą namalowany krwią kilkanaście centymetrów wyżej symbol. Był to szeroki na dwadzieścia pięć centymetrów owal o dłuższej osi równoległej do podłogi. W owalu namalowano kwadrat, w kwadracie - okrąg.

Shan wszedł do celi medytacyjnej i odkrył dwa wykute w podłodze prostokątne otwory długie na dziesięć centymetrów i niemal na pięć głębokie, oddalone prawie o pół metra od siebie nawzajem i tyle samo od ściany. Mogły to być gniazda na nogi ołtarza lub jakiejś platformy. Na podłodze celi leżała sterta gruzu przykryta zakurzonym workowym płótnem. Pod płachtą oraz wokół niej wałały się okruchy glinianych naczyń. Wysuszone na kamień ziarna jęczmienia, liczące być może dziesiątki lat. Deska, rozeschnięta i popękana, szeroka na dwanaście centymetrów i długa na czterdzieści. Obejrzał się i popatrzył na kałużę krwi. Czyjeś życie wyciekło na podłogę. Ale gdzie jest ciało? Jedyne śladami krwi były te, które pozostawili Surya i Dawa, a gdyby Surya wyniósł gdzieś zwłoki, jego szaty, zarówno wierzchnia, jak i spodnia, przesiąknęłyby krwią. Dziewczynka zapewne uciekła przerażona, upadłszy w kałużę krwi. Surya musiał upuścić lampkę i choć był daleko od słonecznego światła, a ona wciąż płonęła, nie zadał sobie trudu, żeby ją podnieść. Czyżby przeraziło go coś, co zobaczył? A może coś, co zrobił? Nie, jeszcze raz powiedział sobie Shan, to niemożliwe, żeby łagodny Surya, który często błogosławił jego stopy, by nie rozdeptywał owadów, mógł zabić człowieka.

Przyjrzał się uważnie rozrzuconym szczątkom. Głęboko spękaną deskę pokrywał misterny relief przedstawiający jelenie skaczące wśród drzew. Była to, uświadomił sobie, okładka pechy, tradycyjnej nie zszywanej tybetańskiej księgi. Oparł deskę o ścianę i podniósł płachtę, odsłaniając więcej glinianych skorup oraz małą, nie uszkodzoną glinianą figurkę Buddy. Za figurką, pod ścianą, leżał długi kawałek pergaminu, stronica z pechy. Delikatnie podniósł długą, wąską kartkę, przeczytał ją, po czym uniósł wzrok i przez chwilę wpatrywał się w ciemność. Przynal bliżej lampkę, obejrzał pergamin z obu stron i jeszcze raz odczytał tekst. To było nieprawdopodobne, jatl wiele innych wydarzeń tego dnia. Kartka była stara, choć nie drukowana w tradycyjny sposób z drewnianego klocka. Zapisano ją niebieskim

atramentem, zapewne gęsim piórenj lub stalówką, dużymi ozdobnymi literami na pierwszy rzut oka sprawiającymi wrażenie eleganckich znaków tybetańskiego pisma stosowanych do kopiowania świętych ksiąg. Ale tekst nie był tybetański. Był angielski. *Przez śmierć odnawiają się bóstwa*, mówiły słowa. *Posiądź wiedzę, a potem ją porzuć. Unieś pędzel milion razy, po czym pozwól mu opaść na głaz. Święta Matko, Święty Buddo, Duchu Święty. Przez śmierć odnawiają się bóstwa.*

U dołu kartki biegł szlak w tradycyjnym tybetańskim stylu, z motywem jeleni oraz maleńkich, drobiazgowo przedl stawionych jaków. Shan ponownie przeczytał tekst, spojrzął ni zakrwawioną kość i zadrżał. Stronica pechy mówiła o śmierci niczym wiersz lub mowa pogrzebowa. Musiała mieć kilkadziesiąt lat, może nawet sto lub więcej. Upuszczono ją dokładnie w miejscu, w którym tego dnia jakiś człowiek zakończył życie. Shan powiedziałby przed laty, że to zbieg okoliczności. Ale Lokesh, gdyby był tu z nim, nabożnie złożyłby ręce i zawołał, jakie to szczęście, że mogli być przy tym, jak zazębiły się, choć na krótko, dwa koła przeznaczenia.

Ponownie uniósł lampkę. Nie było więcej kartek, jedynie potłuczone naczynia, strzępy workowego płótna i coś, co wyglądało na zwiędłe i pomarszczone jabłko. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie pergaminowi, ponownie przeczytał dziwne, niepokojące angielskie słowa, po czym zwinął go w rulon i schował do kieszeni. Prostując się, wypatrzył coś małego i ciemnego w kącie niewielkiej wnęki. Zbliżył tam lampkę. Był to niedoj pałek wąskiego cygara. Podniósł go, ująwszy czubkami palców i zbliżył do nosa. Tytoń miał mdlący, słodki zapach, niepodobny do żadnego tytoniu, jaki kiedykolwiek wachał. Nie pochodził z Tybetu, nawet nie z Chin. Zawinął niedopałek w jeden ze skrawków workowego płótna. Robiąc to, poczuł na plecach zimny podmuch. Obejrzał się za siebie, raz i drugi, po czym szybko wrócił do większego pomieszczenia, przechodząc nad kałużą krwi. Dopiero teraz spostrzegł pośrodku niej ledwie widoczny krążek o mniej więcej czterocentymetrowej średnicy i grubości monety. Wydobył go, popychając kawałkiem tynku, starł krew skrajem chustki do nosa i włożył do kieszeni.

Nagle poczuł, że drży. W głowie kłębiły mu się dziwne wydarzenia tego dnia i być może jeszcze dziwniejsze słowa. Kiedyś - czy nie było to zaledwie przed godziną? - Gendun stwierdził, że jest to jeden z najradośniejszych dni w całym jego długim życiu. Tego dnia nastąpi kres wszystkich rzeczy, zapowiedział Surya. W górach grasowali bogobójcy. Był to jeden z tych dni, które odmieniają świat. Zhoka kryła sekrety, których niebezpiecznie było nie rozumieć.

Z mroku za jego plecami, z głębi tunelu opadającego w dół za kałużą krwi, dobiegł nagle cichy, głuchy jęk. To tylko wiatr świszczący w szczelinie skalnej albo wyrwie w murze, powiedział sobie Shan, ale przyłapał się na tym, że znów kuli się pod ścianą i drży. Ktokolwiek zabrał ciało, zrobił to w ciągu ostatnich dwudziestu lub trzydziestu minut i wciąż jeszcze mógł być gdzieś w pobliżu. Wyciągnął lampkę w stronę źródła dźwięku, spostrzegł jednak, że płomyk zaczyna migotać na resztkach masła. Rzucił się do wyjścia. Nim dotarł do schodów, lampka zgasła. Ruszył w górę ku światłu, tyłem, wpatrując się w ciemność.

Na zewnątrz, wśród ruin, nie zauważył nikogo. Centralny dziedziniec trwał w bezruchu, jeśli nie liczyć unoszącej się znad starego samkangu cienkiej smużki dymu. Shan podbiegł do bramy przy wąwozie otwierającej się na szczątki mostu. Jedynym śladem niedawnych obchodów było kilka białych smug na kamieniach pod stopami. Podszedł do urwiska. Gdzieś w dole, dziesiątki metrów niżej, spoczywał jego pustelniczy worek, a w nim bambusowe pudełko z pokrytymi laką łożkami krwawnika służącymi do losowania wersetów z *Tao Te Ching*, przekazywane w jego rodzinie od pokoleń. Patyczki przetrwały lata wojny i głodu, przetrwały „rewolucję kulturalną”, choć wujowie i ojciec Shana zginęli z rąk czerwonogwardzistów, przetrwały nawet jego uwięzienie w obozie pracy. Ale nic ich nie uchroniło przed przerażoną dziesięcioletnią dziewczynką.

Ruszył wolno wśród ruin, wołając Loksha i Liyę, dopóki nie zorientował się, że stoi przed czortenem. W zamyśleniu wyciągnął z kieszeni pędzel, przyglądał mu się przez chwilę aż nagle przypomniał sobie o żołnierzach, odwrócił się i pobiegnął przed siebie.

Kwadrans później Shan wspiał się na grzbiet górujący na Zhoką. Na północnym zachodzie, niespełna kilometr dalej, widać było kilkanaście zgarbionych postaci posuwających się granią. Przystanął i rozejrzał się dookoła. Od północy odcinał Zhokę głęboki wąwóz. Południe, gdzie niczym przestroga dla podróżnych sterczały strome, poszarpane szczyty, było, jak mawiano, jałową, złowrogą ziemią. Żołnierzy widziano ostatnio na północnym zachodzie, pomiędzy Zhoką a doliną Lhadrungj. Gdy spojrział w tamtą stronę, ku zrujnowanej kamiennej wieży wznoszącej się nad północno-zachodnim krańcem grzbietu zdawało mu się, że mignęło tam coś bordowego, jakaś plamka w kolorze mnisiej szaty.

Po dziesięciu minutach dopędził najwolniej uciekających Tyl betańczyków. Pasterze zerknęli na niego z niechęcią i odwrócili wzrok. Mijając ich, pytał każdego po kolei, dokąd odeszli mnisi! W końcu stara kobieta, która wcześniej modliła się z Suryą utkwiła w nim bolesne spojrzenie i wskazała przed siebie.

Na skalnym występie w pobliżu zrujnowanej wieży, skał roztaczał się widok na wąską dolinę, znalazł Lokesha. Stary Tybetańczyk wpatrywał się w mroczne wnętrze budowla gorączkowo przesuwając w palcach paciorki mali. Gdy Shan podszedł do niego, przyjaciel chwycił go za ramię, jakby nie chciał go dopuścić bliżej wieży.

Shan nigdy przedtem nie miał okazji przyjrzeć się jej z bliska. Spostrzegł teraz, że nie była kompletnie zniszczona. Z jej górnej części zachowała się tylko jedna osmalona ściana, stercząca niemal na sześć metrów. Żelazne haki wciąż podtrzymywały resztki czegoś, co niegdyś było zamocowaną od zewnątrz drabiną. Ale uformowana poniżej przez samą naturę przytulna nisza, w której podróżny lub wartownik mógł znaleźć schronienie przed żywiołami, pozostała nienaruszona. Klęczała w niej samotna postać zwrócona tyłem do wejścia. Surya.

- Dlaczego on poszedł tędy? - zapytał Shan Lokesha. - W stronę Lhadrung, ku żołnierzom? Gdyby wpadł im w ręce... Ludzie są przerażeni. Jeśli zaczną ich wypytywać, potwierdzą, że to nie licencjonowany mnich. Teraz obawiają się go nie mniej niż żołnierzy. - Spojrzał w oczy przyjaciela i zobaczył w nich głębokie, bolesne zdziwienie. - Musimy zabrać go do domu, ukryć, a potem zapytamy go, co się stało, spróbujemy mu pomóc. - Gdyby pułkownik Tan dowiedział się o nielegalnych mnichach albo o człowieku, który utrzymuje, że popełnił morderstwo, wysłałby żołnierzy, aby przeczesał góry, a nie można oczekiwać, że ktokolwiek z tych, których by zatrzymali, zachowałby milczenie. Yerpie przez dziesiątki lat udawało się unikać wykrycia, lecz na przesłuchaniach Surya prędzej czy później zdradziłby jej położenie. Gdyby Suryę aresztowano, Yerpa zostałaby zrównana z ziemią jak Zhoka, a Gendun i pozostali mnisi trafiliby do obozu.

- On nie idzie do miasta - odrzekł Lokesh, choć w jego głosie nie było pewności. - Przyszedł tutaj. Na dziedzińcu nic do nikogo nie powiedział, z wyjątkiem tych strasznych słów, które słyszałeś. Nagle po prostu wstał, spojrzał w stronę wieży i zaczął biec. Kiedy go dogoniłem, czyścił ściany w środku, zmywał stary brud. Potem przyszła dziewczynka, a za nią Gendun - dodał, wskazując odległy o trzydzieści metrów głąz. Lama siedział tam, obserwując Dawę, która klęczała przy źródle, splukując krew z sukienki. Jej ciotka i wuj, którzy przysiedli z synami pięćdziesiąt kroków dalej, przyglądali się jej ze smutkiem. - Nie pozwala Gendunowi ani nikomu innemu zbliżyć się do siebie. Mówi, że chce wracać do domu, do swego chińskiego miasta. Mówi, że nienawidzi mnichów. Ze nienawidzi nas wszystkich, bo ją oszukaliśmy.

Shan zastanowił się, co musiała czuć Dawa po tym dniu wśród ruin. Z początku na pewno zdziwienie i niepokój, potem Podziw i radość, a w końcu przerażenie i rozpacz.

- Przyjechała, żeby poznać życie w Tybecie - powiedział Przez ściśnięte gardło.

Lokesh ponuro skinął głową.

- Musimy zabrać Suryę do Yerpy. On potrzebuje długiego eczenia. Shan nigdy jeszcze nie słyszał w głosie przyjaciela takiej bezsilności. Przyjrzał się mu. Lokesh ze smutkiem i tęsknotą patrzył w stronę Zhoki.

- To, co przeżył Surya, przeżyła także dziewczynka. Czegci nie umieliśmy zrozumieć?

- zapytał stary Tybetańczyk. Shan zdołał jedynie wolno pokręcić głową.

Chwilę później podszedł do Dawy i usiadł obok niej na trawie. Nie zwróciła na niego uwagi, zajęta praniem, tarła zakrwawiony materiał.

- Wiem, że zobaczyłaś pod ziemią coś strasznego - za czął. - Zszedłem tam. Widziałem krew i kości. Było bardzo ciemno. Słyszałem dziwne odgłosy. Bałem się, tak samo jak ty. Ale tam nie było zwłok. Widziałaś zwłoki?

Dziewczynka jęczała cicho. Nie, uświadomił sobie po chwili nuciła. Dreszcz przeszedł mu po plecach, gdy rozpoznał mej lodię. *Wschód jest czerwony*. Była to jedna ze sztandarowych pieśni oficerów politycznych, hymn z upodobaniem puszczałam przez megafony w chińskich szkołach. Siedział w milczeniu spoglądając na Lokesha i Genduna, zastanawiając się, dlaczego trzymają się z dala od Suryi.

- Dawa - odezwał się znowu - muszę wiedzieć, co widziałeś. Pomogę ci.

Dziewczynka przestała gorączkowo trzeć materiał. Stuliła dłoń i podstawiła ją pod strumyczek zakrwawionej wody, który ściekał z jej sukienki, wpatrując się weń zafascynowana. Shan chciał już wstać i odejść, gdy nagle uniosła wzrok.

- On trzymał w ręce oko - szepnęła cicho. - I był przebitj gwoździem. - Znow zaczęła nucić melodię tej mrożącej krew w żyłach pieśni.

Gdy podniósł się i ruszył z powrotem, ktoś przebiegł oboli niego i tak raptownie zatrzymał się przed wejściem do niszy u dołu wieży, że niemal wpadł do środka. Była to Liya. Dyszała ciężko, opierając się ręką o skałę.

- Szybko! - krzyknęła do Suryi, po czym przesunęła się o krok i znalazła się w cieniu.

- On nie może tu zostać - dodała resztkami tchu, gdy podszedł do niej Shan. - Musimy go wyjnieść, jeśli inaczej się nie da. - Umilkła, patrząc na mnicha!

Surya pilnie pracował przy tylnej ścianie niszy. Mrużąc coś pod nosem, szorował ją kawałkiem tkaniny oddartym od szarej spodniej szaty. Ściana była polichromowana. Mnich gorączkowo czyścił malowidło, które powstało być może przed stu albo i więcej laty. Na lewo od niego widniały wyblakłe znaki mantry mani, wysokie na dwadzieścia pięć centymetrów. Na ścianie po prawej znajdowała się nowsza praca, skomplikowane przedstawienie bóstw, którego wykonanie musiało zająć wiele dni. Shan podziwiał przez

chwilę bogaty, żywy styl drugiego malowidła, po czym odwrócił się i ujrzał obok siebie Lokesha. Stary Tybetańczyk wydawał się równie zaskoczony jak on sam. Znali ten styl, jedyny w swoim rodzaju. Był to styl Surya. Ale Surya nie zwracał na swoje dzieło najmniejszej uwagi.

- Co to jest? - wyszeptała Liya, patrząc na malowidło, które czyścił mnich. Shan także nie poznawał centralnego bóstwa. Była to Tara, obrończyni wiernych, w jednej z budzących grozę postaci mających zwalczać określone demony i lęki, ale tej akurat nie znał.

Oboje odwrócili się do Lokesha. Stary Tybetańczyk wpatrywał się w malowidło z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Coś strasznego - wyszeptał i z zatroskaną miną spojrzał w stronę Zhoki. Shan wiedział, że Lokesh, mówiąc to, nie miał na myśli malowidła, ale zło, przed którym miało chronić. Poznawał słowa, które Surya mamrotał teraz cichym, pobrzmiwającym rozpaczą tonem. Była to *OMAH HUM*, dodająca sił ostatnia mantra z szeregu wypowiedzianych podczas ożywiania bóstw.

- Nie ma na to czasu - zwróciła się Liya do Surya. - Musisz uciekać. - Podeszła do niego, unosząc ręce. Wyglądało na to, że chce odciągnąć go od ściany, lecz jej dłonie pozostały puste, jakby obawiała się dotknąć mnicha, którego ręce wciąż pokrywały smugi zakrzepłej krwi. - Nie ma czasu - powtórzyła z rozpaczą.

Ale Shan odniósł wrażenie, że Surya nie ma teraz czasu na nic innego niż właśnie to, że choć oni sami dobrze wiedzą, iż mają poważne powody do obaw, on dostrzegł znacznie poważniejsze zagrożenie, jedyny zrozumiał w całej pełni, w jak rozpaczliwym są położeniu, i uznał, że uratować może ich tylko przedstawione na malowidle bóstwo. Dopiero teraz Shan zauważył, że pod wizerunkiem Tary namalowano co jeszcze, być może mantrę. Słowa były praktycznie niewidoczne spod ciemnoczerwonych smug. Cokolwiek głośiły, zostało to niedawno zamazane jedną z farb, które Surya nosił na szyi pod spodnią szatą, w zawieszonych na rzemyku małych drewnianych rurkach. Ślady zakrzepłej krwi na dłoniach mnicha pokrywały teraz świeże ciemnoczerwone plamy barwnika. Surya pobiegł do izdebki w wieży nie tylko po to, żeby oczyścić stare malowidło, ale także by zatrzeć coś, co było napisane pod nim.

- *OM HUM TRAM HUIH AH!* - wykrzyknął mnich dzil kim głosem. Była to mantra wiążąca strażników. Nie powiejdź nic więcej. Milcząc, wpatrywał się w oczy Tary takim wzrokiem, jakby właśnie zawarł z nią jakiś pakt.

Liya przerwała swe dziwne zmagania z cieniem. Przez chwilę wpatrywała się w mnicha, po czym z oczyma pełnymi łez przycisnęła się obok Shana i wyszła z pomieszczenia!

Shan przyglądał się jej. Patrzyła na teren za Zhoką, jak gdyby wypatrywała kogoś konkretnego, a następnie zaczęła kierować uciekających Tybetańczyków na prowadzący niżej szlak, stromą, krętą ścieżkę biegnącą pod osłoną sterczących skał w stronę ich obozowisk i domostw na wzgórzach nad doliną. Przebiegła pięćdziesiąt metrów grzbietem i wzięła na plecy potykającego się chłopca, zmuszając się do okazania beztroski, przeniosła dziecko pomiędzy skałami na szczycie po czym przekazała je zmęczonym rodzicom czekającym na skraju występu i wykrzyknęła błogosławieństwo, gdy znikali po drugiej stronie grzbietu. Shan zszedł parę kroków porośniętym trawą stokiem, wołając Jarę i dając mu znaki, żeby przyszedł z całą rodziną.

Już tylko kilkoro Tybetańczyków pozostało w zasięgu wzroku, gdy nagle Liya obejrzała się za siebie i przystanęła zdumiona. Shan popatrzył tam gdzie ona i zobaczył Suryę! Mnich stał teraz na skalnym występie, z rozpostartymi rękami, zwrócony twarzą ku dolinie o stromych zboczach. Lokesh zrobił krok w jego stronę, zatrzymał się i przekrzywił głowę, nadstawiając ucha. Shan, idąc ku niemu, usłyszał głęboki grzmot dobiegający z bezchmurnego nieba. Nagle na szczycie pojawili się biegnący ludzie - pędzili z powrotem pod górę ścieżką, którą dopiero co zeszli, krzycząc, potykając się, porzucając dzwigane kosze i tobołki.

Shan zbyt późno rozpoznał metaliczne dudnienie. Gdy chwycił Lokesha za ramię, osiągnęło crescendo i spoza skalnej półki wyłoniły się z rykiem wielkie obracające się łopaty wirnika, a za nimi smukły ciemnoszary korpus wojskowego helikoptera. Tybetańczycy z wrzaskiem rozpierzchli się we wszystkie strony, byle dalej od maszyny. Jara, potykając się, przebrnął płynący w dole strumień i popędził ku siostrzenicy, a jego żona zgarnęła w ramiona synów. Dawa zerwała się na równe nogi i pobiegła na oślep, nie w stronę wuja, ale w przeciwnym kierunku, wzdłuż stoku.

Shan pchnął Lokesha z powrotem ku ruinom i pobiegł do Genduna, gdy śmigłowiec zawisł tuż nad ziemią. Kiedy Shan dopadł do lamy i pociągnąwszy go, pomógł mu wstać, z helikoptera wysypało się pół tuzina żołnierzy w mundurach polowych.

Shan z przyjaciółmi rzucił się do ucieczki. Potykał się, tracił równowagę na kamieniach, raz po raz przystawał, żeby pomóc Gendunowi, ponaglał go i ciągnął z całych sił, gdyż lama zachowywał się tak, jakby nie widział powodów do pośpiechu, jak gdyby żołnierze nie wzbudzali w nim strachu, lecz ciekawość. Nagle Lokesh, biegnący trzy kroki przed nimi, przystanął i obejrzał się na kamienną wieżę.

Shan, zbity z tropu, również się odwrócił. Żołnierze nie ścigali nikogo, nawet ubranego w mnisią szatę Genduna. Surya stał na odsłoniętym występie zwrócony w stronę

helikoptera, z rękoma wciąż rozłożonymi jak w powitalnym geście. Żołnierze otoczyli go, trzymając broń w pogotowiu, i zastygli w bezruchu, a jeden z nich przycisnął dłoń do ucha. Potem, na oczach przejętego zgrozą Shana, przypadli do Suryi i zerwawszy mu z szyi rzemyk, na którym nosił farby, powlekli go ku helikopterowi i brutalnie wepchnęli do środka. Chwilę później weszli za nim i maszyna, unióśszy się w powietrze, odleciała na północ.

Zniknięcie żołnierzy nie położyło kresu panice. Nikt z uciekających się nie zatrzymał. Okrzyki przerażenia nie ucichły. Część ludzi pędziła w dół stoku na zachód, inni wycofywali się do Zhoki. Dawa, zupełnie sama, była teraz wysoko na przeciwległym stoku. Biegła jak oszalała na południe w stronę okrytych śniegiem gór widocznych na horyzoncie, nie przystając, żeby się rozejrzeć za rodziną, podczas gdy jej wuj siedział na ziemi daleko w tyle, trzymając się za nogę, jakby zwichnął ją w kostce.

Shan niczym ogłuszony ruszył ku skalnej półce, na której jeszcze niedawno stał Surya. Wpatrywał się tępo w pozostawione dokoła na ziemi ślady ciężkich butów i zmiażdżone rurki z barwnikami, wreszcie obszedł je i wyrztał poza skraj przepaści. Helikoptera nie było już widać. Żołnierze spadli na nich jak piorun, a potem rozplynęli się w powietrzu.

- Już nigdy go nie zobaczymy - rozległ się za plecami Shana cienki głos Liyi. Dziewczyna odwróciła się, uklękła na jedno kolano i unióśszy do oczu swą poobijaną lornetkę, zaczęła przepatrywać teren na południu, jakby spodziewała się zobaczyć kogoś na stoku ponad Zhoką. Po chwili wstała i westchnęła. - Dwa miesiące temu jakiś człowiek rozwinął tybetańską flagę przed sztabem wojska w Lhasie - powiedziała. - Helikopter Urzędu Bezpieczeństwa poleciał z nim w góry, a kiedy wrócił, tego człowieka nie było na pokładzie. Tak właśnie załatwiają się z elementami niewygodnymi politycznie. Nie zwracają sobie głowy urządzaniem procesów dla takich jak Surya. On jest... - Głos uwiązał jej w gardle.

Jest kim? pomyślał Shan. Znał Suryę jako mnicha, malarza, starego Tybetańczyka o radosnym, pogodnym uśmiechu podobnym do tego, jaki często gościł na twarzy Genduna. Ale sam Surya nazwał się zabójcą.

- On sprawiał wrażenie, jakby czekał na tych żołnierzy - zauważył. - Jak gdyby się ich spodziewał. - Stary mnich pobiegł do wieży, zamazał jakiś napis pod starym malowidłem i czekał na helikopter. Ale nawet jeżeli popełniono morderstwo, wojsko nie mogło o tym wiedzieć.

Liya otarła łzę z policzka.

- To moja wina. Powiedziałam tym obcym o święcie i dotarło to do żołnierzy. Ruszyli na poszukiwania i odkryli jednego z naszych nielegalnych mnichów.

Jednak Shan wcale nie był tego pewien. Żołnierze wprawdzie się pojawili, ale nie zwracali uwagi na Genduna, nie zwracali uwagi na nielegalne obchody, na uciekających Tybetańczyków. Surya istotnie zachowywał się tak, jakby się ich spodziewał, a oni jego. Malarz pustelnik, który nie wiedział nic o zewnętrznym świecie, który od dzieciństwa nie opuszczał Yerpy, nie widział współczesnych maszyn, żołnierzy, karabinów, ani nawet Chińczyków, dopóki Shan nie przybył tam przed rokiem - ktoś taki pozwolił chińskim żołnierzom zabrać się do helikoptera.

- Oni nie zabrali go dlatego, że jest mnichem - stwierdził Shan. - Nie miał na sobie bordowej szaty.

Liya spojrzała na niego z bólem w oczach, jakby jego słowa pogłębiły jej rozpacz. Przyglądała się jej przez chwilę.

- Kiedy ten pasterz chciał mnie wydać dla nagrody, co miałaś na myśli, mówiąc, że jestem pod ochroną twojego klanu? - Nic nie wiedział o jej rodzinie.

- Ludzi z tych wzgórz wiele łączy - odparła zduszonym głosem.

Shan przypomniał sobie, jak czasem z udręczonym, tęsknym wyrazem twarzy wpatrywała się w odległe góry, uświadomił sobie, że prawie nic o niej nie wie.

- Byłaś w tunelach Zhoki? - zapytał. Ale ona już wracała do starej wieży.

Kiedy ją dogonił, stała obok Lokesha, patrząc na malowidła.

- Próbowałam pomówić z Suryą, kiedy biegł tutaj - powiedziała. - Mówił coś do Genduna, podał mu coś, ale ze mną nie chciał rozmawiać. Prosiłam go, żeby zawrócił, przypominałam mu o wszystkich ludziach, którzy go teraz potrzebują. - Jej głos był cichy i drżący, jak gdyby starała się powstrzymać napływające do oczu łzy. Oboje spojrzeli tam, gdzie patrzył Lokesh, w głąb pomieszczenia, na klęczącego Genduna, który przyglądał się malowidłu. - Ale w końcu przystanął, położył mi dłoń na ramieniu i potrząsnął mną, mówiąc, że jeśli mamy ocalić Zhokę, musimy poszukać schronienia.

Shan znów spojrzał na kobietę. Mówiła tak, jakby ona i Surya byli sobie bliscy, jak gdyby gdzieś poza pustelnią byli ludzie, którzy potrzebowali Suryi. Odwrócił się i spojrzał na gruzy starej gompy.

- W Zhoce są tylko ruiny.

Liya przeniosła wzrok za jego spojrzeniem.

- Nie dla niego.

- Nie dla tych, którzy są w schronieniu - odezwał się Lokesh za plecami Shana. Odwracając się ku przyjacielowi, Shan pojął słowa Suryi. Lama nie mówił, że muszą się ukryć. Miał na myśli święte schronienie buddyjskich rytuałów, miejsce oświecenia.

- Surya wspominał mi o należącym do Zhoki siedlisku mocy, które znalazł na szczycie wzgórza - oświadczył nagle Lokesh. - To musiało być tutaj. - Położył dłoń na kamieniu leżącym przy nisko sklepionym wejściu do pomieszczenia, przyglądając się pokrywającym go plamom porostów, wypatrując, jak wiedział Shan, religijnych symboli, które można nieraz dostrzec w stworzonych przez naturę formach. - Surya mówił mi, że zawsze szukał tych, o których nikt nie pamięta, jak gdyby jego zadaniem było przywracać je do życia.

Shan jeszcze raz rozejrzył się dookoła i uświadomił sobie, że Lokesh ma rację. Dolne pomieszczenie wieży, naturalna wnęka skalna, było osłonięte od północy, a od południa otwierało się na rozległą panoramę okrytych śniegiem gór. Trzydzieści metrów niżej, przy źródle wypływającym ze zbocza, rósł potargany wiatrem, ale krzepki jałowiec. Lokesh znów spojrzał na plamy porostów, wodząc palcem po wzorze przypominającym koło.

- On mówił, że tu są bóstwa, które trzeba wydobyć.

- Ktoś umarł w jednej z sal pod ruinami. - Shan opowiedział, co znalazł w tunelach pod Zhoką.

- W małej salce z malowidłem - szepnęła Liya.

- Znasz to miejsce? - zapytał Shan.

Liya zamknęła oczy, jakby w niemym żalu.

- Ktoś zginął - powiedziała, nie otwierając oczu. - Surya uważał, że to jego wina. Spalił swoją szatę. - Mówiła wolno, niczym ktoś, kto stara się poprawnie odtworzyć sekwencję wydarzeń. - Potem przyszedł tu, do tego starego malowidła.

- Dlatego - dodał Shan, równie powoli - że nie zamierzał szukać ratunku dla siebie. Zależało mu tylko na ratowaniu Zhoki.

Lokesh wpatrywał się w cienie wśród skał.

- Z takich miejsc wysyła się wieści do bogów. Myślę, że Surya, który nosił mnisią szatę, mógłby przyjść tutaj, gdyby uznał, że jego przyjaciele są w niebezpieczeństwie - powiedział niepewnie. Nikt z nich nie znał Suryi, który zrzucił swoją szatę.

Shan podszedł do Genduna, który w skupieniu oglądał stare malowidło, wodząc ręką centymetr nad jego powierzchnią, jakby patrzył na nie poprzez dłoń.

- Nie poznaję tej postaci - odezwał się Shan. - To Tara, ale nigdy dotąd nie widziałem jej w tej formie.

- Nawet w dawnych czasach nieczęsto się ją widywało - wyjaśnił Gendun. - To jedna z ośmiu postaci Świętej Matki chroniących przed lękami i demonami. Kudri Padra. Surya próbował ją przebudzić.

Shan spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc.

Lokesh przeszedł z jednej strony malowidła na drugą, wpatrując się w nie tak, jakby dopiero teraz zobaczył je naprawdę, po czym pokiwał głową.

- To Tara Pogromczyni Złodziei - powiedział zaskoczony. Gendun, nie odrywając wzroku od malowidła, powoli skinął głową.

- Wszystko poszło nie tak - wtrąciła gorzko Liya. - To katastrofa. Miną lata, zanim znowu będziemy mogli spróbować.

- Była z nami mała dziewczynka - przypomniał jej Shan, wciąż przyglądając się Gendunowi. Lama zamknął się w sobie jak podczas medytacji, ale Shan wiedział, że tym razem nie osiągnął spokoju ducha. - Nauczyła się świętować, rzucając mąkę. Nauczyła się słuchać gardłowego śpiewu.

Liya skrzywiła się.

- Nauczyła się uciekać przed żołnierzami - dodała głucho. - A teraz straciliśmy jednego z naszych gardłowych śpiewaków. Wiesz, jak niewielu pozostało ludzi szkolonych w dawnych sposobach śpiewania, ludzi, którzy uczyli się bezpośrednio od łamów pamiętających jeszcze dziewiętnasty wiek? To niemal wymarły gatunek. W Tybecie jest więcej panter śnieżnych niż takich ludzi. Kiedy ci żołnierze skończą swoją robotę, nie będzie już ani jednego.

- Ta dziewczynka pytała o dusze i odpowiedział jej strach - odezwał się Lokesh. - Uciekła jak spłoszona antylo pa. - Spojrzał na południe, w stronę nieprzebranych gór ciągnących się pasmo za pasmem aż po horyzont, i znów odwrócił się do Shana. - On nie tylko rozmawiał z Tarą. Przez chwilę słyszałem, jak się modli, błagając obrońców o wybaczenie.

Nagle Shan przypomniał sobie dziewięciogłowe bóstwo o wydłubanych oczach, które widział w sali z kałużą krwi. Surya prosił o przebaczenie, jakby odpowiadał za to, że zostało oślepienie.

- Surya nie mógł zabić - powiedziała Liya niemalże ze szlochem. - Rozmawiałam z nim przedwczoraj wieczorem. Dał mi modlitwy, które miały mnie chronić, kiedy jeżdżę konno nocami. Może wszedł w te tunele i uderzył się w głowę. Może wyobraził sobie... Ale ta krew, cała ta krew... To niemożliwe! On jest naszym mnichem.

Jej dziwny monolog wyrwał Genduna z zamyślenia. Przez chwilę patrzył na nią z wyrazem twarzy, którego Shan nigdy wcześniej u niego nie widział: smutnym, bolesnym i zakłopotanym, po czym wyszedł i stanął na półce, skąd roztaczał się widok na Zhokę.

Shan znów spojrzał na Liyę. Żadne z nich nie umiało wyjaśnić, skąd wzięła się ta kałuża krwi. A Dawa, godzinę po dziwnych słowach Suryi „Tu zostaniesz przygwożdżony do ziemi”, widziała człowieka przebitego gwoździem.

- Przedwczoraj wieczorem Suryi nie było przy czortenie - zauważył Shan. - Gdzie go widziałaś? - Liya odwróciła od niego wzrok i spojrzała na Genduna. - Kto jeszcze był na wzgórzach? - naciskał. - Zeszłej nocy spotkałaś obcych. Kogo spotkałaś noc wcześniej? - Podszedł do dziewczyny i stanął tuż za jej plecami. - Jara wspomniał, że są ludzie gotowi zabić za jedno słowo. Nie chciał go wymówić. Jakie to słowo?

Liya gwałtownie obróciła się ku niemu, zaciskając zęby, jakby obawiała się odezwać, po czym cofnęła się i odeszła.

Shan, zaczekawszy, aż Gendun usadowi się na skalnym występie, podszedł doń i usiadł metr dalej. Przyglądał się obłokom płynącym z wiatrem na zachód. Uświadomił sobie, że nie patrzy na Zhokę, ale dalej, w stronę Yerpy. W starej pustelni była mała, wygodnie urządzona cela z poduszkami i kocami wyciągniętymi z wiekowych składów, w której spędził najpogodniejsze miesiące swego życia. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek tam wróci.

Przez kwadrans siedzieli w milczeniu, podczas gdy na stoku Liya i Lokesh zbierali przedmioty porzucone przez ludzi ze wzgórz. Gendun nie poruszał się, nie recytował mantry, nie sięgnął po małą, swój różaniec, tylko złożył razem dłonie grzbietem w dół i uniośł środkowe palce, przyciskając je do siebie. Była to mudra „diament umysłu”, symbolizująca skupienie, poszukiwanie istoty rzeczy. Między nimi przysiadł na skale mały niebieski motyl. Shan przyglądał się, jak lama unosi powieki. Jego oczy odnalazły motyla, potem Shana.

- Chcesz zapytać, co on mi dał - odezwał się cicho. Podał Shanowi wymięty skrawek szarego muślinu oddarty od spodniej szaty. - Powiedział, żebym powtórzył to dziesięć tysięcy razy, żeby nie mógł wrócić.

Shan przyjrzał się nagryzmołonym na tkaninie słowom. *OM AMRTA HUM PHAT*, przeczytał, poznając mantrę używaną do przepędzania złośliwych demonów.

- Żeby kto nie mógł wrócić? - zapytał.

- On sam - westchnął Gendun. - Surya. - Spojrzał uważnie na Shana. W oczach lamy malował się głęboki smutek i niepewność. - Nie mogę dostrzec równowagi w tym, co się dzisiaj zdarzyło - powiedział. - Coś zdruzgotało bóstwo Suryi.

Shan przypomniał sobie figurkę, którą znaleźli u Atso. Motyl przeszedł po skale na skraj urwiska i zatrzymał się, jakby patrzył na leżące w dole ruiny.

Gendun spojrzał tam, gdzie owad.

- To jedna z najstarszych świątyń w całym Tybecie. Zanim ją zbudowano, demony bez przeszkód chodziły po świecie. Ludzie zapomnieli o tym. Ludzie zapominają o tym, co ważne.

- Myślałem, że Zhoka słynęła z artystów.

- Co jest zadaniem artystów? Przywoływanie bóstw. Demona może pokonać jedynie bóstwo. Tak rodzą się nasi artyści.

Shan spojrział na ruiny. Tak właśnie wyglądała większość jego rozmów z lamą: krótkie zdania przerywające długie okresy milczenia, które dla Genduna były ważniejsze niż słowa.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli Surya kogoś zabił, to tyłk demona?

Gendun znów skierował wzrok na motyla. Kiedy po długi chwili się odezwał, mówił do delikatnego stworzonka.

- Demon tkwił w zabójstwie - powiedział. - Zabójstwo jest tym samym czynem dla zabójcy i dla zabitego. Jedynie wpływa na nich w różny sposób.

- Czy zawsze wiedziałeś o Zhoce, rinpocze? - zapyta! Shan.

- Nie - rzekł Gendun i lekko skłonił głowę, jakby w pol chwale dla trafności tego pytania. Przez dziesiątki lat mnisi z Yerpy nie ważyli się oddalać od swej pustelni więcej niż ni półtora kilometra. - Niegdyś w Lhadrung było wiele gompj teraz jest wiele ruin. Nie wiedzieliśmy, jak bardzo Zhoki różniła się od innych. To był sekret, chroniony przed resztą świata, i nie bez przyczyny. Ale Surya w jednej z jaskiń wyjął soko w górach znalazł starą księgę owiniętą w futro jak na sen zimowy. Był podekscytowany. Księga wyjaśniała, co tu się działo. - Pochylił się nad motylem. - Zhoka sprawiała, że trzęsła się ziemia - szepnął do kruchego stworzonka.

Shan oparł się nagłej chęci, by spojrzeć na starego lamę przypatrzeć się jego twarzy. Gendun nie miał wielkiego zaufania do słów, uważał, że choć czasem prowadzą do prawdy równie często od niej odwodzą. Nigdy nie usiłował sprowadzić do słów całej istoty myśli, osoby czy miejsca, gdyż wiedział że słowa nie mogą wyrazić tego, co najważniejsze. Ale teraz słowami wyjawiał coś, czego Shan nie pojmował wcześniej pustelnicy nie wybrali Zhoki po prostu dlatego, że było to dogodne miejsce spotkań z mieszkańcami wzgórz, ani nawet dlatego, że była zniszczoną gompą.

Gendun zbliżył do motyla wyprostowany palec, a owad wszedł na niego.

- Mała Dawa rzuciła w przepaść twój worek - powiedział lama z westchnieniem. - Przykro mi z powodu twoich wróż żebnych patyczków. Miałeś je po ojcu.

- Staram się nie przywiązywać do dóbr materialnych - ody parł zduszonym głosem Shan.

Gendun uśmiechnął się smutno.

- One nie były dla ciebie zwykłym przedmiotem. Były iskrą twojego ojca, i jego ojca, i ojca jego ojca. Budziły w tobie duchy przodków.

Shan poczuł nagły ból w sercu. Niejeden raz zwierzał się (jendunowi i Lokeshowi, że czasem, gdy rzuca stare, pokryte laką łodyżki krwawnika, by wylosować ustępy z *Tao Te Ching*, ma wrażenie, że ojciec jest przy nim, a nawet wyczuwał woń imbiru, który zwykł był nosić w kieszeniach.

- To tylko stare patyczki - powiedział słabym głosem. Gendun szepnął coś do motyla, a ten odleciał w stronę Zhoki, jakby spieszył z jakimś zadaniem. Patrzyli za nim, póki nie zniknął w oddali. Wreszcie Shan podniósł się i wyciągnął rękę do Genduna.

- Podniebna maszyna - powiedział lama, wstając. - Porwała go jedna z tych podniebnych maszyn. - Uniósł rękę, wyciągając palce, po czym wolno zamknął dłoń, jak gdyby sięgał po coś niewidzialnego dla wszystkich poza nim. - Zeszłej wiosny na północy rozmawiałem z pasterką, która tak straciła męża. Codziennie siadała na wzgórzu z różańcem w dłoni, wpatrując się w niebo, bo uważała, że w każdej chwili może powrócić z chmur. - Shan spojrział na lamę. Poraziło go to, co zobaczył: po policzku Genduna spływała łza. - Surya. - Wypowiedział to imię jak modlitwę.

Z tyłu rozległ się stłumiony jęk. Shan odwrócił się i zobaczył, że siedzi za nimi Lokesh. Jeszcze nigdy nie widział, żeby przyjaciel tak pobałdł. Stary Tybetańczyk także spostrzegł tę łzę i przyglądał się jej z mieszaniną rozpacz i czci, gdy zawisała na podbródku Genduna.

- Przez ponad czterdzieści lat Surya i ja modliliśmy się razem - ciągnął Gendun. - Kiedy byliśmy nowicjuszami, musieliśmy wstawać dwie godziny przed świtem, żeby zapalić lampy w całej pustelni, i przez te wszystkie lata nigdy nie przestaliśmy tego robić, nigdy nie poprosiliśmy nowicjuszy, żeby przejęli ten obowiązek. A teraz mam się modlić, żeby trzymał się od nas z dala. Nigdy wcześniej nie znałem nikogo, kto potrafiłby wziąć kawałek płótna, trochę farby i... - Spojrział na wieżę, której wewnątrz zdołały pełne życia malowidła, i na chwilę zamknął oczy. - W jednym z pism, które znalazł Surya, jakiś żyjący trzysta lat temu lama powiedział, że artyści z Zhoki szerzą ogień ducha.

- Żołnierze mogą wrócić - niespokojnie wtrąciła stojąca za ich plecami Liya. Znowu obserwowała wzgórze przez lornetkę. - Teraz już wiedzą o tym miejscu.

Jednak Shan zdawał sobie sprawę, że żołnierze nie dowiedzieli się o nim dopiero teraz. Przybyli tutaj, do kamiennej wieży, nie do Zhoki, gdzie obchodzono nielegalne święto. Zachowywali się tak, jakby właśnie wieża była ich celem. Wyglądało na to, że ktoś odwołał

ich ze wzgórz i skierował tutaj. Leca skoro już wiedzieli o wieży, dlaczego jej nie zniszczyli? W tej części kraju wojskowe patrole często miały ze sobą czarną farbę w sprayu, żeby niszczyć wszelkie religijne malowidła, na jakie się natknęły, albo woziły materiały wybuchowe, żeby burzyć budowle kultowe. Shan przypomniał sobie, jak tuż przed pochwyleniem Suryi dowódca żołnierzy z helikoptera zawahał się, trzymając dłoń przy uchu. Odbierał instrukcje przez radio, prawdopodobnie od kogoś siedzącego w kabinie pilota, kogoś, kto - nie do wiary - poszukiwał Suryi.

- Musimy pójść w góry - oświadczyła Liya. - W Zhoce zbyt wiele by nam teraz groziło. A ty nie możesz iść do miasta, Shan. W dolinie jest niebezpiecznie.

W dolinie, wiedział Shan, patrole będą skrupulatnie sprawdzać dowody tożsamości. Shan nie miał żadnych dokumentów, nie miał prawa przebywać poza obozem pracy, za jego głowę wyznaczono nagrodę. Lokesh wstał i spojrzał na słońce, które wisiało nisko nad horyzontem, potem w stronę gór na południu. Na sąsiednim wzgórzu Jara kuśtykał na skróconej nodze. Lokesh zerknął na Shana, który skinął głową, starając się, żeby jego twarz nie zdradziła niepokoju.

- Dziewczynka - powiedział Lokesh. Nie odezwałeś się więcej, ruszył ścieżką na południe, gdzie po raz ostatni widzieli Dawę.

Gendun spojrzał na Liyę.

- Czy można by załatwić dwa koce? I trochę jedzenia oraz wody?

- Zabierzemy cię tam, gdzie są zapasy. To niedaleko stąd - odparła kobieta. - Możesz tam spać.

- Nie chodzi o mnie. To dla Shana. On idzie na odosobnienie.

Liya uśmiechnęła się sztywno, jak gdyby lama powiedział kiepski dowcip.

- Rinpocze - błagalnie odezwał się Shan.

Między nim a Gendunem nigdy nie było żadnych tarć, żadnych murów, poza tym jednym. Doświadczył tego wielokrotnie, za każdym razem boleśniej niż poprzednio. Zdaniem Genduna nic nie miało prawa zakłócić zaplanowanego odosobnienia Shana, nic nie było warte tego, by Shan zaniedbał swoje bóstwo. Ale dla Shana istniało coś niepomiernie ważniejszego, bez względu na to, jak niewzruszenie sprzeciwiał się temu Gendun. Nieważne, jak zagrożone było zdrowie jego własnego bóstwa, dla Shana ochrona starych łamów zawsze stała na pierwszym miejscu.

- Nie pozwól, żeby to cię oddzielało, Shan - powiedział Gendun. Shan wiedział, że lama nie ma na myśli wydarzeń tego dnia, ale to, co oddalało go od własnego bóstwa. Zdaniem Genduna cień dawnego życia Shana, wysokiego rangą ministerialnego inspektora,

nie odstępował go niczym zazdrosny duch, zachęcając, żeby zajmował się nieistotnymi sprawami, uparcie doszukiwał się w nich logiki, przyczyn i skutków, które Gendun uważał za pułapki odwodzące od duchowego przebudzenia.

- Rinpocze, jutro rano Liya musi cię odprowadzić do pustelni - powiedział Shan. Pożałował tych słów, gdy tylko opuściły jego usta. Zabrzmiały jak żądanie.

- Jutro o świcie będę przy nowym czortenie - odparł Gendun. - I pojutrze o świcie także. Trzeba wypowiedzieć pewne słowa. Przez wszystkie te lata nikt nie oddał temu miejscu należnej czci.

- Nie rozumiem - powiedział Shan, wpatrując się w starą twarz wygładzoną przez czas jak otoczek.

- Miał tu zostać Surya. Teraz ja się tego podejmę.

- Zostaniesz w ruinach?

- W gompie - odparł Gendun, jak gdyby klasztor wciąż stał.

- Tam ktoś zginął.

- O tak, setki ludzi.

- To chyba może zaczekać.

- Nie może. Tak samo jak twoje odosobnienie. Shan spojrzał na Zhokę. Lokesh twierdził, że to miejsce cudów. Ale Shan był pewny tylko tego, że przyszła tam śmierć że kryje się ona wśród ruin, a wraz z nią mroczne sekrety które ją sprowadziły.

- Obiecuj mi, Shan - odezwał się lama. Udręka, która znów pojawiła się w jego oczach, dźgnęła Shana jak nóż.

- Gdybym mógł to wszystko przewidzieć - szepnął Shaif ze ściśniętym sercem - gdybym tylko wiedział, zostałbym w obozie. - Czuł się za to odpowiedzialny. Kiedy zamykał oczy, widział drogę, którą przebył, drzwi, które były zamknięte, dopóki nie przybył do Yerpy. To właśnie on wprowadził Genduna w zewnętrzny świat, to on otworzył mu oczy na współczesny Tybet, to on ukazał mu, a poprzez niego i Suryi, czym są obozy pracy i żołnierze.

Gendun mocniej zasznurował sfatygowane robocze buty; które nosił pod mnisią szatą.

- Gdybym wiedział o tym wszystkim wcześniej - rzekła uśmiechając się łagodnie - przyszedłbym tu już wiele lat tej mu. - Wyprostował się i ruszył w stronę Zhoki.

- Shan, oni cię aresztują! - zawołała Liya. - Proszę, nie rób tego! Jeśli pójdziesz do miasta, już nigdy cię nie zobaczymy, wiem o tym! - Gdy Shan bez słowa odwzajemnił jej wyczekujące spojrzenie, westchnęła i ruszyła za lamą.

Został sam na smaganej wiatrem grani, rozpaczliwie usiłując pojąć, co się kryje za wydarzeniami tego dnia. Nagle jego palce natrafiły na zakrwawiony krążek, który znalazł w podziemiach. Wyciągnął go z kieszeni, wytarł o trawę i podniósł do oczu, żeby mu się przyjrzeć w gasnącym świetle dnia. Był ciężki, jak z metalu, choć powleczony czerwonym plastikiem. Na obrzeżu w równych odstępach rozmieszczono zielone prążki. Pośrodku widniało dzikie żółte oko. Wpatrywał się w nil przez długi czas, zanim dotarło do niego, co znaczą otaczające je angielskie słowa. Kasyno „Samotny Wilk”. Reno, Nevada.

ROZDZIAŁ TRZECI

Noce w Tybecie są polami bitwy dla duszy. Shan nieraz widział dzielnych młodych mężczyzn wpatrujących się w czarny bezkres nieba i wybuchających płaczem. Lamowie poddawali nowicjuszy próbie, każąc im godzinami siedzieć pod gwiazdami często przy zwłokach wystawionych na podniebny pochówek. Spośród wszystkich krain świata jedynie tu, w najwyższej z nich wszystkich, nocą niebo jest tak ciemne, gwiazdy tak liczne, ludzka znikomość tak dojmująco odczuwalna.

Gdy był w obozie pracy, współwięźniowie usunęli fragment blaszanego dachu baraku. Przesunęli pod otwór jedną z prycz i na zmianę kładli się tam, patrząc w gwiazdy. Zgorzkniały młody Tybetańczyk, dealer narkotyków z Lhasy, drwił z tego powodu ze starszych więźniów. Mówił, że rozumie, iż można się narażać na bicie i wydłużenie wyroku, próbując ucieczki za druty, ale nie głupiej ucieczki do gwiazd. Po paru miesiącach sam zaczął czekać w kolejce do pryczy. Nawet teraz gwiazdy kojarzyły się Shanowi z wolnością i kiedy coś go gnębiło, przyglądał się im całymi godzinami, czasami do nich mówiąc, czasami wypatrując migoczących pośród nich dusz swoich zmarłych rodziców.

Ale tej nocy niebo go dręczyło. Co jakiś czas zdawało mu się, że słyszy dobiegający stamtąd krzyk, i ciarki przechodziły mu wtedy po plecach. Miał wrażenie, że czerń tej nocy jest inna niż zwykle, że to straszliwa ciemność tuneli Zhoki, która uwolniła się spod ziemi i teraz go prześladowuje.

Tuż przed północą chmury przesłoniły niebo, zaciemniając je tak, że nie miał odwagi schodzić dalej karkołomną ścieżką. Usiadł pod skałą i zapadł w niespokojny sen, z którego przebudził się zmarznięty i rozdygotany. W koszmarnej wizji zobaczył zatłuczonego na śmierć Genduna leżącego we krwi w podziemiach Zhoki.

Gdy chmury wreszcie odpłynęły, wszedł księżyc w kwał drze i Shan bez trudu odnalazł drogę przez strome wzgórze! Kiedy dotarł na grzbiet ostatniego, opadającego ku

samej dolinie, niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać zapowiedzią świtu. W oddali, wciąż jeszcze wiele kilometrów przed sobą widział pomarańczową poświatę latarni na ulicach Lhadrung. Już ruszył w dół ku celowi swej wędrówki, lecz nagle się zatrzymał. W powietrzu unosiła się ledwie uchwytna woń drzewnego dymu.

Shan poszedł ostrożnie wzdłuż grzbietu. Po stu metrach usłyszał beczenie jagnięcia. W dole, w łagodnym zagłębieniu terenu, dostrzegł niewyraźny zarys domu i jakichś dwóch małych budynków. Pod ścianą jednego z nich piętrzyła się sterta siana. Podeszedł bliżej. Był trzydzieści metrów od domu, gdy zaczął szczeekać pies. Nikt nie wyszedł, choć przez uchylone drzwi domu widać było blade światło, prawdopodobnie pojedynczej lampki maślanej. Znowu zabeczało jagnię, potem drugie. Pies, niewidoczny w ciemnościach, warczał teraz, ale się nie pokazał. Shan wycofał się wolno na grzbiet wzgórza i znowu ruszył ku Lhadrung.

Biegł truchtem wśród długich porannych cieni kładących się na gruntowej drodze wiodącej do miasta z gór, co kilki minut przystając pod osłoną zarośli, żeby rozejrzeć się po dołku. Na niebie nie było ani śladu helikopterów, nie dostrzegaj też kłębow pyłu wzbijanych przez patrolujące dolinę wojskowi ciężarówki. Na skraju miasta wmieszał się między Tybetańczyków ciągnących z towarami na targ. Wraz z nimi dotarł na plac targowy, po czym dał nura w otaczający go labirynt wąskich, ciemnych uliczek.

Shan słyszał opowieści o Lhadrung sprzed pięćdziesięciu laty, kiedy było to kwitnące tybetańskie miasteczko. Mała proste domki, każdy z własnym podwórkiem i własną maleńką kapliczką, skupiały się wokół niewielkiej gompy służącej ludziom z centralnej doliny. Gdy dotarła tu Armia Ludowo Wyzwoleńcza, zdziesiątkowana i pałająca żądzą zemsty po miesiącach walk z partyzantami, mieszkańcy spodziewali się, że gompa zostanie zniszczona, jak stało się z innymi w całym Tybecie. Armia jednak zrównała z ziemią nie tylko gompe, ale niemal całe miasteczko, najpierw bombardując je z powietrza, otem dopełniając dzieła szychaczami. Chińskie miasto, które wyrosło na jego miejscu, straszło postawionymi pod sznurek nijakimi szarymi domami, nad którymi górowało czterokondygnacyjne gmaszysko - siedziba władz okręgu.

Odkąd Shan opuścił obóz, unikał tego miejsca, nieliczne wizyty w mieście ograniczając do targowiska w jego wschodniej części. Budynek władz okręgu wyglądał teraz inaczej niż przed rokiem, kiedy to wyszedł z niego, niespodziewanie odzyskawszy wolność. Front, ale tylko front, został pomalowany na śnieżnobiało, co zdawało się jedynie podkreślać brudną szarość pozostałych ścian. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby oczyścić zachlapaną farbą szyby. Na parterze jednak wszystkie okna, po obu stronach metalowych drzwi wejściowych,

zostały oklejone od wewnątrz plakatami, jakie można zobaczyć w miejscach publicznych w całych Chinach. Na jednym z nich uśmiechnięte młode Chinki ze wstążkami we włosach jechały przez pola bawełny na traktorach z powiewającą czerwoną flagą Chińskiej Republiki Ludowej. Na innym, upamiętniającym dawnych bohaterów, starsza kobieta z karabinem na ramieniu spoglądała na pasmo gór. Nowy betonowy postument tuż przy wejściu dźwigał pozlepiane z odłamków marmuru popiersie Mao w młodym, radośnie uśmiechniętym wydaniu, jakie cieszyło się ostatnio popularnością w kręgach partyjnych. Po obu stronach drzwi posadzono dwa drzewa, sądząc z pokroju, miłorzęby. Oba już uschły, co stanowiło gorzki symbol wysiłków Pekinu, żeby zaszczerpić chińszczyznę w świecie, w którym nie mogła się ukorzenieć. Obok jednego z martwych drzew pod ścianą budynku siedziało troje żebraków. Zdumiony tym widokiem Shan przemknął się skrajem małego placzyku przed gmachem, przyglądając się tym trzem postaciom. Tu nie miało prawa być żebraków. Pułkownik Tan nie tolerował żebrania, a już na pewno nie przed siedzibą władz okręgu.

Stanął w cieniu wejścia do zamkniętej restauracji i uważnie się rozejrzał. W wąskiej uliczce z boku budynku stały zaparkowane dwa samochody. Jeden z nich, czarna, co najmniej dwudziestoletnia limuzyna marki Czerwony Sztandar, wyglądała na pojazd należący do pułkownika Tana. Przed limuzyną stał srebrny sedan, najnowszy model japońskiej produkcji. Ponowi nie przeniósł wzrok na żebraków. Dwóch z nich, mężczyzna którego twarzy nie mógł dostrzec pod naciągniętym na głowę workowym płótnem, oraz jego sąsiad, owinięty w wyświechtany koc, siedziało z głowami pochylonymi ku suchej, spękanej ziemi. Towarzysząca im stara żebraczka z bielmem na lewym oku stukała kijem o tradycyjną metalową miseczkę jałmużni niczą. Na skraju placu gromadka Tybetańczyków skupiła się przy ciężarówce, ze zdziwieniem obserwując tę trójkę. Nie byli przyzwyczajeni do widoku żebraków. Nauki buddyjskie nakazywały im dawać jałmużnę. Nauki państwa stanowczo tego zakazywały.

Shan przyglądał się tej scenie z narastającym niepokojem! Pora była jeszcze wczesna. W gmachu władz okręgu panowała cisza, jakby nikogo w nim nie było. Spojrzał na okna na najwyższym piętrze, gdzie pracowali wysocy rangą urzędnicy. Zasłony w kilku gabinetach były zaciągnięte. Nie mógł dostrzec żadnego ruchu.

Przecnicę dalej pojawili się dwaj mężczyźni w szarych; mundurach, z przewieszonymi przez ramię karabinami. Kolejny nowy element życia w Lhadrung. Shan wcisnął się głębiej w cień i obserwował ich, daremnie szarpiąc klamkę drzwi restauracji i rozglądając się za kryjówką na wypadek, gdyby podeszli bliżej. Tuż przed placem żołnierze skręcili za róg i zniknęli w bocznej ulicy. Chwilę później jeden ze stojących przy ciężarówce

Tybetańczyków podszedł niepewnie do starej żebraczki, klęknął obok niej i zaczął coś nagląco szeptać. Wskazał ulicę po przeciwnej stronie placu niż ta, w której zniknął patrol, i spróbował postawić kobietę na nogi.

Nagle otworzyły się gwałtownie frontowe drzwi gmachu i wypadło z nich dwóch mężczyzn. Człowiek klęczący obok żej braczki zmarł. Z pobladłą twarzą wstał, odwrócił się plecami do drzwi i odszedł sztywnym krokiem.

Mężczyźni, którzy ukazali się na schodach, byli Chińczykami wyglądającymi na ważnych urzędników państwowych. Jeden z nich, wysoki elegancki trzydziestolatek w starannie sprasowanych czarnych spodniach, niebieskiej koszuli i czerwonym krawacie, wyciągnął z teczki gruby rulon, zapewne mapę i zaczął coś pospiesznie mówić, rozwijając go w plamie słonecznego światła na niskim murku pod popiersiem Mao. Niższy, o jakieś dziesięć lat starszy od niego mężczyzna w brązowym bezrękawniku na białej koszuli, bez krawata, o przydługich, rozczochranych, przyprószonej siwizną włosach, które zasłaniały mu uszy, wskazał srebrnym piórem jakiś punkt na mapie i powiedział coś, patrząc pytająco na towarzysza. Nie na mapie, poprawił się zaskoczony Shan, gdy młodszy mężczyzna podniósł ten przedmiot z murka. To była thanka, tradycyjne tybetańskie malowidło na tkaninie, i to stara, sądząc po spłowiałych barwach.

Starszy mężczyzna zdawał się słuchać towarzysza z kiepsko maskowanym zniecierpliwieniem i sprawiał wrażenie, jakby właśnie miał mu przerwać, kiedy z budynku wyszła jakaś kobieta, cudzoziemka o kręconych rudawych włosach, i przyłączyła się do nich. Raz po raz energicznie wskazywała thankę, jakby coś dobitnie tłumaczyła obu Chińczykom, po czym podniosła ją i odwróciwszy, pokazała im coś na odwrocie. Uciszyło to mężczyzn, którzy niechętnie pokiwali głową. Shan zrobił krok naprzód, żeby lepiej przyjrzeć się kobiecie. Mogła mieć trzydzieści parę lat. Ubrana była w niebieskie džinsy, białą bluzkę i elegancką brązową kurtkę do pasa. Coś wisiało jej na szyi na czarnym sznurku. Szło powiększające.

Wysoki mężczyzna powiedział parę słów, wzruszył ramionami, zrolował malowidło, wsadził je z powrotem do teczki i wrócił do gmachu. Po chwili to samo zrobił jego starszy towarzysz. Kobieta została na zewnątrz. Podeszła na skraj schodów i oparłszy dłoń na ramieniu Mao, wychyliła się, przyglądając się żebrakom. Przez jej twarz przemknął wyraz troski. Nawinęła na palec opadający na ramię pukiel włosów i powiedziała coś. Shan nie mógł dosłyszeć słów, ale mężczyzna w środku, ten zakutany w koc, uniósł wzrok, jakby ją zrozumiał. Czyżby mówiła po tybetańsku? Twarz żebraka była ukryta w cieniu, ale Shan odniósł wrażenie, że mężczyzna kręci głową, jakby w odpowiedzi. Kobieta zerknęła na drzwi

i zbiegła po schodach, sięgając do kieszeni kurtki. Wyciągnęła jabłko, rzuciła je na kolana żebraka, który siedział najbliżej wejścia, tego okrytego workiem, i pędem wróciła do budynku.

Chwilę później na niebie pojawił się helikopter. Leciał nisko i szybko nad centrum miasta ku północy, w kierunku obozu pracy na północnym krańcu doliny. Zniknął w mgnieniu oka, pozostawiając na placu martwą, trwożną ciszę. Gdw Shan znów spojrzął na żebraków, jabłko było w rękach tego owiniętego w koc.

Przeniósł wzrok na puste drzwi, potem znów na postaci pod ścianą. Mógłby przysiąc, że dwaj Chińczycy byli wysokimi urzędnikami państwowymi. Widzieli żebraków, a jednak nie zareagowali. Rozmawiali o tybetańskim malowidle, może nawet spierali się na jego temat. Potem pojawiła się ta kobieta i najwyraźniej rozstrzygnęła spór. Czyżby nie zajęli się żebrakami z uwagi na cudzoziemkę? Odczekał dziesięć minut po czym trzymając się skraju placu, zbliżył się do siedzącej trójki. Wrzucił jedyną monetę, jaką miał, do miseczki starej kobiety, która z wdzięcznością skinęła głową. Pozostali dwaj żebracy, których twarze wciąż nie mógł dojrzeć, pozornie nie zwracali na niego uwagi, lecz kiedy podszedł bliżej, mężczyzna z kocem na głowie wyciągnął przed siebie nogę, jak gdyby, chciał, żeby się o nią potknął. Shan ostrożnie przeszedł nad nogą, kucnął przy mężczyźnie w kapturze z worka i spojrzął w ocienioną twarz.

- Surya! - wykrzyknął zdumiony.

Mnich popatrzył na niego szklistymi oczyma, jakby go nie poznawał. Jedna strona jego twarzy była mocno posiniaczona. Prawą dłoń miał owiniętą zakrwawioną szmatą. Shan dotknął policzka mnicha. Surya jęknął i odsunął się.

- Myśleliśmy... Co się stało?! - wyrzucił z siebie Shan. - Zabrali cię do tego helikoptera...

Surya wpatrywał się tępo w swoją zabandażowaną dłoń. Pod workiem wciąż miał na sobie szarą muślinową szatę spodnią, podartą w kilku miejscach. Shan pociągnął go za ramię.

- Proszę. Gendun myśli, że... Surya nie dał się ruszyć.

Shan wstał i rozejrzał się po placu, zastanawiając się, gdzie może być teraz pieszy patrol. Po chwili schylił się i jeszcze raz spróbował odciągnąć stąd Suryę. - Oni myślą, że nie żyjesz.

- Surya nie żyje - odparł mnich. - Jego także zabito.

Shan zerknął na drzwi gmachu, a potem w głąb ulicy. Jeśli za jego głowę wyznaczono nagrodę, to zagrażali mu nie tylko żołnierze, ale i przechodnie.

- Nie możesz ich opuścić. Należysz do nich.

Obok Suryi usadowił się bezdomny pies z żebrami rysującymi się pod obwisłą skórą.

- Jedyne, co mógł jeszcze dla nich zrobić, to odejść - oświadczył starzec. - Wie o tym nawet to nikczemne stworzenie, którym się stał. - Jego głos brzmiał teraz inaczej. Był chropawy, zgrzytliwy i głuchy. W ogóle nie przypominał głosu pogodnego śpiewaka, którego Shan słuchał poprzedniego dnia. Głowa opadła mu na piersi, otworzyły się usta, a wynędzniała twarz przybrała nieprzytomny wyraz podobny do miny leżącego obok psa.

- Zajrzałem do dolnej gomy - szepnął Shan. - Nie było tam żadnych zwłok, tylko krew. Pomóż mi zrozumieć, co się stało.

Usta Suryi wykrzywił cierpki uśmiech. Górna warga przykleiła mu się do jednego z przednich zębów.

- On wiedział, co zrobił. Potem zobaczył mroczną plamę w swoim sercu. Choćbyś próbował to zmienić, Chińczyku, ten czyn pozostanie haniebny.

Chińczyku. Słowo to boleśnie ugodziło Shana. On i Surya byli przyjaciółmi, opowiadali sobie nawzajem o swym życiu, wspólnie pracowali, często śmiali się razem. Ale teraz Shan stał się po prostu jeszcze jednym Chińczykiem.

- Jeśli tu zostaniesz, zabiorą cię żołnierze. Znowu cię zabiorą - dodał, wciąż nie rozumiejąc, dlaczego Surya został uwolniony. - O co pytali na przesłuchaniu? Kim jest ta kobieta o rudych włosach?

- Oni wkrótce dostrzegą prawdę - powiedział Surya swoim nowym, zgrzytliwym głosem. Z warg zwisała mu strużka śliny. - Zrobią mu to, na co zasługują zabójcy i łamiący śluby. Do tego czasu będzie udawał, że żyje. Shan stłumił dreszcz. Dotknął zabandażowanej dłoni Suryi.

- Pozwól, że oczyszczę ci ranę.

Ale Surya odepchnął go i odpełził niczym krab za uschnięt drzewo, w cień rzucany przez schody gmachu władz okręgu.

Shan odszedł na przełaj przez plac i znów ukrył się w wejściu do restauracji. Zmagał się z falą emocji. Dwadzieścia cztery godziny temu Surya stał u progu swego nowego życia w Zhoce, gotów zmieniać świat. Świat jednak pochwycił i odmienił jego samego, Shana zaś opadły wyrzuty sumienia i zażenowanie, a przelotnie poczuł nawet odrazę do zgorzkniałej, apatycznej istoty, jaką stał się Surya.

Odczekał, aż na ulicach zacznie się poranny ruch. Mijały go poobijane ciężarówki z uszkodzonymi tłumikami, wózki ciągnięte przez wiekowe koniki, przeszedł stary człowiek z rzadką bródką pchający dwukołowy wózek z zieleniną. Wiatr od gór mieszał woń cebuli i

gnoju, prażonego jęczmienia i oleju napędowego. Wreszcie Shan ośmielił się wyjść z kryjówek i trzymając się w cieniu, zapuścił się w zaułki, kierując się na tyły siedziby władz okręgu. Okrążył gmach, raz po raz spoglądając ukradkiem na górne okna, aż dotarł do zaparkowanych w bocznej uliczce samochodów. W bieżniku opon srebrnego wozu tkwiły okruchy czerwonego żwiru, który z całą pewnością nie pochodził z ulic Lhadrung. Shan pochylił się nad jednym z kół, niejasno przypominając sobie, że gdzieś już widział takie czerwone kamyczki.

Nagle czyjaś silna dłoń chwyciła go za ramię i odciągnęła; w tył, do bramy po drugiej stronie uliczki. Nie udało mu się uwolnić, póki nie zatrzasnęły się za nim drzwi i napastnik go nie puścił. Znajdował się w kompletnych ciemnościach. Skulił się, osłaniając głowę rękoma. Nagle zamigotała i rozbłysła pojedyncza goła żarówka, oświetlając mały składzik z regałami pełnymi puszek oleju, koszy warzyw oraz worków ryżu i jęczmienia. Krótco ostrzyżony siwy mężczyzna o szczupłej, ostro zarysowanej twarzy wysunął krzesło spod zbitego z surowych desek stołu na środku pomieszczenia i oparł na nim nogę w wyglansowanym czarnym bucie.

- Myślałem, że nie żyjecie - warknął. - A przynajmniej, że zagrzebaliście się w jakiejś dziurze w górach i będziecie mieli dość rozsądku, żeby się z niej nie ruszać. - Miał na sobie prosty, starannie odprasowany mundur oficerski bez dystynkcji czy jakichkolwiek oznak rangi z wyjątkiem kieszeni na kurtce.

Shan wciągnął głęboko powietrze do płuc i odwzajemnił nieruchome spojrzenie mężczyzny.

- Wolałbym, żeby mnie tu nie było, towarzyszu pułkowniku - odparł łamiącym się głosem. - Ale tak to już jest.

Pułkownik Tan był zarządcą okręgu od wielu lat - od tak dawna, że jak zdawał sobie sprawę Shan, stracił już wszelką nadzieję na awans czy przeniesienie z tego zapadłego, ubożego zakątka Tybetu, co przyprawiało go o wściekłość i pogłębiało jego skłonność do okrucieństwa. Shan zacisnął zęby, zaskoczony gniewem, jaki wzbudziło w nim niespodziewane spotkanie z Tanem, a przy tym boleśnie świadomy, że jeden rozkaz pułkownika wystarczy, żeby znów znalazł się w obozie pracy.

- Macie nowych podwładnych - zauważył, ochłonawszy nieco. Swoje nieoficjalne zwolnienie z obozu przed rokiem zawdzięczał temu, że wykazał, iż za zamordowanie miejscowego prokuratora nie jest odpowiedzialny mnich, którego zatrzymano pod tym zarzutem, ale szajka miejscowych dygnitarzy.

- To tylko goście. Ostatnio dostaję wiele propozycji pomocy. Nikt nawet nie słyszał o Lhadrung, dopóki nie zrobiłem tego głupstwa, żeby was prosić o pomoc - odparł kwaśno Tan.

- Chcecie powiedzieć, że nikt nie wiedział, iż trzema z najważniejszych urzędów w tym okręgu kierowali handlarze narkotyków i mordercy?

Kącik ust Tana lekko się uniósł. Była to jedna z charakterystycznych min pułkownika, półuśmiech niewiele różniący się od grymasu gniewu.

- Zwrócono mi uwagę, że ktoś o gorszej reputacji zostałby złożony ze stanowiska i skompromitowany.

- Gratuluję. - Shan wiedział, że Tan spodziewa się wdzięczności, ale odkąd przed laty przywieziono go do Lhadrung, pułkownik nawet nie kiwnął palcem, żeby ukrócić brutalne traktowanie więźniów w jego dawnym obozie pracy. Tan wyglądał, jakby miał rzucić się przez stół i skoczyć mu do gardła.

- Wy nie istniejecie - syknął.

W lodowatej ciszy, która zapadła po tych słowach, Shan opadł na jedno z krzeseł przy stole, ani na chwilę nie odrywając oczu od Tana. Patrzył na niego jak na zwiniętego w kłębek węża. Słowa te były groźbą, przypomnieniem, jak łatwo byłoby sprawić, żeby Shan naprawdę przestał istnieć.

W końcu oderwał wzrok od zimnych oczu Tana i ostentacyjnie rozejrzał się po magazynie. Dlaczego Tan nie zabrał go do swojego biura? Czyżby chciał ukryć Shana, a może raczej to, że go zna?

- Przed gmachem władz okręgu siedzą żebracy - zauważył. - A przecież nie zezwalacie na zebranie.

Tan wyciągnął z kieszeni kurtki papierosa bez filtra, zapaha go i wypuścił w stronę Shana strumień dymu.

- Tym razem nie proszę was o pomoc - powiedział. - Chcę, żebyście się nie wtrącali.

Shan znów spojrział na niego, próbując ukryć zdziwienie.

- Jednego z nich zabrano ze wzgórz helikopterem. Nazywał się Surya. Został zatrzymany i zwolniony. Dlaczego?

- O tym, jak w tym okręgu są wykorzystywane środki państwowe, decyduję ja, a nie jakiś zdiecinniały Tybetańczyk bredzący o wymyślonych zbrodniach.

- Chcecie powiedzieć, że kolejne morderstwo w Lhadrung nie jest wam na rękę?

- On nie został aresztowany. Nie było żadnego morderstwa. To po prostu jeszcze jeden żaloszny Tybetańczyk, który potrzebuje pomocy. - Tan głęboko zaciągnął się papierosem, uważnie przyglądając się Shanowi. - Dlaczego tak się tym interesujecie? Może powinienem powiadomić interwencyjną jednostkę pomocy społecznej?

Shan stłumił dreszcz. Było to określenie z żargonu wysokich urzędników państwowych. Jednostki, o których mówił Tan, były państwowymi instytucjami przeprowadzającymi eksperymenty medyczne lub specjalnymi, podlegającymi Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego, szpitalami dla psychicznie chorych. Lokesh, podobnie jak Shan, spędził pewien czas w jednym z zakładów psychiatrycznych dla ludzi o skłonnościach przestępczych. Twierdził, że środkami chemicznymi pozbawiano w nim ludzi ich wewnętrznych bóstw, że zwykłym zastrzykiem można tam było zmienić człowieka w niższą formę życia. Shan przez chwilę spoglądał na podłogę, wreszcie zmusił się, by znów spojrzeć w oczy Tana.

- Kim jest ta cudzoziemka? - zapytał.

- Nazywa się McDowell. Przyjechała z wizytą. Jest historykiem sztuki.

- Ukrywamy się przed historykiem sztuki?

- Przed nikim się nie ukrywamy. - Tan wypuścił z ust strugę dymu i śledził ją wzrokiem, aż uniosła się do sufitu, po czym usiadł, splatając dłonie na stole, z tłącym się papierosem sterczącym pionowo w górę. Shan widział już u niego ten gest. Tan miał własne mudry. - Gdybym mógł cofnąć czas, nie zmieniłbym nic z tego, co zrobiłem przed rokiem - powiedział wolno pułkownik. Shan odniósł wrażenie, że wypowiedzenie tych słów przyszło mu z wielkim trudem.

Nie mógł pojąć, dlaczego ścisnęło mu się serce. Co Tan miał na myśli? Czy chciał go w ten osobliwy sposób zawstydzić? Nagle przyszła mu do głowy straszliwa myśl. Tan mógł mu zlecić, żeby znalazł dowody przeciwko Suryi, mógł zagrozić mu uwięzieniem, jeśli nie zgodzi się współpracować.

- Przykro mi, że zostaliście za to ukarani - odezwał się Shan po dłuższej chwili, patrząc na blat stołu.

- Nie pochlebiajcie sobie - burknął Tan. - Nie chodziło o was, chodziło o to, że pozwoliłem tym wszystkim zbrodniarzom działać pod swoim nosem.

- Nie przyszedłem tu do was, pułkowniku. Ja też uznałem, że byłoby lepiej, gdyby nasze ścieżki już nigdy się nie skrzyżowały.

- Więc po co kręciliście się pod moim biurem? Z powodu tego żebraka? Ja bym wolał, żeby sobie poszedł. Zabierzcie go stąd.

- On nie pójdzie. Zachowuje się tak, jakby był przykuty do tego gmachu. - Shan dość dobrze rozumiał, co powoduje Tanem. Przez całe lata pracował w Pekinie z ludźmi takimi jak on, tyle że tamci jeździli większymi limuzynami i palili lepsze papierosy. Ale nie rozumiał, dlaczego pułkownik prosi wadzi z nim teraz tę dziwną grę. Tan wstał i wskazał mu drzwi.

- Więc idźcie. Zaszycie się znowu w swojej norze. Za par lat przejdę na emeryturę i jeszcze raz będziecie mogli spróbować szczęścia w świecie.

- Jeśli nie chcecie mnie widzieć w Lhadrung, dlaczego wyznaczyliście nagrodę?

Tan zrobił dwa kroki w jego stronę i gwałtownie machnął ręką, jakby strzelił z bicia, ponownie wskazując mu drzwi.

Shan wstał bez słowa i minąwszy Tana, wyszedł na dwór. Zdążył się oddalić o dziesięć kroków, gdy usłyszał, że pułkownik cicho klunie za jego plecami. Dwaj mężczyźni którzy mieli właśnie wsiąść do srebrnego wozu, wstrzymali się, zobaczywszy w drzwiach Tana. Shan poznał ich. Byli to urzędnicy, których widział na frontowych schodach. Niższy, ten o potarganych włosach, teraz w marynarce od garnituru nałożonej na bezrękawnik, sztywno pomachał pułkownikowi i zawołał do niego na powitanie. Wyższy uśmiechnął się zimno i wyszedł na środek uliczki, zagradzając Shanowi drogę. Nie patrzył jednak na niego. Zaciekawiony spoglądał ponad jego ramieniem na Tana. Niższy mężczyzna nieufnie przyjrzał się Shanowi, po czym westchnął rozczarowany i odwrócił się do pułkownika.

- To jest ten człowiek, o którym wam mówiłem, ten, który obserwował nas z cienia, gdy rozmawialiśmy na zewnątrz - pol wiedział. - Znacie go?

Shan zacisnął zęby i spojrzał na niego. Nieznajomy wzbudził jego zainteresowanie. Sądził, że jest dobrze ukryty, nie zauważył nawet, by mężczyzna patrzył w jego stronę. W samochodzie dostrzegł jeszcze jedną postać, cudzoziemkę, która pojawiła się na schodach, historyka sztuki o nazwisku McDowell.

- To jeden ze zresocjalizowanych więźniów - odparł bez wahania Tan. - Niektórzy snują się bez celu po okolicy. Nie nawidzą nas, kiedy są za drutami, ale kiedy ich wypuszczamy nie potrafią od nas odejść. Lekarze Urzędu Bezpieczeństwa uważają, że to zaburzenie psychiczne - dodał z wystudiowaną obojętnością.

- Czasami byli przestępcy popełniają nowe zbrodnie - zauważył niższy mężczyzna. - Często warto ich przesłuchać. Nie uia lepszego informatora niż były więzień.

Tan wolno pokiwał głową.

- Oczywiście. Ale to nie dotyczy tych z naszego obozu w dolinie. Zanim wyjdą na wolność, są już należycie ukształtowani. Większość z nich ma niewiele do powiedzenia. Po prostu zachodzą czasem do miasta, szukając pracy albo czegoś do jedzenia. Żalose stworzenia. Weźmy tego tutaj: jego rodzina jest zniszczona, reputacja zrujnowana, żyje od jednego posiłku do drugiego. Podałem mu adres Towarzystwa Pomocy dla Tybetu. Wie, że na mój rozkaz może ponownie trafić do obozu - dodał znacząco.

- Ale on jest Chińczykiem.

- Już nie - warknął niecierpliwie Tan i ruszywszy w swoją stronę, odepchnął Shana w cień.

Shan znowu spojrzał na niższego z nieznanym, który w tej chwili sprawiał wrażenie bardziej zaciekawionego pułkownikiem niż nim samym. Mężczyzna powoli się odwrócił i badawczo przyjrzał się Shanowi, przesuwając wzrok po jego zdartych, sponiewieranych butach, poprzecieranych, o dwa numery za dużych spodniach, brązowym waciaku z wystrzępionymi rękawami i małej czerwonej wazie, symbolicznym naczyniu mądrości, wyhaftowanej na ramieniu przez pewną pasterkę, w której obozowisku Shan i Lokesh schronili się zimą przed zamiecią.

Mężczyzna wyjął z kieszeni parę monet, wcisnął je w dłoń Shana, po czym widząc, że jego wysoki, elegancko ubrany towarzysz, otworzywszy drzwi srebrnego samochodu, siada za kierownicą i mówi coś do siedzącej obok kobiety, zmarszczył brwi i ruszył w głąb uliczki. Shan odwrócił się i spostrzegł, że nieznanym zagląda do ciemnego magazynu, gdzie wciągnął go Tan. Mężczyzna za kierownicą wcisnął klakson i jego towarzysz podbiegł do samochodu. Chwilę później wóz szybko odjechał.

Gdy Shan odwrócił się w stronę Tana, pułkownik wciąż jeszcze patrzył za niewidocznym już samochodem. Dziwna ambiwalencja, jaką przejawiał podczas rozmowy w składziku, zniknęła. Zastąpiła ją zimna wściekłość, która nigdy do końca nie opuszczała jego twarzy.

- Tym razem nie będzie tak samo - warknął. - Jeśli dacie mi powód, żebyśmy wsadził was z powrotem za druty, jakkolwiek powód - powtórzył, nie odrywając wzroku od uliczki - nil gdy więcej nie zobaczycie słońca.

Gdy Tan zniknął w siedzibie władz okręgu, Shan przysiadł do Suryi, jednak mnich znowu go zignorował. Wpatrywał się smętnie w ziemię u swych stóp, załamując ręce, raz po raz wzdychał ciężko i z trudem łapał oddech. Surya odszedł w jakieś zimne, ponure miejsce w swoim wnętrzu, z którego nikt poza nim samym nie mógł go wydobyć.

- Czy on coś mówił? - zapytał Shan żebraka zakutanego w koc, tego, który wcześniej próbował podstawić mu nogę. Mężczyzna wyciągnął ku niemu otwartą dłoń. Kładąc na niej monety, które dał mu nieznanym w uliczce, Shan ponownie zadał sobie pytanie, dlaczego Tan pozwala na żebranie. „Ja bym wolał, żeby sobie poszedł”, powiedział pułkownik o Suryi. Tak jakby ktoś inny zażyczył sobie, żeby Surya został. A skoro pozwolił mnichowi żebrać na głównym placu, nie mógł tego zabronić innym. Ale dlaczego Surya? Nie z powodu zabójstwa w Zhoce. Przypomniał sobie troje nieznanym i thankę, którą tak uważnie oglądali na schodach. Dlatego, że był malarzem?

Mężczyzna zsunął z głowy koc, jakby Shan kupił sobie właśnie prawo do spojrzenia na jego twarz.

- Śpiewał pod nosem jakieś piosenki - odparł nerwowo! Policzki szpeciły mu poszarpane blizny, być może od uderzeń policyjnej pałki. Raz po raz zerkał w stronę schodów. - Stare dziecinne piosenki, jakie kiedyś śpiewała mi matka. Pytał mnie o chińskie czary.

- Czary?

- Nigdy nie widział ciężarówek ani samochodów. Nazywał je chińskimi wozami. Pytał, jak to jest, że poruszają się bez koni albo jaków. - Żebrak patrzył niechętnie na monety w swej dłoni, jakby kazały mu odpowiadać na pytania Sha na. - Pytał, czy wielki opat potrafi też sprawić, żeby latały w powietrzu. - Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na Shana Jego nos był skrzywiony po dawnym złamaniu.

- Opat? Jaki opat?

- Ja też go o to zapytałem. Powiedział, że spotkał w górach potężnego opata, który potrafi czynić wielkie cuda. - Żebrak zerknął nieufnie na Shana. - To prawda? - zapytał ciszej, lecz natarczywie. - Rzeczywiście jakiś opat przyszedł do ludzi?

Shan spojrzał zdezorientowany w stronę odległych szczytów.

- Nie wiem, co się dzieje w górach. - Ponownie przyjrzał się Suryi. - Powiedział, o co go pytali?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zawsze pytają o to samo, no nie?

- Zabrałeś mu jabłko - zauważył Shan. Żebrak znów wzruszył ramionami.

- Popatrz na niego. On nie potrzebuje już niczego z tego świata. Patrzę na coś takiego nie pierwszy raz. Widziałem, jak wyrzucili go za drzwi, jak płakał, kiedy go zostawili, bo nie chcieli go dłużej słuchać. Powiedział, że musi iść za druty, gdzie trzymają starych łamów, dopóki nie umrą. - Schował pieniądze do kieszeni i z powrotem naciągnął koc na głowę.

Shan przetrząsnął kieszenie i znalazł małą tsa-tsa, glinianą tabliczkę z odcisniętą świętą postacią. Położył ją żebrakowi na kolanach.

- Nie powiedziałaś, co im mówił Surya. - Choć mnich puszczał mimo uszu pytania Shana, i tak samo być może zachowywał się wobec przesłuchujących, mimo wszystko zdawał się uważać, że są sprawy, o których trzeba mówić.

Żebrak, marszcząc brwi, zsunął koc z głowy, po czym wolno ujął w obie dłonie glinianą tabliczkę. Jego oczy wypełniła mieszanina urazy i wdzięczności.

- Pytali go o jaskinie, o kaplice, o symbole na malowidłach. Pokazali mu parę starych thanek. A on ciągle mówił, że jest mordercą. Upierał się, że nie wie, gdzie można znaleźć inne malowidła.

- Powiedział ci to?

- Słyszałem.

Shan skrzywił się, wyrzucając sobie w duchu, że nie dostrzegł czegoś tak oczywistego. - Jesteś donosicielem.

- Jasne. Myślisz, że siedziałbym na placu Tana, gdyby nie kazali mi tego robić?

- Dlaczego pytali o malowidła? Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami.

- Chodzi chyba o jakąś nową kampanię - odparł. - Stary nic więcej nie powiedział, tylko ich przestrzegł, kiedy wyrzucali go za drzwi, że świątynie, które obłaskawiają ziemię, są zbyt niebezpieczne dla takich jak oni. Jakby ich to obchodziło. - Żebrak wsunął tsa-tsa pod koc i znowu nakrył sobie głowę.

Jakby ich to obchodziło. Ale dawnych Tybetańczyków świątynia obłaskawiająca ziemię obchodziłaby ogromnie. Shan szedł wąskimi ulicami miasta, wciąż słysząc słowa żel braka. To wydawało się niewiarygodne, a jednak mogło wiele wytłumaczyć. Nie przypominał sobie, by odkąd opuścił obóz jakikolwiek Tybetańczyk wspominał przy nim o świątyniach obłaskawiających ziemię, jednak za drutami napomykał o nich najstarsi z łamów, snując opowieści w zimowe wieczory. Wznoszenie tybetańskich klasztorów, których liczba szła niegdyś w tysiące, rozpoczęło się przed wiekami od budowy szeregu świątyń rozmieszczonych w rozległych, koncentrycznych kręgach, których środek stanowiło najważniejsze sanktuarium kraju, Jokhang w Lhasie, leżącej przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Lhadrung Jokhang wybudowano, żeby zakotwiczyć serce najwyższego demona ziemi, który w tamtej dawnej epoce sprzeciwiał się wprowadzeniu buddyzmu. Wszystkie świątynie na obwodzie kręgów, niektóre oddalone o setki kilometrów od Lhasy, zpy stały wzniesione na kończynach olbrzymiego demona. Sieć ta zapewniała harmonię między ziemią i jej mieszkańcami. Surya wspominał o przygwożdżeniu do ziemi. Shan nie skojarzy wtedy jego słów z dawnymi opowieściami. Tradycja głosiła że te świątynie utrzymują w ryzach złe demony, przyszpilon do ziemi świętymi gwoździami lub sztyletami.

Choć niegdyś uważane za najważniejsze siedziby ducho wych mocy, dziś dla większości Tybetańczyków świątyni obłaskawiające ziemię były częścią zamierzchłej przeszłości Dla większości, ale nie dla Genduna, Suryi ani Lokesha. Cho położenie niektórych z nich wciąż było znane, większość zaginęła w pomroce dziejów, choć teraz Shan przypominał sobie, jak w obozie rozmawiano o starej legendzie, wedle której jedna z nich

znajdowała się w okolicach Lhadrung. Dlaczego Surya miałby ni stąd, ni zowąd uznać Zhokę za taką świątynię? zastanawiał się Shan. Dlatego, zrozumiał nagle, że znalazł w jaskini starą księgę.

Dziesięć minut później Shan zaszedł na skraj miasta, rozglądając się za ciężarówką, która mogłaby podwieźć go w góry, gdy nagle gdzieś z okolic targowiska dobiegła go wrzawa. Usłyszał oklaski i czyjś głos wzmocniony przez megafon. Ruszył w tę stronę i zaledwie pięć minut później zobaczył tłum zgromadzony na boisku miejscowej szkoły. Przed niewielkimi odkrytymi trybunami z pustaków, obok kolejnego popiersia Mao na betonowym cokole, wzniesiono podium, na którym jakiś człowiek w garniturze przedstawiał właśnie honorowego gościa z Pekinu, znanego uczonego, najmłodszego dyrektora w dziejach sławetnej instytucji. Od masztu przy podium aż do trybun przeciągnięty był transparent głoszący, że Towarzystwo Przyjaźni Chińsko-Tybetańskiej uroczyście wita dyrektora Minga z Muzeum Historycznego w Pekinie.

Licząca być może sto osób publiczność, niemal wyłącznie rodowici Chińczycy, zaczęła bić brawo. Wśród oklasków na podium wspiął się, odwrócony plecami do Shana, mężczyzna w granatowym garniturze. Przyjął mikrofon od prowadzącego spotkanie.

- To wam należą się brawa - oświadczył aksamitnym głosem, najpierw po mandaryńsku, potem po tybetańsku. - Jesteście prawdziwymi bohaterami wielkiej reformy, jesteście ludźmi, którzy odkryli, jak jednoczyć siły wszystkich naszych wielkich kultur.

Shan nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy mówiący odwrócił się tak, że mógł dostrzec jego twarz. Był to wysoki, elegancki mężczyzna ze schodów, jeden z tych, przed którymi próbował ukryć się Tan. Shan miał przed sobą szefa najznakomitszego muzeum w Pekinie, być może nawet w całych Chinach. Co on robił w Lhadrung? Shan słuchał przez parę minut, jak dyrektor Ming opowiada żarliwie o potrzebie zespolenia wszystkich wielkich kultur Chin, o tym, że wysiłek ten jest wyzwaniem w równej mierze dla ludzi z Pekinu i z Lhadrung, jak wyjaśnia, że postanowił zorganizować swe tegoroczne letnie warsztaty w Lhadrung, ponieważ okręg ten, nieznacznie dotąd zasiedlony przez Chińczyków i wciąż kryjący wiele historycznych tajemnic, stanowi żyzny grunt dla tego celu. Aby podkreślić swoje słowa, wyciągnął pas białego jedwabiu, khatę, tybetański szal obrzędowy, uniósł go oburącz i z namaszczeniem zawiązał na szyi Mao. Publiczność odpowiedziała na to kolejną salwą braw.

Shan zaczął się wycofywać, uważając, żeby nie natknąć się na żołnierzy, którzy zawsze obstawiali publiczne zgromadzenia, ale zatrzymał się, spostrzegłszy kobietę o

kasztanowych włosach. Siedziała wygodnie za kierownicą srebrnego samochodu, czytając książkę. Rozejrzył się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiegoś patrolu, i podszedł do otwartego okna samochodu.

- Dała pani jabłko mojemu przyjacielowi - odezwał się cicho po angielsku. - Dziękuję.
Kobieta uśmiechnęła się lekko i uniosła wzrok.

- Próbowałam mu je dać. Nie jestem pewna, czy w ogóle je widział. - Powiedziała to ze smutkiem, ale nie przestała się uśmiechać. - Mógłby pan porozmawiać z Suryą? Może on potrzebuje rozmowy z kimś, kogo zna lepiej.

Do samochodu podszedł tybetański chłopczyk i precyzyjnie się obok Shana, podał kobiecie butelkę oranżady.

- Thuchechey - podziękowała po tybetańsku cudzoziemka i podała mu monetę wartą cztery razy więcej niż napój. Chłopiec chwycił ją i pobiegł gdzieś z okrzykiem radości.

- W tej chwili jest nieosiągalny - odparł Shan.

- Mówi pan tak, jakby próbował się pan do niego dodzwonić - zauważyła kobieta.

Shan nie umiał umiejscowić jej akcentu. Odniósł wrażenie że nie jest Amerykanką.

- Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co pan chciał powiedzieć. To rzeczywiście okropne. Naprawdę pan go zna? - Wskazała fotel obok siebie. - Proszę wsiąść. Jeżeli panu na nim zależy, powinniśmy porozmawiać.

Shan rozejrzył się dookoła, na pół spodziewając się, że zobaczy, iż otaczają go żołnierze. Tłum znów bił brawo, a na podium jakaś kobieta wręczała coś znakomitemu gościowi.

Przez chwilę przyglądał się cudzoziemce. Znała Suryę. Ale to było niemożliwe.

- Spotkała go pani w górach? - zapytał, siadając obok niej.

- Raz. Nie byłam przy wszystkich wizytach - odparła. Głos miała łagodny i wytworny, znamionujący wykształcenie. - Nazywam się McDowell. Elizabeth McDowell. Przyjaciele mówią na mnie Punji, szpikulec z bambusa.

Shan się nie przedstawił.

- Co to za wizyty? Dlaczego jeździecie w te ruiny?

- W ramach rocznego letniego seminarium dyrektora Minga. Warsztaty dla studentów. Chodzi o inwentaryzację zabytkowych obiektów w terenie. Latem studenci pomagają w tych pracach pod kierunkiem pracowników muzeum.

Na fotelu obok McDowell leżały jakieś papiery, w tym kilka dużych kopert, wszystkie z adresem zwrotnym Fundacji na rzecz Pomocy Tybetańskim Dzieciom z siedzibą w Londynie.

- Surya musi wrócić w góry - powiedział Shan - do swoich przyjaciół.

- On twierdzi, że wcale nie ma na imię Surya - przypomniała mu McDowell. - Mówi, że Surya nie żyje.

Gdy Shan próbował dyskretnie przejrzeć luźne kartki leżące pod kopertami, otworzyły się drzwi za nim i ktoś wsiadł do samochodu. McDowell położyła książkę na koperty, uruchomiła silnik i wyjechała na ulicę.

- On przeżył straszliwy wstrząs - odparł Shan. - Ktoś zginął. On jest... niedoświadczony. Żył tylko swoją sztuką.

- Zgłębiaj jedynie Absolut - wtrącił miły głos z tylnego siedzenia.

Shan odwrócił się i ujrzał uśmiechającego się dyrektora Minga.

- On zna naszego przyjaciela Suryę - wyjaśniła Mingowi McDowell, nie odrywając oczu od drogi.

- Nie miałem zamiaru przeszkadzać - stwierdził Shan i zaczął wypatrywać miejsca, w którym mógłby bezpiecznie wyskoczyć z samochodu.

- Dokąd mam pana zawieźć? - zapytała figlarnym tonem McDowell.

- Nigdzie. Wsiadę tutaj - oświadczył Shan z ręką na klamce drzwi. - Proszę się zatrzymać.

- Nedorzecznosc. Skąd pan zna Suryę? On naprawdę jest mnichem? A jeśli się nie dowiem, dokąd chce pan jechać, wyjadę pana w starej cegielni na południe od miasta.

Shan znów usiadł prosto.

- Cegielnia mi odpowiada - odparł nerwowo. Rozpadają, czy się budynek cegielni stał mniej więcej trzy kilometry od podnóża gór.

Ming pochylił się ku niemu, nagle czymś zainteresowany.

- Wiecie, jak skłonić tego starego mnicha do mówienia? - Zabrzmiało to tak, jakby chciał, żeby Surya coś wyznał, coś nie dotyczącego morderstwa. Przyjrzał się Shanowi. - To wy byliście dziś rano z Tanem.

- Surya potrafi czasem milczeć cały miesiąc - oświadczył zgodnie z prawdą Shan.

- Ale on wie tyle rzeczy, o których musimy usłyszeć - i stwierdził rozczerwony Ming. - Gdyby ktoś go przekonał, żeby znów zaczął z nami rozmawiać, mógłby liczyć na naszą wdzięczność.

Shan nie umiał wyrobić sobie zdania na temat tego poważnego młodego Chińczyka. Nie zostałby najmłodszym dyrektorem jednego z największych muzeów w kraju wyłącznie dzięki swoim kwalifikacjom naukowym.

- Odwiedzaliście go w ruinach?

- Trzy razy - wyjawiał bez oporów Ming. - Wy tłumaczył mi, co maluje w tej starej wieży. Pytałem go o stare świątynie. To ma spore znaczenie dla moich badań.

- Czy wy dwoje byliście przedwczorajszej nocy w górach? - zapytał prosto z mostu Shan.

Ming wbił w niego przelotnie twarde, niemal groźne spojrzenie i wzruszył ramionami.

- On jest kompletnie rozbity psychicznie. Myślałem, że to udar. Ale lekarz wojskowy, którego wezwaliśmy, stwierdził, że nic mu nie dolega, wręcz przeciwnie, wszystko jest w najzupełniejszym porządku. Tyle tylko, że nie pamięta, kim jest, ani niczego na temat sztuki. Jęczy o śmierci i o morderstwach.

- To wy posłaliście żołnierzy, żeby go zabrali?

Ming uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z siebie.

- Udostępniono nam środki państwowe na potrzeby naszego przedsięwzięcia.

Shan nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, gdyby nie usłyszał o tym od samego Minga. Dyrektor muzeum pożyczył żołnierzy od Tana, żeby przesłuchać Suryę, bo było mu to potrzebne do badań historycznych.

McDowell westchnęła zirytowana.

- Towarzysz Ming wyobraża sobie, że jest jakimś partyjnym bonzą - powiedziała, uśmiechając się do Shana. Zwolniła i pokazała palcem jaka ciągnącego pług na polu. - Wciąż mu powtarzam, że po prostu kieruje muzeum. Miliarderzy nie interesują się nim, tylko zabytkami, którymi się zajmuje.

- Miliarderzy? - powtórzył Shan, patrząc na cudzoziemkę. Uświadomił sobie, że jego dłoń pełźnie w stronę starego gau, które nosił pod koszulą. Podobnie reagował Lokesh, gdy wyczuwał demony.

McDowell wciąż patrzyła na jaka. Uśmiechała się, jakby widok tego zwierzęcia sprawiał jej przyjemność.

- No wie pan, sponsorzy - powiedziała w końcu. - Klienci. Ludzie, którzy finansują rozbudowę muzeum. Udziałowcy biznesu dyrektora Minga.

Samochód wtoczył się na teren starej cegielni. Wyglądała na opuszczoną, jednak gdy McDowell objechała walący się ceglany budynek, Shan zobaczył kolejkę Tybetańczyków, w większości kobiet z małymi dziećmi, a za nimi mały czerwony mikrobus z lhaską tablicą

rejestracyjną. Nad drzwiami w narożniku wisiał wypisany ręcznie szyld. *Darmowe badania lekarskie dla dzieci*, informował po tybetańsku; nie było odpowiednika po chińsku. Kilka Tybetanek na widok McDowell zaczęło machać rękami. Cudzoziemka pomachała im w odpowiedzi i wyłączyła silnik.

- Fundacja ma pieniądze tylko na lekarstwa i opłacenie kosztów podróży pielęgniarek - wyjaśniła, zauważywszy pytający wzrok Shana. - Pomagam im jak mogę. Niech pan staniew kolejce, to damy panu trochę witamin. - Otworzyła drzwi i wysiadła. Powitały ją chóralne pozdrowienia.

- Dwadzieścia minut, nie więcej! - zawołał do niej Mingj po czym też wyszedł z samochodu i zapalił papierosa.

Shan chwycił jedną z leżących na siedzeniu luźnych kaa tek, wsunął ją pod koszulę i otworzył drzwi od swojej strony. Wysiadł i miał już sobie pójść, gdy nagle Ming odezwał się do jego pleców:

- Kto jeszcze był w ruinach oprócz tego starego mnicha? Shan odwrócił się.

- Jacyś obcy. Ming zmrużył oczy.

- Skąd o tym wiecie?

Shan wyjął z kieszeni króciutki niedopałek cygara.

- Tego nie zostawił żaden Tybetańczyk - powiedział, unosząc go. - To wasze?

Spojrzenie Minga nagle zrobiło się bardzo uważne.

- Pokażcie.

Shan położył niedopałek na bagażniku samochodu i odł sunął się. Ming wolno sięgnął po niego, podniósł go do nosa, a następnie rzucił na ziemię i rozdeptał.

- Nie moje. To nic nie znaczy.

- Nic - przyznał Shan.

A jednak coś to znaczyło. Ming wpatrywał się w okruchy tytoniu u swych stóp, a po chwili spojrzał gniewnie w stronę gór.

- Jeśli naprawdę znacie Suryę - powiedział lodowatym tonem - jeśli znacie jego przyjaciół, pustelników, którzy ukrywają się w górach, powiedzcie im, że czasu jest niewiele. Skoro nie wyszło z Suryą, kto będzie następny? Nie zadowolimy się połową śmierci - oznajmił Shanowi, patrząc na niego badawczo, najwyraźniej ciekawy, jaką reakcję wywołują jego słowa. - Cesarz czekał o wiele za długo.

- Cesarz? - powtórzył Shan, niepewny, czy się nie przesłyszał. - Połowa śmierci? - Nie miał już przed sobą przyjaźnili nastawionego naukowca, który przemawiał na szkolnym boisku. Przymrużone oczy Minga były twarde jak skała. - Czego szukacie w górach?

Ming zmarszczył się i znów spojrzał na rozdeptany niedopałek cygara.

- Potrzebuję innego mnicha. Jednego z tych starych z wysokich gór.

Shan poczuł, że zaschło mu w ustach. - Po co?

- Sprowadźcie mi mnicha, a zapłacę wam za to.

- Nie ma żadnych mnichów w... Ming przerwał mu, unosząc dłoń.

- Wiecie, są specjalne bomby do tępienia terrorystów w jaskiniach. Nie niszczą jaskini, po prostu usuwają cały tlen, tak że wszyscy w środku się duszą. - Obok samochodu przebiegł mały chłopczyk goniący za piłką. Ming uśmiechnął się i pomachał do niego, po czym znów odwrócił się do Shana. - Powiedzcie im, że wkrótce cały świat dowie się, kto zginął. A wtedy będzie dla nich za późno.

- Wiecie, kto zginął?

- Na razie - westchnął Ming, odprawiając go ruchem palców - to tajemnica państwowa. Sprowadźcie mi mnicha. W przeciwnym razie powiadomię pułkownika Tana, że Surya naprawdę kogoś zabił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wczesnym popołudniem Shan dotarł do otaczających dolinę wzgórz. Gdy się na nie wspinał, prześladowała go beznadziejnie smutna twarz Suryi oraz dziwne słowa Minga i drugiego żebraka. Poszedł do miasta, żeby szukać odpowiedzi, ale wracał stamtąd bardziej zdezorientowany i przerażony niż kiedykolwiek. Na wzgórzach krył się morderca, w górach graj sowali bogobójcy. Ale jeśli Zhoka rzeczywiście była świątynią obłaskawiającą ziemię, starzy Tybetańczycy na pewno uważali, że to ją przede wszystkim trzeba chronić. Shan nigdy by nie wydał Mingowi drugiego mnicha, czego zażądał dyrektor, alei Gendun bez wahania oddałby się w jego ręce, gdyby uznał, że to pomoże Suryi albo ochroni Zhokę.

Kiedy tak szedł, zaczęło go niepokoić jeszcze jedno. Próbując ukazać Shana jako nie znaczącego, żalosego byłego więźnia, Tan powiedział, że jego rodzina została zniszczona. Rok wcześniej pułkownik z satysfakcją oznajmił Shanowi, że podczas jego pobytu w obozie żona rozwiodła się z nim i ponownie wyszła za mąż. Żona jeszcze przed uwięzieniem Shana uważała go za politycznie uciążliwego i bez wątpienia przekonała syna, że jego ojciec nie żyje. Ale Tan nie powiedział, że Shan stracił rodzinę albo że rodzina się go wyparła. Powiedział, że jego rodzina została zniszczona. To było tylko niefortunne określenie, powtarzał sobie Shan. Pułkownik zapewne w ogóle nie pamiętał historii jego życia

i użył tych słów tylko po to, by dopełnić wizerunku jednego z nieszczęsnych byłych więźniów wałęsających się po okręgu.

Gdy dotarł na grzbiet pierwszego pasma wzgórz, usiadł nar głazie, próbując uciszyć swój umysł na podobieństwo górskiej łąki, na której siedział, żeby spokojnie zastanowić się nad tym, czego się właściwie dowiedział. Jego krótkie spotkania z Mingiem sprawiały wrażenie koszmaru na jawie. Z pewnością źle go zrozumiał, z pewnością wytworny dyrektor muzeum nie groził lekkim tonem, że zabije mnichów. Nikt w Lhadrung nie wiedział o ukrytej pastelni. Nikt, uświadomił sobie ze ściśniętym sercem, oprócz Suryi.

Musiał odnaleźć mnichów, musiał ich przekonać, żeby uciekli przed obcymi, którzy przybyli do Lhadrung. Ale już teraz, spoglądając na wschód w stronę otaczających Yerpe szczytów, wiedział, że nigdy nie zgodzą się uciec.

Odtwarzając w pamięci szczegóły swego spotkania z McDowell i Mingiem, przypomniał sobie o kartce, którą zabrał z samochodu cudzoziemki. Był to wydruk komputerowy, po chińsku, ale sam tekst był tybetański, upstrzony tybetańskimi nazwami geograficznymi i pouczeniami na temat modlitw. To neyig, uświadomił sobie, przeczytałszy go dwukrotnie. McDowell czytała jeden ze starych przewodników dla pielgrzymów, które miały im ułatwić odnalezienie ważniejszych sanktuariów i siedlisk duchowych mocy. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by słowo po słowie przetłumaczyć starą księgę. U dołu widniał numer. Wolumin czternasty, strona pięćdziesiąta szósta. Ponownie przeczytał tekst, tym razem rozpoznając kilka nazw. Kumbum. Sangke. Były to miejsca leżące setki kilometrów na północ. A że wolumin ten miał numer czternasty, znaczyło to, że ktoś włożył olbrzymi wysiłek w przetłumaczenie i opracowanie wielu starych przewodników. Jeśli Ming poszukiwał dawnych górskich sanktuariów, przewodniki dla pielgrzymów powiedziałyby mu, jak znaleźć większość z nich. Należało ich szukać w jaskiniach, w starych tybetańskich domach, w osłoniętych miejscach uważanych za siedliska mocy. Shan nie znał dobrze tej części gór, niewiele wiedział na temat tutejszych świętych miejsc. Ale znał pewien budynek, który wyglądał na bardzo stary, kiedy odkrył go w nocy.

Pół godziny później patrzył w dół na domek, którego zarys widział wcześniej w ciemnościach. Mały, kamienny, kryty szarą dachówką, wyrastał ze stoku wzgórza. Do jego ścian szczytowych tuliły się dwie przybudówki, jedna z ubitej ziemi, ruga ze sklejki i belek uratowanych z większego budynku.

Shan ostrożnie zbliżył się do domku, pamiętając, że w nocy słyszał szczekanie psa. Na jego tyłach dostrzegł wytyczon rzędami kamieni poletko jęczmienia. Budynek ze stertą siał na pod ścianą był najwyraźniej obórką, ale drugi, wzniesiony w całości z kamienia, nie

służył, jak można by się spodziewać, do przechowywania paszy. Mały i przysadzisty, zwieńczony niedużym kominem z kamienia układanego bez zaprawy kryty był cienkim łupkiem. Shan zbliżył się do tego dziwnego budynku, który wyglądał na starszy nawet od samego domu. Nie miał drzwi, tylko obramowany starymi belkami otwór, przez który Shan dostrzegł kopulastą kamienną konstrukcję przypominającą piec. Przed nią znajdowało się jakieś urządzenie z pedałem i skórzanymi pasami, które napędzały wielkie drewniane koło umocowane poziomo na szczycie. Było to koło garncarskie i piec do wypalania ceramiki, używane prawdopodobnie od setek lat.

Mała, otoczona ziemnym murem zagroda przed obórką zasłana była owczymi bobkami, choć nie było widać żadnych owiec. W osłoniętej przestrzeni pomiędzy obórką a domem ubito ziemię, a nad nią na ramę z żerdzi narzucono wystrzępiony filcowy koc, tworząc prowizoryczny ganek. W cieniu koca stał rząd glinianych naczyń przykrytych przewiązaną sznurkiem szmatką. Tybetańczycy często przechowywali tak masło i mleko. Za naczyniami, na kwadracie wełnianego samodziału, leżał kopczyk gruboziarnistej soli. Przy drzwiach stały trzy małe dronmy, ubijaki, w których przygotowywano maślaną herbatę, a półtora metra dalej żelazny trójnóg z kociołkiem zawieszonym nad tłącym się ogniem. Pod skrajem daszku z koca leżało rzędem może ze sto częściowo pomalowanych cienkich glinianych tabliczek tsa-tsa z odcisniętymi wizerunkami buddów i bodhisattwów.

Drzwi, zbite z nadgryzionych zębem czasu desek, były uchylone. Shan zapukał, zawołał, po czym wszedł do domku. Jedyne okno oświetlało schludną, czysto zamiecioną główną izbę. W powietrzu unosiła się lekka woń kadzidła. Wyglądało to tak, jakby pomieszczenie zostało przygotowane do jakiegoś zebrania, a potem opuszczone przez mieszkańców. Ściany z ubitej ziemi tworzyły wnękę, która służyła jako kapliczka. Znajdowała się tam stara thanka i ołtarz, na którym stała polichromowana ceramiczna figurka Buddy Śakjamuniego oraz siedem, jak wymaga tradycja, czarek ofiarnych. Shan pochylił się i dokładnie obejrzał thankę oraz posążek. Były stare, a precyzja wykonania zdradzała rękę znakomitych artystów.

Naprzeciwko ołtarza, w przybudówce z arkuszy tektury i sklejki przybitych do drewnianych słupów, leżało kilka zrolowanych sienników i ponad tuzin grubych koców. Tylko jeden siennik i jeden koc były rozwinięte - zapewne niedawno ich używano. Shan ruszył wolno wzdłuż ścian, zawstydzony, że wtargnął pod czyjś dach, ale niezdolny powstrzymać się przed szukaniem odpowiedzi na pytanie, kim są mieszkańcy tego domku i co się z nimi stało. Na drągu pod tylną ścianą głównej izby wisiała wielka płachta, cienka jak prześcieradło, ozdobiona malowanymi kwiatami, poszarzałymi i zbrązowiałymi ze starości.

Zrobił parę kroków wzdłuż desek podłogi, przyglądając się stojącej w kącie małej skrzyni, na której leżała sterta przyborów kuchennych, po czym podszedł z powrotem do kwiecistej płachty i odsunął ją, odsłaniając pół tuzina głębokich półek. Na najniższych były sprzęty domowe, talerze i garnki, długie drewniane łyżki, miseczka z guzikami.

Na drugiej od góry półce leżało kilka tradycyjnych tybetańskich ksiąg o długich luźnych kartkach ujętych w drewniane okładki związane jedwabnym sznurkiem. Oprócz nich było tam pół tuzina książek oprawionych na zachodnią modłę, wszystkie po angielsku. *Dziela Williama Shakespeare'a*, *Arcydziała poezji angielskiej*, jakaś powieść Grahama Greene'a, *Iuanhoe* Waltera Scotta. Gdy Shan przeciągnął palcem po grzbiecie *foanhoe*, ogarnęła go fala wzruszenia. Jego ojciec, zanim czerwonogwardziści spalili mu cały księgozbiór, czytał mu tę powieść po kryjomu, w komórcie, podczas gdy matka trzymała straż przy drzwiach. Tak jak pozostałe, także ta książka liczyła sobie kilkadziesiąt lat. Gdy na frontyspisie uważnie obejrzał ilustrację przedstawiającą złotowłosego giermka asystującego rycerzowi przy wkładaniu zbroi, zorientował się, że ma w rękach to samo wydanie, które czytał mu ojciec.

Najwyższa półka była pusta, jeśli nie liczyć ceramicznego Popiersia pulchnej kobiety w koronie i o europejskich rysach oraz sporej drewnianej skrzynki ze skórzaną rączką i mosięż, nymi zatrzaskami. Zerknął przez pustą izbę na otwarte drzwi i ściągnął skrzynkę. Miała pół metra szerokości i dwadzieścia pięć centymetrów głębokości, a jej mosiężne okucia były wypolerowane na błysk, tak jak orzechowe drewno, z którego była zrobiona. Położył skrzynkę na prymitywnym stoliku i podszedł do drzwi. Wciąż nie było widać żywego ducha. Przez chwilę kręcił się nerwowo po izbie, po czym wrócił do stolika i szybko otworzył skrzynkę.

W środku, umieszczony w masie splecionych włókien, znajdował się porcelanowy serwis do herbaty ozdobiony wzorem w niebieskie i złote kwiaty. Shan podniósł delikatny dzbanek, przyglądając mu się zbity z tropu. Długi dziobek pomalowany był w kwitnące pnącza, a pokrywkę zdobił uchwyt w kształcie pączka róży. To nie była porcelana tybetańska ani chińska. *Staffordshire*, przeczytał, odwróciwszy naczynie dnem do góry. Wokół dzbanka spoczywało kiedyś sześć identycznych filiżanek i spodków. Jednej z filiżanek brakowało, pozostał po niej tylko spodek i odcisnięty kształt w wyściółce skrzynki. Shan pomacał palcami włókna i nagle przypomniał sobie ich angielską nazwę, gdyż podczas lekcji, których ojciec udzielał mu potajemnie w komórcie, obaj śmiali się z brzmienia tego słowa, i ponieważ ojciec uroczyście pochwalił go za opanowanie jego trudnej wymowy. *Excelsior*. Wełna drzewna.

Delikatnie włożył dzbanek z powrotem do skrzynki, zal mknął ją i odstawił na półkę. Zerknąwszy na drzwi, jeszcze raz sięgnął po powieść Waltera Scotta i zaczął wertować ciężkie białe stronice, zatrzymując się na kolorowych ilustracjach przedstawiających rycerzy w zbrojach i damy o smutnych, nieobecnych twarzach. Brzegi kartek z ilustracjami, ale nie pozostałych, brudziły liczne ślady palców. Na stronie tytułowej widniała metryczka. Wydano w Londynie, głośiła, 1886. Z miną winowajcy znów spojrział w stronę drzwi, ale nie potrafił opanować emocji, jakie wzbudziła w nim ta książka, i przewrócił stronicę. W nieoczekiwanym przyplwywie radosnego podniecenia zaczął czytać na głos, z początku niepewnym szeptem, potem głośniej, przerwawszy na chwilę, by podejść do drzwi, skąd mógł czytać niebu.

- „Ongiś w owej pięknej okolicy naszej wesolej Anglii, przez którą przepływa rzeka Don” - zaczął - „ciągnęła się wielka puszcza pokrywająca znaczną część malowniczych wzgórz i dolin leżących między Sheffieldem a miłym miasteczkiem poneaster”.

Nagle uświadomił sobie, że ręka mu drży, a serce wali jak młotem. Nazwy popłynęły na falach pamięci i przez chwilę zdawało mu się, że czuje woń imbiru. Czytał dalej, powoli, chwilami drżącym głosem. Kiedyś, dawno temu, siedząc przy świecach, zachwycali się z ojcem odległymi, egzotycznymi miejscami opisanymi w tej powieści.

- „Tu przed wiekami miał swe schronienie bajeczny smok z Wantley” - czytał - „tu także w dawnych czasach grasowały bandy odważnych straceńców, których czyny uwieczniono w angielskich piosenkach”.

Pięć minut później zamknął książkę, przycisnął ją na chwilę do piersi i z szacunkiem odłożywszy na półkę, zaciągnął malowaną w kwiaty zasłonkę i wyszedł na dwór, zostawiając drzwi tak, jak je zastał.

Obszedł dom dookoła, ponownie okrążył obórkę, po czym ruszył na północny wschód ścieżką wijącą się wśród potężnych skał. Nie uszedł nawet sześćdziesięciu metrów, gdy nagle zastygł w bezruchu. Na wielkim płaskim głazie siedziała jakaś Tybetanka w czarnej sukni, zwrócona twarzą w stronę gór, tak że widział tylko jej plecy. U stóp kobiety leżał duży brązowy pies. Kopnąwszy kamień na ścieżce, żeby dać znać o swej obecności, Shan zbliżył się do nich wolno. Pies nie poruszył się, nie zaszczekał, tylko bezgłośnie obnażył zęby.

- Świętujesz urodziny? - zapytała kobieta, odwracając się. Jej głos brzmiał swobodnie, jakby już od jakiegoś czasu wiedziała, że Shan tu jest. Uspokoiła psa, położywszy mu dłoń na łbie. Wyglądała na sześćdziesięciolatkę. Na szyi miała kilka sznurów misternie wykonanych paciorków ze srebra, lapis lazuli i turkus, odświętną ozdobę zarezerwowaną na szczególnie okazje.

- Tak - odparł niepewnie Shan, głębiej nasadzając kape. I lusz na głowę. - Lha gyal lo.

Tybetanka uśmiechnęła się melancholijnie, wstała z ogromnym wysiłkiem i podreptała w stroni domu. Shan ruszył parę kroków za nią. Wskazawszy gościowi mały drewniany stółek, kobieta podsyciła ogień pod kociołkiem; i zaczęła śpiewać starą pieśń, którą słyszał podczas święta! Czekając, aż zagotuje się woda, kołysała się w przód i w tył z dłonią na różańcu u paska. Omijając Shana wzrokiem, raz po raz kierowała oczy w dal, na wschód, w stronę Zhoki. Po kilku minutach zniknęła za drzwiami i wróciła z małą miedzianą miseczką mąki, którą wyciągnęła ku Shanowi. Wziął szczyptę i zaczął, aż ona zrobi to samo.

- Lha gyal lo - powtórzył tęsknym tonem i rzucił mąkę w powietrze.

- Oby żył wiecznie - dodała kobieta, obrzucając się białym pyłem.

W milczeniu naląła gorącą wodę do najmniejszego ubijaka, dodała sól oraz masło i zaczęła mieszać je tłuczkiem. Shan nie wiedział, co powiedzieć, bo świetnie sobie z tym radziła, nie jak słabowita staruszka, za którą ją wziął na początku. Rozlawszy maślaną herbatę do czarek, kobieta ponownie weszła do domu i po chwili przyniosła drewnianą tacę z łuskanymi orzechami oraz małymi białymi grudkami suszonego sera.

- Myślisz pewnie, że jestem szalona - odezwała się i znów spojrzała na wschód. Westchnęła. - Wiem, że uroczystość miała być wczoraj. Ale wszyscy ludzie ze wzgórz odeszli za czarnym koniem, który przybył nocą. Siostrzeniec obiecał, że odwiedzi mnie po południu, żebyśmy mogli odprawić własne, domowe święto. - Nagłym ruchem przycisnęła dłoń do ust, żeby powstrzymać szloch. - Myślę, że chyba ktoś umarł. Znam ich. Tylko śmierć mogłaby ich zatrzymać. - Pochyliła się i zakryła rękami oczy, które wezbrały łzami.

- Siedziałaś tam całą noc? - zapytał Shan.

- Chmury wciąż zakrywały księżyc. Nie chciałam, żeby w ciemnościach ominęli dom. Miałam ze sobą to - dodałaś wyjmując z rękawa małe czarne pudełko.

Shan wyciągnął rękę, a ona położyła pudełko na jego dłoni poznał, co to takiego. Widywał czasem, jak tych urządzeń używało wojsko. Był to odbiornik GPS, z małym ekranem do oświetlania współrzędnych geograficznych. Migiała czerwona dioda, co świadczyło, że jest włączony. Urządzenie to musiało kosztować więcej, niż wynosił roczny zarobek kilkorga Tybetańczyków.

- Dał mi to jeden z moich siostrzeńców - wyjaśniła, gdy Shan zwrócił jej odbiornik. - Powiedział, że dzięki temu ludzie znajdują drogę. Ale to światełko jest bardzo blade. Trzymałam je przez całą noc nad głową, żeby łatwiej im było je zauważyć.

- Byłem tam - powiedział Shan. - W Zhoce.

- Widziałeś go? Widziałeś mojego Jarę i jego dzieci? On szedł do miasta, na autobus, a potem miał wrócić do swoich stad. Powinam była pójść do Zhoki razem z nimi, ale nogi już mi nie służą. - Nagle umilkła, w jej oczach pojawił się niepokój. - On poszedł po dziewczynkę, która miała przyjechać autobusem. Ale w mieście byli żołnierze.

- Po Dawę? - zapytał Shan. - Dawa była w Zhoce. Kobieta rozpromieniła się i ścisnęła różaniec u paska.

- Nigdy jej nie widziałam. Jej matka pomagała mi przy wypalaniu gliny, kiedy była młodą dziewczyną.

- Rodzina Jary powinna niedługo wrócić. Jara skręcił nogę. Przyszło paru żołnierzy i wszyscy się wystraszyli. Dawa uciekła na południe.

Z ust kobiety wyrwał się cichy jęk.

- Nie na południe. To dla niej za wcześnie - szepnęła w dłonie.

Shan spojrzał znów na kosztowne urządzenie nawigacyjne.

- Gdzie jest twój drugi siostrzeniec, ten, który dał ci to czarne pudełko?

Zaniepokojona staruszka uniosła wzrok, po czym spojrzała w ogień.

- Mieszka daleko stąd. - Znów popatrzyła na Shana i podszyla się, jakby chciała wstać.

- Jeśli Jara skręcił nogę, kto sprowadzi stamtąd Dawę? Ja pójdę. Pójdę, choćbym nawet usiała się czołgać.

- Skąd? - zapytał Shan, ale nie odpowiedziała. - Jeden z moich przyjaciół poszedł po Dawę - rzekł. - Będzie bezpieczj na - dodał z nadzieją, że kobieta nie dosłyszcy w jego słowacM niepewności.

Milcząc, pili mocną, słoną herbatę. Kobieta wpatrywała się w ogień.

- Kiedy powiedziałaś, że ktoś umarł, zabrzmiało to prawie tak, jakbyś się tego spodziewała - odezwał się cicho Shan.

- Kto wstaje, ten musi się wznieść - szepnęła. Był to fragment starej modlitwy mówiącej o nieuchronności śmierci.

- Zginął pewien stary człowiek, Atso. Spadł, wspinając si do świętej groty.

Kobieta milczała przez jakiś czas, w końcu westchnęła.

- Upierał się, żeby odwiedzać to bóstwo przynajmniej raz w roku. Taka śmierć była mu pisana od zawsze.

Dopiero teraz Shan spostrzegł zwęglony skrawek papieru na skraju paleniska. Ostatnie z zapisanych na nim słów dawało się jeszcze odczytać. *PHAT*. Było to podniosłe zakończenie mantry przywołującej bóstwa.

- Ktoś spalił modlitwę - zauważył.

- Nie powinnam była tego robić. - Staruszka wygrzebała papier z popiołów i rozprostowała go na kolanie. - Przyniosła je ta, która jeździ na czarnym koniu, po jednej dla każdej rodziny. Wyrecytujcie je tysiąc razy, powiedziała. Ale nie mówiła, dlaczego mamy je potem spalić.

- Liya?

Kobieta skinęła głową.

- Nasza Liya.

- Do jakich bóstw ta modlitwa?

Staruszka pochyliła się, wbijając w Shana ponure spojrzenie.

- Do obrońców. Tych gniewnych.

- Dlaczego? - zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, kobieta wstała i poprowadziła go do obórki. Wewnątrz, na belce pod tylną ścianą, wisiał rząd starych thanek. Wszystkie były uszkodzone, jedna przecięta na pół i zszyta, inne podziurawione. Pod nimi stało kilka malowanych ceramicznych posążków, niektóre były rozbite, niektóre obtłuczone.

Bogobójcy. - Słowo to wyrwało się z ust Shana jakby z własnej woli, sprawiając, że oboje spojrzeli po sobie. - Przyszli tu?

Nie. Co mogłoby ściągnąć tutaj takie demony? Ludzie ze wzgórz pamiętają, że kiedyś mieszkali tu artyści, i przynoszą różne rzeczy, licząc na to, że da się je naprawić. - Wyszła z obórki szybkim krokiem, jakby widok zniszczonych malowideł i figurek sprawiał jej ból, i dołała herbaty do czarek, po czym dała Shanowi znak, żeby usiadł. Pili w milczeniu.

- Zrobiłbyś to jeszcze raz? - zapytała nagle z uśmiechem, lekko zakłopotana. - Możesz wynieść ją na dwór, będziesz miał jaśniej.

Shan patrzył na nią przez dłuższą chwilę, próbując zrozumieć, o czym mówi, wreszcie odstawił czarkę, wszedł do izby i przyniósł książkę. Staruszka z zadowoleniem pokiwała głową, znów dołała im obojgu herbaty i usadowiła się na drewnianej ławie przy ogniu, z psem u stóp.

Shan czytał przez kwadrans. Kobieta słuchała z uśmiechem na ustach, chwilami patrząc z rozmarzeniem w ogień, gładząc łeb psa. Zaczął się domyślać, że reaguje nie tyle na słowa, ile na ogólne brzmienie i rytm, melodię obcego języka.

Kiedy przerwał, by upić łyk herbaty, wyciągnęła rękę i pogłaskała książkę.

- Masz głos jak lama - powiedziała.

- Muszę już iść w góry - odezwał się po angielsku. Zarumieniła się.

- Ja nie... rozumieć dobrze - odparła przepraszająco w tym samym języku. - To po prostu przypomina mi dawne czasy - dodała po tybetańsku. - Dobre lata, kiedy byłam małą dziewczynką.

Kiedy uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, pomyślał, że musi w nich widzieć zdumienie. Ta cicha, łagodna kobieta spędziła dzieciństwo z kimś, kto czytał jej po angielsku, prawdopodobnie ponad pięćdziesiąt lat temu. W górach południowego Lhadrung.

- Poszukam Jary i twojego drugiego siostrzeńca - zaproponował. Uśmiechnęła się, ale nie powiedziała „tak”.

- Ten drugi nie lubi, kiedy ktoś go szuka. Po prostu się ukryje. Mam wielu krewnych - dodała z psotnym błyskiem w oku - ale niektórzy z nich są jak duchy. Mają dla mnie wszystko, tylko że rzadko mnie odwiedzają. - Westchnęła. - Lepiej o nim zapomnieć, o wszystkim, co o nim mówiłam.

Shan wstał i podał jej książkę.

- Jeśli kiedyś znów będziesz w pobliżu, proszę, wstąp, żeby mi poczytać - powiedziała, wciskając mu w dłoń garść orzechów. - Zrobię ci coś dobrego do jedzenia. - Szybkim krokiem weszła do domu i po chwili wróciła, wciąż z książką w rękach, ale podała mu inny przedmiot, małą malowaną tsa-tsa z wzorkiem Buddy.

- Dlaczego w górach są cudzoziemcy? - zapytał, zbierając się do odejścia.

- Ktoś złamał śluby - odparła z rozpaczą, po chwili jednak opanowała się i uśmiechnęła. - Bezpiecznej podróży.

- Jestem Shan. Nie znam twojego imienia - powiedział.

- Mam na imię Dolma - odparła. Przycisnęła książkę do piersi. - Ale możesz nazywać mnie Fiona.

Trzy godziny później Shan znów znalazł się przy starej kamiennej wieży ponad Zhoką. Nigdzie nie było widać znaku życia, ani na stokach wzgórz, ani w samej gompie. Jeszcze raz przyjrzał się malowidłom w pomieszczeniu u podstawy wieży a następnie wolno obszedł budowlę, przystając raz po raz, żeby spojrzeć na ruiny klasztoru. Miał wrażenie, że zwalone mury obserwują go, jak gdyby stara gomba była żywą istotą, która przebudziła się z długiego snu i czujnie rozglądała dokoła. Niezrozumienie Zhoki to groźny błąd, przestrzegali Lokesha Atso. A Shan upewnił się teraz, że musi ją zrozumieć, poznać jej tajemnice.

Na ziemi wokół wieży pojawiły się nowe ślady, odciski butów o płytko rowkowanej podeszwie, nie wojskowych ani tradycyjnych tybetańskich. Kręcił się tu ktoś obcy. Shan wszedł do salki, uklęknął przed starym malowidłem i oświetlił zapalką zamazane przez Suryę

słowa. Ołówkiem napisano na nich coś nowego. Nie, uświadomił sobie, przyjrzawszy się dokładniej gdzieś widać było, że ślad ołówka biegnie zgodnie z nielicznymi ciemnymi liniami, które nie zostały zatarte. Ktoś odwzorował litera po literze stary tekst, jak gdyby widział go dzięki jakimś czarom albo znał go już wcześniej. Użył pisma starego stylu, którym kopiowano święte księgi, tak więc Shan z trudem poznawał poszczególne słowa. *OM SARVAVIDYA SVAHA*, przeczytał. Chwała Najwyższej Wiedzy. Po mantrze następował dalszy tekst: *Oczyśćcie się, nim wejdziecie do ziemskiego pałacu, lękajcie się Nyen Puk*. Przyglądał się tym ostatnim słowom. Nyen Puk. Jaskinia Boga Gór.

Wzdłuż urwiska pomiędzy wieżą a gompą ciągnęło się długie, płytkie wyłobienie, którego wcześniej nie zauważył, ślad po niegdyś licznie uczęszczanym szlaku biegnącym skrajem przepaści wyznaczającej północną granicę Zhoki. Ruszył ścieżką, mrużąc oczy przed jaskrawym słońcem. Po trzydziestu metrach przyklęknął i spojrzał na ledwie widoczną linię cienia wzdłuż urwiska, która wskazywała przebieg szlaku, wyobrażając sobie wędrujących tamtędy mnichów. Wróciwszy na grzbiet, ponownie rozejrzał się po okolicy. Ścieżka na urwisku łączyła się przy wieży z głównym szlakiem prowadzącym do ruin, a niespełna pięćset metrów dalej, gdzie szlak skręcał ostro w stronę gomp, odbijała od niego druga, mniej uczęszczana dróżka, biegnąca dalej wzdłuż grzbietu. Prześledził ją wzrokiem i dostrzegł teraz nowe smugi cienia, odkrył, że okrążała ona Zhokę ponad niecką, w której leżała gomba. Była to kora, jedna z okrężnych ścieżek, jakie wytyczano wokół starych gomp i sanktuariów, by pielgrzymi obchodzili je dla zyskania zasług. Oznaczało to, że wieża była przystankiem na korze, pierwszym przystankiem napotykanym przez wszystkich, którzy przybywali od zachodu, skąd należało się spodziewać najliczniejszych odwiedzin. Piękne malowidło w pomieszczeniu na dole, elegancka mantra i zamazany przez Suryę tekst pod malowidłem były przeznaczone dla pielgrzymów, miały ich przygotować na spotkanie z Zhoką.

Ruszył zarośniętą ścieżką nad urwiskiem. Kilka razy przystanął, żeby spojrzeć w przepaść, wspominając swoje utracone Patyczki wróżebne, aż w końcu wszedł między ruiny. Trzymając się cienia kładącego się na skraju centralnego dziedzińca z nowym czortenem, dotarł na pusty plac przed braną. Nigdzie nie było śladu Genduna ani Tybetańczyków, którzy uciekli. Był tylko kamień nadproża z przesłaniem równid stosownym dla detektywów jak dla pielgrzymów i mnichowi *Zgłębiaj jedynie Absolut*. Dyrektor Ming cytował te słowa był w ruinach i rozmawiał z Suryą. Czyżby Surya zniszczył tekst w wieży dlatego, że wiedział, czym interesuje się Ming? Ale obaj już wcześniej byli razem w wieży. Surya, uświadomił sobie nagle Shan, zamazał te słowa, ponieważ tamtego dnia odkrył w

podziemiach coś, co żywo zainteresowałyby nimi Minga i jego kolegów, coś, co odczytane doprowadziłoby do zniszczenia Zhoki.

Na centralnym dziedzińcu znalazł lampkę maślaną, którą po nocnej pracy zostawili pod murem za czortenem, zapalił ją i ostrożnie ruszył w dół po schodach. Na podłodze sali z małą? widłem wciąż stała kałuża krwi, tyle że wyschła i zbrązowiała. Posuwając się pod ścianami, okrążył pomieszczenie. Straszliwy, upiorny nastrój sali jakby się ulotnił, zniknął też odór śmierci. Po raz pierwszy, odkąd włożył ją do kieszeni, Shan dotknął dziwnej kartki pechy z angielskim tekstem, po czym znów przyjrzał się ścianom. Przeciągnął po nich opuszkami palców, wymacując drobne szczeliny i wypukłości. Badając każdy kąt, przyjrzał się uważnie nagiej skale stanowiącej jedną ze ścian oraz oślepijonemu wizerunkowi bóstwa na sąsiedniej. Surya i Gendun zachowywali się tak, jakby ruiny na powierzchni nic nie znaczyły, jak gdyby gompą nigdy nie została zniszczona. Czy było tak dlatego, że to, co najważniejsze w Zhoce, znajdowało się głębiej? Jeśli Zhoka istotnie była świątynią obłaskawiającą ziemię, jej pradawni budowniczowie mogli umieścić jej serce w podziemiach.

Nagle z głębi tunelu dobiegło go echo kroków. Zdmuchnął lampkę. Kroki ucichły, rozległy się niskie głosy i za wejściem do sali rozbłysła lampa błyskowa, raz, potem drugi. Ciemność tunelu przeszył biały snop światła z elektrycznej latarki, która przesunął się w stronę wejścia. Shan rzucił się w najbliższy kąt i przykucnął. Odczekał trzydzieści sekund, minutę i wstali lecz wtedy nagle w drzwiach ukazała się jakaś postać, która skierowała nań strugę światła.

- Kto to?! - wykrzyknął zaskoczony człowiek z latarką.

Shan gwałtownie osłonił dłonią oczy i wolno, bokiem, zaczął się przesuwać pod ścianą w stronę drzwi, którymi tu wszedł.

Intruz powoli zbliżył się do niego, cały czas świecąc mu w oczy.

- Co tu robicie? Jak tu trafiliście? - zapytał, zagradzając mu drogę ucieczki.

Gdy opuścił snop światła ku ziemi, Shan poznał, że to niski Chińczyk, którego widział przed siedzibą władz okręgu. Wciąż miał na sobie białą koszulę i brązowy bezrękawnik.

- Zgubiliście się? - zapytał wolno Shan, podczas gdy jego umysł pracował jak szalony.

- Tu jest niebezpiecznie.

- Macie pojęcie, jakie kary grożą za szabrownictwo? - zapytał ostro przybysz.

- Szabrownictwo? Myślałem, że wszystko zostało zniszczone. - Ten człowiek musiał tu przylecieć helikopterem, a zważywszy na jego wysokie stanowisko, było mało prawdopodobne, żeby przybył bez wojskowej eskorty. Żołnierze prawdopodobnie czekali gdzieś na powierzchni, być może w ukryciu. Shan znów przesunął się w stronę drzwi.

Mężczyzna uniósł latarkę, jakby zamierzał się nią na Shana.

- Co tu robicie? - zapytał wolno, władczym tonem. - Dla kogo pracujecie? Kto was tu sprowadził? - Przybysz wyglądał niechlujnie, Shan dostrzegł jednak, że w jego oczach jarzy się żywa, głęboka inteligencja.

- Mieszkam w tych górach. - Shan spojrzął na notatnik w ręku nieznanego i dostrzegł jakieś zapiski. Uświadomił sobie, że ten człowiek także czegoś tu szuka. Ale czego?
- To nie jest bezpieczne miejsce dla turystów.

Mężczyzna spojrzął na niego twardo, ze zniecierpliwieniem.

- Ani wy, ani ja nie jesteśmy turystami, towarzyszu. Czego szukacie w tych ruinach? I właśnie w tej sali?

- Coś się tu wydarzyło.

- Co macie na myśli? - Nieznajomy omiół ściany snopem światła.

- Po pierwsze, ktoś coś stąd ukradł.

Mężczyzna zamarł i po chwili znów odwrócił się do Shana.

- Dlaczego tak uważacie? - zapytał z nagłym zainteresowaniem.

- Trzy ściany tego pomieszczenia były otynkowane i pokryte malowidłami. Jedno wciąż jest - powiedział Shan, wyciągając rękę ku wyblakłej polichromii. - Z jednej osypał się tynk. - Wskazał ścianę na lewo od poprzedniej. - Oto on - dodał, pokazując długi, niski kopczyk leżącego pod nią pokruszonego tynku. - Ale trzecie było w doskonałym stanie.

Wyciągnął rękę i nieznajomy podał mu latarkę. Shan podszedł do prawego rogu pustej ściany i oświetlił ledwie widoczną poszarpaną linię biegnącą równolegle do jej krawędzi. Następnie powiódł wiązką światła wzdłuż prawie niewidocznej rysy tuż pod sufitem, którą wcześniej wymacał palcami.

- Ci, którzy to zrobili, starannie usunęli ślady starego tynku. Ale nie wszystkie. Przypuszczam, że okleili malowidło taśmą albo zabezpieczyli je tkaniną lub papierem, po czym nacięli tynk i odłamali od góry, wzdłuż tej szczeliny. - Światło latarki wyłowiło z ciemności nierówną krawędź tynku, a nad nią prostą rysę wyznaczającą górny brzeg malowidła. - I tutaj - dodał Shan, wskazując tkwiący w szczelinie kawałek drutu. - Pozostałość szczotki, którą potem oczyścili ścianę. Próbowali ukryć swoje przestępstwo.

- Macie pojęcie, jak trudno zdjąć takie malowidło? - zapytał sceptycznym tonem przybysz. - Na całym świecie jest chyba tylko kilkudziesięciu ludzi, którzy potrafiliby zrobić to jak należy. - Umilkł, jakby zamyślił się nad własnymi słowami, po czym wziął od Shana latarkę i przyjrzał się śladom, które ten mu wskazał, tak jak on pochylając się nad

narożnikiem, przesuwając palcem po rysie pod sufitem. W końcu z resztek tynku w górnej części ściany wyciągnął piętnastocentymetrowy brązowy włos.

- Końskie włosie - stwierdził Shan. - Powszechnie dodawano je do tynku, żeby go wzmocnić. Wielu Tybetańczyków wciąż tak robi. - Przyjrzał się włosowi. - Ten akurat koń żył prawdopodobnie kilkaset lat temu. Był brązowy, a włos pochodzi zapewne z jego grzywy. Mnisi odmówili modlitwy, żeby mu odziękować za pomoc w budowie świątyni.

Mężczyzna przekrzywił głowę, wpatrując się w włos z fascynacją ale i rozczarowaniem. A potem, na oczach obserwującego to z narastającym przerażeniem Shana, wyciągnął z kieszeni małą foliową torebkę i włożył go do środka.

Shan ukradkiem przesunął się w stronę drzwi. Gdyby rzucił się na tego człowieka i go przewrócił, mógłby dobiec do schodów i może udałoby mu się wymknąć czekającym na powierzchni żołnierzom.

Przybysz znów spojrzął na Shana, jeszcze raz oświetlając latarką jego twarz.

- Czy ten sukinsyn Tan - mruknął - naprawdę myślał, że tak łatwo uda mu się was ukryć? To przecież wy, Shan z lao gai.

Shan poczuł, że łód ścina mu członki. Gdyby uciekł teraz, rozpoznany, ten człowiek ściągnąłby w góry więcej żołnierzy, wyszkolonych do poszukiwań, którzy prawdopodobnie znaleźliby i aresztowali Lokesha, Genduna, a nawet małą Dawę.

- Zdziczały Chińczyk - ciągnął mężczyzna, jakby chciał sprowokować Shana - który wie, jak rozmawiać z Tybetańczykami żyjącymi w górach.

- Jestem Shan - potwierdził szeptem. - Sama znajomość tybetańskiego niewiele tu znaczy - dodał. - Ci ludzie nigdy nie będą swobodnie rozmawiać z władzami.

- Dlaczego?

Shan milczał, zaciskając zęby.

- Jesteście chyba od niedawna w Tybecie - powiedział w końcu.

Przybysz spojrzął na Shana, przekrzywiając głowę, podobnie jak wcześniej patrzył na kilkusetletni koński włos.

- Chcemy, żebyście pomogli nam przesłuchać kilku Tybetańczyków, przez parę dni, dopóki nie wrócę do siebie. Mój kolega dobrze wam zapłaci. Nie macie stałej pracy, jesteście byłym więźniem.

- Do siebie? To znaczy gdzie? Nieznajomy mruknął gardłowo.

- Jestem inspektor Yao Ling z Pekinu. Podlegam Radzie Ministrów.

Cisza, która zapadła w sali, wzbierała jak chmura pyłu niemal dławiąc Shana. Nie dość, że Yao był z Pekinu, to jeszcze okazał się pracownikiem elitarnego, kilkuosobowego organu wykonującego specjalne, tajne zadania dla najwyższych władz.

- Nie wiedziałem, że Rada zatrudnia detektywów - powiedział łamiącym się głosem Shan.

- Detektywa. Tylko jednego. Praca, którą wykonuję, nie znosi rozgłosu - odparł Yao. Skierował latarkę na twarz Shana. - Skąd wiecie o Radzie?

- Przybyliście tu z powodu morderstwa? - zapytał Shan.

- Jakiego morderstwa? - zapytał Yao, podchodząc do niego.

- Kradzież malowidła była tylko jednym z przestępstw, które tu popełniono. Wczoraj, w tej sali, ktoś został zabity. Później aresztowano i przesłuchano pewnego starego mnicha.

Yao zmarszczył brwi. Przeszedł się po pomieszczeniu i jeszcze raz spojrzął na ścianę, z której skradziono malowidło.

- To nie było aresztowanie. Musieliśmy omówić z nim pewną sprawę.

- Wy i dyrektor Ming? - Shan zrobił krok w stronę drzwi. - Dlaczego Rada Ministrów interesuje się starym mnichem?

Yao spojrzął na niego ostro.

- Widzieliście tu zwłoki?

Shan wskazał ciemnobrązowe plamy na podłodze.

- Widziałem świeżą krew. Surya... - Zawahał się, wciąż nie wiedząc, jaką rolę odegrał w tym mnich. - Surya widział ciało.

Inspektor westchnął.

- Ming powiedział, że ten dziadek zna się na dawnej sztuce, na jej symbolice, a nawet mógłby wskazać miejsca, gdzie są ukryte zabytkowe przedmioty. Ale on przeżył jakiś wstrząs. Bredzi teraz jak obłąkany. Nie zrozumieliśmy nic z tego, co mówił, nie mogliśmy z niego wydobyć żadnych użytecznych informacji. Następnym razem zaprosi nas na księżyc, żeby pokazać nam trupy wszystkich swoich ofiar.

- Nie mogliście nic z niego wydobyć... - powtórzył Shan. - Ale wczoraj tak pilnie musieliście z nim porozmawiać, że Ming wysłał po niego helikopter?

- Wysłał? Sam nim poleciał.

A więc to Ming wydawał żołnierzom polecenia przez radio, *yiing*, który zachowywał się tak, jakby wiedział, kto zginął.

- Nie przybyliście z Pekinu z powodu wczorajszego morderstwa. Zjawiliście się tu już wcześniej.

- Nie doszło do żadnego morderstwa. - Byłem na górze, w ruinach. Widziałem twarz Suryi, kiedy wyszedł z podziemi. On był tutaj. Ktoś został zamordowany. Inspektor nie ukrywał zniecierpliwienia.

- Morderstwo to termin prawny. Nie ma mowy o morderstwie, dopóki się tego nie ustali w postępowaniu prawnym. Brązowe plamy na podłodze jaskini, bredzący stary Tybetańczyk? To wszystko nas nie interesuje.

- A jednak tu przyszłście.

Inspektor Yao uniósł dłoń i otworzył usta, jakby miał zamiar coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili rozległ się gorączkowy okrzyk:

- Yao! Jezu! Musisz...! - Nagłące wołanie przerodziło się w przeciągły jęk. Krzyczący zdawał się od nich szybko oddalać.

Yao zniknął w drzwiach, którymi tu wszedł. Shan zawahał się, pomyślawszy, że mógłby teraz uciec. Kiedy jednak krzyk rozległ się znowu, stłumiony, rozpaczliwy, popędził za inspektorem w mrok. Goniąc snop światła z jego latarki, uświadomił sobie nagle, że krzyczący człowiek wołał po angielsku.

Gdy Shan dopędził wreszcie Yao, inspektor stał na końcu korytarza, u wejścia do obszernej skalnej komory, patrząc na dwumetrowej szerokości potok rwący spod sklepienia do basenu, którego odpływ ginął w ciemnościach na lewo od nich.

W wartkim strumieniu leżała, wciąż świecąc, krótka czarna latarka.

Yao powiódł dookoła snopem światła. Shan sięgnął do lodowatej wody i wyłowił latarkę. Była z metalu, a kąpiel, jak się zdawało, nie wyrządziła jej żadnej szkody.

- Tam! - wykrzyknął po chwili, wskazując parę butów na głazie przy brzegu basenu. Były to kosztowne skórzane buty turystyczne, w które wetknięto grube wełniane skarpety. - Skały są bardzo gładkie - zauważył. - Bardzo śliskie.

Ale Yao nie słuchał go. Przyglądał się czemuś na ścianie po drugiej stronie basenu, niewyraźnym kształtom namalowanym farbą na czarnej skale.

Shan ruszył w dół strumienia, z początku wolno, potem truchtem, zbiegając po szerokich stopniach wykutych w skale po lewej stronie wygładzonego przez wodę koryta. Ktoś, kto by się pośliznął i upadł do tej rynny, pomknąłby nią jak karkołomną zjeżdżalnią bez poręczy i jakichkolwiek punktów zaczepienia, nijak nie mogąc się zatrzymać. Minał wykute w skałach komory, potem osypujące się malowidło. Po minucie zauważył, że przed nim się rozjaśnia, i wyłączył latarkę. Korytarz zaczął opadać coraz łagodniej, aż w końcu biegł niemal zupełnie płasko. Shan minął zakręt i zobaczył przed sobą dzieńne światło. Ścieżka kończyła się na skalnym filarze na skraju basenu, za którym znajdował się prostokątny, wysoki mniej

więcej na półtora metra i na dwa i pół szeroki wlot krótkiego stromego kanału odpływowego, z którego woda tryskała do głębokiego na kilkadziesiąt metrów wąwozu. W stropie osadzono tam niegdyś, mniej więcej co trzydzieści centymetrów, żelazne szczelby, jednak większość przerdzewiała już i odpadła, tak że zostały z nich tylko zardzewiałe szpikulce. U wylotu kanału zachowały się jeszcze dwa szczelby, bardzo już jednak przeżarte korozją. Zapierał się o nie nogami potężny, barczysty mężczyzna, cudzoziemiec. Wsparty na lewej ręce, zanurzonej w płytkiej, wartko płynącej wodzie, palcami prawej drapał skałę obok siebie, daremnie szukając czegoś, czego mógłby się uchwycić.

- Nic panu nie jest? - zapytał Shan po angielsku.

- A jak, do diabła, myślisz, Yao? O ile wiem, jestem o włos od śmierci. Te szczelby lada chwila puszczą. - Nieznajomy był starszy od Shana, jego kręcone, brązowe włosy były przyprószone siwizną. Ubrany był w kamizelkę z licznymi kieszeniami. Na szyi zawieszony miał kosztowny aparat fotograficzny.

- Nie jestem Yao - odparł Shan, rozglądając się za czymkolwiek, co mógłby mu podać.

Cudzoziemiec spojrzał zezem w jego stronę.

- Świetnie! - wykrzyknął. - On pewnie nie miałby dość siły, żeby zrobić, co trzeba. Założę się, że najpierw pobiegłby zadzwonić do Pekinu po radę.

- Kim pan jest? - zapytał Shan, ściągając pasek od spodni. Nie mógł wejść do wody, żeby pomóc temu człowiekowi. Stromym kanałem zjechałby w czeluść wąwozu, a przedtem pewnie wpadłby na cudzoziemca, co przypuszczalnie obruszyłoby szczelby, które utrzymywały jego ciężar.

- Przyszedł pan mi pomóc czy napisać mój pieprzony nekrolog? - warknął gniewnie mężczyzna. Jego drapiące skałę palce zostawiały na niej krwawe ślady.

Ale Shan powtórzył pytanie, wciąż rozglądając się za czymś, czego mógłby użyć, żeby go wyciągnąć.

- Corbett! - wrzasnął nieznajomy. - Z FBI!

- Musi pan mi rzucić swój aparat - powiedział Shan.

- Akurat.

- Nie mam żadnego kija, żadnej liny. Połączę pasek od pańskiego aparatu z moim paskiem od spodni i przywiążę je sobie do kostki. Tu jest skalny filar. Przywiążę się do niego koszulą i położę się w wodzie. Będzie pan musiał złapać pasek, żebym mógł pana wyciągnąć.

Amerikanin spojrzał na Shana z ponurą, przerażoną miną, po czym zakrwawioną dłonią ściągnął z szyi aparat, zakręcił nim nad głową i rzucił go w jego stronę. Aparat uderzył

w skałę za plecami Shana. Obiektów roztrzaskał się i odpadł od korpusu. Shan odpiął zrobiony z grubej taśmy pasek nośny, przywiązał go do paska od spodni, a drugim końcem do kostki i chwilę później wszedł ostrożnie do wody, trzymając się jednego rękawa swej koszuli, drugim przywiązanej do skalnej kolumny.

- O co pytali tego starego mnicha?! - zawołał, idąc. Amerykanin zaklął.

- Nie wiem, do cholery! Kazali mu narysować śmierć! Shan wyciągnął się w wodzie.

- Niech pan sięgnie lewą ręką, kiedy panu powiem! - bzyknął.

Gdy nieznajomy powoli oderwał dłoń od dna strumienia, przenosząc większą część swego ciężaru na nogi, oberwał się żelazny szczebel pod jego prawą stopą.

Shan wyciągnął nogę, starając się skierować koniec paska w pobliże ręki cudzoziemca.

- Musi pan się odwrócić i chwycić go, kiedy powiem! - zawołał.

- Jeśli nie złapię, już po mnie - jęknął mężczyzna.

- Nie wiem, co wytrzyma dłużej - stwierdził Shan - moja koszula czy ten ostatni szczebel. - Wysunął nogę tak daleko, jak się dało; unosząc ją i wykręcając, obserwował koniec paska niesionego przez wodę ku cudzoziemcowi. - Teraz!

W tej samej chwili, gdy nieznajomy obrócił się i chwycił pasek, ostatni szczebel złamał się, a koszula Shana zaczęła się drzeć. Amerykanin obsunął się, nogi zawisły mu nad przepaścią. Swym ciężarem ciągnął Shana za sobą. Wtem czyjaś dłoń chwyciła Shana za ramię i zatrzymała go. Obejrzał się i zobaczył Yao. Inspektor obejmował ramieniem skalny filar i holował do niego Shana, aż on też się go uchwycił, po czym wraz z Yao pociągnęli za pasek od aparatu przywiązany do jego kostki.

Wreszcie Amerykanin znalazł się w zasięgu ich rąk i wspólnymi siłami wyciągnęli go z wody. Shan padł bezwładnie obok niego. Yao, dysząc, usiadł ciężko na ziemi, przedtem jednak ukradkowo, tak by cudzoziemiec tego nie zauważył, kopnął jego aparat do kanału, gdzie prąd natychmiast zniósł go w otchłań.

- Gdzieś ty u diabła był?! - warknął Amerykanin do Yao.

- Nie narzekaj - odparł Yao, z trudem łapiąc oddech. - Dzięki mnie zaoszczędziłeś sto dolarów.

Shan spojrział na nich. Leżeli bez sił na ziemi. Yao patrzył na Amerykanina gniewnym wzrokiem, Amerykanin chichotał. Shan z wysiłkiem podniósł się na nogi, chwycił swoją koszulę, wyciągnął z kieszeni znaną latarkę i rzucił się biegiem w głąb tunelu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Shan nie zwolnił kroku, gdy wybiegł z podziemi. Wpadł w cień jednej z wiodących ku zboczcu długich alei między ruinami, nasłuchując odgłosów pogoni, wypatrując żołnierzy. Nic Biegł, kierując się pamięciową mapą gomy, dopóki nie dotarł na wschodni skraj rumowiska, po przeciwnej stronie niż kamienna wieża. Zatrzymał się i łapiąc oddech, spojrzał na swoje mokre nogi. Jeśli poprzedniego dnia w sali z malowidłem zabito człowieka, zwłoki usunięto bardzo szybko. Najłatwiej byłoby wrzucić je do bystrego podziemnego potoku, by jego nurt zniósł je do wąwozu, jak nieomal stało się z Amerykaninem.

Idąc ścieżką wydeptaną na szczycie biegnącego łukiem muru, znalazł miejsce, skąd otwierał się widok na wąwóz pod starą gompą. Widział stąd w całej okazałości tryskający z urwiska wodospad. Woda spadała do leżącego sto pięćdziesiąt metrów niżej basenu, z którego krętą nitką wypływał strumień, kierując się na północny zachód, w stronę doliny Lhadrung. Shan uklęknął nad urwiskiem i przyjrzał się zdradliwym, niemal pionowym ścianom. Aby dotrzeć do basenu, musiałby iść wiele kilometrów na wschód, ku dolinie, i równie długo wracać dnem wąwozu. Nie zauważył wprawdzie zwłok, ale nie wiedział przecież, jak głęboki jest basen, poza tym ciało mogło spłynąć w dół strumienia lub spaść w zalegający wokół basenu cień. Spostrzegł barwne plamy, które wyraźnie odcinały się od skał wąwozu, i przypomniał sobie, jak Dawa w ataku paniki rzucała tam różne przedmioty. Gdzieś w dole eżał mały Budda Genduna, a także jego własny worek, w nim zaś rodzinna pamiątka - łożyszki krwawnika. Rozejrzał się po okolicy, daremnie wypatrując jakichkolwiek śladów Lokesha lub Genduna. Mógł wyruszyć na wschód, minąć odległy o pięć kilometrów wylot wąwozu, przebyć kolejny grzbiet i przed zachodem księżyca znaleźć się przy ukrytym wejściu do Yerpy. Spojrzał na zachód. Mógł wrócić do dziwnego, przytulnego domu kobiety, która chciała, żeby ją nazywał Fiona, i spędzić noc, czytając jej angielskie powieści. Potem odwrócił się na południe, w kierunku groźnych, niegościnnych ziem między Lhadrung a leżącą niemal osiemdziesiąt kilometrów dalej granicą z Indiami. Gdy ostatni raz widział Lokesha, biegł on właśnie tam, szukając przerażonej dziewczynki.

Miał właśnie wstać i ruszyć w tamtym kierunku, gdy jego nozdrza musnęła ulotna woń kadzidła. Pięć minut później był z powrotem w ruinach, a po pięciu następnych stał u źródła zapachu.

Pod największą z zachowanych ścian, z poszarpanym otworem pośrodku, siedział Gendun. Shan usadowił się obok, starając się, żeby obawa o lamę nie znalazła dostępu do jego głosu.

- Tu są ludzie tacy jak ci, którzy zabrali Suryę - powiedział, gdy Gendun przywitał go skinieniem głowy.

- Wybierałem się właśnie, żeby porozmawiać z nimi o tym, jak piękne jest dzisiaj niebo - odparł Gendun. - Świątynie służą szerzeniu prawdy, Shan. Nie ukrywaniu jej - dodał, gdy spostrzegł wyraz oczu Shana.

- Czy nie powinniśmy najpierw zrozumieć prawdy? - zapytał Shan. - Pojąłeś czyn Suryi, pojąłeś modlitwę, którą ci dał, żebyś go odpędził?

- Modlitwa miała odpędzić demona - poprawił go lama. Shan cicho zrelacjonował, czego się dowiedział w mieście.

- Co go tak wzburzyło, rinpocze? To, co przydarzyło mu się w podziemiach, nie było początkiem jego udręki, ale jej ostatnim stadium. Ty znałeś go lepiej niż ktokolwiek inny.

Gendun złożył ręce na podołku i utkwiał w nich wzrok.

- Kiedy znalazł tę starą kronikę Zhoki, był szczęśliwy jak nigdy w życiu. To były zapiski sprzed dwustu lat, ale wyjaśniały wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tej gompie i jej założycielach. Surya stwierdził, że całe jego życie było przygotowaniem do tego, by tutaj zamieszkać. Zaczął opuszczać pustelnię w ciągu dnia, żeby przychodzić do Zhoki i lepiej ją poznawać. Dwa dni temu zaszedłem do jego celi. Był roztrzęsiony, nie mógł wymówić słowa. To było tego wieczora, kiedy pociął swój obraz. Nic nie mówił. Siedziałem z nim przez całą noc. Odmawiał ze niną modlitwy, ale nie odezwał się do mnie.

- Wiedziałeś, że spotykał się tu z ludźmi z zewnątrz?

- Tydzień albo dwa temu powiedział, że ludzie z całego świata spoglądają ku Zhoce, nic więcej. Sądziłem, że ma na myśli ludzi ze wzgórz.

- On twierdzi, że spotkał jakiegoś wielkiego opata. Lama przez dłuższy czas zastanawiał się nad słowami Shana.

- W tych górach od dziesiątków lat nie ma żadnego wielkiego opata - powiedział w końcu. Przyjrzał się uważnie Shanowi, jakby u niego szukał wyjaśnienia zagadki. Ale Shan nie umiał mu go udzielić. Wiedział, że rozmowa sprawia lamie trudność. Nigdy dotąd Gendun nie poświęcił aż tylu słów dylematom związanym z materią, tajemnicom, jakie Shan starał się rozwikłać. Zdawał sobie sprawę, że powodem było to, iż lama, podobnie jak on sam, nie był pewien, czy tajemnica Suryi jest tajemnicą ciała czy ducha.

- W tunelach spotkałem dwóch śledczych - odezwał się, zerkając w stronę prowadzących pod ziemię schodów.

Gendun popatrzył na unoszący się kłęb kadzidlanego dymu.

- Jeśli szukają dowodu przeciwko Suryi, powinieneś im go dać - powiedział cicho.

Shan spojrział na niego oniemiały.

- Surya tego właśnie by sobie życzył - dodał Gendun.

- Nie mogę, rinpocze - odparł Shan. Konieczność odmówienia lamie sprawiła mu ból, czuł się tak, jakby serce ścisnęły mu kleszcze. - Zamierzam ratować Suryę przed nim samym.

- Obejrzał się i napotkał wzrok Genduna. Słów raz wypowiedzianych nie dało się cofnąć. Ochroni mnichów, nawet gdyby to oznaczało, że będzie musiał opuścić ich już na zawsze.

- Ratować Suryę, ratować ludzi przed bogobójcami, ratować dziewczynkę, która uciekła, ratować Yerpę i jej mnichów - wyrecytował obojętnie Gendun. - Nawet ty nie zdołasz dokonać tego wszystkiego.

- Nie - przyznał Shan. - Co według ciebie powinienem zrobić?

- Jedyne, co się liczy. Uratować Zhokę.

Siedzieli w milczeniu, gdy Shan zastanawiał się nad tymi słowami.

- Gdzie jest ta księga o Zhoce? - odezwał się wreszcie.

- Zbyt niebezpiecznie było trzymać ją u nas. Surya odniósł ją tam, gdzie ją znalazł. Tylko on zna tę jaskinię.

Po raz kolejny rozglądając się po ruinach, Shan dostrzegł dwie postacie wspinające się na zbocze ponad gompą. Yao i Amerykanin wracali do kamiennej wieży.

Dziesiątki nowych pytań cisnęły mu się na usta, ale gdy znów spojrział na Genduna, zobaczył, że lama ma zamknięte oczy. Medytował.

- Lha gyal lo - powiedział cicho i wstał. Być może nie wszystkie zadania, które sobie postawił, były niewykonalne. Nie miał pojęcia, gdzie szukać demonów i świętych ksiąg, ale wiedział, że Lokesha i Dawę może znaleźć na południu.

Kwadrans później Shan zbiegał prowadzącą na południe ścieżką po drugiej stronie górującego nad Zhoką grzbietu, gdy nagle potknął się i padł na brzuch, boleśnie uderzając się o głaz. Ocierając ziemię z ust, spostrzegł przeciągnięty w poprzek ścieżki sznur z sierści jaka oraz parę znoszonych butów. Podźwignął się na rękach i ujrzał przed sobą pasterza o byczej posturze, który poprzedniego dnia chciał go wydać władzom. Mężczyzna zamachnął się na niego nogą, ale Shan przetoczył się w bok i bez trudu uniknął kopnięcia, po czym podniósł się wolno i usiadł na głazie, uważając, żeby nie sprowokować dalszej agresji.

- Dostałem kiedyś nagrodę za zabicie wilka - warknął olbrzym. - Ty w dolinie jesteś wart tyle co pięćdziesiąt wilków.

- Przykro mi, że wczoraj przerwano wam modlitwy - odparł spokojnie Shan. - Chciałem cię zapytać o bogobójców.

- Mówiłem już, że cię zabieram - burknął pasterz. Podeszedł o krok bliżej, unosząc pięść. Shan dostrzegł, że z guzika zwisa mu pętelka ze sznurka, a na szyi wisi zrolowany świstek papieru. Mężczyzna nosił zaklęcia ochronne.

Shan wyciągnął rękę i podniósł garść błotnistej ziemi z zagłębienia pozostawionego przez but pasterza. Splunął w dłonie i zaczął toczyć ziemię w kulkę.

- Widziałeś ich? Widziałeś bogobójców?

Mężczyzna zerknął niespokojnie na jego dłonie.

- Nie rób tego - powiedział, szurając stopą po ziemi, żeby zatrzeć resztę swoich śladów.

- Widziałeś? - Shan otworzył dłoń i zaczął formować z błota figurkę człowieka.

- Widziałem jakichś obcych, trzy albo cztery razy w ostatnich dwóch tygodniach. Nie zbliżałem się na tyle, żeby zobaczyć, kim są. Mają drogie ubrania. Plecaki. Lornetki. Robią dużo hałasu. Często się śmieją. Ich papierosy czuć na kilometr.

Shan wciąż ugniatał ziemię. Była to prastara magia, wywodząca się z przedbuddyjskiego Tybetu. Robił figurkę pasterza, za pośrednictwem której można było wyrządzić mu krzywdę. Zwykle używano do tego kosmyka włosów lub skrawka ubrania, ale ziemia ze śladu buta mogła wystarczyć.

- Nie masz pojęcia... - zaczął niepewnie mężczyzna, wpatrując się w dłonie Shana. Cofnął się o krok. - Niech cię szlag! Przestań!

- Gdzie? - zapytał Shan.

- Ostatnim razem sześć, może osiem kilometrów stąd. Bliżej doliny. Jest tam parę płytkich żlebów, a za nimi pastwisko, niebezpieczny teren. Nie chodzi tam nikt prócz pasterzy. Więc kiedy jeden z moich psów zaczął szczeleć, pomyślałem, że to Jara albo ktoś inny prowadzi swoje stado. Ale to była gromada Chińczyków i Tybetańczyków, jakieś dziesięć-dwanaście osób. Mieli kolorowe kurtki i zachowywali się jak turyści. Odesłałem psa i ruszyłem w ich stronę. Myślałem, że uda mi się u nich trochę zarobić, że wezmą mnie na przewodnika. Podeszedłem na tyle blisko, że słyszałem, jak czytają sobie nawzajem z pielgrzymiej księgi, dość blisko, by widzieć, że mają już przewodnika, tego miastowego sukinsyna z poobrywanymi palcami.

- Modlili się?

- Jasne, że nie.

- Więc po co im była pielgrzymia księga?

- Bo tam stoi napisane, jak trafić do dawnych miejsc pielgrzymkowych, do starych sanktuariów - wyjaśnił sterz. - Jeśli ktoś ich nie szuka, żeby się modlić, szuka ich w przeciwnym celu.

- Chcesz powiedzieć, że ci ludzie niszczyli święte przed, mioty?

- Odsunęli płaski kamień, za którym był ukryty kamienny ołtarzyk. Bywałem tam z ojcem, kiedy chodził modlić się do bóstwa na tym ołtarzu. To był miedziany posążek Buddy. Kiedy odeszli, był roztrzaskany jak ta srebrna Tara.

- Widziałeś więcej tak zniszczonych posążków?

- W sumie pięć, wszystkie z roztrzaskanymi głowami i rozcięte na plecach. Wszystkie puste. - Mówiąc to, mężczyzna wpatrywał się w przedstawiającą go figurkę z błota.

- A wczoraj nie natknąłeś się na kogoś z tych obcych? Może w nocy?

- Nie wiem. Może. Po zmroku jacyś ludzie szli na południe, nieśli coś jakby kłody. Nie podchodziłem bliżej.

- Dlaczego bogobójcy mieliby chodzić po nocach?

- Dlatego, że wtedy mnisi wychodzą z ukrycia. - Pasterz skrzywił się i wskazał ulepioną przez Shana figurkę. - Myślisz, że przestraszysz mnie garścią błota? Musisz wypowiedzieć zaklęcie. Bez zaklęcia to nic nie znaczy.

- Uczono mnie tego - odparł Shan. Pochylił się i napisał palcem na ziemi *OM GHATE JAM-MO*.

Mężczyzna zamilkł, spoglądając żałośnie to na wypisane słowa, to na Shana. Po chwili machnął ręką, wskazując wyzierający Shanowi spod rękawa rząd cyfr wytatuowanych na przedramieniu, po czym westchnął i zatarł słowa butem. Gdy Shan podwinął rękaw, olbrzym o pociętej bliznami twarzy skrzywił się.

- Gdzie? - zapytał.

- Cztery Czwarta, w dolinie. Pasterz znów spojrzał na figurkę.

- Nikt nie mówił, że chodzi o przyprowadzenie więźnia. - Zaklął pod nosem i również podwinął rękaw, ukazując podobny tatuaż. - Osiem lat w wielkim więzieniu pod Lhasą. Idź - powiedział, ale wyciągnął dłoń.

Shan zamierzał już oddać mu figurkę, lecz nagle zmienił zdanie.

- Jak brzmi to słowo, za które zabijają? - Jesteś szalony. Daj spokój!

- W takim razie odpowiedz mi, nie wypowiadając go. Pasterz jęknął cicho i ponownie spojrzał na laleczkę z błota w dłoni Shana.

- To było bóstwo opiekuńcze Zhoki, jedna z postaci Jamy. Urządzono na jego cześć święto z udziałem ludzi ze wzgórz, z tancerzami w kostiumach i w maskach. O zmierzchu

zerwał się wielki wiatr i porwał kostium bóstwa, zabrał go do nieba, tak że nikt go już więcej nie widział. Następnego dnia przyleciały samoloty.

Shan upuścił figurkę na nadstawioną dłoń mężczyzny. Wiedział, że pasterz będzie musiał teraz ukryć ją gdzieś, gdzie nie stanie się jej żadna krzywda. Olbrzym pchnął go brutalnie na szlak, klnąc, jakby został oszukany.

- Co mnie to obchodzi?! - wrzasnął za odchodzącym Shanem. - Idź dalej na południe, a będziesz miał o wiele więcej powodów do strachu niż spotkanie z takimi jak ja! Tam są już tylko rozcinacze zwłok i błękitnoocy!

Zanim trafił na owczą ścieżkę, która prowadziła prosto na południe, słońce zniknęło już w połodze purpury i złota. Niespodziewanie rozległ się mechaniczny terkot, który sprawił, że Shan umknął za skałę. Z ulgą zobaczył, że helikopter usiadł na wzgórzu ponad Zhoką, a minutę później znowu wzbił się w powietrze, zapewne zabierając Yao i Amerykanina z powrotem do Lhadrung. Potem przypomniał sobie niedopałek cygara, który znalazł w podziemiach. Ktoś jeszcze był w Zhoce i wciąż mógł się tam czaić, gdy Gendun był pogrążony w medytacji.

Ruszył znów wolnym krokiem, myśląc o swoich obawach i niepojętych wydarzeniach ostatnich dwóch dni, nie potrafiąc wyrzucić z pamięci otepiącej, pustej twarzy Suryi, usiłując wydobyć sens z opowieści olbrzymiego pasterza. Słowem, którego poszukiwali bogobójcy, było jedno z imion Jamy. Imię Pana Śmierci. Agent FBI powiedział, że przesłuchujący prosili Suryę, by narysował śmierć. Shan zatrzymał się na krzyk lelka i uniósłszy głowę, zobaczył, jak ptak leci na tle gwiazd, a gdy zniknął, do jego świadomości dotarł inny dźwięk, ciche zawodzenie, to narastające, to słabnące z wiatrem. Pięć minut później stał nad małym zagłębieniem w stoku wzgórza, patrząc w dół na postać tańczącą przy buchającym ognisku, której przyglądała się jakaś kobieta i mała dziewczynka siedząca plecami do Shana.

Twarz tancerza niemal całkowicie zasłaniała strzecha z długich źdźbeł trawy, które przytrzymała przepaska na czoło. Jego tors okrywała jedynie kamizela, a u pasa wisiły mu przywiązane sznurkiem inne wiechcie traw. Także nogawki miał wypchane trawą. Tańcząc, nucił coś, nie mantre, ale starą piosenkę, i wymachiwał sękatą gałęzią. Nagle uniósł gałąź nad głowę dziecka, które przenikliwie piśnieło. Shan rzucił się w ich stronę, nim uświadomił sobie, że nie usłyszał okrzyku strachu, lecz śmiech.

To Dawa, spostrzegł z wielką ulgą, krzyczała z uciechy, a wokół ognia tańczył Lokesh. Obok dziewczynki siedziała Liya. Lokesh opowiadał małej o Milarepie, świętym

pustelniku, odgrywając jedną z jego pieśni, mówiącą o tym, jak jego siostra odnalazła go w jaskini całego pozieleniałego, gdyż latami jadł jedynie pokrzywy.

Z energią znacznie młodszego mężczyzny Lokesh wyskoczył w górę i opadł w przysiadzie przed Dawą. Oboje zanosili się od śmiechu. Gdy Shan zbliżył się do nich, stary Tybetańczyk wyciągał właśnie trawę spod ubrania.

- Chwała Buddzie - pozdrowił ich Shan z uśmiechem. Na jego twarzy wciąż jeszcze malowało się zaskoczenie.

- Wujek Lokesh uczy mnie starych opowieści - poważnym tonem oświadczyła Dawa, przywitawszy się z nim.

- Mamy tsampę - powiedział Lokesh, mając na myśli prażoną mąkę jęczmienną stanowiącą podstawę tybetańskiej diety. - Możemy ci trochę podgrzać.

- Chętnie - zgodził się Shan, nagle uświadomiwszy sobie, że jest głodny jak wilk. Gdy Dawa wyciągała spomiędzy skał małą patelnię, rozejrzał się po obozowisku. Pod jednym z głazów stała spora drewniana skrzynia, a obok niej leżał koc zasłany różnymi przedmiotami. W nikłym świetle nie widział dobrze wszystkich, dostrzegł jednak niewielki brązowy posążek jakiegoś bóstwa, wąski metalowy futerał w rodzaju tych, w jakich przechowuje się pióra lub pędzle, a także niedużą drewnianą skrzynkę z wieczkiem na zawiasach. Była otwarta, toteż dostrzegł w niej kawałki grubego szpagatu i wielkie igły używane do szycia namiotów. Liya przeniosła wzrok za jego spojrzeniem.

- To tylko stare rupiecie - stwierdziła, zarzucając na nie stopą skraj koca.

Ale nie wszystkie były stare. Shan spostrzegł wśród nich także mały metalowy kompas, składany nóż, grubą nylonową linę i metalowe karabinki alpinistyczne. Żadnej z tych rzeczy nie widział u niej w Zhoce.

Przyjął poobijany blaszany talerz z kopczykiem parującej tsampy i zaczął jeść palcami. Po paru kęsach zapytał, czy widzieli kogoś z ludzi ze wzgórz.

Lokesh pogładził pokryty białym zarostem podbródek i spojrzał w stronę południa.

- Znalazłem Dawę wczoraj o północy. Siedziała na skale i patrzyła w księżyc, rozmawiając z matką, która jest setki kilometrów stąd. O świcie natknęliśmy się na strumień, a rano szukaliśmy na zboczach pozostałych. Wielu pasterzy wracało dziś rano do domu inną drogą, żeby ominąć Zhokę. Ale Dawa nalegała, żebyśmy szli na południe. Przed wieczorem spotkaliśmy Liyę. Dawa mówi, że powinniśmy iść jeszcze dalej na południe. Wciąż mnie pyta, czy słyszałem płacz.

- Płacz? - powtórzył Shan. - Ty też go słyszałeś? Lokesh westchnął i zapatrzył się w ogień.

- Sam nie wiem. Powiedziałem, że może słyszeliśmy Liyę, kiedy szła ścieżką w naszą stronę. Gdy ją spotkaliśmy, wyglądała tak, jakby płakała całymi dniami. Ale Dawa powiedziała, że nie.

Shan wstał od ogniska i odszedł na skraj rzucanego przez nie kręgu światła, próbując dociec, co takiego w słowach Lokesha zbija go z tropu. Liya. Lokesh i Dawa szli z północy i spotkali Liyę, która zmierzała w przeciwnym kierunku. Była gdzieś dalej na południu i wracała stamtąd z nowym pakunkiem na plecach, z zapasami, które - jak się zdawało - do niczego nie były im przydatne. Z dala od blasku płomieni Shan dostrzegł na horyzoncie szczyty gór, czarne na tle nieba. Wyglądały jak przyczajone zwierzęta. Idź dalej, a spotkasz tylko rozcinaczy zwłok i błękitnookich, ostrzegł go pasterz.

Cichym głosem zaczął opowiadać, czego dowiedział się w Lhadrung. Mówiąc, przyglądał się twarzy Liyi. Nie wspomniał o tekstach mantr, które rozdała w tajemnicy wszystkim rodzinom ze wzgórz. Oczy miała sine i zapuchnięte. Rzeczy, wiście musiała płakać.

- Boisz się wypowiedzieć imię tego boga? - zapytał ją nagle.

- Tak - odparła bez chwili wahania. - Odkąd żyję, nie wypowiedziałam go ani razu. Nikt tego nie zrobił, od tamtego dnia.

- Ale teraz przybywają tu ludzie z zewnątrz i pytają o nie. Myślę, że chcieli, by Surya powiedział im, jak on wyglądał, jak należało go malować. Dlaczego?

- Nie wolno rozmawiać o tych sprawach. Nie na wzgórzach.

- Nawet po to, żeby pomóc Suryi?

- Nawet Surya nie...

Przerwał jej chrobot kamieni na ścieżce nad obozowiskiem. Dawa jęknęła i przytuliła się do Lokesha. W mały krąg światła wokół ogniska zwała się jakaś postać - padła plackiem na ziemię, w ostatniej chwili podpierając się rękoma, żeby nie rozbić sobie głowy o skałę.

- Na zęby Buddy! - mruknął Lokesh. Chwycił płonący kij i przekroczywszy leżącego mężczyznę, wyszedł na ścieżkę. Z góry dobiegł ich chrzęst żwiru. Ktoś uciekał.

Shan przypadł do nieznajomego i pociągnął go za ramię, pomagając mu usiąść. Lewą stronę twarzy mężczyzny pokrywały sińce. Z warg i kilku drobnych zadrapań na policzkach sączyła mu się krew, spływając po szyi częściowo już zaschniętym i spękany strumyczkiem.

Shan złapał drugi płonący kij i podbiegł do Lokesha. Ktoś sprowadził tu pobitego człowieka i uciekł. Przypomniawszy sobie, że w kieszeni wciąż ma latarkę Amerykanina, i wyjąwszy ją omiół światłem stok wzgórza.

- Och - odezwał się nieznajomy, widząc niepokój na ich twarzach - wszystko w porządku. Tam nikogo nie ma. - Gło miał cichy i drżący, choć na swój sposób pewny. Wstał i oparł się o głaz, odwracając twarz od ognia, jakby wstydził się swych obrażeń. Spojrzał na Shana. - Zobaczył, że to ty, i poszedł sobie.

Gdy Liya dorzuciła dREW do ognia, a Lokesh zaczął przemywać szmatką twarz nieznajomego, Shan zorientował się, że zna tego człowieka.

- Czy Surya jest bezpieczny? - zapytał szybko. Był to opryskliwy żebrak z miasta, który zabrał jabłko Suryi. Donosiciel. Na skraju obozowiska znowu coś się poruszyło. Liya pośpiesznie pakowała swój plecak.

- Przestał się w ogóle odzywać, tylko odmawia mantry. - Mężczyzna odepchnął dłoń Lokesha. - Robi się coraz mniejszy.

- Mniejszy? - zdziwił się Shan.

- Tak się dzieje, kiedy ktoś wysycha od środka - wyjaśnił donosiciel tonem znawcy. - Moja matka знаła człowieka, który zabił swoją żonę. Milicja nic mu nie zrobiła, ale on kurczył się i kurczył, aż pewnego dnia po prostu zniknął.

Dawa przyniosła Lokeshowi blaszany talerz z ciepłą wodą. Lokesh wypłukał szmatkę. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Nie tego mi trzeba. Lepiej dajcie mi jeść.

Shan, idąc w stronę garnka, rozejrzał się za Liyą. Zniknęła.

Chwilę później, gdy przybysz łapczywie pożerał tsamę, Shan kucnął obok niego.

- Kto ci to zrobił?

- To ty jesteś Shan? - zapytał mężczyzna. Shan skinął głową.

- Kto cię pobił? - zapytał. Przybysz nie był poważnie ranny. Wyglądał raczej, jakby kilka razy udzielono go po twarzy.

- To nic takiego. Pasterze zawsze to robią, kiedy mnie dorwają - odparł donosiciel.

- Wysłał cię tu ktoś z miasta - podsunął Shan. - Ktoś z władz.

Mężczyzna skinął głową i kucnął z talerzem tsamę przy ogniu, patrząc w płomienie.

- Muszę im pomagać. Mam na imię Tashi. - Zabrzmiało to tak, jakby mówił po prostu o swoim fachu, jak gdyby jego oczywistą rolą życiową było regularnie donosić władzom i regularnie brać za to cięgi od innych Tybetańczyków.

- Dlaczego? - zapytał Shan. - Dlaczego musisz?

- Moja matka jest stara i chora. Nie mogę oddalać się od miasta. Tylko tak mogę zarobić pieniądze, żeby jej pomóc. Kiedyś pracowałem w fabryce. Teraz robię właśnie to.

Gdy odstawił talerz na ziemię, Shan spostrzegł, że brakuje mu dwóch palców u ręki.

- Orowadzasz po górach ludzi Minga - zauważył.
- Już nie. Rozgniewali się, kiedy nie udało mi się znaleźć jaskini.
- Jaskini pielgrzymów. Tashi skinął głową.
- Gdybyś ją znalazł, co by tam robili?
- Wcześniej znalazłem kilka innych. To są naukowcy. Mają specjalne procedury.

Najpierw wzywają dyrektora Minga. On pierwszy musi wejść do środka, bo najlepiej wie, jak chronić zabytki.

- A co on robił, kiedy tam wchodził? - zapytał Shan.

- Raz wyszedł ze starą księgą. Kiedy indziej znalazł tylko stare malowidło ściennie z Buddą i święte źródło. Przyszło wojsko i zawałiło jaskinię materiałami wybuchowymi.

Shan zerknął z niepokojem na Lokesha. Ming nie poszukiwał starych świątyń z uwagi na swoje badania naukowe. Węszył za czymś, a potem pilnował, żeby nikt inny nie mógł obejrzeć sanktuariów, które przeszukał.

- Czy Ming był w górach przedwczoraj w nocy?

- Ming i ta ślicznotka z rudymi włosami, Punji. Pomagam jej wynajdywać dzieci, które potrzebują pomocy. Przyglądam się jej czasem, kiedy tego nie widzi. - Tashi najwyraźniej postanowił wyjawić wszystkie swe sekrety.

- Co się stało, że uznał za konieczne zaraz na drugi dzień porwać Suryę? Dlaczego wysłał żołnierzy na poszukiwania?

- Dlatego, że tamtej nocy nic nie znalazł, ale dowiedział się, że komuś innemu się udało. - Tashi wyciągnął talerz po dokładkę. Shan otworzył usta, żeby mu zadać następne pytanie, gdy nagle zrozumiał. Podczas krótkiego, niespodziewanego spotkania z Mingiem i McDowell Liya powiedziała im, że w Zhoce będą mnisi, a oni wywnioskowali stąd, że ktoś inny dotarł do mnichów, że ktoś inny może posłużyć się Suryą lub innym mnichem. Przypomniał sobie, jak zareagował Ming, gdy Shan pokazał mu niedopałek cygara. Dyrektor sprawiał wrażenie przekonanego, że ktoś z nim rywalizuje w poszukiwaniach. Bogobójcy.

Mówiłeś, że przyszedłeś zobaczyć się ze mną? - powiedział.

Tashi skinął głową, ale nagle zrobił się mało rozmowny i nerwowy.

- Nie lubię opuszczać miasta. Nie znoszę helikopterów. Kiedy leciałem pierwszy raz, zlałem się w portki. Nigdy bym cię nie znalazł, gdyby ten pasterz nie napadł mnie znienacka. I to w nocy. Żebym nie zobaczył jego twarzy. Ale zgodził się zaprowadzić mnie do ciebie ledwie za połowę tej sumy, którą dał mi na to Ming. Miałem dobry dzień - oświadczył z fałszywą wesołością.

Tym razem to Shan zapatrzył się w ogień. Ten człowiek był zdeklarowanym donosicielem, a jednak cieszył się, że nie może zdradzić tożsamości ludzi ze wzgórz. Przyleciał helikopterem, który widział Shan, tym samym, który zabrał Yao i Amerykanina.

- Powtórzyłeś temu pasterzowi wiadomość, którą masz dla mnie? - zapytał.

Tashi wzruszył ramionami.

- Mówię wszystko każdemu, kto pyta. Dzięki temu żyję. Moja matka mnie potrzebuje. On nie pytał.

- A co było tak ważne, że sami wywieźli cię w góry?

- Helikopter leciał tak czy inaczej, żeby zabrać tych gliniarzy. Teraz lata z nimi codziennie, rano w góry i wieczorem z powrotem.

- Co było tak ważne? - powtórzył Shan.

- To działo się przed gabinetem pułkownika, bo oni chcieli wiedzieć, czy ten stary żebrak cokolwiek powiedział. Pułkownik Tan klócił się przez radio z tym całym Yao. Yao był w ruinach i wyglądało na to, że jest wściekły o coś, co zrobiłeś, dyrektor Ming był przy tym. Nie wiedzieli, że słyszę. Ming powiedział, że dzięki nagrodzie niedługo ktoś cię sprowadzi do miasta. Pułkownik odparł, że nie, bo teraz wiesz, że musisz uważać, i zdążyłeś już się zaszyć wysoko w górach. Potem Yao powiedział przez radio coś, czego nie dosłyszałem, a pułkownik bardzo długo rozmawiał z kimś przez telefon. Po jakimś czasie dyrektor Ming zabrał mnie do sali konferencyjnej. Powiedział, że się na mnie zawiódł, więc jeśli chcę mu dowiedzieć, że może mieć ze mnie pożytek, muszę cię sprowadzić.

- Dlaczego uważał, że ci się to uda?

- Z powodu tego, co mam ci powtórzyć.

- Co to takiego?

Tashi uniósł wzrok, uśmiechając się niepewnie.

- Że jeśli wyjdiesz z kryjówki, żeby im pomóc, oni przyprowadzą ci twojego syna.

Przez pierwszy kwadrans Shan biegł w ciemnościach w stronę Lhadrun. Nogi osuwały mu się na luźnym, ostrym żwirze. Raz po raz padał na ziemię. Rozdarł sobie spodnie. Czuł, jak krew spływa mu strumykiem po łydce. W końcu przystanął, dysząc ciężko, próbując się uspokoić. Oparł się o skałę i patrzył w gwiazdy. Miał poczucie, że powinien powiedzieć coś zmarłemu ojcu, nie wiedział jednak co.

Zanim opuścił obozowisko, siedział przez pewien czas pod rozgwieżdzonym niebem, niezdolny ani ogarnąć, ani opanować burzy emocji, które wyzwoliła wiadomość od Minga. Po kilku minutach obok niego usiadł Lokesh.

- To jakaś pułapka - mruknął Shan. - Skąd oni mogliby wiedzieć, gdzie jest mój syn? Muszę zostać. Muszę coś wymyślić, żeby Surya wrócił do nas, dopilnować, by nie zabrali żadnych innych mnichów.

- Kiedy byłem mały - odezwał się jego stary przyjaciel - słyszałem, jak moja matka mówi do swojej siostry, że kiedy człowiek ma dziecko, staje się siedzibą nie tylko własnego bóstwa, że pojawia się coś nowego, że dziecko jest jak ołtarz. Wtedy tego nie zrozumiałem. Zdziwiło mnie to. Myślałem, że chodzi jej o jakieś oddawanie czci dzieciom. Nie pamiętałem o tym aż do tego roku, który spędziłem z matką w obozie. - Lokesh nie miał na myśli fizycznego przebywania z matką, zmarłą jeszcze przed chińską inwazją, ale rok, podczas którego rozmyślał o niej, czcząc jej pamięć, kiedy próbował przypomnieć sobie każdą chwilę ich wspólnego życia i czasem opowiadał o tym innym więźniom, czasem zaś, pogrążony we wspomnieniach, milknął na całe dni.

- Jeśli wrócę do nich - odezwał się Shan - do tego inspektora, którego spotkałem, i pułkownika, będą próbowali mnie zmusić, żebym wziął udział w tym, co robią w górach. Zażądają, żebym pomógł im znaleźć następnego mnicha z gór.

Lokesh nie dał po sobie poznać, że go usłyszał.

- Pewnej nocy uświadomiłem sobie, co chciała powiedzieć - ciągnął. - Miała na myśli, że rodzice czczą własne bóstwa poprzez swoje dzieci, że dziecko staje się dla nich formą modlitwy.

- Nie bardzo rozumiem.

- Nie zostawaj w górach ze względu na Genduna lub Suryę. Oni pójdą tam, gdzie poprowadzą ich własne bóstwa. Zejdź do doliny, bo twój syn potrzebuje tego, co tylko ty możesz mu dać. Zachowaj tę myśl w sercu, a bez względu na to, co się stanie, zrobisz to, co słuszne.

Wspomniawszy teraz te słowa, Shan uspokoił się. Wiadomość, którą przyniósł donosiciel, jedno sprawiła na pewno: uchyliła od zbyt dawna zamknięte na głucho drzwi w jego umyśle, drzwi prowadzące do sali mieszczącej obrazy nieśmiałego chłopczyka spacerującego z nim po miejskich parkach, niemowlęcia leżącego w jego ramionach, niemowlęcia, które - nie do wiary - było jego własnym dzieckiem, a nawet jego syna siedzącego wśród łamów oraz inne sceny, które istniały tylko w jego wyobraźni. W obozie bywały okresy, gdy takie wspomnienia i fantazje utrzymywały go przy życiu. Ale kiedy przed rokiem Tan brutalnie oznajmił Shanowi, że żona rozwiodła się z nim i ponownie wyszła za mąż, niewątpliwie informując syna, że jego ojciec nie żyje, Shan zatrzęsła te drzwi i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie zajrzy w to miejsce, gdyż wypełnia je tylko ból. Teraz

ten ból wylał się na zewnątrz, lecz wraz z nim wypłynęła też rozpaczliwa, absurdałna nadzieja.

Wpatrywał się w niebo, dopóki nie zobaczył spadającej SWiazdy, i ruszył w dalszą drogę.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni Shan wszedł do miasta od strony targowiska. Zaczekał przy publicznym kranie, aż jakaś kobieta napełni dwa wiadra, po czym, wyczerpany po nocnej wędrówce przez góry, uklęknął przy nim, odkręcił kurek i nadstawił twarz pod strumień zimnej wody. Zakręciwszy kurek, jeszcze przez chwilę nie podnosił się z kolan, lecz patrzył, jak krople wody kapią do betonowej rynienki u podstawy. Coś krzychało mu pod czaszką, że powinien wstać i wrócić biegiem w góry. Nikt w Lhadrung nie mógł wiedzieć nic o jego synu. Była to po prostu okrutna sztuczka w stylu Tana, który użył jej, żeby go zwabić w pułapkę.

Ale gdy wstał i zrobił niepewny krok w cień najbliższego budynku, nagle chwyciła go za ramię czyjaś dłoń. Zatrzeszczała radiostacja i ktoś zaczął mówić podnieconym głosem. Shan odwrócił się i zobaczył przed sobą ospowatą twarz młodego żołnierza, w którym rozpoznał jednego z ochroniarzy pułkownika Tana. Inny żołnierz stał w otwartych drzwiach małej wojskowej ciężarówki, pochylając głowę nad radiostacją.

Niedługo potem ciężarówka mknęła doliną, uwożąc Shana siedzącego w kabinie między obydwoma żołnierzami. Podróż trwała niecałe dziesięć minut. Jechali w milczeniu przez rzadki las na zachodnim stoku, krętą szosą pod górę. Shan pamiętał ją. Przeszło rok temu jechał tędy do małego, otoczonego murem kompleksu budynków, częściowo zniszczonej gomy, którą odbudowywano jako prywatny klub dla miejscowych bonzów. Odbudowa najwyraźniej została wstrzymana, spostrzegł, gdy wysiedli z ciężarówki. Na otynkowanych ścianach widniały głębokie rysy, na rabatach pod murami wciąż pieniały się chwasty. Jedyne dwujęzyczna tablica przy wjeździe była nowa. *Zajazd Lhadrung*, głosiła.

Gdy przechodzili przez bramę, idący przed nim żołnierz kopnął czerwony żwir. Taki sam żwir Shan widział w bieżniku opony samochodu, którym jeździła McDowell. Wewnątrz kompleksu z muru zamykającego centralny dziedziniec zwisała płachta zasłaniająca rząd okazałych obiektów, zapewne tych samych zdemontowanych lub uszkodzonych posągów, które widział tu przed rokiem. Mała fontanna na środku dziedzińca rzeziła i charczała, wypływając co parę sekund wątlą strugę wody.

Eskorta wepchnęła Shana do największego budynku, gdzie przekazała go żołnierzowi w bluzie z kieszeniami na piersi, oznaką oficera, który poprowadził go ku jaskrawoczerwonym drzwom.

Obszerne pomieszczenie, do którego weszli, od czasu ostatniej wizyty Shana zostało otynkowane i pomalowane. Teraz najwyraźniej łączyło funkcje sali konferencyjnej i salonu. Na jednym końcu, w głębokim cieniu, stała długa sofa, a po jej bokach dwa głębokie fotele z koronkami na oparciach i poręczach. Za sofą, w przeciwległym, jeszcze ciemniejszym kącie, stało kilka krzeseł. Na lewo od wejścia znajdował się długi drewniany stół z tuzinem drewnianych krzeseł. Na ścianie za nim wisiały mapy Lhadrung i Chińskiej Republiki Ludowej. W sali paliła się jedynie wisząca nad stołem lampa, która oświetlała trzy ponure twarze zwrócone w stronę Shana.

U szczytu stołu siedział pułkownik Tan, tuż przy ustach trzymając papierosa, tak że wstęgi dymu spowijały mu głowę. Inspektor Yao, na którego twarzy malowała się złośliwa satysfakcja, jak u nauczyciela mającego właśnie wymierzyć karę najmniej lubianemu uczniowi, trzymał porcelanową filiżankę z parującym płynem. Naprzeciw niego siedział dyrektor Ming, obłożony stertą akt, z dłońmi płasko na blacie, patrząc wyczekująco na Shana.

Ciszę, równie gęstą jak dym z papierosa Tana, zmąciło ciche przekleństwo pułkownika.

- Dajcie mu, do cholery, jakieś spodnie - odezwał się nagle ktoś z cienia. Mówił powolnym, niskim głosem. Po angielsku.

Shan spojrział na swoje nogi. Jego spodnie, już wcześniej wystrzępione i poprzecierane, miały teraz na kolanach poszarpane dziury po upadkach podczas nocnej wędrówki. Lewa nogawka była w strzępach, wyzierała spod niej podrapana, zakrwawiona goleń. Na materiale tu i ówdzie widniały ciemne plamy zaschniętej krwi.

Tan zerknął gniewnie na Yao, jakby czekał na tłumaczenie. Inspektor nie zdążył jednak się odezwać, gdy Ming wstał z teatralnie zmartwioną miną.

- Wydaje się, że zaszła jakaś pomyłka - powiedział, podchodząc do Shana, który spuścił wzrok i wpatrzył się w leżący pod stołem elegancki tybetański dywan. Po czterech latach w obozie pracy łatwo powróciły odruchy więźnia. Nie poruszył się, nie zareagował w żaden sposób, gdy Ming chwycił go za rękę i podciągnąwszy rękaw, wskazał tatuaż na jego przedramieniu. - Ten człowiek jest więźniem. Przestępcą.

Shan wyczuł jakiś ruch w cieniu. Mężczyzna, który odezwał się po angielsku, wstawał z krzesła.

- Ten człowiek uratował mi życie - zagrzmiął tubalnie, tym razem po chińsku. - Jeśli nie znajdziecie dla niego jakichś czystych spodni, zdejmę i dam mu swoje. - Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Yao podniósł się z krzesła i szepnął coś do Tana, który niemal natychmiast wstał i krzyknął rozkazująco. Oficer, który przyprowadził Shana, zjawił się ponownie, podbiegł do Tana, po czym wypadł przez tylne drzwi i niespełna minutę później wrócił z parą popielatych spodni. Rzucił je Yao, który położył je na sofie w cieniu. Gdy nikt się nie odezwał, Shan podszedł do sofy i zmienił spodnie. Obok stał stojak, na którym wisiał wielki arkusz papieru. Na pierwszej stronie wypisano wielkimi ideogramami *Kwan Li*. Poniżej znajdowało się coś w rodzaju lapidarnego biogramu: *czterdzieści cztery lata; książę; wódz; służba w Lhasie, Pekinie, Xianie*. Shan odwrócił się, wyszedł z cienia i zobaczył, że przy stole siedzi spotkany dzień wcześniej Amerykanin.

- Dziękuję - szepnął po angielsku.

- Wczorajsza prezentacja była nieco pospieszna - powiedział mężczyzna. - Jestem Corbett. Federalne Biuro Śledcze. Cieszę się, że się panu udało. - Amerykanin wysunął spod stołu stojące obok niego puste krzesło, wskazał je głową Shanowi, po czym złożył dłonie na blacie, jedną na drugiej, spoglądając wyczekująco na Yao.

Shan patrzył na Amerykanina. Corbett nie znał go, a jednak powitał życzliwie, jakby wręcz brał jego stronę w jakiejś bitwie, która miała rozpaść się lada chwila.

- A więc nasz posłaniec was znalazł - zauważył Yao. Shan wolno przeniósł wzrok z Corbetta na inspektora i skinął głową.

Potrzebujemy waszej pomocy - powiedział Yao. - W Lhadrung działa międzynarodowa szajka przestępcza.

Shan przyjrzał się uważnie wszystkim siedzącym przy stole, na chwilę zatrzymując wzrok na Tanie, który z kolei wpatrywał się w leżącą przed Yao małą czarną aktówkę, pułkownik już raz prosił go kiedyś o pomoc.

- Nie jestem detektywem - odparł zduszonym głosem Shan.

- Oczywiście, że nie - przyznał natychmiast Yao. - Potrzebujemy kogoś, kto będzie naszym przewodnikiem w górach, kogoś, kto zna tutejsze sprawy. Jak się zdaje, godni zaufania Tybetańczycy są w tym okręgu rzadkością. - Niedbały, niemal niechlujny wygląd inspektora był zwodniczy. Jego głos był zimny i ostry, wyćwiczony, jak podejrzewał Shan, w wydawaniu rozkazów i wygłaszaniu krytyk politycznych.

Shan przyłapał się na tym, że sam też patrzy na leżącą przed Yao czarną teczkę.

- Nie będę pomagać w represjonowaniu Tybetańczyków. Tan zaklął. Dyrektor Ming wydał piskliwy odgłos, który mógł być śmiechem.

Yao westchnął rozczarowany.

- Uprzedzono nas o waszej postawie. - Wstał i podniósłszy z krzesła po drugiej stronie stołu jakiś przedmiot, potrząsnął nim, żeby zabrzęczał. Kajdanki na nogi. Przez chwilę trzymał je Shanowi przed nosem, po czym przewiesił je przez jedno z pustych krzesel. - Oficjalnie nie jesteście byłym więźniem. Wciąż jesteście więźniem. Ktoś - dodał znacząco - postanowił zwolnić was warunkowo. Zwolnienie warunkowe można jednak cofnąć.

Co dziwne, Shan uświadomił sobie, że już się nie boi. Jak wielu więźniów zwolnionych z obozu pracy zawsze podejrzewał, że prędzej czy później tam wróci. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po twarzach mężczyzn przy stole i bez słowa podszedł do krzesła. Oparł na nim najpierw jedną, potem drugą stopę, zatraskując sobie kajdanki na kostkach.

- Jezu - mruknął Corbett.

Usta Tana wykrzywił kpiący uśmiezek przeznaczony dla Yao. - Inspektor w odpowiedzi zmarszczył brwi, po czym spojrział gniewnie na kajdanki na nogach Shana. Ming natomiast sprawiał wrażenie zachwyconego tym, co zrobił Shan. Wstał podbiegł do drzwi i z entuzjazmem zawołał żołnierzy.

Shan podszedł do wyjścia i utkwił wzrok w dywanie pod nogami. Przyglądał się wzorom na jego obrzeżu. Dywan był wystrzępiony i wyblakły, jednak na obwodzie wciąż można było rozpoznać rząd świętych symboli. Drogocenna waza, kwiat lotosu, dwie ryby. Gdy podeszli do niego dwaj żołnierze i chwycili za ramiona, nie oderwał oczu od dywanu. Był to kolejny z odruchów, które sobie przyswoił w obozie. Gdy znajdziesz się w świecie za drutami, odciskaj w pamięci jego barwne okruchy, żeby towarzyszyły ci w ciężkich szarych godzinach, które cię czekają. Jego pierwotny wyrok był bezterminowy. Tan ostrzegł go, że jeśli znów trafi do obozu, być może już nigdy nie wyjdzie na wolność.

- Dyrektor Ming się pomylił - powiedział pułkownik cichym, chłodnym głosem i żołnierze zniknęli za drzwiami. - Zeszliście z gór z powodu swego syna - odezwał się do pleców Shana.

Gdy Shan odwrócił się w stronę stołu, przypomniał sobie słowa Lokesha. Być może w jego wypadku tak właśnie realizowało się bóstwo ojcowskie, pozwalając im posłużyć się jego synem, żeby wymierzyć mu ostateczną karę. Jego wzrok znów spoczął na czarnej aktówce.

- Nie pomogę represjonować Tybetańczyków - powtórzył niemal szeptem.

Yao otworzył aktówkę i wyciągnął z niej żółtą tekturową teczkę. Zawierała kilka stron wydruku z faksu.

- Shan Ko Mei - przeczytał powoli, ostrym głosem. Shan poczuł nagle ukłucie w sercu. Minęło co najmniej sześć lat, odkąd słyszał to imię z obcych ust. On sam tylko je szeptał, nieczęsto, w stronę gwiazd, gdy z trudem dobierając słowa, prosił ducha swego ojca,

żeby czuwał nad chłopcem. Ale dawno już przestał wymawiać je nawet bezgłośnie. Umarł dla swego syna. To imię było raną, nad którą narosła gruba blizna. A teraz oni wbili w nią nóż i obracali ostrze.

Ktoś dotknął jego ramienia i Shan wzdygął się. Wyrwał mu się krótki szloch.

- Proszę usiąść. - To był Amerykanin. Corbett wskazywał mu krzesło obok siebie. - Niech pan usiądzie.

Shan opadł ciężko na krzesło. Tan przyglądał mu się, zaciskając zęby gniewnie, ale i czujnie, jakby podejrzewał, że Shan zastawia na niego pułapkę. Dyrektor Ming z rozbawieniem zerkał na pozostałych. Yao był wściekły. Zniecierpliwienie na jego twarzy było aż nadto widoczne. Amerykanin splótł palce na stole i patrzył na Shana zatroskany.

- Mój syn nie wie, kim jestem - powiedział Shan.

Yao odetchnął zadowolony, jakby te słowa były znakiem, że zaczynają przechodzić do rzeczy. Rozłożył przed sobą kartki z żółtej teczki.

- Młodociany oportunist - zacytował, patrząc na nie. - Złodziej. Wandal. Niszczyciel własności państwowej.

Teraz Shan wiedział już, co jest w tej teczce. Były tam akta Urzędu Bezpieczeństwa, dossier więźnia, materiały, jakie niekiedy wywlekano na światło dzienne, żeby zawstydzić delikwenta przed ludźmi, którzy go nie znali. Ale to nie było dossier Shana. Co Yao spodziewał się osiągnąć, odczytując akta jakiegoś wyjątkowo pechowego więźnia? To nie miało sensu.

Inspektor z Pekinu zerknął na niego z satysfakcją i przewrócił kartkę.

- To był dopiero początek. Później mamy powtarzające się oskarżenia o chuligaństwo - relacjonował, używając jednego z ulubionych przez pekińskich propagandystów określeń. - Brak dyscypliny i wczesnego wdrożenia w imperatyw socjalistyczny doprowadził do spodziewanych rezultatów - czytał. - Na koniec napaść na oficera Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Piętnaście lat lao gai. - Odłożył kartkę na stół. - Kopalnia węgla - dodał, mając na myśli jedną z wielkich kopalń odkrywkowych, w których niedożywieni więźniowie obozów pracy przymusowej kopali sobie piekło, przez okrągły rok, dzień w dzień, całymi latami wydobywając węgiel za pomocą Prymitywnych narzędzi. Połowa więźniów umierała, zanim odsiedziała wyrok.

Yao przewertował spięte spinaczem kartki i zatrzymał się przy jednej z ostatnich stron.

-” Na początku była jedna z lepszych szkół dla dzieci członków Partii. Kiedy dziecko wpada w kłopoty, zadaje mu się dodatkowe czytanki o bohaterach narodowych. Przyłapano

go na okradaniu innych uczniów. Wezwano lekarza. Przeprowadził wywiad z chłopcem. Przedstawił sprawę zastępczyni burmistrza.

Po plecach Shana przebiegł lodowaty dreszcz.

- Lekarz stwierdził, że chłopiec ma nieuleczalne skłonności antyspołeczne. Bez przerwy przechwala się, że jego ojciec jest słynnym przestępcą, przywódcą gangu, który rabuje i zabija w całym Chinach, że boi się go nawet sam Przewodniczący.

Shan poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Jego żona krótko po tym, jak się pobrali, dostała pracę w mieście oddalonym o przeszło półtora tysiąca kilometrów od Pekinu i tam sama wychowywała ich syna. Niezbyt często - podczas wakacji - odwiedzała z nim Shana w stolicy. Jego żona wiceburmistrz, która rozwiodła się z nim, gdy został uwięziony.

- Pewnej nocy przyłapano go na wypisywaniu haseł antypartyjnych. Został wydalony ze szkoły. Tydzień później nocami zaczęły padać słupy telefoniczne. Minął kolejny tydzień, nim złapali go z siekierą w ręku przy rzędzie przewróconych słupów. Zwalił ich w sumie osiemdziesiąt. Jego matka została wysłana do specjalnego partyjnego ośrodka dyscyplinującego. Jego skierowano do rolniczego obozu pracy, z którego uciekł miesiąc później, po czym pojawił się jako członek gangu handlującego heroiną pod bramami zakładów pracy. Używał teraz nowego imienia. Tygrys Ko. Gdy schwytano go tym razem, rzucił się na aresztującego go funkcjonariusza, który w wyniku tego trafił do szpitala. Matka chłopaka po tej kompromitacji odeszła z urzędu.

Yao mówił dalej, ale Shan nie rozróżniał już słów. Zdawało mu się, że otacza go gęsta mgła. Miał wrażenie, że za chwilę upadnie. Przytrzymał się blatu stołu.

- Niech ktoś da mu herbaty - powiedział po chińsku Amerykanin.

Gdy Shan odzyskał ostrość widzenia, zobaczył koło siebie porcelanową filiżankę z parującą zieloną herbatą.

- On nie ma nawet dwudziestu lat - wychrypiał wreszcie.

Sięgnął po filiżankę i wlał sobie do gardła parzący płyn.

- Brak mu było ojca - skwitował z sarkazmem dyrektor Ming. - Matka go porzuciła. Wyszła ponownie za mąż, przeniosła się na wschodnie wybrzeże, przybrała nowe nazwisko. Od lat nie utrzymuje z nim kontaktów.

Shan poruszył nogami i usłyszał brzęk łańcuchów.

- Chcecie powiedzieć, że wysyłacie mnie do kopalni węgla - szepnął, wpatrując się tępych wzrokiem w filiżankę. Była cienka, delikatna, na brzegu miała namalowaną maleńką pandę.

Yao zamknął kartonową teczkę i wstał. Podeszedł do Shana z filiżanką w dłoni.

- Przypuszczam, że nie zawsze byliście tacy tępi, towarzyszu. Chcemy, żeby wasz syn przyjechał was odwiedzić. Tu, do Lhadrung. - Inspektor wyjął z kieszeni mały kluczyk i położył go na stole obok Shana.

- Dlaczego? - zapytał z niedowierzaniem Shan.

- W nagrodę za poświęcenie nam waszej niepodzielnej uwagi. Dla zachęty, żeby zapewnić sobie waszą pomoc. Istnieje międzynarodowa tajna organizacja, której elementy działają w tych górach. Wy pomożecie nam rozwiązać nasz problem, a my sprowadzimy w odwiedziny waszego syna.

Shan wpatrywał się w pandę. Yao wzruszył ramionami.

- Więc poczekacie na spotkanie z nim piętnaście lat, do końca jego wyroku, zakładając, że sami jeszcze wtedy będziecie na wolności. Ale wasz syn... - Westchnął z udawanym współczuciem. - Już trzy razy karano go ze szczególną surowością za naruszenie zasad bezpieczeństwa. - Shan wiedział aż nazbyt dobrze, co oznacza szczególna surowość w lao gai. Bicie, elektrowstrząsy, miażdżenie szczypcami drobnych kości dłoni i stop. - Obawiam się - rzekł Yao poważnym tonem - że wasz Ko nie przeżyje tych piętnastu lat.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W Pekinie doszło do kradzieży, wyjaśnił inspektor Yao, gdy schodzili ze wzgórza ku ruinom Zhoki, kradzieży niezwykle cennego dzieła sztuki. Było dopiero wczesne popołudnie. Tan, nie tracąc czasu, załatwił helikopter, który miał ich zabrać do starej kamiennej wieży. W milczeniu zjedli pospiesznie kluski i zupę z makaronem, które przynieśli im ponurzy żołnierze Tana, a kiedy przyleciał śmigłowiec, wywiązała się krótka sprzeczka między Tanem i Yao, gdy pułkownik próbował bez powodzenia przekonać inspektora, żeby wzięli wojskową eskortę.

- Dzieło sztuki? - powtórzył Shan. - Zabytek? - Gdy tylko Shan sztywnym skinieniem głowy dał znać, że zgadza się im pomóc w zamian za spotkanie z synem, Yao się ożywił, stał się niemal radosny, jak gdyby zgoda Shana była punktem zwrotnym w szczególnie trudnej sprawie. Ale Shan wciąż nie miał pojęcia, czego dotyczy ich śledztwo ani dlaczego znaleźli się w Lhadrung.

- Malowidło ścienne - odparł Yao.

- Chińskie malowidło, które nie jest chińskie - wtrącił Corbett po chińsku. Mówił w tym języku szybko, niemal bełkotliwie, jakby uczył się go na południu kraju. - Sztuka. Jak

świat długi i szeroki, ludzie zabijają się o dzieła sztuki. - Zabrzmiało to jak wyświechtany drowcip.

Shan przyjrzał się uważnie amerykańskiemu detektywowi. Corbett był starszy, niż mu się początkowo wydawało, choć jego wysoka, wysportowana sylwetka tuszowała oznaki starości. Musi już dobiegać sześćdziesiątki, ocenił Shan, i zapewne ma bogate doświadczenie w swoim fachu. Być może zbyt bogate. Sprawiał wrażenie, jakby nie zależało mu na ukrywaniu swych emocji. Jego twarz często zdradzała (niecierpliwienie) czasem gniew.

- To nie jest to miejsce, Yao. Mówiłem ci - zrzędził. - Mamy do sprawdzenia co najmniej dziesięć innych. Tu są tylko ruiny, śmiertelna pułapka. - Podczas krótkiego lotu w góry Amerykanin wyglądał przez okno, raz po raz zerkając na trzymaną w ręce mapę. Na chwilę wylądowali w obozie leżącym kilka kilometrów na północ od Lhadrung, by wylądować zaopatrzenie, gdzie kilkanaścioro dwudziestoparoletnich Chińczyków płci obojga odgruzowywało wejście do jaskini, podczas gdy krótko ostrzyżona kobieta przechadzała się w tę i z powrotem, czytając na głos z przewodnika dla pielgrzymów o cudach, jakie miały znajdować się w środku. Yao i Corbett najwyraźniej szukali kryjówki złodziei, którzy zaszyli się w górach. Ale to nie tłumaczyło, dlaczego Ming szukał jaskiń. Nie tłumaczyło działań bogobójców ani powodów zainteresowania Rady Ministrów tybetańskimi cudami.

Yao wzruszył ramionami i szedł dalej w stronę podziemi Zhoki. Sprawa mogła mieć charakter międzynarodowy, ale dochodzenie było prowadzone na terytorium Chin, więc nie było wątpliwości, kto tu rządzi.

- Doszło do tego niemal dwa miesiące temu - wyjaśnił inspektor. Przystanął, przyglądając się Shanowi, jakby był ciekawy jego reakcji. - W Zakazanym Mieście.

- Ale tam jest pełno strażników - zauważył Shan. - To prawie forteca. Naprawdę forteca. - Zakazane Miasto, licząca setki lat rezydencja cesarzy, było rozległym kompleksem świątyń, pałaców i pawilonów. Shan znał tam niemal każdą ścieżkę, każdą salę, gdyż mieszkając w Pekinie, wcześniej się przekonał, że kryje ono wiele spokojnych, cichych miejsc, gdzie można się schronić przed zgiełkiem reszty miasta. Cały teren otoczony był wysokim, grubym murem. Dostać można się tam było niemal wyłącznie przez ściśle strzeżone bramy °d północy i południa.

- W północnej części Zakazanego Miasta jest pałacyk postawiony przez cesarza Qian Longa, który zamieszkał w nim, gdy abdykował. - Qian Long był jednym z najdłużej panujących cesarzy z dynastii mandzurskiej, darzonym czią za sprawiedliwość i szczodrość. Zrzekł się tronu pod koniec osiemnastego wieku, po sześćdziesięcioletnim panowaniu.

- Znam ten pałacyk - odparł Shan, rozglądając się za Gendunem. - Dach od frontu wsparty na czerwonych kolumnach. Na tyłach mały dziedziniec z fontanną, ściany porośnięte glicynią. Lubiłem przesiadywać na tym dziedzińcu. Ale sam pałacyk był zawsze zamknięty.

- Był zamknięty przez dziesiątki lat - potwierdził Yao. - Prawdę mówiąc, od śmierci cesarza praktycznie nikt tam nie zaglądał. Ale postanowiono odrestaurować wnętrze, udostępnić je dla zwiedzających. Zaczęli się tam kręcić robotnicy. Cesarz chciał tam mieć piękne malowidło ściennie, ściągnął nawet do Zakazanego Miasta słynnego artystę z Włoch. Jedna z ekip restaurowała cedrowy belkowany sufit w sali jadalnej. Pewnego dnia odwołano ją do pilnych prac na drugim końcu kompleksu. Kiedy robotnicy wrócili następnego dnia, włoskie malowidło zniknęło. Fragment tynku, na którym było, długi prawie na dwa i pół metra i wysoki na metr, został wycięty, pozostały tylko gołe deski.

Shan spojrział w stronę cienia zalegającego w wejściu do podziemi. Czy Yao był tutaj, ponieważ także z Zhoki skradziono malowidło? Ale Shan dopiero poprzedniego dnia zwrócił mu uwagę na tę kradzież.

- Tak więc Rada Ministrów szuka zaginionego malowidła ściennego? - zapytał sceptycznym tonem. Gra, jaką prowadził Yao, nie była mu obca. Nigdy nie przedstawiaj całości sprawy, nawet w końcowym raporcie, nigdy nie zdradzaj wszystkich faktów. Był to instynkt, który czołowi pekińscy śledczy mieli we krwi. Yao nie pracowałby dla dygnitarzy na tak wysokim szczeblu, gdyby nie wiedział, jak zonglować faktami, dopóki się nie zorientuje, jakie mogą być polityczne konsekwencje prowadzonej sprawy.

Corbett, który już był na schodach, parsknął rozbawiony. Patrzył w dół, w mrok, gdzie omal nie zginął w czasie swej poprzedniej wizyty, jednak usłyszawszy pytanie Shana, odwrócił się

- Przewodniczący pokazał malowidło Qian Longa delegacji państwowej z Europy - wyjaśnił.

Yao rzucił Amerykaninowi poirytowane spojrzenie i sam opowiedział resztę.

- Postanowiono, że pałacyk stanie się symbolem przyjaźni pomiędzy narodami Europy i Chin. Malowidło Qian Longa miało być jego największą atrakcją, widowym dowodem związków pomiędzy Wschodem a Zachodem. Europejskie rządy miały sfinansować jego konserwację, a pałacyk zamierzano udostępnić publiczności podczas zbliżającej się wizyty państwowej. - Spojrzał na Shana z wyzwaniem w oczach, jakby prowokował go do komentarza.

Shan odwzajemnił jego spojrzenie. Minęło pięć lat, odkąd po raz ostatni był w Pekinie, ale oczekiwania wobec czołowych inspektorów wciąż były takie same. Yao nie

został przydzielony do tej sprawy po to, żeby rozwiązać zagadkę kradzieży, ale by znaleźć wyjście z politycznie kłopotliwej sytuacji.

- Qian Long żywił wiele sympatii dla Tybetu - zauważył Shan. - Wśród jego dworzan znajdowali się tybetańscy lamowie. Przypuszczam, że w tym swoim pałacyku miał tybetańskie dzieła sztuki - dodał.

- Miał. Pozostały nietknięte.

- Więc przyjechaliście do Tybetu dlatego, że skradziono europejskie malowidło - zadrwił Shan.

- Przewodniczący był wściekły. Uznał tę kradzież za osobistą zniewagę. Wydał nam bardzo wyraźne instrukcje.

- Dyrektorowi Mingowi też? - zapytał Shan.

- Ming zaoferował wszelką pomoc swej instytucji. Ma wielkie doświadczenie w takich sprawach, zajmował się już renowacją pałacyku i projektami nowej sali. Zwrócił uwagę, że ludzie, których ścigamy, nie są amatorami. - Inspektor spojrzał na Shana z kwaśną miną. - Nie macie prawa mnie wypytywać. Jesteście tu, żeby pomóc nam w kontaktach z Tybetańczykami, nic więcej.

Ale Yao nie wyjaśnił, dlaczego sądzi, że Tybetańczycy mają cokolwiek wspólnego z tą sprawą, ani dlaczego znalazł się w Lhadrung. Shan spojrzał na Amerykanina.

- A FBI, jak rozumiem, po prostu troszczy się o ochronę zabytków?

- Nie jesteście tu po to, żeby nas przesłuchiwać - warknął Yao.

Corbett przepuścił inspektora przodem i odwrócił się do - Przy naszej ambasadzie w Pekinie powstało nowe biuro FBI. Wszyscy szukają okazji do współpracy między chińskimi i amerykańskimi organami ścigania. W większości chodzi o walkę z terroryzmem.

- Pracuje pan w Pekinie?

- W Seattle. Na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych. W tym samym czasie, kiedy ukradziono to malowidło w Pekinie, doszło też do kradzieży w Seattle. Ofiarą był niejaki Dolan, jeden z najzamożniejszych obywateli tego zamożnego miasta. Magnat komputerowy. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka niedużych zdjęć. Podał je Shanowi. Wszystkie przedstawiały gabloty wypełnione tybetańskimi zabytkami. Były to piękne, bardzo stare przedmioty: wysadzane drogimi kamieniami gau, misternie wykonana srebrna lampka maślana, maski obrzędowe, bogato zdobiony kostium oraz kilka subtelnych figurek bóstw. - Podobno była to najlepsza prywatna kolekcja sztuki tybetańskiej na świecie. Jej zebranie zajęło Dolanowi piętnaście lat. Skradziono mu wszystko, ponad pięćdziesiąt obiektów. Ubezpieczył je na przeszło dziesięć milionów. - Ostatnia fotografia była zdjęciem lotniczym

wielopoziomowego ceglanego budynku o nieregularnej bryle, rozłożonego na stoku wzgórza nad czymś, co wyglądało na ocean. - Przyszli w nocy. Złamali najnowocześniejszy system zabezpieczający. Zniknęli bez śladu. Żadnych odcisków palców. Kamery monitorujące odcięte. Jedyne, co po nich zostało, to martwa dziewczyna.

Shan przystanął.

- Zabili jakąś dziewczynę?

Corbett zerknął przed siebie, jakby się upewniał, że Yao nie usłyszy tego, co chce powiedzieć.

- Dwadzieścia trzy lata. Jedna z trzech niepełnoetatowych opiekunek do dzieci, studentka akademii sztuk pięknych, którą zatrudniono, żeby udzielała dzieciom lekcji ze swojej dziedziny. - Amerykanin sposepniał, choć Shan nie był pewien, czy powodem tego jest śmierć dziewczyny, czy gęstniejący przed nimi mrok.

- Niech pan posłucha. - Corbett przystanął i chwycił go za ramię. - Musi pan znać reguły. Jestem tu po to, żeby odnaleźć te dzieła sztuki i zabójcę dziewczyny. To amerykańskie śledztwo - Prowadzę je w amerykańskim stylu. Rozumie pan?

- Nie - odrzekł Shan.

- Ja nie ustalam podejrzanych, kierując się względami politycznymi. Nie opracowuję teorii, do której potem dopasowywałbym fakty. Poszukuję dowodów, opierając się na nauce i zdrowym rozsądku. Wierzę jedynie w fakty. Dowody są wszystkim. Interesuje mnie tylko dochodzenie sprawiedliwości i nikt jeszcze nie okazał się tak duży, żeby mógł mi w tym przeszkodzić.

- Skrzyżowanie George'a Washingtona z Sherlockiem Holmesem.

Słowa te wyraźnie zaskoczyły Corbetta.

- Kim pan jest, do diabła?

- Kimś, kto także pragnie sprawiedliwości - odparł ponuro Shan.

- Świetnie. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się nie rozwiązać sprawy.

- Ile razy wygłaszał pan już tę przemowę? - zapytał Shan, gdy Amerykanin znów ruszył w głąb tunelu.

Corbett zerknął w stronę Yao.

- Tylko raz - odparł. Jego usta powoli rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

Yao miał ze sobą marynarski worek wyładowany kilkunastoma lampami na baterie, które pożyczył od wojska. Zapalił teraz jedną z nich i postawił ją u podnóża schodów, a potem, gdy Shan i Amerykanin dołączyli do niego, otworzył worek, żeby oni także wzięli po

jednej. Wkrótce cały korytarz oświetlony był rozmieszczonymi co trzy metry lampami. Yao wszedł do sali, w której podczas swej poprzedniej wizyty natknął się na Shana.

Gdy Corbett ruszył za nim, Shan odwrócił się do Amerykanina.

- Co miał pan na myśli, mówiąc, że do obu kradzieży doszło w tym samym czasie?

- W Seattle był środek nocy, w Pekinie południe. Myślę, że w obu miastach złodzieje wynieśli łup o tej samej godzinie.

- To z pewnością zbieg okoliczności. Corbett wzruszył ramionami.

- Nie sędzę.

- Ale nie wyjaśnił pan, dlaczego przyjechał pan tutaj. Do Lhadrung.

- Żeby szukać. Boże, jak tego szukaliśmy. Dolan był wściekły. To założyciel jednej z wielkich firm programistycznych. Główny polityczny stronnik prezydenta. Prezes jednej z największych fundacji w Ameryce. Zespół dochodzeniowy pracował tam całymi aniami. Nie znalazł praktycznie nic, na czym można by się oprzeć. Sprawdziliśmy miejsca pobytu znanych złodziei dzieł sztuki. Rozesłaliśmy fotografie skradzionych przedmiotów do lotniskowych posterunków kontrolnych w całych Stanach, zamieściliśmy je w Internecie. Zaczęliśmy sprawdzać okoliczne sklepy handlujące tego rodzaju towarami, pokazywaliśmy sprzedawcom zdjęcia, pytaliśmy, czy nie trafiło do nich cokolwiek zwracającego uwagę. Minął tydzień i nic, żadnych wyników. Większość ekipy zajęła się świeżymi sprawami, a akta trafiły do mnie. Bo jestem głównym specjalistą od kradzieży dzieł sztuki na zachód od Missisipi.

- Ale dlaczego Lhadrung?

- Miałem do pomocy jedynie moich chłopaków, dwóch młodszych agentów, których mi przydzielono. Wgryzaliśmy się w każdy raport, studiowaliśmy wszystkie zapisy z przesłuchań. Odkryliśmy, że cztery różne sklepy z antykami w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Seattle zgłosiły, że w ostatnim czasie były w nich jakieś młode kobiety z tybetańskimi paciorkami i pytały, ile one są warte. Każda z nich spotkała w barze jakiegoś faceta, który postawił jej drinka, oczarował ją swoim egzotycznym urokiem i podarował jej na szczęście rzadki stary paciorek. W dwie różne noce. - Corbett wyciągnął z kieszeni znajomo wyglądający, podłużny, zwężający się na końcach koralik, długi prawie na cztery centymetry i ponadcentymetrowej grubości. - Kupiłem jeden z nich. - Był to agat w odcieniach czerwieni i zieleni. Na powierzchni miał białe prążki.

- To dzi - wyjaśnił Shan - Tybetańczycy wierzą, że mają one moc przyciągania bóstw opiekuńczych. - Uniósł wzrok znad paciorka. - Ten człowiek był w tamtym barze tej nocy, kiedy popełniono kradzież?

Corbett skinął głową.

- I poprzedniej. Udało nam się odszukać dwie z tych kobiet, po zostawiły paciorki w komis. Nigdy wcześniej go nie spotkały. Spędzili parę godzin, rozmawiając i tańcząc. Niewinna rozrywka, jak to określili. Jedna powiedziała, że mówił z egzotycznym akcentem, coś jakby brytyjskim, ale nie do końca. Miał trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Czarne włosy, wąsy, błękitne oczy. Były zachwycone jego oczami. Twierdził, że wiele podróżuje, więc nie może podać im swojego adresu, ale wziął adresy od nich, jakby miał zamiar wrócić. Mówił, że wyjeżdża do Azji. Spotkały go w dwóch różnych barach. Pomiędzy tymi barami jest duży hotel. Porównaliśmy tamtejszą listę gości z danymi o lotach następnego dnia po kradzieży. Spośród dwudziestu siedmiu mężczyzn wylatujących do Azji, którzy odpowiadali opisowi na tyle, by sprawdzać dalej, sześciu mieszkało w tym hotelu. Niemal tydzień zabrało nam zdobycie kopii ich zdjęć paszportowych. Obie kobiety natychmiast zidentyfikowały jego fotografię, nie miały żadnych wątpliwości. Obywatel Wielkiej Brytanii, William Lodi. Leciał z Seattle do Pekinu, gdzie przesiadł się na najbliższy samolot do Lhasy. Skontaktowaliśmy się z naszym biurem w Pekinie, które zwróciło się o pomoc do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Urząd Bezpieczeństwa stwierdził, że w karcie zejściowej Lodi podał jako swój adres hotel w Pekinie, zapłacił nawet z góry za jedną noc, ale w ogóle się tam nie pojawił. Tak więc zbadano sprawę dokładniej. Okazało się, że poleciał do Lhasy, że miał zezwolenie na eksport towarów ze sklepu z wyrobami rękodzielniczymi w pewnym nikomu nie znanym miasteczku. Ścisłej mówiąc, był współwłaścicielem tego sklepu.

- W Lhadrung.

- Zgadza się. Ale kiedy tu dotarłem, już go nie było. Poszedł w góry, jak mi powiedziano w mieście. Człowiek, który dokonał największej w naszych czasach kradzieży tybetańskich dzieł sztuki, ukrywa się teraz u swych tybetańskich przyjaciół. - Nie czekając na odpowiedź Shana, Amerykanin wszedł do sali z malowidłem, w której krzątał się już Yao.

Inspektor oświetlił pomieszczenie półtuzinem lamp i z zapalem pisał coś w notesie. Uniósł wzrok, gdy Shan wszedł do środka.

- W Tybecie nie ma kupców na drodze dzieła sztuki - stwierdził Shan.

Yao zignorował tę uwagę.

- Ostatnim razem wam przerwano - powiedział. - Wyjaśnialiście mi, jak skradziono to malowidło.

Shan stał przez chwilę bez słowa, przyglądając się, jak na twarzy Yao pojawia się wyraz frustracji.

- Najpierw wy mi wyjaśnijcie, do czego Mingowi potrzebny był Surya - powiedział.

- Ming spotkał go któregoś dnia, gdy malował w tamtej wieży, i przekonał się, że on dużo wie o starych dziełach sztuki, o miejscach, gdzie je ukrywano. Ming twierdzi, że mamy do czynienia ze złodziejami o określonym programie politycznym. Zwracanie zagrabionych dzieł sztuki krajowi, w którym powstały, tego rodzaju sprawy.

- Ming podejrzewał Suryę?

- Tylko o to, że zna jakieś tajemnice, które mogłyby być dla nas użyteczne. Surya mówił zagadkami o malowidłach i o czymś, co nazywał siedliskami mocy. Odniosłem wrażenie, że to zaintrygowało Minga. Ale w końcu mnich okazał się po prostu starym wariatem. Twierdził, że ani razu nie był w Lhadrung. Zachowywał się tak, jakby całe życie spędził wśród skał, jak zwierzę w norze. Mówił, że jest mnichem, a potem, że nie jest mnichem. W biurze wciąż bawił się wyłącznikami światła, pstrykał nimi, jak ktoś, kto pierwszy raz ma do czynienia z elektrycznością.

Shan zerknął na Corbetta, który zdradził mu, że Suryę proszono, by narysował śmierć. Czyli, był już tego pewien, wizerunek gniewnego bóstwa, które chroniło Zhokę, bóstwa, którego imienia nikt nie ważył się wymówić.

Yao skierował światło latarki w głąb tunelu prowadzącego do podziemnego strumienia, nieufnie patrząc w mrok.

- Dlaczego łączycie tych złodziei z ruinami Zhoki? - zapytał Shan. - Dopóki wam nie pokazałem, nie wiedzieliście przecież, że skradziono stąd to malowidło.

- Nie łączymy - odparł Corbett. - Wiemy tylko, że William Lodi prosto z Seattle udał się w góry koło Lhadrung. Specjaliści twierdzą, że tam wciąż jeszcze są ruiny, w których można znaleźć zabytki tybetańskiej sztuki, jaskinie i stare sanktuaria, gdzie przechowywano je przez setki lat, że na tych terenach nigdy nie przeprowadzono systematycznych poszukiwań, jak gdzie indziej. Jeśli Ming ma rację, Lodi chce zabrać skradzione przedmioty w jedno z takich miejsc, być może po prostu po to, żeby je tam zostawić, zamknąć w jakiejś grocie. Może chce złożyć część z nich w tych samych sanktuariach, z których zabrano je kilkadziesiąt lat temu.

- A do jakiego sanktuarium miałby odnieść osiemnastowieczne włoskie malowidło ścienne?

Yao rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Jak mówiłem, to tylko jedna z teorii.

Corbett zrobił kilka kroków w głąb tunelu, po czym się zatrzymał.

- Oni już się stąd wynieśli. Zabrali malowidło i ruszyli dalej. My powinniśmy zrobić to samo. - Wyglądało na to, że Amerykanin nie ma ochoty zbliżyć się do zdradliwego strumienia w dole.

- Może coś zostawili - stwierdził Yao. - Jak dotąd tu właśnie mamy najbardziej wyraźne ślady ich poczynań.

- Na przykład? - zapytał Corbett.

Yao, marszcząc brwi, przez chwilę patrzył na Shana, wreszcie wzruszył ramionami.

- Kałuża krwi. - Mówiąc to, unióśł w dwóch palcach drewniany paciorek różańca.

Po plecach Shana przebiegł dreszcz. Jeśli w tych podziemiach rzeczywiście grasowali złodzieje świętych malowideł, to nie miał Pojęcia, co zrobiłby Surya, gdyby się na nich natknął.

Corbett westchnął z rezygnacją. Wyjął z plecaka jakieś urządzenie z lampą, które założył na głowę, a następnie wyciągnął latarkę z fioletowym szkiełkiem, opadł na czworaki i włączył ją.

- Ultrafiolet - wyjaśnił, uważnie oglądając jarzące się teraz ślady krwi. Wiodły do małej celi z zagłębieniami po ołtarzu, tej samej, w której Shan znalazł starą stronicę pechy z angielskim tekstem.

- W starej wieży - odezwał się Shan - użył pan tego światła, żeby odtworzyć stary napis.

- Dużo mi z tego przyszło - mruknął Corbett. - I tak nie mogliśmy... - Nagle unióśł wzrok. - Odczytał go pan?

Shan spojrzał w stronę Yao.

- To tylko stara mantra - wyjaśnił. Wciąż nie rozumiał, dlaczego Suryi tak zależało na tym, by zniszczyć wzmiankę o górskim pałacu i jaskini Boga Gór, dlaczego zacierał ślady pielgrzymiego szlaku.

Yao rzucił na ziemię swój mały plecak, wyciągnął butelkę wody i napił się, nie częstując Shana i Corbetta.

- Oprowadźcie mnie - zażądał. - Powiedzcie mi, co widzicie, towarzyszu Shan. Potraficie mówić jak Tybetańczycy, ale czy potraficie też patrzeć jak oni?

- Nie znam tych ruin.

- Ale wiecie, czego się spodziewać w klasztorze takim jak ten.

- W Tybecie lepiej wystrzegać się wszelkich uogólnień - odparł sztywno Shan.

- Jeśli wrócę i powiem Tanowi, że miał całkowitą rację, ostrzegając mnie przed wami, bo już na samym początku zniweczyliście swoją szansę na rehabilitację, gdzie spodziewacie się znaleźć schronienie? Myślicie, że kiedykolwiek jeszcze zobaczycie się z synem?

Shan przez chwilę spoglądał na inspektora, po czym zapatrzył się w głąb ciemnego korytarza, który otwierał się przed nimi.

- Pod ziemią zwykle był gonkang - oświadczył - kaplica gniewnych bóstw opiekuńczych. W pobliżu mogło się znajdować pomieszczenie, w którym przechowywano utensyilia obrzędowe.

- Utensyilia obrzędowe?

- Kostiumy i maski używane podczas rytualnych tańców. Specjalne obrazy, które wyciągano jedynie w święta.

- Skarby.

- W oczach mnichów.

- Czy ta sala z malowidłem to właśnie był gonkang? i Shan podniósł jedną z lamp i na powrót stanął w drzwiach sali, rozglądając się po ścianach. Nie było żadnego śladu po ołtarzu, nie było też grubej warstwy sadzy, pozostałości po ofiarach z masła, którą zawsze widywał w gonkangach. I - Nie. To jest przedsionek, miejsce przygotowań. Można się tu było zatrzymać, żeby się uspokoić przed wejściem do kaplicy.

- Jestem wystarczająco spokojny - odparł z naciskiem Yao. - Co jeszcze?

- Nie wiem. Pod ziemią mogły być składy, liczne, zważywszy na rozmiary tej gomy.

- Macie na myśli kryjówki. Miejsca, z których mogliby skorzystać złodzieje.

Yao zaczął schodzić pochyłym tunelem w stronę strumienia. Shan ruszył za nim, po chwili jednak przystanął, żeby przyjrzeć się dziesięciocentymetrowemu kawałkowi starego drewna, najwyraźniej niedawno odłamanemu od czegoś większego. W zasięgu wzroku nie było żadnych belek, żadnych słupów, żadnych drewnianych elementów. W nielicznych miejscach, gdzie na podłodze zgromadził się kurz, widać było świeże ślady: dwie wąskie równoległe linie w odległości czterdziestu pięciu centymetrów od siebie. Tunelem wleczono coś innego niż zwłoki, być może prowizoryczne nosze, na których złożono trupa. Gdy Shan dopędził Yao, inspektor stał przy wodospadzie, wodząc światłem latarki po wyblakłych znakach na ścianie po drugiej stronie.

- Potraficie to przeczytać?

Były to litery, zapisane dawno temu w starym, eleganckim stylu. Obok maleńkich ludzkich postaci Shan rozpoznał słowo „życie”.

- Nie - odparł.

Wcześniej, pędząc na ratunek przerażonemu Amerykaninowi, nie miał czasu przyjrzeć się dokładnie korytarzowi, którym Płynął strumień. Teraz spostrzegł, że jego ściany niegdyś pokrywały malowidła, choć większość z nich osypała się już lub była nieczytelna pod siatką spękań i dziur. Jednak trzy zostały zniszczone niedawno. Na kruszących się fragmentach pozostały jeszcze resztki przezroczystej taśmy klejącej i cienie bibułki. Górna krawędź jednego z nich nosiła ślady piły, inny próbowano odciąć lub odłupać dłutem. Yao wydał gniewny pomruk i zaczął się przyglądać szczątkom malowideł.

- W cesarskim pałacyku nie zostały nawet odciski palców - stwierdził. - Nic poza śladami lateksu. Ten bałagan nie wygląda na robotę tych samych fachowców.

- Stare tynki mają różny skład, różne właściwości - zauważył Shan. - Nawet fachowcowi może się nie udać za pierwszym razem.

Dziesięć minut później znowu ruszyli korytarzem, w którym odkryli szereg drzwi, pół tuzina niskich otworów umieszczonych jeden tuż przy drugim.

- Cele medytacyjne - wyjaśnił Shan. Minęli je, świecąc do środka latarkami. Ściany były z surowego kamienia, wewnątrz nie umeblowane. Yao wszedł do ostatniej celi, Shan za nim.

W powietrzu unosiła się ledwo uchwytna woń kadzidła. Leżący w kącie zakurzony tłumok mógł być niegdyś kocem jakiegoś mnicha.

- Oni tutaj siedzieli - wyjaśnił Shan - spali, jedli, śpiewali swoje mantry. Spędzali tak całe dni, niekiedy tygodnie. - Przyjrzał się twarzy Yao, na której pojawił się cień niepewności. - Kiedy Tybetańczycy medytują, zdarza im się odchodzić w miejsce nie znane ani wam, ani mnie.

Yao łypnął na niego gniewnie, ale podszedł do koca i kucnąwszy, oświetlił go z bliska latarką. Wyglądało na to, że woli go nie dotykać.

- Czwarty raz jestem w tych ruinach - powiedział - i za każdym razem wydaje mi się, że dobiegają mnie jakieś dźwięki, ale kiedy wyteżam słuch, nic nie słyszę, może tylko bezgłośnie wibrację, jakby przebrzmiałe echo. Nie dźwięk, ale przecucie dźwięku.

Shan przyjrzał mu się badawczo. Inspektor posługiwał się dziwnym językiem. Czasami mówił jak śledczy, czasami jak członek Partii. Ale niekiedy wyrażał się jak uczonec. Yao spojrzał na niego z rozbawieniem w oczach. Czyżby drwił sobie z Shana? A może z gomy?

Wstał i utkwiał w Shanie zimne, nieruchome spojrzenie.

- Musicie podjąć decyzję, towarzyszu. Są inne metody postępowania, metody pułkownika Tana. Obsadzić góry wojskiem. Przesłuchać każdego mężczyznę, kobietę i

dziecko, leażdą kożę i jaka, sprawdźć, co wyjdzie na jaw. Tan twierdzi, że to zawsze skutkuje.

- Muszę wiedzieć, że mnie nie okłamujecie - odparł Shan. - Na temat mojego syna. Na temat waszego śledztwa.

Przez chwilę Yao patrzył niepewnie na drzwi za jego plecami, jakby się zastanawiał, czy Shan mógłby mu zagrozić wyjście z celi, może nawet wepchnąć go w strumień. Potem jego spojrzenie stwardniało.

- Mówiłem wam.

- To, kim jesteście, przemawia dobitniej niż to, co mówicie - rzekł Shan.

- A kim jestem? Śledczym na usługach najwyższych władz? Wy sami byliście kimś takim przez dwadzieścia lat, towarzyszu.

- Otóż to.

Jedną stronę ust Yao wykrzywiło coś w rodzaju uśmiechu.

- Pułkownik Tan uprzedzał, że jesteście zdolni do wszystkiego, że irracjonalnie będziecie starali się osłaniać Tybetańczyków. Uprzedzał, żeby dobrze ważyć każde wasze słowo. Powiedział, że nigdy nie zrobiliście nic przypadkiem albo z głupoty. Może przypominacie sobie, że chciał dziś wysłać z nami żołnierzy, ale nie zgodziłem się na to. Tym razem. Mielście dostrzec w tym gest dobrej woli. Dowód mojego zaangażowania w waszą rehabilitację. - Zrobił krok w stronę Shana, ale Shan się nie poruszył. - Chcę tylko prawdy - powiedział.

- Nie - odparł Shan. - Jak wspomnieliście, przez wiele lat robiłem to samo co wy. Wiem dobrze, czego chcecie. Naprawdę chodzi wam tylko o to, żeby zamknąć sprawę, uzyskać politycznie zadowalające wyjaśnienie, które zakończy śledztwo. Są prokuratorzy, którzy odkryli, że najlepszą odpowiedź na każdą otwartą sprawę stanowią Tybetańczycy. Nieprzystosowani. Upośledzeni genetycznie, jak mogą zaświadczyć pewni naukowcy. Nie ma nikogo, kto by ich bronił. Wrodzy wobec cekinu. Z definicji niepożądani politycznie. A przy tym wystarczająco silni, żeby znieść lata ciężkich robót.

Yao znów zmarszczył brwi.

- Wasza rehabilitacja - westchnął - na razie stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Przecisnął się obok niego na korytarz, po czym przystanął i wyciągnął z kieszeni świstek papieru. Podał go Shanowi. Na świstku widniał długi szereg cyfr w znajomym układzie. Shan bezwiednie podwinął rękaw i porównał cyfry ze swoim tatuażem. Był to numer rejestracyjny z lao gai.

- To jego numer. Jego obóz leży w północno-zachodnim Xinjiang - wyjaśnił inspektor, mając na myśli rozległą prowincję na północ od Tybetu, krainę pustyń i odludnych, dzikich gór, w której chętnie lokowano obozy dla skazanych na ciężkie roboty.

Shan zmiął świstek w garści.

- Wciąż nie wyjaśniliście mi, dlaczego tu jesteście - powiedział. - Nie przybyliście do Lhadrung tylko ze względu na tego agenta FBI czy zbieżność czasu obu przestępstw.

- Wśród starych dokumentów w pałacyku Qian Longa Ming znalazł kopię listu, w którym cesarz pisze, że wysyła jakąś piękną rzecz ze swego pałacyku w darze dla przyjaciół z Lhadrung.

- Jakich przyjaciół?

- Nie wiemy. Jak sami stwierdziliście, wśród jego dworzan byli lamo wie.

- Skąd wiecie, że list jest autentyczny?

- Bo Ming tak powiedział - warknął Yao. - To on poinformował Przewodniczącego o kradzieży i o liście.

- Twierdzicie, że to malowidło zostało skradzione, bo dwieście lat temu Pekin przekazał je w darze Tybetowi? Że to przestępstwo polityczne?

Yao uśmiechnął się tylko i odszedł, żeby obejrzeć pozostałe dwie sale wychodzące na korytarz prowadzący do basenu, w którym o mało nie zginął Corbett.

Jedna z nich była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć kąta, w którym zgromadził się kurz. Odcisnęły się na nim ślady solidnych górskich butów, drogich, nie takich, jakie nosili Tybetańczycy. Śladów było kilkanaście, w co najmniej dwóch różnych rozmiarach. W drugiej, ostatniej sali, do której docierało dzienne światło z otworu u wylotu strumienia, zastali chaos. Na podłodze wałały się okruchy glinianych naczyń i coś, co było ich zawartością. Mąka, cukier, ryż, zupa w proszku. Mała kuchenka butanowa, jakby zgnieciona butem. Herbata wysypująca się z używanych na Zachodzie małych torebek z przywieszonymi etykietkami opatrzonymi angielskim napisem - Pudełko lateksowych rękawiczek, do którego wrzucono słoik miodu. Puch z dwóch rozprutych śpiworów.

Yao wskazał ślady butów odcisnięte w rozsypanej mące i cukrze.

- Co najmniej trzy pary. Właściciele zapasów - podsunął mu Shan, zwracając uwagę, że wszystkie ślady z wyjątkiem jednych, prowadzących prosto do najdalszego kąta, znajdują się w przedniej części sali, skąd ludzie, którzy je zostawili, przyglądali się spustoszeniom. Dwa komplety śladów pochodziły najwyraźniej od butów w zachodnim stylu, o głęboko rzeźbionych podeszwach, trzeci, gładki, od miękkiego obuwia, jakie nosiło wielu Tybetańczyków. Shan poszedł samotnym śladem i w kącie, pod kocem, odkrył jeszcze jedno

gliniane naczynie. Były w nim baterie w oryginalnych plastikowych opakowaniach, pasujące do metalowej latarki, którą znalazł, gdy był tu po raz pierwszy, oraz puste pudełko po cygarach. *Aromat rumowy*, informowała angielska etykieta.

Yao cicho mruknął zadowolony i zaczął przeszukiwać pomieszczenie centymetr po centymetrze, świecąc latarką w każdy kąt, oglądając nawet sufit. Nie minęło pięć minut, gdy znalazł małą akumulatorową piłę tarczową pokrytą pyłem z tynku i, w kolejnym glinianym naczyniu, załadowane magazynki do karabinu.

- Mogę teraz sprawdzić, czy nie ma na niej tynku z pałacyku cesarza - oświadczył, triumfalnie unosząc piłę, po czym zdemontował tarczę i schował ją do celofanowej torebki. - Jeśli zostały choćby mikroskopijne fragmenty, znajdziemy je.

Shan zerknął na niego i obojętnie pokiwał głową. Podczas gdy inspektor przeszukiwał salę, on przyglądał się śladom Prowadzącym do kąta. Odciski miękkich butów były wcześniejsze niż najświeższe ślady zachodniego obuwia, jak gdyby zapasy zniszczył jakiś samotny Tybetańczyk. Surya nosił buty o miękkich podszwach. Dziesięć minut później znaleźli Corbetta. Pochylał się nad płaskim kamieniem, w dłoni trzymał długą pęsetę uniesioną nad kartką papieru, na której zgromadził owoce swych drobiazgowych poszukiwań. Trzy niedopałki papierosów bez filtra Kolejny niedopałek cygara ze słodkim tytoniem. Cztery żyłki o pojedynczym ostrzu, które wydłubał ze szczeliny w skale. Kawałek szerokiej taśmy klejącej złożony lepką stroną do środka. Kilka odłamków czegoś, co wyglądało jak kość. Okruchy ciemnoniebieskiego kamienia, być może lapis lazuli, bardzo lubianego przez tybetańskich artystów. Ponad pięćdziesiąt paciorków z różańca Suryi. Oraz jakieś szare drobinki, które Shanowi z niczym się nie kojarzyły.

- Srebro - wyjaśnił Corbett. - Płatki srebra. - Podniósł pęsetą największy z nich i oświetlił go latarką.

- Skąd? - zapytał Yao.

- Możliwe, że był tu jeszcze jeden cenny obiekt - stwierdził Amerykanin. - Coś ze srebra, być może wysadzanego drogimi kamieniami, które złodzieje postanowili wydłubać. - Odłożył płatek srebra i podniósł jakąś małą grudkę, także szarą. - To jest coś innego. Pracowałem kilka lat w laboratorium medycyny sądowej. Mamy tu srebrną plombę z zęba.

- Tybetańczycy, którzy mieszkają na tych wzgórzach, nie noszą srebrnych plomb - zauważył cicho Shan. - Kiedy ząb się psuje, wrywają go.

- Krople krwi zaczynają się tutaj - rzekł Corbett, wskazując światłem latarki celę, w której Shan znalazł zapisaną stronicę. - To tu go zaatakowano, tu zadano mu ranę. Gdy dotarł do drzwi, już mocno krwawił. Przypuszczam, że wdepnął we własną krew. - Amerykanin

zatrzymał wiązkę światła na przeoczonym przez Shana fragmencie makabrycznego szlaku, gdzie ktoś czubkiem buta nastąpił na krwawą plamę i zostawił gofrowany wzór podobny do tego, jaki Shan i Yao widzieli w sali na dole. - Przez chwilę próbował się tutaj oprzeć, potem upadł - ciągnął Corbett, oświetlając kamienną ścianę tuż przy drzwiach. Widniała tam czerwona plama, odbite częściowo wnętrze dłoni oraz opuszki palców. Krąg światła przesunął się na drugą stronę kałuży, ku śladom, które Shan widział wcześniej, rozmazanym odciskom stóp w sandałach. - Był tutaj ktoś jeszcze, kiedy on umierał. Albo niedługo potem. - Surya - szepnął Shan.

- Tym przestępstwem się nie zajmujemy - odezwał się Yao. W jego głosie brzmiała ostrzegawcza nuta.

W sali zapanowała dziwna cisza. Corbett wodził światłem po śladach, odtwarzając drogę Suryi od drzwi do kąta, a potem do wizerunku dziewięciogłowego bóstwa, pod którym, w szczelinie w podłodze, zebrały się paciorki różańca. Shan odniósł wrażenie, że Amerykanin rozumie, iż mnich, zdjęty grozą, wycofał się do kąta, a następnie stanął przed bóstwem i rozerwał sznur swego różańca.

- Nie ma częściowej prawdy - usłyszał własne słowa. W jego głosie pobrzmiwał smutek. - Jest tylko cała prawda. - Uniósł wzrok i spostrzegł, że obaj mężczyźni mu się przyglądają.

- Co to znaczy? - zapytał ostro Yao.

- To znaczy - powiedział Shan z pewnością wypływającą z jakiegoś nieznanego miejsca w głębi jego duszy - że nigdy nie zrozumiecie, co zdarzyło się w Seattle i w Pekinie, jeśli nie zrozumiecie, co zdarzyło się tutaj, w tej sali, jeśli się nie dowiecie, co widziało to bóstwo. - Spojrzał na groźną postać na ścianie ponad kałużą krwi.

Spodziewał się jeśli nie gniewu, to drwin Yao i Corbetta. Oni jednak nic nie powiedzieli, tylko przyglądali się bóstwu o dziewięciu głowach. Czy oślepieno je dlatego, że widziało, co tu zaszło?

- Jest coś jeszcze - odezwał się Corbett, kierując latarkę na dolną część ściany na korytarzu, tuż przy wejściu do sali. - On próbował zostawić wiadomość. - Amerykanin wskazał owal, w który wpisano okrąg i kwadrat. - Ktoś narysował to i napisał jakieś słowo - dodał, wskazując coś, co Shan wziął za jeszcze jedną plamę krwi nad rysunkiem, być może miejsce, gdzie umierający oparł się, rysując. Ale w świetle latarki Corbetta spod plamy wyzierały jarzące się litery.

- To, co się jarzy, to krew - wyjaśnił Amerykanin. - Na niej Jest farba, koloru zbliżonego do barwy świeżej krwi. - Wyłączył fioletowe światło i litery zniknęły. - Ktoś pisał

krwią, ktoś inny Pokrył to farbą, taką samą jak ta, którą zamalowano tekst w wieży. - Ponownie włączył latarkę. - Co tu jest napisane?

- Nyen Puk. Jaskinia Boga Gór - odparł Shan. - To musi być jakiś urywek. Czasami ludzie przed śmiercią piszą ostatnią modlitwę. - Surya rozpaczliwie starał się zatrzeć wszelkie wzmianki o Bogu Gór, ale ten, kogo tu zabito, poświęcił swe ostatnie technienie i użył własnej krwi, żeby o nim powiedzieć.

- Uważa pan, że zmarły był Tybetańczykiem? - zapytał Corbett.

Shan zacisnął dłoń na żetonie w kieszeni kurtki.

- Nie wiem - odrzekł, wyciągając krążek. - Znalazłem to w kałuży krwi. Mogło należeć do niego. - Wygląda to, jakby zmarły był Tybetańczykiem, a zarazem kimś innym.

Oczy Corbetta zaśniły podnieceniem.

- To nie jego! - wykrzyknął. - Dlaczego pan nie...? - Nie dokończywszy pytania, wyrwał mu żeton z ręki i przyjrzał mu się uważnie. - On tu był, to namacalny dowód. - Rzucił żeton Yao, który z kwaśną miną pobieżnie go obejrzał. - Sukinsyn znów zabił - stwierdził niemal z nadzieją. - Rzucił tym w umierającego, na urągowisko, żeby mu okazać pogardę. - Spojrzał na Shana. - Przejrzelśmy wykaz ostatnich podróży Lodiego. Przyleciał do Stanów z Londynu, ale zanim wylądował w Seattle, spędził trzy dni w Nevadzie, w Reno.

Corbett mógłby równie dobrze powiedzieć, iż ma dowód, że ten człowiek przybył z bayalu, jednej z mitycznych ukrytych krain. To wszystko wydawało się niemożliwe, wyglądało tak, jakby w tej mrocznej sali zapomnianej prastarej świątyni ziemi połączyły się na krótką chwilę alternatywne wszechświaty, a po tym zetknięciu został tu martwy mężczyzna, dziewięciogłowe bóstwo i plastikowy żeton.

- Kiedy Surya wyszedł z podziemi, twierdził, że zabił tu kogoś - powiedział Shan. - Byłem tutaj parę minut później. Niemożliwe, żeby dał radę wynieść ciało, nie ubrudziwszy się krwią, albo wywlec je, nie zostawiając krwawych smug na ziemi. Kiedy zszedłem tu po paru minutach, zwłok nie było.

- Dlatego, że zajął się nimi Lodi - odparł Corbett. - Zaczekał w ukryciu, by usunąć dowody swego przestępstwa.

- Złodzieje zgromadzili tu zapasy - przypomniał ShanoWi Yao, po czym opowiedział Corbettowi, co znaleźli. - Wasz stary pinich musiał go widzieć. Pewnie był przerażony i oszołomiony tym, co zobaczył. Wybiegł na zewnątrz.

- Ale dlaczego Lodi miałby kraść malowidło w Tybecie? - zapytał Shan.

Amerikanin westchnął, wpatrując się w ciemność.

- Co to, do diabła, za miejsce? - zapytał znużony. Zdawało się, że mówi do czegoś ukrytego w mroku.

Wyszli z powrotem na korytarz wiodący ku schodom. Tym razem uważnie przyjrzeni się jego ścianom. Podziemia wydawały się Shanowi dziwnie niekompletne. Nie było tu gonkangu, jedynie jego przedsionek, pomieszczenie służące modlitwie i duchowemu przygotowaniu na spotkanie z gniewnymi bóstwami opiekuńczymi. Powoli przeszedł cztery metry dzielące go od końca korytarza. Zamykająca go ściana, lita płyta skalna otoczona mniejszymi głazami, w górnej części była lekko nachylona do wewnątrz. Na gładkim kamieniu wielkimi czerwonymi literami wymalowano mantrę mani. Shan wolno przesunął po niej wiązką światła, przyglądając się literom. Miejscami się łuszczyły. Dotknął odstającego płatka farby i odpadł kolejny fragment. Farbę nałożono szerokim pędzlem, grubymi, zamaszystymi pociągnięciami, mniej dopracowanymi niż w innych napisach, które oglądał. Powiodł światłem po narożnikach, przesunął dłoń nad szczelinami w luźnym gruzie, który osypał się do kąta. Miał wrażenie, że coś się porusza. Przeciąg. Przytknął opuszki palców do jednej ze szczelin. Przez szparę wpływał ledwo wyczuwalny prąd powietrza. Przyświecając sobie latarką, powoli przesunął dłoń w górę, tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć, a potem skierował snop światła jeszcze wyżej i zatrzymał go na barwnej plamie przeszło trzy metry nad ziemią, u zbiegu sufitu oraz tylnej i lewej ściany.

- Co to jest? - dobiegło go zza pleców zadane ostrym tonem Pytanie. Yao również skierował na ten kąt światło latarki.

- Nic - odparł niepewnie Shan. - Coś na skale. Chyba Porosty.

- One nie rosną tam, gdzie nie ma światła - oświadczył Corbett. Zbliżył się do nich, omiatając latarką sufit, a następnie Podszedł do tylnej ściany i pochylił się nad napisem. - Ta farba Jest inna niż pozostałe. To nie jest tradycyjny barwnik. Wygląda na tanią farbę do wnętrza. - Podniósł jeden ze złuszczonych płatków i pociągnął za końce. Farba była elastyczna. Shan znów spojrzał na barwną plamę pod sufitem.

- Ja jestem najcieńszy - oznajmił Corbett. - Który z was ma ochotę się powspinać?

Chwilę później Amerykanin pochylił się i Shan wdrapał mu się na plecy. Podtrzymywany przez Yao, postawił stopy na barkach Corbetta i oparł się o ścianę, żeby zachować równowagę, gdy Amerykanin wolno się prostował. Kiedy Corbett stanął zupełnie prosto, głowa Shana znajdowała się bliżej niż na wyciągnięcie ręki od górnego narożnika.

- Co to jest? - stęknął Corbett.

- Ktoś na nas patrzy - odparł wolno Shan. Na łacie tynku namalowane było oko, częściowo ukryte za pęknięciem w murze. Był to jeden z symboli przedstawianych na

malowidłach ściennych i thankach, przypuszczalnie stanowiący fragment polichromii pokrywającej znaczną część bocznej ściany. Tylne ściana nie była ścianą, lecz płytą, która opadła z sufitu, prawdopodobnie podczas bombardowania gomy, ktoś jednak pieczołowicie usunął resztki malowideł, pozostawiając jedynie ukryte w cieniu oko. Shan skierował latarkę w dół i pomacał skalny gruz w narożniku. Szybko odkrył, że kamienie nie tworzą bezładnego usypiska, ale zostały starannie umocowane zaprawą. Ktoś celowo ukrył część podziemi.

Zeskoczywszy z pleców Amerykanina, Shan uświadomił sobie, że Corbett także to spostrzegł. Agent FBI powiódł światłem po krawędziach ściany, oglądając zreżnięte zamaskowane spojenia.

- Co tam jest? - zapytał Yao.

Shan przyjrzał się niepewnie obu mężczyznom. Po chwili zdał sobie sprawę, że jego dłoń zaciska się na świstku z numerem obozowym, który dał mu Yao. Poprosił inspektora o kartkę papieru i nakreślił dwie mapki. Najpierw, po lewej stronie, narysował wąwóz i ruiny na powierzchni, tak jak je pamiętał, zaznaczając punkt, w którym woda tryskała ze ściany urwiska. Potem odwrócił kartkę i po lewej naszkicował szeroki korytarz ze schodami, salę z malowidłem oraz tunel prowadzący do podziemnego wodospadu. Ponownie odwrócił kartkę i złożył ją na pół, tak że mapka powierzchni nałożyła się na szkic podziemnego kompleksu.

- Bardzo ładnie - stwierdził Corbett. - Do czego pan zmierza?

Shan wskazał na schemacie układ budynków otaczających schody, łącznie z postumentami na młynki modlitewne po obu stronach wejścia, a potem linie po przeciwnej stronie powierzchniowego kompleksu.

- Pierwotny plan gomy był symetryczny. Na powierzchni praktycznie nic już nie zostało. Ale gdybyśmy wspięli się na stok, po drugiej stronie zobaczylibyśmy identyczny układ kamiennych murów i postumentów pod młynki modlitewne. Biegają równolegle, dwieście metrów od siebie.

- Symetrycznie - powtórzył niepewnie Yao. Shan skinął głową.

- Cały kompleks został starannie rozplanowany przez artystów i łamów. - Jeszcze raz nałożył na siebie oba szkice. - Mury po drugiej stronie odpowiadają schodom po tej.

- Kolejne schody - zauważył Corbett.

- Dwa zejścia w dół, po jednym na każdym końcu szerokiego podziemnego korytarza - powiedział Shan. - Co oznacza, że nie widzieliśmy głównej części podziemnego kompleksu.

Wyszli na powierzchnię. Shan, niespiesznie idący na przedzie, rozglądał się za Gendunem. Pięć minut później stali po drugiej stronie gomy, przypatrując się szczątkom dwóch kamiennych ścian, idealnie zbieżnym z tymi, które górowały nad zachodnimi

schodami. Na końcu każdej ściany znajdował się postument na posąg. Wielkie posągi, szczególnie te rzeźbione w kamieniu, nieczęsto pojawiały się w tybetańskich klasztorach, ale Zhoka pod tym względem - jak i pod wieloma innymi - wydawała się wyjątkowa. Na prawym postumencie spoczywała naturalnej wielkości stopa w sandale, jedyne, co pozostało z rzeźby. Na lewym siedziała w pozycji lotosu bezgłowa postać w mnisiej szacie. Pomiedzy ścianami, całkowicie wypełniając klatkę schodową, zalegało rumowisko głazów, gruzu i kamiennych płyt. Pokrywały je plamy porostów, tu i owdzie sterczały rachityczne, walczące o przetrwanie krzaki, oudynek nad schodami zawalił się, zasypując wejście. Corbett ruszył wzdłuż północnej ściany. Po piętnastu metrach zatrzymał się i zawołał pozostałych. Gdy Shan dołączył do niego, Amerykanin wskazał w dół, na plamę cienia wśród gruzów, płytki otwór szerokości półtora metra i, jak się zdawało, tej samej głębokości. Ale gdy Corbett podniósł kamyk i rzucił go tam, kamyk odskoczył. To nie był płytki otwór. Był to szyb przykryty płótnem, sprytnie pomalowanym w odcienie brązu i szarości, żeby nie odróżniało się od skał. Corbett pochylił się i unióś róg płachty. Szyb ciągnął się w dół jeszcze przez sześć metrów. O jedną z jego ścian opierała się prowizoryczna drabina. Przekopywano się tu przez skalny gruz.

- Więc jeszcze ktoś wie o pańskim podziemnym kompleksie - mruknął Corbett. Odwrócił się i rozejrzał dookoła.

- Dlaczego właśnie teraz? - zastanawiał się głośno Yao. - Minęło tyle lat i nagle ktoś zaczyna kopać...

Rzeczywiście, dlaczego teraz? pomyślał Shan. Czyżby to zrobili mnisi? Czyżby to była jakaś część planów potajemnego wskrzeszenia gompy?

Corbett pochylił się i podniósł z ziemi niedopałek papierosa. Pokazał im go w wyciągniętej ręce. Był świeży, jak te, które zebrał wcześniej. Ktoś jeszcze oprócz mnichów był w tym miejscu.

- Lodi - podsunął Amerykanin, wskazując napis na filtrze. - On pali amerykańskie papierosy. Takie same znalazłem przy kałuży krwi. - Powąchał tytoń. - Jeszcze świeży. Sprzed paru dni, nie więcej. - Nagle zeszywniał i zwrócił głowę na południe. - Słyszeliście to? Ktoś płacze.

Shan i Yao spojrzeli po sobie. Shan nic nie słyszał.

Corbett przez chwilę stał ze wzrokiem utkwionym w poszarpane szczyty na południu, po czym zrobił kilka drobnych, niepewnych kroków w tamtą stronę. Shan i Yao zaczęli się rozglądać w poszukiwaniu innych śladów. Między skałami znaleźli kilka dużych prostokątów odsłoniętej ziemi, prawdopodobnie pozostałości ogródków. Na kilku z nich widniały długie płytkie zagłębienia. Mogły to być odciski tych samych butów, które zostawiły ślady w tunelu,

jednak wiatr zatarł je tak, że nie można było tego stwierdzić na pewno. Kiedy Shan uniósł wzrok, Corbett zniknął. Yao z zatroskaną miną wpatrywał się w bezgłowy posąg.

Nagle ciszę przerwał jęk. Shan popędził tam, gdzie ostatnio widział Corbetta. Amerykanin, błyśnięty jak płótno, siedział na głazie. Na widok Shana ostrzegawczo uniósł dłoń.

- Nie zajmuję się takimi sprawami - powiedział cicho, z napięciem w głosie. - Co to za miejsce? - zapytał znowu, utkwivszy wzrok w ziemi u swych stóp.

Obok nich przebiegł Yao. Pędził na drugą stronę ruin wysokiego kamiennego muru za plecami Corbetta. Shan znalazł go chwilę później. Śledczy wpatrywał się w makabryczną ekspozycję pośrodku czegoś, co niegdyś było zapewne niewielkim dziedzińcem. Na stole zbitym z desek leżały kości. Na środku blatu stało w równym rzędzie niemal dwadzieścia poślizgniętych ze starości czaszek, odwzajemniając pustymi oczodołami spojrzenia żywych. Przed czaszkami rozłożone były mniejsze kości. Kompletna dłoń. Kilka kości udowych. Na obu końcach blatu stały małe kadzielnice, w których palono wonne drewno, żeby przyciągnąć bóstwa.

Yao stał porażony tym widokiem. Shan zaczął obchodzić stół.

- Jakaś masakra - odezwał się Corbett. Shan uniósł wzrok. Stojący obok Yao agent FBI trzymał się za brzuch. - To musiała być masakra - dodał Amerykanin przez ściśnięte gardło. - Trzeba wezwać zespół medycyny sądowej.

Yao zaczął się odwracać w stronę Shana, ale spuścił wzrok i sięgnął po swój notatnik.

- Nie trzeba nikogo wzywać - oświadczył cicho, niemal szeptem. - To nie jest nasza sprawa.

Ale Shan w to nie wierzył. Ktoś przekopywał się przez gruz, który zasypał głęboką klatkę schodową. Niewykluczone, że nad schodami znajdowała się kaplica, zburzona tego strasznego dnia przed niemal pięćdziesięciu laty, w której mogli zgromadzić się mnisi, gdy nadchodził koniec. Być może więc nie kopali tu szabrownicy, ale Tybetańczycy składający spóźniony hołd zmarłym.

Gdy Shan pochylił się nad kośćmi, Corbett podszedł o krok do stołu.

- Tam są przekleństwa - zauważył Yao, wskazując napis biegnący wzdłuż krawędzi grubej deski na skraju blatu. - Ludzie, którzy robią takie rzeczy, rzucają przekleństwa na tych którzy próbują się wtrącać.

Shan spojrział na napis. Wykonano go niedawno, kredą albo kawałkiem tynku. Z trudem odczytywał tybetańskie znaki. Przeczytawszy całą linijkę, uświadomił sobie, że rozumie poszczególne słowa, ale nie potrafi z nich złożyć nic sensownego. Wpatrywał się w nie, czytając je raz po raz.

- To nie jest przekleństwo - powiedział w końcu. - To jest...

- Co takiego? - zapytał Corbett, nie odrywając oczu od kości.

Shan dopiero teraz zreflektował się, że umilkł w pół zdania, z rozbudzonym na nowo zaciekawieniem rozglądając się po ruinach.

- Tu jest napisane - odparł, wskazując słowo po słowie - „Nie czas, lecz piękno upomniało się o nas”. - Z szacunkiem dotknął boku pierwszej z pożółkłych czaszek, jakby gładził policzek ukochanej osoby. Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że Yao przygląda mu się z wyzwaniem w oczach.

- Co dowodzi jedynie, że to wszystko sprawka Tybetańczyków - oświadczył inspektor, na powrót przybierając ton oficera śledczego. Podniósł ze stołu jedną z kości udowych. - Wspomnieliście, że widzieliście taką kość na dole - dodał, zwracając się do Shana. - Tybetańczycy robią z nich jakiś użytek, czyż nie, towarzyszu? - zapytał z naciskiem.

- Wyrabiają z nich trąby - potwierdził Shan.

- I pokrywają je srebrem - dodał Yao - być może po to, żeby sprzedawać je w sklepiku Lodięgo w Lhadrung albo za granicą, jako antyki. Jeśli Lodi i jego wspólnicy z takim upodobaniem zbierają kości - ciągnął - sądzicie, że robi im wielką różnicę, w jaki sposób je zdobywają? - Nie czekając na odpowiedź, odszedł, szperając w plecaku. Gdy zniknął za szczątkami muru, Shan dostrzegł w jego dłoni małą czarną krótkofalówkę.

Corbett nadal wpatrywał się w czaszki.

- Rozumie pan, co stało się wczoraj, kiedy niemal stracił pan życie? - zapytał Shan. - Ja nie.

- Co pan ma na myśli?

- Chodzi mi o ten stary napis na skale. On nie miał nic wspólnego z Williamem Lodim ani z pańską sprawą. A jednak zdjął pan buty, wszedł pan do lodowatej wody i niewiele brakowało, żeby się pan zabił. Dlatego, że musiał pan obejrzeć stary tybetański tekst na ścianie.

Zdawało się, że słowa Shana sprawiły Corbettowi ból. Przez chwile patrzył na swoje dłonie, wreszcie wstał i okrążył stół z kośćmi.

- Myślałem, że jedna z nich mogła należeć do niego, do tego, kto zginął na dole. Ale oni wszyscy umarli już dawno, prawda? - zapytał po chwili.

- Tak.

- Więc kto...? To robota jakichś hien cmentarnych.

- W tej części Tybetu nie ma cmentarzy. Amerykanin z irytacją zmarszczył brwi.

- No jasne. Tu nikt nie umiera.

Shan przyłapał się na tym, że jego wzrok wędruje z powrotem ku czaszkom.

- Co pan wie o historii Tybetu, panie Corbett? Amerykanin nie odpowiedział.

- Co inspektor Yao powiedział panu o tym miejscu?

- Ze to była jakaś szkoła. Stara szkoła artystów, która przestała działać dawno temu. Wygląda na to, że sto lat albo i więcej. Yao i Tan wpisali ją na swoją listę obiektów, w których mogą się ukrywać przestępcy.

- To był klasztor. Gompa. Wojsko i Czerwona Gwardia zniszczyły niemal wszystkie gompy w Tybecie, a były ich tysiące. Takie jak ta, praktycznie niedostępne dla piechoty, były bombardowane z powietrza. Słyszałem relacje naocznych świadków. Wielu mnichów nigdy wcześniej nie widziało samolotów. Machali do nich, kiedy nadlatywały, żeby zrzucić bomby, bo myśleli, że to jakieś podniebne bóstwa.

Amerykanin spoglądał to na czaszki, to na Shana. Wydawał się zasmucony, potem po prostu zakłopotany.

- No cóż. To wszystko nie ma nic wspólnego ze mną. To nie moja ziemia, nie mój kraj. Spędzę tu parę tygodni, a potem odleczę do domu i nigdy więcej tu nie wrócę. - Jego wzrok powoli Powędrował w stronę czaszek. - Zbombardowali ich? - zapytał Po długim milczeniu. - Mnichów? Po plecach Shana przebiegł dreszcz. Odwrócił się. W zburzonej bramie stał Yao, mierząc go wściekłym wzrokiem.

- Przypuszczam, że nawet w pańskiej ojczyźnie, panie Corbett, kryminaliści mają własne, osobliwe poglądy na społeczeństwo i historię.

Corbett wolno pokiwał głową i wstał.

- Mimo wszystko - powiedział zamyślony, podchodząc do stołu - jest coś dziwnego w tych czaszkach. Pracowałem kiedyś w laboratorium medycyny sądowej. - Wskazał na szwy łączące kości czaszek. - Oni wszyscy umarli młodo. Mógłbym się założyć, że żaden z nich nie dożył czterdziestki. - Spojrzał na Yao, wzruszył ramionami, ominął go i wyszedł z dziedzińca.

Yao poczerwieniał. Jego oczy wbiły się w Shana niczym dwa sztylety.

- Myślę, że pułkownik Tan się mylił - warknął inspektor. - Tak naprawdę jesteście jednak głupcem. Szerzenie reakcyjnych poglądów szkodzi nam wszystkim, a najbardziej wam samym. Nie mam pojęcia, dlaczego zwolniono was z obozu. Taki był rozkaz Tana, to wszystko, co wiem na ten temat. Ale rozkazy Tana można odwołać.

Shan obojętnie odwzajemnił jego spojrzenie. Znów powtarzał sobie, że nie powinien dać się zwieść niedbałemu, swobodnemu wyglądowi Yao. Ten człowiek był wysokim urzędnikiem państwowym, zapewne także znaczącym członkiem Partii, i w każdej chwili

mógł okazać zimne wyrachowanie oraz ślepe okrucieństwo charakterystyczne dla takich ludzi.

- Jeśli chcecie zrozumieć mieszkańców tych wzgórz - powiedział po chwili - musicie zrozumieć to, co widzicie na tej skale, musicie zrozumieć, czego doświadczyli przez minione pięćdziesiąt lat.

- Nie - odparował Yao. - Tybetańczycy popełniają przestępstwa ze strachu, z chciwości, z namiętności, jak wszyscy inni ludzie. Nie ma żadnej różnicy. Ostatecznym powodem jest to, że przestępczy umysł nie potrafi przyjąć imperatywu socjalistycznego.

Shan nie spuścił wzroku pod jego przenikliwym spojrzeniem.

- Przypuszczam, że robicie w Pekinie zawrotną karierę, inspektorze Yao.

Yao kilkakrotnie zacisnął i rozluźnił szczęki, wreszcie wrzucił ramionami i uniósł krótkofalówkę.

- Patrole helikopterowe odkryły sześciu lub siedmiu Tybetańczyków w górach na południe stąd. Mężczyzna z dzieckiem i jakieś trzy lub cztery osoby z owcami. Zgarniemy ich i przesłuchamy. Przez was zmieniłem zdanie, Shan. Bardzo chcę wiedzieć, co się stało z człowiekiem, który tu zginął, gdzie się podziały jego kości. W tej chwili to wydaje mi się najważniejsze.

Mężczyzna z dzieckiem. Patrole widziały Lokesha i Dawę.

- Nie możecie! - wybuchnął Shan.

- Żołnierze otrzymali już rozkazy.

- Wyślijcie w te góry więcej helikopterów, a wszyscy Tybetańczycy w okolicy się rozpierchną - ostrzegł Shan, próbując utrzymać w ryzach ogarniający go gniew. - Zapadną się pod ziemię tak głęboko, że nie zobaczycie ani jednego przez całe dni, może tydzień. - Obejrzał się za siebie i przez długą chwilę patrzył na czaszki. Miał poczucie, że kogoś zdradza, nie był jednak pewien kogo. - Wiem, co się dzieje ze zmarłymi - oświadczył cicho, z rezygnacją. - Wiem, kto może nam powiedzieć o kościach. Odwołajcie żołnierzy, a zaprowadzę was do zmarłych.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Unosiła się na wodzie, twarzą do góry, oczy miała zwrócone prosto na mnie - mówił łamiącym się głosem Corbett. Amerykanin opowiadał, jak natknął się na zwłoki zamordowanej guwernantki. Zatrzymali się przy strumieniu, przerwawszy na chwilę mozolną wspinaczkę ku południowym szczytom. - Musiała tam być chyba setka ludzi. Wyglądali przez

burzę, krzyczeli, mdleli, wzywali załogę. Ale ona patrzyła właśnie na mnie. - Oderwał wzrok od odległych gór i, zażenowany, spojrział na Shana i Yao z wymuszonym uśmiechem. - Znajomy lekarz sądowy mówił mi, że ze zmarłymi czasem tak bywa. Patrzą wszędzie i nigdzie, wodzą oczyma za człowiekiem jak jakaś upiorna Mona Lisa.

- Mona Lisa? - powtórzył Shan. Przykucnął, żeby zaczerpnąć ręką wody ze strumienia.

Corbett wzruszył ramionami.

- To taki obraz. Zabrałem się z patrolem portowym, który popłynął ją wyłowić. Pomagałem odgarniać wodorosty, które oplatały się jej wokół rąk i nóg. - Spojrział na swoje dłonie. - Dwadzieścia trzy lata. W uszach miała srebrne kolczyki w kształcie żółwi. Podobno żółwie przynoszą długie życie. Tak właśnie wierzą Chińczycy, prawda?

- Skąd pan zna chińskie wierzenia? - zapytał po chwili Shan. Wypił kilka łyków, a następnie znów zaczerpnął dłonią wody i polał nią sobie głowę.

- Zaczynałem jako policjant w San Francisco. Kiedy zostałem detektywem, przez siedem lat pracowałem w chińskiej dzielnicy.

Gdy znów ruszyli w drogę, przygnębienie Amerykanina zniknęło bez śladu. Corbett szedł obok Shana w niemal radosnym nastroju. Wypytywał go o tybetańskie nazwy kwiatów raz po raz wykrzykiwał z zachwytu nad odległą panoramą widocznych na południowym zachodzie ośnieżonych Himalajów, a nawet podniósł leżący przy ścieżce kamień z wyrytymi znakami, niemal niewidocznymi spod porostów. - To jest modlitwa, prawda?

- Kamień mani - wyjaśnił Shan. - Pielgrzymi kupują je albo robią sami i zostawiają jako błogosławieństwo dla innych, dla pomnożenia zasług. Ten może mieć kilkaset lat.

Corbett przystanął, poprosił Shana, żeby nauczył go odmawiać wyrytą na kamieniu mantrę mani, po czym usypawszy mały kopczyk żwiru, powtórzył ją, kładąc na nim kamień.

- Modłę się o znalezienie Williama Lodiego - powiedział, wstając. - Podwójnego mordercy.

- Szukanie zwłok w wodzie to okropna praca - napomknął Shan kwadrans później, gdy znów się zatrzymali.

- Nie szukałem ich - odrzekł Corbett. - To ona mnie znalazła. Ja po prostu płynąłem promem przez zatokę. Nie miałem pojęcia, że zaginęła. Przydzielono mnie do sprawy kradzieży u Dolana, ale o dziewczynie nikt nie wspomniał. Na ostatnich stronach gazet były wzmianki o jakiejś zaginionej studentce, ale nawet ich nie czytałem. I nagle zobaczyłem ją przed sobą. Guwernantkę Dolana, której nikt nie widział od nocy, kiedy popełniono kradzież.

Parę godzin później powiązałem fakty. Lodi chwyta i usuwa naocznego świadka, po czym idzie świętować w tych barach.

- Więc jest pan tu z powodu tej dziewczyny? - zapytał Shan.

Pytanie najwyraźniej nie przypadło Corbettowi do gustu.; - Mówiłem już panu. Przydzielono mnie do tej sprawy. Znam chiński. Ktoś musiał pójść tropem Lodiego. - Amerykanin zacisnął zęby i ruszył w dalszą drogę. Stracił ochotę do rozmowy.

Wędrowali przez jedną z najbardziej stromych, zdradliwych okolic, jakie Shan kiedykolwiek widział. Przez większość czasu szli w ponurym milczeniu. Yao ścisnął swoją krótkofalówkę niczym broń. Minęli skrzyżowanie szlaków, gdzie poprzedniego dnia obozowali Lokesh, Dawa i Liya, a pół godziny później znaleźli się w rozpadlinie o niemal pionowych, wznoszących się na sześćdziesiąt metrów ścianach. Gdy wreszcie wydostali się z ciemnej czeluści, Corbett cicho jęknął i cofnął się z powrotem w cień. Na stoku, który otworzył się przed nimi, tłoczyły się rzeźby - dziwaczne, poskręcane, kamienne bryfy które zdawały się stać tam po to, żeby odstraszać podróżnych od południowego szlaku. Nie były to ludzkie postacie, ale zwaliste formy przywodzące na myśl niesamowite, mroczne istoty z koszmarów sennych.

- To tylko wiatr - powiedział niepewnie Shan. - To wiatr rzeźbi w ten sposób miękkie skały. - Przyłapał się na tym, że rozgląda się za Lokeshem i Dawą. Było to jedno z tych miejsc, w których jego stary przyjaciel błędziłby godzinami, wpatrując się z zachwytem w pokrzywione kolumny, dotykając kamieni, gdyż byłby przekonany, że nie mogą być po prostu dziełem wiatru. Nie myśląc o tym, co robi, Shan podszedł do najbliższej z kolumn, wysokiej na trzy metry kamiennej formacji przypominającej wykreconą z bólu postać ludzką. W słabszym świetle skały wyglądałyby jak olbrzymie szkielety i groteskowe, zdeformowane zwierzęta. Jeśli tutejsze bóstwa tak właśnie kształtowały ziemię, to jak kształtowały jej mieszkańców?

Jego wzrok przyciągnął jakiś ruch w cieniu. Przez chwilę zdawało mu się, że Lokesh naprawdę tu jest. Ale to był Yao - stał z dłonią opartą o jedną ze zwietrzałych kolumn, wpatrując się w nią z napięciem. Shan przyglądał mu się przez chwilę, po czym ruszył szybkim krokiem krętą ścieżką między kolumnami. Corbett pospieszył za nim.

Wyszli spomiędzy skał i przystanęli, żeby poczekać na inspektora.

- Czy to prawda, agencie Corbett, że w Ameryce sprawiedliwość opiera się po prostu na faktach?

- Oczywiście. One mówią wszystko.

- W takim razie musi pan tu być bardzo ostrożny - ostrzegł Shan cichym głosem. - Znalazł się pan w świecie, w którym fakty nie mają znaczenia.

- Mam gdzieś politykę Pekinu. I potrafię stwierdzić, czy coś jest faktem, kiedy to widzę.

- Nie mówię teraz o polityce - odparł Shan. - Co pan tu widzi? - zapytał, wskazując najbliższą skalną kolumnę.

- Zwietrzały piaskowiec.

- Wielu Tybetańczyków widziałooby w tym nie kamień, ale dzieło potężnych bogów. Inni uznaliby go za doskonały symbol medytacji nad marnością świata. Niejeden przebyłby setki kilometrów, żeby złożyć tu hołd.

Amerikanin zmarszczył brwi i zerknął wyczekująco w stronę Yao, jakby liczył na jego pomoc.

- Dwa lata temu niedaleko Lhasy zatrzymano na drodze starego człowieka ze złotą figurką. Człowiek ten sprzedał wszystko, co posiadał, i kupił posążek, żeby zostawić go na jednej ze świętych gór dla pomnożenia zasług duszy zmarłej żony. Był pewien, że umarła, ponieważ obciął sznur od flag modlitewnych, które zawsze powiewały nad ich domem, żeby uwiązać nim ich ostatnie dwie owce. Został aresztowany, ponieważ powiedział komuś, że zabił żonę. Ktoś inny doniósł, że z tego powodu zapłacił jakiemuś człowiekowi. Chodziło o zapłatę dla złotnika, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby to wyjaśnić. Oskarżono go o kradzież figurki, a on nie zaprzeczył, bo dom, który sprzedał, żeby ją kupić, należał do jego żony.

- Jak to się skończyło?

- Trafił do więzienia i zmarł tam po trzech miesiącach. - Shan spojrzał twardo na Corbetta. - Władze zestawiły wszystkie fakty jak należy. Ten człowiek naprawdę powiedział, że zabił żonę. Naprawdę zapłacił komuś z powodu jej śmierci. Naprawdę czuł się jak złodziej z tą figurką. - Wskazał niewielką półkę wykutą w skale ponad kamiennymi kolumnami. Stało na niej kilka małych, podniszczonych posążków buddów ibodhisattwów. - Oto jest prawda tego miejsca. Dla tutejszych ludzi liczą się prawdy, nie fakty.

- A co jest prawdą, za którą ja powinienem pójść? - zapytał Amerikanin, przyglądając się posążkom.

- Bogobójcy - odparł Shan i krótko wyjaśnił, co spotkało górskie sanktuaria.

Godzinę później, gdy schodzili po stromym stoku, Yao wyprzedził Shana i uniósł rękę, stając mu na drodze.

- Dość tego! - warknął. - Chcecie wprowadzić nas w pułapkę, może zostawić nas na tym pustkowiu i uciec?! Natychmiast mówcie, gdzie jesteście, żebyśmy mogli przekazać

koordynaty do helikoptera. - Letnie dni były długie, ale od zachodu słońca dzieliły ich już nie więcej niż dwie godziny.

- Zanim nauczycie się prowadzić dochodzenie w Tybecie - odparł Shan - musicie się nauczyć, jak się uczyć.

Yao skrzywił się i odwrócił się do Corbetta.

- Zostaliśmy zakładnikami więźnia. Powszechnie wiadomo, że większość więźniów wykazuje pewne zaburzenia psychiczne.

- Zgadza się - odparł z uśmiechem Amerykanin. - Niemal tak samo poważne jak te, na które cierpią detektywi.

Shan wzruszył ramionami, nie rozumiejąc, jaką grę toczą ci dwaj mężczyźni. W jednym i drugim coś płonęło, ale najwyraźniej nie to samo.

- W obozie pracy miałem nauczyciela, który mówił, że jeśli naprawdę chcę się czegoś nauczyć, muszę odwrócić się plecami do tego, co wiem, zostawić to wszystko za sobą. Mówił, że jeśli chce się poznać świat, trzeba się pogрузić w niewiedzy.

Yao wyciągnął wojskową mapę, na którą zerkał przez większość popołudnia, i zaczął nią kręcić na wszystkie strony. Shan mógłby przysiąc, że inspektor nie ma pojęcia, gdzie się znajdują.

- Czytałem kiedyś książkę na ten temat - powiedział figlarnym tonem Corbett. - To jest tak zwane podejście prostaczka.

Yao spojrział na niego groźnie, po czym pomachał mu przed nosem krótkofalówką.

- Twierdziliście, że wiecie, gdzie mamy iść - odezwał się z wyrzutem do Shana - odnoszę jednak wrażenie, że nigdy nie byliście w tych stronach.

- Nie byłem - przyznał Shan. - Ale miejsce, do którego zmierzamy, jest tam - dodał, wskazując następny grzbiet, niespełna kilometr dalej, gdzie nad skałą wyglądającą jak gigantyczne kamienne gniazdo krążyło kilkanaście wielkich ptaków.

W połowie zbocza Shan przystanął.

- Byłoby bezpieczniej, gdybym poszedł pierwszy - ostrzegł swych towarzyszy.

Corbett zaczął się już rozglądać za jakimś gładem, na którym mógłby usiąść, ale Yao zastąpił Shanowi drogę.

- Nie ma mowy. Kiedy każecie zostać, wiem, że muszę iść. Zaczekacie tutaj. Nie dam wam szansy ich ostrzec, zapędzić nas w pułapkę.

Po drugiej stronie grzbietu, jeszcze dalej niż ptaki, widać było cztery cienkie słupy dymu, oznakę ludzkich siedzib. Yao skinął na Corbetta i ruszył ścieżką w stronę grzbietu.

Shan oparł się plecami o głaz. Ocierając czoło, przyglądał się zmiernym pod górę mężczyznom. Nie uszli nawet trzystu metrów, gdy spostrzegł, że Amerykanin odskakuje w tył. Pomiedzy skałami zmaterializowały się nagle cztery drobne postacie, zwykle dzieciaki, które wymachując pałkami, rzuciły się na przybyszów i zaczęły ich bić.

Kiedy Shan dobiegł do nich, Corbett, okładany przez dwie małe dziewczynki, kulił się pod głazem, osłaniając rękoma kark. Kłął, ilekroć dosięgła go jedna z pałek, ale nie stawiał żadnego oporu. Yao daremnie usiłował odeprzeć atak dwóch chłopców, którzy przygwoździli go do skalnego występu. Inspektor wyrwał jednemu z nich pałkę, lecz nagle znieruchomiał, spojrzał na nią i z odrazą cisnął na ziemię. Była to ludzka kość udowa, i to nie pozółkła ze starości jak te, które widzieli w Zhoce.

Shan dopadł do Yao, gdy dzieciaki go okrążyły. Makabryczne odkrycie najwyraźniej sparaliżowało inspektora. W jego oczach pojawił się strach. Shan stanął przed nim, napinając mięśnie, gotowy przyjąć cios. Ale nagle jeden z chłopców, nie więcej niż ośmioletni, wykrzyknął coś, wskazując na pierś Shana, i opuścił pałkę. Reszta dzieci, z okrągłymi ze zdumienia oczyma, poszła w jego ślady. Cała grupka cofnęła się o parę kroków, a następnie okręciła się na pięcie i pobięła ścieżką.

Shan spojrzał na swoją pierś. Chłopiec pokazywał jego srebrne gau, które nosił na szyi. Gdy pędził jak szalony w górę zbocza, gau wysunęło mu się spod koszuli. Kiedy znów uniósł wzrok, dzieci nie było już widać.

- Jak duchy - mruknął Corbett, wstając z kucek. Masował sobie ramię, gdzie dosięgnął go cios pałki. - Pojawiły się nagle, nie wiadomo skąd. Kto...? Dlaczego one...? - Umilkł w pół słowa, zobaczywszy, że dzieci wyłaniają się spomiędzy głazów pod grzbietem i biegną ku skalnemu gniazdu.

- Ci ludzie wolą wykonywać swoje zajęcia bez świadków - odezwał się Shan. - Nawet wśród Tybetańczyków ragyapowie stanowią odrębną społeczność. Tak jest od wieków. W pewnym sensie są wyrzutkami społecznymi, ale godzą się na to, gdyż spełniają święty obowiązek. To nie jest coś, co powinni oglądać ludzie z zewnątrz, turyści. Nawet Tybetańczycy jedynie przynoszą zwłoki do wioski i zostawiają zapłatę.

Corbett spojrzał na ptaki szybujące nad kręgiem skał.

- Chryste, czytałem o tym - powiedział wyraźnie wstrząśnięty. - Nigdy nie przypuszczałem... mamy przecież dwudziesty pierwszy wiek. To coś z innej epoki.

- To się nazywa durtro - wyjaśnił Shan, wskazując skały, kwaterę zmarłych, gdzie ragyapowie ćwiartowali zwłoki, oddzielając ciało od kości, a te ostatnie kruszyli na drobne kawałki, by sępy mogły je przełknąć.

- Gdyby ktoś chciał kogoś zabić, tak właśnie mógłby zatrzeć wszelkie ślady - oświadczył Yao. W jego głosie brzmiał teraz gniew. - Tybet to raj dla morderców - dodał. Znow sięgnął po krótkofalówkę.

- Durtro to miejsce darzone wielką czcią - ostrzegł Shan. - Nie wolno wam tu sprowadzać helikoptera.

- Kruszą kości na karmę dla ptaków - odpalił cierpko Yao. - Rzeźnictwo. Tan uprzedzał mnie, że ludzie z tych gór tkwią jedną nogą w epoce kamienia łupanego.

- Zwracają ciała ziemi - odparł Shan, obserwując postacie wybiegające z kręgu skał i pędzące na drugą stronę wzgórza. Mieszkańcy wioski uciekali przed nimi.

Skupisko domów po drugiej stronie durtro wyglądało na opuszczone. W milczeniu szli między kamiennymi i drewnianymi chałupami w stronę otoczonego sznurami flag modlitewnych pierścienia skał, na których siedziały ptaki. Yao wyprzedził Shana i pierwszy wkroczył między potężne głazy. Gdy Shan i Amerykanin dołączyli do niego, inspektor stał oniemiały-

- Rany boskie - jęknął Corbett, po czym się odwrócił i z pobladłą twarzą, zatykając ręką nos i usta, wycofał się poza krąg głazów.

Na środku małego placyku, mierząc ich gniewnym spojrzeniem, siedział w kucki kościsty mężczyzna z długim ciężkim tasakiem w jednej dłoni i kompletną ludzką ręką w drugiej, ga nim, na szczycie najwyższej skały po przeciwnej stronie placyku, przysiadły trzy sępy. Ptaszyska wpatrywały się w nich równie jak on nieprzychylnym wzrokiem. Shan starał się patrzeć jedynie na ragyapę, ale jego oczy mimo woli błędziły wokół mężczyzny, rejestrując coraz to nowe szczegóły tej makabrycznej sceny. Ludzka noga od kości udowej po piszczel. Dłoń ogołocona ze skóry i mięśni. Kręgosłup z krwawymi strzępami tkanki pomiędzy kręgami.

- Kto był tu z Zhoki?! - krzyknął Yao. - Żądamy wydania ciała z Zhoki!

Mężczyzna bez słowa rzucił rękę na pniak i zamachnąwszy się tasakiem, przerąbał ją w łokciu.

- Nie wydaje mi się, żeby mówił po chińsku - zauważył Shan.

- Więc wy z nim porozmawiajcie - warknął Yao. Shan utkwiał wzrok w sępach.

- W więzieniu znałem pewnego ragyapę. Zabił chińskiego turystę, który przyszedł fotografować jego ojca przy rozcinaniu zwłok.

- Sami nas tu sprowadziliście - burknął Yao. - Nie uda wam się nas teraz odstraszyć.

- Ten człowiek twierdził, że dla wielu ragyapów rozcinanie zwłok jest swego rodzaju medytacją. Mówił, że czasami wyczuwał obecność bóstwa w dłoni, którą odzierał z ciała, że

nawet jeśli Tybetańczyk porzucił buddyzm za życia, wracał do niego, przybywając do durtro po śmierci, że jego ojciec, ćwiartując zwłoki, rozmawiał niekiedy z samym Buddą.

Yao skrzywił się.

- Ci ludzie nie są kapłanami.

Shan przez długą chwilę przyglądał się ragyapie.

- Nie wiem - odezwał się wreszcie. - Nawet w Chinach wciąż krążą stare opowieści o ludziach, którzy zbierają cudze bóle i smutki i dźwigają je, żeby inni mogli żyć w spokoju. - Spojrzał znów na przykucniętego mężczyznę z tasakiem. - Ci udzie są właśnie tacy. Jak kapłani, którzy siedzą przy konających. Ale oni robią to od świtu do nocy, z czcią, każdego dnia swego życia. Jak ktokolwiek może znieść takie brzemień?

Yao zaklął, gdy Shan zostawił go samego w kręgu skał i dołączył do Corbetta. Chwilę później podszedł do niego, zerkając nerwowo w stronę placyku.

- Ci ludzie nie zrobili nic złego. Po prostu mieszkają tu i zajmują się tym, czym zajmowali się zawsze - powiedział Shan, choć nie pojmował, jak ta wioska może się utrzymywać jedynie z ofiar nielicznej ludności okolicznych wzgórz. Spojrzał w stronę durtro. Być może z Zhoki przyniesiono dwa ciała. Tybetańczycy nie mówili, dokąd zabierają starego Atso.

- Barbarzyńcy - oświadczył Yao. - Jak można pozwalać, żeby w Chinach robiono coś takiego?

- Mogę was o coś zapytać, inspektorze? - odezwał się po chwili Shan. - Jak uważacie, ile rzeczy na całym świecie nie zmieniło się od tysiąca lat? Myślę, że aby robić to co oni, przez całe życie, z pokolenia na pokolenie, trzeba czegoś, co jest przeciwieństwem barbarzyństwa.

Yao prychnął zniecierpliwiony i ruszył z powrotem ku wiosce.

Corbett, który został z tyłu, przyglądał się Shanowi z zaciekawieniem.

- Modlitwa - powiedział cicho i niepewnie. Powiódł po wiosce pełnym szacunku, badawczym spojrzeniem. - Jak ta, którą znaleźliśmy dzisiaj na kamieniu. To pozostaje bez zmian, prawda?

Shan przyłapał się na tym, że patrzy na Amerykanina, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

- Być może także sztuka - odparł. Sekrety Zhoki wciąż nie dawały mu spokoju. - Przenoszenie własnego bóstwa na płótno lub papier.

Co dziwne, Corbett uśmiechnął się i pokiwał głową. Wyglądało na to, że właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

Gdy Shan i Amerykanin dotarli do wioski, Yao kręcił się przy zbitych z surowych desek drzwiach najbliższego budynku, oglądając oparte o ścianę sprzęty: motykę z zakrzywionym styliskiem, siekierę, skórzane wiadro.

- Melina międzynarodowej szajki złodziei dzieł sztuki, bez dwóch zdań - zakpił Corbett.

Pojawiło się więcej sępów. Leciały nisko nad wioską, jakby wyczuły przybyszów i spodziewały się nowego posiłku. Z oddali, spomiędzy skał poniżej zabudowań, dobiegł czyjś okrzyk. Shan nie mógł rozróżnić słów, ale ostrzegawczego tonu nie sposób było pomylić z niczym innym.

Nie wiedzieć skąd przywędrowała samotna koza. Wałęsała się od chałupy do chałupy, przystając raz po raz, żeby przyjrzeć się intruzom. Przy czwartym budynku wepchnęła nos w leżącą pod drzwiami stertę filcowych kocy. Koce się poruszyły i wysunęła się spomiędzy nich koścista dłoń, która pogłaskała zwierzę po szyi.

Shan uniósł rękę, by ostrzec Corbetta oraz Yao, i powoli zbliżył się do chałupy. Koza uniosła wzrok i przyglądała mu się przez chwilę, przekrzywiając łeb, po czym znów zagrzebała pysk w kocach. Rozległ się suchy, rżący śmiech i ukazała się druga wychudła dłoń, która wraz z pierwszą objęła łeb zwierzęcia.

Spod sterty filcu wynurzyła się stara kobieta w szarej obszarpanej sukni z takiego samego materiału jak ten, z którego zrobione były koce. Z uszu zwieszały jej się ciężkie srebrne kolczyki. Na szyi nosiła srebrne gau zawieszane na sznurze grubych turkusowych paciorków. Jej włosy były przetykane pasmami siwizny, twarz pokrywały starcze plamy. Oczy kobiety nie zwróciły się ku przybyszom, gdy ruszyli w jej stronę - przesłaniało je bielmo. Była ślepa.

- Dwaj Chińczycy - odezwała się rozbawiona i uniosła głowę, najwyraźniej węsząc. - I jeszcze jeden obcy, ale nie Chińczyk. - Koza odwróciła się i przywarła do jej boku, jakby chciała osłonić staruszkę. Shan objął zwierzę za szyję. Kobieta przez chwilę kiwała głową w tę i z powrotem, wreszcie zwróciła Ja, w stronę Shana i szybkim ruchem chwyciła go za ramię.

- Jesteś gotowy? - zapytała po chińsku.

- Na co? - wypalił Corbett po angielsku.

Kobieta znieruchomiała. Promienny uśmiech, który nagle Pojawił się na jej twarzy, odsłonił niemal bezzębne dziąsła.

- Szczęść ci Boże! - wykrzyknęła po angielsku cienkim, suchym głosem. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie zdumieni.

- Mówi pani po angielsku? - zapytał Corbett.

- Inchi? - zapytała staruszka z nagłym ożywieniem.

- Ona chce wiedzieć, czy pan jest Anglikiem - wyjaśnił Shan.

- Prawie - odparł Corbett. - Jakim cudem ona mówi po angielsku? - szepnął do Shana.

- Szczęść ci Boże - powtórzyła kobieta, tym razem głośniej. Uśmiechnęła się, zwracając głowę w stronę Shana. - Na ogół mówimy po koziemu - dodała, znów po chińsku.

- W Zhoce zmarł pewien człowiek - powiedział Shan. - Możliwe, że przyniesiono go tutaj. Musimy dowiedzieć się, jak umarł.

- To sezon na umieranie - westchnęła staruszka. - Wujek Jama zamieszkał tego lata na wzgórzach. - Shanowi ciarki przeszły po plecach. Kobiecie chodziło o Pana Śmierci. Znowu objęła łeb kozy. - Musimy być bardzo ostrożni, kiedy mówimy o zmarłych - dodała, zwracając się do zwierzęcia. Sięgnęła do paska i zacisnęła dłoń na różańcu. Opadła jej głowa, jakby nagle zmorzył ją sen.

Yao wrócił do oględzin, unosząc pokrywki glinianych dzbanów, które stały rzędem przed następną chałupą, największym budynkiem we wsi. Shan uklęknął obok kobiety.

- Babciu, szukam starego człowieka z dziewczynką i kobiety o imieniu Liya - szepnął.

Koza trąciła go łbem w bark, jakby próbowała go odpędzić.

- Liya - odezwała się staruszka, nie unosząc głowy. - Życie w obu światach naraz niszczy ją. Jest jak duch. Modlę się za nią.

- Widziała pani Anglika? - wtrącił się Corbett po chińsku. - Nazywa się Lodi.

Z gardła kobiety wydobył się suchy, chrapliwy dźwięk.

- Wszyscy są jak duchy - odparła ze smutnym uśmiechem. Zaczęła przesuwając paciorki mali, szepcząc mantrę kozie do ucha. Koza dostojnie opadła na zad. Wyglądało na to że z przyjemnością słucha modlitwy.

Yao stał pochylony nad ostatnim z wielkich glinianych dzbanów, tuż przy samych drzwiach chałupy. Shan ruszył za flim wolnym krokiem, troskliwie podnosząc i odkładając na miejsce zrzucone przez inspektora pokrywki. W pierwszych dwóch dzbanach był jęczmień, w trzecim jakieś białe bulwy, w następnych małe, pomarszczone jabłka i kostki czarnej herbaty. Nim Shan stanął obok inspektora, Yao wyciągnął notatnik i pisał coś z zapalem. Corbett dotarł do ostatniego dzbana o krok przed Shanem i krzyknął ze zdumienia.

W glinianym dzbanie ktoś schował mały czarny radiomagnetofon, elektryczną maszynkę do golenia i suszarkę do włosów.

- Jak mówiliście, od tysiąca lat nic się tu nie zmieniło - cierpko zauważył Yao.

Shan podniósł radiomagnetofon. Urządzenie pokrywał kurz. Odwrócił je do góry nogami i zajrzał do baterii. Były skorodowane. Odłożył radiomagnetofon i wyciągnął suszarkę do włosów. Miała kabel z wtyczką sieciową. Ale w promieniu co najmniej trzydziestu kilometrów nie było ani jednego gniazdka. Odkładając suszarkę do dzbany, spostrzegł, że z belki pod dachem, dokładnie nad dzbanem, dynda coś małego. Była to zrobiona z gałązek ramka w kształcie rombu, tak opleciona barwną przędzą, że powstał wzór złożony z coraz mniejszych rombów, aż po najmniejszy, czerwony, pośrodku.

- Co to jest? - zapytał Amerykanin.

- Pułapka na duchy - wyjaśnił Shan. - Służy do pętania demonów. - Podszedł bliżej. Wyglądała na nową.

- Tam jest jeszcze jedna - dodał nerwowo Corbett, wskazując następną ramkę, zawieszoną dyskretnie w cieniu pod okapem. Szybko zajrzeli pod okapy pozostałych domów. Pod każdym wisiała jedna lub dwie pułapki.

- Jeśli jest się ragyapą i robi się to co oni - powiedział zamyślony Amerykanin - jakich demonów można się jeszcze obawiać?

Yao odszedł na bok i przyjrzał się niewielkiej chatce z desek, Położonej niżej na stoku, pięćdziesiąt metrów od nich. Ocieniały ich dwa stare, powykrzywiane przez wiatr jałowce. W drzwiach stała dziewczynka ragyapów, nie patrząc na trzech obcych, ale do chatki. Shan pobiegł ku niej, a Corbett za nim.

Dziewczynka nie zauważyła ich, dopóki nie znaleźli się ledwie parę kroków od drzwi. Odwróciła się gwałtownie twarz miała ściągniętą lękiem. Przez chwilę stała z otwartymi ustami, łykając powietrze, po czym pomknęła ku najbliższej skale, zza której wyszła kobieta w czerwonej sukni i chwyciła ją w ramiona.

Shan biegł dalej, wyprzedzając swych towarzyszy, dopóki nie dopadł lekko uchylonych, zbitych z surowych desek drzwi chatki. Dochodził zza nich monotony śpiew i sączyła się słodka, drażniąca woń kadzidła. Pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Jedyne światło chaty oświetlał nikły blask czterech lampek maślanych, z których trzy ustawiono przed otwartą pecha. W kącie pod ścianą siedziała nastoletnia dziewczyna, najwyraźniej pogrążona we śnie. Mężczyzna, który czytał z książki, przerwał jedynie na moment, gdy Shan stanął obok niego. Obejrzał się, rzucił mu znajomy smutny uśmiech i wrócił do czytania. Był to Lokesh. Shan ponownie przyjrzał się dziewczynie i dopiero teraz poznał, że to Dawa. Była brudna, wymizerowana, miała zmierzwione włosy, podartą sukienkę, powalane ziemią ręce. Jej usta poruszały się, jakby na przemian zaciskała i rozluźniała szczęki. Być może nie spała,

uświadomił sobie nagle, być może była po prostu przerażona. Gdyż Lokesh czytał księgę umarłych, a przed nim, na środku tylnej ściany, majaczyło w półmroku wiszące ludzkie ciało.

Ktoś chwycił go za rękę poniżej łokcia i mocno ścisnął. Był to Yao. Shan, oburzony, zaczął uwalniać się z uścisku, sądząc, że inspektor znów go podejrzewa o chęć ucieczki. Ale potem zobaczył jego twarz. Yao z niepokojem wpatrywał się w Lokesha i w postać na ścianie. Po raz pierwszy Shan dostrzegł w jego oczach niepewność.

Wisząca przed nimi półtorametrowej wysokości kukła była prymitywną podobizną człowieka. Na ramie z patyków rozpięto brązową koszulę, ręce symbolizował poziomy drąg sterczący na pół metra z każdej strony, u dołu spod koszuli wystawały dwa patyki wyobrażające nogi. Na jednym z drewnianych ramion wisiał kosztowny zegarek i nawleczone na sznurek trzy złote pierścienie. Twarz zastępował kawałek beżowego materiału naciągnięty na ramkę z patyków. Narysowane na nim węgiel oczy, uszy i usta zostały podkolorowane, zapewne kredkami woskowymi. Brązowe włosy. Czerwone kółka na policzkach, grązowe rzęsy.

Coś poruszyło się za plecami Shana i dobiegł go stamtąd jęk zaskoczonego Amerykanina.

Prymitywna kukła emanowała jakąś makabryczną mocą, roztaczała wrażenie upiornej obecności, zdawała się ich ostrzegać, żeby trzymali się od niej z dala. Shan rozumiał, dlaczego Dawa zaciskała powieki. W obozie pracy słyszał od starych łamów o takich praktykach, sam jednak nigdy się z nimi nie zetknął. Był to bardzo stary zwyczaj, który utrzymał się w ustronnych rejonach Tybetu, prawdopodobnie powstały jeszcze przed wprowadzeniem buddyzmu.

- Kiedy nie można sprowadzić zwłok na zwyczajowe trzydniowe przygotowania do pogrzebu - wyszeptał Shan - albo kiedy krewni zmarłego postanawiają odprawić pełny rytuał pośmiertny, który trwa czterdzieści dziewięć dni, ciało może zastąpić podobizna nieboszczyka, na której skupiać się będzie uwaga tych, którzy przemawiają do ducha zmarłego podczas jego wędrówki ku kolejnemu wcieleniu.

- Manuskrypt jest bardzo stary i wyblakły - dobiegł nagle Shana cichy głos. Uświadomił sobie, że Lokesh przestał czytać i mówi do niego. - Zapisany dawnym pismem - dodał. - Nie mogli sobie z nim poradzić, więc poprosili mnie, żebym odczytał przynajmniej pierwsze rozdziały.

Corbett stanął obok Shana, w skupieniu wpatrując się w kukłę, po czym potrząsnął głową, mocno, jakby musiał wyteńczyć wolę, żeby oderwać od niej wzrok. Podszedł do Dawy, wziął ją na rękę i wyniósł na dwór.

- Kto to jest? - zapytał Shan Lokesha.

- Człowiek, który umarł nie przygotowany. To wszystko, co mi powiedzieli - odparł jego przyjaciel.

Nie przygotowany. Tybetańczycy zwykle tak mówili o pobożnych buddystach, którzy zmarli niespodziewanie, ale określenie to mogło się odnosić do każdego, kto nie przygotował swej duszy do opuszczenia ciała. Na przykład do ofiary morderstwa. Shan podszedł do kukły. Pod sąsiednią ścianą dostrzegł dwie nie palące się lampki maślane. Zapalił je od płomienia jednej z pozostałych i ustawił pod wizerunkiem zmarłego. Yao przykucnął u stóp kukły, do których przywiązano grube, czarne, wełniane skarpety, i nieśmiało szturchnął koc leżący na podłodze pod nogami z patyków. Shan uniósł jego skraj i usłyszał, jak inspektor wstrzymuje oddech. W nikłym świetle dostrzegli rząd przedmiotów, które musiały należeć do nieboszczyka. Przenośny, mocno podniszczony odtwarzacz płyt kompaktowych ze słuchawkami, drogi japoński model. Małe szkło powiększające wysuwane ze sztywnej plastikowej oprawki. Para butów turystycznych. Kompas. Skomplikowany, kilkunastoelementowy scyzoryk. Trzy krótkie szorstkie pędzle związane gumką. Zwitek amerykańskich banknotów. Gliniana tabliczka tsa-tsa, taka jak te, które Shan widział w domu Fiony.

Yao trącał przedmioty czubkiem palca, jakby obawiał się wziąć je do ręki. Shan, przyjrząwszy się pędzłom, uświadomił sobie, że nie służyły one do malowania, lecz do odkurzania delikatnych przedmiotów, po czym podniósł jedną z lampek ku twarzy kukły. Yao przeniósł wzrok za jego spojrzeniem i sapnął ze zdumienia. Wypadł na dwór, gdzie zostawił swój mały plecak, i po chwili wrócił z latarką. Ledwie skierował jej światło na prymitywnie narysowaną twarz, znów rzucił się do drzwi, wołając Amerykanina. Kukła miała niebieskie oczy.

Odkrycie to ożywiło inspektora. Zapomniawszy o wcześniejszej rezerwie wobec dobytku nieboszczyka, zaczął sięgać po jeden przedmiot za drugim i dźgał nimi w stronę Shana, jakby go o coś oskarżał. Po chwili oświadczył gniewnie, że wezwie żołnierzy i każe im aresztować całą wioskę. Gdy podniósł odtwarzacz, Corbettowi zaparło dech. Pod urządzeniem leżał brytyjski paszport. Amerykanin porwał go, otworzył i z wściekłością cisnął na ziemię. Shan podniósł dokument i przeczytał nazwisko.

- Sukinsyn! - wycedził Corbett, jak gdyby to, że William Lodi dał się zabić, uznał za osobisty afront.

Shan siedział w milczeniu, czekając, aż Amerykanin się opanuje, a następnie spokojnie przedstawił Lokeshowi swych towarzyszy, objaśnił im rytuał pośmiertny i

przestrzegł raz jeszcze, że jeśli sprowadzą w góry żołnierzy, nie znajdą już żadnych Tybetańczyków, których mogliby przesłuchać, żadnych dowodów, na których mogliby się oprzeć. Obaj patrzyli na niego spode łba. Yao bawił się krótkofalówką. Na koniec Shan powiedział im, żeby nzebierali drewna na opał.

- Przygotujemy obiad dla całej wioski - wyjaśnił, kiedy Yao się zawahał.

- To pochłonie wszystkie nasze zapasy - zaprotestował inspektor.

Shan skinął głową.

- I pieniądze. Będę też potrzebował pieniędzy. Jesteście im to winni. W ten sposób przeprosicie ich za to, że tak grubiańsko zakłóciliście im spokój. Jeśli przyjmą przeprosiny, być może zgodzą się odpowiedzieć na parę naszych pytań.

Corbett sięgnął do kieszeni.

Kwadrans później gotowali wodę na skraju wioski. Shan kupił masło i herbatę od ciekawskiego wieśniaka, który pokazał się między dwoma budynkami, pożyczył też od niego ubijak i kociołek. Teraz rozkładał na kocu ich zapasy: paczkę rodzynek, paczkę orzechów włoskich, kilka jabłek, torebkę ryżu, cztery puszki brzoskwiń, trzy puszki tuńczyka.

- To nie wystarczy - stwierdził, gdy dziesięcioro, a potem piętnascioro Tybetańczyków wyszło zza skał.

- Nie mamy więcej jedzenia - zaprotestował Yao.

- Może być cokolwiek - odparł Shan.

Inspektor zaciągnął mocniej górę plecaka i przycisnął go do piersi. Corbett zajrzał do własnych bagaży, z których wyciągnął czarną skórzaną saszetkę i podał ją Shanowi. Był to zestaw do zabezpieczania dowodów rzeczowych. Shan otworzył go i wyjął jedną z niewielkich gumowych gruszek zawierających proszek daktyloskopijny. Odwrócił ją otworem do góry, ścisnął i proszek wystrzelił w powietrze. Najbliżej stojący Tybetańczycy krzyknęli zaskoczeni, lecz stłoczyli się wokół niego, gdy Shan podał gruszkę jednemu ze starszych mężczyzn. Uznali ją, uświadomił sobie, że urządzenie do wyrzucania mąki w powietrze, automat do świętowania.

Jedna z kobiet przyniosła garnek mąki jęczmiennej, za który Shan oddał jej resztę z otrzymanych od Corbetta pieniędzy. Po czym zajął się podsycaniem ognia, podczas gdy ona zaczęła Prażyć mąkę na patelni, gawędząc z Shanem. Powoli, przełamując nieufność, nadchodziło coraz więcej ragyapów. Shan wrócił do Yao i Corbetta, którzy siedzieli razem na pobliskim głazie, popatrując dookoła z zakłopotanymi podejrzliwymi minami.

- Zwłoki pojawiły się tu wczoraj rano - oznajmił. - Zaniesiono je prosto na kwaterę zmarłych, prosto do ptaków.

- Niszczenie dowodów - stwierdził Yao.

- To nie ma sensu - zauważył Corbett. - Zrobili przecież tę kukłę. To nie wygląda na próbę ukrycia prawdy.

- Myślę, że ci, którzy przynieśli ciało, chcieli, żeby ptaki zabrały się do niego jak najszybciej - powiedział Shan. - Ale tutejsi ludzie znali Lodiego i mimo wszystko chcieli odprawić ceremonię pogrzebową, najlepiej, jak umieli.

- Prezenty. Te elektryczne urządzenia w koszu - wtrącił Corbett.

Shan skinął głową.

- Myślę, że były od niego.

- Wyglądał jak Tybetańczyk - zauważył Yao - ale miał brytyjski paszport. - Yao, podobnie jak Corbett, uważnie przejrzał dokument, chyba nawet zamierzał go zabrać jako dowód rzeczowy, jednak kiedy już miał go schować do kieszeni, spojrzął na Lokesha i odłożył paszport na prowizoryczny ołtarz.

- Tybetańczyk, a jednak nie Tybetańczyk - stwierdził Shan. Okoliczności śmierci Lodiego w dalszym ciągu okrywała tajemnica, jednak z części dowodów pozostawionych w miejscu, gdzie zginął, mogli teraz coś wywnioskować. W izbie było coś jeszcze: stara thanka przedstawiająca niebieskie bóstwo o głowie byka i czerwonych oczach, z dwiema parami rogów i czerwoną aureolą wokół łba, które w przednich kopytach dzierżyło włócznię i miecz, a tylnymi tratowało ludzi i zwierzęta w kosmicznym tańcu śmierci i odrodzenia.

- Czyli możesz wracać do domu - rzekł z nadzieją Yao, dolewając Amerykaninowi maślanej herbaty.

- Do domu? - mruknął Corbett. - Nie ma mowy, żebym teraz wrócił do domu. - Podniósł do ust czarkę z soloną herbatą, upił łyk i nagle się rozkasłał. Spojrzał niepewnie na czarkę, potem na Tybetańczyków, jakby nie mógł uwierzyć, że piją to samo co on. - Nie rozumiesz - ciągnął. - Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się nie odzyskać dzieła sztuki, którego kradzież rozpracowywałem. Nie zamykam nie zakończonych spraw. Nie zrobiłem tego ani razu w całej swojej karierze. Gdybym mógł aresztować Lodiego, prędzej czy później znalazłbym jego łup. Ale teraz... - Wzruszył ramionami. - Teraz muszę pójść jego tropem. Idę tam... - przerwał, z powątpiewaniem patrząc na wioskę - ...gdzie prowadzą dowody.

Yao przyjął to oświadczenie ze znużoną miną. Odstawił swoją czarkę na głaz, nie upiwszy nawet łyka, i spojrzął na niewidomą staruszkę, która wolno szła w stronę ogniska. Shan, spostrzegłszy, że inspektor pochyla się, jakby zamierzał wstać i podejść do niej, powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Obaj przyglądali się, jak wieśniacy witają kobietę i sadzają na honorowym miejscu przy ognisku, po czym Shan napełnił jej czarkę, a

Lokesh podał garść rodzynek, które zaczęła jeść po jednej, rozgniatając je bezzębnymi dłońmi.

- Babciu - odezwał się Shan po tybetańsku - jeszcze nigdy nie widziałem bóstwa z tej thanki w izbie żałoby.

Kobieta ostrzegawczo uniosła dłoń.

- Nie wolno wymawiać jego imienia. - Uśmiechnęła się, jakby próbował jakiejś psoty, a ona go na tym przyłapała. - Ja jedna w całej wiosce mogę dotknąć tego malowidła, bo urodziłam się z dala od wzgórz i nie ma ono nade mną żadnej władzy.

Nie wyjawiała straszliwego imienia, a jednak powiedziała mu dość. Tego właśnie malowidła szukali bogobójcy. Ming porwał Suryę ze Zhoki, żeby opowiedział mu o tym osobliwym byczogłowym tańczącym bogu o czterech rogach.

- William Lodi był jeszcze bardzo młody - zauważył Shan. - Jak umarł?

- Miał wielką ranę w boku, tak nam powiedziano - odparła, głaszcząc po grzbiecie kożę, która ułożyła się obok niej. - Jego klan boleśnie odczuje tę stratę.

- Pchnięto go nożem? - zapytał Shan.

Nie odpowiedziała. Przestrzegła go już, by nie rozmawiali o zmarłych.

- Przez tyle lat żaden Chińczyk nie zpuścił się w te góry - powiedziała po dłuższej chwili. - Żołnierze pokazali się raz w oddali, ale przestraszyli się naszych ptaków i uciekli. A teraz przychodzi aż dwóch, a do tego goserpa z daleka - dodała używając jednego z tybetańskich słów oznaczających człowieka z Zachodu. - Niektórzy z nas są przerażeni, niektórzy zbici z tropu. - Upiła spory łyk herbaty. - Macie dobre rodzyнки.

- Gdzie była jego rodzina, jego dom?

- W drogocennej wazie, na południu - odparła kobieta. - Bywałam tam w dzieciństwie. Śpiewaliśmy pieśni na urodziny królowej.

Shan spojrzał na Lokesha, który przysłuchiwał się z uwagą. W oczach starego Tybetańczyka dostrzegł tę samą rezygnację, którą czuł sam. Ona mówi prawdę, mógłby powiedzieć Lokesh, ale oni nie potrafią słuchać.

- Czy to tamtejsi ludzie zanieśli Lodiego do ptaków? Czy byli z nim w Zhoce?

- Tu nie ma mnichów, już od czterdziestu lat. Sami musimy ich zastępować. Ludzie ufają nam tak, jak ufaliby mnichom.

Shan zerknął niespokojnie w stronę Yao i Corbetta.

- Nie zawsze byłam ślepa - rzekła nagle staruszka. - Nie zawsze mieszkałam wśród ragyapów. Zanim moje oczy umarły, widziałam więcej pięknych rzeczy, niż większość ludzi widzi przez całe życie. Czasami myślę, że to dlatego ośleplam.

- Masz na myśli Zhokę, babciu?

- To wyjątkowa kraina, bo ręce bóstw mogą w niej pracować bez przeszkód. Ci, którzy przychodzą ze świata dolin, muszą się strzec jak jeszcze nigdy dotąd.

Shan pospiesznie przetłumaczył szeptem jej słowa Yao i Corbettowi, nic nie wyjaśniając, gdyż sam nie wiedział, o co chodzi staruszce.

Ślepe oczy kobiety były pełne wyrazu, Shan nie widział w nich strachu, lecz smutek i zdumienie. Lokesh ponownie napełnił jej czarkę, po czym usiadł przy niej i zaczął recytować z nią mantrę mani. Stary Tybetańczyk miał wielki szacunek dla ślepców. Niejeden raz mówił Shanowi, że nie rozprasza ich cała nic nie znacząca aktywność otaczającego świata, że ci z nich, którzy mają cześć dla bóstw, mogą nauczyć się korzystać z nieznanych zmysłów i dostrzegać ich ruchy.

- To przykre, że straciłaś swój dom - szepnął Lokesh kilka minut później.

Kobieta pewnym ruchem sięgnęła po jego dłoń i uściśnęła ją. Lokesh przybył tu dzień wcześniej, recytował mantry z mieszkańcami wioski. Shan przyglądał się obojgu. Siedzieli w milczeniu. Przypomniał sobie, co powiedziała staruszka. Pfię zawsze mieszkałam wśród ragyapów”. Kobieta nie należała do rozcinaczy zwłok, ale - nie do wiary - postanowiła osiąść wśród nich.

- To było dawno temu - odezwała się do Lokesha. - Przyniosłam tu ciało mojego ojca i obiecałam jego duszy, że zostanę, by odmówić sto tysięcy mantr do Bodhisattwy Współczucia. Kiedy tu byłam, z doliny, od północy i zachodu, niosły się odgłosy wielu wybuchów i strzałów. Dwa dni później pewien pasterz przyprowadził pięć jaków ze zwłokami. Zwłokami mojej matki, mojego męża i trojga dzieci. To przeszło wojsko - dodała, jakby chodziło o gwałtowną burzę, ślepy żywioł, który zwałił się na jej dom.

- Babciu - wtrącił się Shan - gdzie nauczyłaś się angielskich słów? - Przeszedł na angielski. - Spotkałem w tych górach jeszcze jedną kobietę, która zna ich kilka.

- Szczęść ci Boże - powiedziała, znów po angielsku.

- Ma na imię Fiona - dodał w tym samym języku. Niewidoma staruszka sprawiała wrażenie, jakby dotarło do niej tylko imię zagadkowej krzepkiej kobiety ze wzgórz. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Fiona - szepnęła z ożywieniem. - Szczęść ci Boże - powiedziała raz jeszcze, a kiedy Corbett, stojący za jej plecami, powtórzył te słowa, przetarła zwilgotniałe nagle oczy, wolno podniosła się z ziemi i zaczęła tańczyć. Poruszała się powoli i sztywno. Jedno spojrzenie na zdziwioną minę Lokesha wystarczyło Shanowi, by się domyślić, że ten taniec nie jest tybetański. A gdy z jej gardła wydobyły się urywki melodii, Corbett najwyraźniej je

rozpoznał. Po chwili wahania, z niepewnym uśmiechem na twarzy, podszedł do ślepej kobiety i ostrożnie ujął jej dłoń. Staruszka wzdrygnęła się, ale gdy Amerykanin zaczął głośno nucić tę samą melodię, mocno chwyciła jego rękę i zatańczyli razem.

Cała wioska zamarła. W gasnącym świetle dnia ragyapowie skupili się wkoło tańczących. Rodzice wołali dzieci. Lokesh zaczął cicho klaskać do rytmu. Po chwili dołączyli do niego pozostali. Dawa śmiała się bezgłośnie. Koza wstała, becząc cichutko. Siedzący w półmroku stary mężczyzna, wystukując rytm drewnianą łyżką o gliniany dzban, nucił tę samą melodię. Wydawało się, że nawet czas stanął w miejscu. Shan, zaskoczony tym nagłym przyływem radości, wraz z innymi przyglądał się, jak Amerykanin i niewidoma Tybetanka tańczą przy ognisku pod wschodzącym księżycem. Taniec nabierał tempa, ale staruszka bez trudu nadażała za Corbettem. Z jej twarzy opadło brzemię lat i w świetle zmierzchu Shan przez krótką chwilę miał wrażenie, że widzi roześmianą dziewczynę o lśniących, przepelnionych życiem oczach.

- Musimy iść - odezwał się niepewnie Yao, ciągnąc Shana za ramię. - Musimy wezwać helikopter. Musimy... - powtórzył, ale on także uległ magii tej chwili i umilknąwszy w pół słowa, śledził obrysowane przez księżyc sylwetki tańczących.

W końcu wyczerpani tancerze padli sobie w ramiona. Corbett mocno uściskał kobietę, zanim wypuścił ją z objęć.

- Boże chroń królową! - wykrzyknęła staruszka w ostatnim przyływie podniecenia, a następnie pozwoliła jednemu z dzieci odprowadzić się do koca.

Corbett przyjrzał się jej z ukosa, jakby nie był pewien, czy się nie przesłyszał, po czym wziął z rąk Shana czarkę herbaty przyrządzonej na hinduską modłę, z dodatkiem mleka i cukru. Upił ostrożnie mały łyk, uśmiechnął się i wychylił ją do dna. Dopiero teraz się odezwał.

- Moi dziadkowie tańczyli ten taniec, kiedy ledwie odstawałem od ziemi - wyjaśnił. - Chociaż powinny być do tego dudy i skrzypki. To był szkocki reel. - Przez chwilę zadumał się nad własnymi słowami. - Niech mnie diabli, szkocki reel - powtórzył z niedowierzaniem i odszedł w mrok.

- Musimy zadzwonić do Tana - odezwał się Yao. - Trzeba dorzucić do ogniska, żeby helikopter mógł nas znaleźć.

Shan wciąż przyglądał się ślepej kobiecie, która siedziała teraz głęboko zamyślona.

- Nie. Wciąż jeszcze nie wiemy, co spotkało Lodiego - powiedział.

- Mnie interesują żywi - odparł Yao. - Wspólnicy Lodiego-

- W takim razie zapomnijcie o helikopterze - odparł Shan. - Idziemy dalej na południe.

- Nie bez żołnierzy. Ostatnio zbyt wielu ludzi ginie w tych górach.

- Nie idźcie na południe, jeśli nie jesteście gotowi - odezwał się ktoś za ich plecami.

Była to kobieta, która pomagała Shanowi przygotować posiłek, a teraz czyściła patelnię.

- Gotowi na co? - zapytał Shan.

- Południe to nie miejsce dla obcych. To groźna, pamiętliwa kraina. Setki lat temu była tam straszliwa bitwa. Zginęły tysiące żołnierzy. Dla żadnego nikt nie odprawił obrzędów. Wędrujące dusze. Tysiące.

- Ale właśnie na południu znajdę klan Lodiego - odparł Shan. Wyglądało na to, że nikt nie potrafi mówić o południu inaczej niż zagadkami.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Jeśli się tam zgubicie, już nigdy nie uda się wam wrócić.

- Bzdura - wtrąciła ślepa kobieta z drugiej strony ogniska. Lokesh siedział teraz obok niej i znów częstował ją rodzynkami. - W tych górach nikt się tak naprawdę nie gubi. To teren świątyni ziemi. Są tu miejsca, które wyszukują ludzi. Właściwych ludzi.

Jej słowa na nowo wzmożyły determinację Yao. Inspektor odszedł w mrok, w stronę bagaży, które zostawili przy chacie pogrzebowej. Po dłuższej chwili rozległy się głośne okrzyki i Yao pojawił się znowu, z plecakiem w ręce i gniewnym grymasem na twarzy.

- Zabrali je! - oświadczył. - Ukradli moją krótkofalówkę i moją mapę! Trzeba ich przeszukać!

Shan spojrział uważnie na Corbetta, który siedział, wpatrując się w gasnący ogień.

- To nic nie da - powiedział.

Yao obrzucił go wściekłym wzrokiem.

- Dlaczego?

- Bo to ja je zabrałem - beznamyślnie rzekł Shan. - Wyrzuciłem je. Zniszczyłem.

- Wróćcie za to do obozu! - syknął Yao i zamierzył się na niego plecakiem. Nagle między nimi znalazł się Corbett. Odwrócił się ku Shanowi.

- Dlaczego pan tak powiedział, do diabła? Shan odwzajemnił jego nieruchome spojrzenie.

- Dlatego, że żaden z tych Tybetańczyków nie jest złodziejem.

Corbett przez chwilę przyglądał się przerażonym wieśniakom, wreszcie, zerknąwszy przepraszająco na Shana, spojrział na Yao.

- Nie wiem dlaczego, ale on uważa, że musi mnie chronić.

- Ciebie? - warknął Yao.

- Kiedy tańczyłem z tą staruszką, powiedziała mi coś - rzekł Corbett, poważniejąc nagle. - Powiedziała, że w tych górach człowiek albo walczy z demonami, albo sam staje się demonem.

- Gadasz takie same bzdury jak ci ludzie. Chcę mieć z powrotem swoje radio i mapę. Amerykanin długą chwilę patrzył na niego bez słowa.

- Zrzuciłem je do wąwozu. Przepadły - powiedział wreszcie.

- Dlaczego? - zapytał zduszonym głosem Yao. W jego oczach pojawiła się rozpacz.

- Bo sobie wmawiałeś, że musimy zawrócić.

- Bez radia nic nie zdziałamy - stwierdził Yao.

- Nie słuchałeś Shana - odparł ponuro Corbett. - On próbował wyjaśnić, że nic nie zdziałamy, jeśli będziemy je mieli. Nie wiem już, kogo ty ścigasz. Ale wiem dobrze, kogo ja szukam. A nigdy nie dopadniemy tych bogobójców, jeśli będą z nami żołnierze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W ciemności czyjaś dłoń dotknęła Shana. Mała i drżąca, odszukała po omacku jego ramię i pociągnęła je. To była dłoń jego syna. Mieli razem obejrzeć wschód słońca ze szczytu jednej ze świętych gór. Potem rzucaliby łydźki krwawnika, porozmawiali o starych tekstach wróżebnych i zjedli słodkie ciasteczka ryżowe, które upiekła dla nich babka Shana.

- Aku Shan! - rozległ się cieniutki głosik i drobna rączka znów szarpnęła go za ramię.

- Wujku Shan, on nie żyje.

Słowa te momentalnie przywróciły mu poczucie rzeczywistości. Usiadł na posłaniu. Spał na kocu przed chatą pogrzebową. Ręka i głos należały do Dawy, której twarz majaczyła przed nim w mroku. Za nią stał chłopczyk, jeden z tych, którzy poprzedniego dnia zaatakowali Yao i Corbetta, a za chłopcem, na horyzoncie, niebo rozjaśniał pierwszy rumieniec świtu.

- Kto nie żyje? - zapytał, wstając, i z niepokojem rozejrzał się dookoła. Corbett i Yao leżeli przy ognisku, otuleni grubymi filcowymi kocami. Niewidoma kobieta siedziała między nimi jak wartownik. Z chaty pogrzebowej dobiegało cichutkie mruczenie Lokesha, który wciąż jeszcze modlił się przy Lodim.

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko pociągnęła go w przeciwną stronę, ku jednej ze ścieżek prowadzących do głównego, południowego szlaku. Chłopiec ragyapów niepewnie ruszył za nimi. Wyglądało na to, że bardziej obawia się Dawy niż Shana.

Szli coraz szybciej, wreszcie puścili się truchtem. Przebyli prawie pół kilometra głównym szlakiem, gdy Dawa przystanęła, ostrzegawczo unosząc dłoń. Sięgnęła po krótki kijek, który ktoś oparł o skałę, i podeszła do skalnej płyty wspartej na kilku niewysokich głazach. Na płycie ułożony był niski, najwyżej trzydziestocentymetrowy kopczyk kamieni. Na ziemi przed płytą ustawiono kilka świeżo pomalowanych kamieni mani, z tekstem mantry niezdarne nabazgrany sadzą. Otaczały one ukrytą między głazami jamkę.

- On nie chciał tego dotknąć - powiedziała Dawa. - Powiedział tylko, że przedwczoraj zabito tu bóstwo. Kazałam mu to udowodnić. - Pochyliła się i wygrzebała kijem spory powyginany kawałek metalu.

- To był bóg - stwierdził chłopiec. W jego głosie pobrzmiwał ostrzegawczy ton. - Ale teraz jest martwy. Zostawcie go w spokoju.

Shan uklęknął przy metalowym przedmiocie. Był to stary posążek z brązu, pokryty patyną wieków piękny wizerunek Mańdżuśriego, jednego z bodhisattwów, buddyjskich świętych. W bladym świetle świtu wyraźnie widać było pogodną twarz z owalnym znamieniem nad nosem, smukłe, wygięte w łuk ciało, dłonie o precyzyjnie oddanych palcach, jedna trzymająca mityczny miecz kładący kres niewiedzy, druga łożkę z kwiatami lotosu owiniętą wokół manuskryptu. Za plecami świętego siedział lew, jego wierzchołek. Do niedawna jedynym mankamentem figurki była plama śniedzi wzdłuż jej lewego barku. Ale teraz Mańdżuśri był zmasakrowany. Jego głowę praktycznie rozplaszczono i odgięto do tyłu, ramię z wzniesionym mieczem było wykręcone w łokciu, misternie wymodelowane kwiaty lotosu pocięto i oderwano jakimś ostrym narzędziem. Cały tułów zmiażdżono licznymi uderzeniami niemal na płask, tak że metal miejscami rozciągnął się i porozrywał. Było to znakomite dzieło sztuki, prawdopodobnie liczące setki lat, ale tu, w durtro, dzień po śmierci Lodiego, zostało nieodwracalnie zniszczone. Tak, pomyślał zgnębiony Shan, to bóstwo jest martwe.

- Widziałeś, jak to się stało? - zapytał chłopca, najwyraźniej ośmielonego tym, że Shan wziął posążek do ręki. Odwrócił figurkę. W przeciwieństwie do innych, jej pleców ani podstawy nie rozcięto.

Chłopiec skinął głową.

- Z daleka. Czasami siedzę i obserwuję drogę. Przyglądam się ludziom, którzy mijają wioskę, patrzę, dokąd odchodzą ci, którzy zostawili zwłoki. Próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda świat.

- Szedłeś za tymi, którzy przynieśli Lodiego?

- Tu, między skałami, czekali na nich dwaj inni. Jeden duży, drugi mały. Mieli twarze Chińczyków. Ten duży miał karabin. Tamci wszyscy uciekli, została tylko ona jedna. Krzyczała na niego, a on zachowywał się, jakby chciał ją zabić. Zmusił ją, żeby oddała mu worek, który miała ze sobą. Wyjęli z niego posążek i rzucili się na niego. Najpierw deptali. Potem walili kolbą karabinu. Ten duży chyba chciał do niego strzelić, ale mały mu nie pozwolił. Potem wzięli kamienie i tłukli w niego. Śmiali się i rzucali nim o głazy jak piłką. Ona płakała.

- Kto płakał?

Chłopiec umilkł, wyraźnie zaniepokojony.

- Wiesz, kim byli ci Chińczycy?

- To nie byli Chińczycy - szepnął chłopiec - tylko bogobójcy z twarzami Chińczyków. Ten mały był ważniejszy. Kiedy skończył, postawił nogę na posążku i powiedział jej, żeby wróciła do domu i powiedziała ludziom, że teraz wszystko się zmieniło. Nie wiedziałem, co robić. Przyszedłem tu z babcią i pochowaliśmy go. Nasze ptaki nie jedzą metalu.

- Zrobiliście, jak należało - zapewnił go Shan i nagle zerwał się na równe nogi, usłyszawszy za plecami czyjeś kroki. Z mroku wyszedł Yao. Inspektor uspokoił go, unosząc rękę, i bez słowa wziął od niego brąz. Westchnął ciężko na widok bezsensownego wandalizmu, po czym położył zmasakrowaną figurkę na skalnej płycie obok kopczyka kamieni, przyglądając się jej z uwagą w pierwszych promieniach słońca.

- Zmarłemu człowiekowi trzeba wyrecytować pewne słowa - odezwała się cicho Dawa - a co trzeba zrobić dla zmarłego boga?

Pytanie zawisło w powietrzu.

- To tylko wizerunek boga - powiedział po chwili Yao. Shan spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Tam w chacie jest tylko wizerunek człowieka - odparła Dawa.

Jej uwaga najwyraźniej zbiła inspektora z tropu. Bez słowa odwrócił się i spojrzał na południe.

- Musimy się spakować - odezwał się Shan.

- Ja zaczekam tutaj - oświadczył Yao, sięgając po swój notatnik. - Nie chcę tam wracać.

Corbett, Yao, Shan, Lokesh i Dawa przez godzinę szli na południe w milczeniu, tak jak opuścili wioskę ragyapów. Gdy Shan i Amerykanin pakowali bagaże, jej mieszkańcy stali

na uboczu, przyglądając im się już nie z niechęcią, ale z troską, jakby się o nich obawiali. Corbett, nie mówiąc ani słowa, nazrywał kwiatów i włożył je w dłonie ślepej kobiety.

- Szczęść ci Boże - wyszeptwała.

Gdy Shan spostrzegł, że Lokesh zbacza ze szlaku i zaczyna wspinać się na niskie wzgórze o długim, płaskim grzbiecie, powiedział do Yao i Corbetta, żeby szli dalej, obiecując, że wkrótce obaj znów do nich dołączą. Wdrapawszy się na wzgórze, stary Tybetańczyk usiadł i wpatrzył się w szeroki niemal na kilometr równinny grzbiet. Na jego twarzy pojawił się znajomy wyraz zabarwionej smutkiem radości, jak wówczas, gdy chadzał po ruinach gomp lub przyglądał się sędziwym pasterzom przesuwającym artretycznymi palcami paciorki różańca.

- Trzeba było na to wiele czasu - powiedział, wskazując otoczenie szerokim ruchem ręki, gdy Shan podszedł do niego.

Płaski grzbiet wzgórza usiany był kamiennymi kopcami, setkami kopców. Niektóre pokrywała tak gruba warstwa porostów, że spajała kamienie. Shan wolno wszedł pomiędzy najbliższe. Te najmocniej obrosnięte były, bez wyjątku, wysokie, niemal dwumetrowe. W miejscach nie zakrytych przez porosty widać było fragmenty płaskorzeźb, nie tylko znaki mantry mani, ale także znakomicie wykonane wizerunki buddyjskich nauczycieli i bóstw. Najstarsze i najwyższe z kopców otaczały kręgiem niewielki czorten z białego kamienia, wysoki prawie na dwa i pół metra, ozdobiony pięknie rzeźbionymi twarzami bóstw opiekuńczych.

Ale większość kopców była mniejsza i nowsza, choć żaden nie miał mniej niż kilkadziesiąt lat.

- Pobojowisko - przypomniał sobie Shan. - Oni mówili o straszliwej bitwie w górach.

- Kto żyje tak blisko umarłych - nabożnie szepnął Lokesh, oglądając się na wioskę ragyapów - styka się z mnóstwem duchów. To musi być jak rana. - Wstał i pogłaskał wierzchołek jednego z kopców. - Być może trzeba nieustannie rozdrapywać tę ranę, żeby na duszy nie utworzyła się blizna.

Shan przypomniał sobie zapadnięte, lecz mądre twarze ragyapów, nawet dzieci. Ci ludzie postanowili rozdrapywać tę ranę w zamian za zaszczyt stykania się z zastępami duchów.

Spostrzegł, że znów coś przykuło uwagę Lokesha. W szczelinie pionowej skalnej ściany tkwił posąg, wyrzeźbiony z najdrobniejszymi szczegółami wizerunek Maitrei, Buddy Przyszłości, pogodnym wzrokiem spoglądający na pole bitwy. Po chwili zorientował się, że

posąg nie został wstawiony w szczelinę, ale wykuty w żywej skale. Robota była mistrzowska, znaki mantry wyryto w postumencie z taką swobodą, jak gdyby namalowano je pędzlem.

- Zhoka - stwierdził Lokesh.

Przez długą chwilę stali, podziwiając pięknego buddę. Było to dzieło, które powinno znaleźć się w jakiejś świątyni, w muzeum, nie na tym górskim pustkowiu, gdzie niemal nigdy nie oglądały go ludzkie oczy. Shan wiedział jednak, że Lokesh ma rację. Ono nie było przeznaczone dla żyjących. Mnisi z Zhoki ofiarowali je umarłym.

- Nie rozumiem, co robią ci dwaj - odezwał się stary Tybetańczyk po długim milczeniu.

- Szukają złodziei - odparł zakłopotany Shan.

- Zabranie takich pięknych rzeczy to oczywiście grzech - stwierdził Lokesh - ale nie rozumiem, jak władze mogą tu pomóc. Ci dwaj zajmują się przestępstwami. O wiele łatwiej jest ukarać przestępstwo, niż zmasać grzech.

Dopiero teraz Shan uświadomił sobie, że jego przyjaciel także, na swój sposób, prowadzi dochodzenie. Sponiewierany Posążek znaleziony w worku Atso, bóstwa na malowidłach w starej wieży, zakłócenie harmonii w durto - to były ślady, którymi podążał. Lokesh tropił bogobójców nie po to, żeby ich ukarać, ale by zmasać ich grzech. Stary Tybetańczyk wskazał gojącą na uboczu formację skalną i podszedł do niej. Spomiędzy skał sterczał kij, z którego zwisała prowizoryczna flaga Modlitewna, oddarty od ubrania strzęp materiału, na którym sadzą wypisano mantrę. Pod flagą, w cieniu skał, widać było resztki niedawno zgaszonego ogniska. Shan przykucnął i rozejrzał się po ziemi. Niedawno było tu kilka osób w tybetańskich butach o miękkiej podeszwie.

Godzinę później wiodący na południe szlak zaczął się stromo pięć w górę, a po dwóch godzinach mozolnej wspinaczki dotarli na rozległą, wysoko położoną równinę, okoloną od południa i zachodu przez dalekie ośnieżone szczyty Himalajów. Szeroki suchy płaskowyż nie przypominał Shanowi nic, co kiedykolwiek widział. Wznosiły się na nim wysokie skalne iglice i smukłe ostańce o płaskich wierzchołkach. Było ich dwadzieścia, może trzydzieści, niektóre kilkudziesięciometrowe, rozrzucone po całej równinie. Jak kopce, gigantyczne, ustawione przez bogów kamienne kopce.

- Jesteśmy chyba na końcu świata - szepnął Corbett. Nagle dopadł ich wiatr, zimny i porywisty. Szarpał nimi jakby chciał ich zmusić do odwrotu, przegonić z płaskowyżu.

- Nie mamy jedzenia. Tutaj nie ma wody. Musimy natychmiast wracać - mruknął Yao.

- Nie możemy tu nocować. Powiniennem być w Lhadrung. Muszę zadzwonić do Pekinu.

- Nie. Są miejsca, które wyszukują ludzi - rzekł spokojnie Lokesh, powtarzając słowa niewidomej staruszki. - Jesteśmy popychani ku naszemu zadaniu. Po prostu tracimy po drodze wszystko, co nas wstrzymuje. Twoje pieniądze. Twoją mapę. Twoje radio. Twoje jedzenie.

- Mój aparat fotograficzny - dodał Corbett. - Mój zestaw do zabezpieczania dowodów rzeczowych.

- To nie jest miejsce dla złodziei - warknął Yao.

Shan spojrział na surowy teren, który przebyli. On również miał powody, żeby wracać. Ming wciąż poszukiwał mnicha, Gendun wciąż był gdzieś w Zhoce, a na wzgórzach grasowali bogobójcy.

- Nikt nie mógłby żyć w tak niegościnniej okolicy - stwierdził Yao, lecz umilkł, widząc, że Lokesh żwawo zmierza ku długiej płaskiej skale leżącej trzydzieści metrów od nich.

Shan spojrział tam gdzie inspektor i przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- A jednak ktoś tu żył - powiedział i podbiegł do Lokesha. Stary Tybetańczyk stał przed skałą, na której wykuto inskrypcję zwróconą ku nagiej, surowej równinie, niemal w stronę wylotu ścieżki, którą dotarli na płaskowyż.

- Co tu jest napisane? - zapytał stojący za nim Corbett.

- „Zgłębiaj jedynie Absolut” - przetłumaczył. Zerknął na Lokesha z dziwnym poczuciem, że stoją u progu odkrycia.

Nieoczekiwane objawienie się tych słów najwyraźniej odebrało Yao chęć do protestów. Ruszyli wolno skrajem płaskowyżu. Po kilkuset metrach Corbett wskazał ponadpółmetrowe oko namalowane na wysokim skalnym bloku. Wkrótce potem minęli długą kamienną płytę z ośmioma świętymi symbolami wyrzeźbionymi wzdłuż krawędzi. Nagle Corbett zatrzymał się, unosząc dłoń.

- Wygląda jak żywa - szepnął.

Piętnaście metrów od nich, w głębokim cieniu potężnego skalnego słupa, stał posąg spowitej w koc kobiety patrzącej na równinę. Dawa przyglądała mu się przez chwilę, po czym krzyknęła cicho i rzuciła się ku niemu. Gdy Shan ruszył za nią, posąg poruszył się wolno, otwierając ramiona, żeby objąć dziewczynkę.

Kobietą, która siedziała tak nieruchomo w szarym kapeluszu i szarym kocu, była Liya, a zarazem nie Liya. Wydawała się jakaś sztywna i odpychająca. Na powitanie jedynie lekko, niechętnie skinęła im głową.

- Wkrótce nadciągnie brązowy wiatr - powiedziała obojętnie. - Nie powinno być was wtedy na tej równinie. - Wzięła Dawę za rączkę i ruszyła ścieżką wydeptaną wśród licznych formacji skalnych.

Gdy pozostali ruszyli za nimi, Shan przystanął, żeby jeszcze raz rozejrzeć się po płaskowyżu. Wiatr istotnie się wzmógł, a na przeciwnym skraju równiny pojawiła się wisząca tuż nad ziemią chmura pyłu, tak że najdalsze monolity zdawały się unosić w upiornej brązowej mgle. Sprowadziwszy ich tutaj, bóstwa najwyraźniej nie zamierzały pozwolić, żeby odeszli.

Przez kilka minut posuwali się krętą, wąską ścieżką. Wreszcie minęli krótki tunel, przeszli nad wyżłobionym w skale rowkiem i nagle znaleźli się w okolicy niepodobnej do żadnej, jaką Shan kiedykolwiek widział. Przed nimi wznosił się wysoki, stromy stok, z którego, jak się zdawało, wycięto olbrzymie prostopadłościenne bloki, pozostawiając wgłębienia szerokie niemal na sto metrów, głębokie mniej więcej na pięćdziesiąt i na pięćdziesiąt wysokie, tworzące cztery gigantyczne stopnie prowadzące na szczyt wzgórza. Z tych skalnych tarasów sterczały krzewy jałowca i cykuty oraz budynki wzniesione z kamienia i drewna. Domy, przytulone do zbocza, łączyły schody wykute wzdłuż strumyka, który spływał po skalnych występach. W dole, gdzie woda spadała do stawu pod wzgórzem, obracało się małe drewniane koło młyńskie. Na każdym poziomie widać było ludzi, niewielu, znacznie mniej, niż można by oczekiwać po liczbie zabudowań. Niektórzy podejrzliwie przyglądali się przybyszom, większość jednak tylko rzucała na nich okiem i wracała do swych zajęć. Wyglądało na to, że się ich tutaj spodziewano.

Kilkoro mieszkańców skupiło się za plecami Liyi, jakby szukając u niej ochrony.

- Jak się nazywa ta wieś? - zapytał Yao.

- Bumpari Dzong - odparła Liya. W jej głosie pobrzmiwało ostrzeżenie. - To bardzo stara osada. Powiadają, że nim zamieszkali tu ludzie, była siedzibą bogów.

Bumpari Dzong, czyli Górska Twierdza Drogocennej Wazy. Niewidoma staruszka, przypomniał sobie Shan, powiedziała, że domem Lodiego była drogocenna waza, tradycyjne naczynie zawierające skarby duchowe.

Lokesh zatarł ręce, najwyraźniej zachwycony jej odpowiedzią. Gdy Shan podszedł do niego, stary Tybetańczyk, wdychając radośnie, zaczął wskazywać dookoła palcem. Dwie kobiety sprasowujące wełnę między dwoma mokrymi kocami w pierwszej fazie wyrobu filcu. Małe krosna o drewnianej ramie, na których powstawał właśnie elegancki dywanik. I kobietę rozgniatającą kamiennym tłuczkiem gałązki roślin na kadzidło. Były to, uświadomił sobie

Shan, scenki, jakich Lokesh nie widział od dawna, może nawet od dziesiątków lat, zwyczajnie zapamiętane z dzieciństwa, o których zapewne sądził, że przepadły na zawsze.

Niezwykła tarasowa osada istotnie żyła w innej epoce, sprzęty, religijne płaskorzeźby na skalnych ścianach, a nawet ręcznie tkane i haftowane stroje większości mieszkańców wyglądały jak żywcem przeniesione co najmniej z osiemnastego wieku. Ale przyglądając się uważniej, Shan spostrzegł, że siedząca przy krosnach dziewczyna ma na ręce kosztowny złoty zegarek, a nastoletni chłopak krzątający się przy kole młyńskim nosi modne sportowe buty. Corbett pociągnął Shana za rękaw.

- Ścieżka - szepnął.

Shan obejrzał się i zobaczył grupę jaków z wysiłkiem ciągnących liny ze splecionych rzemieni przywiązane do potężnej kamiennej płyty przesuwającej się w wykutym w skale rowku, nad którym przeszli. Zamykano tunel, którym prowadziła droga do wioski. Obok tunelu, niczym wartownik, stał śniady krępy mężczyzna ze starą strzelbą w dłoniach. Nie przypominał innych ludzi w wiosce. Shan domyślił się, że musi pochodzić z Nepalu i prawdopodobnie jest Gurkhiem. Za szerokim pasem wartownika tkwił zakrzywiony nóż i coś, co wyglądało na pistolet.

Liya zaprowadziła ich na mały placzyk otoczony półkolem jałowców rosnących u stóp urwiska, które stanowiło zachodnią ścianę osady. Urwisko porastały pnącza, pomiędzy których wyglądała ciekawie wyrzeźbiona w kamieniu twarz, roześmiane oblicze jednego z bodhisattwów. W kręgu spojonych zaprawą kamieni płonął ogień, nad którym, na żelaznym ruszcie, stał kociołek. Gdy ubijano herbatę, nadciągnęło więcej mieszkańców wioski, wśród nich niemłoda już kobieta w czerwonej haftowanej sukni, która przyniosła miedziany imbryk, napełniła go wodą z kociołka, a następnie wyjęła z sakiewki u paska garstkę liści zielonej herbaty i wrzuciła je do środka. Rozlała napar do czterech jednakowych białych filiżanek - dla Shana, Yao, Corbetta i dla siebie - podczas gdy inni Tybetańczycy w milczeniu przyjęli czarki tradycyjnej herbaty maślanej. Siedzieli w kręgu, wyczekująco przyglądając się gościom.

- Długo czekaliśmy - odezwała się ciepło kobieta w czerwonej sukni. - Witajcie w naszej wiosce. - Powtórzyła te słowa dwa razy, po mandaryńsku, a potem po angielsku. Gdy uniosła filiżankę do ust, słońce przedarło się przez zasłonę chmur i zalało placzyk jaskrawym światłem.

- Twoje oczy! - krzyknęła nagle Dawa, wskazując kobietę palcem. - Co z nimi?! - Umilkła, spojrzała na Corbetta, a potem znów na tę kobietę. - On, ten goserpa, miał takie same - dodała.

Niebieskie. Oczy kobiety były niebieskie. Shan przyjrzał się pozostałym wieśniakom. Niektórzy nosili kapelusze, które ocieniały ich twarze. Przeszło połowa z tych, którym mógł zajrzeć w oczy, miała niebieskie tęczęwki. Znaleźli błękitnookich z południa.

- Tak - odparła kobieta, podając dziewczynce drewnianą miskę z łuskany mi orzechami. - Wiele lat temu mieszkał tu wspaniały człowiek, nauczyciel Inchi. Był dziadkiem i pradziadkiem większości obecnych mieszkańców. Przybył sto lat temu z Anglii.

Corbett gwałtownie obrócił się w jej stronę.

- Brytyjczyk? - zapytał. Kobieta skinęła głową.

- W roku Drzewnego Smoka do Tybetu przybyły setki Brytyjczyków. Wielu z nich zostało wielkimi przyjaciółmi naszego kraju. I nie tylko - dodała z figlarnym błyskiem w oku i znów napelniła im filiżanki.

Ona mówi o ekspedycji Younghusbanda, uświadomił sobie Shan, kiedy to Wielka Brytania, reagując na przesadzone doniesienia o tworzeniu przez Rosję wojskowych placówek w Tybecie, wysłała tam swoje oddziały, żeby wymusić nawiązanie politycznych i handlowych kontaktów z Lhasą. Było to w roku 1904.

- Przyszli tu jako żołnierze - ciągnęła kobieta. - Gotowi do walki. Ale dla wielu z nich prawdziwymi bitwami okazały się te, które stoczyli we własnej duszy. Nic nie wiedzieli o Tybecie, o jego mieszkańcach.

Shan odgrzebał w pamięci wspomnienia książek traktujących o historii Zachodu, które czytał z ojcem. Było kilka potyczek, w których Tybetańczycy, którzy walczyli czarami i muszkietami przeciwko karabinom maszynowym Maxima, ponieśli ciężkie straty. Brytyjczycy zaskoczyli Tybetańczyków, udzielając pomocy medycznej ich rannym. Tybetańczycy zaskoczyli Brytyjczyków, kierując się podczas negocjacji wskazówkami świętych ksiąg buddyjskich. Po opuszczeniu Tybetu pułkownik Younghusband, dowódca ekspedycji, stał się innym człowiekiem. Założył organizację zajmującą się religiami świata i przez resztę życia czynił starania o zaprowadzenie globalnego pokoju.

- Jesteście naszymi gośćmi - powiedziała kobieta. - Jeśli chcecie, możecie się umyć. - Wskazała kamienne koryto przy stawie. - Możecie się też rozejrzeć po naszym świątku. Prosimy tylko, żebyście uszanowali żałobników - dodała, wyciągając rękę ku ukrytemu za jałowcami niewielkiemu budynkowi wyglądającemu na świątynię. Po obu stronach wejścia stały dwie kadzielnice, z których unosił się dym. - I żebyście nie wchodzili na najwyższy taras, gdzie są nasze świętości. Później zjemy razem posiłek.

Gdy kobieta mówiła, Shan przyglądał się Liyi. Jej twarz była ściągnięta niepokojem. Napotkawszy jego spojrzenie, odwróciła wzrok.

Dawa pociągnęła Corbetta w stronę stawu. Lokesh ruszył ścieżką na wyższy taras, gdzie szpaler kwitnących krzewów prowadził do długiego, harmonijnie zbudowanego drewnianego budynku.

Liya skierowała się ku świątyni, jakby unikała Shana, który dopijając herbatę, przyglądał się, jak topnieje krąg wokół ogniska. Chłonał wzrokiem niezwykle, urzekający widok, aż wreszcie jego oczy spoczęły na stojącej na przeciwległym końcu pierwszego tarasu przysadzistej drewnianej chacie o wdzięcznie nachylonym, krytym gontem dachu i wąskim ganku, na którym wisiał wielki młynek modlitewny i kilka skrzynek z niebieskimi i czerwonymi kwiatami, których kiście Przelewały się przez balustradę.

Wchodząc na ganek, machinalnie pogładził i obrócił misterne zdobiony miedziany młynek modlitewny i rzucił okiem na stojący w głębi stary fotel bujany o pocieniałych ze starości biegunach.

Wnętrze chaty, podobnie jak wszystko inne w tej tarasowej osadzie, zdradzało wielki kunszt budowniczych i ich troskę o szczegóły. Belki stropowe były solidnie połączone ściśle dopasowanymi czopami i zdobione rzeźbionymi gałązkami pnączy. Ściany głównej izby do wysokości metra dwadzieścia pokrywała boazeria z bejcowanych i lakierowanych desek, a wyżej gładki biały tynk. Na jednej ze ścian, nad półkami pełnymi zachodnich książek, wisiała mała brytyjska flaga, a na innej, nad prostym kamiennym kominkiem, kilkanaście zdjęć w ramkach. Pozostałe dwie ściany ozdobiło kilka thanek. Pod jedną z nich stał niewielki drewniany ołtarz z brązowym posążkiem Buddy. Izba sprawiała wrażenie małego prywatnego muzeum. Shan zajrzał po kolei do innych pomieszczeń. W pierwszym znajdowało się proste łóżko o drewnianej ramie przykryte grubą puchową kołdrą, a na ścianach oprawione rysunki. Za drugimi drzwiami kryła się mała kuchnia, za trzecimi kolejna sypialnia z dwoma drewnianymi łóżkami. Nad dalszym z nich leżało na półce kilka miniaturowych urządzeń elektronicznych.

Skrzypnęła deska podłogi i Shan wrócił do głównej izby. Stał tam Yao, wpatrujący się w brytyjską flagę, a obok niego Liya.

- Ten dom zbudował mój pradziadek. Wychował tu całą moją rodzinę - wyjaśniła. - Tam jest zdjęcie, na którym siedzi z moją mamą na kolanach w tym bujanym fotelu z ganku.

Shan podszedł do zdjęć w ramkach i wkrótce odnalazł czarno-białą fotografię przedstawiającą Europejczyka o bujnych bokobrodach, dumnie trzymającego na ręku niemowlę, drugim ramieniem obejmującego promiennie uśmiechniętą Tybetankę stojącą u jego boku. Twarz mężczyzny miała wesoły, niemal szelmowski wyraz. Na innym zdjęciu widniał ten sam człowiek, znacznie młodszy, w mundurze, trzymający pod pachą wysoki

hełm. Pośrodku wisiały zdjęcia dwóch niemal łysych mężczyzn, obu z identycznym, zagadkowym uśmiechem na twarzy. W jednym z nich Shan rozpoznał XIII Dalajlamę, nie żyjącego już od przeszło sześćdziesięciu lat. Drugiego, Europejczyka w garniturze i krawacie, pamiętał z ilustracji w historycznych książkach swego ojca. Był to Winston Churchill.

Pod zdjęciami, na gzymsie kominka, stało pudełko ze szklaną pokrywką, w którym Shan dostrzegł kilka medali i wizytówkę.

- „Major Bertram McDowell” - przeczytał na głos. - „Artyleria Królewska”.

- McDowell! - powtórzył szeptem zaskoczony Yao i podszedł bliżej.

- Major stacjonował przez rok w placówce handlowej w Gyangze - wyjaśniła Liya, stając za ich plecami. - Zawsze był malarzem i pisarzem. W Tybecie zaczął gromadzić materiały do książki, pierwszej angielskiej książki poświęconej tybetańskiej sztuce. Kiedy poprosił, żeby uczono go tak, jak uczy się tybetańskich artystów, pewien lama kazał mu siedzieć przez tydzień w celi medytacyjnej, gdzie nie było nic poza figurą Buddy. Powiedział, że musi pozwolić swemu bóstwu rozrosnąć się tak, by sięgnęło do jego palców.

- Lama z Zhoki - podsunął Shan.

Liya skinęła głową, nie odwracając oczu od zdjęć.

- Po tym tygodniu nie wrócił już do dawnego życia. Zrezygnował z urlopu, poprosił o przedłużenie służby w Tybecie. W końcu odszedł z wojska i ów lama sprowadził go tutaj, gdzie artyści od wieków współpracowali z mnichami z Zhoki.

- Dlaczego ta osada jest tak ukryta? - zapytał Yao. Liya odwróciła się, nie do inspektora, ale ku małemu posążkowi Buddy na ołtarzu.

- Zgłębiaj jedynie Absolut - powiedziała.

- Major McDowell mieszkał w tym domu - domyślił się Shan.

Liya skinęła głową.

- Został wielkim artystą. - Wskazała rząd oprawionych w ramki szkiców po obu stronach drzwi do pierwszej sypialni. - Miał nauczycielkę, córkę kowala. Pobrali się po roku. Urodziło się im sześćoro dzieci. Dwóch chłopców zostało mnichami w Zhoce, pozostała czwórka sama miała wiele dzieci, które zaludniły wzgórza. - Podeszła do stołu przy drzwiach i podniosła jakiś przedmiot, którego Shan w pierwszej chwili nie rozpoznał, małą drewnianą miseczkę z długim trzonkiem, ugłaskała ją czule. - Ludzie go uwielbiali. Co roku w grudniu urządzał święto i dawał wszystkim prezenty. Grał na skrzypcach i uczył ludzi tańców ze swej młodości. - Uniosła ów przedmiot do nosa, po czym odłożyła go na porcelanową tackę, gdzie najwyraźniej było jego miejsce. Shan dopiero teraz zorientował się, że to fajka.

Pod oknami domku przeszedł chłopiec z wiązką suchych gałązek jałowca.

- Czy oni obchodzą żałobę po Lodim? - zapytał Shan. Liya skinęła głową i wyjrzała przez okno. Patrzyła w stronę świątyni.

- On był naszym żywicielem, naszym opiekunem. Gdy miał szesnaście lat, opuścił wioskę i uciekł za granicę. Tutaj były straszne warunki. Z roku na rok coraz więcej ludzi odchodziło z wioski, niektórzy na wzgórza, by zająć się uprawą ziemi i hodowlą, niektórzy do Nepalu i Indii. Kiedy byłam mała, w niektóre zimy dzieci i starcy marli z głodu. William zabrał trochę naszych wyrobów na sprzedaż i przez nowych przyjaciół z Nepalu przesłał nam zapas żywności. Potem długo, ponad rok, nie dawał znaku życia, aż wreszcie dostaliśmy list z Anglii. Pojechał tam spotkać się z naszymi krewnymi.

- Elizabeth McDowell - wtrącił Shan.

- Ona była specjalistką od sztuki Azji, pracowała jako konsultant dla licznych muzeów. Oboje z Lodim stwierdzili, że przeznaczone im było pracować razem. Kiedy wrócił, ona przyjechała tu z nim, przywiozła lekarstwa i zamówienia.

- Zamówienia?

- Na dzieła sztuki, które mogliby sprzedać w Europie i w Ameryce.

Oczy Liyi wypełniły się łzami. Wyszła na ganek. Shan ruszył za nią.

- Przykro mi z powodu Williama - powiedział. - Ale muszę zrozumieć, co się stało w Zhoce. Ze względu na Suryę.

- Jego ciało zniesiono w głąb tunelu. Kiedy je znalazłam, przekonałam kilkoro ludzi ze wzgórz, moich krewnych, żeby pomogli mi go wynieść.

- Ale kto go zabił?

Liya spuściła wzrok, jedną ręką wykręcała palce drugiej-

- Ci, którzy zaatakowali cię u rągapów? - pytał Shan.

- Nie wiem. Jeśli Surya zastał Lodiego w podziemiach, przy tym skradzionym malowidle... nie wiem.

- Kim byli ci dwaj ludzie?

Liya wzruszyła ramionami.

- Czasem pracowali z Lodim. Jacyś ludzie z zewnątrz. Byli bo Lodi miał im dać ten posążek.

- W takim razie dlaczego go zniszczyli?

- Powiedzieli, że przejmują sprawy po Lodim, że warunki uległy zmianie. Twierdzili, że jeśli chcę ocalić ludzi ze wzgórz, muszę im pomóc. Nie wiem, co to za jedni. Niski Chińczyk z garbatym nosem i jakiś osiłek, Mongoł, jak mi się wydaje. William nie opowiadał nam o interesach, które prowadził w świecie dolin. Tak było bezpieczniej dla wszystkich, bo

musiał utrzymywać istnienie Bumpari w sekrecie. Oni zniszczyli ten piękny stary posążek z powodu tego, co im powiedziałam. - Na chwilę skryła twarz w dłoniach. - Tak się boję, Shan - odezwała się nagle. - To koniec z nami. Oni nas znajdą i obrócą w niewolników. Wiedzą, że nie ma nas w żadnych rejestrach, że może nas zniszczyć jeden telefon do władz. Ludzie są przerażeni. Większość mówi o ucieczce za granicę.

- Dlaczego ci dwaj nie śledzili cię od wioski ragyapów?

- Nie wiem. Sprawiali takie wrażenie, jakby mieli pilne sprawy gdzie indziej.

- Nie miałyby sensu, gdyby zabili Lodiego, nie dowiedziawszy się, jak cię znaleźć. - Urwał nagle. - Ale wspomniałaś, że Elizabeth McDowell już zna waszą wioskę.

- Punji nigdy by nie zdradziła. Należy do naszej rodziny. A my chcemy tylko żyć tu w spokoju i tworzyć naszą sztukę. Niemożliwe, żeby ona pracowała z tymi ludźmi... oni byli jak zwierzęta. To wszystko nie ma sensu. - Liya uniosła wzrok, jak gdyby nagle sobie o czymś przypomniała. - Ten mały Chińczyk chciał, żebym oddała mu coś, co Lodi miał od cesarza.

- Od jakiego cesarza?

- Nie wiem. Powiedziałam mu to, a on uderzył mnie w twarz.

Shan spojrział na rozłożoną na tarasach wioskę.

- Czy cesarze mieli jakieś dzieła sztuki z Bumpari albo z Zhoki?

- To, co robimy, zawsze było dla Tybetańczyków, dla bud - Cesarz Qian Long szanował buddystów. Na jego dworze przebywali lamowie. Kolekcjonował tybetańską sztukę.

- Gdyby ci dwaj chcieli więcej naszych dzieł, poszliby za mną.

- Być może zostawili cię w spokoju, bo musieli iść po nowe zapasy - zaryzykował przypuszczenie Shan. - Skoro zniszczyłaś te, które mieli w Zhoce.

- Kiedy znalazłam w tym składziku ciało Lodiego, długo tam z nim siedziałam. Na początku byłam ogromnie przygnębiona, potem zła. Jeszcze nigdy nie byłam tak wściekła, i

- Jeśli zapasy, które zniszczyłaś, rzeczywiście były ich, to znaczy, że właśnie oni kradną malowidła z Zhoki.

Liya zamknęła oczy.

- Lodi nie wyrządziłby szkody Zhoce - oświadczyła stanowczo. - Sprzedawał tylko nasze własne wyroby. Nie grabiłby starych sanktuariów.

- Czy tamtej nocy, kiedy obozowaliśmy z Lokeshem i Dawą, odeszłaś z powodu Tashiego?

- Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, trzyma się z dala od donosicieli.

- Szłaś znów na północ, ale wróciłaś tutaj.

- Podśluchiwałam Tashiego z ukrycia. Zrozumiałam, że udało im się nakłonić cię do pomocy. Wiedziałam, że prędzej czy później znajdziesz naszą wioskę.

- Przepraszam - odparł Shan. Liya wzruszyła ramionami.

- Nie ty to zacząłeś. - Zaczęła obserwować Corbetta, który bawił się z Dawą i dziećmi z wioski na schodach prowadzących na wyższy taras.

- Dlaczego Lodi wrócił do Lhadrung? - zapytał Shan. Liya wzruszyła ramionami.

- Nie spodziewaliśmy się go w najbliższych tygodniach. Pojawił się ni stąd, ni zowąd, wzburzony i przerażony. Poszedł do pokoju, który tu miał... - wskazała głową sypialnię z dwoma łózkami - i szukał tam czegoś, a następnego dnia rano wyruszył do Zhoki.

Corbett, wzięwszy na barana jedno z dzieci, wspinał się po schodach. Widok ten najwyraźniej zaintrygował Liyę. Nie powiedziawszy ani słowa więcej, zeszła z ganku i ruszyła za Amerykaninem.

Shan wrócił do chatki i wszedł do pierwszej sypialni. Pokój sprawiał wrażenie kaplicy. Wiszące na ścianach rysunki najwyraźniej wyszły spod tej samej ręki co te w głównej izbie. Lekka, subtelna kreska znakomicie oddawała uśmiechy bawiących się dzieci, wielką siłę jaka w upręży. Ale w pierwszej z ramek nie było rysunku, lecz arkusz papieru listowego z nadrukiem *Artyleria Królewska* i skrzyżowanymi armatami po bokach. Pod nagłówkiem elegancko wykaligrafowano angielski wiersz. Shan przeczytał go kilka razy, nim przyłapał się na tym, że się uśmiecha.

Pisałem w liście mamie, że przechytryłem lamę:

Nas nie ma, mówił, i nic nie ma, to wszystko są tylko złudzenia...

Więc po co, zapytałem, nosisz bordową piżamę?

Tknięty nagłą myślą wyciągnął z kieszeni stronicę pechy, którą znalazł w Zhoce. Charakter pisma był taki sam jak w limeryku o bordowych szatach mnichów. Dziwne, zapadające w pamięć słowa napisał Bertram McDowell, protoplasta osobliwego klanu z południowych gór.

Shan znalazł Yao w drugiej sypialni. Inspektor siedział na jednym z łóżek, szkicując coś w notesie. Rysował mapę.

- Ming was okłamał - powiedział Shan. Yao nie przestał rysować, gdy opowiadał mu, co usłyszał od Liyi. - Nie wiecie, czy ci ludzie mają z tym wszystkim coś wspólnego - zakończył.

- Mogła kłamać, żeby ratować własną skórę. Mam wierzyć jej czy wysokiemu rangą członkowi Partii? Cała ta wioska to gniazdo przestępców. Udzielali pomocy Williamowi Lodiemu, złodziejowi i mordercy. Trzymają nielegalną broń. Przyznają się do przemytu przez

granicę. Nie są nigdzie zarejestrowani, nie płacą żadnych podatków. Tan i Ming będą tym tak zachwyceni, że pewnie pozwolą wam znowu zaszyć się w górach. - Przerwał i spojrział na ścianę, jakby był na niej jakiś tekst niewidoczny dla Shana. - Same przesłuchania tak wielu aresztantów zajmą co najmniej miesiąc.

Shan rzucił okiem na zgrubną mapkę Yao. Była bezwartościowa. Yao nie miał pojęcia, gdzie się znajdują.

Inspektor otworzył drzwi schowka. Na półkach piętrzyły się pudła, najwyraźniej od urządzeń ustawionych nad drugim łóżkiem, większość z błyszczącymi etykietkami po angielsku i po japońsku. Przenośny odświeżacz powietrza. Awaryjna lampa na biurko. Elektryczna golarka do nosa. Metalowy model samochodu o nazwie Ferrari. Długopis z miniaturową latarką w skuwce. Coś, co się nazywało budzikiem atomowym. Pilot od telewizora, bez telewizora. Cała półka leków z angielskimi etykietkami. Antybiotyki. Tabletki nasenne. Środki przeciwbólowe.

Shan zerknął w stronę łóżek. Półka nad drugim z nich była swego rodzaju ołtarzem służącym zagadkowemu człowiekowi, którego zabito w Zhoce. Głębiej, w cieniu, znajdował się inny ołtarz, tradycyjny, z brązową figurką Buddy, pędzlem i wyblakłą fotografią młodego majora McDowella z opadającym na usta sutym wąsem, pozującego przy dziale z szablą uniesioną nad głowę, jakby wydawał właśnie rozkaz do ataku.

Na wąskim regale leżały może dwa tuziny podłużnych, brązowych, cenionych jako amulety paciorków dzi, w rodzaju tych, jakie Lodi rozdawał w Seattle, każdy z innym wzorem wydrapanych białych linii. Pod nimi stało kilka książek w zachodniej oprawie. Były zakurzone, na pewno nie ruszane od lat. Shan sięgnął po jedną z nich. Okazało się, że to szkicownik o zszywanych kartkach z grubego papieru. Na pierwszej stronie, dziecinnym charakterem pisma, napisane było po tybetańsku *Lodi*. Dalej następowały szkice, nieudolne, ale na swój sposób pewne, kwiatów, psich pysków, łbów jaków, świętych symboli. Przypuszczalnie, jak wszystkie dzieci w wiosce William Lodi od najmłodszych lat rozwijał talenty cenione w jego klanie. Shan podniósł inną książkę. To także był szkicownik, w większości wypełniony rysunkami o tej samej tematyce, choć wykonanymi dojrzałą ręką. Ludzkie twarze były tu smutniejsze, niektóre wychudłe i wyniszczone. Pojawiły się nowe tematy, sylwetki samolotów i samochodów. Na niektórych stronach wklejono zdjęcia z czasopism, przedstawiające zachodnie kobiety, eleganckie samochody, a nawet zachodnie potrawy i telefony. W ostatnim z zeszytów były szkice kobiecych twarzy o głębokich, uwodzicielskich oczach, Gurkhów oraz ich noży, chińskich czołgów rozrywanych przez eksplozje. Na ostatnich stronach pojawiły się nowe twarze, wszystkie o europejskich rysach,

podobne do siebie, jakby należały do osób z tej samej rodziny. Jedna wydała mu się znajoma. Elizabeth McDowell. Upewniwszy się, że Yao jest zajęty jakimś nowym odkryciem w drugim końcu pokoju, Shan wyrwał z zeszytu portret Angielki i schował go do kieszeni.

Odkładając szkicownik na półkę, uświadomił sobie, że drżą mu ręce. Tak bardzo mylił się co do wszystkiego. Starał się kierować współczuciem, jak życzyłby sobie Gendun. Był pewien, że Surya jest niewinny, niezdolny do zabójstwa. Sądził, że każdy, kto by prowadził wykopaliska w Zhoce, musiałby to robić z szacunku. Wziął to, co zobaczył w Bumpari, za znak nadziei, żywy symbol tego, że Tybetańczycy potrafią mimo wszystko osłonić się tarczą buddyjskiej tradycji, by ocalić swego ducha i tożsamość. Ale to nie współczucie było motorem wydarzeń. Była nim chciwość. Lodi wspierał tę kolonię artystów nie po to, żeby zachować tradycję, ale z powodów mających wiele wspólnego z przedmiotami, które czcił na ołtarzu nad swoim łóżkiem. Liya nie wierzyła, że Lodi mógłby splądrować Zhokę, ale nie miała pojęcia o morderstwie, które popełnił w Seattle.

Coś cicho pisnęło za jego plecami i oderwał wzrok od regału. Yao trzymał na kolanach płaskie pudło z otwartą, jarzącą się pokrywą na zawiasach. Laptop. Shan podszedł do inspektora i zajrzał mu przez ramię, gdy ten, pomrukując z zadowolenia, pospiesznie otwierał i zamykał pliki. Wyciągi bankowe. Dokumentacja podróży. Rejestry zamówień, zawierające długie listy dzieł sztuki, uporządkowane według kategorii thanek, rzeźb, utensyliów obrzędowych i masek. Wszystko po angielsku.

Gdy Yao przewijał pliki, zerkając nerwowo na zamknięte drzwi, Shan podszedł do kufra, z którego inspektor wyjął komputer, i obmacał go od środka. Spod koca, na którym znać było Prostokątny odcisk laptopa, wyciągnął mały filcowy worek. Znajdowało się w nim sześć dyskietek komputerowych. Przez chwilę przyglądał się etykietkom, po czym wyciągnął dyskietki w stronę Yao, rozłożone w wachlarzyk niczym karty do gry.

Opatrzono je drukowanymi komputerowo czerwonymi nalepkami. *Nei Lou*, ostrzegają. Tajemnica państwowa. Poniżej znajdował się ciąg cyfr, pierwsze dziesięć jednakowe na wszystkich, potem myślnik i pojedyncza cyfra: jedyńska na pierwszej dyskietce, dwójka na drugiej, aż do szóstki. Shan podał ostatnią dyskietkę inspektorowi, który włożył ją do komputera.

- Być może ten laptop to wszystko, czego mi trzeba - stwierdził Yao i nagle zamrugał zdziwiony, gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie znajomego gmachu w Pekinie. - Muzeum Historyczne - powiedział zbity z tropu. - Muzeum Minga. - Zdjęcie zniknęło, a na jego miejscu pojawiły się wielkie ideogramy *Nei Lou*. Chwilę później ekran wypełniły gęste, drobne znaki chińskiego pisma, opatrzone nagłówkiem *Rozdział 45*.

- Kolejny neyig - zauważył zdumiony Shan. - Przewodnik pielgrzyma.

Spojrzał na dyskiety z logo muzeum Minga, po czym zostawił przeglądającego pliki Yao i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Na małym stoliku przy łóżku leżało pudełko po cygarach. Były w nim jakieś fotografie. Przejrzał je pobieżnie, ale nie znalazł żadnej, która przedstawiałaby Zhokę lub wioskę, więc zabrał się do tego od początku. Pierwsze zdjęcie ukazywało grupę ludzi stojących przed jakimś budynkiem, samych Europejczyków, nie licząc Lodiego, który stał pośrodku. Jego angielscy kuzyni, włącznie z młodszą niż obecnie Elizabeth McDowell. Dalej były turystyczne fotki z Anglii, widoki zamków i katedr.

W osobnej kopercie na dnie pudełka schowane były zdjęcia innych osób, zrobione w piaszczystej, wietrznej okolicy, w której prowadzono coś, co wyglądało na wykopaliska archeologiczne. Na jednym z nich Shan zobaczył Elizabeth McDowell klęczącą na ziemi obok dyrektora Minga. Następne na dłużej przykuło jego uwagę. Przyglądał mu się, nie wierząc własnym oczom, przenosząc wzrok to na Yao, to na fotografię. Było to grupowe zdjęcie McDowell, Minga i licznych Chińczyków wyglądających na naukowców, niektórych w fartuchach, kilku z młotkami i dłutami w dłoniach. Obok Minga stał Lodi, a w centrum grupy, bardziej fotogeniczny niż inni, dobrze ubrany mężczyzna z Zachodu. Tuż przy nim ustawił się potężnie zbudowany człowiek o rysach Mongoła, z krótkim cygarem w ustach, a po drugiej stronie Chińczyk o szczupłej twarzy, który nie patrzył w obiektyw, lecz na Dolana, tak że widać było z profilu jego garbaty nos. Shan schował zdjęcie do kieszeni. To samo zrobił z następnym, które ukazywało tych samych ludzi w wielkim namiocie, wznoszących kieliszki przy stole bankietowym ozdobionym małymi chorągiewkami Chińskiej Republiki Ludowej i Stanów Zjednoczonych.

Panującą w domu ciszę przepłoszył nagle głęboki ryk. Yao poderwał głowę i zatrzasnął pokrywę laptopa. Shan wybiegł z pokoju, przemknął przez główną izbę i wypadł na ganek. Na wyższym tarasie ktoś dał w dungchen, długi teleskopowy róg, jakich używano do zwoływania mnichów w gompach.

Zanim Shan i Yao wbiegli na górę po wykutych w skale stopniach, róg ucichł i rozległy się radosne okrzyki garstki wieśniaków zbiegających z wyższych tarasów ku długiemu drewnianemu budynkowi za ogrodami. Shan przystanął, zmuszając Yao, żeby też się zatrzymał, i patrzył, jak Tybetańczycy wbiegają do budynku.

Gdy obaj Chińczycy dotarli do ogrodów, wszyscy inni, z wyjątkiem mężczyzny, który stał niczym strażnik przy schodach wiodących na najwyższy taras, byli już w długim budynku. Shan i Yao weszli do małego warsztatu, gdzie na stole stała niemal ukończona figura bóstwa z głową konia. Za warsztatem była wielka sala, do której prowadziło

zwieńczone łukiem wejście. Przed nim i za nim stały odlane z brązu potężne, choć zgrabne młynki modlitewne z mantrą mani wypisaną złożonymi literami pod górną krawędzią i małymi świętymi symbolami poniżej. Shan przystanął przy pierwszym z nich, uświadamiając sobie, że już widział niemal identyczny młynek. Pogięty i zaśniebiały, na wpół pogrzebany w Zhoce. Wyglądało na to, że za tą wielką salą, przypominającą świątynię bez ołtarza, znajduje się jeszcze jedna. Mieszkańcy Wioski najwyraźniej zgromadzili się w tej drugiej, ale Shan przystanął, rozglądając się po pierwszym pomieszczeniu, W kilku małych samkangach paliło się kadzidło. Wzdłuż ścian stały na postumentach brązowe posążki. Shan widywał już podobne, w świątyniach i gompach, a nawet w muzeach, ale nigdy jeszcze w takiej liczbie. Przez mgiełkę kadzidła naliczył ich czterdzieści, niektóre zaledwie kilkucentymetrowe, inne mierzące dobrze ponad pół metra. Przed jedną z nich spostrzegł Lokesha. Stary Tybetańczyk stał jak urzeczony. Środek sali zajmowały stoły ustawione w kwadrat, wewnątrz którego stało kilkanaście ram używanych do malowania thanek, a przed każdą z nich leżała poduszka do siedzenia, przy większości zaś farby i pędzle. Ale tylko na jednej poduszce ktoś siedział.

Była to kobieta w średnim wieku, która wpatrywała się w nie ukończoną pracę, na której ołówkiem zaznaczone były zarysy postaci. Nie zwróciła uwagi na Shana i Yao, mimo że do niej podeszli. Była całkowicie zaabsorbowana swą pracą, choć pędzle leżały obok niej na ziemi. Wydawało się, że coś ją dręczy. Raz po raz spoglądała w bok, na inną, ukończoną thankę, która stała trzy metry dalej, wciąż rozpięta na ramie, otoczona przez płonące lampki maślane.

- Widziałeś? - odezwał się za plecami Shana podniecony Lokesh. Wreszcie go zauważył. - Widziałeś? - powtórzył, wskazując ukończoną thankę.

Shan podszedł do malowidła. Styl wydawał mu się znajomy.

- Niemożliwe! - wykrzyknął cicho. - To namalował Surya. Ale to nie może być prawda.

- To może być tylko prawda - odparł Lokesh pewnym, choć zdumionym tonem.

- Spotkaliśmy go z dziećmi na jednej z gór, kiedy szliśmy odwiedzić krewnych, którzy pasą stada nad doliną - usłyszeli łagodny kobiecy głos. - Malował Buddę na skale. - Powiedziała to malarka, która nie podniosła się z poduszki i wciąż wpatrywała się w nie ukończoną twarz swego bóstwa. - Z początku byliśmy przerażeni. Moje dzieci nigdy nie widziały bordowej szaty. Ja nie widziałam żadnej od dziesiątków lat. Niektórzy powiedzieliby, że to był duch. Podkradliśmy się bliżej. Myśleliśmy, że nas nie widzi, bo schowaliśmy się pod nawisem trzydzieści kroków od niego. Ale on nagle odwrócił się w naszą stronę. Balansował pędzlem na nosie i rozkładał ręce jak ptak skrzydła. Moje dzieci nie

mogły powstrzymać się od śmiechu. A on podszedł i usiadł przed nami. Nazwał nas skalnymi pikami i zaczął popiskiwać jak one.

Kobieta wstała, uśmiechając się smutno, i podeszła do ukończonej thanki.

- Kiedy wygramoliliśmy się z kryjówki, zaprosił nas na spotkanie z bóstwem, które namalował. Zaczęłam płakać. Nie wiem dlaczego. Płakałam jak dziecko, długo, a potem on ujął moją rękę i dotknął nią bóstwa. Przez ramię przebiegły mi jakieś dziwne ciarki i nagle odniosłam wrażenie, że to, co płakało, nie jest już częścią mnie.

- Ale kiedy on tu przyszedł? - zapytał Shan.

- Pierwszy raz przyprowadziliśmy go prawie rok temu. Większość z nas od dawna nie malowała. Pracowaliśmy już tylko w metalu. On pomógł nam odkryć, co jest nie tak.

- Nie tak?

Kobieta splotła dłonie.

- Przez całe wieki tutejsi ludzie malowali dla świątyni ziemi. Malowali żywe bóstwa. Mamy tu stare księgi, które mówią o tym, jak pewien lama, który odwiedził kiedyś naszą wioskę, powiedział, że trafił do jednej z niebiańskich krain, gdzie błogosławieństwa spływają z czubków pędzli, a z płótna i farby powstają domy bóstw. - Mówiąc to, patrzyła na swoje dłonie, jakby zawstydzona.

- Ale straciliśmy tę umiejętność - podjęła po chwili. - Potrafiliśmy robić rzeczy, które zadowalały kolekcjonerów, nawet muzea, ale nie takie, które mogłyby służyć w świątyniach. Nie umieliśmy już przelewać ognia na płótno. Lodi twierdził, że to bez znaczenia, bo przecież nie ma już świątyń, bo to nie świątynie nam płacą. My jednak wiedzieliśmy, że nie ma racji. Mój ojciec, który był jednym z najlepszych malarzy, jakich jęliśmy od wielu pokoleń, pół dnia spędzał na modlitwie.

Potem przyszły straszliwe zimy, trzy z rzędu, i wszyscy starzy udzie zmarli. Myślę, że zapomnieliśmy, jak się modlić. - Odwróciła się i skinęła głową do Liyi, która podeszła właśnie do od razu Suryi.

- Kiedy Surya odwiedził nas po raz pierwszy, było tak, jakby po latach burz zza chmur wreszcie wyjrzało słońce. Położył każdemu dłoń na głowie, wszystkim, nawet dzieciom, a potem wszedł do warsztatów. Spędził w nich dwie godziny, sam jeden, przyglądając się naszym pracom. Potem powiedział, żebyśmy wynieśli wszystko, opróżnili całą tę salę. Na środku postawił stółek, na którym ustawił małego Buddę z brązu, i powiedział, że gdy odejdzie, musimy medytować nad tym Buddą, nie robić nic, tylko medytować nad tym Buddą i nad Buddą we własnym wnętrzu, noc i dzień, robiąc przerwy tylko na jedzenie i spanie, dopóki on nie wróci.

Kiedy Lodi się o tym dowiedział - ciągnęła - był wściekły, bo przestaliśmy pracować i jego zamówienie nie było gotowe na czas. Ale nie przerwaliśmy medytacji. Dwa tygodnie później Surya wrócił i zaczął nas uczyć, jak malować, od podstaw, jakbyśmy byli dziećmi. Namalował dla nas tę thankę. Skończył ją w czasie swej ostatniej wizyty. Powiedział, że wkrótce świat się zmieni... - Kobiecie załamał się głos i uniosła wzrok, mrugając, żeby łzy spłynęły z oczu. - Liya powiedziała nam, co się stało. On zadał sobie tyle trudu, żeby pomóc nam odnaleźć nasze bóstwa, a potem stracił własne.

W milczeniu przez długą chwilę wpatrywali się w malowidło Sury i. Coś otworzyło się w umyśle Shana i usłyszał głos Suryi czytającego jedną ze starych sutr. W końcu odszedł z Lokeshem, lecz Yao się nie ruszył, wpatrzony nie w thankę, lecz w malarkę.

W drugiej sali długiego budynku zgromadziła się chyba większość mieszkańców wioski. Była tu kobieta, która częstowała ich herbatą, pół tuzina dzieci i około dwudziestu innych osób zbitych w gromadkę na środku wyłożonego boazerią pomieszczenia. Wśród zebranych przebiegały ciche pomruki podniecenia. Shan i Lokesh ostrożnie wcisnęli się między nich. Wieśniacy tłoczyli się wokół Corbetta. Niektórzy podchodzili nieśmiało, żeby poklepać go po plecach, jakaś kobieta podsuwała mu świeże jagody, inna czarkę herbaty.

- On był w ogrodzie - szepnęła cieniutkim głosem Dawa, precyzyjnie się do Shana. - Ktoś zostawił tam kawałek pergaminu, pędzel i tusz. Widziałam, jak to się stało. Zanurzył pędzel w tuszu i namalował parę kresek, uśmiechnął się i zrobił to jeszcze raz. To był kwiat na gałązce. Sześć pociągnąć pędzla, a wyglądał jak żywy. On zauważył mnie i pokiwał, żebym przy nim usiadła, a potem podeszła jakaś staruszka, która na widok kwiatu sapnęła z wrażenia i powiedziała, że wygląda, jakby wyrastał z papieru. Śmiała się z radości i zaczęła odmawiać modlitwy dziękczynne. Zawołała, że on narodził się z tęczy. Zaczęli nadbiegać ludzie. Potem ktoś zatrąbił na tym długim rogu.

- Jaka staruszka?

Dawa wskazała kobietę w fartuchu o żywych barwach, która siedziała obok Corbetta, pokazując mu komplet starych pędzli.

- To przełożona naszej pracowni malarskiej - wyjaśniła Liya za plecami Shana. - Najstarsza z naszych malarzy.

- Co ona miała na myśli, mówiąc, że Corbett narodził się z tęczy?

Liya uśmiechnęła się szeroko.

- Podobno przed wiekami wielu oświeconych zatrzymywało się w naszej wiosce w drodze do Zhoki. Nauczali oni, że sztuka jest ćwiczeniem duchowym, że najwięksi artyści, podobnie jak najwięksi lamowie, korzystają z doświadczeń licznych poprzednich wcieleń.

- Chcesz powiedzieć, że jej zdaniem Corbett jest wcieleniem któregoś z nich?

- Niezupełnie. Chodzi raczej o to, że sztuka jest mocą duchową, a w Corbettcie zogniskowała się moc wielu wcześniejszych artystów. Niejednego, konkretnego człowieka. Nasze stare nauki mówią, że tęcza przenosi moc, że tam, gdzie styka się z ziemią, przychodzi na świat artysta.

Shan spojrzał na Corbetta.

- I powiedziano mu to?

- O, tak. Był tym zachwycony. On jest częścią proroctwa, jednym ze zwiastunów tego, że świat się zmienia - odparła jyya. Zerknęła na Shana i zaczerwieniła się. - To znaczy, ludzie tak mówią.

On jest przedstawicielem władz Stanów Zjednoczonych - zauważył Shan. Liya wzruszyła ramionami.

- Jest artystą, tłumaczem bóstw. Reszta nie ma znaczenia.

Shan przyglądał się Corbettowi i wieśniakom. Amerykanin z zakłopotaniem przyjmował ofiarowywane mu jedzenie i pędzle, lama uśmiechał się szeroko, dzieci śpiewały.

- Kiedy cię poznałem, trzymałaś z purbami - powiedział Shan. - Nigdy nie widziałem cię z pędzlem.

Liya uśmiechnęła się błogo.

- Wychowywano mnie na artystkę, jak wszystkie tutejsze dzieci. Ale odkąd moja matka umarła, a Lodi wyjechał, nie było już nikogo, kto mógłby troszczyć się o wszystkich. On mówi... mówił... że jestem impresariem wioski.

- Nie tak bym cię nazwał, kiedy pomagałaś mnichom organizować święto.

Jej uśmiech stał się smutniejszy.

- Ten czas wydaje się teraz tak odległy. To było wtedy, gdy Surya zamierzał przywrócić Zhokę do życia, a ja miałam dostarczać świątyniom nowe dzieła sztuki.

- Co łączyło Lodiego z Mingiem? - zapytał prosto z mostu Shan.

- My tworzymy, a Lodi sprzedaje nasze wyroby. Punji zapoznała go z Mingiem, który wprowadził go w handel dziełami sztuki. Załatwiła mu miejsce w kilku wyprawach badawczych Minga.

- Ming kupował dzieła sztuki od Lodiego? Liya zmarszczyła brwi, ale nie odpowiedziała.

- Czy on okradał Minga?

- Lodi nie był złodziejem.

- Był, Liyo. - Shan opowiedział jej, czego się dowiedział o kradzieży kolekcji Dolana i o morderstwie młodej Amerykanki.

Liya utkwiała wzrok w rzeźbionych kwiatach lotosu na fryzie obiegającym ściany tuż pod sufitem. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie wierzę. On nie był zabójcą. Nie był złodziejem. Szanował naszą sztukę. Nie kradłby świętych przedmiotów. To oznaczałoby brak szacunku.

- Ludzie się zmieniają. Lodi miał pieniądze. Podróżował, miał przyjaciół na Zachodzie. Bumpari było tylko częścią jego życia, nie całym. - Co by powiedziała, pomyślał Shan, gdybym jej wyjawiał, że Corbett ma dowód, iż Lodi grał w kasynach? Nie zrozumiałaby nawet, czym jest kasyno. A obrabowanie bogatego Amerykanina nie musiało wyglądać na brak szacunku, szczególnie jeśli Lodi istotnie odwoził skradzione przedmioty do Tybetu.

Na twarzy Liyi pojawiła się bezbrzeżna rozpacz.

- Chcę tylko, żeby wszystko było jak zawsze, tak jak powinno być. - Patrzyła na dzieci bawiące się u stóp Corbetta. - Rozmawialiśmy z Lodim o szabrownikach. Zawsze byli złodzieje, którzy szukali skarbów. On uważał, że potrafi bronić tybetańskich spraw, a zarazem... - zastanowiła się nad odpowiednim słowem - a zarazem prowadzić swoje interesy na Zachodzie. Ale potem spotkałam go w Zhoce. To było przed świtem, w dniu święta. Był zmartwiony. Więcej niż zmartwiony. Pełen skruchy. Powiedział, że nie on jest odpowiedzialny za to, co ma się stać. Chciał, żebym w to wierzyła. Twierdził, że powinniśmy zawalić i zamaskować wejścia do starych sanktuariów, i poprzysiągł, że znajdzie coś, co wynagrodzi wszystko, jakiś wspaniały dar dla ludzi ze wzgórz, coś, czego Surya poszukiwał od miesięcy. Miał przy sobie tę figurkę Mańdżuśriego i dał mi ją wtedy na przechowanie. Ukryłam ją w ruinach, a potem zabrałam razem z jego ciałem.

Umilkła. Oczy znów zaszyły jej łzami.

- Czuję się odpowiedzialna za jego śmierć. To ja go tam zaprowadziłam. Parę miesięcy temu poprosiłam, żeby poszedł ze mną do Zhoki, bo Surya miał nas nauczyć, jak ją przywrócić do życia, a ja chciałam, żeby Lodi też miał w tym udział. Z początku nie chciał iść, ale kiedy zaczęliśmy znajdować różne rzeczy, przełamał się i już nie protestował.

- Czy to on ułożył te czaszki na stole? - zapytał Shan. - Czy to on napisał ten tekst pod nimi, o tym, że o tych ludzi upomniało się piękno?

- Razem zbieraliśmy te czaszki. Trafiliśmy do starych sal, Sdzie leżały rozrzucone na podłodze. Przez wszystkie te lata ndzie byli zbyt zastraszeni, żeby tam wrócić i oddać im cześć. Nie wiedzieliśmy, co z nimi zrobić. Te słowa napisał Lodi. To powinna być modlitwa, ale znaleźliśmy ich tak niewiele... - dodała szeptem.

- Ming był jego współnikiem. Nie wydaje ci się, że Lodi mógł powiedzieć Mingowi o Zhoce? Już wcześniej badali różne ruiny, pracując dla muzeum.

- Nie wiem. Lodi miał coraz mniej zaufania do Minga. Mówił, że za bardzo interesują go cesarze i chwała, aby można mu było ufać. - Znowu spojrzała na Shana.

- Ming rozmawiał z Lodim o cesarzach?

- Powtarzam tylko, co powiedział Lodi.

- Co oni robili, Liya? Ming i Lodi zajmowali się czymś więcej niż tylko handlem dziełami sztuki.

Kobieta zacisnęła zęby. Starła się zachowywać, jakby nie usłyszała pytania.

- Kiedy był tu ostatni raz, nie powiedział nic więcej na temat Minga - odezwała się w końcu - uprzedził tylko, że powinniśmy być przygotowani do stawienia oporu, jeśli z północy nadejdą Chińczycy. Mówił, że to nie będą żołnierze, ale ktoś w ich rodzaju. Sprowadził Gurkhów, którzy pomagali mu przejść przez granicę.

- To ci z karabinami.

- Niektórzy z nas klócili się z Lodim, twierdzili, że nie wolno nam używać broni, ale on odparł, że nie mamy pojęcia, jak zrobiło się niebezpiecznie. Powiedział, że dawno temu zdarzyło się coś, co w końcu nas zniszczy. Prosił mnie nawet, żebym zaczęła przerzucać wszystkich za granicę.

- Ale nie zrobiłaś tego.

- Nie przyłożę do tego ręki. Porzucić Bumpari po tylu stuleciach? Zostanę tu do końca, nawet gdybym miała zostać sama...

Ton, jakim to powiedziała, przeraził Shana nie mniej niż jej słowa.

- Jakie dawne zdarzenie miał na myśli? - zapytał. - Chińską inwazję?.

- Nie wydaje mi się. Kiedy był tu po raz ostatni, szuka starych ksiąg, starych pech mówiących o dziejach Zhoki. Nie chciał mi wyjaśnić dlaczego. Ale którejś nocy upił się i powiedział, że tylko głupcy sądzą, iż cesarze stawiają bogów na pierwszym miejscu.

Z zewnątrz dobiegł niski, głuchy dźwięk dzwonu, trzy uderzenia jedno za drugim. Liya z niepokojem uniosła wzrok.

- Coś się stało - wykrztusiła i wypadła na dwór.

Krąg Tybetańczyków się rozsypał. Mieszkańcy osady opuszczali budynek, jedni idąc, inni biegnąc. W sali pozostał jedynie Corbett, siedzący na podłodze ze stosem pędzli, kwiatów i owoców na kolanach.

- Wygląda na to - odezwał się Shan - że ci ludzie chcą, żeby pan tu został i nauczył ich, jak malować bóstwa.

Jedyną odpowiedzią Corbetta był melancholijny uśmiech. Po długiej chwili Amerykanin uniósł wzrok i spojrzał na Shana.

- Moja matka była malarką, jej siostra też. Gdy byłem mały, zabierały mnie ze sobą, kiedy szły malować widoki morza, i dawały mi do zabawy sztalugi i farby. Ale w końcu wysłały mnie do college'u, tłumacząc, że nie mógłbym utrzymać rodziny ze sztuki.

- Ming nie mówił nam wszystkiego - powiedział Shan, zerkając w dół, na zbiegowisko Tybetańczyków przy kamiennej bramie wioski. - Znalazłem zdjęcie Williama Lodiiego - dodał, podając Amerykaninowi fotografię z bankietu w namiocie. - Ming znał Lodiiego.

Gdy Corbett spojrzał na zdjęcie, jego pogodny nastrój się ulotnił. Wstał gwałtownie, zrzucając pędzle na podłogę, i wypadł jak burza z budynku.

Shan dogonił go w ogrodzie. Amerykanin patrzył w stronę odległych szczytów. Miał pociemniałą twarz i wściekłość w oczach. Pomachał zdjęciem przed Shanem.

- To on! Oni go znali! Obaj, Ming i Lodi, znali słynnego Pana Dolana. Ten sukinsyn Ming musiał to wszystko zaplanować. - Jego usta wykrzywił gniewny grymas. Kopnął kamień, który przeleciał w powietrzu, strącając kwiat z łądygi. - Ming drwi sobie z nas - warknął po chwili. - Oni wiedzieli o kolekcji Dolana, wiedzieli, jak jest bogaty. Przypuszczam, że dla Minga to była nieodparta pokusa. Spisek przeciwko bogatemu amerykańskiemu kapitaliście zawiązany z zaprzyjaźnionym międzynarodowym złodziejem dzieł sztuki. Kto wiedziałby lepiej, co zrobić z taką kolekcją, niż Ming i Lodi? Ming musiał się z nas śmiać przez ten cały czas, wiedząc, że ze swoją polityczną pozycją jest nietykalny.

- Tyle tylko, że Lodi został zabity - zaznaczył Shan. A Ming tego nie zrobił. Był wtedy w Lhadrung.

- Więc może to jednak pański mnich go zabił?

- To nie wyjaśnia tego, co zaszło w Pekinie.

Corbett wolno pokiwał głową, zaklął pod nosem i usiadł na pobliskiej ławce, obserwując gromadzących się przy bramie mieszkańców wioski. Kamienna brama została odsunięta, a jeden z Gurkhów mówił coś do nich, wymachując karabinem. Z bramy wyszło kilka osób z pakunkami na plecach.

- Sam nie wiem - mruknął przygnębiony Amerykanin. - Teraz rozumiem jeszcze mniej niż wtedy, gdy przyjechałem do Tybetu. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje dłonie, wreszcie wyciągnął z kieszeni papier oraz ołówek i zaczął coś pisać. - Potrafi pan obsługiwać komputer? - zapytał Shana.

Gdy pół godziny później wstali z ławki, tłum wieśniaków wciąż stał przy bramie, ale nastrój zrobił się ponury. Yao siedział na uboczu, niczym wyrzutek, wpatrując się w staw. Tybetańczycy odwracali oczy, żeby nie napotkać wzroku Shana, kiedy szedł w ich stronę.

Liya zatrzymała go w pół drogi, zaciągnęła go do starej chatki, po czym zaczęła na ganku, aż dołączy do nich Yao.

- Przykro mi - zaczęła. W jej oczach znać było ból. - Próbowałam przemówić im do rozsądku. Ale... - Odwróciła się i zacisnęła dłonie na starym młynku modlitewnym, jakby musiała się go przytrzymać, żeby nie upaść. - W górach są Chińczycy. Wyszadzają stare jaskinie. Nasi ludzie czasami się w nich ukrywają i możliwe, że ktoś został uwięziony w środku. Oni wiedzą, że wy pracujecie dla Minga. Mówią, że Ming przewodzi bogobójcom. A teraz bogobójcy zaatakowali starą kobietę, naszą krewną. Ukradli jej wszystkie stare posążki i księgi, zniszczyli piec garncarski.

- Fionie? - zapytał zaniepokojony Shan. - Nic jej się nie stało?

Liya spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Masz na myśli naszą Dolmę? Jest zdrowa i cała. Ale Gurkhowie utrzymują, że wy dwaj maczaliście w tym palce, że szpiegujecie dla innych Chińczyków, że naprawdę chodzi wam o to, by zniszczyć Zhokę i Bumpari, zetrzeć je z powierzchni ziemi. Mówią, że przyszlście dokończyć to, co rozpoczęto w dniu, kiedy zbombardowano Zhokę. Inni twierdzą, że jesteście demonami ziemi, które wyzwoliły się z pęt.

Wieśniacy patrzyli teraz w stronę chatki. Niektórzy zaczęli do niej ostrożnie podchodzić.

- Wejdźcie do środka - powiedziała Liya. - Porozmawiam z nimi. Spróbuję ich przekonać. - Nagle jednak przystanęła i chwyciła Yao za ramię. - Czy to prawda, inspektorze? Zniszczylibyście nas, gdybyście mogli?

Yao odpowiedział bez wahania, stanowczym głosem:

- Wszystko, co tu robicie, jest nielegalne. Jesteście nielegalni. Cała ta wioska jest nielegalna.

- Zniszczylibyście nas? - powtórzyła Liya.

- To mój obowiązek - odparł Yao.

Liya spojrzała uważnie Shana, jakby chciała wyczytać z jego oczu, co powinna zrobić, po czym zamknęła na chwilę oczy.

- Dziękuję wam za szczerość - powiedziała do Yao, a następnie zaprowadziła ich do drugiej sypialni i zamknęła drzwi.

Yao natychmiast zaczął szperać po szafkach i skrzyniach.

- Broń - szepnął nagle. - Musimy znaleźć broń. Shan nie przyłączył się do jego poszukiwań. Przyglądał się staremu, oprawionemu w ramki rysunkowi przy drzwiach. Był to jeden ze szkiców majora. Zdjął go ze ściany i usiadł na łóżku, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Rysunek przedstawiał roześmianego lamę siedzącego na jaku. Nagle ogarnęło go ogromne zmęczenie i pogрузzył się w jakiejś dziwnej medytacji. Wydarzenia minionych trzech dni kłębiły się przed nim bez ładu i składu. Lama na jaku zdawał się szydzić z jego braku zrozumienia.

Nie wiedział, ile czasu minęło, nim otworzyły się drzwi i stanęła w nich Liya. Bez słowa przyjrzała się bałaganowi, Jaki zrobił Yao, i westchnęła.

- Jest herbata - oznajmiła sztywno i wróciła do głównej izby.

Shan ruszył za nią, Yao tuż za nim, trzymając laptopa.

Corbett siedział na krześle, popijając z porcelanowej filiżanki. Dawa, przycupnięta obok na podłodze, pokazywała mu obrazki w jakiejś książce. Liya podała Yao i Shanowi filigranowe filiżanki, gestem zaprosiła ich, żeby usiedli przy stole, i podsunęła im talerz suszonego sera oraz moreli. Shan upił łyk i zaskoczony spojrzał do filiżanki. Była w niej mocna czarna herbata przyrządzona na hinduską modłę, z mlekiem. Słodka i orzeźwiająca, miała dziwnie metaliczny posmak. Liya skubała grudkę sera, unikając wzroku gości.

Shan miał właśnie zapytać, gdzie są pozostali, gdy nagle zamarł. Corbett zwiślał bezwładnie z krzesła, nieprzytomny. Liya ostrożnie wyjęła filiżankę z jego dłoni.

Shan zerwał się przestraszony.

- Lokesh! - zawołał, lub raczej zdawało mu się, że woła, bo nagle odniósł wrażenie, że jego język stał się gruby i ciężki. Ugięły się pod nim nogi. Pokój pływał. Zrobił krok naprzód i padł na kolana. Usłyszał stuk spadającego obok laptopa i zobaczył, że inspektor chwyta się za gardło.

Liya podeszła do Shana i wyjęła mu filiżankę z ręki.

- Lokeshowi nie stanie się żadna krzywda - powiedziała ze smutkiem, jakby była mu winna tę ostatnią pociechę. Podtrzymała Shana, gdy runął na twarz. Nim opuściła go świadomość, zobaczył jeszcze kilka wbiegających do pokoju postaci, niewyraźne cienie obstepujących go ludzi.

- Zróbcie to szybko - dotarły do niego słowa Liyi. - Nie chcę, żeby cierpieli.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Światło, do którego Shan wyciągał rękę, maleńka plamka jasności w długim, mrocznym tunelu, wciąż było tuż poza jego zasięgiem. Z głębi tunelu wołało do niego jakieś dziecko, mówiło, że jest już bezpiecznie, że może wracać. Jakiś mężczyzna zaklął po chińsku. Ktoś dziewczęcym głosem odmawiał tybetańską modlitwę.

Nagle pod czaszką rozerwała mu się błyskawica i zalała go powódź światła, oślepiającego aż do bólu. Zasłonił oczy ramieniem i usłyszał swój jęk.

- Wróć - powiedziała zatroskana dziewczynka, odciągając mu rękę od twarzy. - Aku Shan, proszę, wróć - powtarzała, ściskając jego dłoń.

W końcu zaczął odzyskiwać wzrok. Leżał na łące porośniętej wysoką trawą, a Dawa trzymała go za rękę. Uśmiechnęła się, gdy jego błędzące oczy spoczęły na niej, i pomogła mu usiąść. Znajdowali się na łagodnym stoku długiego, wysokiego wzgórza, w większości pokrytego dywanem polnych kwiatów. Słońce było na niebie mniej więcej od dwóch godzin. W pobliżu śpiewały skowronki.

- Nie umarłeś - powiedziała Dawa i wskazała siedzącego nieco dalej inspektora Yao, jakby to był wystarczający dowód, że Shan nie trafił do raju. - Niektórzy ludzie w wiosce chcieli waszej śmierci - oświadczyła rzeczowo - ale Liya powiedziała, że dała wam lekarstwo, żebyście dzisiaj poczuli się lepiej.

Shan przyjrzał się dziewczynce. Lekarstwo. Wstał i wciągnął w płuca chłodne poranne powietrze. Żebyśmy poczuli się lepiej. Żebyśmy zachowali życie, uświadomił sobie, gdy pamięć przywołała wydarzenia poprzedniego wieczora. Część wieśniaków chciała uśmiercić Shana i Yao. Liya podała swoim chińskim gościom środek nasenny, żeby ich ocalić.

- Jak się tu dostaliśmy?

- Przywiązani do końskich grzbietów. W wiosce były tylko dwa konie. Ja jechałam na plecach Liyi.

- Ale gdzie jest Lokesh? I Amerykanin? Dawa wzruszyła ramionami.

- Zostali w wiosce. Dziesięć metrów dalej ze stoku tryskało źródło. Shan obmył zimną wodą twarz, napił się, a następnie skinął na Yao, żeby zrobił to samo.

- Porwanie - warknął inspektor. - Próba zamordowania urzędnika państwowego.

Dawa spojrzała na niego zbита z tropu.

- To było lekarstwo - powtórzyła.

- Liya uratowała nam życie - rzekł Shan i wyjaśnił mu, co usłyszał od dziewczynki. - Pozwoliła wam odejść, chociaż przyznaliście, że zniszczylibyście Bumpari.

- Po prostu znalazła mniej brutalny sposób, żeby nas zabić - odparł Yao. - Zostawiła nas na pustkowiu, bez jedzenia, bez mapy, bez środków lokomocji. - Przerwał, poklepał się po kieszeniach i z jednej z nich wyciągnął notatnik. Przewertował strony, jakby chciał się upewnić, że zapiski są na swoim miejscu, i na powrót wepchnął go do kieszeni. Nagle znieruchomiał i po chwili wyjął z kieszeni jakiś przedmiot: podłużny brązowy paciorek, na którym wryto skomplikowany wzór złożony z białych kresek.

Shan przeszukał własne kieszenie i również znalazł paciorek.

- Liya - domyślił się. - Dała je nam, żeby nas chroniły. Yao zmarszczył brwi, ale schował paciorek do kieszeni.

- Corbett - odezwał się zaniepokojony. - Amerykanin jest w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż my byliśmy. Ludzie pokroju tych z wioski po prostu obrabowują cudzoziemców i usuwają zwłoki.

Ale Shan nie wierzył, żeby Corbettowi groziło fizyczne niebezpieczeństwo. Jak się domyślał, Corbett nie został potraktowany odmiennie dlatego, że był cudzoziemcem, ale dlatego, że wieśniacy uznali, iż narodził się z tęczy.

- Dlaczego cię odesłali? - zapytał Dawę. - Nie stałaby ci się tam żadna krzywda.

- Liya powiedziała, że jeśli nie wrócę, ludzie będą mnie szukać. Mówiła, że będziesz wiedział, gdzie mnie zabrać.

- Nie mam pojęcia... - zaczął Shan, umilkł jednak, gdy dziewczynka wyciągnęła jakąś kartkę.

- Ajwen ou - przeczytała z trudem i podała mu ją. Shan, rzuciwszy okiem na kartkę, uśmiechnął się szeroko.

- Do Ivanhoe.

Dawa energicznie pokiwała głową.

- Tak! Ona kazała nam iść do Ivanhoe, bo tam możemy pomóc sobie nawzajem.

- Którędy? - zapytał. - Którą drogą wywieziono nas w nocy z wioski? Tą długą równiną? Ścieżką, którą przyszlismy? - Okolica wyglądała zupełnie obco.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Było ciemno. Spałam, kiedy mnie nieśli. - Wskazała płócienny worek leżący na skale obok źródła. - Liya zostawiła go dla was.

- Mieli dwanaście, może czternaście godzin - obliczał Shan, idąc po worek. - Możemy być teraz pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt kilometrów od wioski. - Przesadzał, żeby Yao miał kłopoty z odnalezieniem Bumpari. Wątpił, czy nocą przebyli więcej niż szesnaście kilometrów w tym trudnym terenie. - Wywieźli nas na południe, w stronę Himalajów.

Yao odwrócił worek do góry nogami. Na trawę wypadło sześć jabłek i trochę suszonego sera.

- To tylko oznacza, że wolniej umrzemy z głodu - zrzędził.

- Nie - odparł Shan, ponownie rozejrzawszy się po okolicy. - Ona starannie wybrała to miejsce. Mamy tu wodę. Jest dość wysoko, żeby było widać szosę, a na tyle daleko od niej, żeby nas nikt z niej nie zobaczył. - Wskazał na południowy zachód, gdzie w oddali unosił się mały obłoczek pyłu.

Yao wstał i przyjrzał się obłoczkowi.

- Ciężarówka! - wykrzyknął. - Jedźcie na północ! Ale jej nie dogonimy!

- Będzie następna - stwierdził Shan i z powrotem wrzuciwszy jedzenie do worka, przewiesił go sobie przez ramię.

Gdy godzinę później dotarli do zrytej koleinami żwirowej szosy, nie było widać żadnego pojazdu. Ale po trzydziestu minutach marszu nadjechała nieduża poobijana ciężarówka z czterema owcami.

- Na targ w Lhadrung - odparł niemal bezzębny kierowca, gdy Shan go zapytał, dokąd jedzie. Shan dał mu trzy jabłka i kiedy mężczyzna gestem zaprosił ich do kabiny, otworzył drzwiczki, żeby wpuścić Dawę, po czym podał jej czwarte jabłko.

Yao zaczął się ładować za dziewczynką, ale Shan chwycił go za ramię.

- My jedziemy z tyłu - powiedział.

Yao rzucił mu mordercze spojrzenie, jednak zamknął drzwiczki i wspiął się wraz z nim przez tylną klapę.

Gdy ciężarówka, wyrzucając kłęb spalin, ruszyła z donośnym warkotem, inspektor oparł się o tylną ściankę kabiny. Owce patrzyły na niego.

- Może wy sami kazaliście Liyi to zrobić - odezwał się lodowatym tonem. - Może zainscenizowaliście to wszystko, żeby pozbyć się mnie z wioski. - Uniósł rękę, jakby chciał pogrozić owcom. Zwierzęta wciąż wpatrywały się w niego. - Akurat kiedy zaczynam znajdować odpowiedzi na swoje pytania, odurza się mnie i wywozi. Ponieważ wy wiecie, że to Tybetańczycy są winni.

Jedyną odpowiedzią Shana było nieruchome spojrzenie, identyczne jak u owiec.

Yao spiorunował go wzrokiem, wyciągnął notatnik i zaczął coś w nim gorączkowo pisać. W miarę jak przybywało zapisków, na jego twarzy malowała się coraz większa pewność siebie.

- Cała wioska złodziei - oświadczył z satysfakcją. Najwyraźniej uznał teraz owce za publiczność i zaczął przedstawiać im swe teorie. - Bezprecedensowy afront wobec socjalizmu.

- Wczoraj podziwiał ich sztukę - szepnął owcom Shan. Yao zignorował go.

- Nie mogą ukrywać się wiecznie. Pułkownik Tan może wysłać żołnierzy, żeby przeczesali teren na południe od Zhoki. Zwiad powietrzny znalazłby ich w ciągu dwóch, trzech dni. Można wykorzystać służby graniczne. Przeprowadzimy masowy proces w Lhasie. To przyciągnie uwagę całego kraju. Shan skrzywił się.

- Dzięki temu macie zamiar odnaleźć zaginione malowidło cesarza? Zaginioną kolekcję Dolana? W tej wiosce widziałem prawie same kobiety i dzieci. Masowy proces dwudziestu albo trzydziestu kobiet i dzieci? Czy to jest sukces, po który przybyliście do Tybetu?

Yao zmarszczył brwi.

- Nie musimy aresztować najmłodszych i najstarszych.

- Tylko zniszczyć im życie.

- Wprowadzić ich w dwudziesty pierwszy wiek. Shan przyglądał mu się bez słowa.

- Corbett narodził się z tęczy - powiedział w końcu. - A wy? Wypelzliście spod jakiegoś kamienia?

Yao znów spojrzał wściekle na Shana, a następnie odwrócił się w stronę odległych gór.

- Żołnierze nigdy ich nie znajdą - ciągnął Shan. - Zapewne, jeśli będą szukać wystarczająco długo, odkryją wioskę. Ale wtedy nie będzie tam już nikogo. Ci ludzie utrzymują strażę. Zasztyją się wyżej w górach. - Lecz kiedy Tan znajdzie Bumpari, zło się dopełni, pomyślał. Żołnierze zniszczą wioskę bez względu na to, co tam zastaną. Unicestwią tę zagadkową oazę, która zdawała się żyć w kilku epokach naraz. - I tak stracimy jakąkolwiek szansę wytopienia zabójcy Lodiego lub zaginionych zabytków.

Ciężarówka zatrzymała się, żeby przepuścić stado kóz. Shan sięgnął do worka i wyciągnął ostatnie dwa jabłka. Rzucił jedno inspektorowi, który zerknął na nie z niechęcią, ale ugryzł kęs. Przełknął go, po czym zaczął odłamywać od jabłka małe kawałki i rzucać je owcom.

W worku było coś jeszcze: płócienna sakiewka, której Shan nie zauważył wcześniej. Wyciągnął ją, rozsupłał sznurek i wyjął z niej zwinięte w rulon czasopismo. Nie, to nie czasopismo, zorientował się, rozprostowawszy lśniąca strony. Był to cienki, może trzydziestostronicowy katalog z ubiegłoroczną datą, zestawienie, w języku angielskim i

chińskim, eksponatów specjalnej, poświęconej Tybetowi wystawy w pekińskim Muzeum Historycznym. Były w nim szczegółowe fotografie i opisy dzieł sztuki. Przy kilku zdjęciach ktoś dopisał czarnym atramentem arabskie cyfry. Shan przewertował broszurkę i mniej więcej w środku katalogu, przy pokrytej polichromią piętnastowiecznej figurce siedzącego Buddy z miseczką na jałmużnę w dłoni, znalazł jedynekę. Dwójka znajdowała się na jednej z ostatnich stron, poświęconej piętnastowiecznemu złożonemu brązowi, posążkowi bóstwa opiekuńczego o dziewięć, pięć głów i trzydziestu czterech ramionach. Trójkę, czwórkę i piątkę umieszczono przy pochodzących z dwunastego wieku thankach z wizerunkami reinkarnowanych łamów w otoczeniu mitycznych zwierząt. Shan policzył szybko pozostałe wpisy. Zaznaczonych zostało ogółem piętnaście obiektów, ostatni był srebrny posążek Tamdina, koniogłowego bóstwa opiekuńczego. Na wewnętrznej, nie zadrukowanej stronie tylnej okładki pojawiły się te same cyfry, obok nich zaś wpisane ręcznie kwoty w dolarach. *Nr 1 - 10 000 \$*, przeczytał. Obok widniała data sprzed trzech lat. Przekartkował katalog jeszcze raz, wolniej, czytając notkę przy każdym z ręcznie ponumerowanych obiektów. Dwunastym był czternastowieczny brązowy posążek bodhisattwy Mańdżuśriego, trzymającego w jednej ręce miecz, a w drugiej kwiaty lotosu.

- Liya chce, żebyśmy odkryli prawdę - powiedział wolno. - Zostawiła nam nie tylko jedzenie, ale i dowody.

Yao spojrział na niego z nachmurzoną miną.

- Co macie na myśli?

Shan podał mu katalog, wskazując jeden po drugim ponumerowane obiekty.

- I co z tego? - Yao wzruszył ramionami. - Ktoś zaznaczył swoje ulubione eksponaty.

- Nie swoje ulubione. Przyjrzyjcie się dobrze. To są te najlepiej wykonane, najstarsze, najcenniejsze. A podane ceny są o wiele za wysokie jak na kopie z muzealnego sklepiku. O wiele za niskie natomiast, żeby oddawały wartość rynkową oryginałów.

- Co to znaczy?

- Spójrzcie na numer dwunasty.

Yao przerzucił parę stron i znieruchomiał, marszcząc brwi. Z ust wyrwało mu się ciche przekleństwo.

- Widzieliśmy to wczoraj, zniszczone - powiedział. - W wiosce rozcinający zwłok.

- Widzieliśmy albo to, albo doskonałą kopię. Nie reprodukcję. Jeśli to nie był oryginał, była to dokładna replika. - Shan wskazał małe znamię na czole. - Jest nawet ta sama plamka śniedzi na barku. To robota prawdziwego artysty.

- Sukinsyny ukradły to.

- Nie - odparł Shan. - Spójrzcie na numer piętnasty, posążek Tamdina. Ten też widzieliśmy. W warsztacie. Ale nie był skończony.

Na twarzy Yao odmalowała się dezorientacja.

- To ta sama rzeźba. Tyle że ta, którą widzieliśmy, była niedokończona. - Pospiesznie przekartkował swój notatnik i odwrócił go ku Shanowi, otwarty na rysunku zniszczonej figurki, którą widzieli poprzedniego dnia. - Lodi ją ukradł, a ci, którzy go zamordowali, zniszczyli ją. - Spojrzał na katalog. - Ale Ming nigdy nie zgłaszał, że ją skradziono.

- Tylko z jednego powodu ktoś mógłby zrobić tak idealną kopię, odtworzyć nawet najdrobniejszą niedoskonałość. Aby duplikat mógł zastąpić oryginał.

- To absurd! - Yao przewertował katalog, zatrzymując się przy każdym z zaznaczonych zdjęć. - Twierdzicie, że każdy z tych przedmiotów został podmieniony? Niemożliwe. Zgłoszono by ich kradzież. Ktoś by to zauważył. - Inspektor, jak spostrzegł Shan, mówił to z coraz mniejszym przekonaniem. Znał już odpowiedź.

- Nie, jeżeli Ming sam to organizował - odparł Shan. - Dyrektor zawsze może zabrać obiekt z ekspozycji. Na przykład, żeby go poddać konserwacji albo jakimś specjalnym badaniom naukowym. Ming i Lodi byli przyjaciółmi - dodał i wyjaśnił, co o ich stosunkach powiedziała mu Liya.

Inspektor westchnął i przez chwilę patrzył przez ramię na góry.

- Ale oryginałów nikt nie mógłby wystawić, nie mógłby ujawnić, że je posiada. I byłyby bezcenne.

- Zgadza się. Trafiły do prywatnego kolekcjonera, dla którego pieniądze nie grają roli. Jako pośrednik Ming mógł się wzbogacić, jeśli sprzedawał je bogatemu kolekcjonerowi. Kolekcjonerowi miliarderowi.

Yao milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie macie żadnego dowodu, że to właśnie Dolan je kupił - powiedział w końcu cichym głosem. - To nie miałyby sensu. Lodi ukradł kolekcję Dolana. Ktoś inny ukradł malowidło Qian Longa.

- Wyjaśniłem dawne przestępstwo - odparł Shan - nie te nowe. Dawne, w którym Lodi i Ming działali jako wspólnicy. Wraz z Elizabeth McDowell - dodał.

Yao znów zatrzymał spojrzenie na owcach.

- Nie wspominałem wam o czymś - powiedział. - W muzeum Minga lada dzień zacznie się inspekcja. Zbiory będą badane przez ekspertów z zewnątrz, którzy przeprowadzą wrywkową kontrolę eksponatów. Z Europy ma przyjechać specjalny sprzęt, aparatura

termoluminescencyjna, dzięki której można zweryfikować wiek obiektów z metalu i ceramiki.

- Gdy spojrział na Shana, w jego oczach widać było skruchę.

- Kiedy zarządzono tę inspekcję?

- Cztery miesiące temu.

Shan sięgnął do worka po suszony ser i trafił na jeszcze jeden ukryty przez Liyę przedmiot: zwinięty w rulon arkusz ryżowego papieru szerokości dwudziestu pięciu centymetrów i długi niemal na pół metra. Była to odbitka z drewnianego klocka, tekst wypisany tłustymi, masywnymi ideogramami, wyblakły po jednej stronie od słońca. Zaskoczony, pokazał go Yao, po czym przeczytał na głos.

Czcigodni poddani Niebiańskiego Cesarstwa, głosił tekst, niech będzie wiadome, że każdy, kto sprowadzi do nas księcia Kwan Li, zaginionego przed ponad sześcioma miesiącami, otrzyma w nagrodę tyle złota, ile sam waży. Ktokolwiek zostanie przyłapany na ukrywaniu jego świętej osoby, dosięgnie go kara powolnej śmierci. Ktokolwiek zna miejsce jego pobytu, a zatai to przed nami, zginie o topora. Obwieszczamy to we wszystkich krainach. Drżycie i bądźcie posłuszni.

U dołu widniała odbita cynobrowym tuszem pieczęć o złożonym rysunku. Shan widział ją już przed laty.

- To pieczęć cesarza Qian Longa - powiedział wolno, z niedowierzaniem.

- Kiepski dowcip Liyi - skwitował Yao.

- Nie wydaje mi się. Można zrobić badania. Niewykluczone, że któryś z tych archeologów z zajazdu mógłby podrobić coś takiego, ale sądzę, że dokument jest autentyczny. Że naprawdę pochodzi z dawnego dworu cesarskiego. Myślę, że Ming ukrywa przed nami wiele tajemnic.

Obaj wpatrywali się w wymienione w obwieszczeniu imię. Kwan Li. Shan widział je na tablicy w sali konferencyjnej. Teraz zauważył coś jeszcze, odręczny dopisek na samym dole, którego przy pierwszej lekturze nie zauważył, bo zasłonił go podwijający się skraj arkusza. *Uśmiercony z rozkazu lamy Kamiennego Smoka, głosiły zapisane wyblakłym tuszem tybetańskie słowa. Niech zwyciężą bogowie.*

Kierowca bez protestów zgodził się zboczyć nieco z trasy, żeby wysadzić ich nie w Lhadrung, lecz pod najdalej na zachód wysuniętą górą z pasma ciągnącego się na wschód od miasta, niemal półtora kilometra od szarych ciężarówek, których obecność zdradzała

położenie nowego terenu pracy więźniów. Tan skierował więźniów do oczyszczania pól w dolinie, pod wysokimi urwiskami. Pół godziny później wszyscy troje wspięli się na górę i szli jej długim grzbietem. Shan znów poczuł zapach palącego się drewna. Tym razem towarzyszyła mu jakaś nowa woń. Kordytu, materiałów wybuchowych. Wziął Dawę na plecy i przyspieszył kroku. W końcu zobaczył przysadzisty domek Fiony. Budynek był nietknięty, lecz na stratowanym poletku Jęczmienia leżały rozrzucone szczątki pieca garncarskiego.

Jak ostatnio, drzwi domku były otwarte. Shan zajrzał go środka i zobaczył Fionę. Staruszka siedziała przy stole w maleńkiej kuchni i układała na kupki barwne okruchy, Shan, podchodząc do niej, spostrzegł, że to skorupy filiżanek, z anka i spodków z porcelanowego serwisu do herbaty.

- Jara mówi, że przyniesie mi jakiś klej z miasta - odezwała się, nie unosząc głowy.

- Przykro mi, Fiono - odrzekł. - Cieszę się, że nic ci się nie stało.

- Nie tknęli naszego *Ivanhoe* - powiedziała ze smutnym uśmiechem, wstając wolno od stołu. - Kazali sobie pokazać stare tybetańskie rzeczy. Zabrali mi kilka pech, wszystkie stare posążki. Chcieli wiedzieć, czy mam jakieś przewodniki dla pielgrzymów. Zobaczyli angielskie książki i pytali, czy Lodi był moim krewnym. To właśnie wtedy wrzucili bombę do mojego pieca.

- Znałaś ich?

- Nie. Było ich dwóch, jeden duży, drugi mały z garbatym nosem.

Shan wyciągnął z kieszeni zbiorowe zdjęcie i pokazał jej mężczyzn stojących po bokach Dolana.

- Tak - mruknęła Fiona. Jej twarz pociemniała. Staruszka wyciągnęła palec i z westchnieniem dotknęła innej postaci na fotografii. Rozpoznała swego siostrzeńca, Lodiego. Po chwili oderwała wzrok od zdjęcia i uśmiechnęła się smutno. - Oni nie wiedzieli, gdzie szukać. - Skinęła na Shana, żeby poszedł z nią do alkowy, gdzie odrzuciła trzy koce, odsłaniając mały stolik, pulpit modlitewny, na jakich rozkłada się do lektury święte pisma. Shan stał bez słowa, zerkając na dwór, gdzie Yao i Dawa bawili się z brązowym psem, i przyglądał się, jak Fiona unosi blat stolika, a następnie wyciąga spod niego dwie stare pechě oraz filcowe zawiniątko. Staruszka odchyliła się w tył i rozwinęła filc na nogach, ukazując sztukę jaskrawożółtego jedwabiu obszytego niebieskim brokatem.

Shan natychmiast zapomniał o Yao i Dawie. Oniemiały, przyklęknął, żeby przyjrzeć się skarbowi Fiony. Była to szata ozdobiona misternym haftem wyobrażającym żurawie, smoki i bażanty.

- Moja rodzina otrzymała ją wiele pokoleń temu jako zapłatę za ceramiczny posążek Buddy.

- Wiesz od kogo? - szepnął Shan, pochylając się, żeby dokładniej obejrzeć symbole na szacie. Między zwierzętami wyhaftowano topory i łuki.

Fiona pokręciła głową.

- Zapomnieliśmy.

Ale Shan i tak wiedział. Nie dotykał zawitych symboli, ale uniósł mankiety, wycięte w kształt końskich kopyt. Zdobiący dolny skraj szaty szlak smoków o pięciu pazurach mówił wszystko. Tylko jeden ród mógł nosić takie smoki. Choć wydawało się to niewiarygodne, strój był darem od kogoś należącego do chińskiej rodziny cesarskiej. Mankiety w kształcie kopyt były w stylu mandzurskim, z czasów dynastii Qing. A w worku od Liyi znajdował się dokument z pieczęcią cesarza Qian Longa z dynastii Qing.

- Jest bardzo piękna - powiedziała Fiona, z powrotem zawijając szatę w filc.

- Tak - wyjąkał Shan. - Czy tamci dwaj intruzi pytali o nią?

- Nie. Pytali, co wiem o pewnym chińskim księciu.

- Jakim księciu?

- Kwan Li - odparła rzeczowo staruszka.

- Dlaczego właśnie o nim? Wzruszyła ramionami.

- Zaginął. Ale udawałam, że nic o nim nie wiem. - Dopiero teraz zauważyła, że ktoś jest na dworze. - Sprowadziłeś przyjaciół? - zapytała. - Zrobię wam herbatę.

- Jedno z nich to ktoś więcej niż przyjaciel - odparł Shan, nagle zawstydzony, że zapomniał, kto czeka. - Wybacz mi. Ona przyszła ci pomóc - mówił właśnie, gdy w drzwiach ukazała się mała, przejęta twarzyczka. - Pomóc swojej ciotecznej babci.

Obejrzał się za siebie. Fiona wstała, z oczyma wzbierającymi łzami, wyciągając przed siebie długie ramiona. Dawa podbiegła do niej i padła jej w objęcia.

Shan wyszedł z domku. Yao wpatrywał się w gliniane tabliczki tsa-tsa, które widział tu podczas swej pierwszej wizyty. Wciąż leżały w rzędzie, ale wszystkie były zmiażdżone, jakby ktoś metodycznie, stopniowo, przenosząc ciężar ciała z pięty na palce, przeszedł po kruchych bóstwach.

Gdy o drugiej po południu Shan i Yao dotarli do zajazdu, Wrzało tam jak w ulu. Wojskowy samochód zabrał ich z głównej szosy, kiedy szli w stronę skrzyżowania. Sierżant za kierownicą jeden z ludzi Tana, z podnieceniem przekazał przez radio, że wracają. Yao, który zachowywał ponure milczenie od czasu ich dyskusji na platformie ciężarówki, raz po raz zerkał na Shana, gdy samochód zbliżał się do kompleksu. Nagle otworzył sakiewkę, którą

ściskał kurczowo przez ostatnią godzinę i oderwał tylną okładkę katalogu, tę z listą uiszczonych lub należnych kwot. Podał ją Shanowi, a następnie wyciągnął ku niemu trzy z sześciu dyskietek, które zabrali z chatki w wiosce, dając mu znak, żeby schował je do kieszeni. Dzielił dowody, przekazując połowę Shanowi.

Dlaczego? zastanawiał się Shan, gdy wjeżdżali na teren kompleksu. Dlaczego inspektor zdecydował się powierzyć mu tak ważne dowody? Wyglądało na to, że nagle Yao zaczął przejmować się Mingiem, może nawet się go obawiać. Inspektor nie zadawał żadnych pytań, kiedy Fiona drugi raz, dokładniej, opowiadała o napaści na swój dom. Ale starannie zanotował jej opis dwóch mężczyzn, którzy to zrobili, małego Chińczyka z garbatym nosem i potężnego Mongoła, który palił słodko pachnące cygara.

Na dziedzińcu pracowało co najmniej trzydzieści osób, jedni przy taczkach, inni przy wiadrach, młotkach lub miotłach. Dwujęzyczny szyld przy bramie, który do niedawna określał kompleks jako Zajazd Lhadrung, został zastąpiony nowym, większym, najwyraźniej świeżo wymalowanym, z dwoma rzędami wysokich na trzydzieści centymetrów ideogramów. *Filia Muzeum Historycznego*, głosił pierwszy, a drugi: *Urząd do spraw Wyznań*.

Gdy sierżant, który ich tu przywiózł, odprowadził Yao do głównego budynku, Shan przystanął w drzwiach i rozejrzał się po dziedzińcu. Widział żołnierzy, ludzi Tana, którzy pilnowali Tybetańczyków pracujących wzdłuż tylnej ściany i na przeciwległym końcu dziedzińca. Dwaj Tybetańczycy i nagi do pasa, potężnie zbudowany żołnierz walili młotami w duży, pogięty kawał metalu. Była to głowa wielkiego posągu Buddy, który wcześniej spoczywał pod tylną ścianą. Żołnierze wbijali dłuta w metal, rozłupując tył głowy. Przy długim, prowizorycznym stole z desek wspartych na kozłach leżała sterta kilkudziesięciu drobniejszych przedmiotów, małych posążków bóstw i oświeconych, jakie zazwyczaj stały na domowych ołtarzykach tybetańskich rodzin. Kilkoro schludnie ubranych Chińczyków i Chinek zdawało się nadzorować pracę około dziesięciu mężczyzn, również Chińczyków, w ciemnoniebieskich roboczych drelichach. Kilku z nich kopało rów pod murem. Nieco zdziwiony Shan przyglądał się robotnikom, gdy nagle zrobiło mu się słabo. Oparł się o ścianę.

Najstarszy z mężczyzn w niebieskich drelichach, krępy człowiek w wieku Shana, usiadł na stole z desek i zabawiał się rzucaniem kamieniami w rząd niedużych ofiar ołtarzowych ustawionych na cembrowinie nieczynnej fontanny, trzy metry od niego. Inny, tykowały młody Chińczyk o przetłuszczonych włosach i z chłodnym, drwiącym uśmiechem na ustach, kręcił się koło Tybetańczyka w średnim wieku, pchającego wyładowane ziemią taczki. Na oczach Shana taczki wymknęły się mężczyźnie z rąk i przewróciły się.

- Pieprzona szarańcza! - warknął młody Chińczyk. Szarańcza. Tak niektórzy Chińczycy obraźliwie mówili o Tybetańczykach, nawiązując do monotonnego brzmienia ich mantr. Chłopak kopnął taczki, a następnie Tybetańczyka. Trafił go w udo. Shan błyskawicznie stanął pomiędzy zmęczonym i wystraszonego Tybetańczykiem a gburowatym Chińczykiem.

- Thuchechey - wyszeptał podziękowanie Tybetańczyk.

Młody Chińczyk ponownie zamachnął się nogą, ale tym razem kopnął ziemię, tak że jej grudki uderzyły Shana w twarz. Gdy Shan się wyprostował, dostrzegł w gniewnych, pustych oczach chłopaka znajomy wyraz. Podobnie jak inni w niebieskich drelichach, był więźniem, uprzywilejowanym więźniem wyznaczonym do pilnowania Tybetańczyków.

Shan oderwał wzrok od gniewnych oczu chłopaka i jeszcze raz rozejrzał się po dziedzińcu. Rozpoznał teraz kilku Tybetańczyków. Widział ich przy czortenie, w ruinach Zhoki. Niektórzy z przybyłych na święto zostali zatrzymani przez żołnierzy. Wpadł jak burza do budynku, nagle zaniepokojony, o czym Yao może rozmawiać z Mingiem.

Inspektor stał w drzwiach wielkiej sali, tej samej, do której wprowadzono Shana ostatnim razem, i patrzył z zakłopotaną miną w głąb pomieszczenia. Ming siedział przy długim stole naprzeciwko wiekowej Tybetanki i mówił coś do niej szorstkim tonem. Na podłodze po drugiej stronie sali, pod okiem dwóch uzbrojonych żołnierzy, siedziało piętnaścioro innych Tybetańczyków. Niektórzy płakali. Niektórzy patrzyli na swoje dłonie, niespokojnie przesuwając paciorki. Nikt z nich nie wydawał się mieć poniżej siedemdziesięciu lat.

Ming skinął Yao głową i machnięciem ręki odprawił kobietę. Trzeci żołnierz, który wyszedł z cienia, odciągnął ją pod ścianę.

Yao usiadł na krześle u szczytu stołu, tam gdzie poprzednim razem siedział Shan, który teraz stanął w ciemnym kącie dwa kroki za jego plecami i oparł się o ścianę. Na sąsiedniej ścianie, wzdłuż stołu, wisiały przypięte pinezkami zdjęcia tybetańskich malowideł przedstawiających rozmaite formy bóstw śmierci. Żadne nie przypominało wizerunku, który Shan widział w chacie pogrzebowej Lodiego. Obok nich przyklejono taśmą arkusze z bloku na stojaku. *Książkę Kwan Li*, informował nagłówek na pierwszym z nich, po czym następował wykaz najważniejszych wydarzeń z jego życia, poczynając od narodzin w roku 1755, zakończony suchym zapisem: *po raz ostatni widziany o dzień jazdy wierzchem na południe od Labrang*. Labrang leżało setki kilometrów na północ od Lhadrung.

- Wysłaliśmy patrol, żeby was odszukać - oznajmił Ming.

- Zgubiliśmy się - odparł cicho Yao.

Ming sprawiał wrażenie rozbawionego tą odpowiedzią. Zerknął na Shana.

- Mimo tak znakomitego przewodnika?

- Dowody zaprowadziły nas o wiele głębiej w góry, niż się spodziewaliśmy - wyjaśnił Yao. - Popsuło nam się radio. - Spojrzał na starych Tybetańczyków. - Co robicie z tymi ludźmi?

Ming zignorował to pytanie.

- Znaleźliście go? - zapytał. - Znaleźliście złodzieja? Yao zawahał się. Poruszył się, jakby chciał obejrzeć się na Shana, ale rozmyślił się i znów utkwiał wzrok w starych Tybetańczykach.

- William Lodi nie żyje - oświadczył wolno.

Ming spojrział niepewnie na inspektora, jak gdyby się zastanawiał, czy mu wierzyć. Właśnie otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle z tyłu, zza drzwi, dobiegły jakieś hałasy - odgłosy potknięć i coś, co brzmiało jak stłumiony szloch, dyrektor skrzywił się i odwrócił ku drzwiom, jakby chciał wstać i podejść do nich, zastygł jednak w pół ruchu i opuścił wzrok na blat stołu, zaciskając mocno szczęki.

- Odzyskaliście zabytki, które miał ze sobą? - zapytał zduszonym głosem.

- Nie - odparł lakonicznie Yao.

- W takim razie Lhadrung okazało się dla was ślepym zaułkiem, inspektorze - stwierdził Ming. - Dla Amerykanina też.

- Bynajmniej - rzekł Yao. - To dowodzi, że jesteśmy we właściwym miejscu. Teraz musimy po prostu znaleźć zabójców Lodiego.

Ming zmarszczył brwi.

- Co zrobiliście z agentem Corbettem? - zapytał inspektora.

- Został w górach.

Dyrektor zerknął oskarżycielsko na Shana.

- Można by to uznać za niedbalstwo.

Yao zignorował tę uwagę. Przyglądał się przerażonym Tybetańczykom.

- Nie rozumiem, co robicie z tymi obywatelami, towarzyszu dyrektorze.

- Pod waszą nieobecność wybrałem się do Lhasy. Byłem w Urzędzie do spraw Wyznań. Bardzo przedsiębiorczy towarzysze. Zdecydowanie nie doceniani w Pekinie. Wyjaśnili mi kilka spraw związanych z Tybetem, których nie rozumiałem. Dowiedziałem się, że stanowisko dyrektora ich urzędu w okręgu Lhadrung jest nieobsadzone.

Shan zeszywniał, znów czując na sobie zimne spojrzenie Minga. Miejscowy wydział Urzędu do spraw Wyznań nie miał szefa, gdyż rok wcześniej on sam dostarczył dowody, za sprawą których postawiono go przed plutonem egzekucyjnym.

- Powiedzieli, że z braku dyrektora ich oficjalnym zwierzchnikiem jest pułkownik Tan. Ale dali mi pismo do zatwierdzenia Przez Tana, przyznające mi tymczasowe uprawnienia dyrektorskie dla potrzeb mojego śledztwa. Shan spostrzegł, że palce Yao zaciskają się na poręczy fotela. Mojego śledztwa.

- Potem nauczyli mnie pewnych technik - dodał Ming. Shan zreflektował się, że robi krok w stronę starych Tybetańczyków. Słowa Minga zatrzymały go w miejscu. Odwrócił się do dyrektora.

- Technik? - powtórzył ze zgrozą.

Ming spojrzał na niego z chłodnym uśmiechem.

- Z pewnością je znacie, towarzyszu. - Wskazał miejsce za stołem. - Usiądźcie, proszę. Zaraz będzie herbata.

Młoda kobieta w mundurze przyniosła na tacy znajome porcelanowe filiżanki z pandą. Shan usiadł przy stole, ściskając oburącz kruche naczynie.

- W Urzędzie do spraw Wyznań uświadomiono mi dwie sprawy - ciągnął Ming. - Po pierwsze, że lokalizacja tybetańskich zabytków nigdy nie jest przypadkowa. Po drugie, że istnieje ustawa o własności państwowej. - Dyrektor wydawał się niezwykle zadowolony, że na twarzach Shana i Yao maluje się dezorientacja. - Zabytek skradziony przez tybetańskich opozycjonistów nie zostałby po prostu ukryty. Ci ludzie są bardzo przywiązani do tradycji, do reakcyjnej kultury łamów, którzy ich niegdyś ciemnieżyli. Ukryliby swój łup zgodnie z ową tradycją, nie w pierwszej lepszej grocie czy sanktuarium, ale w ściśle określonych grotach i sanktuariach, związanych z określonym bóstwem.

- A w jakim sanktuarium złożąliby cesarskie malowidło? - zapytał oschle Yao.

- W tym najważniejszym. W najświętszym miejscu okręgu Lhadrung. - Ming przerwał, zapalił papierosa i wydmuchnął strugę dymu w stronę swoich sędziwych więźniów. Nachylił się do Yao i powiedział ciszej: - Urząd ma wyniki analiz, z których wynika, że dorastanie na tak dużych wysokościach upośledza rozwój mózgu. Oni wszyscy są jak dzieci - dodał, wskazując papierosem starych Tybetańczyków siedzących na podłodze. - Trzeba wiedzieć, jak rozmawiać z dziećmi. - Znow spojrzał na Shana. - Zgadza się, towarzyszu Shan?

- Wspomnieliście o jakiejś ustawie - zauważył sztywno Yao.

- Ustawie o własności państwowej - potwierdził Ming. - T° jedna z podstaw działalności Urzędu do spraw Wyznań. Wszystkie zabytki religijne są własnością państwa. Egzekwowanie tego prawa było w pewnych częściach Tybetu wyraźnie zaniedbywane.

- A ci ludzie? - Shan spojrział na Yao. Inspektor odwrócił się plecami do starych Tybetańczyków, jakby nie chciał ich widzieć.

- To ci, którzy najbardziej gorliwie trzymają się dawnych zwyczajów, toteż mogą coś wiedzieć o starych ukrytych świątyniach. To o wiele skuteczniejsze niż szukanie informacji w przewodnikach dla pielgrzymów. - Ming wstał i z triumfalną miną wyprowadził ich na dziedziniec. - Niestety, ludzie wciąż łamią prawo, zatrzymując zabytkowe przedmioty. Te - wskazał dziesiątki obiektów ołtarzowych na prowizorycznym stole - zostały skonfiskowane w samej tylko dolinie. - Podniósł mały brązowy posążek Buddy Przyszłości i odwróciwszy go do góry nogami, pokazał Yao szczelinę w podstawie. - Przez takie otwory wkłada się do nich różne rzeczy. Wiadomości. Teksty pisane przez mnichów. Niekiedy znajdujemy też wzmianki o górskich sanktuariach. Porównujemy je z informacjami w przewodnikach dla pielgrzymów i szukamy tych, które są wspominane najczęściej. Opracowałem odpowiednią tabelę, a moi asystenci wprowadzają dane do naszych komputerów. - Z wyraźną dumą wskazał ekipę pracującą przy końcu stołu. Mężczyzna w skórzanym fartuchu, grubych rękawicach i maseczce z gazy siedział przy pile tarczowej. Ming podał mu brązowy posążek, a on trącił nogą włącznik. Piła ruszyła z jękiem, mężczyzna z wprawą kilkakrotnie przesunął figurką nad tarczą i podał ją siedzącej obok młodej Chince o krótkich, modnie ostrzyżonych włosach. Dziewczyna cęgami rozchyliła krawędzie cięcia i do stojącego przed nią koszyka wypadło Pół tuzina przedmiotów: kilka zrolowanych pasków papieru związanych suchymi źdźbłami trawy, mała sztabka czarnego metalu, odłamek kości i turkusowy kamień. Z mrozącą krew w żyłach sprawnością dziewczyna wrzuciła kamień, sztabkę i odłamek kości do stojącego przy jej nodze wiadra na śmieci, po czym podała zwitki papieru następnej osobie, siedzącej obok niej szykownie ubranej Tybetance. Tybetanka wyjęła nożyczki chirurgiczne, przecięła źdźbło którym związany był pierwszy zrolowany pasek papieru, i rozwinęła go. Przebiegła go wzrokiem i wrzuciła do kubła po” stołem. Sięgnęła po skrawek materiału i przez chwilę oglądała go pod lupą, w końcu także go wyrzuciła. Zaraz potem młody Chińczyk o przetłuszczonych włosach, którego Shan widział wcześniej przy taczkach, zabrał kubek i zastąpił go innym, pustym. Przez chwilę wyglupiał się, balansując na głowie wiadrem pełnym modlitw, amuletów i zabytków, co rozbawiło jednego ze strażników, którzy leniwie podpierali ścianę, a następnie ruszył na drugą stronę dziedzińca.

Shan z przerażeniem uświadomił sobie, dokąd idzie młody Chińczyk. Zmierzał do stalowej beczki, w której płonął ogień. Po obu jej stronach stało dwóch strażników. Byli bardziej czujni niż pozostali żołnierze. Najwyraźniej zauważyli, jakim wzrokiem tybetańscy więźniowie wpatrują się w beczkę. Niektórzy mieli w oczach gniew, inni strach, jeszcze inni łzy, które spływały im po twarzach.

Shan spojrział na Minga, który właśnie wracał do budynku. Dyrektor muzeum nie niszczył po prostu niewielkich figurek - niszczył ogniska wiary i nadziei licznych rodzin. Wiele posążków ołtarzowych, zwłaszcza tych, które wypełnione były zwitkami z tekstami modlitw i innymi przedmiotami, przekazywano w nich z pokolenia na pokolenie. W beczce płonęły modlitwy dziadków i pradziadków współczesnych Tybetańczyków, więź czci, która łączyła ich z przodkami żyjącymi setki lat wcześniej. W niektórych rodzinach dbano o to, żeby każdy dokładał przynajmniej jedną modlitwę, tajemną modlitwę, którą układał niekiedy całe lata, trując się jak nad dziełem sztuki. Był to ich łańcuch współczucia, nie przerwany przez wieki, szepnęła kiedyś Shanowi pewna staruszka, opowiadając mu o tym zwyczaju, gdy siedzieli przed jej rodzinnym ołtarzem. Nie przerwany aż do teraz, nie przerwany, póki z Pekinu nie przybył dyrektor Ming, prowadzący dziwne poszukiwania cesarskiego malowidła i zaginionego przed dwoma wiekami księcia.

Młody Chińczyk zatrzymał się trzy metry od beczki, postawił wiadro na ziemi i wyjął z niego jeden zwitek z modlitwą-

Uniósł go nad głowę, żeby wszyscy mogli go zobaczyć, i szybkim, błazeńskim ruchem, niczym koszykarz, wrzucił długim jukiem do płonącej beczki. Niektórzy ze strażników zaklaskali. Chłopak powtórzył całe przedstawienie, po czym rozwinął inną rolkę i zaczął wymachiwać niemal metrowej długości papierową wstęgą. Shan ruszył ku niemu, powoli przeciskając się przez gromadzący się tłumek, tymczasem chłopak rozwinął drugi rulonik i machał obydwoma, parodiując tańce ze wstęgami, nieodłączny element chińskich parad.

Shan podszedł do wiadra i podniósł je oburącz, robiąc krok w stronę płonącej beczki, jakby zamierzał pomóc młodemu Chińczykowi.

- Ty! - warknął chłopak. - Stary! Jeszcze nie skończyłem!

Udając zaskoczenie, Shan obrócił się gwałtownie i wypuścił z rąk wiadro, które upadło między siedzącymi trzy metry dalej Tybetańczykami. Jego zawartość wysypała się na ziemię.

Więzień spojrział wściekle na Shana, ale nie odezwał się słowem. Usiłował odgadnąć, z kim ma do czynienia. Shan nie był Tybetańczykiem, nie chodził w szorstkim

ciemnoniebieskim drelichu, jak więźniowie. Ale jeden z obozowych strażników przy beczce najwyraźniej go poznał. W mgnieniu oka znalazł się u jego boku i równie szybko kolbą karabinu uderzył go od tyłu w kolana.

Shan upadł, odruchowo osłaniając rękoma kark. Był to odruch, który nabył podczas lat spędzonych w obozie pracy.

Ale nie spadł na niego żaden cios. Strażnik cofnął się. Młody Chińczyk kontynuował swój błazeński taniec, wymachując wstęgami, kopiając ziemię w stronę Shana, aż wreszcie teatralnym gestem cisnął obie modlitwy w ogień. Gdy Shan uniósł wzrok, zobaczył przed sobą wilgotne od łez oczy jednej z siedzących na ziemi Tybetanek, ściskającej drżącymi palcami Paciorki różańca.

- W niektórych częściach Chin - powiedział cicho w jej JCzyku - ludzie palą modlitwy, żeby trafiły do bóstw.

Kobieta pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno. Shan spostrzegł, że podniosła jeden z rozsypanych zwitków z modlitwami i trzyma go mocno w drugiej ręce. W pobliżu jego dłoni leżał inny. Popchnął go i wsunął pod jej nogę, żeby nie zobaczył go strażnik, który zbierał wysypane z wiadra przedmioty. Wpakowawszy do kubła może dziesięć rolek starych modlitw żołnierz, klnąc, wyprostował się i wrzucił jego zawartość w płomienie.

- Lha gyal lo! - wykrzyknął ktoś ochryple.

- Bzzz - zahuczał w odpowiedzi młody więzień, machając rękoma jak skrzydłami. - Bzzz. Bzzzzzzz - przedrzeźniał Tybetańczyków.

Z drugiego końca głównego budynku dobiegł odgłos otwieranych i zamykanych ciężkich drzwi i przedstawienie się skończyło. Na widok szczupłej postaci o rudych włosach strażnicy i więźniowie umilkli w mgnieniu oka. Elizabeth McDowell, w T-shircie i niebieskich dzinsach, wyszła z cienia z wiadrem i chochlą, kierując się w stronę Tybetańczyków na dziedzińcu. Gniewny młody więzień, zapomniawszy o swojej błazenadzie, gapił się na Angielkę, która szła ze spuszczoną głową. Oczy miała zapuchnięte, wzrok wbity w ziemię. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał, gdy postawiła wiadro wody przed Tybetańczykami, po czym wróciła do środka.

Gdy kobieta odeszła, Shan zauważył, że w głównym wejściu stoi podparty pod boki Yao i mierzy go gniewnym spojrzeniem. Ruszył z powrotem przez dziedziniec.

Ming siedział znów przy stole w wielkiej sali i przesłuchiwał jakiegoś starego mężczyznę. Jeden z żołnierzy filmował przesłuchanie kamerą wideo. Starzec się trząsł. Szlochając, odpowiadał na pytania dyrektora.

- Nie mamy już żadnych skarbów. Nie mamy już żadnych bóstw. - Drżącą dłonią potarł oko. - Czasy bóstw przeminęły.

Nagle Shana ogarnęło tak silne wzburzenie, że poczuł mdłości. Trzymając się za brzuch, wycofał się z sali.

Nikt go nie zatrzymał, gdy wyszedł przez bramę poza kompleks, mijając zaparkowane pod murem pojazdy. Żołnierz Tana, który zabrał Yao i Shana z szosy, sierżant, spał na siedząco, oparty o tylne koło swego wozu. Shan przeszedł suchą, pylistą drogą sto metrów dzielące go od skraju lasu i usadowił się pod kępą szaleju, skąd roztaczał się widok na przeciwległy kraniec doliny. Widział odległe o wiele kilometrów urwiste stoki wspinające się ku Zhoce. Gdzieś tam był Gendun, i Corbett, i Lokesh, a wszystkim im groziło niebezpieczeństwo z powodu kradzieży popełnionych w Pekinie i w Ameryce. Wbił wzrok w ziemię, próbując się uspokoić, próbując choć na chwilę zapomnieć o udręce na twarzach Tybetańczyków aresztowanych za sprawą Minga.

Przyłapał się na tym, że zagłębia palce w ziemię, jakby coś z jego wnętrza szukało punktu zaczepienia. Nie wyciągając ich, znów zamknął oczy. Po długiej, bardzo długiej chwili poczuł ledwie uchwytną woń imbiru sączącą się zza pewnych drzwi, które uchyliły się w jego pamięci. Ze smutnym uśmiechem zgarnął w dłonie po garści piaszczystej ziemi i usypał przed sobą dwa kopczyki. Wyrównał je i zaczął na nich rysować palcem, nie myśląc, pozwalając, by jego ręką kierowała podświadomość, jak uczył go ojciec, gdy zapoznawał go z tą techniką medytacji. Chwilę później przyjrzał się swym rysunkom. Na pierwszym placku ziemi widniała figura przypominająca odwrócone Y z długim ogonkiem wpisane w wielkie U. Na drugim znajdował się bardziej złożony rysunek. W roztargnieniu powiódł po nim palcem.

- Co to oznacza? - usłyszał cichy głos.

Uniósł wzrok i spojrzał w zielone oczy Elizabeth McDowell.

- Nic - odparł. Wyciągnął dłoń, żeby zatrzeć rysunki.

- Proszę, nie. - Angielka uklękła obok niego. Niedawno płakała. - To stare ideogramy. Co one mówią?

- Mój ojciec traktował je jak wiersze - powiedział po chwili Shan. Wskazał odwrócone Y. - Ten oznacza człowieka, a ten - przesunął palcem po U - dół. Człowiek wpadający do dołu. Razem oznaczają nieszczęście. Katastrofę. - Umilkł na chwilę, żeby Angielka mogła się zastanowić nad tym, co powiedział. - Wiem, że Lodi był pani krewnym. Przykro mi. Był jednak także przestępcą.

- Niezupełnie - odparła McDowell. - Miał zbyt wielkie serce. Jak Robin Hood. - Uniósł wzrok. - Przepraszam. Robin Hood to...

- Okradał bogatych i rozdawał biednym. A pani musiała mu pomagać - dodał.

Uśmiechnęła się smutno.

- Jestem tylko konsultantką. Co mówi ten drugi znak? Shan zamazał go i narysował od nowa, rozpoczynając od poziomej linii opatrzonej pośrodku krótką poprzeczką z podobnymi do przecinków kreskami po obu stronach.

- To jest dach, osłona przed wiatrem i deszczem - powiedział. Poniżej nakreślił prostokąt. - Okno pod dachem. - Dodał kreskę przecinającą okno. - Maszt - wyjaśnił, po czym dorysował odchodzący od masztu falisty kształt. - Sztandar. To sztandar, który powiewa zawsze, bez względu na pogodę. Wszystko razem oznacza Absolut.

Angielka z powagą wpatrywała się w rysunek.

- Jeśli chodzi o trzymających się tradycji Tybetańczyków, takich jak ci z wyższych partii gór - rzekł Shan - ludzie z zewnątrz nie potrafią zrozumieć, że oni operują jedynie kategoriami absolutnymi. Nie uznają żadnych półśrodków, żadnych wykrętów, żadnego pożyczania, żadnego jutra. Jest tylko prawda i potrzeba podporządkowania wszystkiego tej prawdzie. Nic więcej się nie liczy. Ani władza polityczna, ani pieniądze, ani elektryczne suszarki do włosów.

McDowell sprawiała wrażenie, jakby odczuła to jako krytykę wobec siebie. Wyprostowała się i jeszcze bardziej posmutniała.

- Nigdy bym nie pomyślała, że Ming jest zdolny do czegoś takiego, że zwiezie tu tych ludzi, splądruje ich ołtarze. Byłam w lecznicy. Gdybym wiedziała, próbowałabym go powstrzymać. Twierdził, że szuka pewnych starych świątyń, to wszystko. Wypytuje ludzi o jakieś symbole bóstw śmierci. On... on ma obsesję.

- On wypruwa modlitwy ze świętych figur - rzekł Shan ponurym głosem - a pani nazywa to obsesją.

McDowell położyła dłoń na drugim ideogramie i wcisnęła ją w ziemię. Podniosła wzrok i spojrzała na Shana.

- Po prostu pozwólmy mu skończyć i odejść. Nikt nie chce, żeby Tybetańczykom stała się krzywda.

- Czy to Ming kazał zabić pani kuzyna? Przypatrzyła mu się uważniej. Nie była zaskoczona, tylko smutna.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy byliśmy przyjaciółmi.

- Byliście współnikami - podsunął Shan. McDowell wzruszyła ramionami.

- Ludzie zajmujący się archeologią i sztuką często dorabiają sobie handlem. Ming i ja znaleźliśmy rynek, Lodi miał dostęp do dzieł sztuki.

- A ci ludzie w górach, ten niski Chińczyk i Mongoł? Też byli waszymi współnikami?

- Nie. - W oczach McDowell znów pojawił się ból. - Ten wysoki nazywa się Khan Mo, ten drugi Lu Chou Fin. Pracują dla tego, kto więcej zapłaci. Za pieniądze zrobiliby wszystko. Ming poznał nas z nimi, ale nie jest ich mocodawcą.

Shan przyjrzał się McDowell. Jej twarz była naznaczona troską.

- Jest ich rywalem - zaryzykował hipotezę. - Ci ludzie szukają tego samego co on i usiłują go ubiec.

- Nigdy bym tak nie pomyślała.

- Dopóki nie zabito Lodiego.

McDowell skinęła głową. Przeciągnęła palcem po ideogramie oznaczającym nieszczęście.

- Dlaczego Ming interesuje się księciem, który zmarł dwieście lat temu? - zapytał Shan.

- Dlatego, że ma obsesję na punkcie władzy i bogactwa. Ale on nie jest mordercą - stwierdziła McDowell. Wstała i odwróciła się gwałtownie.

- Nie, jest tylko bogobójcą - powiedział Shan do jej pleców. Kobieta drgnęła, ale nie odwróciła głowy. Po chwili odeszła w stronę zajazdu.

Gdy Shan, wracając do kompleksu, zbliżył się do samochodów zaparkowanych pod murem, sierżant już nie spał. Siedział na masce swej ciężarówki, paląc papierosa. Na widok Shana skrzywił się, ale nie odszedł.

- Często bywacie w gmachu władz okręgu - zagadnął go Shan. - Widzieliście starego człowieka, który tam żebrał? Ma o a imię Surya.

Żołnierz powoli wydmuchnął kłęb dymu.

- Ten mnich morderca? - zapytał z drwiącym uśmiechem. - Pułkownik Tan się nim zajął. Shan poczuł, że traci oddech.

- Tan się nim zajął?

- Wykopał go z placu. Koniec z żebraniem. - Sierżant zaciągnął się papierosem, z rozbawieniem przyglądając się Shanowi. - Nie miał pracy - powiedział, wypuszczając dym przez nos i usta. - Ludzie przychodzili go oglądać, jakby żebranie było czymś godnym podziwu. Pułkownik wysłał na plac oficera który palnął mówkę o tym, że to forma chuligaństwa.

- Dokąd go zabrano?

- Pułkownik powiedział mu, żeby sobie poszukał pracy w fabryce, jak przystało na porządnego Tybetańczyka. Kazał go wysadzić na drodze do Lhasy, osiem kilometrów na

wschód od miasta. Ale jeden z moich ludzi mówi, że znowu go widział w mieście. Siedział ze zbieraczami gówna. Jeśli ten Ming znów będzie zgarniać staruchów, jego też zabierze. - Ospale odwrócił głowę w stronę bramy kompleksu, z której wyjeżdżała właśnie z rykiem ciężarówka. Na jej drzwiach widniał napis *404. Ludowa Brygada Budowlana*, na platformie tłoczyli się Tybetańczycy. - Uprzywilejowani nocują tutaj - rzucił sierżant. - Po obiedzie zamkną ich w stajni.

Shan spojrzał na niego zdziwiony.

- Uprzywilejowani?

- To dzikus. Ostrzegli nas, kiedy go tu przywieźli. Powiedzieli, że w zeszłym tygodniu rzucił się z łopatą na strażnika. Uratowaliście go przed dyscyplinarką.

- O kim mówicie?

Żołnierz pokręcił głową i westchnął, najwyraźniej zdumiony tępotą Shana.

- O waszym synu, gamoniu. - Wskazał kciukiem przez ramię, na dziedziniec.

Shan, z bijącym sercem, cofnął się o krok i pognął przez bramę.

Mężczyźni w niebieskich drelichach siedzieli w otwartej szopie naprzeciw głównego budynku. Jedli garściami gotowany na parze ryż, który przyniesiono im w wiadrze. Jeden ze strażników obserwował ich ze stołka pod ścianą. Shan zwolnił kroku, wypatrując najdrobniejszych postaci, szukając wśród nich zmalretowanego wystraszonego nastolatka z blizną na podbródku, pamiątką po upadku na oblodzonej ulicy, gdy był janałym chłopcem.

- Shan Ko! - zagrzemiał ochryply głos za plecami Shana. Sierżant szedł za nim.

Nikt w szopie się nie poruszył.

Sierżant podszedł bliżej, kładąc dłoń na pałce.

- Tygrys Ko! - wrzasnął.

Jeden ze starszych więźniów został odepchnięty na bok i z cienia wyszedł jakiś chłopak. Ale nie był to jego syn. To był gbur, który szydził z Tybetańczyków.

Sierżant pociągnął więźnia za rękaw i wyprowadził go na jasny dziedziniec.

- Poznaj swojego tatusia - powiedział rozbawiony. Strażnik na stołku parsknął śmiechem.

- Ten staruch moim ojcem? - warknął chłopak. - Pieprzysz. Mój ojciec jest szefem potężnego gangu. - Odwrócił się nieco ku pozostałym więźniom. - Żaden żołnierz mu nie podskoczy.

Sierżant spojrzał na Shana, szczerząc zęby w uśmiechu. Strażnik wstał ze stołka i zbliżył się do nich. Zapewne spodziewał się jeszcze większej rozrywki.

Shan miał wrażenie, że lodowata pięść ścisnęła mu wnętrzności. Na podbródku więźnia widać było lekki cień. Mała blizna w miejscu, którym uderzył o lód. Shan stał jak sparaliżowany, prawie nie słyszał śmiechu, jedynie czuł na sobie nienawistne spojrzenie młodego więźnia.

- Cao ni ma! Pieprzę twoją matkę! - rzucił sierżantowi chłopak i cofnął się w cień szopy.

Trzymając się za brzuch, Shan ruszył chwiejnym krokiem ku głównemu budynkowi. W holu wejściowym przystanął, żeby się uspokoić. Stopniowo do jego świadomości zaczął docierać donośny głos dobiegający z wielkiej sali.

Głos należał do Minga, prowadzącego połączone z obiadem zebranie swoich wymuskanych asystentów. Na dalszym końcu stołu stały kopiaiste miski smażonego ryżu, kurczaka z warzawami, smażonej wieprzowiny i paru innych potraw. Dokoła siedzieli asystenci Minga, jedząc i obserwując dyrektora, który stał przy stojaku w kącie sali i pisał coś na wielkim arkuszu. Yao siedział przy drzwiach, z talerzem na kolanach. Po starych Tybetańczykach nie został już ślad. Jedyne dowody na to, że tu byli, stanowiły cztery kasety wideo leżące na krześle przy drzwiach.

- Przełom! - obwieszczał właśnie Ming, gdy Shan wszedł do sali, po czym zaczął wyjaśniać, że zapiski odkryte w starych figurkach ołtarzowych dostarczyły ważnych wskazówek, które pozwolą im schwytać od tak dawno poszukiwanych przestępców. Oświadczył, że zamierza zadzwonić z tą nowiną do Pekinu, a następnie oddał głos poważnej młodej Chince, którą Shan widział na dziedzińcu, gdzie wyłuskiwała z posążków teksty modlitw.

Yao skinął na Shana, żeby poczęstował się jedzeniem, ale on nie miał apetytu i usiadł na krześle przy kasetach wideo. Zgromadzeni oklaskali Minga, który zniknął za drzwiami w głębi pomieszczenia, i poważna młoda kobieta zaczęła omawiać rezultaty czegoś, co określiła jako pozyskiwanie reakcyjnych zapisków. Dzięki opracowanej przez Minga tabeli, mówiła, można było zbadać częstość występowania nazw w znaleziskach, co pozwoliło wytypować kilka potencjalnych nielegalnych składowisk majątku państwowego ukrytego przez klasę mnichów, która niegdyś rządziła tym krajem, gdyż jak powszechnie wiadomo, mnisi zawsze zatrzymywali bogactwa ludu dla siebie. W zapiskach najczęściej wymieniano miejsca zwane Świetlistą Grotą, Cudowną Grotą, Grotą Niedźwiedzi oraz Grotą Tronu Lamy, które należało teraz powiązać z jaskiniami w górach na południu i na wschodzie od Lhadrung. Zapiski nie określały dokładnie ich położenia, ale zawierały wzmianki o charakterystycznych elementach krajobrazu - jak na przykład szczyty w kształcie iglic - które, przy pomocy żołnierzy Armii

Ludowo-Wyzwoleńczej, bez wątpienia zostaną odnalezione, zapewniła słuchaczy prelegentka.

Shan wstał i wymknął się z sali. Na dziedzińcu przystanął i czując, że wypełnia go zimna, bolesna pustka, popatrzył na więźniów, a następnie znów wyszedł przez bramę i zapuścił się między drzewa. Po pięćdziesięciu krokach odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie, po czym usiadł próbując zrozumieć, dlaczego spotkanie z synem wytworzyło w nim tę próżnię. Nie znalazł wyjaśnienia i odsunął od siebie to uczucie, przypominając sobie, że Tybetańczycy z gór wciąż go potrzebują. Wyciągnął zza pazuchy kasetę wideo. Nietrudno było ją zabrać z góry stosu, gdy wszyscy byli wpatrzeni w przemawiającą kobietę. Uderzył kasetą o skałę, a gdy rozpadła się obudowa, rozwinął i wyrwał taśmę. Małym płaskim kamieniem wygrzebał w ziemi płytki dołek i złożony w nim szczątki kasety, zasypał je ziemią.

- Wszystko widziałem - dźgnął go nagle w plecy chrypliwy, surowy głos. Shan przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie, po czym wolno uniósł wzrok ku Yao, który stał oparty o najbliższe drzewo. - Zniszczenie nagranej przez Minga kasety dowodowej. Umyślne rozsypanie starych modlitw, żeby Tybetańczycy mogli je odzyskać. Ming dostałby szafu. - Yao patrzył na ziemię pokrywającą kasetę z mieszaniną rozbawienia i gniewu. - Zaczynam rozumieć, jakie to błędy przerwały waszą karierę, towarzyszu naczelny inspektorze.

Shan gwałtownie odwrócił głowę w jego stronę.

- Dziś po południu przeczytałem jeszcze raz wasze akta, tym razem w całości - ciągnął Yao. - Wzorowy pracownik ministerstwa. Proponowano wam członkostwo Partii, ale nie przyjęliście go. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś odrzucił taki zaszczyt. Równie dobrze mogliście sobie strzelić w łeb.

- Wtedy to wcale nie wyglądało na zaszczyt - odparł Shan. - Prowadziłem dochodzenie w sprawie o korupcję przeciwko wysokiemu dygnitarzowi partyjnemu. Zorganizował to, kiedy pisałem raport.

Z ust Yao wyrwał się suchy śmiech.

- Dorwaliście tego człowieka?

- Ministerstwo Sprawiedliwości uznało za stosowne nie wnosić oskarżenia.

- A teraz zaczynacie wszystko od nowa - stwierdził Yao, wzruszając ramionami. Zrobił krok w stronę Shana. - Musicie zrozumieć, że postępowanie Minga jest słuszne. - Zagłębił but w luźną ziemię i odgarnął ją, odsłaniając kasetę. - Wytwory kultury, które bada, są własnością państwową. Masowe przesłuchanie jest bardzo skuteczną metodą postępowania w kontaktach z miejscową ludnością, odniósł roztrzaskaną, oblepioną ziemią kasetę, spojrzął

z ukosa na Shana, po czym używając jej jak łopaty, powiększył dołek. Gdy skończył, wstał, wyciągnął z marynarki pozostałe trzy kasety i wrzucił je do niego wraz z pierwszą. Zasypał je zgarniając nogą ziemię.

- Tyle tylko, że on jest nadgorliwy - powiedział. - Uważam, że to niesmaczne. Żeby filmować płaczących starców z żołnierzem stojącym im nad głową... Nie życzę sobie takich dowodów w sprawach, które prowadzę. - Jego twarz stwardniała, gdy spojrzał znów na Shana. - Spróbujcie czegoś takiego jeszcze raz, a wrócicie za druty i zostaniecie tak zagrzebani w systemie lao gai, że nikt was nigdy nie znajdzie. - Ubił nogą ziemię. - To, co ja zrobiłem, było po prostu wykorzystaniem moich oficjalnych uprawnień. To, co wy zrobiliście, było przestępstwem przeciwko państwu.

Gdy Shan i Yao wrócili do sali, Ming znów brylował. Przystanęli na chwilę w drzwiach, słuchając, jak dyrektor wyjaśnia, dlaczego wedle niego jedna z wytypowanych jaskiń powinna znajdować się na wysokiej górze o kwadratowym zarysie, a jej wylot zwrócony jest najpewniej na zachód. Jakiś oficer drewnianym wskaźnikiem pokazywał na przypiętej pinezkami do ściany mapie topograficznej, gdzie ta jaskinia może być.

Shan zrobił krok naprzód, żeby przyjrzeć się mapie, ale Yao odciągnął go na korytarz. Przeszli w milczeniu przez mniejsze drzwi na końcu holu wejściowego i znaleźli się w długim korytarzu z kilkorgiem drzwi. Minęli pusty gabinet z biurkiem zasłanym papierami. Zza drugich drzwi, zamkniętych, dochodziły kuchenne zapachy i odgłosy. Trzy następne miały numery, jak pokoje hotelowe. W jednym z nich tęga starsza Chinka ścieliła łóżko. Yao otworzył ostatnie drzwi i gestem zaprosił Shana do środka. Po raz ostatni rzucił okiem na korytarz, po czym zamknął drzwi i włączył jaskrawą lampę pod sufitem.

Wysoki pokój wyglądał jak kapliczka. Ścianę naprzeciw drzwi pokrywała stara cedrowa boazeria. Pozostałe również były obite deskami, ale pomalowanymi żółtą farbą. Na jednej ze ścian, w otoczeniu portretów dygnitarzy partyjnych, wisiała czerwona flaga z dużą żółtą gwiazdą i czterema mniejszymi ułożonymi w łuk w lewym górnym rogu. Większą część pomieszczenia zajmował długi na trzy metry stół z laminowanym blatem. Yao podszedł spiesznie do drugiego końca stołu, gdzie leżał laptop, włączył go i niecierpliwie poklepując obudowę, czekał, aż komputer zaskartuje. Po chwili włożył do stacji jedną z dyskietek Liyi. Na ekranie pojawiło się logo Muzeum Historycznego, a po nim znajomy tytuł. Kolejny przewodnik dla pielgrzymów.

Szybko przejrzeni pozostałe dyskietki, włącznie z dwiema, które Yao oddał Shanowi. Na trzech z nich nagrane były kolejne przewodniki dla pielgrzymów oraz plik z wynikami wyszukiwania danych. Ktoś szukał prawidłowości w odwołaniach do pewnych

powtarzających się tybetańskich nazw: Dom Puk, Zetrul Puk, Kuden Puk, Woser Puk. Grota Niedźwiedzi, Cudowna Grota, Grota Tronu Lamy, Świetlista Grota. Jak można się było spodziewać, poszukiwania wykazały, że nazwy te pojawiały się wielokrotnie, w odniesieniu do miejsc rozsianych po całym obszarze dawnego Tybetu. Ale Mingowi udało się już przyporządkować je obiektom położonym w najbliższej okolicy. Na czwartej dyskietce znajdował się wykaz transakcji. Yao spojrzął na stojące za laptopem małe pudełko dyskietek z nalepką z nazwiskiem Minga. Zerknął na drzwi, otworzył pudełko i włożył do komputera pierwszą z dyskietek.

Na ekranie pojawiła się nowa plansza: wielki napis *Nei Lou* na tle chińskiej flagi. Tajemnica państwowa. Po chwili ukazał się nagłówek *Projekt Amban*, a pod nim krótka biografia księcia Kwan Li. Książę był siostrzeńcem cesarza i bezwzględny wodzem, który zdobył sławę, walcząc zwycięsko na zachodnich rubieżach, gdzie cesarstwo wciąż jeszcze usiłowało podporządkować sobie muzułmanów. W nagrodę za swe dokonania wojskowe został mianowany ambanem, cesarskim ambasadorem w Tybecie. Po życiorysie następował szereg protokołów z zebrań sprzed kilku lat.

Skład grupy roboczej oraz jej nazwa sugerowały, że chodzi o priorytetowe przedsięwzięcie państwowe. Shan wskazał listę członków grupy u dołu notatki. Były to same chińskie nazwiska, przy większości wymieniono stanowisko służbowe, wysokiej rangi funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, liczący się urzędnik z sekretariatu Partii, pracownik Urzędu do spraw Wyznań, minister kultury, dyrektor Ludowej Biblioteki Narodowej, główny kustosz Muzeum Zakazanego Miasta, profesor historii z Uniwersytetu Pekińskiego.

- Planowali nową kampanię propagandową opartą na doświadczeniach historycznych - zauważył Yao, przebiegając wzrokiem ekran. Zerknął na Shana. Jednym z osobliwych przeżytków epoki Mao było to, że od czasu do czasu obwoływano kogoś nowego, często jakąś zmarłą już postać, bohaterem narodowym, by jej życie świadczyło o słuszności myśli socjalistycznej. - Uhonorowanie bohaterskiego siostrzeńca umiłowanego przez wszystkich cesarza. Jest tu mowa o tym, że miał on wrócić z Lhasy do Pekinu na uroczystości urządzone dla uczczenia długiego panowania cesarza Qian Longa i ogłoszenia następcy tronu. Ale zaginął w drodze z Tybetu. Źródła historyczne podawały rozmaite wersje tego, co się z nim stało. Komisja ustaliła, że przerwał podróż, żeby rozstrzygnąć zbrojny spór między dwoma rodami, który zbierał straszliwe żniwo wśród miejscowych chłopów, i został zabity, ponosząc najwyższą ofiarę w służbie uciemiężonym.

Inspektor w milczeniu przewinął kilka stron, po czym uniósł wzrok i wzruszył ramionami. Wszystko to wyglądało na zwykły zapis pekińskiej procedury wyniesienia na ołtarze nowego ludowego świętego. Co roku odkrywano jednego albo dwóch takich herosów. Poświęcano im kilka książek, dygnitarzom partyjnym polecano, żeby wspominali o nich w przemówieniach, niekiedy zamawiano pomnik nowego bohatera, wprowadzano odpowiednie ustępy do podręczników szkolnych.

- To zwykle śmieci - stwierdził Yao. - W końcu zrezygnowali z ambana i wybrali innego bohatera, lepiej odpowiadającego aktualnym wytycznym.

- Tyle tylko, że Ming, chociaż nie należał do grupy roboczej, postanowił nagle zebrać wszystkie akta, nawet tajne. Dwa miesiące temu. - Shan wskazał datę u dołu pliku. - Trzy dni po kradzieży.

Inspektor bez słowa wpatrywał się w ekran.

- Nie widzę w tym sensu. Nawet jeśli on naprawdę kupuje falsyfikaty od Lodiego i sprzedaje oryginały takim ludziom jak Dolan, nie ma to żadnego związku z ambanem.

- Powiązaniem jest cesarz Qian Long - oświadczył Shan.

Gdy Yao włożył następną dyskietkę, na ekranie nie ukazał się tekst pisany komputerową czcionką, ale zeskanowany stary dokument, zapewne list, eleganckie chińskie ideogramy na pergaminowym zwoju. Yao zaczął czytać na głos:

- „Synu Niebios, wielbiony przez wszystkie narody”. - Mruknął zirytowany, potykając się na starych ideogramach, po czym przewinął obraz. U dołu strony widniał muzealny numer katalogowy. Dokument pochodził z pekińskich archiwów Minga. Po nim ukazał się kolejny list, i jeszcze jeden, wszystkie z tym samym kwiecistym pozdrowieniem. Listów było dziesięć, każdy z jasną cynobrową plamą, śladem po woskowej pieczęci.

Następne cztery pliki także zawierały listy, ogółem czterdzieści, wszystkie pisane tą samą ręką, wszystkie z tym samym nagłówkiem, wszystkie z muzealnymi numerami katalogowymi. Na kolejnych czterech dyskietkach każdy z listów został przetworzony na font komputerowy. We wszystkich powtarzał się ten sam schemat: rozpoczynały się sztywnym, oficjalnym językiem, przekazywano w nich informacje o ruchach oddziałów, pogłoski o obcych agentach, nowiny na temat prac polowych, karawan i pogody. Większość kończyła się wyrazami sympatii, niektóre wierszem, inne małymi rysunkami tuszem przedstawiającymi rząd obrzędowych kapeluszy używanych w buddyjskich rytuałach, profil jaka, pałac Potala w Lhasie, Himalaje widziane od północy, starą, pomarszczoną dłoń ze sznurem paciorków modlitewnych. Były to prymitywne szkice, ale odznaczały się prostotą i wdziękiem.

Nagle Yao aż sapnął. Shan pochylił się i spojrzał tam, gdzie wskazywał palec inspektora, na pole, gdzie na innych listach Pojawiał się muzealny numer katalogowy. Tu, wyjątkowo, informacje były bogatsze. *Cesarska Kolekcja Ching*, głosił podpis, *osobista korespondencja cesarza Qian Longa*. Ming potajemnie studiował listy, które przed ponad dwustu laty siostrzeniec Qian Longa wysyłał do swego cesarskiego wuja.

- Musimy przeczytać te listy - stwierdził Shan. - Być może w nich kryje się odpowiedź, brakujące ogniwo.

Nie ma na to czasu - zaprotestował Yao. Uderzał palcem w klawisz, wywołując kolejne listy, aż dotarł do ostatniego zapisanego na dyskietce zaledwie przed trzema tygodniami. Zaklął pod nosem. Ostatni dokument, ale tylko ostatni, został zakodowany. Nie mogli go odczytać.

Shan podbiegł do szafki w głębi pokoju i pospiesznie zaczął przetrząsać jej szuflady. Z trzeciej wyciągnął dyskietkę leżącą luzem między ołówkami i spinaczami do papieru. Wyjął dyskietkę z komputera i schował ją do kieszeni, a do pudełka zamiast niej włożył tę, którą znalazł w szufladzie.

Yao sięgnął po swój notes. Gdy zajął się pisaniem, Shan podszedł do drugiego komputera, podłączonego do linii telefonicznej, i zaczął stukać w klawisze. Chwilę później nieco zdziwiony zobaczył, że na ekranie ukazała się czerwono-biało-granatowe logo, a pod nim parę linii tekstu.

- Co wyście zrobili?! - usłyszał za sobą jęk Yao.

- Corbett dał mi swój kod dostępu. Prosił, żebym przesłał parę pytań do jego zespołu. - Na ekranie pojawił się wielki napis: *Federalne Biuro Śledcze*. Połączył się z wewnętrzną siecią FBI.

- Na jaki temat? - zapytał ostro inspektor.

- Na temat Lodiego. Na temat Dolana.

- Jeśli to zrobicie, popelnicie przestępstwo.

- Nie według chińskiego prawa.

- On może stracić pracę.

- Co oznacza, że uznał te pytania za ważne. - Shan wprowadził kolejny kod, wywołując skrzynkę pocztową Corbetta.

- Co to za pytania? - drążył Yao.

Shan nie musiał zaglądać do listy, którą dał mu Amerykanin. Nauczył się jej na pamięć. Zgodnie ze wskazówkami Corbetta wprowadził nazwisko Bailey, po czym zaczął pisać:

Kiedy Dolan był w Chinach w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Co łączy Dolana z dyrektorem Mingiem z Muzeum Historycznego i z Williamem Lodim? Jaki był cel wyprawy, na którą Dolan wyruszył z Mingiem w Chinach? Czy Dolan prowadził interesy z Elizabeth McDowell, obywatelką Wielkiej Brytanii?

- Dolan jest ofiarą przestępstwa - zauważył Yao.

Shan przestał wpisywać pytania i przyjrzał mu się uważnie.

- Dolan - powiedział wolno - jest przyjacielem Minga i McDowell. - Pokazał inspektorowi zdjęcia, które znalazł w rzeczach Lodiego.

- Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej?

- Dlatego, że nie chciałem was stawiać w niezręcznej sytuacji.

- To nonsens. Pracuję dla Rady Ministrów.

- A jeśli Dolan odkrył, że Ming i Lodi zorganizowali kradzież jego kolekcji? Jeśli poprosił Radę Ministrów, żeby wysłała was do Lhadrung, by wywrzeć nacisk na Minga i Lodiego?

- Niemożliwe.

- Dolan jest poważnym mecenasem chińskiej kultury. I znaczącym inwestorem zagranicznym.

Gniewne spojrzenie inspektora złagodniało. Zerknął przez ramię na pudełko dyskietek Minga.

Shan znów pochylił się nad klawiaturą. Wprowadzał nowe pytania i polecenia, nie ujęte na liście Corbetta: *Sprawdzić, czy Elizabeth McDowell leciała kiedyś z Seattle jednym samolotem z Williamem Lodim. Czy bilet na przelot Lodiego z Pekinu do Lhasy został zarezerwowany z wyprzedzeniem? Odszukać opublikowane w prasie fotografie kolekcji sztuki tybetańskiej Dolana. Dowiedzieć się, jaki był cel ekspedycji muzeum Minga do Mongolii Wewnętrznej.*

Nagle uświadomił sobie, że Yao znów zagląda mu przez ramię.

- Sprawdzić kwoty dotacji Dolana na rzecz muzeum Minga w Pekinie - dodał z powagą inspektor. - Dostarczyć wykaz wszelkich rozmów telefonicznych między Dolanem a Pekinem w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Przesłać dane paszportowe...

Urwał, gdy nagle otworzyły się drzwi. Stał w nich dyrektor Ming i przyglądał im się badawczo.

- Szkoda, że wyszliście - powiedział. - Dowiedzielibyście się czegoś o waszych złodziejach.

Shan skończył pisać, wcisnął klawisz „Wyślij” i wyłączył komputer.

- Przepraszam, towarzyszu dyrektorze - odparł spokojnie Yao. - To nam przypomniało lekcje historii.

Ming okrążył stół i przystanął przed ciemnym już ekranem komputera.

- Chcę, żebyście przyłączyli się do zespołów, które ruszają jutro w góry, inspektorze. Wojsko określiło strefy poszukiwań.

- Przyjechałem tu szukać złodziei - oświadczył Yao.

- Otóż to. Złodziej zabrał skradzione dzieła sztuki w góry i zginął z rąk tybetańskich reakcjonistów, którzy ukryli je w jednym z tajnych starych sanktuariów.

- Zrewidowaliście swoją teorię - zauważył Yao.

- Trzeba być elastycznym.

- Wysyłanie waszych... - inspektor przez chwilę szukał odpowiednich słów - pracowników naukowych w góry może być niebezpieczne. Lepiej byłoby zaczekać.

Ming przez dłuższą chwilę bez słowa patrzył mu w oczy, wreszcie wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nie możemy już dłużej czekać. Sprawa zrobiła się pilna. Odkryliśmy, że w Lhadrung jest długa tradycja kradzieży dzieł sztuki, zabijania ludzi dla sztuki. - Zrobił krok w stronę drzwi, przystanął i odwrócił się. - Między innymi dlatego zapewniliśmy sobie współpracę wojska. Zostaliście przydzieleni do jednego z zespołów. Obaj. - Umilkł i ruszył do wyjścia. W drzwiach znów się odwrócił. - Przygotujcie się na wielkie wydarzenia - rzucił na odchodnym.

Pół minuty później Shan i Yao stali w półmroku na końcu korytarza, tam gdzie wychodził na kamienny mur otaczający kompleks. Na zewnątrz prowadziły stare drzwi z desek. Shan położył dłoń na zasuwie i nagle zastygł w bezruchu. Zza innych starych drzwi, zamkniętych belką osadzoną w dwóch metalowych wspornikach, dobiegł ich jakby jęk. Yao uniósł belkę i uchylił je. Z ciemnego pomieszczenia za nimi buchnęła drażniąca woń amoniaku i mydła. Gdy tylko inspektor puścił drzwi, otworzyły się na oścież pod naporem bezwładnego ramienia opartego o nie od wewnątrz. Należąca do niego dłoń, która upadła u ich stóp, była umazana świeżą krwią. Yao uskokzył przed nią. Shan uklęknął i dotknął ręki. Była ciepła. Wyczuł silny puls. Popchnął drzwi pod ścianę korytarza, wpuszczając do pomieszczenia blade światło. Była to dawna cela medytacyjna w której urządzono schowek dla sprzętaczki. Stał w nim regał pełen środków czyszczących oraz rzędy szczotek, mopów i

wiader. W środku, na stercie zbutwiałych szmat, zjedną nogą na wiadrze, bezwładnie leżał jakiś Tybetańczyk. Twarz miał opuchniętą i posiniaczoną, z kilku drobnych ranek sączyła się krew. Shan sądził, że mężczyzna jest nieprzytomny, ale po chwili jego dłoń lekko drgnęła. Brakowało przy niej dwóch palców.

- Tashi, to ja, Shan - powiedział, pochylając się nad pobitym.

Donosiciel poruszył się i pokiwał głową, mrużąc oczy z bólu.

- Proszę, nie! - krzyknął.

- To ja. Nie skrzywdzę cię. - Shan podniósł jedną ze szmat i delikatnie otarł krew z twarzy donosiciela. - Kto ci to zrobił? Co chciał wiedzieć?

- Kiedy poszedłeś, ten stary, który był z tobą w górach... - wystękał Tashi. - Lokesh... Rozmawialiśmy z nim o dawnych zwyczajach, o moim życiu. Kazał mi powiedzieć matce, że w górach są mnisi. - Podźwignął się i oparł o ścianę.

- Ming ci to zrobił?

- A teraz ona nie pozwala mi mówić im nic o Zhoce. - Krew spływała mu po policzku.

- O czym nie możesz mu powiedzieć? - zapytał Shan.

- Pytał mnie o Pana Śmierci, tak jak każdego. Ale ja nic o tym nie wiem. Potem kazał wszystkim innym wyjść z pokoju i zapytał o Buddę z Gór. Powiedział, że może ze mnie zrobić bogacza.

- O Buddę z Gór?

Tashi uśmiechnął się z wysiłkiem. Wziął szmatę od Shana i otarł sobie twarz.

- Matka wspominała mi o tym. To złoty Budda ze Zhoki, który mieszkał w Nyen Puk.

Nyen Puk. Jaskinia Boga Gór. Nazwa, którą Lodi napisał, a Surya zamazał. Podczas gdy Shan przyglądał się donosicielowi, Yao wpadł do jednego z pomieszczeń przy korytarzu i wrócił chwilę później z butelką wody. Tashi wypił ją łapczywie, po czym wstał, trzymając się futryny drzwi, i wyszedł na korytarz.

- Muszę coś zrobić, żeby mnie posłuchali - ciągnął. - Oni myślą, że kłamię dla Chińczyków. Ja nigdy nie kłamię. Dzięki temu żyję. To nie jest właściwa pora. Powinni go ukryć z powrotem zakopać go w ziemi. Moja matka tak się cieszyła gdy usłyszała, że oczy złotego Buddy znów są otwarte. - Tashi zacisnął powieki, odetchnął głęboko i spojrzał żałośnie na Shana. - W górach myślą, że on ich ochroni. Ten stary lama który pojawił się w Zhoce, mówi, że dzięki jego pomocy oswobodzą wszystkich więźniów z brygady budowlanej. Oni nic nie rozumieją - powiedział znużony. - Ale kiedy przyjeżdżają ci z Pekinu, świat się zmienia. Nic dla nich nie znaczy, że giną ludzie. Ten cały Ming najbardziej ze wszystkiego chce przesłuchać umarłych.

Nie powiedziawszy nic więcej, rzucił się między Shana i Yao, pchnął drzwi i zniknął w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Mówił tak, jakby chodziło o jakiegoś potwora, który zszedł z gór - stwierdził prowadzący samochód Yao, gdy o bladym świetle jechali w stronę miasta. - Budda z Gór. Co to za jeden?

- Nie wiem - przyznał Shan. - Nigdy o nim nie słyszałem. - Tashi na pewno się przesłyszał, powtarzał sobie w myślach, albo tym razem coś pokręcił. Niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł uwierzyć, iż zdoła oswobodzić więźniów.

- Ming bije Tashiego, żeby dowiedzieć się czegoś na ten temat, a kiedy Tashi, główny donosiciel Tana, po raz pierwszy w życiu nie chce nic mówić, Ming uznaje, że musi pilnie wracać w góry - powiedział inspektor, który niemal całą drogę milczał, trwając w ponurej zadumie, która opadła go po ucieczce Tashiego.

Poprzedniego wieczoru Yao zaprowadził Shana do pokoju, w którym sypiał, i nie odzywając się ani słowem, przez pół godziny pisał coś w swoim notesie, aż wreszcie rzucił mu na podłogę koc i poduszkę. Shan wiedział, że inspektor nie zamartwia się niezrozumiałymi wynikami swojego śledztwa, ale niezrozumiała polityką. Yao przyjechał do Lhadrung, żeby we współpracy z Mingiem kierować dochodzeniem. Tymczasem Ming przejął środki, którymi Yao miał prawo się posłużyć, komunikował się w sprawie śledztwa bezpośrednio z najwyższymi władzami, a nawet uzyskał w Lhasie nowe, samodzielne uprawnienia. Dyrektor muzeum przejął inicjatywę polityczną w dziwnej grze, którą toczyli.

W środku nocy Shan próbował wymknąć się z pokoju, lecz Bdy otworzył drzwi, Yao chwycił go za ramię i wciągnął go zpowrotem.

- To wcale nie koniec - powiedział. - To, że Mingowi chodzi o co innego niż mnie, nic nie znaczy. Dostanę to, po co przyjechałem. - Sprawiał wrażenie, jak gdyby spierał się sam ze sobą.

- Jeden z moich nauczycieli - odrzekł Shan - mówił mi że silne duchy muszą ostrożnie podchodzić do prawdy, której poszukują, bo ta prawda może zacząć szukać ich samych.

- Co chcecie przez to powiedzieć? Shan wyjrzał na nie oświetlony korytarz.

- Kiedy stawka robi się odpowiednio wysoka, ktoś może uznać, że nawet najwyższej postawiony śledczy nie jest niezastąpiony.

Yao rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Myślicie, że się boję? - zapytał.

- To ja boję się o was. Inspektorowi zwęziły się oczy.

- Czasem odnoszę wrażenie, że jesteście po prostu zwykłym politrukiem. Tyle że u Tybetańczyków.

Shan zapatrzył się w ciemność. Yao puścił jego ramię.

- Wciąż potrzebuję przewodnika - powiedział.

- Nie zgadzam się.

- W takim razie potrzebuję pomocnika - odparł Yao.

- W jakim celu?

- Żeby schwytać złodzieja.

- Więc jesteście głupcem. Jeśli będziecie trwać w przekonaniu, że chodzi tylko o kradzież dzieł sztuki, sami się doprowadzicie do zguby.

Yao popatrzył na mroczny korytarz.

- Żeby powstrzymać Minga - szepnął. Shan spojrzął mu w oczy i skinął głową.

- Ja też potrzebuję pomocnika - powiedział. Oczy Yao stwardniały. Włączył światło.

- Pomocnika do czego? - zapytał, zamykając drzwi. - Żeby odzyskać syna?

Shan zaniemówił. Yao i pozostali najwyraźniej posługiwali się jego synem niczym bronią, atakowali go nim, kiedy najmniej się tego spodziewał.

- Zdradzę wam dokładnie, czego chcę, pod warunkiem że wy zdradzicie mi to samo - powiedział w końcu. Yao utkwiał w nim podejrzliwie spojrzenie.

- Skąd będę wiedział, czy to, czego szukacie, nie zaczyna kolidować z tym, czego ja szukam?

- Nie dowiecie się tego.

- A będzie? Będzie kolidować?

- Niemal na pewno.

Gdy Yao skinął wreszcie głową, na jego twarzy malowało się niemal zadowolenie. Podszedł do łóżka i pospiesznie spakował płócienny worek.

Byli już prawie na dziedzińcu, gdy nagle Shan uniósł dłoń. Z sali konferencyjnej dobiegał cichy, nieregularny stukot. Yao uchylił drzwi. Przy stole siedziała przed laptopem poważna młoda kobieta o krótko obciętych włosach, która wcześniej asystowała Mingowi. Salę rozjaśniał jedynie blask bijący z ciekłokrystalicznego ekranu. Kobieta niespokojnie poderwała głowę, gdy spostrzegła, że Yao i Shan zaglądają jej przez ramię.

- Jesteście dopuszczeni do Projektu Amban? - zapytał surowo Yao, gdy zaczęła opuszczać pokrywę laptopa.

- Oczywiście - odparła zaczepnie i jakby na dowód, że mówi prawdę, z powrotem uniosła ekran.

Pracowała nad czymś, co wyglądało na referat albo bogaty w przypisy artykuł. U góry strony biegł tytuł: *Zamachy polityczne w okręgu Lhadrung*.

- Odkrycia dyrektora Minga są zbyt ważne, żebyśmy czekali z ich ogłoszeniem, aż wrócimy do domu - oznajmiła. - On chce, żeby wstępna wersja została wysłana do Pekinu dziś rano.

- Nie miałem pojęcia, że już coś odkrył - rzekł Shan.

- Gdyby tu doszło do jakiegoś zamachu, wiedzielibyśmy o tym - zauważył Yao.

- To tajemnica państwowa - odparła kobieta. - W tym cała rzecz, nieprawdaż? - dodała protekcjonalnie. - Miejscowa ludność niezwykle zrećnie ukryła prawdę.

- Ale nie było żadnego zamachu - wtrącił Shan.

- Zaginiony amban zginął z rąk reakcjonistów właśnie tu, w Lhadrung - wyjaśniła asystentka Minga. - Zamierzamy skorygować podręczniki historii.

- Siostrzeniec cesarza Qian Longa? - zdziwił się Yao. - on żył setki lat temu.

- To bez znaczenia. Sprawiedliwość ludowa nie zna żadnych granic. - Kobieta zauważyła, że mają sceptyczne miny i zmarszczyła brwi, jakby uważała, że nie są wystarczająco wyrobieni, by to zrozumieć. - To praca o kluczowym znaczeniu. Ostateczna wersja zostanie rozdana wszystkim członkom zespołu pod koniec tygodnia - oświadczyła i odprawiła ich machnięciem ręki.

Wyszli na dwór i rozejrzawszy się wśród wojskowych pojazdów, znaleźli mały samochód dostawczy z kluczykami w stacyjce. Yao usiadł za kierownicą.

- Nie zapytałem jeszcze, dokąd jedziemy - powiedział.

- Będę to wiedział, kiedy wyczuję nosem - odparł Shan. Gdy wjechali do miasta, Shan opuścił szybę po swojej stronie. Pięć minut później kazał inspektorowi zaparkować samochód pięćdziesiąt metrów za grupką budynków z suszonej cegły. Gdy szli w ich stronę, Yao zaczął zostawać za Shanem. Zasłaniał sobie ręką nos i usta. Odór ludzkich odchodów był nie do wytrzymania.

- Najbardziej tajemnicze miejsca Tybetu, jakie dzięki wam dotąd poznałem, to wioska trupiarzy i to tutaj - zauważył inspektor. - Przypuszczam, że następnym razem będziemy rozkopywać wysypisko śmieci. - Zatrzymał się i machnął na Shana, żeby szedł dalej.

Shan minął rząd zdezelowanych rowerów z ciężkimi drucianymi koszami zamontowanymi po obu stronach tylnego koła, potem trzy solidne drewniane wózki z masywnym dyszlem w kształcie litery U, który ciągnęło zwykle dwoje ludzi. Gdy wszedł w

cień pierwszego budynku, wynurzyła się z niego kobieta z nosidłem na barkach, balansując wiszącymi na nim dwoma wielkimi glinianymi dzbanami oblepionymi od góry do dołu brązową skorupą. Za kobietą wyszedł mężczyzna w tak wyświechtanym płaszczu, że niemal w strzępach, i skierował się w stronę rowerów. Właśnie wschodziło słońce. Wkrótce na podwórkach domów i kamienic w całym mieście miały się pojawić wielkie dzbany fekaliów, które wywożono na pola jako nawóz. Zwyczaj stary jak same Chiny.

- Przyszedłem zobaczyć się z Suryą - odezwał się Shan do kobiety. - Z tym starym mnichem.

Kobieta zaśmiała się gorzko.

- Wśród nas nie ma mnichów. Szukaj ich w górach. Albo w więzieniu.

- Nie zrobię mu krzywdy. Jestem jego przyjacielem. Kobieta nie odezwała się. Sięgnąwszy do jednego z wózków, wyciągnęła długą drewnianą chochlę i zagłębiła ją w jednym z ustawionych za budynkiem dzbanów, po czym uniosła, ociekającą brązowym szlamem. Shan zrobił krok naprzód. Kobieta chlusnęła na niego zawartością chochli. Uskoczył w bok, a cuchnąca maź pacnęła na ziemię tam, gdzie był przed chwilą. Z tyłu dobiegło go przekleństwo Yao. Stał bez ruchu. Pojawiły się jeszcze dwie kobiety, które też chwyciły za chochle i zaczerpnęły fekaliów.

- Chińczycy! - syknęła jedna z nich, rzucając w niego odchodami. Bryzgi ochlapały mu but.

- Jak macie dla nas gówno, zostawcie je na swoim progu - warknęła inna.

Shan obejrzał się za siebie. Yao wycofał się do samochodu. Usłyszał zaniepokojone pomruki Tybetanek, a gdy się ku nim odwrócił, spostrzegł, że opuściły chochle. W porannym świetle dostrzegły wojskowe oznaczenia na wozie, którym przyjechali.

- Surya przyszedł z gór - jeszcze raz spróbował je przekonać. - Żebrał na placu. Powiedzcie mu, że jest tu Shan.

Pierwsza kobieta zniknęła za rogiem. Po niespełna minucie wróciła.

- On mówi, że znał kogoś, kto kiedyś znał Shana - powiedziała niepewnie.

Shan zrobił krok naprzód. Kobiety nie zareagowały, ominął je więc i wszedł na małe podwórko ze studnią pośrodku. Na jej kamiennej cembrowinie siedział Surya, a przed nim, na ziemi, troje małych dzieci. W głębi podwórka, przed czymś, co wyglądało na starą stajnię, stało kilkoro mężczyzn i kobiet w brudnym i obszarpanym odzieniu zbieraczy odchodów. Shan rozejrzał się dokoła. Pod ścianami budynków wietrzyły się sienniki. Nad tłącym się ogniskiem wisiał poczerniały kociołek. Zbieracze fekaliów nie przychodzili tu po prostu do

pracy uświadomił sobie nagle. Oni tutaj mieszkali, niewątpliwa unikani przez innych mieszkańców miasta.

Shan usiadł obok Suryi, który jednak nie dał po sobie poznać, że go zauważył. Robił laleczkę z sitowia, które obwiązał słomą.

- Rinpocze - odezwał się Shan - musimy wracać. Oni cię potrzebują. Boją się o ciebie.

Surya, najwyraźniej rozkojarzony, uniósł wzrok, jednak nie spojrzął na Shana, ale w bok, potem za siebie, przez ramię, jakby rozglądał się za osobą, do której mówi przybysz.

- Gendun i Lokesh potrzebują twojej pomocy - ciągnął Shan. - W Zhoce jest jeszcze wiele rzeczy, które musimy zrozumieć.

Spojrzenie Suryi powoli zeszło się ze wzrokiem Shana.

- Przykro mi, towarzyszu, pomyliliście mnie z kimś innym. Obcym miesza się czasem w głowie od naszych zapachów.

Dzieci parsknęły śmiechem. Surya skończył wiązać lalkę i podał ją jednej z dziewczynek.

- Przy tej starej kamiennej wieży spotkałeś się z dyrektorem Mingiem. Czy on pytał o bóstwo śmierci?

- On spotkał młodego Chińczyka, wielkiego opata. Jego ścieżki są niepojęte. - Surya powiedział to tak, jakby mówił do kogoś innego. - Opat tworzy piękne obrazy, święte obrazy, jednym palcem, jednym słowem.

Po plecach Shana przebiegł zimny dreszcz. Surya wciąż mówił o sobie sprzed morderstwa w trzeciej osobie.

- Dlaczego Zhoka jest dla Minga tak ważna? - naciskał. - Czy on był jednym z tych złodziei, których się przeraziłeś?

- W Zhoce różne rzeczy są ważne. To zależy.

- Od czego?

Surya uniósł głowę i uśmiechnął się, odsłaniając rząd krzywych żółtych zębów.

- Od tego, czy jesteś Chińczykiem, czy Tybetańczykiem - odparł i zaniósł się chrapliwym śmiechem wydobywającym się z głębi wyschniętego gardła. - Towarzyszu - dodał i znow się zaśmiał.

Shan przycisnął dłoń do czoła. Czuł się bezsilny. Nie rozbawiał z Suryą. Siedzący przed nim człowiek albo był kimś zupełnie innym, albo tak odmienionym, jak według Lokesha odmieniają się ludzie trafieni przez piorun.

- Jeśli nie mogę poznać tych tajemnic, jak mam obronić łamów?

- To nie tajemnice. Po prostu nie ma właściwych słów. Nie da się przekazać tego ludziom. Jedyne bóstwa mogą to pojąć. - Słowa, które płynęły pospiesznie z ust starca, zdawały się tym razem nie należeć do niego. Sprawiał wrażenie kompletnie zdezorientowanego, niemal w szoku. Dotknął palcem języka i nagle coś się w nim załamało, jakby stracił ducha.

Shan podniósł się z cembrowiny i zrobił krok w stronę stajni. Dwóch z siedzących tam mężczyzn podniosło się i stanęło mu na drodze do budynku.

Shan odwrócił się do Suryi.

- Co przydarzyło się Kwanowi Li? - zapytał.

Surya dziwnym, spiralnym ruchem uniósł dłoń ku niebu.

- Coś wspaniałego - odparł.

Shan przyjrzał mu się uważniej. Mimika i gesty Suryi były inne niż u mnicha, którego znał, na jego twarzy pojawiły się nowe rysy, nawet oczy posmutniały i nabrały bezdusznego wyrazu.

- Co było ukryte w Zhoce? - zapytał. Surya wzruszył ramionami.

- To sprawa mnichów.

- Ty też jesteś mnichem.

Surya pokręcił głową i na jego twarzy odmalowało się nowe uczucie. Nie smutek. Żal, jakby współczuł Shanowi.

- On mógłby to odkryć, gdyby tam został. Ale - westchnął - umarł podczas święta.

Shan sięgnął do kieszeni i podał mu pędzel, który nosił przy sobie od tamtego dnia.

- Wtedy umarł jedynie Lodi - powiedział, starając się, żeby jego głos nie zdradził, jak jest bezradny. - Człowiek, którego widziałeś w tunelu. Był złodziejem. Myślę, że przyłapałeś go na kradzieży. Spieraliście się, być może zdarzył się wypadek - podsunął.

Sędziwy Tybetańczyk wpatrywał się w stary pędzel w swej dłoni, jakby nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego w końcu schował go do kieszeni i wstał, w czym pomogło mu jedno z dzieci.

- Muszę wynieść łajno - powiedział, idąc w stronę rowerów i wózków.

Dotarcie do samochodu zdawało się Shanowi potwornym wysiłkiem - czuł się tak, jakby na barkach spoczął mu olbrzymi ciężar. Nim Yao uruchomił pojazd, Surya wyszedł na drogę, ciągnąc jeden z ręcznych wózków z ładunkiem czterech dużych ceramicznych dzbanów.

- Czy on znał to górskie bóstwo? - zapytał inspektor.

- On nie zna już żadnego bóstwa - odparł zgnębiony Shan.

Shan nie musiał pytać, dokąd teraz jadą. Yao skierował samochód w stronę najwyższego budynku w mieście i wcisnął gaz do oporu, jak gdyby nagle zapragnął jak najszybciej znaleźć się w siedzibie władz okręgu. Ponieważ, uświadomił sobie Shan, gdy inspektor zaparkował przed głównym wejściem, było jeszcze za wcześnie, żeby ktokolwiek pracował w biurach, zbyt wcześnie, żeby którykolwiek z wyższych urzędników był w swoim gabinecie, idealna pora, żeby skorzystać ze stojących beczynnie komputerów i telefonów. Musieli przejrzeć pozostałe listy, rozgryźć liczącą dwieście lat tajemnicę, która kierowała poczynaniami Minga.

Strażnik przy drzwiach powitał Yao skinieniem głowy, spojrzął spode łba na Shana i przepuścił ich, machnąwszy ręką. Shan zaprotestował, gdy w windzie inspektor wcisnął przycisk najwyższego piętra.

- Tam są komputery - wyjaśnił Yao, gdy winda wolno jechała w górę. - W pokoju konferencyjnym przy gabinecie Tana.

Gdy tylko otworzyły się drzwi, Yao ruszył szybkim krokiem w stronę centralnego kompleksu biur. Shan stał w korytarzu, walcząc ze słabością, która go nagle opadła. To właśnie tu spotkał pułkownika Tana. To tu Tan zaczął się nad nim pastwić, zmuszając go, żeby znów podjął się pracy śledczego. I tu także pułkownik nieoczekiwanie zwrócił mu wolność.

Dołączywszy wreszcie do Yao, Shan usiadł przy terminalu i pospiesznie wpisał otrzymane od Corbetta kody. Gdy wysyłał poprzedni e-mail, w Seattle był środek dnia, a zespół Corbetta nie próżnował.

Cześć, szefie. Zaczynaliśmy się już martwić - świetnie, że się odezwalesz, zaczynała się pierwsza wiadomość z USA. Na wszelki wypadek sprawdzaliśmy pocztę na okrągło, dzień i noc. Dostaliśmy pytania, odezwiemy się wkrótce, Bailey.

Druga wiadomość została wysłana dwie godziny później i opatrzona była nagłówkiem *Podróże Dolana do ChRL*. Wykaz obejmował dziesięć lat i wynikało z niego, że Dolan latał do Chin przeciętnie dwa razy w roku. Następnie przyszła lista zatytułowana *Darowizny. Dolan dla ChRL*. Zawierała kilkanaście pozycji dotyczących zaledwie trzech ostatnich lat: finansowanie badań archeologicznych w Mongolii Wewnętrznej, trzech specjalistycznych wystaw w Muzeum Historycznym, pracowni komputerowych w pięciu miastach, prac konserwatorskich w cesarskiej świątyni w Mandżurii. *Ekspedycje archeologiczne Minga*

miały na celu ratowanie malowideł ściennych z zagrzebanych na pustyni starych świątyń, dodał Bailey.

Kolejne zestawienie zatytułowane było po prostu *Rozmowy telefoniczne D. z ChRL*. Shan zawołał Yao do monitora. Zaczął przewijać długą listę połączeń, podczas gdy inspektor wskazywał znajome numery.

- Muzeum Historyczne - powiedział zduszonym głosem. - Ministerstwo Kultury. Ministerstwo Sprawiedliwości.

Gdy wpatrywali się w ekran, cichy sygnał oznajmił, że przybyło kilka nowych wiadomości. Wszystkie podpisane były przez Bailey'a. Wykaz chińskich inwestycji Dolana: prywatne firmy Dolana posiadały siedem fabryk w miastach we wschodnich Chinach oraz udziały w kilkunastu spółkach joint venture. Pospieszna notatka, której Shan nie rozumiał: *Szef dowiedział się, że zaczęłeś dochodzenie w sprawie niańki. Kazał je zamknąć.* Dalej była krótka informacja na temat Elizabeth McDowell: *Konsultantka do spraw sztuki u Dolana, współwłaścicielka Galerii Antyków Crofta z filiami w Seattle i w Londynie. Potwierdzono, że leciała do Lhasy, korzystając z tych samych połączeń co William Lodi. Ani McDowell, ani Lodi nie zarezerwowali lotu do Lhasy z wyprzedzeniem.*

Ostatnia wiadomość zawierała pliki ze zdjęciami i zestawienie artykułów na temat słynnej tybetańskiej kolekcji Dolana. Shan, otworzywszy katalog, który dała im Liya, bez słowa porównał z nim i wskazał na ekranie kilka małych obrazków, między innymi czternastowieczny posążek Mańdżuśriego z mieczem mądrości w dłoni. Wszystkie obiekty pochodziły ze zbiorów Dolana, ale nie znalazły się w jego zestawieniu skradzionych przedmiotów.

- Możliwe, że on wciąż je ma - rzekł bezbarwnym głosem Yao.

- Nie - odparł Shan. - Corbett czytał raporty z miejsca przestępstwa, widział zdjęcia wszystkich półek i gablot. Zgłoszono kradzież całej kolekcji. Lodi odwoził eksponaty z muzeum do Pekinu, z powodu inspekcji. Być może w tej kradzieży tak naprawdę tylko o nie mu chodziło. Reszta była przykrywką, mogła zostać w Ameryce. Ale zdarzyło się coś, co zmieniło jego plany. Nieoczekiwanie pojechał prosto do Tybetu.

- Co macie na myśli?

- To, że figurka bodhisattwy z mieczem, którą miał ze sobą, ta, którą zniszczono u rozcinaczy zwłok, była oryginałem od Dolana. Lodi dał ją Liyi na przechowanie. Miał zamiar zatrzymać się w hotelu w Pekinie, ale tego nie zrobił. Nie starczyło mu czasu, by wymienić ją na kopię.

- Ale po co było ją niszczyć?

- Liya twierdziła, że to miała być wiadomość dla Bumpari. Ale ja myślę, że wiadomość była przeznaczona dla kogoś innego. Dla tego, kto najboleśniej odczułby zniszczenie figurki.

- Dla Minga - mruknął Yao. Przez chwilę wpatrywał się w ekran, po czym wpisał nowe polecenie: *Sprawdzić podróże dyrektora Minga w ciągu tygodnia od kradzieży*. Zerknął nieufnie na Shana. Było to coś, o co nie mógł bezpiecznie pytać w Pekinie, ale FBI miało dostęp do rejestrów linii lotniczych.

Pół godziny później skończyli przeglądać stare listy, zebrane przez Minga. Nie znaleźli żadnej wskazówki, jaki koniec spotkał Kwana Li, ale wynikało z nich jasno, że zrezygnował on z kariery wojskowej i przybył do Tybetu na prośbę swego wuja nie tylko po to, żeby reprezentować Chiny, ale też znaleźć lamów, którzy zechcieliby udać się do Pekinu i służyć na cesarskim dworze. W pierwszym roku pełnienia funkcji ambana nie tylko wysłał cesarzowi kilkunastu lamów, ale także, dzięki pomocy swego potężnego wuja, rozpoczął budowę tybetańskich świątyń buddyjskich w kilku miastach na wschodzie.

Nagle brzęknęła porcelana i obaj odwrócili głowy w stronę źródła dźwięku. Na stole przy drzwiach siedział Tan. Popijał herbatę z kubka.

- Był czas - odezwał się cierpkim tonem - że jedynymi moimi gośćmi spoza okręgu byli ci trzymani za drutami w Czteryście Czwartej. W zeszłym miesiącu pojawiło się dwoje innych, Ming i McDowell. Teraz jest już ich kilkunastu, sprowadzonych przez dyrektora Minga. Otrzymałem faks z naczelnego dowództwa. Polecono mi, żebym zapewnił im wszystkim wszelką możliwą pomoc. A teraz zadzwonił mój generał. Chciał mi zdradzić pewien sekret. W ubiegłym roku dyrektor Ming awansował o dwa szczeble w hierarchii partyjnej. Za rok albo dwa będzie miał rangę ministra.

Yao wstał, przyglądając się uważnie Tanowi, jakby układał sobie w myślach odpowiedź. Pułkownik zapraszającym gestem wskazał termos z herbatą oraz kubki na stole przed wejściem do pokoju konferencyjnego i Shan, a za nim Yao bez słowa podeszli do niego. Gdy z parującymi kubkami w dłoniach zasiedli znów przy komputerze, Shan opowiedział Tanowi o zainteresowaniu Minga dawno zmarłym ambanem i pokazał mu listy na dyskietkach.

- Dzisiaj zostanie wysłany do Pekinu raport na temat tego ambana - dodał Yao. - Nosi tytuł *Zamachy polityczne w okręgu Lhadrung*.

Wargi Tana wykrzywił gniewny grymas.

- To kłamstwo. W moim okręgu nie było żadnych zamachów.

- Chodzi o zamach sprzed ponad dwustu lat - wyjaśnił Yao.

Shan wiedział, że data nie ma dla pułkownika większego znaczenia. Świeżo wykryte morderstwo, a zwłaszcza morderstwo polityczne, obojętne, kiedy popełnione, ściągęłoby mepożądaną uwagę na okręg i jego zarządcę.

- Nowy męczennik - skwitował Tan, wyglądając przez okno. - Słyszałem o tym Rwanie Li cztery czy pięć lat temu na konferencji w Lhasie. Martwi sprawiają mniej kłopotów niż żywi. Myślałem, że zarzucili ten pomysł. Ktoś najwyraźniej uznał, że naród potrzebuje nowej lekcji na temat integracji Tybetu z macierzą. Teraz będziemy mieli małe odznaki z jego podobizną, pogadanki dla dzieci, przemówienia dzieci. - Urwał i znów spojrzął na Shana i Yao. - Ale on nie może stwierdzić, że ten amban zginął w Lhadrung. To niemożliwe. Chińscy ambanowie nigdy nie zaglądali w te strony. Lhadrung nie leży na drodze do Pekinu. Księżę Kwan zginął na północy. - Zapalił papierosa. - Ming przyjechał tu z powodu malowidła. Jeśli go nie znajdzie, wróci do domu. - Sprawiał wrażenie, jakby mówił sam do siebie. Znowu patrzył w okno. - Rozpytałem się co nieco. W tym roku miał prowadzić prace terenowe w Mongolii, jak poprzednio. Na dwa tygodnie przed terminem ich rozpoczęcia zmienił jednak zdanie i zdecydował się na Lhadrung, z satelickim projektem na północy. Powiedział, że chce tam badać kultury pasterskie. Tyle że, jak się dowiedziałem, podobno właśnie w tej okolicy przed dwustu laty zginął Kwan Li. I Ming ostro zabrał się do dzieła. - Pułkownik odwrócił się w stronę Shana i Yao. W jego oczach płonął zimny gniew. - Zmienił swoje plany badań terenowych kilka dni po kradzieży tego malowidła.

Tan wstał i zniknął w głębi korytarza. Po dłuższej chwili wrócił z zakurzoną tekturową teczką, z której wyciągnął jakiś dokument w przezroczystych plastikowych okładkach. Podał go Shanowi.

- Na końcu - powiedział.

Ostatnie strony zawierały odpis raportu cesarskiego urzędnika wysłanego przez Qian Longa na poszukiwanie zaginionego ambana. Wysokiej rangi mandaryn na miesiąc przed abdykacją cesarza złożył mu raport, w którym wyrażał skruchę, gdyż nie udało mu się wykonać zadania, ale informował też, że ma złożone pod przysięgą zeznania licznych świadków, iż amban wbrew zwyczajom pozostawił swą chińską eskortę w Lhasie i na znak zaufania do gospodarzy podróżował w asyście tybetańskich żołnierzy. W głębi dzikich gór, osiemset kilometrów na północ od Lhasy, dowiedział się, że dwa miejscowe plemiona toczą wojnę o pastwiska. Pewien, że doprowadzi do polubownego rozwiązania konfliktu, nie zważając na swoje bezpieczeństwo, udał się na górskie pole bitwy. Spotkał się z przywódcami plemion i wynegocjował porozumienie przewidujące wspólne użytkowanie pastwisk, ale podczas biesiady z okazji ugody pewien zapalczywy wojownik, niezadowolony z interwencji

człowieka z zewnątrz, przeszył mu gardło strzałą. Kwan Li zmarł, prosząc cesarza o wybaczenie. Plemiona, obawiając się chińskiej reakcji, wymordowały eskortę i zaszyły się wysoko w górach, unosząc ze sobą zwłoki. Kilku łamów, którzy pojawili się na miejscu zbrodni, odprawiło obrzędy pośmiertne.

Kończąc dochodzenie, cesarski śledczy udał się do Lhasy, gdzie nie znalazł żadnych dowodów sprzecznych z dotychczas zebranymi, poza świadectwem pijanego krawca, zatrudnionego niegdyś przez ambana. Twierdził on, że przed wyjazdem księcia jacyś mnisi poprosili, żeby uszył dla nich mundury tybetańskich żołnierzy. Opowieści krawca nie udało się potwierdzić, a on sam zniknął po pierwszym przesłuchaniu. Śledczy podejrzewał, że amban padł ofiarą spisku Tybetańczyków, że w jego eskorcie nie było żadnych żołnierzy, tylko przebrani mnisi. Nalegał, żeby cesarz rozkazał swoim wojskom odszukać i zniszczyć te górskie plemiona, gdyż albo same były winne śmierci ambana, albo należały do spisku. Prosił o zezwolenie na powrót do Tybetu, gdyż chciał odnaleźć mnichów, którzy spiskowali z tymi plemionami. Raport kończył się notatką cesarskiego sekretarza, który informował w niej, że władca odrzucił propozycję karnej wyprawy i nie wyraził zgody na kontynuację dochodzenia, a owemu mandarynowi powierzył wysokie stanowisko w jednej z południowych prowincji.

- Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Ming, odkąd tu przybył, przez połowę czasu wydzwaniał do Pekinu - powiedział Tan, gdy Shan zamknął raport.

Dlatego, że tu chodzi o politykę - odparł Shan. - To, co robi Ming, zupełnie nie przypomina pracy naukowca prowadzącego badania terenowe. Ale właśnie tego można oczekiwać po kimś, kto ma ambicję zostać ministrem. - Tam jest jeszcze Jeden dokument - dodał po chwili, wskazując ekran komputera - lecz zakodowany przez Minga.

- Czyżby zbyt wiele wyjaśniał? - rzekł Tan. Siedzieli w milczeniu. Tan wpatrywał się w monitor. Shan spoglądał w okno.

- Inspektor wie, że próbowaliście mnie ukryć, pułkowniku - odezwał się niepewnie. - Wie, że nikomu nie powiedziałem, że zaniedbał sprawdzić, czy dyrektora Minga i Lodię nie wcześniej nie łączyło.

- O czym wy mówicie? - warknął Tan. Yao westchnął i podszedł do komputera.

- On mówi o mnie. O pewnej niepisanej umowie i o tym, że się nie odwzajemniłem. - Zaczął stukać w klawiaturę. - Kod, którego użył Ming, nie jest zbyt skomplikowany. On nie ma dostępu do tych najbardziej tajnych. Ten mogą znać setki ludzi w samym Pekinie - powiedział, podkreślając to kilkoma zdecydowanymi uderzeniami w klawisze.

Nagle obraz na ekranie zamazał się i znaki zmieniły układ. Tekst ostatniego dokumentu stał się czytelny.

Nie był to jeszcze jeden oficjalny list od ambana, ale jego pięć w gruncie rzeczy notatek przesłanych w jednym roku, nie uwzględnionych w oficjalnej dokumentacji Projektu Amban. Nie były one w kwiecistym stylu wcześniejszej korespondencji, sprawiały raczej wrażenie pisanych przez jednego ze starych przyjaciół, między którymi nie ma już miejsca na pozory. W pierwszej z nich amban dziękował cesarzowi, że zaaprobował jego przejście na buddyzm, a także za to, że „mówi słowami sutr”. Prosił wuja, aby mu wybaczył, że odwleka wyjazd do Pekinu, ale gromadzi właśnie najcenniejsze skarby, jakie cesarz kiedykolwiek oglądał. W drugiej informował, że jego starania, by tybetańscy artyści stworzyli dla cesarza prawdziwe arcydzieła, przynoszą owoce, choć sam musiał się wyprawić do kilku mistrzów w podeszłym wieku i udać się do grot, w których żyją artyści pustelnicy. Owe groty - Dom Puk, Zetrul Puk, Woser Puk i Kuden Puk - były tymi samymi, które Ming wyszukiwał komputerowo w przewodnikach dla pielgrzymów, tymi samymi, które właśnie tego dnia powiązał na podstawie punktów orientacyjnych z konkretnymi jaskiniami. W trzeciej notatce donosił, że odkrył źródło najwspanialszych dzieł sztuki, jakie on sam albo cesarz mogliby sobie wyobrazić, i przebywa teraz w starym klasztorze, gdzie nawiązuje przyjaźń z zamieszkującymi go lamami oraz odwiedza bezcennego Buddę z Gór. Budowano tam niezwykłą mechaniczną mandalę ze złota i srebra, a jeden z artystów poświęcił cesarzowi wykonany z czarnego kamienia posąg Jambhali, bóstwa opiekuńczego, nad którym pracował przez dwa lata. Czwarty, najdłuższy list, wysłany wiele miesięcy później, zawierał jeszcze bardziej niezwykłą nowinę. Lamowie odkryli, że Kwan Li jest wcieleniem największego z ich opatów, i uczynili go opatem starej świątyni obłaskawiającej ziemię, w której dbano o bóstwa tak, jak ogrodnik dba o kwiaty. W piątej notatce nowy opat napomknął, że otrzymał od cesarza jakąś propozycję, o której nie waży się więcej pisać, gdyż obawia się, że sekret zostałby odkryty. Rozpoczęto wielkie przygotowania, a on musiał się udać na odosobnienie, zanim powróci do stolicy. Do tego czasu zamierzał zorganizować potajemny przewóz skarbów dla wuja. Zapowiadał, że przekaze cesarskim posłańcom w Lhasie połowę thanki z wizerunkiem opiekuńczego bóstwa gompy, szczególnej postaci Pana Śmierci. Jeśli cokolwiek mu się przydarzy podczas uciążliwej podróży, ukryje skarby i powierzy drugą połowę thanki zaufanemu lamie, który przekaze ją cesarzowi. Po połączeniu obie połówki powiedzą mu, gdzie szukać skarbu. *A później, kończył się ostatni list, słowami sutr wyjaśnię resztę śmierci.*

- Tu nie chodzi tylko o politykę - powiedział lodowatym głosem Tan. Teraz wiedzieli, dlaczego Ming z takim zapalem zbierał informacje o bóstwach, dlaczego tak uparcie wypytywał o imię bóstwa opiekuńczego oraz o to, jak ono wygląda.

- Ming chce zgarnąć wszystko - warknął Yao. - Polityczne profity związane ze skarbem, żeby przyspieszyć swoją karierę.

I złoto oraz srebro, by wzbogacić siebie i swoich współników.

- Co to za propozycja od cesarza? - zapytał Tan.

- Nie wiadomo - odparł Shan.

- Jaka to świątynia? - zapytał Tan. Shan i Yao spojrzeli po sobie.

- Nie wiadomo - powiedział Yao.

- Ale w Lhadrung... - rzekł Tan. Znów zaczął go ogarniać gniew. - Ming twierdzi, że ambana zabito w Lhadrung. - Uderzył pięścią w dłoń. - Dlaczego teraz? Co się stało? Yao wzruszył ramionami.

- Stała się kradzież w pałacyku Qian Longa - podsunął Shan. - Myślę, że usuwając malowidło, złodzieje odsłonili coś o czym nikt przedtem nie wiedział. Skrytkę z tajną korespondencją ambana.

Oprócz listów plik zawierał coś jeszcze. Shan wcisnął klawisz i na ekranie pojawiło się zdjęcie przedartej thanki, górna połowa niebieskiego bóstwa ze zniekształconą głową byka o czterech rogach. Gdy wpatrywali się w nie, zapiszczał sąsiedni komputer i Shan otworzył wiadomość z FBI. Dyrektor Ming, przeczytali, udał się do Lhasy tym samym lotem co Lodi, po czym najbliższym samolotem wrócił do Pekinu. Podczas gdy Yao drukował zdjęcie rozdartej thanki, Shan pospiesznie wpisał polecenie: *Sprawdzić dane o podróżach Lu Chou Fina i Khana Mo, przybyłych do Tybetu w ostatnim miesiącu.*

Nagle na korytarzu zadudniły ciężkie kroki. Gwałtownie otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł młody oficer, jeden z adiutantów Tana.

- Pułkownik - rzucił nagłaco - dyrektor Ming wzywa oddziały z bazy. Rozmawia z Lhasą i Pekinem. Mówi, że znaleźli ciała. Zwłoki Chińczyków, ofiar masakry. To dzieło Tybetańczyków. - Nim skończył mówić, na biurkach w innych gabinetach rozdzwoniły się telefony, a z ulicy dobiegł ryk syreny.

Pół godziny później wszyscy trzej stali na skraju pola w południowej części doliny, przyglądając się chaotycznej scenie. Na środku pola, pięćdziesiąt metrów od nich, stał Ming, gorączkowo dyrygując grupą robotników z łopatami i wiadrami, przywołując żołnierzy. Na szosie stały dwa samochody żandarmerii z migającymi światłami.

- Kiedy dowiedzą się o tym w Lhasie, ludzie zaczną gadać, że w Lhadrung wybuchło powstanie - warknął Tan. Wezwał radiooperatora i rozkazał mu się połączyć ze sztabem w Lhasie.

Żołnierze nie mieli pojęcia, czego się spodziewać, zauważył Shan. Większość była w rynsztunku bojowym, u pasów wisały im nawet granaty. Około dwudziestu utworzyło kordon wokół kwadratu o boku pięćdziesięciu metrów, podczas gdy inni rozbijali wielki wojskowy namiot na stanowisko dowodzenia - w sąsiedztwie stanowiska dowodzenia Minga, który organizował je w samym środku kwadratu.

Od strony zajazdu dla gości nadjechała duża ciężarówka i żołnierze, pod nadzorem jednego z asystentów Minga, zaczęli wyładowywać z niej stoły, krzesła i metalowe skrzynki. Ming tymczasem przechadzał się wzdłuż wykopu, wykrzykując rozkazy pospiesznie machającym łopatami żołnierzom, przystawał raz po raz i z ożywieniem wołał coś do asystentów, pozował do zdjęć lub wskakiwał na chwilę do dołu. Młoda kobieta o krótko obciętych włosach siedziała przy składanym stoliku w pobliżu wykopu. Przed nią leżało kilka znalezisk. Żołnierz podał jej jedną z metalowych skrzynek, a ona otworzyła ją i zaczęła wyciągać małe tacki z pędzlami, lupami i jakimiś metalowymi narzędziami.

Poprzedniej nocy pewien rolnik przyszedł do zajazdu z niewielkim przedmiotem z nefrytu, który wyorał ze wzgórzka na swoim polu jęczmienia, wyjaśniła kobieta w odpowiedzi na pytania Yao, wskazując palcem znalezisko wieśniaka leżące na ręczniku pośrodku blatu. Była to misternie wyrzeźbiona przednia połowa smoka, być może fragment uchwytu laski lub packi na muchy. Cienką jak igła sondą kobieta wskazała szczegół, który tak podekscytował muzealną ekipę.

- Szpony? - zdziwił się Yao.

- Jest ich pięć - zauważył Shan. - Znaleźliście to w tych wykopach? - zapytał.

Kobieta, ostentacyjnie go ignorując, przykryła figurkę ręcznikiem.

Shan spojrział na Yao. W cesarskich Chinach tylko jeden ród miał prawo używać symbolu smoka o pięciu szponach.

- Co znaleźliście? - wolno zapytał inspektor. W jego głosie pobrzmiewało tłumione napięcie.

- Rodzina tego chłopca już kopała, kiedy przybyliśmy na miejsce - odparła kobieta. - Zaczęli kopać rów wokół starych fundamentów, które odsłonili. Dyrektor Ming sam znalazł ten fiński artefakt - dodała. Nefryt nie był zbyt powszechnym tworzywem w Tybecie. - Zanim dołączyła do nas reszta ekipy, wspólnie z rolnikami wydobył kamienną skrzynię. Znajdował się w niej wielki skarb. - Pochyliła się i uniosła pokrywę drugiego metalowego pudła, odsłaniając bogatą szatę z żółtego i błękitnego jedwabiu, haftowaną w żurawie, smoki, bażanty i inne stworzenia, w tym jedno, z którego widoczna była tylko łapa, wystająca spod załamania tkaniny, łapa o pięciu pazurach. - Ta szata ma kilkaset lat. Okres dynastii Ching. A

to znaleźliśmy razem z nią. Pozostałość po dawnych reakcjonistach. Te rzeczy spoczywały tu ukryte przez dwa wieki. - Odśloniła stary arkusz ryżowego papieru. - To rozwiewa wszelkie wątpliwości - stwierdziła.

Tyle że Shan znalazł tę szatę. Widział ją zaledwie dzień wcześniej w domu Fiony. A w pokoju Yao leżał podobny arkusz ryżowego papieru, od Liyi. Ming znalazł jeszcze jeden egzemplarz cesarskiego obwieszczenia, jakby ludzie w Lhadrung przed dwustu laty zbierali je i pieczołowicie strzegli z sobie tylko wiadomych powodów. Yao wskazał dwa odręczne dopiski po tybetańsku u dołu arkusza.

- „Uśmiercony z rozkazu lamy Kamiennego Smoka” - przeczytał Shan. Litery były wyblakłe, jak przystało na dwustuletnie pismo. Byłaby to doskonała puenta politycznej przypowieści, którą układał Ming. Wysokiej rangi lama zgładził ambana, a Tybetańczycy w gruncie rzeczy sami to przyznali. Shan pochylił się nad arkuszem, żeby lepiej przyjrzeć się drugiej linijce. - „Wykonano w Zetrul Puk” - przeczytał. Ale jego zdaniem ten dopisek nie wyglądał na stary. Wzmianka o Cudownej Grocie została dodana niedawno.

- Zgłosiliście, że odkryto tu zwłoki - wtrącił Yao. Kobieta wskazała grupkę żołnierzy po drugiej stronie pagórka. Yao i Shan podeszli do nich, starając się nie rzucać w oczy. Żołnierze strzegli kilku czaszek i niekompletnych ludzkich szkieletów. W pobliżu znajdował się kolejny, głębszy wykop, a w nim odsłonięty kamienny mur z wysokim zaledwie na osiemdziesiąt centymetrów kwadratowym otworem wejściowym. Na ich oczach do już leżących przed żołnierzami czaszek dodano jeszcze jedną.

Pułkownik odprowadził Minga na bok i mówił coś do niego - Jego twarz nie gorzej wyrażała wściekłość niż jego zaciśnięte pięści. Shan i Yao przyglądali się, jak tuzin żołnierzy wsiada z powrotem na jedną z ciężarówek i odjeżdża nią z terenu wykopalisk.

Po kilku minutach Shan zostawił inspektora robiącego notatki przy wykopach i tak dyskretnie, jak tylko się dało, podszedł do samochodu Tana i pozostałych pojazdów. Miał nadzieję, że uda mu się wśliznąć na platformę jednej z odjeżdżających ciężarówek. Uważnie przyjrzał się żołnierzom. Być może niektórzy by go poznali, byliby skłonni pomóc mu w ucieczce, choćby tylko dlatego, że wiedzieli, jak bardzo jego obecność wytrąca zwykle Tana z równowagi. Rozpoznał wśród nich sierżanta w średnim wieku, który na jego widok zmarszczył brwi. Ale gdy Shan ruszył w jego stronę, czyjaś dłoń chwyciła go za ramię.

- Wciąż jesteście nam potrzebni, towarzyszu - usłyszał ostrzegawczy, choć przymilny głos Minga.

- Przypuszczam, że już zakończyliście swoją pracę - odparł po chwili Shan. - Możecie wrócić do Pekinu jako bohater.

Ming z zadowoleniem skinął głową.

- Ale ani ja nie schwytałem swoich złodziei, ani Amerykanin swego mordercy. Nie zmieniliśmy planów. W południe w obozie pracy będzie na nas czekał sprzęt i zapasy. Wysłałem w góry cztery ekipy, naukowców z żołnierzami. I z więźniami - dodał, patrząc znacząco na Shana.

Tym razem Shan zgadzał się z Mingiem. Powinien znaleźć się w górach.

- Nic się nie zmieniło - przyznał. Nic, a zarazem wszystko. Yao i Corbett nie schwytali przestępców, ale Shana najbardziej teraz niepokoił sam Ming.

Dyrektor zerknął na zegarek.

- Tu wszystko jest już pod kontrolą. Teraz, kiedy wiemy, co znaleźliśmy, zaczyna się żmudna praca. Dla specjalistów - oświadczył i kiwnął głową w stronę swoich asystentów w białych fartuchach. - Wracam, żeby zająć się odprawą ekip terenowych. Zaszczycicie mnie swoim towarzystwem? - zapytał, wskazując swój samochód.

Wsiadając do wozu, Shan spostrzegł, że Yao i Tan patrzą na niego. Ming przeniósł wzrok za jego spojrzeniem i pomachał im obu.

- Jak to oni mówią? - powiedział półgłosem do Shana. - Ach, tak. Niech zwyciężą bogowie! - zawołał po mandaryńsku do Tana i Yao, po czym uruchomił silnik. - Drzyjcie i bądźcie posłuszni! - wykrzyknął przez otwarte okno i wybuchnął śmiechem.

- Zajrzyjcie na tylne siedzenie - powiedział, zjeżdżając z pola na pełnym gazie, aż ziemia i żwir wzbijały się w powietrze spod kół. Z tyłu leżała na boku kolejna z metalowych skrzynek. Shan wykręcił się na siedzeniu, odblokował zatrzaski i otworzył pokrywę przy wtórze pomruku rozbawionego Minga. Skrzynka do połowy wypełniona była lodem, który chłodził kilka butelek gazowanego napoju pomarańczowego. Shan otworzył dwie i jedną podał dyrektorowi.

- Nasza znajomość zaczęła się niefortunnie - oświadczył Ming. - Obaj musieliśmy pokonać wrodzoną nieufność - stwierdził. - Ale dziś wiele się wydarzyło. Nigdy nie przypuszczałem, że ten okręg kryje tak wiele możliwości. Będę tu, na miejscu, potrzebował kogoś, kto potrafi sobie radzić z Tybetańczykami. Dyrektora operacyjnego, nazwijmy to.

Shan w pół łyku oderwał butelkę od ust.

- Proponujecie mi pracę? - zapytał z niedowierzaniem.

- To dałoby wam przyszłość. A w każdym razie możliwość stworzenia sobie przyszłości. Moglibyśmy poprawić wasz status. Obecnie jesteście w niewiele lepszym położeniu niż wtedy, kiedy siedzieliście w obozie.

- Więc chcecie, żebym pomagał w poszukiwaniu i niszczeniu tybetańskich zabytków?

Ming zmarszczył brwi.

- Kieruję muzeum, nie składnicą złomu.

- Wczoraj widziałem, co z nimi robicie - rzekł z naciskiem Shan.

- Chodzi wam o te ozdóbki? To były śmiecie. Balast polityczny. Wycofanie ich z użycia było przysługą dla tego kraju. Tutejszych ludzi trzeba uczyć wszystkiego od podstaw. Są jak dzieci. To element ich edukacji, przysposobienia do życia w nowym stuleciu.

- Miałem przyjaciela imieniem Surya, który powiedział mi kiedyś, że sztuka jest w bóstwie, które ją ogląda. Dla tych ludzi te przedmioty były sztuką... I czymś więcej.

Ming opróżnił swoją butelkę.

- Bóstwo to, bóstwo tamto... Odnoszę wrażenie, że to wymówka, którą posługuje się każdy Tybetańczyk, żeby nic nie robić. Usprawiedliwienie lenistwa.

Shan utkwiał wzrok w butelce, którą trzymał w dłoni, przypominając sobie ból odciskający się na twarzach Tybetańczyków na dziedzińcu przekształconej w zajazd gromy, gdy rozcinano i patroszono ich ukochane posążki ołtarzowe. Jakaś stara kobieta trzymała się za brzuch, jakby rozdzierano ją samą.

Poczuł na sobie spojrzenie Minga. Dyrektor westchnął.

- Muszę być bardziej tolerancyjny - stwierdził. - Przepraszam. Mam dla was wiele uznania. Bez wątpienia to dzięki swojej wrażliwości jesteście dla nas tak cenni.

Wysłuchawszy tego, Shan długo wpatrywał się w widok za oknem. Odtwarzał w pamięci sceny z terenu wykopalisk. Dyrektor nie bez powodu rozdzielił go z Yao.

- Nie mam zezwolenia na pracę - powiedział.

- To może załatwić jedna rozmowa telefoniczna. Mogę wam urządzić mieszkanie w zajazdzie. Samochód osobowy, a przynajmniej dostawczy. - Ming zwolnił i zaczął lawirować wśród chmary rowerów, nieomylnego znaku, że zbliżają się do miasta. - Mógłbym was upoważnić do zatrudnienia Tybetańczyków - dodał ostrożnie. - Powiedzmy pięciu albo sześciu. Będę negocjował z Urzędem do spraw Wyznań w sprawie przejęcia kompleksu poklasztornego w imieniu muzeum. Moglibyście odrestaurować go wedle uznania, za pieniądze z Pekinu.

- Jest pułkownik Tan i inspektor Yao - odparł Shan. Nagle nakazał sobie czujność.

- Tan to dinozaur. Nietrudno będzie się go pozbyć, kiedy przyjdzie pora. Yao może zostać odwołany. Możliwe, że źle coś Rozumiał, zbyt gwałtownie zareagował. Nie naje się wstydu, nie będzie żadnej plamy na jego życiorysie. Po prostu istnieje ryzyko, że źle określi charakter przestępstwa. Kto jak kto, ale dobrze wiecie, czym to może grozić. Zrozumcie, że w

ten sposób tylko mu pomożecie, a przy tym pomożecie nam wszystkim, zwłaszcza sobie i swoim tybetańskim przyjaciółom.

Shan poczuł nagle, że zaschło mu w ustach. Walczył z pokusą, żeby sięgnąć do tyłu po jeszcze jedną butelkę ze skrzynki.

- Być może - powiedział wolno - mógłbym wykazać, że złodziej był Tybetańczykiem działającym z motywów politycznych i że poniósł śmierć, być może po zniszczeniu skradzionego dzieła sztuki.

Ming skłonił z szacunkiem głowę.

- Rehabilitacja człowieka o waszym instynkcie może pójść jak z płatka - stwierdził i zerknął na Shana z ironicznym uśmiechem. - Czytałem coś o lamach - dodał po chwili - o tym, że czasem pomagają umierającym odnaleźć nowe wcielenie. Chcę być dla was takim lamą.

Gnali przez miasto. Shan przyglądał się ulicom. W jednym z zaułków mignął mu stary mężczyzna w czarnych łachmanach. Pchał wózek. Mógł to być Surya zbierający fekalia albo po prostu jeszcze jeden tybetański wieśniak wiozący na targ swe mizerne plony.

- Wasz pomocnik potrzebowałby mapy miejsc, które zamierzacie zbadać. Starej gompy, grot - odezwał się Shan.

Ming wzruszył ramionami.

- Każdy kierownik zespołu już taką ma - odparł. Wyciągnął kartkę z leżącej między nimi tekturowej teczki i podał ją Shanowi. - Możecie być moimi oczami. Wyszło na jaw coś nowego. Gdzieś w górach jest wielki złoty posąg Buddy. Chcę go mieć, Shan. Znajdźcie go dla mnie, a ja dam wam nowe życie.

Czy to arogancja zaślepiła tak tego człowieka, zastanawiał się Shan, czy tylko jego polityczne ambicje?

- Zanim skończymy, znajdę go - obiecał.

- Doskonale. To nasz mały sekret.

- Z pewnością panna McDowell wie o tym - napomknął Shan.

- To nasz mały sekret - powtórzył Ming.

O ile trudno było pojąć, co dzieje się wśród Tybetańczyków w górach, pomyślał Shan, o tyle zrozumienie, jaka gra toczy się między przyjezdnymi w Lhadrung, wydawało się niemożliwością.

- Wszelka władza opiera się na sekretach - odezwał się po chwili.

Ming zerknął na niego z rozbawieniem.

- Co macie na myśli? - zapytał.

- Sekretne modlitwy. Sekretne groty. Sekretna korespondencja cesarza. Zaginiony sekretny list wskazujący na związek Lhadrung z kradzieżą malowidła w Pekinie.

Ming zwolnił i przyjrzał mu się nieufnie.

- To skutek niekompetencji pekińskiej milicji - stwierdził.

- To wy go znaleźliście, wy wyjaśniliście, co się za nim kryje.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Renowacja pałacyku odbywała się pod moim kierownictwem. Byłem tam już w godzinę po zgłoszeniu kradzieży.

- Ale to niesamowity zbieg okoliczności, że znaleźliście ten list właśnie wtedy.

- Wcale nie. W ścianie za malowidłem była jakaś stara wnęka, która pierwotnie otwierała się na sąsiednie pomieszczenie, ale dawno temu została zamurowana.

Shan uświadomił sobie, że Ming właśnie mu wyjawiał, gdzie znalazł tajne listy ambana.

- Stwierdziliście, że ten list jest dowodem, iż kradzież malowidła była przestępstwem politycznym - powiedział. - Ale gdyby tak było, złodzieje musieliby się ujawnić, złożyć oświadczenie.

Ming zapalił papierosa.

- Wystraszyliśmy ich, przepłoszyliśmy ich w góry. Na razie się ukrywają. To, że znaleźliście Lodiego, dowodzi, że mam rację. - Wydmuchnął strugę dymu w stronę Shana.

- Zabójcy Lodiego nadal są w górach - zauważył Shan, Przyglądając się Mingowi.

- Zabójcy? - Wargi dyrektora wygięły się w skąpym uśmiechu. - Mamy już przyznanie się do winy. Być może zapomniałem wam o tym powiedzieć. Kazałem je przepisać na maszynie i dałem do podpisu. Suryi i dwóm oficerom jako świadkom. Tak na wszelki wypadek. Shan spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Nie - odparł spokojnie. - To zrobił wysoki Mongoł, który nazywa się Khan i pali słodkie cygara, oraz niski Chińczyk nazwiskiem Lu.

Ming znów przyhamował. W jego oczach nie było niepokoju jedynie isierki emocji.

- Zważywszy na wnikliwość waszego umysłu, towarzyszu, zdumiewa mnie, że potrzebujecie wyjaśnień. Sarni przyznaliście, że Lodi został zabity. Mam podpisane przez Suryę zeznanie, że zabił w górach człowieka. Nie ma potrzeby wszczynać śledztwa. Wykonaliście całą niezbędną robotę, dowiedliście przestępstwa. Ja muszę tylko oficjalnie otworzyć sprawę, przedstawić zeznanie Suryi wraz z własnym oświadczeniem, które je potwierdzi, i Surya stanie przed plutonem egzekucyjnym.

Jeśli Shan postanowi ścigać Khana i Lu, ostrzegął Ming, on już dopilnuje, żeby Surya został stracony. Khan i Lu byli rywalami Minga, a jednak dyrektor nie mógł sobie pozwolić na to, by zostali aresztowani.

- Czego dokładnie ode mnie oczekujecie?

- Mówiłem wam już. Pracujcie dla mnie. Korzystajcie z moich bogatych zasobów. Wykażcie się w górach. Mnisi skrupulatnie zapisywali wszystko, co działo się w starych klasztorach. Nawet dwieście lat temu. Przynieście mi te zapiski. Odnajdźcie Buddę z Gór. Ustalcie szczegóły podróży ambana. Możecie to zrobić. Być może tylko wy.

Shan utkwiał w Mingu chłodne spojrzenie.

- Powiedzcie mi, co zrobiliście Suryi, kiedy spotkaliście go w górach - zażądał.

- Nic. Rozmawialiśmy o sztuce. Powiedziałem mu, że zbieram malowidła, że mam więcej dzieł sztuki, niż kiedykolwiek widział na oczy.

- Powiedzieliście mu, że jesteście opatem? Na twarz Minga powrócił skąpy uśmiech.

- Rozmawiając z tymi ludźmi, trzeba się posługiwać **słowami**, które potrafią pojąć. Nie mogłem mu powiedzieć po prostu, że jestem dyrektorem muzeum, prawda? - Sprawiał wrażenie zadowolonego, że w oczach Shana widzi bezradność.

Nagle Shan uświadomił sobie, gdzie są, na jaką drogę skręcił Ming na ostatnim skrzyżowaniu. Gardło znów wyschło mu na wiór. Ścierpła mu skóra.

- My chyba nie... - chciał zaprotestować. Mimo woli wcisnął się głębiej w fotel. Tą szosą można było dotrzeć tylko w jedno miejsce. Na teren 404. Ludowej Brygady Budowlanej.

- Ależ tak - odparł Ming, znów rozbawiony. - Pułkownik stwierdził, że to najlepsze miejsce. Bezpieczne. Zapewniające dyskrecję. Blisko więźniów, blisko żołnierzy.

Gdy dwie minuty później Ming ostro zahamował, Shan przyłapał się na tym, że zaciska dłoń na swoim obozowym numerze wytatuowanym na przedramieniu.

Pięćdziesiąt metrów od bramy za obozowym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym stał ogromny wojskowy namiot. Przed namiotem, zwrócone do niego tyłem, parkowały cztery wojskowe ciężarówki, na które ładowano właśnie drewniane palety z jakimś sprzętem i skrzyniami. Shan, pokonując swe opory, wysiadł z samochodu i zaczął się temu przyglądać, jednak jego wzrok mimo woli raz po raz wędrował w stronę obozu. Wreszcie znalazł ocienione miejsce przy przednim rogu namiotu i kucnął tam, obserwując teren za drutami.

Większość więźniów oczyszczała pola u stóp urwisk na drugim końcu doliny. Ale chorzy, ranni i umierający jak zwykle pozostali w obozie. Postacie w obszarpanych,

podobnych do pizam strojach kuśtykały po placu między barakami, trzymając się z dala od białej linii nakreślonej wapnem na ziemi trzy metry od ogrodzenia, wytyczającej strefę śmierci, w której więźniowie nie mieli prawa postawić nogi. Shan walczył z ogarniającymi go falami emocji. Za drutami byli jego przyjaciele, najdzielniejsi, najsilniejsi, a przy tym najbardziej pogodni ludzie, jakich kiedykolwiek znał. Ludzie, którzy go ocalili, którzy dali mu nowe życie, którzy na zawsze odmienili Jego widzenie świata. Wciąż żyli tutaj, w łachmanach, na pół zagłodzeni. Przed oczyma przemknęły mu zapamiętane sceny: leżący na ziemi stary człowiek z wybitym zębem przyłapany na odmawianiu różańca, młody mnich zabity strzałem w głowę za podżeganie do protestu przeciwko naczelnikowi obozu, esh siedzący w śniegu z dwoma starymi lamami, modlący się za dusze strażników. Nagle zorientował się, że stoi w wysokiej trawie po drugiej stronie drogi, z ręką wyciągniętą ku przygarbionej postaci człapiącej między barakami. Chciał do niej zawołać, ale z gardła wydobył mu się tylko szloch. Za jego plecami wszczął się nagły ruch, obozowi strażnicy rzucili się ku niemu, klnąc pod nosem. Mimo że w ich głosach brzmiał gniew, wydawali mu się odlegli i nieistotni. Ruszył ku ogrodzeniu i wszedł w strefę śmierci otaczającą obóz, nagle rozpaczliwie pragnąc ujrzeć twarze więźniów.

Cios pałką w tył kolan powalił go na ziemię. Upadł, instynktownie zwijając się w kłębek. Przycisnął podbródek do piersi, podciągnął nogi do brzucha, rękoma objął kark. Po długiej chwili uświadomił sobie, że nic się nie dzieje, żaden kij nie spada mu na głowę czy plecy, nie kopie go żaden but. Uniósł wzrok i ujrzał nad sobą dwóch strażników. Stali z pałkami przy pasach i przyglądali mu się z okrutnym uśmiechem. Za nimi tłoczyli się inni, kilku żołnierzy, paru więźniów. I Yao. Gdy Shan rozprostował kończyny i wstał, inspektor odszedł w cień, jakby nie chciał, aby Shan wiedział, że na to patrzył.

- Idiota - warknął jeden ze strażników.

- Przyjdzie jeszcze czas, Shan - syknął drugi. - Trzymamy dla ciebie miejsce. Wrócisz.

- Machnięciem ręki nakazał Shanowi, żeby wracał pod namiot, ze śmiechem poklepał po plecach kolegę strażnika i wrócił na swój posterunek przy bramie.

Shanowi zrobiło się słabo. Usiadł na stopniu jednej z ciężarówek, przyglądając się Mingowi i Tanowi, którzy dyskutowali kilkanaście metrów dalej. Załadunek postępował w szaleńczym tempie. Shan rozpoznał kilku strażników, których poprzedniego dnia widział w zajeździe, i kierując się twardym spojrzeniem jednego z nich, zauważył szczupłego chłopaka w ciemnoniebieskim obozowym drelichu. Ko wciąż miał na wargach chłodny, drwiący uśmiech i Shan zaczął się zastanawiać, czy nie jest to jego stały wyraz twarzy. Niósł pudło do ciężarówki. Szedł wolniej niż inni wokół niego, a jego oczy pod opuszczonymi powiekami

biegały niespokojnie. Obserwował innych pracujących, przyglądał się otwartym drewnianym skrzyniom, z których przeładowywano do plecaków sprzęty kuchenne, śpiwory i zapasy żywności, zerkał ukradkiem na strażników.

Nagle jeden z więźniów, dźwigający plastikową beczkę z wodą, potknął się i upuścił ją na ziemię. Beczka pękła, obryzgując wodą wszystkich dookoła. Praca ustała. Strażnicy wrzeszczeli na pechowca, żołnierze zanosili się śmiechem, a jeden z asystentów Minga podbiegł do więźnia i zwymyślawszy go, kazał mu wrócić do pracy. Shan patrzył na to jedynie kątem oka, bo gdy inni obserwowali tę scenę, Ko zboczył z trasy i podszedł ze swym pudłem do stosu skrzyń, gdzie nie zwalniając kroku, szybkim ruchem porwał coś i wepchnął to za koszulę.

Gdy Ko zbliżał się do ciężarówki, Shan podszedł do skrzyni, którą zainteresował się jego syn. Był w niej rozmaity sprzęt. Lornetki, saszetki do paska, menażki, nawet składane łopaty. Ale Ko zabrał coś małego. Blżej przedniej ścianki leżały solidne wojskowe kompasy i scyzoryki. Ko musiał zabrać kompas albo scyzoryk, a być może jedno i drugie.

Shan przyglądał się, jak chłopak lawiruje w tłumie robotników, wpychając się przed starszych mężczyzn z trudem taszczących ciężary. Postawiwszy kolejne pudło na platformie ciężarówki, Ko zaczął się kręcić koło stojących w szeregu żołnierzy, unosząc w górę dwa palce, dopóki jeden z nich nie poczęstował go papierosem. Chłopak z wyniosłą miną oparł się o inną ciężarówkę i palił, rozglądając się dookoła. Gdy zobaczył, że jeden z asystentów Minga stawia na stole blaszany kubek z parującą herbatą, szybko, obojętnie przeszedł obok stołu, ukradkiem ściągnął kubek i wrócił z nim do ciężarówki, gdzie wychylił jego zawartość. Rzucił puste naczynie w cień pod ciężarówką i znów zaczął śledzić otoczenie sennymi, półprzymkniętymi oczyma. Na chwilę zatrzymał wzrok na Shanie, ale tylko wydmuchnął w jego stronę kłęb dymu. Nie poruszył nawet mięśniami, gdy tuż obok niego stary Tybetańczyk upuścił Pudło, z którego wysypał na ziemię naboje z gazem do kuchenek i jedzenie w puszkach.

- Kazałem przydzielić go do nas - odezwał się nagle Yao, stając obok Shana. - Jako tragarza. Nie mieliście jeszcze okazji się przywitać.

- Nie - odparł szybko Shan. - Nie chcę go widzieć. - Spojrzał na Yao. Inspektor pakował do plecaka jeden z przewodników dla pielgrzymów. - Usuńcie go z naszej ekipy. Odeślijcie go - powiedział ostro. Ból, który odczuwał w tej chwili, był dla niego czymś nowym: dziwna mieszanina odrazy, gniewu, strachu i winy. I nieoczekiwane poczucie osamotnienia. Nie miłość, z pewnością nie sympatia, po prostu przeszywająca samotność. Całymi latami wyobrażał sobie, jak jego syn biega, radośnie bawiąc się z innymi dziećmi,

czyta stare księgi, chodzi do świątyń, żeby złożyć ofiary przodkom, jak zawsze robił Shan. Ale prawdziwy Ko był okrutnym, aroganckim, zdeprawowanym młodocianym przestępcą. Im większe złudzenia, tym bardziej gorzka jest prawda.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Elizabeth McDowell. - Yao wymówił to nazwisko z niechęcią, jak gdyby była to prawda, której nie miał zamiaru przyjąć do wiadomości. Wróciwszy do biura Tana, zastał kolejną wiadomość z FBI. - Postanowili sprawdzić historię podróży wszystkich osób, których nazwiska dostali. Leciała z Lodim przez całą drogę, nie tylko z Pekinu do Lhasy, ale także z Seattle do Pekinu.

- Ona знаła kolekcję Dolana. Lodi potrzebował pomocy - stwierdził Shan. Nie zaskoczyła go ta wiadomość, lecz to, jak bardzo wzburzyła Yao. - Byli współnikami we wszystkim. - Spojrzał w stronę doliny. - Ona doceniłaby ironię tego, co się dziś wydarzyło - dodał niepewnie, rozglądając się, żeby sprawdzić, czy nikt poza Yao go nie słucha. - To był swego rodzaju hołd dla Lodiego.

Yao spojrzał na niego pytająco.

- Ten grób był takim samym fałszerstwem jak niektóre z zabytków, które Ming wystawia w Pekinie - wyjaśnił cicho Shan. - To były po prostu fundamenty starego czortenu, starego sanktuarium. Wieśniacy z doliny znają przypuszczalnie dziesiątki takich miejsc, zagrzebanych, odkąd zburzono górną część świątyń.

- Ale ta szata, ten stary dekret...

- One były prawdziwe. Podłożono je tam, żeby nadać znalezisku pozory autentyczności.

- Chcecie powiedzieć, że Ming sfabrykował to odkrycie?

- Nie. Zrobił to ktoś inny, żeby go oszukać. Jak wiecie, Ming kłamał, że znalazł list sugerujący, iż malowidło cesarza zostało zabrane do Lhadrung, kłamał, bo potrzebował pretekstu, żeby tutaj przybyć. A teraz ktoś okłamuje jego. Tam nie żadnych kompletnych szkieletów. Wielu ludzi wie, gdzie można znaleźć stare czaszki i kości. A tę szatę widziałem na wzgórzach. - Shan nie był pewien, czy nie składa właśnie w ofierze siebie lub wielu innych osób. Odkrywał w Yao cechy którym zaczął, nie bez oporów, ufać, ale też takie, które to zaufanie podkopywały.

- Ta szata... Dlaczego ktokolwiek miałby oddać coś tak cennego tylko po to, żeby nabrać Minga? I przypuszczam, że ci, którzy to zrobili, woleliby, żeby sądził, iż grób ambana by} na północy.

- To prawda. Ale teraz są zdesperowani. Mogą tylko odwracać jego uwagę tu, na miejscu, gdyż tutaj właśnie są. Dziś podrzucili mu skarb polityczny, dość, żeby oderwać go na parę dni od innych spraw. Wkrótce się zorientuje, że znalezisko zostało sfabrykowane na jego użytek, lecz będzie trzymał się oficjalnej wersji, bo odpowiada mu ona pod względem politycznym. Najbardziej jednak zależy mu na skarbach ambana. Myśli, że jego rywale nie wiedzą o odkryciu przez Tybetańczyków Buddy z Gór, więc może zająć się tym bez pośpiechu. To dlatego chciał mnie zatrudnić: żeby stopniowo ogołocić tutejsze sanktuaria. Ale ogromnie zależy mu na zapiskach, które powiedziałyby mu, gdzie szukać skarbów ambana. Kiedy uświadomi sobie, że grób został sfabrykowany, uzna, że jego rywale zrobili to, bo są bliscy zwycięstwa, bo się upewnili, że te skarby są na północy, i chcą go zatrzymać w Lhadrung.

Yao pokiwał głową. Musiał przyznać mu rację.

- Dojdzie do wniosku, że Khan i Lu nigdy nie pozbyliby się czegoś tak cennego jak ta szata, gdyby nie byli pewni, że mają coś o wiele cenniejszego.

- Jeśli uzna, że była to sprawka Khana i Lu, będzie to jego największy błąd - stwierdził Shan. - Nigdy nie przysłoby mu do głowy, że Tybetańczycy mogliby uknuć taki podstęp. A oni chcieli tylko zatrzymać go w dolinie, żeby ochronić coś cenniejszego niż ta szata.

- Jego pracownicy idą w góry.

- Ale nie mają pojęcia, czego on naprawdę szuka, wiedzą tylko, że muszą go zawiadomić, jeśli cokolwiek znajdą. W żadnej mierze nie zagrażają jego planom.

- Ming nie da za wygraną - oświadczył Yao. - Nie przestanie, dopóki nie znajdzie czegoś, co pozwoli mu ustalić, gdzie na północy ukryto skarb ambana.

- Oznacza to, że zajmujecie się niewłaściwym przestępstwem.

- Co macie na myśli?

- Nie dojdziemy prawdy na temat malowidła cesarza i skradzionej kolekcji Dolana, jeśli nie rozwikłamy tajemnicy śmierci ambana. Dlatego nie pójdziemy do groty, którą wyznaczył nam Ming - odparł Shan. - Cesarz już nam powiedział, dokąd powinniśmy się udać. Nawet sam Ming wskazał nam to miejsce.

- Co przez to rozumiecie?

Shan wyciągnął mapę, którą zabrał z samochodu dyrektora.

- Tutaj są zaznaczone miejsca poszukiwań wszystkich ekip - wyjaśnił, wskazując symbole narysowane w odległych pasmach górskich, dwa współśrodkowe kółka wokół każdego z domniemanych sanktuariów pielgrzymkowych, do których zmierzały nowe grupy poszukiwawcze. - Ming doszedł do wniosku, że Lodi nie bez powodu został zabity akurat w Zhoce. Wróci tam prędzej czy później, kiedy uzna, że nic mu tam nie grozi. Ale cesarski dekret w tym „grobie” był również przynętą. Ktokolwiek dopisał te słowa u dołu, próbował skierować poszukiwania w stronę Zetrul Puk. - Wskazał punkt trzydzieści kilometrów na północ od Zhoki. - Ze wszystkich wytypowanych miejsc to jest najbardziej oddalone od Zhoki. Ktokolwiek sfabrykował ten „grób”, chciał odciągnąć Minga jak najdalej od Zhoki, zyskać trochę na czasie.

- Zabójcy Lodiego wciąż muszą tam być - odezwał się po chwili Yao. - Ukryci pod ziemią. Corbett prędzej czy później również to zrozumie i wróci do ruin. Ale jak się tam wyrwiemy Przy takiej obstawie? - zapytał, wskazując idącą przed nimi kolumnę żołnierzy i ludzi Minga. - Oni mają krótkofalówki. Jeśli się odłączymy, doniosą o tym Mingowi.

- Jeden z nas upadnie i skręci sobie kostkę. Tam - powiedział Shan, wskazując miejsce, gdzie ich szlak przecinał ścieżkę prowadzącą na południe. - Mniej więcej za godzinę. Jarugi zostanie z nim do pomocy, a reszcie powiemy, że mogą iść dalej. Potrafię znaleźć drogę do gompy.

- Też mi plan - mruknął Yao. Wzruszył ramionami. - Mam słabe kostki - dodał szeptem.

Ale piętnaście minut później idący na czele żołnierz zatrzymał się i ostrzegawczo uniósł rękę. Ścieżką z góry pędziła na złamanie karku jakaś postać. To potykała się, to przeskakiwała kamienie, raz po raz przystając, żeby obejrzeć się za siebie po czym znów się zrywała do biegu. To jakiś pasterz, pomyślał Shan, pewnie z wyższych partii gór, próbujący ukryć się przed wojskiem. Stojący z przodu żołnierz, dowódca eskorty, przypatrzył się samotnej postaci przez lornetkę, zaklął i na migi nakazał wszystkim schować się między skały przy ścieżce.

Shan ukrył się wraz z innymi, jednak niecałą minutę później ostrożnie wyjrzał z kryjówki. Biegący, teraz niemal na ich wysokości, miał naciągniętą na oczy czarną wełnianą czapkę i brudnozieloną wojskową kurtkę. Był już tylko piętnaście metrów od Shana, kiedy dowódca eskorty wyskoczył spomiędzy skał i uderzył kolbą karabinu w pochyloną głowę mężczyzny. Gdy ten zachwiał się i padł na ziemię, czapka zsunęła mu się z głowy. Był to Ko.

Shan nie pamiętał, jak rzucił się ku niemu, jak po osuwających się kamieniach gramolił się na ścieżkę, wiedział tylko, że nagle znalazł się przy chłopcu i trzymał w dłoniach jego głowę, ocierając krew z rany po uderzeniu kolbą.

- Pieprzony uciekinier - warknął żołnierz, który zranił jego syna, i sięgnął po krótkofalówkę.

Ko zamrugał i otworzył oczy. Potoczył dookoła dzikim, nieprzytomnym wzrokiem i na chwilę zatrzymał spojrzenie na Shanie. Wydawało się, że go rozpoznał. Z odrazą odepchnął jego rękę.

- Krwawisz - powiedział przez ściśnięte gardło Shan. Ko wykrzywił usta w znajomym kpiącym uśmiechu. Podźwignął się na łokciach, odczołgał na bok i zaczął się podnosić z ziemi. Żołnierz, który go powalił, westchnął głośno i przydepnął mu nogę, żeby go unieruchomić. Uniósł do ust krótkofalówkę.

Shan tępo wpatrywał się w syna, wyciągając ku niemu dłoń, ale cofnął ją, bo chłopak patrzył na niego z nienawiścią, jakby to właśnie on go uderzył.

- Nic nie wiesz - warknął.

Do Shana dotarły odgłosy kłótni. Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że Yao ściąga w dół trzymającą radio rękę żołnierza.

- Mylicie się - wyjaśniał inspektor. - Nie ma potrzeby reagować tak ostro.

- To przestępca - warknął żołnierz. - Uprzywilejowany więzień, który uciekł ze swojej ekipy. Trochę za wiele zaufania. W ogóle nie powinni byli ściągać ich tutaj. Po roku albo dwóch za drutami robią się jak zwierzęta. Mógłbym go zastrzelić i nikt nie powiedziałby mi złego słowa.

Shan stanął między żołnierzem a Ko. Yao zerknął na niego nerwowo.

- On nie jest z Lhadrung - ciągnął. - To nie jest więzień z Czterysta Czwartej. Został tu specjalnie sprowadzony z Xinjiang, żeby nam pomóc. I wcale nie ucieka.

Shan przyglądał się, jak palce Ko zaciskają się na ostrym kamieniu, którym najwyraźniej zamierzał trzasnąć żołnierza w goleń.

- Prosiłem go, żeby do nas dołączył - mówił Yao. Ko zastygł w bezruchu. - Zgubiłem swój odbiornik GPS i poprosiłem go, żeby przyniósł mi inny z magazynu.

- Ja nie powierzyłbym takiemu jak on tego rodzaju sprzętu - mruknął żołnierz, spoglądając to na Shana, to na Yao.

Inspektor wyjął skórzane etui ze swoją legitymacją służbową i otworzył je pstryknięciem.

- Ja to zrobiłem - rzekł z naciskiem i wyciągnął wolną rękę, wnętrzem dłoni do góry, w stronę Ko.

Ko wypuścił kamień. Wpatrywał się w Yao, zaciskając zęby, ale w końcu, zerknąwszy na karabin, sięgnął za pazuchę, wyjął plastikowy przedmiot wielkości dłoni i podał go inspektorowi.

Żołnierz wyraźnie stracił rezon. Spojrzał na urządzenie, Potem na legitymację w dłoni Yao.

- Tak jest - powiedział i cofnął nogę, uwalniając Ko. Dał znak pozostałym, żeby wrócili na szlak. - Odtąd wy za niego odpowiadacie, towarzyszu inspektorze - dodał urażony. - Powiadomię tamtą ekipę. Będą zadowoleni, że się go pozbyli, kryminaliści - splunął, patrząc tym razem nie na Ko, ale na Shana, po czym zarzucił sobie karabin na ramię i poszedł za resztą grupy.

Gdy Ko chciał ruszyć w przeciwną stronę, Yao stanął mu na drodze.

- Jak słyszałeś, teraz ja za ciebie odpowiadam - oznajmił. - Uratowałem cię ze względu na twego ojca - dodał, wskazując palcem Shana. - Tylko ten jeden raz. Ucieknij od nas, a nie odezwę się słowem, kiedy będą do ciebie strzelać.

Na twarzy Ko odmalowało się zmieszanie. W milczeniu przyglądał się Shanowi spod przymkniętych powiek.

- Sukinsyny - warknął i zawrócił pod górę.

Godzinę później, tuż po tym, jak minęli ścieżkę wiodącą na południe, Yao krzyknął z bólu. Shan uniósł wzrok. Inspektor leżał na głazie, trzymając się za kostkę. Żołnierz dowodzący ich eskortą biegł w jego stronę, żeby sprawdzić, co się stało. Shan rzucił się naprzód, chcąc przed nim dotrzeć do Yao. Podciągnął inspektorowi nogawkę i pospiesznie owinał mu nogę zrolowaną chustką do nosa.

- To skręcenie - wyjaśnił żołnierzowi, ciasno zawiązując prowizoryczny opatrunek. - Na dzisiaj koniec z chodzeniem.

Yao natychmiast polecił, żeby grupa szła dalej, i zapewnił, że obaj z Shanem dołączą do nich następnego dnia w grocie.

- Będziemy potrzebowali pomocy! - zawołał Shan za odchodzącym dowódcą eskorty. - Może trzeba go będzie nieść!

Żołnierz bez wahania dźgnął kciukiem w stronę Ko i kazał mu przepakować zapasy na trzy osoby do plecaków Shana i Yao. Dziesięć minut później główna część ekipy zniknęła za wzgórzem. Gdy Yao pochylił się, żeby rozwiązać chustkę Shana, Ko rzucił jeden z plecaków na ziemię przed ojcem.

- Okłamaliście go. - W jego głosie zabrzmiała nuta ciekawości.

- Postanowiliśmy pójść inną drogą - odparł Shan. Yao podniósł plecak i wcisnął go chłopakowi.

- Sprawa wygląda tak: jeśli uciekniesz, nie będę się tobą przejmował, po prostu wezwę wojsko. Nie strażników z obozu, ale oddziały górskie. Oni użyją helikopterów z aparaturą termowizyjną. Jeśli będziesz miał szczęście, wcześniej dopadnie cię pantera śnieżna. Jeśli żołnierze cię znajdą, wsadzą cię do helikoptera. Potem wyrzucą balast. Wiesz, co to oznacza?

Ponura mina, z jaką Ko rozejrzał się po jałowej, skalistej okolicy, powiedziała Shanowi, że jego syn zrozumiał. Chłopak założył plecak. Ze ściągniętą gniewem twarzą drwiąco się uklonił, po czym kiwnął na Shana, żeby ruszył przodem.

Dotarli do Zhoki godzinę przed zmrokiem. Zbliżali się w milczeniu, uważnie się rozglądając i nasłuchując. W ruinach zdawał się panować niezwykły ziąb. W szczelinach spękanych murów nieustannie jęczał wiatr. Ko zwolnił kroku. Na jego twarzy pojawiła się niepewność. Zdjął plecak i trzymał go teraz przed sobą, jakby szukał za nim osłony.

- To stare więzienie - powiedział, gdy przystanęli na obrzeżu gomy. - Wiem to, czuję. Spójrzcie tylko - dodał głucho.

Jego słowa zaskoczyły Shana. Ponownie rozejrzał się po ruinach, jakby po raz pierwszy widział ten labirynt skalnych ścian, pył, który kłębił się w podmuchach zimnego wiatru i układał w zmienne, złowieszcze cienie, plamy czerni wskazujące wyloty podziemnych korytarzy.

- Oni zawsze mieli więzienia, zawsze zabijali ludzi tysiącami - ciągnął Ko. - To się czuje. - Nie zwracał się do nikogo konkretnego. Kiedy obejrzał się i spostrzegł, że Shan go słucha, jego twarz znów wykrzywił szydery grymas. Nałożył plecak i przepchnął się obok ojca.

- To nie jest więzienie - odezwał się Shan do jego pleców. - To klasztor. Miejsce, w którym żyli lamowie.

Myślał, że jego syn tego nie usłyszał. Ale Ko po chwili obejrzał się przez ramię.

- Jesteś głupcem, jeżeli nie widzisz, że to miejsce śmierci - mruknął i ruszył dalej.

Obeszli dokoła zewnętrzny skraj ruin, rozglądając się bacznie, raz po raz przystając, by nasłuchiwać. Mijali niesamowite strefy ciszy tworzące się w miejscach osłoniętych Przed wiatrem resztkami starych murów. Kiedy pod jedną ze ścian przemknął pika, Shan spostrzegł, że Ko się skulił i zacisnąwszy pięści, nerwowo obserwuje mury. Chyba wyczuł wzrok ojca, bo wściekle spojrzął mu w oczy, wyprostował się i przepchnął się na czoło.

- Tam! - zawołał ostrzegawczo, gdy dotarł do następnej ściany. - W tym cieniu są ludzie. To zasadzka.

Do ich uszu dotarł nowy odgłos, słaby, lecz nieprzerwany. Ciche mruczenie.

Shan ruszył w jego stronę, trzymając się cienia. Nagle zauważył dwoje ludzi kulących się przy nikłym ogniu z jaczego łąjna: potężnego mężczyznę w brązowym filcowym kapeluszu i brudnej długiej baranicy oraz siedzącą na jego kolanach dziewczynkę, którą mężczyzna pocieszająco klepał po plecach. Gdy Shan podszedł bliżej, uświadomił sobie, że mężczyzna nie mówi ani nie płacze, ale nuci.

- Potrzebujecie pomocy? - zapytał cicho po tybetańsku.

- Jeśli pyta pan, czy wszystko w porządku - odpowiedział po angielsku mężczyzna, gdy Shan wszedł w krąg światła z ogniska - nie pogardziłbym pizzą i piwem. - Był to Corbett, a tulił do siebie Dawę.

Yao podbiegł do Amerykanina i podał mu butelkę wody z ich zapasów.

Dawa wyglądała na wyczerpaną. Mruknęła coś na powitanie i umościła się wygodniej w ramionach Corbetta, opierając głowę na jego barku. Pijąc wodę, Amerykanin zauważył, że Shan rozgląda się dokoła, starając się coś dojrzeć w ciemnościach.

- Musiałem tu wrócić, żeby zrozumieć, dlaczego Lodi zginął właśnie tutaj. Lokesh powiedział, że wie, o co mi chodzi, ale dodał, że myślę się co do przyczyny, że przyszedłem tu z tego samego powodu co on: z powodu uśpionych bóstw. Powiedział, że te ruiny są jak dom pełen pogrążonych we śnie świętych, których ktoś próbuje zamordować w łóżkach. - Bezradnie spojrział na Shana.

- Lokesh odszedł - podjął po chwili. - To znaczy jest tutaj, ale nie ma go z nami. Przyszliśmy tu wczoraj we trójkę. Mówił, że musi odszukać pewnego starego lamę. Kiedy nie znalazł go w ruinach na powierzchni, powiedział, że poszuka dróg pod ziemię. To było ponad dziesięć godzin temu - szepną zatroskany.

- Do miejsca, gdzie była krew - dobiegł cienki, stłumiony głosik z barku Corbetta - do mroku, gdzie czeka śmierć.

- Czy Fiona... - odezwał się Shan.

- Nic jej nie grozi - odparła Dawa, unosząc głowę. - Ale kiedy dowiedziała się, że nie miałam czasu zrozumieć Zhoki, wysłała mnie z powrotem z wujkiem Jarą. Powiedziała, że skoro przyjechałam w góry tylko na krótko, to najlepiej będzie, jak tutaj spędzę ten czas. Ale ledwie tu dotarliśmy, przyszła Liya i zabrała aku Jarę. Kiedy go zapytałam, dlaczego musi iść, powiedział, że to z powodu Buddy z Gór.

- Chcesz powiedzieć, że on się go bał? - zapytał Shan.

- Tak. Nie wiem. Kto to taki, wujku Shan? Co to za Budda z Gór?

- Nie mam pojęcia, Dawo - odrzekł nieco zawstydzony Shan.

Gdy urządzili obóz wokół małego ogniska w zacisznym kącie dwóch na pół zwalonych ścian, Corbett opowiedział, że kiedy odzyskał przytomność, stwierdził, iż ściągnięto zeń zachodnie ubranie i przebrano go w tybetański samodział. Zabrano mu paszport, portfel, notatki, a na szyi powieszono puzderko na amulet. Mówił o tym wszystkim bez urazy, dziwnie obojętnym tonem.

- Chcieli, żebym uwierzył, że wy dwaj nie żyjecie. Myślę, że niektórzy z nich naprawdę byli o tym przekonani. Ale następnego dnia wróciła Liya i zdradziła mi w tajemnicy, że jesteście bezpieczni. Powiedziała, że wie, że będę musiał odejść, ale prosiła, żebym spróbował zrozumieć to, co mówiono o mnie, o tęczy, bo jest to część prawdy o moim życiu. I że nawet jeśli ja sam w to nie wierzę, wszyscy w wiosce uwierzyli i czerpią stąd wielką nadzieję. Mówiła, że jej przykro, że zachowali się jak barbarzyńcy, ale ma moje rzeczy w worku. Oddała mi ją i poprosiła tylko, żebym nosił strój z Bumpari, dopóki nie odejdę, żebym pozwolił tym ludziom wierzyć. Powiedziała, że mogę odejść w każdej chwili i traktować czas, który tam spędziłem, jako zwykłe tybetańskie wakacje.

- Wciąż носи pan to ubranie - zauważył Shan. Amerykanin uśmiechnął się niepewnie.

- Uznałem, że jest wygodne. Obrócił się gwałtownie. Ktoś ku nim biegł. Był to Ko, który poszedł z Yao szukać drewna na opał. Chłopak zatrzymał się, próbując bez powodzenia ukryć wzburzenie.

- Tam jest krew - powiedział, wskazując za siebie. Poprowadził ich do skrzyżowania dwóch uliczek między ruinami murów, gdzie czekał Yao, przyglądając się szkarłatnym kroplom na płaskim gładzie.

- Tu są ślady ciężkich butów - odezwał się inspektor, wskazując zagłębienia w suchej ziemi. - A tu miękkich pantofli. Ten w butach czekał na tego w pantoflach i rzucił się na niego. Walczyli ze sobą, po czym ten w pantoflach się wyrwał. - Yao wskazał mur, na szczycie którego widniały kolejne krople krwi. - Dalej ślad się urywa.

Zjedli niespokojni, w milczeniu. Yao rozkładał koce, a Shan czytał opis Zhoki w przewodniku dla pielgrzymów, gdy nagle Ko zaklął cicho i wystraszony przywarł plecami do najbliższego muru. Shan odwrócił się i ujrzał w mroku jakąś postać kulącą się pod skałą. Gdy Corbett podsycił ogień, a Yao sięgnął po jedną z latarek, Shan wziął koc i podszedł do przybysza.

- Brakowało nam ciebie - powiedział.

Lokesh jedynie mruknął coś na powitanie. Shan przyniósł mu herbatę, ale stary Tybetańczyk nie chciał pić. Corbett dał mu jabłko, ale nie chciał jeść. Potem Dawa po prostu usiadła przy nim i wzięła go za rękę. W końcu oboje usnęli.

- Ta nagroda za mnie... - odezwał się Shan, przyglądając się z Amerykaninem tym dwojgu. - Zgłosiłem się sam. Powinienem dostać od pana sto dolarów.

- To chyba... - zaczął niepewnie Corbett.

- Dam je Lokeshowi, na bilet na autobus dla rodziców Dawy. Powinni przyjechać do domu.

Corbett uśmiechnął się.

- Amerykańscy podatnicy będą zaszczyceni.

Gdy Shan obudził się o świcie, Lokesh siedział ze skrzyżowanymi nogami na jednym z murów, spoglądając na rury. Nie, zorientował się Shan, kiedy podszedł bliżej. Jego stary przyjaciel nie obserwował ruin. On się modlił. Jego dłonie złączone były w rytualnym geście. Shan przystanął i przyjrzał mu się dokładniej. Nie była to mudra, jaką często widywał u Lokesha. Prawa dłoń spoczywała na lewej, środkowe palce i kciuki stykały się jak do pstryknięcia. Była to mudra wojownika, służąca przyzywaniu gniewnych bóstw.

Usiadł obok przyjaciela, szukając odpowiednich słów. Raz po raz otwierał usta, żeby coś powiedzieć, lecz powstrzymywał się natychmiast i wydawał jedynie cichy jęk.

- Co robiłeś w podziemiach przez tyle godzin? - zapytał w końcu.

- Nie widziałem nikogo. Byłem tam, gdzie są stare malowidła. Siadałem w każdej sali, jaką znalazłem. Było bardzo ciemno. W takich ciemnościach nie wiadomo czasem, czy sam się poruszasz, czy to świat porusza się wokół ciebie.

Shan przyjrzał mu się badawczo. Lokesh wciąż prowadził własne śledztwo, na swój sposób, usiłując odkryć naturę zagadkowej gompy.

- Gendun jest tutaj - oznajmił stary Tybetańczyk.

- Nie wiemy tego na pewno.

Lokesh westchnął. Sprawiał wrażenie rozczarowanego tym, co powiedział Shan.

- Nie wiemy tego tak, jak chciałby wiedzieć inspektor. Ale on tu jest. Robi to, co miał zrobić Surya. Przywraca Zhokę do życia. O ile nie jest już za późno - dodał.

Shan spojrział na ruiny. Niektórzy mogliby dostrzec w słowach Lokesha głęboką tajemnicę, inni - uznać, że to starcze głędzenie. Shan sam nie do końca rozumiał, co Gendun robił w mrocznych zakamarkach starego buddyjskiego sanktuarium. Przypuszczał, że przywrócenie Zhoki do życia wiązało się z przemianą w ludziach zamieszkujących okoliczne

tereny. Być może niewiele różniło się to od tego, co zrobili budowniczo wie świątyni ziemi. Było to tak, jakby Gendun udał się do jej wnętrza, aby odnaleźć stary piec, w którym od dziesiątków lat pod warstwą popiołów tlił się ogień, i podsycić ostatnią ekierkę, nim zagaśnie. Ale jak ktokolwiek, nawet święci ludzie z Yerpy, mógłby przywrócić do życia takie miejsce?

Shan wciąż nie rozumiał do końca, czym była Zhoka. Może |° właśnie stanowiło największą tajemnicą, która wyjaśni wszystkie inne. Było to miejsce, w którym dochodziło do wielkich wydarzeń, siedlisko potężnej magii, przybytek oświeconych i bóstw, miejsce, za które dawni Tybetańczycy oddaliby życie.

- Wchodziłem do każdej celi medytacyjnej, jaką znalazłem - odezwał się nagle Lokesh. - Schodziłem do każdej dziury w nadziei, że to tunel. Odkryłem wiele starych malowideł, niektóre wyobrażające postacie, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Poznaliśmy zaledwie maleńką część tego, co było tu niegdyś.

- Ale wszystkie korytarze, które wiodą do głębiej położonych części, są zawałone - zauważył Shan.

- Tak. Znalazłem kilka małych tuneli prowadzących do kaplic, ale z kaplic nie było już przejścia do innych pomieszczeń. Wszystkie były miejscami przygotowań. Do czegoś innego.

Corbett przyniósł im po czarce herbaty. Lokesh napił się, po czym uniósł wzrok i przetarł oczy, jakby właśnie się obudził.

- Znalazłem przedsionek dla pielgrzymów - rzekł. - Chodźcie. - Nie powiedziawszy nic więcej, zszedł z muru i ruszył żwawo ku odległym o pięćdziesiąt metrów ruinom, a pozostali za nim.

Shan uznał, że potężna kupa gruzu jest jakąś zawałoną salą. Nie była jednak zawałona kompletnie i Lokeshowi udało się znaleźć ciasne przejście w głąb dawnej budowli.

Zeszli po wąskich schodach i znaleźli się wśród demonów. Każdy fragment ocalałych ścian i sufitu pokrywały malowidła przedstawiające gniewne bóstwa opiekuńcze. Yao wyciągnął z plecaka swój egzemplarz przewodnika dla pielgrzymów i zaczął go wertować.

- „Przybywający mogą wejść do świątyni ziemi jedynie przez ogród gniewnych bóstw, które czuwają nad nią, nad całym światem i nad niebem w górze”. - Inspektor uniósł na chwilę wzrok i utkwiał spojrzenie w oczach niebieskiego demona nad swoją głową. - „Tu zostawiasz swoje życie za sobą, gdyż jedynie tak możesz osiągnąć niebo po drugiej stronie. Lękaj się albo nie ruszaj w drogę do czterech bram. Stań się czysty, w przeciwnym razie nie odróżnisz niebios od piekła. Bądź zawsze pielgrzymem, żeby nie okazać się ślepym na to, czego szukasz”.

- Pielgrzym medytował nad gniewnymi bóstwami, żeby się oczyścić - wyjaśnił Shan.

- A potem schodził do czterech bram mandali - dodał Lokesh.

- Ale bramy były tylko dwie - dobiegł z mroku za ich plecami kobiecy głos. Snop światła z latarki Corbetta wydobył z ciemności siedzącą pod ścianą Liyę. Na policzku miała wielki siniak i kreskę zakrzepłej krwi w miejscu, gdzie skóra została zadraśnięta. Dawa podbiegła do niej i objęła ją, a młoda kobieta wyciągnęła rękę, dając pozostałym znak, że nie potrzebuje pomocy. - Nic mi właściwie nie jest. Ci dwaj rzucili się na mnie. Temu dużemu podrapałam policzek, kiedy mnie złapał. Uderzył mnie, ale uciekłam. - Wyprostowała się i spojrzała na Shana. - Dwie bramy, tylko dwoje schodów w dół.

Lokesh wyciągnął z kieszeni jakiś kamień.

- Znalazłem go przy wodospadzie. Myślę, że spadł z góry, stąd, gdzie teraz jest tylko cień. - Podał Shanowi mały, długi nie więcej niż na pięć centymetrów okruch skały.

Shan poturlał go w dłoni, spoglądając pytająco na przyjaciela, po czym przyjrzał się kamykowi dokładniej. Jedna strona była pomalowana na zielono. Wymienił z Lokeshem porozumiewawczy uśmiech i skinął na pozostałych, żeby wyszli z nim na zewnątrz, gdzie pokazał im, że wejście do tunelu znajdowało się w jednej linii z końcem zawalonej sali.

- Prawdopodobnie to wszystko było jedną budowlą, tak że odkąd pielgrzym wkroczył do ogrodu gniewnych bóstw, miał wrażenie, że znajduje się pod ziemią. - Przykucnął u szczytu schodów i narysował na ziemi kółko. - Jednym z podstawowych symboli buddyzmu tybetańskiego jest okrąg, fundamentalny element mandali - wyjaśnił. - Na tej symbolice opiera się cała architektura gomp. W centrum niektórych starych klasztorów znajdowały się budowle o zarysie mandali, trzy - lub czterokondygnacyjne, takie trójwymiarowe mandale, wyobrażające święte góry oraz wspinaczkę na szczyt góry Meru, centrum **Wszechświata**, najwyższy punkt niebios.

- Ale tu wszystko zostało zniszczone - zauważył Corbett. - Nawet jeśli był tu kiedyś gmach w kształcie mandali, wojsko zrównało go z ziemią.

- Gdyby chciał pan dotrzeć do bóstw ziemi, gdyby obłaskawiał pan demony mieszkające w głębi ziemi, gdzie umieściłby pan swą mandalę? W głębi ziemi - odpowiedział Shan. Wskazał palcem tunel prowadzący do sali z malowidłem, następnie nakreślił linię u podstawy narysowanego na ziemi okręgu, a ponad nim drugą, przedstawiającą zawalony tunel po przeciwległej stronie ruin, wreszcie poprosił Corbetta o kompas. - Te tunele leżą na osi wschód-zachód. - Posiłkując się kompasem, wyjaśnił, że centrum tradycyjnej mandali stanowi pałac o czterech bramach zorientowanych na cztery strony świata, a każda z nich powiązana jest ze skomplikowaną symboliką, każdej

przyporządkowana jest określona barwa. - Układ bram jest zależny od tego, jakie bóstwo znajduje się w centrum, zamieszkuje ów pałac. - Rzucił pytające spojrzenie na Lokesha. - Skoro chodziło o obłaskawianie ziemi, to musiał być Pan Pioruna. - Lokesh skinął głową. - W takim razie wschodnia brama będzie biała, południowa żółta, a zachodnia czerwona. A tutaj - zakończył Shan, zaznaczając na okręgu punkt w połowie drogi między wschodem a zachodem - jest wodospad ze starym napisem na ścianie. Zielonej ścianie. Co oznacza bramę północną.

- Ale tam nie ma żadnej bramy, niczego, co wskazywałoby na mandalę - zaprotestował Yao.

- A jednak tam właśnie musi być wejście do świętej górskiej mandali - odparł Shan. - Wykutej w skale z wykorzystaniem elementów terenu, takich jak ten podziemny strumień. To jest pałac artystów, miejsce, o którym wspominał amban, siedlisko tajemnic. Powinny być trzy albo cztery kondygnacje stanowiące koncentryczne kręgi, każdy następny mniejszy od poprzedniego.

Ale gdy pół godziny później, objuczeni plecakami, szli przez blade oświetloną salę z malowidłem, wcale nie przypominało to nieba. Dawa, która znalazła tu zalanego krwią Suryę, wtuliła głowę w ramię Corbetta. Yao znalazł gdzieś stary kij i trzymał go niczym broń, nie spuszczać z oka Ko, jakby się spodziewał, że chłopak lada chwila rzuci się do ucieczki.

Shan zatrzymał się. Stał obok Liyi i oświetlił latarką, krwawe wzory na ścianie.

- To narysował Lodi - wyjaśnił. - Tuż przed śmiercią. U góry napisał coś o jaskini Boga Gór.

Liya ostrzegawczo ścisnęła go za ramię i rozejrzała się dookoła, jakby sprawdzała, kto jeszcze mógł to słyszeć, a w końcu spiorunowała go wzrokiem.

- Gdzie to jest? - naciskał Shan. - Gdzie jest ten Bóg Gór, złoty Budda?

- To nie ma nic wspólnego ze skradzionymi zabytkami, nic wspólnego z dawnymi cesarzami - odparła ostrzegawczym tonem Liya.

- Jeśli spróbujecie oswobodzić więźniów, będą ginąć ludzie - szepnął przerażony Shan. - Wielu ludzi.

- Będą ginąć, jeśli tego nie zrobimy - odparła i odwróciła się, zamierzając odejść, ale Shan chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj - powiedział, wskazując wydłużony owal z okręgiem pośrodku i kwadratem w okręgu, po czym sięgnął do kieszeni. - Wczoraj, kiedy szliśmy przez góry, coś mi przyszło do głowy. - Wyciągnął paciorek dzi, który dostał od Liyi w Bumpari, i trzymając go w dwóch palcach, powiedział: - On zbierał te paciorki, a na każdym są wyryte symbole.

Kobieta utkwiała wzrok w rysunku.

- Masz rację! - wykrzyknęła. - On narysował paciorek! Kwadrat oznacza wejście w głąb ziemi, a okrąg wejście do nieba. Brama ziemi wewnątrz bramy nieba - stwierdziła zdziwiona.

- Czy on próbował ci powiedzieć, jak dostać się do środka?

- Nie - odparła Liya. - Nie znał drogi. Nikt z nas jej nie zna. Wiemy tylko, że pałac istnieje i że trzeba go ocalić.

- W takim razie może chciał wyjaśnić, jak znaleźć Buddę z Gór? - podsunął Shan, przyglądając się Liyi, która odwróciła głowę, jakby się obawiała, że jej twarz może coś zdradzić. - Albo powiedzieć, że ktoś inny znalazł tę drogę - dodał na koniec i zostawił ją, wpatrzoną w rysunek z bólem w oczach.

Pięć minut później Shan pożyczył od Yao kij i obwiązany w pasie liną, której drugi koniec trzymał Corbett, wszedł do lodowatego strumienia u stóp wodospadu. Sondował kijem dno, raz za razem uderzając w litą skałę półtora metra za kaskadą, gdy jednak zaczął badać podstawę wodospadu, gdzie kończyło się wyżłobione w skale koryto strumienia, kij nie sięgnął dna. Bezpośrednio pod wodospadem znajdowała się głębia.

Wyszedł na drugi brzeg i wyciągnąwszy z kieszeni latarkę, przyjrzał się wyblakłym polichromiom. Zauważył, że nad starym napisem, który widział wcześniej, jest niewielkie malowidło przedstawiające dwóch mnichów siedzących na szczycie góry. Jeden z nich miał na głowie stożkowaty kapelusz nauczyciela.

- Życie - dobiegł go z tyłu znajomy chrypliwy głos. Lokesh stał niemal po kolana w lodowatej wodzie, jedną ręką trzymał się liny, drugą wyciągał ku wyblakłym literom. - I natura - dodał, wskazując kolejne słowo. Umilkł, przyglądając się wizerunkom lamy i jego ucznia, aż nagle wybuchnął cichym śmiechem. - On zadaje nowicjuszowi zagadkę.

- Co jest naturą, istotą życia - powiedział Shan. Gdy odwrócił się, żeby krzyknąć do pozostałych i odczytać im napis, spostrzegł, że Lokesh puścił linę i wpatruje się w podnóże wodospadu, w czerni basenu. W jego oczach pojawił się dziwny spokój, a na twarzy szeroki uśmiech.

- My wiemy, co jest naturą życia - rzekł stary Tybetańczyk i pochylił się do przodu, aż woda zaczęła lać mu się na głowę.

- Nie! - krzyknął Shan i zerwał się, żeby chwycić przyjaciela.

Ale było już za późno. Lokesh, z uśmiechem na ustach, rozłożył ręce i rzuciwszy się w rwącą wodę, zniknął w czarnym basenie. Naturą życia jest człowiek spadający z otwartymi oczyma w głąb studni.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- On się zabił! - jęknęła Liya. - Wodospad uwięzi go na dzień! - Nie było żadnego miotania się, żadnego śladu Lokesha pod czarną powierzchnią wody.

W straszliwej ciszy, która zapadła po jej słowach, nagle coś przemknęło obok Shana. Ko wyrwał latarkę z dłoni Corbetta, pchnął Yao na ścianę i skoczył do wody w tym samym miejscu, w którym zniknął Lokesh.

Shan patrzył na to wszystko zdjęty grozą. Jak przez grubą tkaninę docierały do niego przekleństwa Corbetta, płacz Dawy. Wreszcie zdjął plecak, ściągnął kurtkę i wszedł do wody. Nie oglądając się za siebie, zacisnął dłoń na latarce i runął do wodospadu.

Kłębiąca się lodowata woda porwała go, ściągając w dół, w coraz głębszą czerń. Basen sprawiał wrażenie bezdennego, także boczne ściany zniknęły, odkąd Shan spłynął wąską rynną, do której skoczył. Kopał nogami, żeby posuwać się naprzód, przebierał jedną ręką, bo w drugiej ściskał latarkę, wypatrując śladu przyjaciela i syna. Ale nie było nic. Lokesh i Ko, którzy mieli na sobie więcej ubrań, wciąż jeszcze mogli opadać w mroczną topiel, coraz głębiej, póki nie pękną im płuca, póki nie będzie już najmniejszej szansy, by wypłynęli. Starzy bogowie ziemi, jęknął jakiś głos w jego głowie. Lokesh udał się na spotkanie z pradawnymi bogami ziemi, którzy nigdy już nie oddadzą ani jego, ani Ko. W pewnej chwili uświadomił sobie, że pękają mu płuca. Targnąwszy rękami i nogami, wypchnął się w górę, walcząc z zimnem, starając się nie ulec panice, i nagle wynurzył się w ciemnej sali, chwytając ustami zimne powietrze, z początku pełen obaw, że znowu ciągnie go czarna otchłań, potem przerażony niosącym się skądś dziwnym szlochem. Rozejrzał się i zauważył blade światło. Popłynął ku niemu i zderzył się z czarną skalną ścianą kończącą się na szczęście tuż nad powierzchnią wody. Podciągnął się i usiadł na niej. Szloch dobiegał gdzieś z bliska. Shan przetarł oczy, próbując rozpoznać majaczące przed nim niewyraźne kształty. Siedzieli przed nim Lokesh i Ko. Wcale jednak nie szlochali, lecz się śmiali. Zdjęli buty i wykręcili mokre skarpetki.

Ko dostrzegł go pierwszy. Jego rozbawiona mina momentalnie zmieniła się w gniewny grymas.

- Witaj w prawdziwej Zhoce! - zawołał Lokesh i poświecił latarką po ścianach.

Minutę później Shan znów był w tunelu i z podnieceniem relacjonował, co odkryli.

- To jest północna brama - potwierdził. - Pełno w niej malowideł i inskrypcji. - Wyjaśnił krótko, że pradawni budowniczowie zmyślnie przedzielili basen wodospadu murem,

żeby dać wrażenie kaskady spływającej po naturalnej skalnej ścianie, a pośrodku pozostawili rynną, zjeżdżalnię dla tych pielgrzymów, którym uda się rozwiązać zagadkę.

- Nie umiem pływać - jęknęła cicho Liya, kiedy dotarło do niej, do czego zmierza Shan.

- To nie jest prawdziwe pływanie - uspokoił ją. - Po prostu opadasz w dół i kierujesz się w stronę światła. Lokesh i Ko będą świecić latarkami w wodzie. Musimy tylko zabezpieczyć sprzęt.

Corbett zaczął opróżniać plecaki. Wyciągnął z nich linę i dwa grube plastikowe worki, które zapakowano im, żeby mogli uchronić bagaże przed wilgocią. Gdy zaczął rozkładać worki w plecakach, Shan powstrzymał go.

- Ubrania. Woda jest lodowata. Niech pan zostawi miejsce na ubrania, żebyście mogli przebrać się w suche rzeczy.

Yao spojrzał na niego zażenowany.

- Możecie płynąć w bieliźnie - uspokoił go Shan. - Jest ciemno, nikt nie będzie widział. Kierujcie się ku światłu.

Corbett, uśmiechając się, rzucił dwie koszulki Dawie oraz Liyi. Gdy się spakowali, odwinął długi fragment liny, wyjaśniając, że pójdzie pierwszy, obwiązany liną w pasie, a Yao będzie trzymał jej drugi koniec, tak by Dawa i Liya mogły się posuwać wzdłuż niej. Potem przeciągnął plecaki.

Dziesięć minut później wszyscy byli już po drugiej stronie. Corbett pokazał im, jak działa mała kuchenka gazowa, którą dostali od wojska, i nastavili wodę na herbatę. Dawa wyszukiwała wśród zapasowych ubrań suche rzeczy dla Shana, Ko i Lokesha, Yao zaś, przyświecając sobie latarką, zaczął się rozglądać po sali. Basen wcinął się w nią wydłużonym polowalem, a na jej tylnej ścianie, o łukowatym zarysie, wykuto w litej skale dwa ciągi stopni prowadzące do korytarzy odchodzących na wschód i na zachód.

- Okrężny tunel - stwierdził inspektor, gdy dołączył do niego Shan. - Jesteśmy w waszej mandali. - Spojrzał przez ramię na czarny basen. - Ale to nie było chyba wejście dla pielgrzymów.

- Istniało wiele dróg - oświadczył z powagą Lokesh. - Ale każda była sprawdzianem. Czytaliście przewodnik. „Lękaj się albo nie ruszaj w drogę”. Z pewnością byli pielgrzymi, którzy musieli przejść przez wodę, być może nawet dostali takie polecenie od tutejszych łamów. „Dostęp do serca świata nie może być łatwy. Tu zostawiasz swoje życie za sobą” - powiedział, cytując przewodnik dla pielgrzymów.

- Co to znaczy „serce świata”? - zapytał Yao.

- Mandala jest formą wszechświata. Istotą świata. - Lokesh spojrział na inspektora z nagłym zaciekawieniem.

Yao zmarszczył brwi.

- Macie na myśli model wszechświata - podsunął niepewnie. - Wszechświat na niby.

- Nie - odparł bez wahania Lokesh. - Wręcz przeciwnie. Bardziej prawdziwy niż świat realny. - Spozstrzegł zdziwienie na twarzy inspektora i wzruszył ramionami. - Na zewnątrz wszechświat czasem trudno dostrzec. Ale tu... - wskazał szerokim gestem ściany, pulsujące od barw i kształtów - tutaj jest w zasięgu ręki.

Dawa przytuliła się do starego Tybetańczyka i sięgnawszy w górę, złapała go za rękę. Wodziła niespokojnym wzrokiem P° ścianach.

- Acala, Tamdin, strażnicy - ciągnął Lokesh, zwracając się do dwóch wizerunków z radością i nostalgią, jakby witał się ze starymi przyjaciółmi, po czym ruszył wolno wzdłuż ściany. Zatrzymał się przy pełnej życia, otoczonej przez płomień postaci z kijem i mangustą w rękach. - Król północy - wyjaśnił, wodząc dłonią tuż nad malowidłem, podobnie jak Gendun w kamiennej wieży. Gdy skończył, zajaśniały mu oczy. Zatarł ręce i nachylił się ku Shanowi. - Tu były modlitwy - szepnął.

Shan spojrział na niego, ale nie zdążył poprosić, żeby wyjaśnił, o co chodzi, bo Lokesh przeszedł na drugą stronę tunelu, do ściany naprzeciw podwodnego wejścia, i uniósł latarkę. Ponad wizerunkiem Buddy Sakjamuniego widniała naniesiona złotem inskrypcja.

- „Czy ktoś, kto zanurzył się w strumieniu płynącym w stronę oświecenia” - przeczytał stary Tybetańczyk - „mówi o sobie: wszedłem do strumienia?” - Obejrzał się przez ramię. Uśmiechał się. Był to tekst zaczerpnięty z pradawnej *Sutry diamentowej*.

- Czy każdy napis musi być zagadką? - zapytał lekko poirytowany Yao. - I dlaczego tutaj? - dodał, wypowiadając myśl Shana.

- Odpowiedź na tę zagadkę brzmi: nie - odparł wolno Shan. - Ponieważ jeśli świadomie myślisz o przebywaniu w strumieniu, oznacza to, że nie osiągnąłeś jeszcze stanu oświecenia, w którym zanika jaźń.

- Więc nie powinniśmy dostrzegać wody - odezwał się z ożywieniem Corbett, jakby nabierał zapału do tej gry. Zaczął przechadzać się brzegiem basenu. - A gdyby wody tu nie było, to co? Bylibyśmy susi - dumął. - Byłoby nam ciepłej. - Nagle przystanął i raz jeszcze rozejrzał się po sali. - Moglibyśmy spojrzeć w górę i zrozumieć, o co chodzi - stwierdził, unosząc latarkę.

Sklepienie było nierówne. Po obu stronach mocno wklęsnięte, opadało pośrodku, tak że każda część widoczna była jedynie dla tych, którzy znajdowali się tuż pod nią. Tam, gdzie

stali Corbett i Shan, widać było jeden bok białego lwa śnieżnego o turkusowej grzywie, z tradycyjnie otwartą paszczą i dziką miną, z którą nie wiedzieć czemu wyglądał, jakby się raczej śmiał, niż ryczał. W uniesionej, zgiętej łapie zwierz trzymał maleńką postać w mnisiej szacie.

- Połowa lwa! - zawołał Yao z drugiej strony sali. - Z girlandą czaszek wokół przedniej łapy!

Na podzielonym sklepieniu namalowany był gniewny lew obrońca, z jednym bokiem przedstawionym na każdej z połówek.

Jeszcze przez kwadrans uważnie rozglądali się po sali, nie natknęli się jednak na żadną inną zagadkę, nie odkryli żadnego innego sposobu zinterpretowania słów starej sutry, zapuścili więc się w zachodni tunel. Yao liczył kroki, przystając raz po raz, żeby nanieść nowy szczegół na mapkę, którą rysował w swoim notesie. Posuwali się wolno. Wzdłuż wewnętrznej ściany tunelu ciągnęły się kaplice, przeważnie niewielkie, mniej więcej dwa na cztery metry, o ścianach pokrytych olśniewającymi malowidłami. W niektórych znajdowały się ołtarze zastawione małymi figurkami z brązu, miedzi, srebra i złota, przedstawiającymi rozmaitych guru, bodhisattwów oraz buddów.

Lokesh, który oglądał kaplicę po kaplicy, nie reagując na ponaglenia, pozostał z tyłu. Shan i Yao znaleźli go w trzeciej z nich. Stary Tybetańczyk siedział przed thanką z wyobrażeniem gniewnych bóstw opiekuńczych. Obok stała Liya.

- Ktoś tu był - powiedziała, wskazując maleńki słupek popiołu na wypalonej pałeczce kadzidła sterczącej z kamiennej podstawki na ołtarzu.

- To mogło być dawno temu - stwierdził Yao.

- Nie. Jeszcze pachnie - odparła Liya. - Jest świeży. I lampka maślana.

- Przecież wam mówiłem - wtrącił Lokesh. - Gendun był tutaj. On wie, jak skłonić bóstwa do powrotu.

- Nie wierzę... Sam w tych grotach... - zaczęła Liya, lecz wzdrygnąwszy się, umilkła, jakby mimo wszystko uwierzyła Lokeshowi.

Gdy obejrzelili pierwsze sześć kaplic, Corbett stwierdził, że oglądanie wszystkich malowideł może im zająć pół dnia.

- Jeśli ten korytarz biegnie po okręgu - dodał - to gdy część z nas pójdzie dalej, nie zgubimy się ani nie rozdzielimy na długo.

Yao przyznał mu rację.

- Jeśli nie znajdziemy nic w ciągu godziny, wychodzimy stąd - zdecydował, ruszając w głąb tunelu. - To nie jest ekspedycja archeologiczna. Poszukujemy przestępców.

Przestępców archeologów, o mało nie przypomniał mu Shan. Zerknął na Lokesha, zaabsorbowanego jakimś malowidłem i ruszył za Yao. Czy Surya znalazł drogę do wnętrza pałacu mandali? zastanawiał się. Czy on sam nie zdradził w jakiś sposób starych Tybetańczyków, sprowadzając obcych ludzi do pradawnej świątyni? Na przemian to z zapalem wypatrywał Genduna, to znów martwił się, co by było, gdyby Yao i Corbett natknęli się na starego lamę. Albo na Buddę z Gór.

Gdy dotarli do rumowiska, gdzie niegdyś znajdowała się zachodnia brama, Shan oświetlił latarką sufit w prawym narożniku, tam, gdzie po drugiej stronie zwałonej skalnej płyty znaleźli czujnie patrzące oko. Zobaczył teraz, że oko to jest jednym z przeszło dwudziestu, namalowanych w jednym rzędzie pod strefą czerni znaczącą miejsce, gdzie płyta odpadła od sufitu, zamykając korytarz ze schodami. Pod rzędem oczu było olbrzymie malowidło przedstawiające gniewne bóstwo opiekuńcze z wieńcem czaszek na szyi. Nie różniło się od wielu innych, które Shan widywał wcześniej - z wyjątkiem jednego drobiazgu nad ramieniem bóstwa: maleńkiego białego lwa z kwiatem lotosu w łapie. Pokazał go inspektorowi.

- Może to sygnatura artysty? - podsunął Yao.

- Tybetańscy artyści niemal nigdy nie sygnowali swoich prac. To mógł być znak, jakaś wskazówka dla pielgrzymów. - Skierował światło na inne malowane bóstwa. Kilka z nich miało nad ramionami podobne lwy.

Nagle Yao wyłączył latarkę i szarpnął Shana za rękę.

- Słuchajcie! - syknął nagle.

Shan zgasił latarkę. Ktoś wychodził z jednej z kaplic, które minęli, przyświecając sobie elektryczną latarką osłoniętą materiałem, być może połą koszuli. Shan poczuł, że Yao odpycha go na bok, i zrozumiał, że inspektor chce, aby wzięli intruza w dwa ognie.

Nieznajomy zbliżał się wolno, czasem kucając, czasem się odwracając, jakby sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Nawet kiedy wstawał z kucek, nie prostował się do końca, bo jak spostrzegł Shan, dźwigał na rękę jakiś ciężki przedmiot. Z głębi korytarza dobiegł ich rozradowany głos Lokesha:

- Chwała Buddzie!

Na ów nieoczekiwany okrzyk intruz okręcił się dookoła, przy czym padło mu na twarz stłumione światło latarki, ukazując zapadniętą maskę szczęki, policzków i czoła. Był to Ko.

Gdy Shan i Yao włączyli latarki, w oczach chłopaka na moment pojawił się strach. Kiedy ich rozpoznał, jego ciało wyraźnie stężało. Oparł się o ścianę, chowając za siebie

niesiony przedmiot, który skrzył się w bladym świetle. Odsłaniając zęby, uniósł latarkę, jakby chciał nią uderzyć.

- Powinieneś uważać - spokojnie odezwał się do niego Yao. - W tych ruinach są złodzieje.

Shan zerknął na inspektora. Yao postanowił zignorować coś, co jego samego dławilo niczym suchy piach w gardle. Ko okradał kaplice.

- Zobaczmy twoje znaleziska - powiedział Yao, podchodząc do chłopaka.

Przez chwilę twarz Ko miała w sobie coś z pyska osaczonego zwierzęcia, grymas dzikiej wściekłości, zmartwiała jednak i zapadła się, gdy inspektor wyciągnął mu spod pachy skradziony przedmiot. Był to złoty posążek Buddy, dwudziestopięciocentymetrowej wysokości, o podstawie wysadzanej drogimi kamieniami.

- Znakomicie - stwierdził Yao, pokazując posążek Shanowi. - Dowód, że odkryliśmy miejsce, którego złodzieje jeszcze nie splądrowali. To pozwoli nam ukierunkować nasze poszukiwania.

Kieszenie Ko wypchane były czymś kanciastym. Przez ramię przewieszoną miał złoconą trąbkę na pleconym sznurze. Chłopak stał bez słowa, ze wzrokiem wbitym w ziemię, gdy Shan, ujawszy trąbkę, zsuwał sznur z jego ramienia.

- To zostało zrobione z ludzkiej kości udowej, Xiao Ko - powiedział. - Zapewne należącej do jakiegoś świętego człowieka, który żył setki lat temu.

Ko spojrzał na niego z odrazą. Shan czuł, że nie ma to nic wspólnego z kością. Nie zastanawiając się nad tym, pieszczotliwie nazwał syna małym Ko, jak tradycyjnie zwracali się do dzieci ojcowie lub wujowie. Odniósł wrażenie, że dopiekl tym synowi jeszcze bardziej niż Yao, odbierając mu łup.

- Mam na imię Ko - warknął chłopak. - Tygrys Ko - dodał używając przydomka wymienionego w milicyjnych aktach. Gwałtownie pchnął Shana na ścianę i rzucił się w ciemność.

- Ach, te dzieci - westchnął demonstracyjnie Yao, podając Shanowi małego Budę.

Shan spojrzał w mrok, gdzie zniknął jego syn. Ko nie mógł uciec daleko. Tunel zawracał kołem.

Ruszył z powrotem. Zaglądał do każdej z kaplic i w trzeciej, do której wszedł, zauważył czysty placek w kurzu pokrywającym ołtarz.

- Wybacz mu - szepnął do błękitnego bóstwa nad ołtarzem, odstawiając posążek na miejsce. - Nie otrzymał dobrego wychowania. - W połowie wysokości bocznej ściany, wśród rzędu namalowanych na niej czaszek, spostrzegł gruby kołek. Zawiesił na nim wysadzaną

klejnotami trąbkę, gdy nagle coś go zastanowiło. Kołek tkwił w oczodole jednej z czaszek. Omiótł latarką ściany i w oku innej czaszki dostrzegł jeszcze jeden otwór. Oba były niewidoczne przy pobieżnych oględzinach. Na podłodze obok ołtarza leżał zakurzony kołek tej samej wielkości co pierwszy. Shan podniósł go z wahaniem - nie chciał zakłócać spokoju starej kaplicy. Kołek jednak idealnie pasował do otworu. Ponownie rozejrzał się po ścianach i znalazł jeszcze cztery otwory, wszystkie tej samej średnicy, wszystkie udające elementy malowidła. Nie układały się w żaden regularny wzór. Mogło to być po prostu jedno ze sprytnych rozwiązań, dzięki którym budowniczywie świątyni, nie ujmując jej piękna, zadbali, żeby można było gdzieś powiesić szaty, miotłki, trąbki i inne sprzęty obrzędowe. Ale idąc z powrotem w stronę północnej bramy, Shan dostrzegł na korytarzu więcej takich otworów, rozmieszczonych nieregularnie po trzy albo cztery na każde trzy metry. Wszystkie tak doskonale wtapiały się w pokrywające ściany malowidła, jak gdyby celowo chciano je ukryć przed wzrokiem przygodnego obserwatora. Niebo Zhoki przeznaczone było wyłącznie dla tych, którzy potrafili zdobyć zarówno rozumem, jak i wiarą.

Posuwając się zakręcającym tunelem na południe, Yao i Shan mijali strefy zapachów. Kadzidło, czasem świeże, na ogół starsze, zwietrzałe, o bogatym aromacie uzyskiwanym tradycyjnymi metodami z dziesięciu lub dwudziestu wonnych składników. Niekiedy w powietrzu unosiła się woń zgnilizny przeplatana zapachem cedru. I jeszcze ledwie uchwytna nuta czegoś, co tu nie pasowało, czegoś obcego w świątyni.

- Czujecie to? - zapytał Yao.

- Tytoń. - Shan skinął głową. - Dym z papierosa. - Przypomnił sobie pety, które znaleźli na górze, przy wykopie, i niedopałki cygar, które Corbett zebrał obok plam krwi.

Szli dalej zakrzywiającym się na południe tunelem, mijając kolejne kaplice, ale tam, gdzie powinna być brama, zastali tylko ruinę, potrzaskane kamienne bloki ze śladami żółtej farby, barwy króla południa, potężne płyty sufitowe, które spadły i zatarasowały przejście, połamane drewniane belki, być może szczątki schodów. Nie dostrzegli nawet śladu Ko, choć dwa razy Shan słyszał coś, co mogło być tupotem stóp. Za każdym razem walczył z pokusą, żeby pobiec za tym odgłosem, za synem. Przygnębiony, zdawał sobie sprawę, że Ko nie oddali się zbyt od bogactw świątyni.

Yao zauważył, że Shan z napięciem wpatruje się w mrok korytarza.

- Postąpił odważnie, rzucając się Lokeshowi na ratunek. Shan skinął głową, nie dlatego, że się z tym zgadzał, ale z wdzięczności, że Yao to powiedział. Był pewien, że jego syn nie skoczył do wody, żeby komukolwiek pomóc, lecz żeby im uciec.

Wschodnia część korytarza feckże była zrujnowana. Tu zniszczenia były jeszcze większe niż po przeciwnej stronie. W tunelu zalegały wielkie odłamy skał, zawalony strop zagroził im przejście, odcinając ich od wszelkich wskazówek, które spodziewali się znaleźć w bramie.

Zawrócili więc i szli szybkim krokiem, w milczeniu. Teraz chcieli już tylko odszukać pozostałych. Natknęli się na nich w kaplicy niedaleko zburzonej zachodniej bramy, pod rzędem oczu. Twarz Lokesha rozjaśniał pogodny blask, jaki Shan widział u niego ledwie kilka razy w ciągu wszystkich lat ich znajomości. Ale nie znaleźli żadnego rozwiązania zagadek tunelu.

- Tu nie ma ani śladu ambana - odezwał się Yao do Shana. W jego głosie pobrzmiwała oskarżycielska nuta. - Nie ma nawet śladu złodziei, jeśli nie liczyć odrobiny dymu. Dymu - powtórzył z naciskiem.

- Ale znaleźliśmy pałac - odparł Lokesh, zdziwiony, dlaczego inspektor tak się irytuje. Yao zignorował go.

- Nie ma innych kondygnacji. To nie jest pałac ambana i nie jest to miejsce, gdzie amban się ukrywał. Złodzieje na pewno doszli do tego samego wniosku. Mogą być już daleko stąd. Zmarnowaliśmy dzień, a do tego znowu musimy wejść w tę czarną wodę - dodał tonem świadczącym, że nie ma na to najmniejszej ochoty - jeśli nie chcemy zostać w tych lochach.

- Śnieżne lwy - podsunął niepewnie Shan. - Z tym przy północnej bramie musi być związana jakaś wskazówka. - Zaprowadził ich z powrotem do ruin zachodniej bramy i pokazał im małe lwy nad ramionami bóstw.

- Tam jest napis! - wykrzyknęła Liya i zbliżywszy latarkę do jednego z lwów, oświetliła kilka drobnych znaków tybetańskiego pisma. - Jest ich więcej, nad każdym lwem.

- „Prawdziwą naturą rzeczy jest pustka” - przeczytał wolno Lokesh. - „Czyste światło pustki jest świtem świadomości”. - Były to słowa rytualnych pouczeń dla zmarłych.

- Pustka. - Corbett skierował światło latarki w głąb czarnego tunelu. - Pustki nam nie brakuje.

- Ale ten cytat jest niekompletny - zauważył Shan, odwracając się do Lokesha.

Lokesh skinął głową.

- Opuszczono jeden fragment. „Czyste światło pustki, bez środka i bez granic, jest świtem świadomości”. Tak brzmią właściwe słowa.

- Czym jest pustka, która ma granice? - zastanowił się Shan. - Dziurą - stwierdził po chwili. Opowiedział im pokrótce o zamaskowanych otworach i kołkach, które odkrył.

Ponownie obejrżeli kaplice. Shan zbierał po drodze wszelkie kołki, jakie udało mu się znaleźć. Dziesięć minut później z którejś kaplicy w połowie drogi między wschodnią i południową bramą dobiegł podniecony okrzyk Dawy. Gdy Shan dotarł tam wraz z Corbettem, zobaczył, że Liya i dziewczynka trzymają palce w czterech otworach na jednej ścianie. Były ukryte w cętkach na futrze czterech małych śnieżnych lwów otaczających postać gniewnego bóstwa opiekuńczego. Najwyższy lew trzymał w łapie maleńkiego mnicha.

Shan wetknął w otwory długie masywne kołki, które zebrał w kaplicach. Wszystkie cztery ułożyły się w jednej linii, biegnącej ukośnie z lewa na prawo, rozmieszczone w jednakowych odstępach, dolny lewy czterdzieści pięć centymetrów nad podłogą, najwyższy dziewięćdziesiąt centymetrów na prawo od niego, trzydzieści centymetrów od sufitu.

- Drabina! - krzyknęła Liya.

- Ale ona donikąd nie prowadzi - zauważył Corbett. Shan wszedł na pierwszy kołek, potem na drugi, pochylając się, żeby zmieścić się pod sufitem. W pierwszej chwili skała nad głową sprawiała wrażenie litej, ale gdy pchnął ją latarką, uniosła się.

- To drewno! - zawołał. - Kłapa! - Pokrywa wejścia została wyrzeźbiona i pomalowana tak, że do złudzenia przypominała kamienne sklepienie. Nieregularne krawędzie spasowane z otworem wyglądały jak szczelina w skale. Shan zepchnął kłapę na bok i oświetlił górne pomieszczenie. Gdy schodził po kołkach, w dół spłynęło zatechłe, ciężkie od kadzidła powietrze.

Dał Lokeshowi znak, żeby pierwszy wszedł na górę. Nagle jednak do kaplicy wbiegła szczupła postać, dopadła pierwszego szczebla i błyskawicznie zniknęła w ciemnym otworze. Jedyнным śladem, że tędy przemknęła, był mały lśniący przedmiot, który wypadł jej z kieszeni, gdy się wspinała.

Corbett podniósł go i przyjrzał mu się uważnie. Była to Piękna srebrna figurka jakiegoś bóstwa.

- Pański syn - zwrócił się do Shana - ma bardzo dobry gust.

PrzedSIONEK na drugiej kondygnacji pokrywały malowidła Przedstawiające gniewne bóstwa opiekuńcze. Za nim jednak nie znajdował się biegnący łukiem tunel, jak w dole, ale bezładne skupisko sklepionych przejść prowadzących do małych kaplic, z których każda otwierała się co najmniej na dwie inne. Istny labirynt.

- Jednak tutaj plan też powinien być oparty na okręgu. Musi tu się znajdować jakiś kolisty łańcuch kaplic, który okrąża pozostałe - stwierdził Lokesh. - Tyle że ukryty w chaosie.
- Wskazał największe z malowideł w przedSIONKU oraz umieszczone pod nim słowa.

Shan rozpoznał Atiśę, jednego z największych nauczycieli buddyzmu w Tybecie, otoczonego drobnymi wizerunkami pomniejszych mistrzów w kwadratowych ramach. Atiśa miał na głowie charakterystyczną spiczastą czapkę. Mniejsze wizerunki wykonano w tradycyjnym, formalnym stylu, ale Atiśa siedział w swobodnej, asymetrycznej pozie, zjedną stopą wysuniętą poza otaczający go kwadrat, jakby miał właśnie wyjść z malowidła. Było w nim coś zagadkowego. Gdy Shan podszedł bliżej, nastąpił na kołek. Obok wały się jeszcze trzy, jak gdyby ktoś wspiał się po nich na górę, a następnie wyciągnął je ze ściany, żeby to ukryć.

- Najwyższa medytacja - odezwała się Liya. Shan uniósł wzrok i zobaczył, że kobieta czyta napis pod malowidłem. - Najwyższa mądrość - dodała.

- To skrót - stwierdził z zadumą Lokesh. - Główna myśl. Pełny tekst brzmi: „Najwyższa medytacja to umysł, który płynie swobodnie, najwyższa mądrość to przenikanie pozorów”.

Yao wyciągnął naszkicowany przez siebie plan dolnego pierścienia i odwróciwszy go na drugą stronę, zaczął rysować pomieszczenie, w którym stali.

- A tutaj - ciągnął Lokesh, wskazując napis pod kijem żebraczym wiszącym na hakach nad jednymi z drzwi - „To jedyna rzecz, która należy do nas, a jednak szukamy jej gdzie indziej” - przeczytał. - To stara sentencja. Oznacza, że nosimy prawdę w sobie, tylko że jej nie rozpoznajemy.

Shan zrobił krok w stronę labiryntu kaplic.

- Ryż - powiedział, patrząc na Corbetta, który niósł zapasy jedzenia.

Amerikanin spojrzał na Shana ze zdziwieniem, ale bez słowa otworzył plecak i podał mu biały płócienny woreczek. Shan rozerwał róg.

- Musimy trzymać się razem - stwierdził, nasuwając pokrywę na otwór prowadzący na niższy poziom. - Poczynając od tego miejsca, będziemy znaczyć, którędy idziemy - wyjaśnił, sypiąc za sobą sznur ziarenek ryżu.

Gdy dotarli do czwartej kaplicy, zawołał go Yao. Shan oderwał wzrok od kolejnego bogato zdobionego malowidła i zobaczył, że latarka inspektora oświetla leżący na podłodze czarny cylinder, metalową latarkę taką samą jak te, które zapakowali dla nich żołnierze. Miała stłuczone szkiełko i żarówkę. Musiał ją porzucić Ko.

Corbett przypatrzył się podłodze wokół latarki. W warstwie pyłu z tynku, który osypał się z sufitu, odcisnęły się ślady butów.

- On biegł - stwierdził Amerykanin. - Musiał obejrzeć się za siebie i wpadł na ścianę. - Wskazał filar rozdzielający dwoje drzwi na wprost nich.

Shan wpatrywał się w czerń przed sobą. Bez światła Ko mógł upaść i się zabić, mógł błądzić bez celu w upiornym labiryncie, mógł nawet natknąć się na złodziei, zabójców, i sprowokować ich do gwałtownej reakcji.

Coś poruszyło się obok niego. To Dawa szarpała za ramię Lokesha.

- Aku, miałaś rację! - wyszeptała podniecona. - Niektórzy bogowie wciąż żyją! - Pochyliła się i wskazała coś na ziemi. Stary Tybetańczyk oraz Shan przykucnęli, ciekawi, o czym dziewczynka mówi. Nic nie zobaczyli, więc Dawa wzięła od Shana latarkę i oświetliła posadzkę z boku. W pierwszej chwili Shan dostrzegł jedynie jakieś smugi na skraju zakurzonej powierzchni, ale potem uświadomił sobie, że układają się one w rząd. Dwie z tych smug zakończone były małymi owalami ułożonymi w łuk. Były to świeże ślady bosych stóp, ciągnące się w ciemność. Ginęły tam, gdzie zniknął kurz i znów ukazywała się gładka, naga skała. Gendun nigdy nie nosił butów w świątyniach.

Wpatrując się w mrok, Shan niejasno zdał sobie sprawę, że za jego plecami toczy się dyskusja. Corbett pytał Liyę, gdzie jest wskazówka, twierdząc z uporem, że jakaś musi być. Liya daremnie zadawała to samo pytanie Lokeshowi. Odwróciwszy się ku przyjacielowi, Shan spostrzegł, że pogrążył się on w ekstazie, jaka go niekiedy ogarniała, wpatrzony w kolejny wizerunek Atiśi, łagodnego nauczyciela. Jego ręce, uniesione na wysokość piersi, stykały się jedynie nasadami dłoni i czubkami palców, jakby zaciskał je na niewidzialnej kuli. Była to mudra skarbu.

Yao zaczął się zagłębiać w płataninę kaplic, pracowicie szkicując ich układ.

- Musimy już iść - odezwał się Shan do Lokesha. Stary Tybetańczyk zdawał się go nie słyszeć, jednak gdy Dawa pociągnęła go lekko za faldę koszuli, ruszył śladem pozostałych, niczym ślepiec, wciąż z ekstatycznym uśmiechem na twarzy, z dłońmi wciąż ułożonymi w mudrę skarbu. Nie skarbu, jaki spodziewali się znaleźć inni, wiedział Shan, ale skarbu, który wiekowe malowidła już teraz złożyły w jego sercu.

Shan wpatrywał się w wizerunek Atiśi, aż rozejrzawszy się, stwierdził, że został sam. Gdy jednak ruszył za resztą, z tyłu dobiegło go ciche mruknięcie. Obejrzał się i zobaczył Corbetta. Amerykanin stał z wyłączoną latarką, patrząc na Atiśę z tą samą tęskną czcią, jaką Shan widywał często na twarzach starych Tybetańczyków.

- Mam wrażenie, że to nie miejsce dla nas - powiedział agent FBI ledwo słyszalnym głosem.

- Ale właśnie tu ich znajdziemy - odparł Shan. - Przestępców, których pan szuka - dodał

- Nie tak to rozumiem.

Shan spojrział na niego uważnie.

- Chce pan powiedzieć: nie tak, jak detektyw? Corbett wolno pokiwał głową i utkwił wzrok w ciemnościach.

- Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że to jest najdalsze miejsce, do jakiego dotarłem albo kiedykolwiek dotrę. Lokesh miał rację. Ono jest prawdziwsze niż świat realny. Przed setkami lat ludzie siedzieli tu i robili rzeczy ważniejsze niż wszystko, co my robimy.

Shan milczał długą chwilę. Słowa Corbetta były jak modlitwa.

- Lokesh mówi czasem o miejscach prawdy - powiedział w końcu - gdzie przez ulotną chwilę udaje się dostrzec istotę ziemi albo życia takiego, jakie powinno być.

Corbett znów pokiwał głową.

- Powiedział mi też o bayalach, ukrytych krainach. Może to jest to samo. Miejsca prawdy są ukryte przed nieszczęsnym światem, który stworzyliśmy. Kiedy płynąłem przez ten czarny basen, nie miałem wrażenia, że jestem w wodzie. To było jak cień tak gęsty, że niemal namacalny, jak dół, w którym skrapla się ciemność. - Na chwilę zakrył twarz dłonią i odetchnął głęboko. - Jak w takim miejscu mogą być przestępcy? - Shan pomyślał, że przez Corbetta przemawia detektyw, póki nie zadał on kolejnego pytania, zwracając się do Atiśi. - Jak mogą pozostać przestępcami?

Amerikanin sięgnął po butelkę z wodą i upił długi łyk, niepohamowanie, jakby chciał w ten sposób przełamać czar, który go spętał.

- Przepraszam - powiedział, odsuwając butelkę od ust. Stęknął cicho. - Chyba brakuje mi snu - dodał zawstydzony i ruszył dalej, a za nim Shan, który znów zaczął sypać ryż.

Kwadrans później stali w dwudziestej kaplicy, licząc od przedsionka, nie posunąwszy się ani o krok. Nie wykryli żadnej prawidłowości w układzie pomieszczeń ani wskazówek wśród malowideł. Plan szkicowany przez Yao stał się nic nie znaczącą gmatwaniną kresek. Przynajmniej jedna ze ścian w każdym pomieszczeniu była krzywa, nie było prostych dróg, nigdzie nie mogli sięgnąć wzrokiem dalej niż na pięć metrów. Wszystkie ściany pokrywały wizerunki postaci z buddyjskiego panteonu, każde pomieszczenie stanowiło misterne cacko. Lokesh wrócił do świadomości, ale co dziwne, jego kataleptyczny stan najwyraźniej udzielił się Dawie. Strach, który malował się na twarzy dziewczynki, gdy wkraczali do podziemnej świątyni, wbrew oczekiwaniom Shana rozwiął się bez śladu. Zaczęła się uśmiechać, a nawet okazywała coś, co można było nazwać spokojem.

Nagle Shan usłyszał, że ktoś woła go z następnego pomieszczenia. Corbett skinął na niego ponaglająco.

W sali, do której wszedł, nie było żadnych ozdób, a w każdym razie żadnych malowideł przedstawiających bóstwa czy oświeconych. Ściany pokryte były wyblakłymi napisami. Liya szybko obeszła salę dookoła, po czym wskazała górny róg jednej ze ścian.

- Tu jest początek - stwierdziła i zaczęła wolno czytać: - „Wznoszę pałac mądrości” - brzmiały pierwsze słowa. - „Nie będzie mały”. - Umilkła, przebiegając wzrokiem tekst, i zerknąwszy na następną ścianę, wyjaśniła: - To bardzo stara modlitwa. Właściwie pieśń zwana modlitwą do Boga Równiny. - Spojrzała na Corbetta i Yao. - Myślę, że gdy artyści ozdabiający te podziemia przystąpili do pracy, zaczęli właśnie od tego miejsca. Kiedy buddyści wznosili pierwsze świątynie w Tybecie, burzyli je bogowie zamieszkujący w ziemi, wywołując trzęsienia ziemi. To jedna z najstarszych modlitw, którymi starano się udobruchać główne miejscowe bóstwa, uspokoić ziemię, żeby można było na niej budować świątynie. - Popatrzyła na Shana z lekkim uśmiechem. Stali w miejscu, gdzie przed tysiącem lat zaczęto oblaskawiać ziemię.

W kilku następnych pomieszczeniach również były jedynie inskrypcje. Lokesh i Liya przyglądali się każdej ścianie i wykrzykiwali podnieceni, ilekroć udało im się zorientować, skąd pochodzi zacytowany tekst. Yao, który wyglądał na wyczerpanego, usiadł na ziemi, wyciągnął butelkę wody i rozłożywszy swoją mapkę między nogami, zapytał, czy ktokolwiek widzi jakiś sens w układzie pomieszczeń, potrafi wskazać drogę do kolejnej bramy. Shan odszedł w mrok następnej sali. Zasłonił dłonią latarkę i wpatrywał się w niemal kompletną ciemność, walcząc z pragnieniem, żeby zawołać syna. W końcu zgasił latarkę, usiadł w czarnej ciszy i zaczął nasłuchiwać.

Spokój i bezruch świątyni wydawały się niemalże namacalne. Shan był w wielu grotach, ale tu wcale nie czuł się jak w jednej z nich. Powietrze było dziwnie lekkie, jakby wypełniała je niewidzialna energia. Po kilku minutach dotarł do niego cichy dźwięk, niczym wycie jakiegoś zwierzęcia, to narastające, to znowu cichnące. Wstał, wciąż po ciemku, i ruszył naprzód, nie sypiąc już ryżu, z ręką wyciągniętą przed siebie. Z początku wodził nią po ścianach, później jednak przekonał się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób potrafi wyczuć położenie przejść. Szedł od kaplicy do kaplicy, nie wpadając na ściany, aż nagle kilka kroków przed nim rozległ się jęk przerażenia. Zastygł w bezruchu, wciąż nie włączając latarki.

- To bardzo stare miejsce - powiedział. - Jeśli na to pozwolisz, obdarzy cię siłą.

Usłyszał gwałtowny wdech.

- Byłem zmęczony - warknął Ko. - Spałem, a ty mnie obudziłeś.

Shan chciał już do niego podejść, lecz się powstrzymał. Wrócił do poprzedniej kaplicy, cicho położył na podłodze swą wyłączoną latarkę i wrócił do syna.

- Mam jedzenie - odezwał się. - Trochę orzechów włoskich. - Wyciągnął z kieszeni małą torebkę.

Gdy Ko nie odpowiedział, Shan przeraził się, że chłopak uciekł. Po chwili jednak usłyszał szelest ubrania, a błądząca po omacku dłoń narafiła na torebkę, zacisnęła na niej palce i wyciągnęła mu ją z ręki.

- Nie masz światła? - zapytał zduszonym głosem Ko.

- Nie.

- Jak tu trafiłeś?

- Nie wiem - odparł zgodnie z prawdą Shan. Usłyszał, jak orzech chrupie w ustach Ko.

- Pić mi się chce - powiedział chłopak.

- Nie mam nic.

Z ciemności dobiegło go pogardliwe prychnięcie.

Shan stał bez ruchu, zwrócony w stronę dźwięku, usiłując odgrodzić się od bólu, który czuł w sercu. Znajdował się w jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie widział w życiu, a jego syn je okradał, jego syn nie odczuwał nic poza głodem i chciwością.

- Nikt mnie nie zatrzyma. - Głos Ko w ciemnościach brzmiał jak pomruk jakiegoś jaskiniowego zwierzęcia.

- Nikt nie zamierza cię zatrzymywać. Przyszliśmy tu po coś innego. Ale potem, jeśli wydobędziesz się stąd żywy, oni wyślą po ciebie wojsko. Żołnierze w tym okręgu są znudzeni. Słyszałeś Yao. Urządzą sobie rozrywkę, coś w rodzaju polowania na pantery.

- Nie boję się żadnych pieprzonych żołnierzy. Shan westchnął, zastanawiając się, jakie to bóstwo spogląda na nich ze ścian.

- Nie wiem, jak być ojcem - powiedział bardzo powoli. - Ale mogę spróbować być przyjacielem. - Mógł to powiedzieć jedynie w ciemności, nie widząc oczu swojego syna ani oczu bóstw.

Znów usłyszał prychnięcie.

- Przepraszam. Pójdę sobie - rzekł, odwracając się od syna. Nagle wydało mu się, że mrok gęstnieje wokół niego. Przez chwilę rozpaczliwie zapragnął znaleźć się na powierzchni, w świetle, na świeżym powietrzu, z dala od wszystkiego.

A potem za plecami usłyszał niepewny głos Ko:

- Co się stało z twoim gangiem?

Dziesięć lat, które Shan czekał, żeby porozmawiać z synem, ciągnęły się jak stulecie. A teraz, kiedy Ko nabrał ochoty na pogawędkę, interesował go tylko wymagany gang ojca. Shan odwrócił się.

- Mówiłem ci, że nie miałem żadnego gangu. Pewne wpływowe osoby wsadziły mnie do obozu, żebym ja ich tam nie wysłał.

- Myślałem, że kłamałeś, że mówiłeś tak, by zaimponować temu głupiemu inspektorowi.

Shan zrobił krok w stronę syna.

- Moja praca nie różniła się od tego, co robi inspektor.

- Skoro byłeś tak ważny, czemu nie wyciągnąłeś mnie z obozu?

- Mówiłem ci, sam byłem w obozie. - Usłyszał, że chłopak znów chrupie orzechy. - Jeśli staniami plecami do siebie i będziemy szli wolno - powiedział po chwili - wypatrując świateł, może znajdziemy pozostałych.

- Oni mnie nie przyjmą.

- Oni cię potrzebują. Będziesz tylko musiał pozbyć się tego, co masz w kieszeniach.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jesteś uprzywilejowanym więźniem. Dlatego, że jeśli inspektor Yao przekona się, że może na tobie polegać, jest szansa, że kiedy wrócisz do obozu, postara się, abyś i tam miał uprzywilejowaną pozycję. - Dlatego, miał ochotę dodać, że nie możesz bez końca obrażać bóstw, które tu mieszkają-

- Jasne - odparł wolno Ko.

Shan usłyszał szelest materiału oraz metaliczny brzęk uderzających o siebie drobnych przedmiotów. Po chwili wyczuł, że Ko wstaje i dotyka jego ramienia. Odwrócił się i stanęli do siebie plecami.

- Te kopalnie węgla muszą być potworne - odezwał się Shan po minucie wpatrywania się w mrok.

- To najgorsze piekło, jakie możesz sobie wyobrazić - szepnął Ko - razy dziesięć. Każą ci pracować po dwanaście godzin, dzień w dzień, przez cały rok. Mróz, deszcz, śnieg czy upał - to ich nie obchodzi. Dwa razy dziennie dostajesz ledwo ciepły kleik z ryżu i modlisz się, żeby trafił ci się robak, którego mógłbyś zjeść. Pierwszego dnia, kiedy mnie tam przywieźli, widziałem, jak jakiś facet złapał ptaka, odgryzł mu łeb i połknął go, a potem wepchał sobie do gęby całą resztę, z piórami i ze wszystkim. Po miesiącu sam rozglądałem się za ptakami. Nocą padasz tam z wyczerpania, ale pieprzone wszy gryzą tak, że nie możesz zasnąć.

Shan zaczął modlić się w duchu, żeby Ko zamilkł. Nie chciał słyszeć ani słowa więcej. Nie mógł w żaden sposób pomóc synowi, wiedział, że chłopak będzie musiał wrócić do piekła, które mu opisywał.

- Nigdy nie wydają rękawic - ciągnął Ko z ponurą fascynacją. - I prawie żadnych narzędzi. Stare młoty i tępe dłuta. W pierwszym tygodniu zobaczyłem u jednego gościa coś białego na czubkach palców i zapytałem go, co to jest. Parsknął śmiechem i powiedział, że to nagroda dla więźniów, którzy wytrzymali dziesięć lat. Dopiero później, kiedy zobaczyłem więcej ludzi z czymś takim, zrozumiałem, że to były kości. Skóra na czubkach palców ściera się. Po dziesięciu latach ciało zaczyna wysychać i pokazują się kości. Wyglądają jak małe białe gałki. Kurwa mać - rzucił. Jego obojętny głos załamał się lekko. - To prawda.

Shan przyłapał się na tym, że drży. Wiedział, że to mówi Ko, dziesięcioletni więzień, ale słyszał te słowa wypowiedane Stosem ośmioletniego chłopca.

Szli w milczeniu.

- W jednej z tych sal trafiłem na kogoś - odezwał się nagle Ko. - Dotknąłem jego ramienia. To musiał być duch. Powiedział, że jeśli przy nim usiądę, nauczy mnie rozumieć. Uciekłem i znów uderzyłem się w głowę. Wyobraziłem go sobie. On nie mógł być prawdziwy.

Shan przystanął, walcząc z pokusą, żeby zawołać Genduna.

- Widzę światło! - wykrzyknął Ko.

Shan odwrócił się i w oddali ujrzał migotliwą poświatę. W miarę jak się do niej zbliżali, przybierała na sile i wkrótce wyraźnie zobaczył przesuwające się snopy światła z latarek, wreszcie usłyszał znajome głosy, rozmowy prowadzone nerwowym szeptem. Gdy Shan i Ko dołączyli do pozostałych, Lokesh i Liya stali przed kolejną pokrytą inskrypcjami ścianą, zmagając się z tłumaczeniem.

Yao spojrzął spode łba na Ko i wyciągnął do Shana butelkę z wodą. Gdy chłopak wepchnął się przed ojca i porwał butelkę, Shan spostrzegł, że kieszenie jego spodni są teraz puste, wypełniły się jednak kieszenie kurtki. Jego syn nie pozbył się ukradzionych przedmiotów, tylko je przelożył.

Shan zauważył, że Lokesh i Liya są zbici z tropu. Najwyraźniej rozumieli poszczególne słowa, ale nie cały tekst. Nie była to jedna z tradycyjnych nauk. Ponad inskrypcją namalowany był rząd małych białych ptaków, prawdopodobnie gołębi, a po bokach kwiaty, które wyglądały jak róże o grubych kolcach.

- To nie jest tak stare jak inne tutejsze malowidła - stwierdził Corbett, gdy się pochylił, żeby przyjrzeć się farbie. - Może mieć jakieś sto lat, nie więcej.

- „Na wszystkie rzeczy istnieje pora” - przeczytał wolno Lokesh, przesuwając palcem po pierwszej linijce tekstu. - „I godzina na każdy zamiar pod pałacem bogów”.

Shan usłyszał, że Corbett wstrzymuje oddech. Amerykanin pochylił się nad końcowymi słowami, umieszczonymi nisko nad podłogą, po czym wstał.

- „Wszystko ma swój czas” - wyrecytował po angielsku - „i każda sprawa pod niebem ma swoją porę. Jest czas rodzenia i czas umierania”.

Lokesh, kiwając głową, spojrział na niego zdezorientowany. Corbett wskazał palcem coś przy samej podłodze.

- Tam na dole jest podane źródło, po angielsku. Eklezjastes. Chrześcijańskie Pismo Święte. „Jest czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono”.

Gdy milcząco, ze zdumieniem wpatrywali się w tekst, w ciemności rozległ się nagle kobiecy głos:

- Coś niesamowitego, nieprawda? Żałuję, że nie znałam starego majora. Jego życie było cudem, nie uważacie?

Do kaplicy weszła Elizabeth McDowell. Corbett zmarszczył brwi i poklepał się po kieszeniach, jakby szukał broni. Liya przyciągnęła do siebie Dawę i ukryła ją za plecami. McDowell spojrzała na Tybetankę z wyrzutem, wzruszyła ramionami, po czym przepaszczając skinęła Shanowi głową.

- Przez tyle lat - powiedziała, wskazując ręką gdzieś w głąb labiryntu - nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o tym ambanie. Gdzieś w tych murach jest klucz do fortuny. Gdybyśmy z Lodi o tym wiedzieli - dodała, znowu wzruszając ramionami - nie musielibyśmy tak ciężko pracować.

- Lodi nie pozwoliliby ci tego zrobić - wtrąciła Liya. - Nie w świątyni ziemi. Ochroniłby ją.

- Nie chodzi o świątynię, kuzynko. O zapiski ambana. Lodi interesował się ambaniem nie mniej niż reszta z nas. Zaginiony skarb należał do cesarza. To nie jest okradanie Tybetańczyków.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestowała Liya. - Oni zbezczeszczą świątynię.

- Nie rozumiesz, Liya. Chcemy się dowiedzieć, gdzie na północy ukryto skarb ambana, to wszystko. Kwan Li i cesarz lubili tajemnice. We wszystkich tych starych gompach prowadzono szczegółowe zapiski. Myślałam, że zostały zniszczone, dopóki nie usłyszałam o podziemnej świątyni. Pomóżcie mi je znaleźć, pomóżcie mi rozwikłać tę tajemnicę, a świątyni nie stanie się nic złego.

- Ktoś już ukradł tu jedno malowidło ściennie - wtrącił Shan. - I uszkodził inne.

- Nie wiedziałam o tym, uwierzcie mi - odparła nieco Płaczliwie Angielka. - Lodi też nie wiedział. Ludzie bywają nadgorliwi. Dobrzy fachowcy lubią robić użytek ze swych

umiejętności, żeby nie wyjść z wprawy - dodała, zerkając w mrok. - To się już więcej nie powtórzy. Słuchajcie, niech Ming zdobędzie sławę, o której marzy, niech się wzbogaci. Dopilnuję, żeby Bumpari też na tym zyskało. Już nigdy nie będziecie musieli martwić się o żywność czy lekarstwa. Mnie tak samo jak wam zależy, żeby odciągnąć go od tego miejsca. Mogę to zrobić. Po prostu mi zaufajcie.

- Nie ujdzie to pani na sucho, McDowell - wycedził przez zęby Corbett.

- Punji. Przyjaciele nazywają mnie Punji - odparła dziwnie łagodnym, niemal bezbronnym tonem Angielka. - A pan jest dla mnie prawie jak stary przyjaciel. Agent Corbett podążający moim tropem, próbujący zbliżyć się do mnie.

- Nie miałem pojęcia, że pani jest jedną z nich - warknął Amerykanin.

- Nie jestem jedną z nich - zaprzeczyła Punji, rzucając Shanowi i Liyi smutne spojrzenie. - Proszę nas uważać za ludzi, których łączą jedynie interesy. - Z wymuszonym uśmiechem przyjrzała się Corbettowi i Yao. - Ale żeby uniknąć przykrych nieporozumień, będziemy musieli sprawdzić to i owo.

Liya jęknęła, gdy z ciemności wyszło dwóch mężczyzn, potężny Mongoł oraz chudy Chińczyk, których twarze Shan widział na zdjęciach z Mingiem i Dolanem.

- To są panowie Khan i Lu.

Liya wyraźnie zadrżała, po czym chwyciła Dawę i stanęła między Shanem i Corbettem. Shan spostrzegł na policzku Khana długie szramy, ślad po paznokciach Tybetanki. Mongoł utkwiał w niej drapieżne, wygłodniałe spojrzenie.

- Bogobójcy! - wrzasnęła Liya.

Lu parsknął śmiechem i obaj zaczęli przeszukiwać po kolei całą grupę. Zabrali im plecaki i zapakowali do nich krótkofalówkę, scyzoryki, kompas oraz wszystkie latarki.

- Nawet gdyby przyszło wam do głowy uciekać - powiedziała McDowell - nigdy nie znajdziecie drogi. - Otworzyła dłoń, pokazując im garść ziaren ryżu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Życie starego majora, brata Bertrama, było cudem. Nieoczekiwane słowa Angielki na temat jej przodka tłukły się Shanowi po głowie, kiedy prowadziła go, wraz z Corbettem i Lokeshem, w głąb labiryntu kaplic, podczas gdy Khan pilnował pozostałych. Ta kobieta była zagadką, rabusiem dzieł sztuki i filantropką, współpracowniczką dyrektora Minga, krewniaczką klanu Bumpari, organizatorką pomocy dla tybetańskich dzieci i, według Corbetta, morderczynią.

- Mogę pani zaproponować układ - odezwał się Corbett do jej pleców, gdy szli przez sale. Mówił po angielsku. - Może to był pomysł Lodięgo, może została pani po prostu wrobiona. Jeśli poproszę o złagodzenie kary, sędzia mnie wysłucha.

- Układ? - zapytała ze śmiechem. - A czego miałby dotyczyć?

- Rozprawy, która odbędzie się w Seattle.

- W Seattle? O ile się nie mylę, jest pan moim więźniem w podziemnym labiryncie po przeciwnej stronie kuli ziemskiej. A poza tym... - Odwróciła się, udając, że usiłuje sobie coś przypomnieć. - Och, tak - powiedziała, kładąc palec na podbródku - nie ma pan żadnych dowodów. Żadnych skradzionych zabytków. Żadnych śladów pozostawionych przez sprawców. Nic. Jak mówią lamowie, pańscy złodzieje byli utkani z powietrza.

- Możemy dowieść, że tego dnia pani i Lodi byliście w Seattle, możemy też wykazać, że dzień później polecieście do Tybetu, aby przekazać dyrektorowi Mingowi to, co ukradliście u Dolana.

- Dlaczego mielibyśmy to robić?

- Dlatego, że Ming ukradł te rzeczy państwu chińskiemu, dlatego, że musiał dostać je z powrotem przed inspekcją. Niech mi pani wyda Minga, a puszcze panią wolno. Jeśli znajdę skradzioną kolekcję bez pani pomocy, nie będzie już można negocjować - ostrzegł Corbett.

- Ale nigdy jej pan nie znajdzie. Wie pan, jak to jest. Takie obiekty zostają rozproszone, trafiają do rozmaitych handlarzy w Europie. Nie sposób ich wytropić. - Pokręciła głową i spójrzała na Amerykanina, jakby dopiero teraz zauważyła, że jest w tybetańskim stroju. Popatrzyła na niego łagodniej. - O co panu chodzi? - westchnęła. - Ma pan jakąś obsesję. Bogactwa zmieniają właścicieli. Nikomu nie dzieje się krzywda. Dolan dostanie czek z towarzystwa ubezpieczeniowego.

- A co z tą zabłądzoną dziewczyną?

Uśmiech, który dotąd błąkał się na ustach Punji, nagle uleciał.

- Z jaką dziewczyną? Nikt nie został zabity.

- Opiekunka do dzieci. Abigail Morgan. Jej zwłoki znaleziono w zatoce pięć dni po kradzieży.

Angielka patrzyła badawczo w oczy Corbetta.

- To nieprawda. Nikogo nie zabito.

Corbett wskazał wzrokiem Lu, który szedł na czele ich pochodu.

- On nie mówi po angielsku - powiedziała McDowell. Pociągnęła Amerykanina za koszulę, zmuszając go, żeby znów spojrzął na nią. - Do diabła, co z tą dziewczyną?

- Zniknęła tamtej nocy. Wróciła po coś do domu i musiała coś zobaczyć. Została zabita, zrzucona z mostu.

- Niemożliwe - szepnęła wolno McDowell. Przez długą chwilę wpatrywała się w ścianę z malowidłem przedstawiającym lamę w otoczeniu nowicjuszy. - Nie ma pan żadnych dowodów. Niczego. Ja nic panu nie mówię. Ale przypuścimy, że jakieś dwie osoby podjęły się tej roboty i że są one zainteresowane jedynie dziełami sztuki. Zwykły biznes. Przypuścimy - ciągnęła, utkwivszy w Corbettcie ponure spojrzenie - że czujniki alarmowe zostały odcięte w trzech miejscach, przy przewodzie zasilania kamery, przy domowej skrzynce alarmowej i przy zdalnym alarmie policyjnym zamontowanym na ogrodzeniu. - Przypuścimy, że wyniesiono całą tybetańską kolekcję, ale nic więcej. Powiedzmy, że wymontowano bębenek zamka w tylnych drzwiach, a złodzieje nosili lateksowe rękawiczki, więc nie zostawili żadnych odcisków palców. - To było praktycznie przyznanie się do winy. Ale Angielka, uświadomił sobie Shan, mówiła to wszystko, żeby Corbett jej uwierzył, żeby zrozumiał, że ona i Lodi nie popełnili morderstwa.

- Przypuścimy, że był jeszcze ktoś trzeci, kogo nie było z wami przez cały czas - wtrącił Shan.

- Nieprawda. - McDowell wciąż przyglądała się Corbettowi. - Pan wcale nie ma pewności, że ona została zabita właśnie tam. - W jej głosie nie było wątpliwości. - Nie wszczęto oficjalnego śledztwa w sprawie zabójstwa. Gdyby tak było, media rozpętałyby wrzawę, wszędzie byłoby głośno o opiekunce do dzieci zabitej w rezydencji Dolana.

Corbett zmarszczył brwi, ale nie odezwał się słowem. Shan spojrzał na niego zbity z tropu. Agent FBI powiedział mu, że to śmierć dziewczyny była powodem, że przybył do Tybetu. Przypomnił sobie swoją pierwszą rozmowę z Corbettem. Amerykanin sugerował, że jej śmierć ma związek z kradzieżą. Ale opowiedział też Shanowi, jak dziwnie się złożyło, że był przy odkryciu i wydobyciu jej ciała, przyznał, że poszukiwania zaginionej nie były elementem śledztwa, które prowadził w sprawie kradzieży. Wśród wiadomości z FBI była krótka notatka: *Szef dowiedział się, że wszczęł dochodzenie w sprawie niańki. Kazał je zamknąć.* Shan sądził, że chodziło o coś innego. Nie rozumiał słowa „niańka”. Musiało ono oznaczać opiekunkę do dzieci, tę martwą studentkę. Corbettowi polecono przerwać dochodzenie w sprawie śmierci tej młodej kobiety. A jednak był tutaj, w świątyni ziemi, ryzykując karierę, a może nawet życie, żeby wyjaśnić tę sprawę.

Punji McDowell odwróciła wzrok. Zrobiła kolejny krok w głąb labiryntu.

- Po co przyprowadziliście tutaj tę dziewczynkę? - zapytała nagle, wpatrując się w ciemność. W jej głosie nie było już gniewu. Pobrzmiwała w nim teraz jakby troska.

- Dawa się zgubiła - wyjaśnił Shan. - Przyjechała tu odwiedzić swą tybetańską rodzinę. Usłyszeć o dawnych zwyczajach. Ona pochodzi z tych gór. Wywodzi się z klanu Bumpari. McDowell westchnęła i rzuciła mu lekki melancholijny uśmiech.

- Przyszła, żeby nauczyć nas, jak uczyć się tej światy, ni - dodał Lokesh, jakby poprawiał Shana, przypominając mu o słowach Suryi.

- Dawne zwyczaje bywają głupawe - rzuciła Angielka. - Zdawało mi się, że najtrudniej będzie dostać się do świątyni. - Zmierzyła Shana wzrokiem i przeszła na angielski. - Szukamy tej samej rzeczy. Zaprowadźcie mnie do górnych sal, gdzie muszą znajdować się zapiski, a pozwolę wam odejść. Wszystkim.

Shan przyjrzał się jej uważnie.

- Najpierw musi nam pani coś wyjaśnić - powiedział. - Dlaczego sfabrykowała pani ten „grób”, który znalazł Ming?

Zielone oczy McDowell rozbłysły. Przez chwilę beznamietnie odwzajemniała spojrzenie Shana, w końcu uśmiechnęła się powoli.

- Myślę, że wolę mieć w Mingu wroga niż współnika. To była przyjemna rozrywka.

- Musiała pani poświęcić tę szatę od Fiony.

- Było mi przykro. Ale ona zrozumiała. Znamy się z kuzynką Fioną od wielu lat, wypiliśmy razem wiele czarek herbaty. Wyjaśniłam jej, że to dla Lodiego. Wysłała pasterza, który pojechał konno do Zhoki po kości, i dała mu modlitwę, która miała go chronić. Obiecałam jej, że kiedy będzie już po wszystkim, zostanę z nią przez tydzień i przeczytam jej na głos wszystkie książki.

- Co ma pani na myśli, mówiąc o wrogu? - zapytał Yao, z uwagą przyglądając się Angielce. - Chodzi pani o spór między złodziejami?

- Kolejny błąd. Ja nie jestem złodziejką - odparła gwałtownie.

Yao zmarszczył brwi i uniósł ręce.

- Dopiero co powiedziała nam pani, że... - Urwał, zauważywszy, że Shan i McDowell wymieniają spojrzenia.

- Czy FBI wie o jakichkolwiek innych kradzieżach popełnionych kiedykolwiek przez Lodiego i pannę McDowell? - zapytał Shan Corbetta, nie odrywając wzroku od Angielki.

- Nie - odrzekł Amerykanin. - Nie wiadomo nam nawet, żeby gdziekolwiek na świecie wlepiono im mandat za niewłaściwe parkowanie. Do czego pan zmierza?

- Ona nie była złodziejką - powiedział Shan. Jego mózg pracował jak szalony, usiłując zrozumieć, co powiedziała im McDowell, niczego nie mówiąc. - Była kurierem. Kradzieży

dokonał ktoś inny, ktoś inny unieszkodliwił system alarmowy. Lodi i Punji jedynie wywieźli kolekcję.

Na wargach McDowell pojawił się nikły uśmiech. Odwróciła się i podeszła do najbliższej ściany, jakby nagle zainteresował ją wizerunek zielonego bóstwa.

- Oni wszyscy pracują razem od lat - wyjaśnił Shan. - Lodi, Ming, Khan, McDowell i ktoś jeszcze, ktoś z otoczenia Dolana. - Odwrócił się do Corbetta. - Dolan musiał wiedzieć, że obiekty, które sprzedał mu Ming, należą do muzeum. Jest wytrawnym kolekcjonerem, a Ming nigdy nie podjąłby takiego ryzyka, gdyby nie płacono mu za to fortuny. Być może mieli pośrednika, jakiegoś handlarza dzieł sztuki, ale Dolan wiedział, że nie kupuje kopii. Wspólnie popełnili przestępstwo przeciwko narodowi chińskiemu. Ale potem, gdy Ming znalazł się w kłopotach i musiał szybko sprowadzić eksponaty z powrotem do Pekinu, Dolan zażyczył sobie wysokiej ceny za pomoc. Tak więc tym razem były dwie strony, dwie grupy. Ming wysłał Lodiego i Punji po kolekcję z Seattle, Dolan albo jego agent zlecili w Pekinie Khanowi i Lu kradzież tego, czym Ming miał zapłacić za zwrot zabytków.

- Dolan zażyczył sobie malowidła? - zdziwił się Corbett. - Niemożliwe.

Shan bez słowa spojrział na plecy McDowell.

- Ming i Dolan przestali sobie ufać, więc wszystko musiało być zbilansowane, skoordynowane w czasie. To dlatego przestępstwa zostały popełnione w tym samym czasie.

- Dolan nigdy nie ubrudziłby sobie rąk - rzucił lodowatym głosem Corbett. Ale ma marszanda w Seattle. - Amerykanin zamyślił się głęboko. - Z tego wszystkiego nie wynika, dlaczego Ming miałby stać się jej wrogiem - stwierdził po chwili.

- To przyszło później, w ostatnich dniach - podsunął Shan, obserwując McDowell - kiedy Ming zaczął aresztować starych Tybetańczyków i rabować ich domowe ołtarze. Wierzę jej, kiedy mówi, że chciałaby, aby ci wszyscy obcy opuścili Lhadrung.

Punji odwróciła się ku niemu i z wdzięcznością skinęła mu głową.

- Arogancja Minga nie pozwoli mu od razu dostrzec prawdy - powiedziała. - Gdybyśmy wczoraj nie zamydlili mu oczu tym grobem, byłby tu już dziś. On ma obsesję. Sprowadziłby żołnierzy, kazałby im strzelać do każdego, kto by mu stanął na drodze. Wydaje mu się, że jest nietykalny.

- Pani stoi mu na drodze - zauważył Shan.

- Ale ja go znam. Znam ich wszystkich. Nie rozumie pan, że tylko ja mogę ocalić przed nimi Zhokę tak, by nikomu nie stała się krzywda? - Spojrzała na przyglądającego się jej Shana. W oczach miała tyle nadziei, że zapragnął jej uwierzyć. - Wspomniał pan coś o wskazaniu nam drogi na następny poziom.

- Zadaniem świątyni jest oświecenie - odezwał się Lokesh. - Tu każdy powinien stać się pielgrzymem.

Punji skrzywiła się.

- Więc niech nas pan oświeci, jak przejść ten labirynt.

- Myślę - rzekł wolno Lokesh - że nie ma żadnego labiryntu.

Angielka z irytacją wyrzuciła w górę ręce, po czym oświetliła ciąg kaplic, do których nie zdążyli jeszcze zajrzeć.

- Dla tych, którzy potrafią przeniknąć pozory, nie ma żadnego labiryntu - podsunął Shan, stając obok przyjaciela.

Punji odwróciła się w ich stronę.

- Przy wejściu były dwie inskrypcje - wyjaśnił Lokesh. - Pierwsza mówiła, że najwyższą mądrością jest przenikanie pozorów. Druga, kolejny cytat ze świętej księgi, że jedynej rzeczy, która należy do nas, poszukujemy gdzie indziej.

- Twoim zdaniem wejście na następny poziom jest właśnie tam? - odgadł Shan.

- Wtedy tak mi się nie wydawało - odparł stary Tybetańczyk, gładząc się po siwym zarostie na podbródku. - Ale teraz myślę, że tam znajdziemy przynajmniej rozwiązanie zagadki.

McDowell odwróciła się, kierując światło latarki tam, skąd przyszli.

- Idziemy - powiedziała.

Parę chwil później dotarli do kaplicy, w której Khan pilnował pozostałych. Ko siedział w kucki obok potężnego Mongoła i rozmawiał z nim cichym, swobodnym głosem.

McDowell szepnęła coś Khanowi, uśmiechnęła się do Ko, po czym kazała Lu, żeby został z Khanem i pilnował Dawy, Liyi oraz Ko, bo potrzebują zakładników, żeby pozostali nie uciekli, gdy pójdą z nią przeszukać labirynt.

- Dlaczego mielibyśmy pani pomóc rozwiązać tę łamigłówkę? - zapytał Corbett, gdy dotarli do przedsionka. - Z pani powodu zabito tę dziewczynę.

- Zrobię wszystko, by panu udowodnić, że nikogo nie zabiliśmy - odparła Angielka - ale w tej chwili są pilniejsze sprawy. Zaprowadźcie mnie na górę, bo tam właśnie muszą być archiwa, a potem wynieśmy się wszyscy ze Zhoki. Jest pan geniuszem, gdy chodzi o poszukiwania dzieł sztuki. Niech mi pan pomoże zgadnąć, dokąd amban zabrał przedartą thankę. Potem możemy porozmawiać o Seattle.

Yao spojrzał na nią wściekle.

- Nie układam się z przestępcami - warknął. Punji wygięła usta w teatralnym grymasie.

- Nie popełniłam żadnych przestępstw na terytorium Chin.

- Cudzoziemcy mają prawo na nim przebywać, dopóki zgadzają się na to władze.

Możemy deportować panią za samo tylko zadawanie się z przestępcami. Na stałe zatrzaskać drzwi.

- Deportować brytyjską pracownicę organizacji humanitarnej? Wyobraża pan sobie, jaką dyplomatyczną burzę to rozpęta?

- Nikomu nie stanie się krzywda - wtrącił Shan. - Kiedy skończymy, każde z nas pójdzie w swoją stronę.

- Z wyjątkiem Lu - zastrzegł Yao. - On wróci z nami do Lhadrung.

McDowell spojrzała na niego zaniepokojona.

- Nie zna pan tego człowieka. Niech się pan dobrze zastanowi, czego pan żąda.

- To on ukradł cesarskie malowidło - oświadczył Yao. - Sprzęt, który znaleźliśmy, i rękawice były za małe dla Khana. To Lu musi być specjalistą od tynków. Ukradł malowidło z tej świątyni, ukradł malowidło Qian Longa z Pekinu. Muszę go dostać. Niech mi pani pomoże, jeśli chce pani kiedykolwiek opuścić Chiny.

- Przed chwilą zamierzał mnie pan deportować, teraz nie pozwala mi pan wyjechać. Niech się pan zdecyduje.

- Proszę złożyć zeznanie, powiedzieć nam wszystko, co pani wie. Dość, żeby Lu mógł się spodziewać dwudziestu albo trzydziestu lat ciężkich robót. To mi wystarczy, dzięki temu uzyskam wszystko, na czym mi zależy.

- Lodi nie żyje - przypomniał jej Shan. - Już nigdy nie będzie tak samo.

- Ja nie zdradzam nikogo. Lu po prostu wykonuje swoją pracę. Dlaczego miałabym rujnować mu życie?

- Żebyśmy mogli dopaść Minga. On zdradził zaufanie narodu chińskiego.

- Jeśli nam pani nie pomoże, zdradzi pani wszystkich mieszkańców Bumpari - dodał inspektor, zerkając przeproszająco na Shana. - Swoją rodzinę.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Jeśli nie będziemy mogli wykazać, że Ming miał związek z kradzieżą malowidła, to żeby go powstrzymać, będziemy zmuszeni posłużyć się dowodami fałszerstw z wioski - wyjaśnił Yao. - Mamy rachunki Lodiego.

Punji zacisnęła zęby.

- To jeszcze jeden powód, żeby odmówić współpracy.

- Zawrzyjmy umowę - nalegał Shan. - Yao przyrzeknie, że nie wciągnie Bumpari w tę sprawę.

- Nigdy nie powiedziałem...! - wybuchnął inspektor. Shan uniósł rękę i Yao umilkł.

- Jeśli każde z nas zgodzi się na mały kompromis, uda się ocalić Bumpari - powiedział Shan. - Tego właśnie pragnąłby Lodi. Tego pragnąłby brat Bertram. Tego pragnęliby lamowie. To jest cena za moją pomoc. - Spojrzał na Yao. - Każde dochodzenie przeciwko ludziom takim jak Ming kończy się kompromisem - zakończył z wyzwaniem w głosie.

Yao zmarszczył brwi, lecz nie odezwał się słowem.

Punji przygryzła wargę. Spojrzała na wizerunek oświeconego i wolno skinęła głową.

- Musimy odnaleźć te stare zapiski. A wy nigdy się stąd nie wydobędziecie bez mojej pomocy.

Zwróciła im latarki i wszyscy zaczęli badać ściany centymetr po centymetrze. Przyglądali się mniejszym postaciom na malowidłach, odczytywali napisy, szukali schematów w doborze barw. Corbett wskazał na ciągnący się górą pas barwnych pól z małymi świętymi symbolami.

- Biały, niebieski, żółty, zielony, czerwony, czarny - powiedział, wskazując po kolei poszczególne pola. - Potem znów od początku.

Lokesh wzruszył ramionami.

- Załączkowe sylaby - oświadczył, jakby to było oczywiste.

- Każdemu z załączkowych dźwięków przypisany jest inny kolor - wyjaśnił Shan. - Biały to *OM*, niebieski *MA*, żółty *NI*, zielony *PAD*, czerwony *ME*, czarny *HUM*.

- *OM MANI PADME HUM* - powtórzyła McDowell. - Mantra mani. Wierni za jej pomocą przyzywają Bodhisattwę Współczucia, żeby odnaleźć właściwą ścieżkę.

Corbett podszedł do ściany, przyglądając się barwnym pasom na innych malowidłach. Wskazał kwadraty otaczające wizerunek Atiśi.

- Tu jest tylko jeden biały i jeden niebieski - zauważył, pokazując palcem kwadrat przy barku świętego i drugi w pobliżu jego opuszczonej prawej dłoni. Zwrócił się do następnego malowidła i wskazał jedyny żółty oraz jedyny zielony kwadrat w mozaice małych portretów, umieszczone w takim samym układzie jak pierwsze dwa, a potem czerwony i czarny na trzeciej ścianie. - Jeśli poprowadzić linię prostą przez każdą parę, jej koniec wskaże dolny prawy róg ściany. - Pochylił się i zwrócił im uwagę, że w dolnym prawym rogu wszystkich trzech ścian jest brązowy kwadrat, element innego układu barwnych pól, obiegającego salę nad podłogą.

Na czwartej ścianie nie było żadnych tego rodzaju znaków.

- Jak to pan mówił? - zagadnął Amerykanin Lokesha. - Musimy przenikać pozory. A to, czego szukamy gdzie indziej zawsze jest tuż obok nas. - Corbett uklęknął w kącie i już po

chwili krzyknął z entuzjazmem. - Na tamtych ścianach jest wskazówka, że trzeba spojrzeć w róg czwartej ściany - wyjaśnił i pokazał, że narożny kwadrat nie jest, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, pomalowanym na czarno polem, ale dziurą, ciemną, zamaskowaną przez wzór dziurą. - Tu trzeba coś włożyć. Coś, co posłuży za dźwignię.

Shan spojrział na wiszący nad drzwiami długi kij żebraczy.

Po chwili Corbett wetknął kij do otworu. Pchnął go mocno i uniósł. Nic się nie stało.

- Chyba coś słyszałem - odezwał się Yao. - Szczęknięcie, jakby puścił jakiś zatrzask. - Pchnął ścianę nad otworem. Nic. Corbett i Shan naparli na nią barkami. Inspektor przyłączył się do nich. Nic nawet nie drgnęło.

- To mógł być kolejny fałszywy trop - stwierdził Corbett. Oparł się o sąsiednią ścianę i krzyknął zaskoczony, gdy nagle stracił równowagę. Ściana za jego plecami obróciła się wokół centralnej osi, ukazując ukryte przejście. Gdy się zatrzymała, Corbett runął w ciemność.

Shan podbiegł czym prędzej, kierując światło latarki na Amerykanina, który leżał na drewnianym podeście pod prowadzącymi w górę stromymi, szerokimi na pół metra schodami.

- Chryste, co za fachowcy - mruknął Corbett, gdy wstał i oświetlił latarką tylną stronę ruchomej ściany. Była zrobiona z desek, spojonych tak ściśle i tak zręcznie pomalowanych, że z zewnątrz nie różniła się od pozostałych, kamiennych.

Wspięli się na trzeci poziom i znaleźli się w sali niepodobnej do żadnej z tych, które widzieli niżej. Na szczycie schodów Punji jęknęła, a Lokesh wydał radosny okrzyk.

Ze ścian patrzyły na nich oblicza demonów. Nie malowane, jak w kaplicach dolnych pięter, ale trójwymiarowe, precyzyjnie wykonane, przerażające maski z tybetańskich tańców rytualnych, maski, w których wedle tradycyjnych wierzeń mogły zamieszkać gniewne bóstwa, jeśli wypowiedziało się właściwe słowa.

Stali przez chwilę na środku sali. Poruszające się plamy światła z ich latarek nadawały pozory życia gniewnym twarzom.

Shan oświetlił arkusz papieru w drewnianej ramce, wiszący obok jednych z dwojga drzwi w tym pomieszczeniu. Tekst na nim nie był tybetański, nie należał do rytualnych, wyglądał raczej na swego rodzaju pozdrowienie.

Gdy zdjął zakurzoną ramkę ze ściany i podał ją McDowell, usłyszał, że Angielka wstrzymuje oddech.

- Kochany wujek Bertram. - Uśmiechnęła się i cicho przeczytała tekst na głos:

Jak dotarłeś aż tu, pytam ja ciebie,

Choć inni w tych kaplicach wychodzili z siebie?

Czy to znajomy mnich,

Czy bóstwo ci szepnęło,

Że labirynt to lipa, pozorne jeno dzieło?

Drzwi z sali masek prowadziły do biegnącego łukiem tunelu, odpowiadającego temu na pierwszym poziomie, choć o mniejszym promieniu i większej krzywiźnie. Jego zewnętrzną ścianę przerywały w regularnych odstępach wejścia do kaplic przedzielonych celami medytacyjnymi. Szli szybko, nie zaglądając do nich. Wewnętrzna ściana była pokryta tynkiem i ozdobiona polichromią równie bogatą jak w kaplicach. Co dziewięć metrów były w niej proste drewniane drzwi z solidnych desek, wszystkie zamknięte na żelazne skoble i zwieńczone fragmentem łuku tęczy namalowanym pomiędzy futryną a sufitem. Minęli malowidło przedstawiające bóstwo na lwim tronie. Ściana za nim była żółta. Znaleźli się przy symbolicznej południowej bramie. Shan zatrzymał się przy drewnianych drzwiach naprzeciw żółtej ściany i otworzył je.

Była to cela jednego z wyższych łamów gompy - skromna, prosta izba z thanką wiszącą na ścianie naprzeciw drzwi, niskim łóżkiem na podwyższeniu pod prawą ścianą, drewnianym kufrem przy lewej oraz prostym ołtarzem pod thanką, wszystko to wykonane z wonnego drewna. Na łóżku leżał siennik i zmięty, zepchnięty pod ścianę filcowy koc. Gdy Corbett otworzył kufer, Shan zajrzał mu przez ramię. Wnętrze skrzyni przedzielone było cienką deską. Po jednej stronie znajdowały się dwie wierzchnie mnisie szaty, dwie szare szaty spodnie, laseczki kadzidła i kilka słoików ziół. Druga część zawierała cztery pechë, o kartach schludnie ułożonych między elegancko rzeźbionymi okładkami. Przeciągając palcem po delikatnie wyrzeźbionych ptakach na okładce leżącej na górze pechy, Shan zauważył, że Punji patrzy gdzieś w stronę środka izby. Obejrzał się i zobaczył, że Lokesh z bólem wpatruje się w łóżko. Pod meblem leżała para znoszonych sandałów.

- Co się stało? - zapytał Corbett, spostrzegłszy minę starego Tybetańczyka. Po chwili zaklął pod nosem i bez słowa stanął obok Lokesha.

- On wybiegł, wyskoczył z łóżka - powiedziała ze smutkiem Punji.

Koc, pozostawiony w nieładzie w tym idealnie uporządkowanym pokoju, oraz zapomniane pod łóżkiem sandały mówiły dobitnie, co zdarzyło się przed czterdziestu laty.

- Przyszli o świcie - szepnął Shan.

Koc leżał tam, gdzie lama go odrzucił, kiedy wołano na trwogę, być może kiedy spadły pierwsze bomby, kiedy boso wypadł przez drzwi swej celi.

Wyszli w milczeniu i otworzyli następne drewniane drzwi. Izba za nimi wyglądała zupełnie tak samo jak pierwsza, z tym tylko, że koc leżał tu schludnie złożony na łóżku. Ale na podłodze stały sztalugi, a przed nimi poduszka i drewniana taca z farbami i pędzlami. Na

rozpiętym na sztalugach płótnie widać było naszkicowane węglem kontury skomplikowanej thanki. W jednym rogu malarz zaczął nakładać farby.

W kolejnej izbie znów znaleźli odrzucony w pośpiechu koc, a oprócz tego przewrócony gliniany dzban przy drzwiach. Nagle Shan uświadomił sobie, że nie ma z nimi Lokesha. Zawrócili i odnaleźli go w pobliskiej kaplicy. Stał z latarką tuż przy ścianie, przyglądając się malowidłom.

- One nie są takie jak pozostałe - odezwał się, gdy Shan zatrzymał się obok niego.

Shan skierował snop światła na ściany, a za nim pozostali. Zestaw barw i patyna wieków na malowidłach nie różniły się od tego, co widzieli w innych kaplicach. Jednak w tle, zamiast drobnych wizerunków reinkarnowanych łamów albo świętych symboli, wyobrażone były skały, drzewa i chmury. Za plecami ukazanego pośrodku świętego otwierał się rozległy górski pejzaż z małymi ptakami w locie.

- To nie są tybetańskie malowidła - zauważył Corbett. Ale Lokesh wskazał centralną postać, która trzymała dłoń przy uchu. Był to bez wątpienia Milarepa, słynny asceta, w otoczeniu innych tybetańskich świętych.

- Tybetańskie, a jednak nie tybetańskie - stwierdził Shan. - Tło jest w chińskim stylu. - Wskazał palcem umieszczony w prawym dolnym rogu symbol: mały łuk, od którego odchodziło pięć zakrzywionych, podobnych do przecinków kresek. - Tego nie znam.

Corbett odnalazł podobne znaki w rogach dwóch innych malowideł w kaplicy.

- To wygląda jak sygnatura malarza - powiedział. - Ale mówił pan, że Tybetańczycy nie sygnowali swoich dzieł.

- Prawie nigdy. Czasem tylko umieszczali odcisk dłoni albo jakieś słowo na odwrocie malowidła.

- Kto jest tu z boku? - zapytał Yao, wskazując dwie postacie w mnisich szatach, stojące nieco z tyłu po obu stronach kolejnego tybetańskiego świętego, których twarze oddano z wyjątkową precyzją. - On nie ma tybetańskich rysów - stwierdził inspektor, wskazując jednego z mężczyzn. - Wygląda jakoś znajomo.

Shan i Lokesh ociągali się z opuszczeniem kaplicy, wciąż przyglądając się dziwnym malowidłom. Choć odbiegały od kanonów tybetańskiej sztuki, znać było po nich rękę sprawnego malarza, który stworzył odmienny styl, cechujący się swoistym, Poruszającym prostotą pięknem. Gdy Shan wyszedł wreszcie na korytarz, spostrzegł, że pozostali stoją przed następnymi drewnianymi drzwiami, wpatrując się w ich futrynę. Sterczało z niej kilka kołków, na których wisiało co najmniej dwadzieścia khat, obrzędowych szali ofiarnych. Pod

drzwiami Shan zobaczył kilka zakurzonych posążków z brązu, przewiązane gałązkami pnączy zwoje modlitw oraz wysuszone brunatne bryłki, które mogły być niegdyś ofiarami z masła.

- To jakiś ołtarz - powiedziała Punji. - Te rzeczy złożono tu dawno temu, przed bombardowaniem.

W pierwszej chwili wewnątrz celi zdawało się nie różnić od innych. Było tu takie samo proste łóżko z desek, niski stolik do pisania, krzesło, półka z pechami, drewniany kufer i ołtarz pod thanką. Ale siennik przewiązany był jedwabnym sznurem, a na pokrywie kufra stał mały kamienny posążek smoka.

Nikt nie miał ochoty przestąpić ofiar złożonych na progu. W końcu Yao westchnął i wszedł do celi. Podczas gdy pozostali przyglądali się z zewnątrz, podszedł do łóżka i oparł dłoń na zwiniętym sienniku. Przez chwilę wpatrywał się w smoka, po czym odwrócił się i oświetlił latarką pozostałe ściany. Nagle gwałtownie wciągnął powietrze. Latarka wypadła mu z ręki. Nie pochylił się, żeby ją podnieść, ale stał bez ruchu, nie odrywając oczu od ściany okalającej drzwi, niewidocznej dla reszty. Po chwili doszedł do siebie i zrobił mały krok naprzód, ale nogi chyba odmówiły mu posłuszeństwa, bo opadł na kolano. Nie wstał jednak, wciąż klęczał wpatrzony w ścianę, zapomniawszy o latarce.

Shan, a za nim inni, wszedł do izby, odwrócił się i spojrzał tam, gdzie patrzył Yao. Ugięły się pod nim kolana.

- Ach! - krzyknął Lokesh.

- To on! - jęknęła Punji.

- Kto? - zapytał zdezorientowany Corbett, patrząc na dwa wspaniałe chińskie portrety zwojowe na ścianie.

Shan natychmiast rozpoznał wytwornego mężczyznę w średnim wieku, w futrzanej czapie na głowie, który spoglądał w dół z tronu na malowidle po prawej stronie drzwi. Był to cesarz Qian Long.

- Sprowadził z Pekinu portret wuja - szepnęła Punji.

- I własny - dodał Shan. Na lewo od drzwi wisiał podobny obraz, tej samej wielkości, z takim samym obramowaniem z jedwabnego brokatu, przedstawiający siedzącego na ławie innego mężczyznę w futrzanej czapie, którego miła, inteligentna twarz była młodszą wersją twarzy cesarza.

- Nieznani święci - powiedział Lokesh.

Shan nagle uświadomił sobie, dlaczego jeden z mężczyzn na malowidłach ściennych w kaplicy wydawał mu się znajomy.

- To cesarz - stwierdziła Punji z respektem - przedstawiony jako lama. A ten drugi to jego siostrzeniec, amban.

- Nie amban - poprawił ją Shan. - W tym czasie był już kimś innym.

- Kimś innym? - zdziwiła się Angielka.

- Reinkarnowanym opatem. - Shan wskazał figurkę smoka na kufrze. - Lamą Kamiennym Smokiem.

- „Uśmiercony z rozkazu lamy Kamiennego Smoka” - wyszeptała ze zdumieniem Punji. Spojrzała na Lokesha i Shana. - Lama Kwan Li skazał na śmierć ambana Kwan Li. - Dopisek na cesarskim obwieszczeniu był najwyraźniej żartem podopiecznych lamy.

- On sygnował swoje dzieła - szepnął z podziwem Lokesh. Jego palec spoczął na jednej z wyciągniętych łap kamiennego smoka.

McDowell, która otworzyła właśnie stojący przy łóżku kufer, uniosła wzrok znad tacki pełnej schludnie ułożonych pędzli i wyschniętych farb, którą w nim znalazła.

- Co pan ma na myśli?

- Te malowidła są sygnowane. To on je malował - wyjaśnił Shan. Uświadomił sobie, że żadne z nich nie unosi głosu ponad szept. - Pięć kresek. To odcisk łapy cesarskiego smoka. Pięć szponów.

W cieniu przy ołtarzu błysnęła zapalka. Lokesh podpalił laseczkę kadzidła i umieścił ją w kamiennym stojaku na niskim stole, którego Shan wcześniej nie zauważył. Obok stojaka leżała spora drewniana taca, a na niej osobliwy zbiór przedmiotów: kilka małych tsa-tsa pomalowanych jaskrawymi farbami. Ponad dwadzieścia zwojów papieru ciasno obwiązanych jedwabnymi nićmi. Coś, co wyglądało na kawałek kości. Oraz okrągły przedmiot z brązu w kształcie małej kopuły z krótkim trzonkiem od spodu. Cała ta kolekcja wyglądała na prowizoryczny ołtarz.

Shan usłyszał za plecami stłumiony okrzyk. Punji trąciła Palcem metalowy przedmiot, przewracając go na drugą stronę. Jej dłoń zawisła w powietrzu. To był guzik, ozdobny guzik od wojskowego munduru, ozdobiony dwoma skrzyżowanymi lufami dział.

Przez twarz McDowell przebiegła burza emocji. Po chwili kobieta założyła ręce na piersi i odwróciwszy się do portretu ambana, podeszła doń, jakby chciała go o coś zapytać, a następnie powoli wyszła na korytarz i zniknęła w mroku.

Gdy Shan ruszył za nią, zobaczył wiązkę światła skierowaną w głąb następnej izby. W drzwiach stał Corbett. Shan patrzył, jak Punji podchodzi do Amerykanina i zagląda do izby. Nagle Corbett się roześmiał, a ona wbiegła do środka.

Jedyną w tej izbie rzeczą, która przypominała wystrój pozostałych pomieszczeń, była boazeria z wonnego drewna. Łóżko było wyższe, wsparte na drewnianych klockach, a pod ścianą, w której znajdowały się drzwi, stały trzy kufry. Ścianę naprzeciw łóżka zasłaniały sięgające od podłogi do sufitu regały. Shan podszedł do nich. W większości wypełniały je tradycyjne tybetańskie pechë, ale jedna półka zastawiona była książkami oprawionymi na zachodnią modłę. Na misternie rzeźbionym stoliku przy łóżku zobaczył kilka nadpalonych świeczek, parę kartek papieru oraz dwie fotografie w identycznych ramkach. Shan przyjrzał im się z bliska. Jedna przedstawiała XIV Dalajlamę jako mniej więcej dziesięcioletniego chłopca. Druga była portretem siedzącej w ozdobnym fotelu tęgiej Europejki w ciemnej sukni z ciasno zapiętym pod szyją koronkowym kołnierzem. Shan przypomniał sobie, że widział jej twarz na innym zdjęciu, w chatce w Bumpari. Gdy Corbett zapalił jedną ze świeczek, znów parsknął śmiechem. Do stolika podeszła Punji i podniosła ramkę ze zdjęciem kobiety.

- To jego królowa - powiedziała, wciąż z respektem. - Królowa z czasów jego dzieciństwa. Wiktoria.

W ścianie nad łóżkiem tkwił kołek, na którym wisiał drewniany futerał na rzemyku. Znajdowała się w nim para okularów w drucianych oprawkach. Nad kołkiem na ścianie odznaczał się ślad po wiszącym tam niegdyś przedmiocie, długi na półtora metra prostokąt pokryty cieńszą niż gdzie indziej warstwą kurzu.

Dołączył do nich Yao, który zaczął zaraz otwierać skrzynie. W pierwszej leżały mnisie szaty i bielizna, kadzidło oraz gęsto zacerowane wełniane skarpety. Ścianę nad skrzyniami ozdabiała malowidła nie przypominające żadnych, jakie Shan kiedykolwiek widział w tybetańskich świątyniach. Były to prace zręcznego artysty, który wykonał je na wzór thanek, ale nie stosował się do sformalizowanych reguł przestrzeganych przez Tybetańczyków.

Pierwsze przedstawiało Buddę Przyszłości na wspaniałym białym koniu, szarżującego z pochyloną kopią na niewyraźne postacie jeźdźców na skraju lasu. Inne ukazywało mnicha w targanej wiatrem szacie stojącego na murach twierdzy wyglądającej jak brytyjski zamek. Shan spojrzął znów na pierwsze malowidło i uśmiechnął się. Budda Przyszłości na białym rumaku został przedstawiony jako Ivanhoe.

W kącie znajdował się wielki obraz przywodzący na myśl europejską scenę batalistyczną. Byli na nim żołnierze w jasnobrązowych hełmach popędzający gromadę ludzi ciągnących działą, część z bandażami na krwawiących ranach, a nieco z boku, na wzgórzu, grupa oficerów o tak szczegółowo przedstawionych twarzach, jakby artysta sportretował

znane sobie osoby. Ale wszyscy żołnierze, z oficerami włącznie, ubrani byli w bordowe szaty mnichów.

Corbett z okrzykiem zdziwienia wyciągnął z jednego kufra podłużny przedmiot - podniszczony od częstego grania skrzypce.

Shan usiadł na stołku, wpatrując się w kartkę z pechy, czystą, jeśli nie liczyć narysowanego na marginesie kwiatka. Czekala pod piórem starego majora, brata Bertrama, aż spłynie na nią myśl, która jednak przepadła bezpowrotnie.

Corbett otworzył kolejny kufer i wyjął z niego parę czerwonych spodni ze złotymi lampasami, element oficcerskiego munduru galowego. Shan podszedł do regału i przyjrzał się zachodnim książkom. Była tam Biblia, kilka angielskich Powieści, atlas ptaków Azji oraz gruba, oprawiona w skórę księga bez tytułu. Otworzył ją i odkrył, że jest to dziennik, Prowadzony po angielsku starannym, eleganckim pismem. Pierwszy wpis nosił datę 10 grudnia 1903 roku.

Dziś, prowadząc cztery tysiące mulów przez śniegi przełęczy Jelap La, wysokość 14 000 stóp, z trzema setkami poganiaczy mówiących czterema różnymi językami, dowiedzieliśmy się, co jeszcze może znaczyć słowo „chaos”.

Był to opis przeprawy ekspedycji Younghusbanda przez Himalaje. Shan przewertował strony. Przez pierwszy rok wpisów dokonywano co tydzień. Z początku były to krótkie, suche opisy pracy żołnierzy, później bogatsze notatki poświęcone tybetańskiej sztuce i mnichom artystom. Major został oddelegowany do Gyantse, gdzie na mocy traktatu założono jeden z brytyjskich ośrodków handlowych. Potem nastąpiła długa, licząca ponad rok przerwa, po której pojawił się zapis opatrzone nagłówkiem *Lhasa 1906*, a dalej kilka notatek, w których major wspominał o magicznym ukrytym miejscu, do którego zabrał go nauczyciel i w którym chciałby pozostać na zawsze. Shan zatrzymał się kawałek dalej i przeczytał radosny ustęp o narodzinach córki.

Potem, po wpisie z 1934 roku, pojawiła się strona, na której było tylko jedno słowo: *Zhoka*, a za nią pierwszy zapis dokonany przez brata Bertrama:

Moi drodzy przyjaciele i nauczyciele nalegali, żebym zajął zaszczytne kwatery sąsiadujące z tymi, w których mieszkał dwunasty Kamienny Smok, wspomniany przez nich jak umiłowany dziadek i czczony jako bóstwo opiekuńcze. Mówią, że on także był gościem z innej części świata, a przybył tu, żeby oświecać ludzkie dusze. Pozwolili mi przeczytać jego listy. Nie miałem pojęcia, że cesarz znał tybetański.

Shan odszukał ostatni wpis, datowany 24 maja 1959 roku.

Dziś obchodziliśmy urodziny królowej. Grałem na skrzypcach przed główną bramą i uczyłem lamów tańczyć gigę. Rzucaliśmy mąkę w powietrze i wypiliśmy po kropelce brandy. Niech zwyciężą bogowie.

- Lha gyal lo - usłyszał tuż nad uchem cichy kobiecy głos. Elizabeth McDowell czytała mu przez ramię.

- Czy to prawda, panno McDowell? - szepnął Lokesh. - Życzy pani zwycięstwa bogom?

Pytanie to najwyraźniej zakłopotало Punji. Odwróciła wzrok, ale jej spojrzenie powoli wróciło do otwartego dziennika.

- Widziałam listy, w których moja prababcia pisała o Bertramie. Był wielkim psotnikiem. Maczał dziewczynkom warkocze w kałamarnicach i tak dalej. - Wyciągnęła ołówek, pochyliła się nad otwartą na ostatniej notatce księgą i pisała w niej przez minutę. Wreszcie wyprostowała się i odeszła w stronę pustego łóżka.

Drogi wuju Bercie, przeczytał Shan. Dalej Angielka zapisała po tybetańsku mantrę mani i dodała: *Pomożemy zwyciężyć bogom. Niech ci się szczęści. Punji.*

Shan dołączył do Corbetta, który zaglądał właśnie do trzeciego kufra. Amerykanin wyciągnął z niego kilka pakunków. Były tam dwie pechë, jedna zawinięta w jedwab, a druga w futro. Na dnie skrzyni leżał worek z surowego płótna. Gdy tylko Shan położył go na stole, Punji podeszła do niego, sięgnęła do środka i wydobyła zeń poślódkę płótno z dwoma odciskami dłoni w narożnikach. Była to odwrotna strona thanki. Ze stłumionym okrzykiem Angielka wskazała postrzępiony skraj płótna. Wyglądało to tak, jakby część thanki oddarto. Kobieta nie poruszyła się, nie odezwała ani słowem, gdy Shan przewrócił płótno na drugą stronę i zobaczyli cztery pary zakończonych kopytami nóg tratujących ludzi i zwierzęta.

- Zhinje! - szepnęła z nagle pobladłą twarzą i przycisnęła dłoń do ust. Wypowiedziała imię, którego nie słyszano niemal od pięćdziesięciu lat. Po chwili otrząsnęła się z osłupienia i zaczęła zwijać thankę. - Mnisi musieli po jego śmierci sprowadzić Ją z północy. Mając ją - dodała z ożywieniem - możemy ubiec Minga. Wracajcie na pierwszy poziom - powiedziała po angielsku. - Za wschodnią bramą jest cela medytacyjna z ołtarzem zasłoniętym od tyłu kawałkiem szarego filcu. W kaplicy jest Półka ze starymi pechami, niektóre z nich są rozłożone do lektury. Filc zakrywa otwór. Lu i Khan odkryli tam w szczelinie prąd powietrza i wykuli mały szyb. Powiem, że pobiegliscie w głąb labiryntu, że się zgubiliście. Idźcie. Natychmiast. Nie chcę, żeby jeszcze komuś stała się krzywda. Lodi i ja nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić. - Jeszcze przez chwilę patrzyła na dziennik, po czym z błyskiem w oku

uśmiechnęła się do Shana i zabrawszy bezcenną thankę, skierowała się w stronę plecaków, które rzucili w ciemny kąt izby.

Ale gdy tylko zniknęła w mroku, do celi wbiegła Liya. Padła ciężko obok łóżka, trzymając się za brzuch, jak gdyby ją uderzono. Za nią do izby wkroczył Lu, złodziej malowideł o okrutnej twarzy, ściskający w ręce młot, a za nim Ko, z kijem w dłoni i zwycięskim uśmiechem na ustach.

- Próbowwała uciec - rzucił Lu. - Ale nasz nowy przyjaciel ją zatrzymał. Nieźle sobie radzi z tym kijem. Nie wiedziałem, że to zbiegły więzień. - Za jego plecami ukazała się Dawa. Po policzkach dziewczynki spływały łzy. Lu wypchnął ją naprzód, a ona rzuciła się w ramiona Liyi.

Patrząc w chłodne oczy syna, Shan poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Ogarniało go gwałtowne uczucie, którego nie umiał w pierwszej chwili nazwać. Gniew.

Ko wyciągnął z tylnej kieszeni spodni mały złoty posążek i z rzeczową miną pokazał go Punji.

Angielka, nakładająca właśnie plecak, zawahała się. Uśmiechnęła się słabo, zerknęła na Shana i sięgnąwszy po figurkę, ścisnęła dłoń Ko. Ów gest najwyraźniej mile go zaskoczył. Szyderczy grymas, stale wykrzywający jego twarz, zniknął na chwilę i chłopak nieśmiało się uśmiechnął. Gdy Punji puściła jego rękę, skinął na Liyę i Dawę, każąc im wstać.

- Zachowujesz się nieuprzejmie, chłopcze - odezwał się Corbett po angielsku, gdy Ko uniósł kij, jakby się na niego zamierzał. - W złym towarzystwie nabiera się złych manier. - Amerykanin zerknął przepaszająco na Shana, po czym opuścił latarkę i wyłączył ją. Jakby się umówili, Yao zrobił to samo, a następnie podszedł do świeczek i zdmuchnął je. Lu spojrział na nich podejrzliwie. Shan również zgasił latarkę, tak że izbę oświetlały teraz tylko te, które mieli w rękach Lu i Punji.

Nagle Yao wyrwał Lu latarkę i rzucił nią o ścianę. Żarówka zamigotała i zgasła. Corbett chwycił kij Ko i uderzywszy nim chłopaka w szczękę, powalił go na podłogę. W tej samej chwili Liya złapała Dawę za rękę i wybiegła z nią z izby. Shan przyskoczył do Punji i położył dłoń na jej latarce. Angielka spojrzała na Lu, który okładał powietrze pięściami, daremnie próbując trafić w szczękę Yao, i puściła latarkę.

Shan rzucił ją Corbettowi. Amerykanin i Yao złapali plecaki. Agent FBI drwiąco zasalutował Punji i zniknął za drzwiami. Lokesh i Yao ruszyli tuż za nim. Shan został w tyle. Patrzył na syna, otwierając usta, żeby coś powiedzieć, nie mógł jednak znaleźć słów i nie opierał się, gdy Corbett wyciągnął go na korytarz.

Odnaleźli opisany przez Punji szyb za ołtarzem na pierwszym poziomie, zamaskowany stapiającą się z cieniem płachtą filcu. Długi prawie na dwa metry, wychodził na otwartą półkę, którą pospiesznie oświetlili latarkami. Stały na niej rzędy starych wiklinowych koszy, leżały zwoje grubej liny z sierści jaka, stosy wytartych kocy częściowo zasypane skalnym gruzem oraz kilkanaście starych, ale solidnych drewnianych krążków linowych. Yao znalazł przywiązaną do skalnego słupa nową drabinę sznurową ze sztucznego włókna i przerzucił ją przez krawędź półki. W mgnieniu oka znalazł się na dole. Liya ruszyła za nim. Gdy pozostali schodzili ich śladem, Shan ociągał się, zbity z tropu. Wiedział już, gdzie się znajdują. Nad salą, z której skradziono malowidło, tą samą, w której zginął Lodi. Shan ruszył wzdłuż półki i zajrzał do pierwszego kosza. Było w nim stęchłe ziarno jęczmienia. Obok leżało kilka dłu, niektóre długie na ponad pół metra, oraz parę młotków, a za nimi przez całą długość przeszło piętnastometrowej półki ciągnęła się wysoka niemal na metr krzywizna, wyłobienie w skale. Byłoby to znakomite miejsce na kosze, ale zagłębienie było puste. Przyglądał mu się z zakłopotaniem, aż nagle usłyszał jakiś szelest. Odwrócił się i zobaczył, że z szybu wypada luźna stronica pechy, zdmuchnięta z ołtarza przez prąd powietrza. Tak właśnie, uświadomił sobie nagle, wiersz brata Bertrama trafił na dolny poziom świątyni.

Corbett zawołał, żeby się pospieszył. Shan zwlekał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w brązową plamę pod nogami, i ruszył w dół po drabince. Po drodze zatrzymał się jeszcze, żeby się przyjrzeć dwóm prostokątnym, wykutym w skale otworom. Domyślił się, że to gniazda do osadzenia drabiny umożliwiającej dostęp do półki. Przystanął, przypominając sobie kawałek drewna, który znalazł w korytarzu wiodącym do strumienia, po czym, słysząc nagłące wołanie Amerykanina, biegiem dołączył do pozostałych.

Dopiero gdy znaleźli się na powierzchni i wyszli na placyk przed bramą, zatrzymali się, żeby złapać oddech. Yao wyciąg, nął ostatnią butelkę wody, a Lokesh usiadł pod ścianą, tuląc do siebie Dawę.

- Punji wyśpiewa mi wszystko - oświadczył triumfalnie Corbett. - Ona dobrze wie, co się stało w Seattle, i powie mi to.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Yao między jednym łykiem wody a drugim.

- Jestem. Widziałem to w jej oczach. Shan przyjrzał się Amerykaninowi.

- Czyli uznał pan, że ona nie ma nic wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny - stwierdził.

Corbett zmarszczył brwi, ale skinął głową.

- Nie muszę jej aresztować. Żadnej ekstradycji. Żadnego zakazu wjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Yao uśmiechnął się szeroko. On także zdawał się czuć nosem zwycięstwo.

- Zakochałeś się w niej, agencie Corbett? - zapytał żartobliwie.

Amerykanin zarumienił się.

- Jasne - odparł wolno. - Kobieta szmuglująca zabytki z jednego końca świata na drugi i detektyw specjalizujący się w kradzieżach dzieł sztuki. Czy można sobie wyobrazić dwoje bardziej odmiennych ludzi?

- Myślę... - wtrącił ochryplym głosem stojący za ich plecami Lokesh, który właśnie pomagał Liyi wstać - myślę, że musi być w niej coś bardzo pięknego - powiedział, jakby tak naprawdę jeszcze jej nie widzieli.

Corbett spojrział na starego Tybetańczyka. Przyglądał nui się w takim skupieniu, jakby zapomniał, że muszą uciekać. Gdy pozostali zaczęli znikać w ruinach, Shan pociągnął go na ścieżkę wiodącą do starej kamiennej wieży i dalej, ku dolinie. Lecz gdy dotarli do jej wylotu, pomiędzy dwóch walących się ścian wyszła idąca tyłem Liya, a za nią Yao i Dawa. Potężny Mongoł, Khan, zaganiał ich z powrotem, jedną, wyciągniętą ręką machając na uciekinierów, w drugiej trzymając niedbale karabin samoczynny. Z rozbawieniem na okrutnej twarzy skinął na nich, nakazując, żeby usiedli pod otaczającym placyk murem, naprzeciw odległego o ponad dziesięć metrów urwiska.

Chwilę później nadszedł Lu, a z nim Ko. Shan dostrzegł kątem oka jakiś ruch i odwróciwszy się, ujrzał Punji. Angielka postawiła plecak na ziemi i uklękawszy przy Dawie, zaczęła ocierać jej brudną twarzyczkę czerwoną bandaną.

- Co za widok - westchnęła. - Wyglądacie jak rodzina kretów.

Kiedy uznała, że twarz dziewczynki jest czysta, wstała i zaczęła się przechadzać przed nimi z rękoma na biodrach, podczas gdy Khan tłustą szmatą przecierał swój karabin.

Znów spojrzała na Dawę.

- To nie jest miejsce dla dzieci. Ani dla Amerykanów - dodała z dezaprobatą, zerkając na Corbetta.

Khan wyciągnął coś z kieszeni i pokazał Lu, którego oczy zalśniły podnieceniem. Był to mały złoty Budda ukradziony przez Ko ze świątyni. Lu pokazał mu własne trofeum, mały posążek zdobiony drogimi kamieniami.

- Będzie tak - podjęła przemowę Punji. - Musimy zająć się swoimi sprawami. Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Teraz będziemy potrzebowali lekkiego handicapu. - Lu z triumfalną miną przerzucał z ręki do ręki swoją figurkę. Po chwili zniknął za murem. -

Zwiążemy was i zaprowadzimy do jednego z podziemnych pomieszczeń. Zostawimy wam zapas jedzenia i koce. Za dzień lub dwa wyślę kogoś, żeby was uwolnił.

Shana dobiegł zza muru jakiś obcy, natarczywy głos. Słowa jednak zagłuszał wiatr.

- Potem moi koledzy udadzą się na północ po skarb - ciągnęła Angielka - a wy wróćcie do domu. Wszyscy będziemy mogli śmiać się z żartów, jakie płatali nam dawni mnisi. - Znow spojrzała na Corbetta. - Chcę, żeby pan coś wiedział. Trzecia część moich zarobków idzie na fundusz pomocy dla dzieci.

- Niech nam pani pomoże - odparł Amerykanin. - Pani wuj, major, tak by zrobił.

Ko podszedł do jednego z wojskowych plecaków i wyciągnął sobie torebkę rodzynek. Punji uśmiechnęła się.

- To z jego powodu znaleźliśmy się tutaj. Spójrzcie na wszystko, co on nam dał.

- Pani dał Zhokę - odezwał się Shan. - Tybet. Kiedy tu przybył, był żołnierzem, kimś takim jak, w pewnym sensie, pani. Zawodowcem, człowiekiem wojującym dla pieniędzy. Ale na koniec stał się mnichem. - Wyciągnął z kieszeni zrolowaną stronicę pechy i rozwinąwszy ją, podsunął Punji.

Przez śmierć odnawiają się bóstwa, przeczytała Angielka i zamyśliła się. Wzięła kartkę do ręki i odwróciła na drugą stronę. Przechylała ją to w jedną, to w drugą stronę, jakby szukała odpowiedniego oświetlenia. W końcu westchnęła. Na jej twarzy znow się pojawił smutny uśmiech.

- Nasz major był skomplikowanym staruszkiem - stwierdziła i podała kartkę Shanowi, ale on jej nie przyjął.

- Proszę ją zatrzymać - powiedział. - To częśćka jego, pani rodziny.

Punji w pierwszej chwili sprawiała wrażenie zakłopotanej. Przeciągnęła palcami po kasztanowych włosach i zdawało się, że chce odmówić, w końcu jednak powoli zwinęła starą stronicę w rulonik.

- Co on chciał przez to powiedzieć? - zapytała, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Odnawianie bóstw?

- Zawsze ma się jeszcze jedną szansę - odparł Corbett. Punji wydała jedno ze swych teatralnych westchnień.

- Mogłam się tego spodziewać. Pan ma obsesję. Zajmijcie się wszyscy własnym życiem. Odnówcie swoje bóstwa. Moje w zupełności mi odpowiada. Ja odnawiam dzieła sztuki, dostarczam je ludziom, którzy potrafią je docenić. Poszerzam światowy rynek.

Shan odszedł pod mur, z dala od pozostałych. Wiatr akurat przycichł i Shan odniósł wrażenie, że jest bardzo blisko człowieka mówiącego po drugiej stronie muru. Dotarli do

niego dwa krótkie, oderwane zdania. Po angielsku. „Oczywiście, że to zrobimy”, powiedział nieznajomy. „Teraz to już łatwe”.

- Najwyżej kilka dni - ciągnęła Punji. - Potem odejdziemy. - Spojrzała na Dawę. - Przyślę ci cukierki. Mam je gdzieś w bagażach.

Na drugim końcu placyku ukazał się Lu. Ale on nie mógł być tym człowiekiem zza muru, którego słyszał Shan. McDowell twierdziła, że niski Chińczyk nie zna angielskiego. Gdy Lu kucnął obok olbrzyma z karabinem i szepnął mu coś, Shan poczuł, że żołądek zaciska mu się w supeł. Khan zmarszczył brwi, wyglądało na to, że się z nim spiera, wreszcie westchnął i wyraźnie posmutniał. Lu wyprostował się i poklepał go po ramieniu, jakby chciał mu dodać otuchy.

Mongoł zawołał Punji, a gdy do niego podeszła, otworzył leżący obok plecak i wskazał coś w środku. Lu podniósł karabin i nerwowo odszedł na bok. Kiedy Punji pochyliła się nad plecakiem, Khan zamaszycie uniósł ramię nad jej głową.

Shan spostrzegł w jego dłoni jakiś przedmiot. Duży, kanciasty kamień.

- Nie! - krzyknął ze zgrozą.

Gdy Punji uniosła wzrok, Khan z morderczą siłą uderzył ją kamieniem w tył głowy, raz, drugi, trzeci, aż rozległ się przyprawiający o mdłości chrzęst i trzask pękających kości czaszki. Kobieta padła na ziemię. W tej samej chwili Corbett zerwał się z rykiem, lecz Lu wystrzelił mu pod nogi z karabinu i krzyknawszy ostrzegawczo, stanął pomiędzy nim a Angielką. Mongoł cofnął się, tocząc dzikim wzrokiem, gdy zobaczył, że Punji, brocząc krwią, dźwiga się na czworaki. Patrząc w pustkę tępym wzrokiem, zmartwiała na twarzy, drżącą ręką złapała się za kark. Wstała z wielkim trudem i chwiejąc się na nogach, nieprzytomnie rozejrzała się dokoła, jakby nikogo już nie poznawała. Olbrzym podniósł ją z ziemi jak dziecko, jednym ramieniem podtrzymując jej kark, drugim ująwszy pod kolanami. Głowa Punji opadła w bok i jej niewidzące spojrzenie spoczęło na Shanie. Otworzyła usta, które ułożyły się w szeroki owal, i wydobył się z nich bolesny dźwięk, głucha, nic nie znacząca sylaba, być może zaczątek słowa. Kobieta skierowała wzrok na swą dłoń, pełznącą jakby z własnej woli ku kieszeni, w której schowała stronicę pechy.

Lu uniósł broń i krzyknął ostrzegawczo na Shana, który nagle uświadomił sobie, że biegnie do Punji. Zatrzymał się, wyciągając do niej rękę. Khan przystanął, ze smutkiem patrząc to na Angielkę, to na Shana. Lu sklął go i Mongoł odwrócił się, trzema długimi krokami podszedł do skraju urwiska i rzucił Punji w przepaść.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Krzyk Dawy nie przypominał żadnego dźwięku, jaki Shan kiedykolwiek słyszał. Wydawało się, że to drżące, przepelnione udreką wycie jest żywą istotą, która szarpie ich ciała i wstrząsa starymi murami. Mieli wrażenie, że to sama gomba przemówiła, że zebrały się wszystkie duchy, by głosem dziewczynki wyrazić swoje przerażenie. Zawodzenie niosło się w powietrzu, to cichnąc, to narastając, niczym pulsująca rana w atmosferze, przez chwilę trzymając ich w transie, wszystkich, nawet Khana, który patrzył ze smutkiem w głąb czeluści, gdzie wrzucił McDowell.

Nagle Lu zachwiał się i zrobił parę niepewnych kroków. Ko skoczył mu na plecy, okładał pięściami jego barki, tłukł go po głowie. Gdy Khan popędził na ratunek koledze, Corbett rzucił mu się pod nogi i Mongoł padł ciężko na ziemię, tracąc oddech. Shan tymczasem przypadł do Lu, żeby wyrwać mu karabin. Niski Chińczyk wywijął się, uderzał go lufą w głowę, wreszcie jednak Shanowi udało się odebrać mu broń. Ko nie przestawał okładać Lu, który wykręcał się i obracał, zamierzając przyprzeć go do ściany. Nagle chłopak spostrzegł karabin w dłoniach Shana i zeskoczył na ziemię. Przez chwilę wpatrywał się w ojca, potem spojrzał na Lu, który zniknął w labiryncie ruin, wreszcie na własne dłonie, jakby nie pojmował, co się stało, być może równie wstrząśnięty tym, że właśnie odebrał sobie szansę na opiekę złodziei, jak nagłą śmiercią Punji.

Corbett i Yao krążyli wokół olbrzyma. Dołączyła do nich Liya ze złamaną belką, którą uniosła nad głowę. Zabójca Punji zacisnął pięści, czekając na ich atak, ale spoglądał na broń w rękach Shana.

Ko uniósł wzrok i skinął ojcu głową, patrząc na karabin. Shan także spojrzał na broń, po czym ujął ją za lufę i cisnął daleko za skraj urwiska. Olbrzym uśmiechnął się szeroko. Pochylił się, odepchnął Liyę i chwycił plecak Punji, w którym ukryta była przedarta thanka. Uśmiechając się szyderczo, uniósł go i pobiegł w ruiny. Corbett i Yao rzucili się za nim. Shan zerknął na syna, przez którego twarz przepływała fala emocji, od zdziwienia, poprzez gniew, aż po pogardę. Rozejrzał się dookoła i upewniwszy się, że Lokesh wciąż trzyma Dawę, pobiegł tam, gdzie ostatnio widział Lu.

Odnalazł go w alejce niecałe pięćdziesiąt metrów dalej. Niski Chińczyk stał w cieniu tyłem do niego i mówił do czarnego pudełka. Shan zwolnił kroku, starając się nie zdradzić najmniejszym dźwiękiem. Lu perorował z ożywieniem, gestykulując wolną ręką. Posługiwał się doskonałą angielszczyzną. Rzucił oderwane słowa: „tak,” i „jutro”, a następnie zapewnił, że odtąd nie będzie już żadnych problemów. Lu nie zna angielskiego, utrzymywała Punji. Mówiła w tym języku, gdy objaśniała im, któredy mają uciekać. Lu wszedł do izby chwilę

później. Musiał być przy drzwiach, musiał słyszeć wszystko i powiadomił o tym tego kogoś, z kim rozmawiał teraz przez czarne pudełko, kogoś, kto kazał zabić Punji. Teraz informował go, że zginęła.

Shan podniósł kamień i rzucił go długim łukiem nad głowę Lu, tak by spadł na ziemię przed nim. Gdy złodziej odwrócił się, żeby uciec w przeciwnym kierunku, Shan stał niecały metr od niego, zagradzając mu drogę.

- Powiedz mu, że nie zdoła się już dłużej ukrywać za kłamstwami - powiedział po angielsku.

Lu obrócił się gwałtownie, próbując uciec, ale Shan chwycił go za ramię. Niski Chińczyk wywijał się, przypierając go do skał. Przy szarpaninie czarne pudełko upadło na ziemię. Nagle Lu wyrwał się i zniknął w mgnieniu oka.

Shan stał na placyku przed bramą, oglądając upuszczone przez Lu urządzenie, gdy wrócili Corbett i Yao. Zabójca Punji wymknął im się.

- Ming - wycedził Yao. Zabrzmiało to jak przekleństwo. Corbett pokiwał głową i wziął od Shana czarne pudełko.

Po chwili się zachmurzył.

- To nie jest krótkofalówka - wyjaśnił, przyjrzaawszy się przyciskom na obudowie. - To telefon satelitarny. On mógł rozmawiać z kimkolwiek. Mógł... - Urwał, wpatrując się w mały zielony wyświetlacz nad klawiaturą. Na jego twarzy odmalowała się zimna wściekłość. - Tu jest przycisk powtórnego wybierania - dodał po chwili z zaciętością - pozwalający połączyć się z ostatnim numerem, pod który się dzwoniło. - Wskazał wyświetlacz. - Dzwonił do Stanów Zjednoczonych. Do Seattle. - Wcisnął zielony przycisk i wyciągnął telefon w stronę Yao i Shana, żeby mogli usłyszeć, kto się odezwie.

Po chwili rozległy się dwa dzwonki, a po nich rzeczowy, szkolony kobiecy głos:

- Galeria Antyków Crofta. Corbett uniósł telefon do ust.

- Czy zastałem pana Crofta?

- Pan Croft wyszedł - odparła kobieta po chwili wahania. - Kto mówi?

Corbett spojrzał na Yao.

- Proszę mu przekazać, że dzwonił inspektor Yao z chińskiej Rady Ministrów. Zechce mu pani powiedzieć, że chiński rząd ma do niego kilka pytań. I że właśnie zmienił całą sytuację.

Yao nie zaprotestował. Smutnym, pokonanym wzrokiem wpatrywał się w telefon. Corbett rozłączył się.

- Zdobędziemy wykazy rozmów - powiedział twardo. - Za parę dni będziemy wiedzieli wszystko o Galerii Antyków Crofta.

- Ale wciąż nie będziesz znał jego powiązań z Pekinem, z Mingiem - wtrącił Yao, patrząc w przepaść. - Odpowiedzi musimy szukać w tym, co wydarzyło się tamtego dnia w Zakazanym Mieście, w tym, czego milicja nie ujęła w raporcie. Mamy jedynie listy od ambana. Nie wiemy, co ostatecznie zdecydowano na temat skarbu. Jak możemy powstrzymać złodziei, nie wiedząc, co zaszło między ambanem a jego wujem? Zaginiony skarb ambana łączy ich wszystkich. Przy nim właśnie ich znajdziemy.

- Wiemy, że cesarz przechowywał kopie swoich listów - zauważył Shan. - Ale nie wydaje mi się, żeby Ming miał je wszystkie.

- Co macie na myśli? - zapytał z roztargnieniem Yao.

- One wciąż są w Zakazanym Mieście.

- Skąd możecie to wiedzieć?

- Amban nam powiedział. Podziękował cesarzowi, że używa języka sutr. Chodziło mu o to, że cesarz pisał po tybetańsku. Major McDowell potwierdził, że cesarz znał tybetański. Ten język znakomicie nadawałby się do robienia tajnych zapisków, zabezpieczałby go przed wścibstwem jego mandarynów. Nawet gdyby Ming je znalazł, nigdy by nie pomyślał, że listy pisane po tybetańsku mogą być ważne. On nie zna tego języka.

Inspektor spojrział na Shana z błyskiem w oczach. Podeszedł do Corbetta, który wciąż wpatrywał się w telefon satelitarny.

Liya stała na skraju urwiska, ze łzami w oczach spoglądając w przepaść. Shan przykucnął obok niej i narysował na ziemi owal, w nim okrąg i kwadrat wewnątrz okręgu.

- Brama ziemi w kręgu niebios - powiedział. Liya uniosła dłoń do ust.

- Tunel. On próbował mi powiedzieć, że Lu i Khan wydrążyli w ziemi tunel do świątyni mandali.

Shan skinął głową. Przypomniawszy sobie skierowaną w górę strzałkę z kości, którą widział pod nakreślonym krwią rysunkiem. Lodi, konając, próbował przekazać Liyi, i tylko jej, co odkrył tamtego dnia w podziemiach.

- I napisał o Buddzie z Gór. Gdzie on jest, Liya?

- On śpi - odparła, zerkając na niego ostrzegawczo. Shan rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, że nikt nie może ich słyszeć.

- Nie rozumiesz - powiedział. - Ming dowiedział się o nim z jednej ze starych ksiąg. Uważa, że złoty Budda powinien należeć do niego. Nawet jeśli nie odnajdzie cesarskiego skarbu, będzie chciał władzy politycznej i złotej podobizny Buddy.

- Są rzeczy, które musisz pozostawić Tybetańczykom, Shan - odparła Liya. - To sprawa pomiędzy mieszkańcami tych gór a pułkownikiem Tanem. Nic, co mógłbyś zrobić, tego nie zmieni. Gendun dał na to swoje błogosławieństwo - dodała tonem przeprosiny. Wiedziała, że Shan nigdy nie sprzeciwiłby się staremu lamie.

- Ale Gendun pewnie myśli, że Surya został uwięziony zaprotestował Shan. Spojrzał na nią badawczo, błagalnym wzrokiem.

Liya pokręciła głową. Rzuciła mu lekki, smutny uśmiech.

- To jedyna szansa, jaką mamy od pięćdziesięciu lat.

- Przynajmniej go ukryjcie.

- Był ukryty przez pięćdziesiąt lat. Ale Lodi go odnalazł. To był jego ostatni dar dla nas.

- Lodi?

- Zapominasz, że ja też tam byłam, po jego śmierci. Nie rozumiałam jego rysunku z paciorkiem dzi. Ale widziałam kości. One wskazywały coś innego.

- Coś na półce? - Shan spróbował sobie przypomnieć, co tam widział. Kosze stojące na półce mogły zasłonić tunel, ale co tam jeszcze było? Grube liny z sierści jaka. Krążki linowe. Długie dłuta.

Liya przyłożyła palec do warg, jakby chciała, żeby zamilkł, i wskazała jego skroń.

- Jesteś ranny.

Shan dotknął miejsca, w które Lu uderzył go lufą karabinu. Na trzech palcach pozostały ślady krwi.

- W plecaku z jedzeniem jest apteczka - odezwał się Corbett.

Ale gdy Liya sięgnęła do plecaka, zamarła na chwilę i oszołomiona uniosła wzrok. Powoli wyciągnęła długi, biały, płócienny worek, ten sam, który widzieli w celi majora.

- Thanka! - wykrzyknął Lokesh.

Liya otworzyła worek i wyjęła z niego górną część starego malowidła. Punji wystrychnęła Lu na dudka, chowając przedartą thankę do plecaka Shana zamiast do własnego.

- Z jej pomocą mamy szansę złapać tych sukinsynów w pułapkę - stwierdził Corbett. W jego głosie pojawiła się nowa, mściwa nuta. - Minga i tego całego Crofta.

Gdy Lokesh rozprostował na ziemi postrzępiony, prawie półmetrowy kwadrat płótna, Yao pospiesznie wyciągnął złożony wydruk górnej połowy bóstwa śmierci, który zrobił na komputerze Tana, i położył go na ziemi nad tkaniną. Łamigłówkę ambana miało rozwiązać zestawienie obu połówek. Ale nie mogli dostrzec w tym żadnego sensu. Kompletny obraz

niczym się nie różnił od tego, który Shan widział w chacie pogrzebowej w wiosce ragyapów. Lokesh opadł na kolana i pochylił się nad malowidłem. Pozostali kucnęli obok niego. Szukali regularności w doborze barw, odstępstw od reguły w przedstawieniu boga z głową byka lub otaczających go pomniejszych bóstw, przekonani, że wiadomość, której tak desperacko poszukiwali, musi być ukryta w obrazie, podobnie jak przemyślnie zamaskowane wskazówki w świątyni. Lokesh szeptał mantrę, jakby chciał skłonić bogów, żeby przemówili do nich.

Ale nie znaleźli nic, nic poza pięcioma drobnymi, podobnymi do szponów kreseczkami u dołu podartej tkaniny i takimi samymi w górnej części wydruku. Amban postawił swój znak na obu połówkach thanki.

- Przemów do nas - jęknął Yao, kiwając nagłaco na odmawiającego mantrę Lokesha, jakby go zachęcał, żeby się bardziej starał.

W końcu Corbett wstał i zwrócił im uwagę, że Khan i Lu mogli ukryć jeszcze jakąś broń w podziemiach. Zwijając thankę, Shan zerknął na odcisk dłoni na odwrocie i napomknął, że jeszcze przed zmierzchem zdążyliby dojść do domu Fiony.

Szli szybko, biegnąc, kiedy się dało, na zmianę niosąc Dawę na plecach. Było późne popołudnie, słońce świeciło jasno, ciepły wiatr wiał im w plecy, a kiedy zostawili Zhokę za sobą, ich ponury nastrój powoli się rozproszył. Nie rozmawiali wiele, nawet gdy przystawali, żeby napić się wody ze źródła, ale Shan dostrzegł w oczach towarzyszy coś nowego: już nie strach, ale chłodną, spokojną determinację, jaką często widywał u Tybetańczyków stojących w obliczu przeciwności nie do pokonania.

Jedynie Ko najwyraźniej nie umiał się uwolnić od dręczących go katuszy.

- Dziękuję ci za to, co zrobiłeś - odezwał się do niego Shan, gdy uklękli przy strumieniu. - Ocaliłeś nas wszystkich.

- Nigdy nie znałem takiej kobiety jak Punji - odparł niepewnym głosem chłopak. - To znaczy... właściwie wcale się nie znaliśmy. Ale ona żartowała ze mną w tunelach. To, że jestem więźniem, nie miało dla niej znaczenia. Pamiętam jej oczy. Była piękna. Przez kilka minut byliśmy jak kochankowie, mieliśmy uciec razem na Zachód, i wszystko inne przestało się dla mnie liczyć... - Zerknął na Shana, jakby nagle przypomniał sobie, do kogo mówi. - Zapomnij o tym - warknął, siląc się na gniew. Po chwili wstał i zaproponował, że weźmie Dawę na barana.

- Jeśli nie uda nam się przyskrzynić ich za to, co zrobili - odezwał się Corbett, przyglądając się, jak Ko odchodzi z dziewczynką na plecach - to musimy ich zgarnąć za to, co zamierzają zrobić. Wtedy zaczną mówić, wtedy powiedzą nam, gdzie znaleźć to, co ukradli.

Yao z powagą skinął głową.

- Skarb ambana jest własnością państwa chińskiego. Ale żeby go znaleźć, musimy odczytać wiadomość ukrytą w tej starej thance.

- Klucz do zagadki - powiedział Shan, odwracając się do inspektora - jest w ostatnich listach, jakie wymienili między sobą Qian Long i jego siostrzeniec, tych, których Ming nie widział. Amban powiedział, że wyjaśni resztę śmierci. Myślałem, że chodziło mu o jakieś buddyjskie nauki.

- On miał na myśli thankę! - wykrzyknęła Liya. - Miał na myśli resztę bóstwa śmierci, drugą połowę przedartej thanki. Chciał wyjaśnić cesarzowi, jaką zagadkę ona kryje, żeby nie było żadnych wątpliwości!

- Słowami sutr - dodał Shan, przypominając sobie dokładnie, co widział na ekranie komputera. - Kwan Li zapowiedział, że wyjaśni resztę śmierci słowami sutr. Miał na myśli tybetański. Chciał wyjaśnić sekret w liście napisanym po tybetańsku.

- Ale te listy wciąż są w Pekinie - zauważył Corbett. - Musimy tam jechać.

- Nie mam nikogo w Pekinie - odparł Yao, marszcząc brwi. - Nikogo, kto znałby tybetański, nikogo, komu mógłbym zaufać. - Spojrzał poważnie na Shana. - Jeśli chcecie pomóc tutejszym Tybetańczykom, musicie pojechać z nami.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Shan to wynurzał się, to znów zapadał w tępe zamroczenie, które niekiedy przypominało sen, niekiedy skraj głębokiej medytacji. Nie mógł znaleźć spokoju. Gdziekolwiek zwracał się myślą, był jedynie zamęt, jak ciemne kłębowisko chmur, które widział, ilekroć wyjrzał przez okno. Chwilami nienawidził Yao i Corbetta, bo zaciągnęli go do samolotu, oderwali od Suryi, Genduna i innych Tybetańczyków, którzy tak rozpaczliwie potrzebowali pomocy. Chwilami nienawidził siebie - za to, że nie umiał nawiązać kontaktu z Ko, że nie potrafił rozbić twardej skorupy, która narosła wokół chłopca. Z przerażeniem zastanawiał się, czy zobaczy jeszcze kiedyś Tybet albo syna.

Kiedy Yao dopnie swego w Pekinie, nie będzie miał żadnego powodu, by odesłać go z powrotem. Co najwyżej po to, żeby się go pozbyć. W Pekinie Shan znajdzie się znów blisko tych, którzy swego czasu wysłali go do obozu pracy. Niektórzy z nich umarli już ze starości, ale jednak nie wszyscy.

Nawet gdy udawało mu się odsunąć od siebie takie myśli i próbował zasnąć, prześladowające go obrazy nie pozwalały mu na dłużej zamknąć oczu. Zdezorientowana, dziecięco bezradna mina Punji z czaszką rozbitą kamieniem, gdy morderca niósł ją w ramionach ku przepaści. Surya, z dzbanami fekaliów, mówiący o czasach, kiedy był lamą, jak gdyby chodziło o kogoś innego. Gendun, rozmawiający z bóstwami w mrocznym labiryncie Zhoki. Czasami, przez mgłę, z jakiegoś ciemnego korytarza wyłaniał się inny obraz: pogodny Chińczyk w haftowanej w smoki szacie grający w warcaby z jowialnym brytyjskim oficerem, obaj o pozbawionych ciała dłoniach kościotrupów.

Najwyraźniej sen w końcu go zmorzył, bo nagle szarpnęło samolotem i Shan zorientował się, że są na ziemi i kołują stronę niskiego szarego budynku pod ciężkim, gęstym od pyłu brązowym niebem pekińskiego lata.

Yao uprzedził Shana, żeby nie wstawał, i obaj pozostali w fotelach, dopóki samolotu nie opuścił ostatni pasażer. Nawet Corbett wysiadł, pożegnawszy ich jedynie szybkim skinieniem głowy. Podeszli do nich dwaj młodzi mężczyźni w popielatych mundurach Urzędu Bezpieczeństwa, z pistoletami u pasa, ukłonili się z szacunkiem inspektorowi, po czym zerkając podejrzliwie na Shana, odprowadzili ich do czarnego samochodu, który czekał obok samolotu. Yao nie przedstawił Shana, nie odezwał się słowem, po prostu utkwiał wzrok w oknie i przez całą drogę do miasta przyglądał się sylwetkom budynków na tle nieba.

Z niespodziewanym bólem w sercu Shan uświadomił sobie, że jest to inny widok niż ten, który zapamiętał. Miasto zmieniło się pod wieloma względami. Nowe estakady przecinały się we wszystkich możliwych kierunkach, zatłoczone tysiącami nowiutkich aut. Nad autostradą, którą jechali, piętrzyły się budynki, których nie poznawał, anonimowe wieżowce w zachodnim stylu, niektóre z nazwami zachodnich firm na ścianach i dachach. Wszędzie dookoła jak chwasty wyrastały tablice reklamowe.

Niektóre rzeczy się nie zmieniły. Chodnikami wciąż płynęła ludzka rzeka, wylewając się na jezdnie, opadając kaskadami do stacji metra, kołując się wokół ulicznych straganów. Do samochodu wpływały znajome zapachy smażonej wieprzowiny, czerwonego pieprzu, makaronu, czosnku, kardamonu, imbiru i gotowanego na parze ryżu zmieszane z drażniącymi oparami oleju napędowego i benzyny. Shan patrzył przez okno. To było niemożliwe. Nie mógł być w Pekinie. To musiał być kolejny z jego dziwnych, pustych snów.

Pojechali wprost do Zakazanego Miasta i zaparkowawszy pod jego potężnym zewnętrznym murem, weszli przez masywne łuki Bramy Południa. Kompleks miano otworzyć dla zwiedzających dopiero za trzy godziny i gdy szli przez rozległe puste dziedzińce, Shan poczuł, że ogarnia go fala wspomnień. Przypominał sobie swe pierwsze

wizyty w towarzystwie rodziców, a nawet pewien dzień, kiedy przyprowadził tu Ko, cztero-, może pięcioletniego, podczas jednych z rzadkich odwiedzin chłopca u Shana. Tu, w Pałacu Najwyższej Harmonii, ojciec pokazał Shanowi cesarski tron na smoczych łapach i wyjaśnił mu, jak dygnitarze zbliżali się do władcy z rytualnymi trzema przyklęknięciami i dziewięcioma pokłonami. Dalej, w Bramie Cesarskich Przodków, matka przeczytała mu wiersz napisany przez jednego z cesarzy, który żył przed tysiącem lat.

Nagle poczuł ukłucie podniecenia. Znajdowali się na małym, pogrążonym w ciszy dziedzińcu przed prostym eleganckim pałacykiem, w którym Qian Long spędził ostatnie lata życia. Dopiero teraz, dopiero przekraczając próg prywatnej siedziby cesarza, Shan uświadomił sobie ciężar dziejów spoczywający na zagadce, którą próbowali rozwiązać. Losy tylu ludzi zdawały się nierozzerwalnie związane z czymś, co zaszło pomiędzy potężnym cesarzem a jego siostrzeńcem przeszło dwieście lat wcześniej.

Yao powiedział cicho parę słów do milicjanta pilnującego wejścia do pałacyku, a ten otworzył drzwi i usunął się na bok. We wnętrzach nie było nic z przepychu cesarskich apartamentów. Pałacyk sprawiał wrażenie wygodnego, zapełnionego zwojami i obrazami mieszkania dystyngowanego uczonego, które nie miało służyć do oficjalnych audiencji, ale do spokojnej lektury i rozmów. Jego największą atrakcją była sala jadalna, wewnętrzne pomieszczenie o trzech ścianach z cedrowego drewna, z dwojgiem drzwi obramowanych drewnianymi kolumnami pokrytymi czerwoną laką oraz wiszącym na bocznej ścianie wspianiałym zwojowym malowidłem przedstawiającym cesarza w latach młodości. Shan, rozejrzawszy się po sali, stanął przed długim prostokątem odsłoniętych desek naprzeciwko malowidła. Na drewnianą podłogę wciąż sypały się okruchy tynku z nie zabezpieczonych krawędzi miejsca, z którego wycięto malowidło ściennie. Na wytwornym mahoniowym stole o nogach w kształcie smoczych łap leżał stos tekturowych teczek.

- To całość dokumentacji na temat kradzieży - wyjaśnił Yao. - Raporty milicyjne, zapisy z przesłuchań tutejszych pracowników, ogólne informacje na temat skradzionego malowidła, nawet hipotezy ekspertów co do sposobów jego usunięcia i środków ostrożności koniecznych w czasie transportu. Macie dwie, może trzy godziny.

Shan spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

Yao zawahał się. Zerknął w stronę młodego milicjanta przy wejściu oraz przybyłej właśnie postaci w popielatym mundurze, która zdawała się czekać na niego, po czym podszedł bliżej.

- Kłamałem - powiedział skruszony, odwracając wzrok, jakby nie mógł spojrzeć Shanowi w oczy. - Nie wywieźliśmy was z Tybetu jedynie do pomocy w Pekinie. Macie

zostać aresztowani. Corbett załatwia papiery. Robi przygotowania. On... - Postać w popielatym mundurze stanęła w drzwiach od strony holu. Strażnik zawołał inspektora po nazwisku. Yao zmarszczył brwi i ruszył do wyjścia. - Przeczytajcie akta. Żeby tylko udało wam się coś znaleźć!

Shanowi nagle zaschło w gardle. Aresztowany. Jak mógł tak źle ocenić sytuację? Raptem było po wszystkim. Wszystko skończone. To nie miało sensu, ale nic nigdy nie miało sensu tam, gdzie w grę wchodziło ludzkie, którzy nienawidzili Shana, którzy w końcu, po latach, dosięgli go i teraz skończą z nim raz na zawsze. Ponownie rozejrzył się po sali, czując w tych ostatnich chwilach wolności niepokojący związek z Qian Longiem. Miał wrażenie, że cesarz maczał palce w jego przeznaczeniu, przyłożył rękę do jego końca.

Ale potem do Shana podszedł jeden ze strażników i wyciągnął ku niemu złożoną kartkę papieru.

- Przepraszam. Inspektor Yao kazał wam to dać.

Była to pospiesznie nabazgrana notatka. *Lecicie z Corbettem do Ameryki w charakterze głównego świadka. Odlot dziś wieczorem.*

Shan przeczytał to raz i drugi, odwrócił kartkę, przeczytał raz jeszcze. To było niemożliwe. Z każdą godziną coraz bardziej pragnął znaleźć się znów w Lhadrung, gdzie mógł się do czegoś przydać. Ale Yao i Corbett zmówili się, żeby zabrać go na drugi koniec świata. Powoli uświadomił sobie, że jego palce ułożyły się w mudrę zwaną diamentem umysłu. Wpatrywał się w nie przez długi czas. Potem zaczął czytać akta.

Gdy dwie godziny później wrócił Yao, Shan zdążył już przejrzeć wszystkie.

- Nie ma właściwie wątpliwości, że to Ming zorganizował kradzież - stwierdził.

- Jest tylko kwestia dowodów. Wciąż nie posunąłem się ani o krok naprzód, jeśli chodzi o odzyskanie malowidła. - Inspektor przeszedł wzdłuż wyrwy w ścianie, przyglądając się z bliska odsłoniętym deskom, wreszcie przystanął przy wyciętym w nich dwudziestopięciocentymetrowym kwadracie i przeciągnął palcami po jego krawędzi. - Myślałem, że to po prostu jakaś niedoróbka budowniczych. Ale to stąd Ming wyjął te listy, które zapisał w zakodowanym pliku. Te, które zmieniły wszystko.

Shan przyglądał się fotografii skradzionego malowidła, którą znalazł w aktach. Było piękne. Przedstawiało brzeg jeziora obrosnięty trzcinami i bambusem oraz wielkie żurawie, które wyglądały tak, jakby miały lada moment wyfrunąć ze ściany. Pnącza wisterii na skraju malowidła były tak realistyczne, że zdawały się kołysać na wietrze.

- Widzieliście ten list, o którym Ming informował Przewodniczącego? - zapytał Shan.

- Ten, który sugerował, że cesarz zamierzał wysłać prezent przyjaciółom w Lhadrung?

- Fotokopię.

- Jak to się stało, że milicja straciła oryginał?

- Ming przekazał kopertę z listem muzealnemu gońcowi. Koperta została znaleziona, ale była otwarta i pusta. Dlaczego pytacie?

- Dlatego, że największym przestępstwem Minga nie była kradzież malowidła, ale okłamanie Przewodniczącego. Wiecie, że on sfabrykował ten list.

Yao wolno skinął głową.

- Ale wciąż nie ma żadnego dowodu. - Położył dłoń na aktach. - Muzeum Minga było odpowiedzialne za renowację pałacyku - zacytował zeznania. - Ekipy z muzeum pracowały tu niemal każdego dnia, tutaj i w dwóch małych pałacykach po drugiej stronie kompleksu. Ming sam zatwierdzał skład ekip, godziny ich pracy, często nawet zaglądał tu, żeby ocenić Postępy. Przejrzałem kompletny harmonogram dyżurów pracowników zatwierdzonych przez Minga. Ostatni dwaj zostali dołączeni na dwa tygodnie przed kradzieżą. Lu i Khan. Nie zrobiono nic, żeby ukryć, kim są. Pracowali dla Minga już wcześniej, byli z nim na dwóch ekspedycjach.

Wszyscy pracownicy zgodnie zeznali - ciągnął Yao - że żadna ekipa nie pracowała tutaj w dniu kradzieży. Khan i Lu byli przesłuchiwanymi, ale powiedzieli, że nic nie widzieli. Ming potwierdził, że obaj przebywali w innej części kompleksu. Teren był zamknięty dla zwiedzających, najbliżsi strażnicy znajdowali się sto metrów dalej. Nie znaleziono żadnych świadków, którzy widzieli, że coś tu się działo. Oficer śledczy powiedział, że złodzieje musieli być niewidzialni, że nie przeszli przez żadną z bramek ochronnych. Szukano tuneli, śladów zamaskowanych przejść w murach, sprawdzono nawet wykazy wszystkich lotów helikopterów z tamtego dnia. Ming publicznie dał wyraz, że jest rozczarowany dokonaniem organów ścigania.

Shan odwrócił się i położył dłoń na teczkach.

- Tutaj są zapisy z przesłuchań tylko sześciu dozorców. W tej części Zakazanego Miasta pracuje ich więcej niż sześciu.

- Pozostali zeznali, że nic nie widzieli.

- Wam?

- Milicji.

- A w jakim wieku byli ci, którzy złożyli te oświadczenia?

- Jakie to ma znaczenie?

- W jakim byli wieku? - powtórzył Shan.

- Nie wiem - przyznał Yao, zdziwiony patrząc na Shana, który wstał od stołu, podszedł do drzwi i skinął na niego.

Wiele czasu minęło, odkąd Shan po raz ostatni zaglądał do pomieszczeń cesarskiej służby, które odkrył przed niemal dwudziestu laty podczas pierwszych wędrówek po Zakazanym Mieście. Wejście do ciemnych, zakurzonych izb przekształconych w ubogie sypialnie dla dozorców prowadziło przez sklepioną, obrośniętą wisterią bramę. Shan powiedział Yao, żeby zaczekał przy drzwiach, a sam zapuścił się do środka.

W jednej z izb na końcu długiego korytarza siedział ze skrzyżowanymi nogami stary, zgarbiony mężczyzna, który grzał nad płomykami trzech świec wodę w blaszanym kubku.

Uniósł wzrok, ale wydawało się, że nie widzi zbyt dobrze, kto do niego zaszedł.

- Nazywam się Shan - powiedział cicho gość. - Kiedyś przychodziłem tu i siadałem w ogródkach. Czasami grałem w warcaby z wami i z waszym przyjacielem, którego nazywaliście profesorem. Obaj wykładaliście kiedyś na uniwersytecie.

Starzec uśmiechnął się, ukazując kilka dziur po zębach. Gestem zaprosił Shana, żeby usiadł przy nim.

- Mam tylko jeden kubek - odezwał się, podsuwając mu usmolone, poobijane naczynie. Shan nie przyjął kubka. - To było dawno temu. Co się z wami działo?

- Musiałem wyjechać. Teraz mieszkam w Tybecie - odparł Shan tonem swobodnej pogawędki. - Pamiętam, że siadaliście w cieniu wisterii i rzucaliście patyczki, recytując *Tao Te Ching*, albo czytaliście wiersze.

Stary człowiek skinął głową.

- Wasz ojciec, zdaje się, też był profesorem?

- Dawno temu - potwierdził Shan.

Coś poruszyło się w cieniu. To Yao wszedł do izby i stanął za plecami Shana.

- Pozwolili mi tu mieszkać - oświadczył dozorca, z niepokojem zerkając na inspektora.

Shan dał Yao znak, żeby usiadł.

- Macie szczęście - stwierdził. Uświadomił sobie nagle, że pokój, w którym się znajduje, o drewnianym suficie i ścianach, przypomina celę medytacyjną.

Stary człowiek, któremu drżały wargi, a z oczu wyzierał strach, utkwiał wzrok w płomykach świec.

- Próbuje się zrozumieć, co wydarzyło się tamtego dnia, kiedy ukradziono malowidło - powiedział cicho Shan. - Odnoszę wrażenie, że pałacyk Qian Longa kryje wiele sekretów. Wydaje mi się, że złodzieje byli zaskoczeni czymś, co znaleźli. Czymś innym niż tamto malowidło. Czymś, co było w tej skrytce w ścianie.

- W święta państwowe - nagle wychrypiał starzec - profesor Jiang lubi wychodzić na plac i śpiewać razem z tłumem Patriotyczne pieśni. Kiedy wraca, przynosi mi prażone pestki dyni i łaje mnie, że nie wypełniam swojego obowiązku. Yao rzucił Shanowi wymowne spojrzenie - lepiej już chodźmy, ten starzec jest niespełna rozumu, marnuje nasz czas.

- Nocami siedzieliśmy po ciemku - ciągnął dozorca - i słuchaliśmy głosów ludzi, którzy kiedyś mieszkali w tych izbach, cesarskich sług. Czasami rano udawaliśmy, że idziemy pełnić jakieś oficjalne obowiązki na dworze, a wieczorem opowiadaliśmy sobie, jak poszła nam praca. U jednego z dobrych cesarzy.

- Na przykład Qian Longa - odpowiedział Shan. Stary człowiek skinął głową.

- To był konik profesora. Epoka Qian Longa. Kiedyś wykładał na ten temat na uniwersytecie. Kazałem mu powtarzać te wykłady dla mnie, tutaj. - Powoli przesunął palce przez płomienie świec, z chłodną fascynacją przyglądając się swojej dłoni.

- Gdzie jest profesor Jiang? - zapytał Shan.

- Teraz nocami słyszę jego głos wśród innych.

Yao mruknął coś i zaczął wstawać. Shan wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać.

- Chcecie powiedzieć, że umarł? Kiedy?

- Pobili go tamtego dnia, gdy ich zobaczył.

- Milicja?

- Złodzieje.

Yao zamarł, po czym opadł z powrotem na podłogę.

- On ich widział?

- Ale i tak był umierający - dodał dozorca. - Chorował na raka, wiedział o tym. Miał wielki guz w brzuchu. - Westchnął i spojrzał na świeczki. - W gazetach milicja twierdziła, że to była zbrodnia doskonała, że złodzieje doskonale wiedzieli, jak ominąć wszystkie zabezpieczenia. Powiedziałem, że w milicji są sami głupcy. Ale Jiang mówił, że nie, że dla milicji tacy ludzie naprawdę są niewidzialni.

Posmutniały Shan przyjrzał się staremu człowiekowi. W latach obłąkanej „rewolucji kulturalnej”, kiedy zamykano szkoły i uczelnie, wielu nauczycieli kierowano do pracy fizycznej. Ojciec Shana należał do klasy inteligenckiej, uznanej przez Mao za wroga ludu. Większość tych ludzi została zrehabilitowana i w końcu, niekiedy po dziesięciu lub dwudziestu latach, wróciła na swe dawne posady. Niektórzy, jak jego ojciec, nie przeżyli pierwszej fali brutalnych prześladowań. Jeszcze inni zaginęli w szeregach proletariatu, zapomniani, wykonując katorżniczą pracę, która niewiele różniła się od niewolniczej, bez emerytury, bez wsparcia państwa, często bez jakichkolwiek żyjących krewnych.

- Macie na myśli takich ludzi jak Ming? - domyślił się Shan.

- Mówiłem mu, żeby poszedł do szpitala, ale on uważał, że uznaliby, iż miał coś wspólnego z tą kradzieżą. Przesłuchiwaliby go. Bał się milicji. Na samą myśl o przesłuchaniach dostawał dreszczy, ze zdenerwowania nie mógł mówić. Złodzieje wiedzieli, że nie jest dla nich groźny.

- Co widział tamtego dnia? Dozorca zignorował jego pytanie.

- Oni zostawiają nas w spokoju, profesora i mnie, dwóch szalonych dziadków. Nikt się nie przejmuje, że wolno pracujemy, że często przystajemy, by porozmawiać o zabytkach, zastanowić się, jak je chronić na miarę naszych możliwości. Ja specjalizowałem się we wczesnych dynastiach, które miały stolice na południu. Ale Jiang był większym uczonym. On wie o Qian Longu rzeczy, jakich nie wie nikt inny, wciąż robi nowe odkrycia i prowadzi notatki. - Stary człowiek wciąż mylił czasy, jakby nie był do końca przekonany, że Jiang już nie żyje. - On wie, jak zabezpieczać znaleziska.

Dopiero teraz Shan spostrzegł półki obiegające pokój tuż pod wysokim sufitem. Stały na nich setki przedmiotów: zwoje, kadzielnice, nefrytowe pieczęcie, mały koń z brązu.

- To nie jest pora, żeby ujawniać wszystko - ciągnął dozorca. - Może potrzeba jeszcze jednego pokolenia, może wtedy ludzie nie będą tak pazerni.

Shan przyłapał się na tym, że patrzy w płomienie. Ci dwaj starcy musieli żyć w tej ciasnej izdebce przez dziesiątki lat, niczym banici w swoim własnym mieście. Rzadko wspominali o swej przeszłości, kiedy przed laty rozmawiał z nimi w ogrodach. On sam często ukrywał się na ich widok, obawiając się, że zostanie przepędzony z jednego ze swych ustroni. Ci, którzy Przeżyli czasy Mao, nauczyli się nie ufać obcym.

- Kiedyś, gdy siedziałem na jednym ze starych dziedzińców - powiedział wolno Yao - widziałem mysz niosącą w pyszczku nefrytowy paciorek. Zabrała go do norki w fundamentach.

Stary dozorca spojrział na niego z uśmiechem.

- Czasami mamy pomocników.

- Więc profesor Jiang niepokoił się o sekrety Qian Longa? - podsunął Shan.

- Qian Long miał wiele powodów do skrytości, wiele kryjówek, gdzie w ostatnich latach życia trzymał rzeczy, które chciał zachować w sekrecie. - Uniósł wzrok ku półkom. - To, co robimy, nie jest kradzieżą. Te rzeczy nie należą do nas. Ale nie należą też do tamtych.

- Macie na myśli ludzi z muzeum?

- Ten cały Ming... Krzyczał na nas, jeśli za bardzo zbliżaliśmy się do pracującej ekipy. Ci ludzie, którym zlecił konserwację, to były dzieciaki, studenci, którzy nie mieli pojęcia, co

robią. Wątpię, czy w ogóle przyszło mu na myśl, że my też mamy klucze, żeby sprzątać budynki po nocach.

- Tamtego dnia nikt z nich nie miał pracować w pałacyku - powiedział Shan. - A jednak dwóch ludzi przyszło tam z kluczem. Potężny Mongoł i niski Chińczyk, fachowiec od malowideł ściennych.

- Jiang lubił chodzić do starego pałacyku. Siadywał tam i czytał wiersze jak uczonego z dawnego cesarskiego dworu. Mówił czasem, że wydaje mu się, jak gdyby sam cesarz go słuchał. Usunięcie malowidła ściennego to ciężka robota. Oni prawdopodobnie czekali, aż wyschnie jakiś klej, więc kręcili się po pałacyku. To wtedy go znaleźli, śpiącego przy stole w jednym z pomieszczeń na tyłach. Bili go i kopali, ten duży i jego mały kolega.

Zapadła krucha cisza.

- Musicie nam powiedzieć o sekretach cesarza - odezwał się Yao.

Stary naukowiec znów utkwiał wzrok w płomykach świec-

- Na koniec razem z ambanem splątał figla całemu dworowi - powiedział.

- Korespondowali po tybetańsku - domyślił się Shan i nagle umilkł. - Skąd wiedzieliście, że interesujecie się ambanem? - zapytał po chwili.

- Amban mieszkał w Tybecie, a dla cesarza w ostatnim roku jego życia nie było nic ważniejszego od tej wymiany listów. Qian Long boleśnie przeżył zniknięcie siostrzeńca i już się nie otrząsnął po tym ciosie. Potem skradziono listy ambana. Teraz wy przybywacie z Tybetu. To zbyt wielki zbieg okoliczności, nieprawda, Jiang?! - zawołał w stronę cienia.

Shan wyciągnął zza pazuchy kawał starego płótna i rozwiniawszy go, pokazał dozorczy rozdartą thankę.

- Wiemy o skarbie ambana - powiedział. - Wiemy, że ta thanka miała wyjaśnić, gdzie go znaleźć.

Profesor wydał przeciągły jęk zachwytu. Oczy zabłysły mu jak dziecku.

- To ona, Jiang! - szepnął, zwracając się ku ciemnemu kątowi. - Ta, na którą cesarz czekał, jedyna rzecz, której zawsze pragnął, a której nigdy nie dostał. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przedarte malowidło, odwrócił je na drugą stronę, przyjrzał się odciskom dłoni, znów odwrócił je wierzchem do góry i uniósł do oczu, by przypatrzeć się z bliska wizerunkom bóstw.

- Skąd o niej wiecie? - zapytał Yao.

- Qian Long miał kilka tajnych skrytek. Jedna znajdowała się w ścianie jadalni z malowidłem, kilka w pokoju z tybetańskim ołtarzem, gdzie spotykał się ze swymi lamami nauczycielami. Pewnego dnia znaleźliśmy w tym ołtarzu listy i tajne plany, na których

zaznaczona była skrytka w ścianie, oraz notatkę mówiącą, że Qian Long umieścił tam przedartą thankę wraz z kilkoma listami ambana, ale zostawiliśmy je, bo wydawało się nam, że tam będą bezpieczne. Nie pomyśleliśmy, że sprawy tak się potoczą.

Starzec znów zapatrzył się w thankę, wziął ją od Shana i zbliżył do oczu, uśmiechnięty jak mały chłopiec.

- Znaleźliście ją w Tybecie, tam gdzie ukrył się amban? - Powiedział.

Shan i Yao wymienili spojrzenia.

- Skąd to wiecie? - zapytał inspektor.

- Po kradzieży malowidła Jiang, kiedy leżał tu chory, kazał mi iść i przynieść listy z pokoju ołtarzowego, bo uważał, że złodzieje mogą wrócić i ich szukać. Dwa listy, po tybetańsku, leżały na podłodze w sali jadalnej, skąd ukradziono to malowidło ścienne. Wcześniej nie zadaliśmy sobie trudu, żeby przeczytać choćby wszystkie listy z ołtarza. Były też kopie cesarskiej korespondencji zgromadzone w archiwach Qian Longa. Wyszukaliśmy listy, które dotyczyły ambana. Kiedy je w końcu skompletowaliśmy i przeczytaliśmy te, które były po chińsku, w Jianga wstąpiło nowe życie. Zapomniał o całym swoim bólu, zapomniał nawet, że umiera. Wymyślił teorię, która bardzo go rozbawiła.

- Jaką teorię? - zapytał Shan. Stary człowiek zdawał się go nie słyszeć.

- Amban zachorował. Obydwaj trzymali to w sekrecie, bo uważali, że mogłoby to zostać uznane za objaw słabości. Kwan Li w trzech listach pisał, że musi odłożyć podróż do Pekinu. Był to trudny okres dla Qian Longa, który postanowił zrzec się władzy. W ten sposób chciał okazać cześć swemu dziadkowi. Oświadczył, że nie będzie zasiadać na tronie dłużej niż on, czyli że abdykuje po sześćdziesięciu latach panowania. W efekcie na dworze zawrzało od intryg, gdyż Qian Long zastanawiał się, którego z wielkich książąt wynieść na Niebiański Tron. Wszędzie roiło się od szpiegów, dochodziło nawet do zamachów. Jedno słowo cesarza miało sprawić, że świat ulegnie zmianie. - Starzec umilkł, radośnie spoglądając na thankę.

- Przez rok Kwan Li i Qian Long ślali do siebie pilne listy - podjął po chwili - przenoszone przez cesarską pocztę. Amban wszystkie swoje listy wysyłał z Lhasy, żeby nie ujawnić, gdzie przebywa naprawdę. Cesarz wzywał go, żeby jak najszybciej wrócił; tyle wiemy z kopii odpowiedzi pisanych po chińsku, które znaleźliśmy w pokoju ołtarzowym. Qian Long przekonywał siostrzeńca, że jego powrót jest sprawą najwyższej wagi, że nie potrzebuje skarbów, że największym skarbem jest dla niego sam książę. Po kilku miesiącach zaczęli pisać do siebie wyłącznie po tybetańsku. - Dozorca urwał nagle i spojrzał na Shana. - Wspomnieliście, że mieszkacie w Tybecie. Znacie tybetański?

Gdy Shan potwierdził, starzec wstał i podreptał w ciemny kąt. Po chwili przytaszczył z niego dziesięć przewiązanych purpurowym jedwabiem zwojów, każdy opatrzony datą.

Shan pospiesznie przejrzał tybetańską korespondencję. Była tam kopia listu Qian Longa do siostrzeńca, w którym pisał, że jest zadowolony z lamy, którego przysłał mu on w charakterze doradcy, oraz że w mieście urodzenia ambana zostanie zbudowana nowa świątynia buddyjska. Następny w kolejności był list od ambana, opisujący najbardziej radosne wydarzenie w jego życiu - przywdzianie przezeń mniszej szaty. Amban donosił, że zamieszkał wśród mnichów artystów, którym zlecił wykonanie dzieł sztuki dla cesarza, i zgłębia teraz tajniki ich kunsztu, ucząc się, jak zakląć bóstwo w obrazie. List ów był podobny w tonie do tych, które Yao i Shan widzieli na dyskietkach Minga, choć tamte miały bardziej osobisty, nawet serdeczny charakter. Amban skarżył się, że podupada na zdrowiu, i informował, że radzi się najlepszych ze słynnych tybetańskich uzdrowicieli. Cesarz potwierdził, że rozumie, iż druga połowa thanki wyjaśni, gdzie szukać skarbu, oraz narzekał na intrygi na dworze i trudności ze znalezieniem odpowiedniego następcy tronu. Amban życzył mu pogody ducha i wyrażał przekonanie o mądrości wuja. Jego zdrowie się pogarszało. Cesarz zaproponował, że wyśle lekarzy, a nawet wojsko, żeby sprowadzić go do Pekinu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Amban odmówił, twierdząc, że czuje się znacznie lepiej.

Shan szybko rozwinął przedostatni zwój. Był to długi list od cesarza, w którym Qian Long pisał, jakie według niego cechy powinien mieć dobry władca, oraz wyraził obawę, że podczas jego panowania administracja cesarska stała się zbyt zadufana w sobie, zbyt materialistyczna, przykładła zbyt mało wagi do najważniejszych spraw. Gdy Shan dotarł do ostatniego akapitu, cicho krzyknął.

- Co się stało? - zapytał Yao.

Shan ponownie przebiegł wzrokiem końcowy fragment tekstu, by się upewnić, że dobrze go zrozumiał.

- Cesarz przeprasza, że robi to w liście, ale wymagają tego okoliczności. Qian Long prosi lamę Kamiennego Smoka, swego siostrzeńca, żeby został jego następcą.

Starzec wydał radosny okrzyk i klasnął w dłonie.

- Miałeś rację, Jiang! - zawołał.

Shan powoli rozwinął ostatni zwój, odpowiedź ambana. Przyglądał się jej przez długi czas, w końcu spojrzął na Yao i dozorcę.

- Kwan Li odpowiada, że jest zbyt chory, by udać się w podróż. Odrzuca propozycję.

- Niemożliwe! - jęknął Yao.

- A jednak to prawda - zapewnił Shan. Zauważył, że obaj mężczyźni spoglądają na niego pytająco, ale nie powiedział nic więcej.

Po chwili uświadomił sobie, że wszyscy trzej wpatrują się w płomienie świec.

- Znaleźliście tybetański dom księcia? - zapytał w końcu stary dozorca.

- Znaleźliśmy jego klasztor.

- W takim razie zabierzcie do niego te listy. Tam będą bezpieczniejsze - powiedział, podając Shanowi zwoje.

Yao wstał. Sięgnął do kieszeni i wręczył staremu człowiekowi kilka banknotów.

- Dla profesora Jianga - wyjaśnił. Dozorca spojrział na pieniądze.

- Będę mógł zapalić kadzidło w świątyni - odparł z wdzięcznością.

Yao dał mu więcej banknotów.

- Palcie kadzidło przez cały rok - powiedział i szybko odwrócił się w stronę ciemnego korytarza.

Shan i Yao byli już niemal na zewnątrz, przy obrośniętej wisterią bramie, gdy starzec ich dogonił. Podał Shanowi jeszcze jeden zwój, cieńszy od pozostałych, lecz również opatrzony datą.

- To ostatni - wyjaśnił. - Ostatni raz cesarz przemawiał do ambana. Być może tu znajduje się klucz do wszystkich sekretów.

Shan schował list za pazuchę, nie czytając go.

Yao ruszył za Shanem do małego, zacisznego ogrodu za pałacykiem Qian Longa, gdzie Shan tak chętnie zachodził w swym pekińskim wcieleniu. Siedzieli bez słowa, jakby żaden nie miał ochoty odezwać się pierwszy. Dopiero gdy jeden z milicjantów wprowadził do ogrodu Corbetta, Yao cicho zrelacjonował Amerykaninowi, co odkryli z Shanem.

Kiedy Corbett wydał cichy okrzyk zwycięstwa, inspektor uniósł dłoń.

- To nic nie znaczy - upomniał go. - Ustna informacja od nie zrehabilitowanego wroga klasowego. Nie mógłbym wykorzystać jej w sądzie.

- To znaczy jedno - rzekł Corbett. - Możemy się już pozbyć wątpliwości, mamy pewność, że my jesteśmy dobrzy, a oni są źli. - Shan uniósł wzrok. Amerykanin mówił jak Lokesh. - To zmienia wszystko. - Corbett wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru. - A teraz ruszamy dalej - oświadczył i spojrział na Yao. - Mówiłeś mu? - Gdy inspektor skinął głową, Amerykanin przedstawił Shanowi ustalenia. Kupią mu porządne ubranie i jeszcze tego wieczora polecą bezpośrednio do Seattle. Formalnie Shan będzie pod nadzorem Corbetta.

Shan uniósł palcem kwiat wisterii i utkwiał w nim wzrok.

- Mam jakiś wybór?

- Chyba tak - odparł niepewnie Corbett.

- W takim razie zgadzam się jechać, ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, zabieram ze sobą przedartą thankę.

- Po co? - zdziwił się Yao. - Wciąż jej nie rozpracowaliśmy.

- Być może mnie już się udało - odparł Shan, ale nie powiedział nic więcej.

Dwaj mężczyźni patrzyli na niego w milczeniu, wreszcie, najpierw Yao, potem Corbett, skinęli głową.

- Po drugie, inspektor Yao powie mi, gdzie był dzisiaj rano.

Yao zmarszczył brwi.

- Mówiłem wam. W swoim biurze.

- Nie. Przyszedł po was funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa. Nie byliście w swoim biurze. Nie odwiedzaliście rodziny.

Yao skrzywił się i spuścił wzrok na swoje dłonie.

- Nie mam żadnej rodziny poza siostrzenicą. Byłem w Ministerstwie Sprawiedliwości.

- W ministerstwie czy u ministra? - zapytał Shan.

- Minister zażyczył sobie, abym się u niego stawił. Były głosy, żeby mnie odwołać. Głosy ministra kultury i dwóch innych, jego przyjaciół.

- Dlaczego?

- Oficjalnie bez żadnych powodów. On mnie nie odwoła. Nieoficjalnie, ponieważ na nich też ktoś naciskał w tej sprawie. Pan Dolan z Ameryki.

Shan spojrzał uważnie na inspektora.

- Ale minister sprawiedliwości nie darzy ministra kultury sympatią? - domyślił się.

- Podejrzewa celowe ignorowanie priorytetów socjalistycznych. - W pekińskim żargonie politycznym był to jeden z synonimów korupcji.

- Opierając się na dowodach, które mu wysłaliście - podsunął Shan.

Wymienili długie, ponure spojrzenia. Obaj wiedzieli, że właśnie przez coś takiego Shan trafił do obozu pracy.

- Nie powiedzieliście mi jeszcze, dlaczego zarządzono inspekcję w muzeum Minga - zauważył Shan.

Tym razem to Yao wpatrzył się w kwiat wisterii. Po chwili odwrócił głowę i odezwał się do wróbla skaczącego po drugiej stronie dziedzińca:

- Obiecałem siostrzenicy, że na urodziny zabiorę ją do restauracji na pieczoną kaczkę. Staliśmy w kolejce, kiedy wcisnęła się przed nas jakaś hałaśliwa grupa, wymachując wizytówkami, rozdając ludziom pieniądze. Kilka kobiet, Amerykanin i młody Chińczyk w

garniturze, obaj w okularach słonecznych. Amerykanin przystanął i pogłaskał moją siostrzenicę po policzku, mówiąc, że powinna się do nich przyłączyć. Zanim wyszedłem, dowiedziałem się, kim są. Byli to Dolan i Ming. Następnego dnia zarządziłem inspekcję. To leży w moich kompetencjach. - Spojrzał na Shana. - Pogłaskał ją po policzku - powtórzył łamiącym się głosem.

- Chryste - mruknął Corbett. Wszystko zaczęło się z powodu przypadkowego spotkania przed restauracją.

- Na jakim etapie jest inspekcja? - zapytał Shan.

- Właśnie przybył wypożyczony z Anglii sprzęt do termografii. Szukamy operatora.

- Gdzie są eksponaty, które mają być przebadane?

- Jeszcze w gablotach.

- Mój trzeci warunek jest taki, żebyście zdobyli jeden z nich.

Na twarzy Yao pojawił się przebiegły uśmiech. Inspektor skinął głową.

- To wszystko? - zapytał.

- Nie. Musicie wrócić do Lhadrung.

- I tak miałem to zrobić. Kiedy już będzie po wszystkim, należałoby uporządkować tam parę spraw.

- Dziś wieczorem - powiedział Shan. - Albo wy wróćcie, albo ja wracam. Kiedy już tam będziecie, odszukajcie tego donosiciela, Tashiego. Powiedzcie mu, że udało się wam odnaleźć ten rzekomo zagubiony przez milicję list. Ten, w którym według Minga cesarz wspominał o Lhadrung. Powiedzcie mu, że trwają badania, czy jest autentyczny.

Yao uśmiechnął się.

- Ale czemu to takie pilne, dlaczego dziś wieczorem? Wasi przyjaciele, Lokesh i Liya, są przecież bezpieczni.

- Nie chodzi o jego przyjaciół - odezwał się Corbett. - On boi się, że oni odeślą Ko. - Spojrzał Shanowi w oczy, ten jednak odwrócił wzrok i wbił go w ziemię. - Wciąż stara się zostać ojcem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Każdy kilometr, każda minuta oddalająca Shana od Tybetu sprawiały mu katusze. Wiadomość, że jedzie do Pekinu, sama w sobie była wystarczająco bolesna. Wiadomość, że leci do Ameryki, wręcz go ogłuszyła. Czuł się zagubiony. W samolocie kilka razy gwałtownie się budził, choć trudno było powiedzieć, że ze snu, bo nie pamiętał żadnych obrazów, jedynie

koszmarne doznanie, straszliwy lęk, że już nigdy nie zobaczy Genduna ani Lokesha, ani nawet Ko, mimo obietnicy Yao, że wróci do Lhadrunng jeszcze tej nocy.

Wylądowali w strugach deszczu na lotnisku otoczonym autostradami i magazynami. Corbett, nie oddalający się na krok od Shana, poprowadził go ku dwóm młodym, schludnym mężczyznom w ganiturach, swoim asystentom, którzy przywitani go z chłodnym szacunkiem, Shana zaś z lekkim zmarszczeniem brwi, a następnie wszyscy razem, mijając długą kolejkę przy stanowiskach kontroli paszportowej, przeszli do pomieszczenia, gdzie kilkoro mężczyzn i kobiet siedziało przed ekranami wyświetlającymi obraz z kamer monitorujących. Corbett wskazał Shanowi krzesło, a sam prawie dziesięć minut rozmawiał ściszym głosem przez telefon, po czym wdał się w równie cichą dyskusję z surową kobietą w mundurze, która raz po raz wymachiwała w stronę Shana podkładką z klipsem. Urzędniczka, wyraźnie unieszczęśliwiona tym, jak agent FBI wyjaśnił przybycie Shana do USA, w końcu nabazgrała coś na przypiętym do podkładki formularzu, oddarła stronę, podała ją Corbettowi i odeszła.

Padają. Jechali w milczeniu: dwaj młodzi agenci FBI na przedzie wielkiego niebieskiego sedana, Corbett śpiący z głową opartą o szybę jednego z tylnych okien, Shan wyglądający przez drugie.

- Skąd ta smutna mina? - zwrócił się nagle do Shana mężczyzna siedzący za kierownicą. Został przedstawiony jako Bailey, choć miał z lekką chińskie rysy. - Myślałem, że wszyscy Chińczycy marzą o tym, by przyjechać do Ameryki. Wygląda pan, jakby dostał wyrok śmierci, a ostatni dobry adwokat właśnie umarł. - Jego kolega parsknął śmiechem i spojrzał wyczekująco na Shana. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Bailey zerknął na niego zirytowany. - Cholera, Corbett powiedział nam, że mówi pan po angielsku - odezwał się po mandaryńsku.

- Nikt nie marzy o tym, żeby tu przybyć jako więzień - odparł Shan w tym samym języku. Przypomniał sobie coś, co Corbett powiedział mu w górach, gdy wyjaśniał, dlaczego przyjechał do Tybetu. FBI potrzebowało kogoś, kto mówiłby po mandaryńsku. Ale ów młody agent, podwładny Corbetta, znał ten język.

Bailey roześmiał się i przetłumaczył odpowiedź Shana koledze.

- Czy to wygląda jak więzienie? - zapytał po angielsku, zatrzymując samochód przed piętrowym domkiem. Jego ściany były obite szarym drewnianym gontem, okna i ganek przed wejściem pomalowano na biało. Całość sprawiała wrażenie zaniedbanej i zapuszczonej. Pnącza o fioletowych kwiatach oplatające słupy ganku ścieliły się aż na podest, szpaler gęstych krzewów wzdłuż głównej alejki wypuszczał długie boczne pędy na sam środek ścieżki.

- Sąsiedzi nie mogą uwierzyć, że pracuję dla FBI - powiedział Corbett, wyjmując z bagażnika swoją walizkę i zaciągany worek Shana. - Chcieliby, żeby wszyscy gliniarze wyglądali jak młodzi komandosi, a wszystkie domy gliniarzy jak koszary. - Samochód ruszył i zniknął w głębi ulicy.

Gdy Amerykanin otworzył drzwi i gestem zaprosił go do środka, Shan uświadomił sobie, jak niewiele wie o prywatnym życiu tego człowieka.

- Ma pan rodzinę? - zapytał, przyglądając się grupie oprawionych zdjęć na stoliku przy drzwiach. Piegowaty chłopiec na trójkołowym rowerku. Naburmuszona dziewczynka z ogromnym butem w dłoniach. Zdjęcia były wyblakłe, szybka w jednej z ramek pęknięta.

- Właściwie nie - mruknął Corbett i odwrócił się. - Niech pan szybko słucha, bo zaraz padnę z wyczerpania. Oto trasa wycieczki - powiedział, wskazując na prawo, potem w cień na wprost, wreszcie na lewo. - Salon, obok kuchnia, na dole łazienka. - Chwycił swoją walizkę i wciąż mówiąc, ruszył w górę po schodach. - Pokój gościnny jest na piętrze po prawej. Dalej jest łazienka, za nią moja sypialnia.

Shan popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ma pan dwie łazienki? - Jego mieszkanie w Pekinie, nie większe niż salon Corbetta, było cenne, gdyż znajdowało się zaledwie dziesięć kroków od wspólnych toalet. Prysznic można było wziąć w miejskiej łaźni, kilka bram dalej przy tej samej ulicy.

Corbett nie odpowiedział.

- Jestem wykończony. Porozmawiamy rano. Prześcieradła na pańskim łóżku są względnie czyste. Miłych snów. Jutro pozna pan nowych amerykańskich przyjaciół - dodał niemal gorzkim tonem i zniknął w swoim pokoju.

Ale Shan nie miał miłych snów. Siedział przez kilka minut na łóżku, wpatrując się w nie, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz spał w prawdziwym łóżku z pościelą, wreszcie sięgnął po złożony w kostkę koc i położył się na podłodze pod oknem. Przewracał się z boku na bok, raz po raz przysypiając na kilka minut, zawsze jednak budził się, czasem z sercem ściśniętym przez potworny, irracjonalny lęk, jaki towarzyszy sennym koszmarom, choć nigdy nie pamiętał, o czym śnił. W końcu, owinąwszy się w koc, zszedł po omacku na dół i ruszył bezgłośnie przez pokoje, czując się jak intruz, zastanawiając się, jak jedna osoba może robić użytek z tak wielkiej przestrzeni. Za kuchnią odkrył werandę, bez ścian, ale z małym daszkiem osłaniającym ją częściowo przed deszczem. Weranda była dość wysoko nad ziemią, stanowiła dach garażu, którego wjazd znajdował się z tyłu budynku, tak więc Shan stwierdził, że stoi wśród koron drzew, a w dole, niespełna kilometr dalej, widzi przed sobą rozległą taflę wody. Sprawiało to wrażenie, jakby znalazł się w górskiej jaskini z widokiem

na jezioro, choć to, co w pierwszej chwili wziął za odbijające się w wodzie gwiazdy, było, jak się wkrótce zorientował, światłami domów po drugiej stronie wody. Deszcz na przemian to słabł, to przybierał na sile, przechodząc w mgnieniu oka od mżawki do gwałtownej ulewy.

Na stole w kuchni Shan znalazł wąską szklaneczkę wypełnioną dziesiątkami wykałaczek. Odliczył sześćdziesiąt cztery, po czym spostrzegł stojącą na parapecie świeczkę w blaszanym świeczniku i ostrożnie ją podniósł. Od świecznika odchodził przewód elektryczny. Przekręcił mały okrągły włącznik na kablu i świeczka zamigotała. Przyglądał się jej zdziwiony, obserwując mały żarnik, który skakał w tę i z powrotem, naśladując płomień. Jak wiele rzeczy, które widział w Ameryce, zdawało mu się to niezbyt sensowne. Jeśli ktoś chciał mieć świeczkę, powinien wziąć właśnie świeczkę, która kosztowałaby o wiele mniej niż udająca ją słaba elektryczna lampka. Ojciec obiecywał Shanowi, że zabierze go do Ameryki, i zaczął zapoznawać go ze zwyczajami tego kraju. Czasami, powiedział mu któregoś razu, Amerykanie robią coś jedynie po to, by dowieść, że można to zrobić.

Shan odstawił elektryczną świeczkę na parapet i wrócił na werandę. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na deskach pod migotliwym światłem dobiegającym zza okna. Wokół spokojnego miejsca, którego szukał, wciąż kłębiły się emocje. Rozpacz, wyczerpanie, bezradność. Był wątlą łódką, która zerwała się z kotwicy. Zmusił się do siedzenia bez ruchu. Patrzył najpierw na wodę, potem gdzieś w dal, mrugał tylko wtedy, gdy zaczynało padać, zamykał oczy i nie otwierał ich, póki deszcz nie przeszedł, a potem znowu wpatrywał się w mglisty szary horyzont.

Kiedy wrócił do świadomości, chmury były znacznie wyżej, a większość światel na odległym brzegu zgasła. Patrzył na wykałaczki, które trzymał w dłoni, stopniowo przypominając sobie, gdzie jest. Potem rozrzucił je na deskach przed sobą, podzielił na chybił trafił na trzy kupki, podniósł pierwszą kupkę i zaczął liczyć drewnienka. Była to znana od setek lat metoda tworzenia tetragramów związanych z poszczególnymi ustępami *Tao Te Ching*. To nie jest tak przypadkowe, jak się zdaje, powtarzał mu zawsze dziadek, gdyż patyczki, tak jak człowiek, który je rzucał, podlegają przeznaczeniu. Po kilku minutach Shan uzyskał tetragram z dwóch linii o dwóch odcinkach nad linią o trzech odcinkach i, na samym dole, linią ponownie złożoną z dwóch kresek. Według tabel, których nauczył się na pamięć w dzieciństwie, oznaczało to ustęp czterdziesty czwarty. Wyszeptał go w stronę wody:

Im silniejsze przywiązanie.

Tym większy jest koszt.

Im skrzętniej uciulane.

Tym dotkliwszy cios.

Słowa te wzbudziły w nim poczucie pustki. Wpatrywał się w chłodną, ciemną mgłę. Z oddali dobiegał go czasem odgłos silników i syren, potem krzyki mew.

W końcu zdał sobie sprawę, że ktoś krząta się w kuchni. Deszcz wciąż padał, ale niebo nad połacią wody przybrało jaśniejszy odcień szarości, poróżnowiały plamy chmur. Uchyliły się drzwi i owionął go drażniący orzechowy aromat. Kawa, uświadomił sobie. Corbett wszedł na werandę, niosąc dwa parujące kubki. Ku uldze Shana w tym, który Amerykanin wyciągnął w jego stronę, była mocna czarna herbata.

- W ogóle się pan nie położył - zauważył Corbett, spoglądając na wodę.

- Rozłożyłem sobie koc na podłodze.

- Do diabła, Shan, to nie grzech żyć wygodnie. - Głos Corbetta zabrzmiał dziwnie nieśmiało.

- Miła jest ta weranda - stwierdził Shan. Sam nie wiedział, dlaczego to mówi tonem przeprosin.

- To wszystko należało do mojej ciotecznej babki. Mam na myśli ten dom i chatkę na jednej z wysp na północ stąd, w stronę Kanady, małą chałupinę nad wodą. O tej porze pełno tam kwiatów. Ciotka umarła rok po moim rozwodzie i zapisała mi je w spadku. Gdyby nie to, gnieździłbym się w jednopokojowej klitce, która było wszystkim, co mi zostało, kiedy moja żona... - Odwrócił się i znów spojrzął na wodę. - Kiedy wracaliśmy do Zhoki z Dawą i Lokeshem, mijaliśmy nocą jakieś jezioro. Małe, wysoko w górach, w jego tafli odbijał się księżyc. Nie wiem dlaczego przypominało mi dom. Lokesh powiedział: że musimy przystanąć i pomodlić się do bóstw wodnych. Teraz nie będę już chyba mógł patrzeć na tę zatokę, nie myśląc o jej bóstwach.

W samochodzie Corbett poweselał. Opowiadał Shanowi o deszczowym pagórkowatym mieście, przez które jechali. Minęli dziwną gigantyczną wieżę z czapeczką na szczycie, którą nazwał Iglą, potem sunęli wzdłuż nabrzeża, wreszcie wjechali na parking przed starym granitowym gmazyskiem wyglądającym jak jakaś forteca. Shan bez słowa ruszył za Corbettem po schodach, potem przez bramkę ochrony, nie mogąc się skupić na czekającym ich zadaniu, bo na każdym kroku witały go niezwykle widoki. Obnażona kobieca noga namalowana na karoserii miejskiego autobusu, z jakimiś słowami o miłości, których nie zrozumiał. Zawieszona nad drzwiami ogromna rzeźba przedstawiająca fioletową rybę. Przejeżdżający wysoko nad ziemią pociąg na pojedynczej szynie, a w dole niemal nagi

człowiek śpiący w drucianym wózku na zakupy. Stojący przy bramce ponurzy mężczyźni w mundurach mieli skórę w kolorze ciemnej czekolady.

Gdy wchodzili do pomieszczeń FBI na trzecim piętrze, Corbett nie przestawał mówić do Shana. Cichszym niż zwykle głosem opowiadał mu o mieście i o tym, jaka w nim bywa pogoda, o wszechobecnych promach, o pobliskich górach, dopóki Shan nie uświadomił sobie, że agent szuka wymówki, żeby nie rozglądać się po biurze, nie odwzajemniać spojrzeń pracowników, którzy wyglądali ze swoich boksów, gdy obaj z Shanem weszli do przestronnej sali pełnej biur z komputerami. Część osób unosiła wzrok znad monitorów i wpatrywała się w Corbetta, gdy prowadził Shana, inni tylko zerkali na niego i zaraz odwracali się z niesmakiem.

Corbett zostawił Shana samego w salce konferencyjnej bez okien, w której nie było nic poza ogromnym stołem z plastikowym blatem, plastikowymi krzesłami pokrytymi cienką zrnechaconą tapicerką oraz sponiewieranym drewnianym stojakiem z telefonem i książką telefoniczną o żółtych kartkach. Po kilku minutach Shan sięgnął po grube tomisko i położywszy je przed sobą, otworzył na chybił trafił. TWÓJ CZWORONÓG ZALATUJE? pytało pierwsze hasło, na które padł jego wzrok. PRZEPCHNIEMY TWOJĄ SPRAWĘ zapewniało następne. Przeczytał je kilka razy, nic nie rozumiejąc. Zaintrygowany, zdezorientowany, pochylił się nad książką, wertując stronicę. Wszystkie pozycje dotyczyły działalności gospodarczej, choć przeszło połowa kategorii była dla niego zagadką. Próbował właśnie rozszyfrować wielką reklamę z nagłówkiem: HEKTARY MOCY, kiedy wrócił Corbett, prowadząc dwóch swoich asystentów oraz tęgiego skwaszonego mężczyznę w czerwonym krawacie. Ten ostatni oschle skinął Shanowi głową i rzucił na stół cienką tekturową teczkę.

- Panie Yun... - zaczął.

- Shan - poprawił go Corbett. - Nazwisko jest podawane na pierwszym miejscu.

Mężczyzna nie spojrział na niego, ale zaczął jeszcze raz:

- Panie Shan, obawiam się, że agent Corbett postąpił pochopnie, sprowadzając pana z Chin za pieniądze amerykańskich podatników. Byłem na urlopie i nie mogłem wypowiedzieć się w tej sprawie. O ile rozumiem, spodziewa się on odzyskać skradzioną kolekcję pana Dolana z Seattle, znajdując jakieś stare malowidło. Twierdzi, iż obaj panowie jesteście pewni, że kolekcja Dolana została wysłana do Chin, choć nie rozumiem, po co ktoś miałby wozić do Chin chińskie dzieła sztuki. - Przerwał, jakby oczekiwał wybuchu śmiechu.

- Tybetańskie - mruknął Corbett. - One były tybetańskie. Mężczyzna zignorował go.

- Odniosłem wrażenie, że agent Corbett uważa pana za swego rodzaju magika. Chińskiego superglinę - dodał, sceptycznie mierząc Shana wzrokiem.

Shan zmusił się, by nie zerknąć na Corbetta. Agent nie przekazał swojemu przełożonemu żadnych szczegółów ich śledztwa, nie przedstawił jego samego jako świadka.

- Pochopnie? - wolno powtórzył Shan. - Nie rozumiem tego słowa.

Starszy agent zerknął niecierpliwie na Corbetta i westchnął.

- Nie wątpię, że chciał pan zobaczyć Amerykę. Rozumiem, że jest pan jednym z najlepszych detektywów w swoim kraju. -

Urwał, spoglądając na tanie ubranie Shana i pokryte bliznami szorstkie ręce. - Przypuszczam - ciągnął z wahaniem - że znajdziemy dla pana parę pamiątek. Mamy przyciski do papieru i przypinki dla ważnych gości. Ktoś może oprowadzić pana po naszym laboratorium kryminalistycznym, zorganizować spotkanie z chińskim konsulem. To amerykańskie przestępstwo. Dziękujemy panu za zainteresowanie.

Jeszcze raz Shan musiał użyć całej siły woli, żeby nie spojrzeć na Corbetta.

- Czy wiadomo panu, że kolejne morderstwo związane z kradzieżą u Dolana zostało popełnione w Chinach? - zapytał poważnym tonem. - Trzy dni temu.

- Kolejne? - Mężczyzna zerknął gniewnie na Corbetta. - Nie było nawet pierwszego. Jeśli Chińczyk zabił Chińczyka, FBI nic do tego nie ma.

- Ofiara była Angielką. Należała do złodziei, którzy okradli rezydencję Dolana.

- Skąd pan to wie?

- Sama się do tego przyznała - odparł Shan.

- W takim razie zabił ją współnik.

- Bez wątpienia - potwierdził Shan.

- Dobra robota - stwierdził starszy agent. - Dolan będzie zadowolony. - Znow spjrzał z dezaprobatą na Corbetta. - Koniecznie musiałem usłyszeć to od Chińczyka?

- Żeby nie miał pan wyrzutów sumienia, że trwonimy pieniądze podatników - odparł Corbett.

- To było przestępstwo popełnione na chińskim terytorium - zauważył Shan.

- Zgadza się - odparł mężczyzna. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się cień zakłopotania. Oderwał wzrok od Shana i pchnął teczkę po stole w stronę Corbetta. - Kiedy pana nie było, chłopaki znalazły jakiegoś handlarza dziełami sztuki, który pracował dla Dolana. Zgadza się. To najlepszy kandydat na wewnętrzne powiązanie. - Grubas skinął Shanowi głową i wyszedł z sali. Przez cały czas ani na chwilę nie usiadł, nie przedstawił się Shanowi.

Bailey, agent o chińskich rysach, gapił się na Shana z szerokim uśmiechem, dźgając palcem w stronę Corbetta.

- Ktoś dostał burę - powiedział scenicznym szeptem. Jego młody kolega parsknął śmiechem.

Corbett spojrział na teczkę i z figlarnym błyskiem w oku popchnął ją do Shana. Na etykietce napisano *Adrian Croft*.

- Minęły trzy dni, odkąd wam powiedziałem, że to ktoś z galerii Crofta wydał przez telefon polecenie, żeby zabić Elizabeth McDowell. Nie mam ochoty przeglądać tych akt - powiedział do Bailey'a. - Po prostu powiedz mi, co w nich jest.

Bailey zabrał Shanowi teczkę, otworzył ją i zaczął wyjmować poszczególne dokumenty.

- Croft figuruje jako członek dwóch ekspedycji Minga, obu w Mongolii Wewnętrznej - oświadczył, unosząc w górę jakiś faks, po czym sięgnął po kolejną notatkę. - Galeria Antyków Crofta była zatrudniana w charakterze konsultanta, za ciężkie pieniądze, przy kilku projektach muzealnych finansowanych przez Dolana oraz przy budowie jego prywatnych sal wystawowych. McDowell pracowała dla firmy Crofta jako doradca. Robiła wycenę wszystkich obiektów z kolekcji Dolana. Biuro, z którego wtedy dzwoniono, mieści się o milę stąd. Galeria Crofta specjalizuje się w sztuce Azji i zarabianiu pieniędzy.

- Ma pan listę wszystkich uczestników ekspedycji Minga? - zapytał Shan.

- Jasne - odparł Bailey. - Oni traktują je jak wycieczki dla zamożnych turystów.

Shan szybko przejrzał papiery, które podał mu młody agent.

- Nazwisko Dolana nie pojawia się na żadnej z nich. - Zerknął na Corbetta.

- Ale my wiemy, że on był na tych wyprawach - powiedział Corbett swemu asystentowi. - Widzieliśmy zdjęcia. - Zobaczył, że Shan się uśmiecha, i skrzywił się. - Sukinsyn. - Asystenci zwiesili głowy, jakby zawstydzeni. - Ubezpieczenia społeczne - warknął. - Urząd Celny. Urząd Imigracyjny. Urząd Skarbowy. Jazda!

Corbett odprowadził wzrokiem wybiegających z sali mężczyzn, po czym wstał wolno, zebrał papiery i skinął na Shana, żeby poszedł za nim. W drodze do wyjścia przystanął przed biurkiem siwowłosej sekretarki i pochylił się nad nim.

- Gdyby pytał, poszliśmy na spotkanie z chińskim konsulem. I z burmistrzem. Klucze do miasta i tak dalej.

Jechali pod szarym niebem na drugą stronę zatoki, którą Shan widział z domu Corbetta, Lake Union, jak nazwał ją agent. Gdy sunęli wolno wzdłuż zachodniego brzegu, Shan poprosił Corbetta, żeby się na chwilę zatrzymał. Chciał popatrzeć na samolot z pływakami pod kadłubem, który właśnie odrywał się od wody.

- Dokąd oni lecą? - zapytał.

- Na wyspy. W cholere - odparł Corbett. Obaj przyglądali się, jak samolot znika w niskich chmurach.

Minęli wielki, siedmiopiętrowy budynek z cegły, który wyglądał na stary magazyn, w rzeczywistości jednak mieściły się w nim biura. Corbett wskazał narożne okno na najwyższym piętrze, z widokiem na wodę.

- Galeria Antyków Crofta - powiedział, a następnie zjechał na parking naprzeciw ceglanego gmazyska i znalazł miejsce na wprost niego.

Kwadrans później przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli za jednym z samochodów do garażu pod budynkiem. Na miejscach parkingowych wymalowane były nazwiska osób i nazwy firm, do których należały. Galeria Crofta miała trzy miejsca, dwa z nazwą firmy, jedno z nazwiskiem właściciela.

- Kamery monitorujące - zauważył Corbett, wskazując długie czarne skrzynki zamontowane pod sufitem na kilku betonowych filarach. - Urządzimy chłopakom kino familijne - dodał i widząc pytanie w oczach Shana, wyjaśnił: - Zdobędziemy nagrania z kamer. Dowiemy się, kto parkuje na tym widmowym miejscu. Poza tym zawsze możemy przesłuchać szefową galerii, jeśli tylko uda nam się ją dopaść.

- Zna ją pan?

- Ze zdjęcia w aktach. To półkrwi Chinka.

Usiedli w restauracyjce na parterze i zamówili herbatę. Shan próbował obserwować frontowe drzwi, ale przyłapał się na tym, że jego wzrok uparcie wędruje ku hydroplanom, które Jeden po drugim znikają w chmurach. W cholere. On także miał ochotę uciec w cholere, w jakieś odległe miejsce, gdzie ludzie nie kłamią, nie kradną, nie zabijają ani nie udają niewidzialnych. Gendun znalazł dla niego takie miejsce, grotę, do której miał się udać na odosobnienie. Ale przez kilka godzin w dniu urodzin dalejśmy zmienilo się wszystko.

Corbettowi także było trudno oderwać wzrok od wodnosamolotów.

- Powiedział pan, że ciotka zapisała panu w spadku dom na wyspie - zagadnął go Shan.

- To mała chatka, niemal cała obrośnięta kwitnącymi pnączami. Z jej okien widać ocean. Czasami udaje się wypatrzeć wieloryby.

- Ona uczyła pana malować? Corbett milczał przez chwilę.

- To było daleko stąd. Tu jest Ameryka. W Ameryce zajmuję się innymi sprawami. Tu jestem kimś innym - powiedział cicho i Shan uświadomił sobie, że agent nie mówi o swojej ciotce, ale o wiosce Bumpari. - Zanim opuściłem tę wioskę, rozmawiałem z Liyą. Powiedziała mi coś bardzo mądrego: że jej zdaniem bycie detektywem jest przeciwieństwem bycia artystą.

- Może chodziło jej o to, że niektóre tajemnice wymagają artysty, nie detektywa. Że artysta innymi sposobami dociera do prawdy.

- Podczas naszej wspólnej wyprawy w góry nauczyłem się, że fakty są tylko częścią prawdy, i to wcale nie najważniejszą. - Corbett spojrzął do swojej filiżanki. - Nie miałem okazji jej podziękować. Będzie pan musiał zrobić to za mnie.

- Może jeszcze kiedyś pan ją spotka.

- Ja? Nie ma szans. Może pan tego nie zauważył, ale od dziś jestem na prostej drodze na złomowisko. Po tym wyczynie będę mógł tylko pomagać babciom, które zgubiły sztuczne szczęki. - Nagle spuścił głowę, wbijając wzrok w filiżankę. - To ona. Szefowa galerii.

Shan przyglądał się przez chwilę drobnej, eleganckiej Azjatce i wstał, nim Corbett zdążył go powstrzymać. Zaczekał przy ladzie z serwetkami i cukrem, aż kobieta zajmie miejsce przy jednym ze stolików, a wtedy podszedł szybkim krokiem i usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Nazywam się Shan - powiedział cicho, mocując się z górnym guzikiem koszuli. - A pani pracuje w tym sklepie z antykami na górze. - Wydobył gau, którego nigdy nie zdejmował z szyi, i wyciągnął je w jej stronę.

- Ma pan pojęcie, co to takiego? - zapytała kobieta. W jej oczach znać było zniecierpliwienie, ale także błysk rozbawienia.

- To bardzo stare. Bardzo cenne. Wiem, gdzie jest tego więcej.

Kobieta z zainteresowaniem przyglądała się puzderku. Wyciągnęła ku niemu palec, ale w ostatniej chwili powstrzymała się przed jego dotknięciem.

- Nie kupujemy takich rzeczy - oświadczyła niecierpliwie. - Proszę odejść. Nie załatwiamy interesów w taki sposób. Mogę zawołać ochronę.

- Proszę mnie zabrać do salonu wystawowego. Niech mi pani pokaże, co państwo kupują. Mogę zdobyć wiele takich przedmiotów. Tybetańskich. Chińskich.

Włożyła do ust kęs sałaty, przeżuła go i wycelowała w Shana widelec.

- Nie prowadzimy interesów publicznie. Nie mamy salonu wystawowego. Dokonujemy zakupów zgodnie z zamówieniami. Nie mamy zamówień na czternastowieczne puzderka na amulet - powiedziała, wskazując podbródkiem gau. - Popyt na nie był trzy, może cztery lata temu. - Dźgnęła widelcem w stronę drzwi. Shan westchnął, wstał i wyszedł z restauracji.

Dziesięć minut później Corbett dołączył do niego przy samochodzie. Wpatrywał się w okna górnego piętra, podczas gdy Shan relacjonował mu swoją rozmowę z kobietą, a

następnie zadzwonił przez telefon komórkowy do Bailey'a i kazał mu pilnie zająć się nagraniami z kamer nadzoru budynku.

Znów jechali w miarowo padającym deszczu. Corbett trwał w ponurym milczeniu, dopóki nie zaparkował na olbrzymim Parkingu, gdzie stało więcej pojazdów, niż Shan kiedykolwiek widział w jednym miejscu, i poprowadził go w stronę wysokiego, rozłożystego budynku, tak wielkiego, że Shan nie mógł dostrzec przez szarą mgłę jego drugiego końca.

Gdy minęli dwie pary eleganckich szklanych drzwi, przystanął zdumiony. Przed nim do otoczonego drzewami i kwiatami basenu wpadał wodospad. Posadzka była z marmuru. Wokół wodospadu wdzięcznie wyginały się ozdobne metalowe schody pnące się ku wysokiemu sklepieniu ze szkła.

- Tutaj możemy napić się kawy i spokojnie porozmawiać - powiedział Corbett.

Shan wciąż stał, przyglądając się dziwnemu budynkowi oraz tłumom ludzi, którzy wchodzili i wychodzili przez otwarte drzwi na obrzeżu wielkiej centralnej hali. To były sklepy, uświadomił sobie, dziesiątki sklepów, dwa piętra sklepów. Gdy poszukał wzrokiem Corbetta, Amerykanin był już trzy metry przed nim. Shan wolno ruszył za nim, zdumiewając się wszystkim, co widział wokół siebie. Mijały go spacerujące nastolatki z wklutymi w twarze metalowymi gałeczkami i kółkami, a mimo to rozmawiające i zachowujące się swobodnie i beztrosko. Odwrócił wzrok, rumieniąc się gwałtownie, gdy w jednym z okien wystawowych zobaczył kilka kobiet w samej bieliźnie. W innym oknie dostrzegł grupę niemal identycznych kobiet w swetrach i uświadomił sobie, że są to niezwykle realistyczne manekiny. Jeden ze swetrów kosztował trzysta dolarów bez kilku centów, więcej niż roczny zarobek większości Tybetańczyków.

- Po co mnie pan tu przywiózł? - zapytał Shan, gdy Corbett zaprowadził go do baru kawowego i zamówił dla nich napoje. - To miejsce handlu.

- Pomyślałem, że będzie pan chciał zobaczyć Amerykę - odparł Corbett z wymuszonym uśmiechem, wskazując stolik, zaraz jednak spoważniał. - Poza tym pracowała tutaj Abigail, zanim dostała pracę guwernantki. Są tu ludzie, którzy ją znali, opowiadali mi o niej, sprawili, że stała się dla mnie kimś realnym.

Więc po co przyszedł tu teraz? zastanawiał się Shan. Nie po wskazówki, gdyż zbadał już ten teren. Wyglądało to tak, jakby Corbett składał dziewczynie hołd, jakby na swój sposób przepraszał ją, że nie potrafi oddać w ręce sprawiedliwości tego, kto ją zamordował.

- Wydawało mi się mało prawdopodobne, aby to był zbieg okoliczności, że guwernantka zginęła tej samej nocy, kiedy skradziono kolekcję. Ale Punji tego nie zrobiła. Wierzę jej. - Corbett najwyraźniej przywykł już do nazywania tak McDowell, jak gdyby stała

mu się bliższa, odkąd zginęła. - Ona i Lodi wynieśli kolekcję, lecz nie wiedzieli nic o dziewczynie. Ale jeśli to naprawdę był zbieg okoliczności? Może się myliłem?

- To dlatego pojechał pan do Tybetu? - zapytał Shan, gdy kelnerka postawiła przed nimi dwa parujące kubki. - Z powodu dziewczyny, nie kradzieży?

Corbett długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- W ślad za kolekcją mogłem wysłać chłopaków. Ale co noc widziałem jej twarz unoszącą się na wodzie. Jakby patrzyła prosto na mnie. Jakby chciała mi coś powiedzieć, ale usta już jej nie słuchały. - Upił łyk z kubka. - To dlatego pojechałem. Ale nie dlatego zostałem.

Nagle w jego kieszeni odezwał się telefon komórkowy. Corbett wyciągnął go i przycisnąwszy mocno do ucha, słuchał w skupieniu, pomrukując potwierdzająco. Wreszcie się rozłączył. Milczał chwilę, patrząc do kubka.

- Taśmy były na miejscu, wraz z magnetowidem do ich przeglądania na wysokiej prędkości. Dyżurny strażnik okazał się pomocny. Myślałem, że zajmie im to większą część dnia. - Mówił do wnętrza kubka, cichym, rozpaczliwym tonem.

- Wiedział pan, kto to jest. Obaj wiedzieliśmy - odparł Shan. - To mogła być tylko jedna osoba.

- To mógłby równie dobrze być Bóg. On jest nietykalny. Nie dopadnę go bez niepodważalnych dowodów, a on jest o wiele za sprytny, żeby zostawiać wyraźne ślady.

- Lokesh powiedziałby, że jeśli Dolan zrobił coś takiego, jeśli zabił dziewczynę i zaaranżował kradzież, to nieuchronnie odcisnie się na nim piętno tej nieprawości.

- Więc powinienem poczekać, aż odrodzi się jako chrząszcz, i go rozdeptać? Wolę wymierzyć mu sprawiedliwość w tym życiu. - Corbett uniósł wzrok znad kubka. - Nie zna pan takich ludzi. Jeśli Dolanowi nie podoba się facet, który opróżnia mu sarnietnik, dzwoni do burmistrza.

- Dobrze znam takich ludzi.

- Jasne. Zapomniałem. Przeciwstawił się im pan i przegrał. Wszystkie te lata w obozie pracy.

- Wolę o tym myśleć jako o impasie. Wciąż żyję. Corbett przyjrzał się Shanowi z uwagą, jakby zobaczył go po raz pierwszy, jak gdyby Shan właśnie złożył mu intrygującą propozycję. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a chwilę później zaniósł się tubalnym śmiechem.

- Świetnie. Przywieźliśmy prezent dla pana Crofta. Znajdźmy sposób, żeby mu go doręczyć. - Wstał, zostawił na stoliku kilka banknotów i ruszył w stronę parkingu.

Shan zdumiewał się deszczem. Pekin był suchym miastem, większość Tybetu niemal pustynią. Tyle wody spadającej z nieba nie widział od czasów dzieciństwa, gdy mieszkał na wybrzeżu. Tutaj deszcz miał wiele odmian, wiele też było rodzajów chmur deszczowych. Zacinająca, przypominająca nawałnicę ulewa w jednej chwili mogła ustąpić miejsca strugom spokojnie spadających, wielkich kropli, a te znów mżawce, niewiele różniące się od gęstej mgły. Raz lunęło tak gwałtownie, w tak silnych porywach wiatru, że deszcz uderzał w samochód poziomo. Corbett sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie widział, że pada. Utrzymując stałą szybkość, jechał za miasto, gdzie zaczynał się pagórkowaty teren z wielkimi rezydencjami chronionymi przez wysokie mury i metalowe bramy. Zwolnił, gdy mijali długą ceglana budowlę na nieregularnym planie, wzniesioną na stoku wzgórza, ogrodzoną wysokim na półtora metra ceglanym murem. Główny budynek miał niemal sześćdziesiąt metrów długości i otoczony był przez długi garaż o ośmiu bramach, szklarnię oraz jakieś małe zabudowania, których przeznaczenia Shan nie umiał odgadnąć.

- To wygląda jak szpital - powiedział. - Albo mała szkoła.

- To miejsce przestępstwa - odparł Corbett zduszonym głosem. Wyglądało na to, że nie ma zbyt wielkiej ochoty na rozmowę. Przejechał obok bramy i sto pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie otaczający posiadłość mur ostro skręcał w gęsty las, zatrzymał się przy krawężniku. Pokazał Shanowi rosnące tuż przy murze, dwadzieścia metrów od narożnika, potężne drzewo.

- Przyjaciółki dziewczyny powiedziały mi, że czasem, kiedy się spieszyła, wspinała się na to drzewo, żeby przejść przez mur. Opierała tu rower. Zanim mój szef się do tego wtrącił, zdążyłem przesłuchać dwójkę dzieci Dolana. Potwierdziły, że wspinała się na mur, nie włączając alarmu. To był ich mały sekret.

- Ale dlaczego miałyby wracać w nocy?

- Żeby wyłączyć piec do wypalania gliny. Tamtego dnia lepiła z dziećmiakami gliniane garnki w pracowni na tyłach posiadłości. Chłopiec powiedział, że zapomnieli wyjąć garnki z pieca, więc był pewien, że będą do niczego. Ale ktoś je wyjął. Ktoś wyłączył piec i wyciągnął garnki. Abigail miała zajęcia w miejscowym college'u. Wróciła tu i weszła przez mur, żeby wyłączyć piec. A potem zobaczyła coś, czego nie powinna była zobaczyć. - Ruszył dalej. Przed nimi zaczęła się wyłaniać tafla wody.

- Nie ma żadnych dowodów - zauważył Shan.

- Jest nawet zeznanie, które temu przeczy. Kiedy przyszedłem tu następnym razem, żeby odtworzyć sobie przebieg włamania, pan Dolan we własnej osobie odszukał mnie i oświadczył, że to on wyłączył piec.

Shan zastanowił się.

- Chce pan powiedzieć, że dzieci powiedziały mu o rozmowie z panem? - zapytał.

- Był w podróży, nie miał okazji widzieć się z dziećmi. Ktoś przekazał mu mój raport z przesłuchania. Sam do mnie przyszedł, kiedy oglądałem teren, by mi powiedzieć, że wyłączył piec, i zaraz odszedł, tak że nie zdążyłem mu zadać żadnego pytania. Powiedział, że detektywi towarzystwa ubezpieczeniowego mają już wszystko, czego im potrzeba, że FBI nie musi się już przejmować tą sprawą. Nie miał z nami żadnych problemów, dopóki nie wyciągnąłem sprawy Abigail.

Corbett skierował samochód na wąską drogę prowadzącą na żwirowy parking z widokiem na zatokę. Wiatr smagał wodę, tworząc białe grzywacze. Agent wskazał Shanowi palcem wąski żelazny most wznoszący się trzydzieści metrów nad małą odnogą zatoki i bez słowa wysiadł z samochodu. Shan ruszył za nim, stawiając kolnierz na przenikliwym wietrze.

- Abigail zostaje zauważona w domu, nieoczekiwany świadek przestępstwa. Potem on proponuje, że odwiezie ją do domu. Za późno na jazdę rowerem po krętych drogach. Wkładają rower do samochodu. Kiedy docierają do mostu, zatrzymują się na chwilę. W okolicy nie ma żadnych zabudowań, więc nikt nie będzie nic widział. Być może podziwiają odbłask księżycy na wodzie. Może on mówi, że zauważył wieloryba. Kto wie. Podchodzą do bariery, on ją przerzuca. Jest niewysoka, niezbyt ciężka. Potem jedzie osiem kilometrów do mostu koło jej domu, gdzie wyrzuca rower. Dwa tygodnie później znajdują go tam nurkowie. Rzecz w tym, że jest odpływ. Tutaj, pod tym mostem, nie ma wody, są tylko kamienie. Dziewczyna jednak, choć spadła z takiej wysokości, nie zabiła się, ale złamała kręgosłup - dokończył przez ściśnięte gardło. - Utonęła.

Shan spojrzał w ciemną, skłębioną wodę, walcząc z przerażeniem, które nagle ścisnęło mu trzewia. Dziewczyna spadła na skały i leżała na nich, nocą, bezradna, połamana, unieruchomiona, aż fale przyływu powoli zalały ją i przeniosły do zatoki.

Milcząc, wrócili do domu. Corbett postawił jedzenie na stole i bez słowa poszedł na górę. Gdy przy moście opowiadał o zamordowaniu dziewczyny, wydawał się pewny tego, co mówi, ale obaj wiedzieli, że nie ma na to żadnych dowodów. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby dziewczyna przemówiła do niego tamtego okropnego dnia na promie.

Shan uświadomił sobie nagle, że jest głodny, i przyjrzał się temu, co Corbett zostawił mu do jedzenia. Ogórek, główka sałaty, bochenek brązowego chleba, pudełko błyskawicznego ryżu, banan, pomidor, słoik musztardy i kilka puszek nie znanych mu warzyw. Pokroił ogórek w długie kliny, wziął banana i przeszedł z tym do fotela przy wejściu. Pogasił wszystkie światła i zabrał się do jedzenia. Gdy skończył, oparł się wygodnie

i zamknął oczy, słuchając odgłosów dobiegających z ulicy. Gdy znów otworzył oczy, w domu było ciemno, a on był przykryty kocem. Musiał przesiedzieć tak kilka godzin. Dochodziła północ. Ruszył w stronę schodów, rozmyślił się jednak i wyszedł na werandę za kuchnią. Szmer kropli deszczu spływających po liściach brzmiał jak szept. Nagle w kubie przy drzwiach zacykał świerszcz. Ten dźwięk niespodziewanie uwolnił Shana od smutku. Po raz pierwszy od lat przypomniał sobie, jak pewnego dnia szedł z ojcem przez bambusowy zagajnik - siąpił deszcz, ojciec nawoływał ptaki, słychać było śmiech świerszcza. Stał tak długo bez ruchu, obawiając się, że spłoszy wspomnienie ojca.

W końcu wrócił do kuchni i zaczął szperać po szufladach i szafkach. W rogu blatu zauważył białe plastikowe pudełko z kablem. Z umieszczonej na nim małej etykiety wyczytał, że to otwieracz do konserw. Spróbował sobie wyobrazić, jak działa to urządzenie, zdziwiony, że ktoś uznał je za potrzebne. Wkrótce znalazł czystą kartkę papieru, gruby czarny pisak, zapalki i ogarek woskowej świeczki. Zabrał je na zewnątrz, po czym usiadł pod ścianą, pod osłoną daszku, zapalił świeczkę i zaczął pisać śmiałymi, płynnymi ideogramami:

W kubie śpiewał świerszcz, przebijając się przez mój smutek. Oniemiałem z wrażenia. Dziękuję ci, ojcze, że nauczyłeś mnie słuchać.

Złożył kartkę, napisał na niej imię ojca, w górnym rogu nabazgrał po angielsku *Seattle*, a następnie podpalił ją świecą i wrzucił do pustej glinianej doniczki. Przyglądał się, jak popioły unoszą się w mgłę. Jego pocztówka z Ameryki.

Dużo później wszedł po omacku na piętro i stał już na progu swej sypialni, gdy spostrzegł, że drzwi na końcu korytarza, za sypialnią Corbetta, są lekko uchylone. Czując lekkie wyrzuty sumienia, podszedł do nich i pchnął je na oścież. Poczł nie znany mu zapach. Włączył światło. Pośrodku pokoju stały sztalugi z nie ukończoną akwarelą. Na stole obok sztalug leżał szkic obrazu: smagana wiatrem kamienna budowla na szczycie góry, a nad nią sznur łopoczących flag modlitewnych. Corbett znów chwycił za pędzel.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Shan siedział na stopniach ganku, patrząc na kwiaty, obserwując mieszkańców okolicznych domów, kiedy usłyszał, że Corbett schodzi do kuchni. Siedział tak od świtu, nie mogąc spać, i przyglądał się wszystkiemu, często niezupełnie rozumiejąc, co widzi. Z mgły wynurzyła się wolno biała, pękata ciężarówka, do której mężczyźni w kombinezonach wrzucali zawartość plastikowych kubłów na śmieci. Kilka osób w bardzo krótkich szortach i czapkach przebiegło pędem w strugach deszczu. Nie mógł pojąć, dokąd ci ludzie biegną ani

co zamierzają robić, gdy dotrą do celu. Ulicą przejechała furgonetka z wymalowaną na boku wielką enigmatyczną wiadomością: PRAKTYCZNIE Z DNIA NA DZIEŃ.

Jego myśli uparcie odpływały w stronę innego świtu, w kraju odległym o tysiące kilometrów, gdzie Surya i jego nowi towarzysze zbierali ludzkie odchody, pustelnicy z Yerpy recytowali mantry w sali oświetlonej lampkami maślanymi, a Ko prawdopodobnie spał zakuty w kajdany, śniąc koszmary o ludziach z nagimi kośćmi dłoni. Dotarło do niego, że Corbett rozmawia przez telefon, często wypowiadając nazwisko Bailey'a, z emocją to narastającą, to opadającą jak przyływ i odpływ morza. Shan cicho wszedł do domu i usiadł w wielkim fotelu, a Corbett, nie przerywając rozmowy, podał mu banana.

Pięć minut później Amerykanin odłożył słuchawkę i podszedł do drzwi, kiwając na Shana. Wsiedli do samochodu i pojechali przez most, a następnie krętą szosą między potężnymi wiecznie zielonymi drzewami.

- Bailey mówi, że towarzystwo ubezpieczeniowe jest gotowe wypłacić Dolanowi pieniądze - powiedział monotonnym głosem Corbett. - Niech go pan nie naciska. Był na nogach przez całą noc - uprzedził, zjeżdżając na żwirową alejkę.

Znajdowali się przed starym, właśnie odnawianym budynkiem o jednej ścianie obitej świeżo pomalowanymi deskami, a innej pokrytej czymś, co wyglądało jak czarny papier. Bailey czekał na nich w wolno stojącej szopie przerobionej na mały garaż. Przez otwarte drzwi szopy widać było stojący pośrodku długi stół, na którym rozłożono rozmaite przedmioty: zniszczoną przez wodę książkę w miękkiej oprawie, trochę brudnych ubrań, kilka złożonych papierów, zerwany naszyjnik, parę małych butów oraz rower z pociętą ramą i zwichrowanym przednim kołem. Na końcu blatu Shan dostrzegł lupy, buteleczki z jakimiś chemikaliami i kilka delikatnych pędzli.

- Kompletnie nic - oznajmił Bailey bez słowa powitania. - Sam już nie wiem, ile razy oglądałem każdą rzecz. Wczoraj wieczorem, zanim zrobiło się ciemno, zszedłem pod pierwszy most w nadziei, że znajdę jakiś ślad, że ona tam była. Nic. Przyływ zrobił swoje. Minęło już parę tygodni.

Shan podszedł do stołu. Do jednego z butów przylepiony był wyschnięty i pomarszczony kawałek wodorostu.

- Policja wciąż twierdzi, że dziewczyna zbyt szybko wjechała na most - ciągnął Bailey - trafiła w kałużę, uderzyła w niski murek i siłą rozpędu przeleciała razem z rowerem na drugą stronę.

Corbett podniósł medalion na srebrnym łańcuszku, otwarty, tak że widać było znajdujące się w środku zdjęcie starszej kobiety. Pokazał go Shanowi.

- Ale to zostało znalezione w wodorostach po przeciwnej stronie mostu - powiedział. - Ich raport tego nie wyjaśnia. Dlatego, że łańcuszek zerwał się, zanim on ją zrzucił. Może była krótka szamotanina. Wyrzucił to przy drugim moście, kiedy pozbywał się roweru.

Shan rozejrzał się po stole, potem po garażu.

- Policja zakończyła już pracę? - Dowody powinny znajdować się w laboratorium policji albo FBI.

- Sprawa została zamknięta - odparł Corbett. - Śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Wszystko wyjaśnione. Te rzeczy mają być odesłane jej rodzicom.

- Wczoraj sprawdziliśmy, kto w okolicy wynajmował jakiś Magazyn - powiedział Bailey. - Szukaliśmy jakiegokolwiek umowy zawartej na nazwisko Dolana, McDowell albo Lodiego. Nic. Jeszcze raz obdzwoniliśmy handlarzy antykami. Ani jeden przedmiot z kolekcji Dolana nie pojawił się na północnym zachodzie. To ślepy zaułek, szefie. A ja jestem wykończony. - Podał Corbettowi kartkę papieru z rysunkiem i ruszył w stronę domu. Corbett pomachał do jego pleców.

Wrócili do samochodu i po dziesięciu minutach jazdy wysiedli przy cmentarzu. Corbett, studiując rysunek Bailey'a, poprowadził Shana między rzędami mokrych kamiennych płyt i ociekających wodą iglaków.

- Oni zostają w tych grobach? - zapytał Shan. Niektóre nagrobki wyglądały na bardzo stare.

Corbett spojrzał na niego zmęczonym, lekko zdziwionym wzrokiem i Shan uświadomił sobie, że Amerykanin musiał to uznać za kiepski żart. Ale w chińskich miastach tylko bardzo bogaci lub sławni ludzie mieli stałe groby. Jeśli rodzina zmarłego w ogóle mogła sobie pozwolić na pochówek, ciało było składane w ziemi jedynie na cztery lub pięć lat, na okres żałoby, po czym ekshumowano je i kremowano, żeby zrobić miejsce dla kolejnych zmarłych.

Po kwadransie odnaleźli właściwy grób, oznaczony zaskakująco wielkim kamieniem z wrytym na obrzeżu wymyślnym wzorem w ptaki i kwiaty oraz wykutym ozdobnymi literami nazwiskiem Abigail Morgan.

- Dolan upierał się, że za to zapłaci - mruknął Corbett. Wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot i położył go na kamiennej płycie.

Shan spojrzał na to z niedowierzaniem, przeniósł wzrok na poważną twarz Corbetta i podszedł do kamienia nagrobnego. Leżała na nim tsa-tsa, gliniany wizerunek Tary opiekunki przypominający te, które Amerykanin widział na ołtarzu pod podobizną Lodiego.

Gdy Corbett stał przy grobie z mieszaniną smutku i gniewu na twarzy, Shan rozejrział się dookoła i zaczął zbierać kamienie. Położył przed grobem kilka ich warstw, nim Corbett spostrzegł, co on robi, i przyłączył się do niego. Gdy na wysokości niemal sześćdziesięciu centymetrów zwieńczyli kopczyk pojedynczym kamieniem, Shan spojrział na Amerykanina.

- Ma pan czystą chusteczkę? - zapytał.

Corbett skinął głową i podał mu chustkę, a Shan wziął jeszcze od niego długopis i dziesięć razy wypisał na niej mantrę mani, po czym przycisnął ją górnym kamieniem.

- Każde poruszenie się chustki na wietrze to odmówiona modlitwa - wyjaśnił.

Corbett otworzył usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle odezwał się jego telefon komórkowy. Zawahał się, ale z niechętną miną wyciągnął go z kieszeni.

- Corbett - warknął, a po chwili: - Tak, szefie. Słuchał przez dłuższą chwilę z ogniem w oczach.

- Zupełnie o niej zapomniałem - powiedział w końcu. - O ile sobie przypominam, kazał pan zamknąć tę sprawę. - Znów zamilkł. - Tak jest - rzucił nagle. - Nowa sprawa. Kradzież dzieł sztuki w Boise. Bierzemy się do roboty. - Znów schował telefon do kieszeni. - Jest pan gotów, inspektorze Shan? - zapytał z wilczym uśmiechem.

Przy bramie wjazdowej nie było żadnego strażnika, jedynie kamera wideo i głośnik w małej skrzyneczce wmurowanej w ceglany słupek. Shan, siedzący za kierownicą, odkąd pięćdziesiąt metrów wcześniej zamienili się z Corbettem miejscami, odezwał się cicho do skrzynki, Amerykanin zaś odwrócił twarz od kamery. Czekali minutę, dwie, ale w końcu ciężka żelazna brama zaskrzypiała i zaczęła się rozsuwać, tocząc się po wpuszczonej w bruk prowadnicy.

Gdyby Shan nie widział go wcześniej na zdjęciu, nigdy nie rozpoznałby Dolana wśród grupy mężczyzn stojących w ogromnym frontowym oknie. Miliarder był niski, nieproporcjonalnie zbudowany, a jego opalona twarz sportowca dziwnie klóciła się z krępa sylwetką. Był młodszy, niż Shan się spodziewał. Na jego starannie przystrzyżonych brązowych włosach znać było jedynie kilka nitki siwizny. Shan spodziewał się też, że gospodarz będzie zniecierpliwiony, a nawet rozdrażniony, lecz Dolan, gdy tylko odprawił całe towarzystwo, opadł na jeden ze skórzanych foteli i uśmiechnął się uprzejmie.

- Musicie sobie panowie wyobrazić, jak byłem zaskoczony, Sdy się dowiedziałem, że mój stary przyjaciel dyrektor Ming przysłał mi prezent - odezwał się, podkreślając te słowa uniesieniem brwi. - Jestem zaintrygowany. Jak się ma kochany dyrektor?

- Ciężko pracuje - odparł Corbett.

Oczy Dolana były szare, upstrzone ciemniejszymi plamkami, jak brudny lód. Przez chwilę z uwagą przyglądały się Corbettowi, a następnie spoczęły na Shanie.

- Pan musi być tym chińskim gliniarzem. Nei hou tongzhi - pozdrowił go po mandaryńsku. Jak się macie, towarzyszu.

Shan nie odpowiedział. Bez słowa sięgnął do papierowej torebki, wyciągnął z niej małe pudełko i położył je na niskim stoliku przed Dolanem. Miliarder przyglądał mu się przez chwilę bez ruchu, po czym znów spojrzał na Corbetta.

- Nie miałem jeszcze okazji zadzwonić do pańskich szefów, agencie Corbett. Zrobię to. Mówiłem panu, że FBI nie ma tu już nic do roboty.

Corbett odwzajemnił jego nieruchome spojrzenie.

- Ale ja nic tu nie robię. Polecono mi towarzyszyć naszemu chińskiemu gościowi. A przy okazji, mój szef wspominał coś na temat sprawdzenia Adriana Crofta. Zna go pan?

Kiedy Dolan wykrzywił usta, Shan pomyślał, że przypomina pułkownika Tana.

- Nie ma żadnego pana Crofta, Corbett. Ale pan, oczywiście, już o tym wie. Wygodna fikcja - dodał beznamiętnie. - Zalecili to moi ochroniarze. Trochę ostrożności nigdy nie zawadzi. To żadne przestępstwo. - Pochylił się i oparł dłonie na blacie po obu stronach pudełka. - Jest zaadresowane do Adriana Crofta - zauważył. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się cień zniecierpliwienia.

- Odrobina ostrożności ze strony dyrektora Minga - skłamał Corbett.

Dolan zerknął podejrzliwie na niego i Shana, ale nie zdołał opanować ciekawości i otworzył pudełko. Gdy zdjął pokrywkę i odgarnął wyściółkę, znieruchomiał, marszcząc czoło. Jego twarz straciła na chwilę wszelki wyraz. Wreszcie wyjął z pudełka piękną, liczącą czterysta lat figurkę bodhisattwy z mieczem i kwiatem lotosu, której oryginał został zniszczony przez Lu i Khana. Westchnął i w milczeniu przyjrzał się swym gościom.

- Bez wątplenia pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe ucieszy się, gdy o tym usłyszy - stwierdził Corbett.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł gniewnie Dolan. - Gdyby przejrzał pan listę skradzionych obiektów, wiedziałby pan, że tego wśród nich nie było.

Corbett podniósł małą, haftowaną w kwiaty poduszkę i utkwiał w niej wzrok.

- Od lat zajmujemy się kradzieżami dzieł sztuki i nauczyliśmy się sprawdzać wszystko - powiedział. - Właściciele dużych zbiorów bywają zapominalscy, a ich zapiski niekompletne. W zeszłym roku pańska żona pochwaliła się pana kolekcją. W czasopiśmie ukazały się zdjęcia, między innymi tego obiektu. I, prawdę mówiąc, kilkunastu innych eksponatów nie

wymienionych w pańskim inwentarzu, panie Dolan. Ekspонатów klasy muzealnej - dodał znacząco.

- Sprzedałem je.

- Świetnie. W takim razie powinien pan mieć dokumentację tych transakcji. Towarzystwo ubezpieczeniowe będzie chciało ją obejrzeć. Wysłaliśmy im zdjęcia, żeby mieli kompletne informacje.

W oczach Dolana nie zapłonął zwykły gniew, ale coś dzikiego, niemal krwiożerczego.

- Zniszczę pana, Corbett. Otwarcie ignoruje pan polecenia przełożonych.

- Mam zdjęcia tych samych obiektów w zbiorach muzeum, opublikowane w tym samym miesiącu co czasopismo, które pokazało je tutaj. Mam nawet pisemne zeznania tybetańskich artystów, którzy wykonywali falsyfikaty dla pana i Minga - skłamał.

Dolan zacisnął pięści.

- To wystarczy - ciągnął Corbett - żeby uchronić mój tyłek. To wystarczy, żeby towarzystwo ubezpieczeniowe wznowiło dochodzenie. Wyłudzenie ubezpieczenia jest poważnym Przystępstwem.

- To nie miało nic wspólnego z ubezpieczeniem - warknął Dolan.

- Byłoby to poniżające dla nas wszystkich - zgodził się Corbett - ale myślę, że oszustwo ubezpieczeniowe jest lepsze niż nic.

- Wie pan, ilu mam adwokatów? Nie zaprzętałm sobie głowy nawiedzonymi biurokratami. - Dolan wstał, podszedł do narożnej szafki i wyciągnął butelkę whisky. - Gdzie jest Ming? - zapytał spokojnie, napełniając sobie szklanę.

- W Lhadrung - odparł Shan. - Udziela wywiadów telewizji, przyjmuje telefony z gratulacjami z Pekinu. Odkrył poszukiwany od wieków grób ambana.

Dolan sprawiał wrażenie rozbawionego tą wiadomością.

- Nowy eksponat do mojego nowego skrzydła pekińskiego muzeum - zauważył z lodowatym uśmiechem i osuszył szklanę. - Dziękuję, że przywiózł mi pan od niego ten prezent. - Odstawił szklanę i wskazał drzwi. - A teraz jestem zajęty.

- W Lhadrung odkryto coś jeszcze - mruknął Shan, wstając, na tyle głośno, żeby Dolan to usłyszał. - Starą thankę.

Miliarder drgnął, po czym nalał sobie następną whisky i wrócił do stolika. Usiadł i wziął do ręki posążek.

- Kolekcjonując dzieła sztuki przez tyle lat, zrozumiałem, czym jest piękno - powiedział do małej figurki. - Chodzi o unikatowość. Jeśli ma się jedyny istniejący egzemplarz czegokolwiek, jest on piękny bez względu na to, co to takiego. To prawda - rzekł

z naciskiem, najwyraźniej nie spodziewając się po nich, że zrozumieją. - Weźcie Rembrandta albo wazę z czasów dynastii Tang. Gdyby każdy je miał, nie byłyby piękne, byłyby zwykłymi domowymi rupieciami, jak łyżka albo butelka.

- Zasmuca mnie to - stwierdził Shan.

Dolan spojrział na niego gniewnie, jakby odebrał tę uwagę jako afront.

- Co to za thanką? - zapytał opryskliwie.

Shan powoli wyciągnął z torby płócienny worek, wyjął z niego przedartą thankę i rozwinął ją na stole.

Przez chwilę Dolan wyglądał tak, jak gdyby wszystko poza tym starym, postrzępionym kawałkiem płótna przestało dla niego istnieć. Podeszedł do thanki i przyjrzał jej się dokładnie. Jego oczy rozblęły niezwykłym podnieceniem.

- Chodźmy do biblioteki - powiedział, wskazując sąsiedni pokój. - Tam jest lepszy stół. - Podniósł thankę i już po chwili rozłożył ją na szerokim stole z ciemnego drewna stojącym na środku pełnego regałów pomieszczenia. Przesunął nad malowidłem lampę na giętkim wisielniku i nagle się zawahał.

- Zamówię kawę - powiedział i wyszedł. Niecałą minutę później był już z powrotem. - Takie rzeczy pojawiają się od czasu do czasu - stwierdził lekceważąco. - Śmieci z odległych epok. Ta wygląda na autentyczną, widać, że jest dość stara. Ale zniszczona. Bez większej wartości. Są historycy, którzy wykorzystują takie fragmenty do badań. Mogę dać panu sto dolarów za pańskie trudy i dopilnować, żeby thanką trafiła we właściwe ręce.

Gdy to mówił, do pokoju weszła kobieta w szaro-białym uniformie, niosąc tacę z filiżankami kawy i talerzem herbatników. Dolan umilkł, czekając, aż pokojówka naleje kawę. Gdy podawał Shanowi jedną z filiżanek, za domem rozległo się kilka małych eksplozji. Kobieta jęknęła przerażona i wybiegła. Dolan odstawił filiżankę i ruszył za nią.

- Ktoś strzela! - krzyknął Corbett i zniknął za drzwiami. Shan wypadł z biblioteki tuż za nim.

Popędzili przez obszerną kuchnię ku drzwiom na tyłach domu. Dolan stał na trawniku i wrzeszczał na jakiegoś człowieka ze śrutówką w ręce. Wiewiórki, wyjaśnił, gdy do niego podeszli. Ogrodnik wydał bitwę wiewiórkom, które wciąż kradły orzechy z jakiegoś egzotycznego drzewa.

Kiedy wrócili do biblioteki, thanką leżała tak, jak ją zostawili. Pokojówka czyściła dywan, na który wylała się kawa. W drzwiach na drugim końcu pokoju stał mężczyzna z brązową brodą, ubrany w granatową sportową marynarkę. Skinął głową Dolanowi.

- Sto dolarów - zwrócił się Dolan do Shana. - Jak powiedziałem, mogę dać panu sto dolarów za fatygę i dopilnować, żeby ten strzep trafił do rąk jakiegoś uczonego.

Shan zaczął zwijać malowidło.

- Znam uczonych w Tybecie - powiedział.

Dolan chwycił go za ramię. Shan spojrzał mu w oczy, które znów płonęły dziko.

- Obecność mnichów mnie nie powstrzyma. Myślałem, że już to udowodniliśmy - warknął miliarder.

- Nie powstrzyma pana przed czym? - zapytał Shan.

- Przed wciśnięciem właściwych przycisków - odparł Dolan, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- To była zmyłka - powiedział Corbett, gdy wsiadali do samochodu. - Wystrzały miały odwrócić naszą uwagę - wyjaśnił. - Ale po co? Nie zabrał thanks.

Shan nie odrywał wzroku od budynku. Przebiegł go dreszcz. Z jakiegoś powodu czuł się zbrukany.

- Dolan kazał ją sfotografować - stwierdził. - Dlatego położył ją na tym stole, pod tą jasną lampą. Zdjęcie musiał zrobić ten człowiek w granatowej marynarce.

Zaparkowali na poboczu niedaleko od bramy. Po czterdziestu pięciu minutach z posesji wyjechał kolejny pojazd. Za kierownicą siedział mężczyzna w granatowej marynarce. Corbett wyskoczył z samochodu, machając swym identyfikatorem, i zamieniwszy z mężczyzną parę słów, usiadł z powrotem obok Shana.

- Przy drodze jest mała restauracja. Będzie tam na nas czekał.

Mała restauracja okazała się dawną stacją benzynową. Oplecione zielenią dystrybutory wciąż stały na wysepkach. Nieznajomy nerwowo uniósł wzrok, gdy Shan i Corbett dosiedli się do jego stolika.

- Chcę wiedzieć, co robił pan w bibliotece - oświadczył bez wstępów Corbett.

Ale mężczyzna zaprzeczył, jakoby w ogóle postawił nogę w tym pokoju.

- Przyjechałem do Dolana w sprawie remontu. - Urwał, przyglądając się Corbettowi, i wyjrzał przez okno. Wzruszył ramionami. - Ktoś minął mnie na korytarzu, gdy szedłem do biblioteki. Chłopak w białym kombinezonie, jeden z tych, którzy pracują u niego przy konserwacji dzieł sztuki. Nie widziałem, co robił.

Corbett utkwiał w nim oskarżycielskie spojrzenie.

- Miał aparat fotograficzny?

Mężczyzna skinął głową i wyciągnął wizytówkę. Corbett rzucił na nią okiem i podał ją Shanowi. Wyczytali z niej, że nieznajomy jest kierownikiem biura projektów architektonicznych.

- Wprowadzamy zmiany w projektach dla pana Dolana.

- Jakiego rodzaju zmiany? - zapytał Shan. Mężczyzna skrzywił się.

- On bardzo upiera się przy dyskrecji. Zastrzega to sobie we wszystkich kontraktach.

Corbett wyciągnął małe skórzane etui z legitymacją służbową i położył je przed nim na stole.

- Ja też potrafię być uparty. Jakiego rodzaju zmiany? Mężczyzna rozejrzał się nerwowo po knajpcie.

- Wie pan, on wciąż coś przerabia. W jednym skrzydle domu ma prywatne muzeum. Współpracowaliśmy przy jego budowie. Teraz wprowadza tam przeróbki, to wszystko. Lepsze zabezpieczenia, tego rodzaju sprawy. Wszyscy wiedzą, że go okradziono.

Corbett westchnął zniechęcony i schował legitymację do kieszeni.

- Chcę mieć nazwiska tych konserwatorów dzieł sztuki.

- Nie znam ich.

Corbett poruszył się na krześle, jakby miał zamiar wstać.

- Na czym polegają te przeróbki w muzeum? - zapytał Shan.

- Na środku ma być jadalnia, ze względów bezpieczeństwa otoczona dodatkową grubą ścianą, a zaraz obok ma być kuchnia z windą do transportu dań, łączącą jadalnię z piwnicą. Garderoba, żeby kelnerki miały się gdzie przebierać w chińskie stroje. Klimatyzowana szafa wnękowa do przechowywania strojów. Sypialnia umeblowana chińskimi antykami. On lubi zapraszać do muzeum przyjaciół, lubi żyć ze swą sztuką, ale teraz bardzo martwi się o bezpieczeństwo. Kto mógłby go winić?

- Jak wygląda ta jadalnia? - zapytał Shan. Mężczyzna spojrzął na niego.

- Nie widziałem pańskiej legitymacji. Dlaczego FBI interesuje się jadalnią Dolana?

- Jak wygląda ta jadalnia? - powtórzył Corbett. Mężczyzna zmarszczył brwi, lecz wziął serwetkę i narysował uproszczony schemat, duży prostokąt.

- To główna galeria - wyjaśnił, po czym dorysował na środku dwa następne prostokąty, jeden w drugim. - To ściana zabezpieczająca, a to jadalnia. Jadalnia ma dwoje drzwi - ciągnął, rysując dwie krótkie ukośne linie, pierwszą w połowie długości jednego z krótszych boków prostokąta, drugą w pobliżu przeciwległego końca jednej z dłuższych ścian.

- Cały pokój ma sześć metrów długości, cztery dwadzieścia szerokości. Mnóstwo nie malowanego drewna, mahoń i cedr. Żadnych kabli.

- Żadnych widocznych? - zapytał Corbett.

- Nie, w jadalni w ogóle nie ma być elektryczności. Dolan jest perfekcjonistą, jeśli chodzi o atmosferę, o autentyczność. Przypuszczam, że będzie używał świec, być może starych lamp naftowych.

Shan wyciągnął rękę i dotknął palcem blatu. Drżała mu dłoń. Po chwili poprosił mężczyznę o ołówek i zaczął uzupełniać jego schemat, wyjaśniając, co rysuje.

- Wbudowana gablota do eksponowania ceramiki na tym końcu - powiedział, kreśląc pudełkowaty kształt wzdłuż krótszej ściany bez drzwi. Naszkicował łuk na końcu prostokąta.

- Beczkowaty sufit, na nim namalowane niebo. - Dorysował małe kółka po bokach obu drzwi.

- Cztery cienkie kolumny lakierowane na czerwono.

Mężczyzna spojrział na niego z urażoną miną.

- Co to za gra? Po co pan pyta, skoro już pan wie? Tak, jasne. Ale gdyby Dolan pytał, proszę pamiętać, że ja nic nie powiedziałem. I skąd, u licha...?

Nie dokończył. Umilkł, zbity z tropu, widząc, jak Corbett nerwowo, z podnieceniem ściska ramię Shana, po czym chwyta serwetkę ze szkicem. Dolan budował replikę sali jadalnej Qian Longa.

Pięć minut później Corbett zatrzymał samochód tam, skąd poprzedniego dnia pokazywał Shanowi wysoki most, z którego została zrzucona dziewczyna. Bez słowa podszedł na skraj urwiska.

- Sukinsyn zabił ją, bo pożył malowidła, jakiego nie miałby nikt na świecie - odezwał się w końcu. - Pewnie chce się przebierać w szatę ze smokami i siadać na jakimś tronie w tej sali, chełpiąc się swoim imperium. A jeśli oficjalnie szepnę o tym choć słówko, malowidło zniknie na długie lata.

- Z pewnością FBI nie... - wtrącił Shan, ale Corbett nie zwrócił na to uwagi.

- Ale my wiemy, że to on razem z Mingiem zorganizował te kradzieże - ciągnął - a on wie, że my wiemy. Yao może popychać sprawę w Chinach. Ja mogę dostarczyć dowody wystarczające, żeby towarzystwo ubezpieczeniowe wstrzymało wypłatę i wszczęło dochodzenie w sprawie oszustwa. Wykończyć go.

Shan nie wierzył w to i wątpił, żeby sam Corbett w to wierzył.

- Proszę mi dać papier, który pozwoli mi wrócić - powiedział do Amerykanina.

- Nie ma mowy. Potrzebuję pana tutaj.

- Nie rozumie pan. Muszę być na miejscu, kiedy on się tam zjawi.

Amerykanin odwrócił się do niego.

- Kto się zjawi? Gdzie?

Shan odwzajemnił jego natarczywe spojrzenie.

- Muszę ostrzec ludzi z gór, zabrać Dawę, Lokesha i Liyę w jakieś bezpieczne miejsce. Dolan wybiera się do Lhadrung.

- Niemożliwe.

- Przepraszam - powiedział Shan.

- Za co?

- On już ma malowidło Qian Longa; trzyma je pewnie w jakiejś kryjówce. Teraz myśli tylko o tym, żeby zdobyć skarb ambana. Ludzie tego pokroju przeskakują od jednej obsesji do następnej. To było motorem wszystkich jego poczynań od czasu, gdy Lu i Khan odkryli ten tajny schowek w pałacyku cesarza. Ponieważ tylko jedna osoba na świecie może mieć skarb Qian Longa, który jest otoczony wielką tajemnicą, stary i mocno związany z cesarzem. Dolan nigdy w życiu nie mógłby liczyć na drugą taką szansę.

- Ale nie wie, gdzie jest ten skarb.

- Teraz już wie. Powiedziałem mu. Wie, że to, iż przywiozłem thankę z Lhadrung, oznacza, że amban nigdy nie opuścił swej gompy. Bo nie opuściła jej jego połowa thanki. Mógł się tego domyślać, ale Lu i Khan nie wiedzą dokładnie, gdzie szukać, nie mają pewności, że skarb istotnie jest w Zhoce. Dolan sam nie był pewien, gdzie szukać. To dlatego wspierał Minga i jego badania terenowe, nawet te w północnych prowincjach. Amban ani razu nie wymienił nazwy swej gompy, żeby nie narazić na szwank jej tajemnic. Ale kiedy Dolan odczyta znaki na swych fotografiach, te na odwrocie thanki, będzie wiedział.

- Jake znaki? Nigdy pan nie wspomniał o żadnych znakach na odwrocie.

- Odciski dłoni. W ich obrębie były bardzo delikatne linie nakreślone węglem, fragmenty nie dokończonych mapy, która miała mieć dalszy ciąg na drugiej połowie thanki, co razem dawałoby rozwiązanie łamigłówki ambana. Ale jego choroba zmieniła wszystko. Kazał zawieźć się na północ, żeby zainscenizować swe zabójstwo i zapobiec poszukiwaniom w Lhadrung, ale potem wrócił do Zhoki. Nigdy nie wysłał skarbu, bo umarł. Wzdłuż jednego z kciuków amban wypisał po tybetańsku drobnymi literkami, ginącymi w nierównościach tkaniny, że przeprasza cesarza, ale udał się do Zhoki, by zamieszkać wśród skarbów niebios.

Corbett przyglądał mu się z niedowierzaniem. Po chwili przeniósł wzrok na czarną wodę w dole.

- Dawno pan o tym wiedział, do diabła - powiedział beznamiętnie. - To dlatego tak łatwo zgodził się pan przyjechać tu ze mną. Żeby zastawić pułapkę.

- Wie pan, że w Ameryce Dolan nigdy nie dostanie tego, na co zasłużył.

- Niech pana diabli. Zaplanował pan to. - Jego początkowe zakłopotanie ustąpiło przed gniewem. Po chwili zaniósł się głuchym śmiechem. Wreszcie ucichł i obaj przyglądali się, jak fala przypływu wdziera się w wąski kanał.

- Jeśli w Ameryce nie ma szans, żeby dostał to, na co zasłużył, w Chinach jest to jeszcze mniej prawdopodobne - odezwał się w końcu Corbett.

- On nie jedzie do Chin - odparł Shan. - On jedzie do Tybetu.

Corbett spojrział na niego, jakby nie był pewien, czy się nie przesłyszał, po czym pochylił się, zerwał różowy kwiatek, który rósł tuż obok jego nogi, i rzucił go do wody.

Cztery godziny później, siedząc obok Corbetta, Shan patrzył przez okno, jak ich samolot wzlatuje w nisko wiszące chmury. Ziewnął. Przez cały czas pobytu w Ameryce spał może sześć godzin i ani razu nie widział słońca.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wjeżdżając o brzasku do doliny Lhadrung, Shan, który przespał niemal całą podróż powrotną, odniósł wrażenie, że otwiera się przed nim jakiś bayal, jedna z ukrytych krain. Świt otulił dolinę różowozłotą mgiełką, światła odległego miasta skrzyły się jak klejnoty, ciemne sylwetki gór wyglądały jak wartownicy chroniący ją przed całym światem. Shan marzył o tym, żeby się zatrzymać, utrwalić ten obraz w umyśle, gdyż wkrótce wszędzie oślepiające słońce i znajdzie się nie w tajemnej świętej krainie, lecz na suchej, pylistej ziemi, stanie naprzeciw tyranów, złodziei i morderców, będzie patrzył na wynędzniałe twarze Tybetańczyków.

Ale coś w mieście uległo zmianie. Gdy dotarli na peryferia, zobaczył, że chłopcy bawiący się w wyschniętym łożysku rzeki mają na sobie śnieżnobiałe koszulki i kopią nowiutką piłkę. Przed sklepami za pierwszą przecznicą biegał uśmiechnięty nastolatek, trzymając nad głową mały srebrny samolot. Na placu przed siedzibą władz okręgu jakieś kobiety obracały w dłoniach nowe, błyszczące łańcuszki do kluczy, najwyraźniej nie mogąc się nimi nacieszyć, a obok stary człowiek obserwował chłopca bawiącego się helikopterem zabawką na uwięzi, który sam unosił się w powietrze.

Spostrzegłszy znajomą twarz, Shan dał Corbettowi znak, żeby zatrzymał samochód, i wyskoczył na ulicę.

- Tashi! - zawołał, kładąc dłoń na ramieniu donosiciela. - Co się stało?!

Tashi nie zwrócił na niego uwagi, dopóki Shan nie powtórzył pytania.

- Ten słynny Amerykanin - powiedział z niedowierzaniem - stanął na schodach, oparł rękę na głowie Mao i wygłosił mowę o tym, jak wspaniali są ludzie z Lhadrung, a potem zaczął rozdawać prezenty z toreb. Jego kierowca, Chińczyk, powiedział mi, że na lotnisku Amerykanin wykupił cały sklep z upominkami. Po prostu kazał załadować do toreb wszystko, co było na półkach. Przyleciał własnym odrzutowcem.

Shan gapił się na donosiciela, nie wierząc własnym uszom. Dolan dotarł do Tybetu wcześniej niż oni.

- Amerykanin powiedział, że jest świętym Mikołajem, ale nikt nie wiedział, o co mu chodzi. To wariat. Przyszli żołnierze, żeby przegonić go ze schodów, a on im też dał prezenty. Kiedy skończyło mu się to, co miał w torbach, zaczął rozdawać amerykańskie pieniądze. - Tashi wyciągnął z kieszeni banknot dolarowy i pomachał nim jak chorągiewką.

- Co ty tu robisz? - zapytał Shan, rozglądając się po placu. Donosiciel mógł wypatrywać Suryi, purbów, mógł też szukać informacji o ukrytych zabytkach.

- Co ty tu robisz? - odparł z niechęcią Tashi, zerkając w stronę górnych pięter siedziby miejscowych władz. Może on, pomyślał Shan, szukał mnie?

- Co z więźniami? - zapytał.

- Wciąż pracują pod urwiskami w głębi doliny - powiedział Tashi. - Ludzie mówią, że Budda z Gór wędruje po wzgórzach. Ktoś włamał się do szopy z narzędziami koło szkoły. Skradziono liny - relacjonował zaintrygowany. - Ming zapłacił jednemu z młodych pasterzy za informacje o miejscach, w których mógłby być ukryty duży posąg. - Spojrzał na Shana pustymi oczyma. - Boję się.

Shan patrzył na niego tak długo, aż informator spuścił wzrok.

- Tashi - powiedział - ja też coś ci dam, coś, czego być może nie dał ci nikt od wielu lat. - Donosiciel oderwał spojrzenie od ziemi. - W tym, co mówisz, nigdy nie ma nic z ciebie. Ty tylko powtarzasz, co mówią inni. Ale możesz to zmienić, od zaraz. Bo chcę cię obdarzyć zaufaniem. Chcę ci opowiedzieć o pewnych sprawach i poprosić cię, żebyś skłamała, by pomóc Tybetańczykom z gór.

Tashi spojrzał na Shana ze smutkiem, ale nie odezwał się słowem. Shan mówił dalej, przez pięć minut pospiesznie coś do niego szepcząc. Gdy skończył, Tashi odwrócił wzrok od jego oczu i spojrzał na amerykański banknot. Wskazał palcem piramidę na rewersie.

- Spójrz na to. Dlaczego Amerykanie mają świątynię na swoich pieniądzach?

- Amerykanin, który ci to dał, kazał zabić Punji McDowell.

Tashi pochylił głowę nad banknotem i zasłonił usta, jak gdyby nagle zaczęło mu zależeć, by nikt się nie zorientował, że rozmawia z Shanem.

- Pogłoski o jej śmierci nie zostały oficjalnie potwierdzone. - Zerknął znacząco na Shana.

Było to ostrzeżenie. Yao poinformował Pekin, co się wydarzyło w Zhoce, jednak władze nie pozwoliły, żeby jego raport został włączony do akt sprawy.

- Dziadek opowiadał mi o księżętach z obcych krajów, którzy przybywali do Tybetu po narzeczoną, po uczonego lamę, po specjalny czar. - Tashi zwracał się teraz do długowłosego mężczyzny na banknocie. - Gdziekolwiek się skierowali, szło za nimi zniszczenie, ale zawsze odchodzili, gdy już znaleźli to, po co przybyli.

- Jak się ma twoja matka, Tashi? - zapytał Shan. Donosiciel westchnął ciężko i nachyliwszy się nad banknotem, szepnął do wydrukowanego na nim mężczyzny:

- On ma mały pistolet przytroczony do kostki. Kierowca widział go, kiedy robił coś przy samochodzie.

Gdy pół godziny później dotarli do zajazdu, stały przed nim dwie nowe terenówki, lśniące białe landcruisery, jakie można było wynająć na lotnisku w Lhasie. Shan wolno wszedł za Corbettem przez bramę, zaskoczony tym, że jest tak podenerwowany. W środku czeka na nich Yao, powiedział mu Corbett, i muszą z nim omówić to, co się stało w Seattle. Ale Shan przystanął w cieniu muru, rozglądając się po wewnętrznym dziedzińcu.

Patroszenie figur ołtarzowych najwyraźniej dobiegało końca. Już tylko troje pracowników Minga siedziało przy stole z desek, obok niewielkiego stosu posążków, ospale rozpruwając je szczypcami i stalowymi dłutami. W beczce na drugim końcu dziedzińca jak poprzednio płonął ogień, na pobliskiej ławce siedział jakiś żołnierz. Sześć metrów od beczki czterech Tybetańczyków sortowało odpady, które nie nadawały się do spalania: metal odkładali do pojemników na surowce wtórne, a potłuczoną ceramikę rzucali na stos pod murem, gdzie człowiek z młotem rozbijał ją na drobne kawałki.

Shan, wciąż stojąc w cieniu, zamarł. Zorientował się, co go tu tak niepokoiło. Nigdzie nie widział Ko. Nagle człowiek z młotem odwrócił się i Shan zobaczył, kto to taki. Jego syn rozbijał ceramiczne zabytki. Ale na twarzy Ko nie było szyderczego uśmiešku, w jego oczach nie było drwiny z Tybetańczyków. Pracował z poważną, niemal gniewną miną, unosząc i opuszczając młot w miarowym, wprawnym rytmie. Rytmie więźnia z obozu pracy.

Gdy Corbett wszedł w płamę słońca przed budynkiem, żołnierz wstał i obciągnął mundur. Zwróciło to uwagę Ko. Chłopak opuścił młot i odwróciwszy się, zobaczył Amerykanina. Zrobił krok naprzód, wpatrując się w cień pod murem, gdzie stał jego ojciec. Gdy Shan wyszedł na środek dziedzińca, Ko przez chwilę patrzył mu w oczy, bez emocji, bez

jakiegokolwiek powitalnego gestu, po czym opuścił wzrok na skorupy i znów zamachnął się młotem.

Kiedy Shan podszedł do niego, Ko schował młot za plecami, jakby się go wstydził.

- Yao mówił, że pojechałeś na drugi koniec świata. Do Ameryki - powiedział, patrząc na okruchy u swoich stóp.

- Na krótko.

- Dlaczego wróciłeś? - zapytał chłopak, jakby nie potrafił tego pojąć.

Shan podszedł jeszcze o krok. Stał teraz zaledwie na wyciągnięte ramię od syna.

- Wciąż padał deszcz. - Sięgnął do kieszeni i wyjął rolkę dropsów oraz baton czekoladowy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego słowa więźną mu w gardle. - Przywiozłem to dla ciebie, ze Stanów.

Gdy Ko spojrział na cukierki, jego twarz nagle się ożywiła.

- Już myślałem, że zabiorą mnie z powrotem. Ale potem wrócił Yao i powstrzymał ich. - Chłopak zaczął skubać odcisk na dłoni. - Kiedyś w święto państwowe - powiedział nagle - do naszego obozu wpuszczono gości z rodziny. Niektórzy przynieśli cukierki dla swoich mężów, synów i ojców. - Uniósł wzrok i powoli wziął słodycze z dłoni Shana. - Cukierki to dobry prezent dla więźnia. - Wzruszył ramionami i odgarnął z twarzy długie włosy.

Obaj utkwili wzrok w leżących na ziemi skorupach. Shan gorączkowo szukał słów, jakichkolwiek. Rozmawiał z synem.

- Masz się dobrze, Xiao Ko? - wydukał i natychmiast złąził się za to w duchu. Jego syn nie znosił tego pieszczotliwego zwrotu.

Zrobił pół kroku w stronę chłopaka i skorupy zachrzęściły mu pod nogami. Odłamał głowę małego glinianego Buddy.

- Jeden z tych Tybetańczyków powiedział mi, że kiedy z tych figurek wyjmie się modlitwy, one znów stają się zwykłymi przedmiotami - odezwał się Ko - i nie ma znaczenia, co się z nimi dzieje. - Gdy ojciec spojrział na niego zaskoczony, Ko skrzywił się, jakby żałował, że to powiedział.

Shan pochylił się, na powrót osadził głowę na tułowiu Buddy i oparł figurkę o mur. Gdy to robił, Ko znów zamachnął się młotem.

- To tylko glina - powiedział. - Brudna, stara glina. Kiedy skończę, mam wynieść wszystkie okruchy na parking i zagrabić je razem ze żwirem.

- Wracamy w góry, Ko - oznajmił Shan. - Chcę, żebyś poszedł z nami.

Chłopak spojrział na niego niepewnie.

- Ale nie do środka tej góry - odparł z niepokojem.

- Obawiam się, że tak - rzekł Shan. - Musisz mi obiecać, że nie będziesz próbował uciec. Nie będzie żadnych żołnierzy. Tylko Yao, Corbett i ja.

Ko zacisnął ręce na trzonku młota i zaczął je wykręcać w nadgarstkach.

- Pamiętasz jej twarz, kiedy ten człowiek, Khan, niósł ją na rękach? Patrzyła na nas jak dziecko, nie rozumiejąc, że on chce ją zabić, zbyt otepiała, żeby się wyrwać. To już nie była ona, lecz po prostu coś, co kiedyś było nią. Ile razy próbuję zasnąć, widzę jej twarz taką, jaka była wtedy, żywą, a jednak martwą. Czy on tam będzie? Ten Mongoł?

Gdy Shan przytaknął, Ko zacisnął zęby i skinął głową. Spojrzał przez ramię w stronę muru, po czym puścił młot i podniósł duży, płaski kamień, który postawił następnie przed potłuczonym Buddą. Oślonił go.

- Jestem więźniem - powiedział, patrząc na swoje dłonie, jakby nie rozumiał, co uczyniły przed chwilą. - Dlaczego miałbym obiecać, że nie ucieknę?

- Bycie więźniem to tylko rola, jaką kazali ci grać inni ludzie - powiedział Shan. - Bycie złodziejem albo kłamcą, albo uciekinierem to rola, jaką ty sam decydujesz się odgrywać.

Ko wstał wolno. Przez chwilę przyglądał się twarzy ojca i znowu odwrócił wzrok.

- Słyszałem, że w Ameryce jest dużo samochodów. Szybkich samochodów. Widziałeś szybkie samochody?

Shanowi zdawało się, że się przesłyszał.

- Widziałem szybkie samochody. I piłem kawę. Tam piją dużo kawy.

Ko z powagą pokiwał głową i znów sięgnął po swój młot.

- Ja nigdy nie piłem kawy - powiedział zamyślony.

- Widziałem samoloty większe niż koszary - dodał Shan. - I małe białe pudełko na prąd do otwierania puszek.

Przez twarz Ko przemknął lekki uśmiech. Potem, z miną znużonego starca, znów zabrał się do rozbijania okruchów. Gdy Shan się odwrócił, Ko szepnął do jego pleców:

- Dałem Khanowi jeden z tych złotych posążków. - W jego głosie słychać było udrękę. - Krótco przed tym, jak ją zabił, dałem mu złoto. Roześmiał się, kiedy je brał, i powiedział, że jestem taki jak on.

Shan odwrócił się i spojrzał na syna, ale Ko nie powiedział nic więcej, nawet nie uniósł głowy. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię miarowo rozbijał skorupy.

Shan wszedł do budynku. Corbett siedział z Yao przy stole konferencyjnym i wyjaśniał mu, co zdarzyło się w Seattle.

- Dolan zadzwonił z samolotu do Minga - mówił inspektor, gdy Shan siedział obok nich.
- Zanim jeszcze tu dotarł, Ming załatwił nowy sprzęt. Połowę swoich pracowników odesłał do domu, większość pozostałych daleko w góry, żeby usunąć ich z drogi. Z Lhasy przyjechała ciężarówka z jakimiś małymi urządzeniami w pudłach. Kiedy Dolan się zjawił, urządzono oficjalne powitanie. Program taki, jakby przybył sekretarz Komitetu Centralnego.

- Program? - zapytał Shan.

Yao skrzywił się i podał im po kartce z tekstem po angielsku i po chińsku. *Przybycie do filii Muzeum*, informował pierwszy punkt, następnie: *Ceremonia powitalna w mieście*, a dalej przemówienia i przekazanie daru Dolana.

- Co to za dar? - zapytał Corbett.

- Czek dla lecznicy Punji McDowell. Dziesięć tysięcy dolarów. Dolan powiedział, że bardzo go zasmuciła wiadomość, że panna McDowell zaginęła w górach, że ją znał i od dawna podziwiał jej pracę. - Inspektor westchnął. - Kiedy tu wrócili, czekał już na nich helikopter. Wysadził ich w górach wczoraj przed zmrokiem.

- Wszystko, co możemy zrobić, to wziąć plecaki i kazać się zabrać na pogórze - stwierdził Shan. - Za parę godzin będziemy w Zhoce.

Yao skinął głową.

- Przygotowałem, co tylko się dało bez zwracania na siebie uwagi.

- Chcę, żeby Ko poszedł z nami - dodał Shan.

- To zbyt niebezpieczne - zaprotestował Yao.

- Z jego strony nic nam nie grozi - zapewnił Shan.

- Tam są Lu i Khan. A my widzieliśmy, jak zamordowali McDowell. Wy, Corbett, ja.

I Ko.

- Ale złożyliście raport - zauważył Shan, przypominając sobie, co powiedział mu donosiciel. - Wyjaśniliście wszystko. Corbett może zaświadczyć, że Lu dzwonił do Dolana, że Dolan kazał mu ją zabić.

- Nie wiemy tego na pewno - powiedział z wahaniem inspektor, jakby się przymierzał do nowej wersji raportu. Westchnął i utkwiał wzrok w dłoniach. - Nie miałem żadnych wiadomości, odkąd wysłałem ten raport. Ming jest wytrącony z równowagi przybyciem Dolana. Dolan kontaktował się z ludźmi w Pekinie. Ming słyszał to od samego ministra. Potem zadzwonił do Urzędu Bezpieczeństwa i powiedział im, że muszą znaleźć Suryę. Później, kiedy Dolan przyjechał i Ming pokazał mu, co znalazł w grobie w dolinie, Amerykanin wpadł w furję. Nie słyszałem wszystkiego. Byli w sali konferencyjnej, za

zamkniętymi drzwiami. Jak myślę, Dolan był wściekły, że Ming rozgłosił o swoim znalezisku, że gazety wiedzą o starej szacie i tym nefrytowym smoku.

- Dlatego, że chciał ich dla siebie - wtrącił gorzko Amerykanin.

Shan tylko jednym uchem słuchał relacji z klótni.

- Surya. Znaleźli Suryę? - zapytał inspektora.

- Myślę, że jeszcze go szukają.

Pół godziny później Shan przyglądał się skupisku szop zbieraczy fekaliów po drugiej stronie ulicy. Kilku nich wróciło z porannego obchodu i przelewało właśnie zawartość glinianych dzbanów do zardzewiałych metalowych zbiorników na kołach, w których wywożono je na pola na południe od miasta. Zrytą koleinami drogą nadeszła kobieta w obszarpanym ubraniu, prowadząc za rękę trzy - albo czteroletniego chłopca. Gdy zbliżyła się do zabudowań, malec zaczął ją ciągnąć w drugą stronę, zatykając sobie rączką nos, ale wzięła go w ramiona i, zerkając nerwowo na mężczyzn przy zbiornikach, weszła między budynki. Shan ruszył za nią, czując na sobie surowe spojrzenia opróżniających dzbany mężczyzn. Gdy dotarł na małe podwórko między zabudowaniami, nie zastał tam nikogo. Odkrył jednak coś, czego nie było, gdy zjawił się tu poprzednio - nutę kadzidła, która mieszała się z ohydny odorem unoszącym się z dzbanów. Wszedł do murowanej stajni i zatrzymał się, nie mogąc przeniknąć wzrokiem ciemności. Słyszał ściszone głosy, w powietrzu czuł wyraźniej woń kadzidła, ale w bladym świetle wpadającym przez drzwi zobaczył tylko wiązki słomy i stertę potłuczonych glinianych dzbanów. Nagle ktoś z boku chwycił go za ramię. - Czego tu szukasz? - zapytał go surowo. Shan obrócił się i ujrzał jednego ze starszych zbieraczy fekaliów, mężczyznę o pomarszczonej twarzy, z popękkanymi okularami na nosie.

- Przyszedłem do świętego człowieka - odparł po chwili. Mężczyzna wzmocnił uścisk.

- To on dał mi wtedy pędzel - dobiegł z ciemności kobiecy głos i mężczyzna w popękanych okularach puścił Shana. Coś się poruszyło i ciemność nagle się rozstała. Był to gruby filcowy koc, który rozwieszono od ściany do ściany, żeby zasłonić tylną połowę stajni. Wypełniali ją Tybetańczycy w różnym wieku, jedni siedzący na siennikach ze słomy, inni wprost na klepisku. Po lewej, na odwróconym do góry nogami wiadrze, tlił się stożek kadzidła, pod przeciwległą ścianą stał prowizoryczny ołtarzyk z siedmioma wyszczerbionymi porcelanowymi czarkami. Pomędzy kadzidłem a ołtarzem siedział Surya. Malował. Ściana stajni została niegdyś otynkowana, a teraz tynk niemal w całości pokrywały barwne wizje Suri.

- Zobacz, to jest Biała Tara - cicho powiedziała kobieta, którą Shan widział z chłopcem. Wskazywała ukazaną w centrum malowidła kobiecą postać o delikatnej twarzy z trzecim okiem pośrodku czoła. - Minęło wiele lat, odkąd Tara odwiedziła Lhadrung - szepnęła z podnieceniem. Oczy chłopca były okrągłe ze zdumienia.

- Znasz go z innego miasta? - zapytał Shana stojący za jego plecami stary mężczyzna.

- Z innego miasta?

- Ludzie mówią, że on to robi w całym Tybecie, że wędruje z miasta do miasta, zbierając odchody i niosąc ze sobą bóstwa. Ktoś powiedział, że tak właśnie żyli niektórzy dawni święci.

Shan odwrócił się i spojrział uważnie na pytającą twarz starca. Po chwili przeniósł wzrok na Suryę i wolno skinął głową.

- Jak święty - potwierdził.

- Przez cały tydzień siadał tam co noc, wpatrując się w swój pędzel i w ścianę - powiedział starzec. - Nie mówił ani słowa. Co dzień wychodził rano razem z nami, żeby wozic odchody. Prawie nic nie jadł. Wracał tu i tylko patrzył na ścianę jak w coś żywego. Moja żona mówi, że to musi być ściana po starej gompie, która była kiedyś w Lhadrung. Kiedy zebrał, dostał od ludzi trochę pieniędzy. Jednego dnia wrócił z farbami i zaczął malować. Od tej pory odzywał się trochę więcej, jakby coś w nim wydostało się na wolność. Powiedział, że to po prostu trzeba było zrobić, że on tylko koloruje bóstwa, które tu mieszkają. Od świtu do południa wozic odchody. Powiedział, że gdyby nie zbierał odchodów, nie umiałby malować.

Obok nich przecisnęła się jakaś stara kobieta. Podeszła do Suryi i pochyliła się nad nim.

- Moja żona każe mu jeść dwa razy dziennie - wyjaśnił starzec. - Gdyby nie to, myślę, że w ogóle by zapomniał o jedzeniu. - Kobieta wyjęła pędzel z dłoni Suryi i pomogła mu wstać. Gdy oboje odeszli, pozostali Tybetańczycy skupili się wokół malowidła i Shan usłyszał rozpoczynającą się mantrę, wezwanie do Matki Tary.

Odnalazł Suryę na dziedzińcu, przy misce tsampy, i usiadł obok niego. Mnich jadł z roztargnieniem, patrząc niewidzącym wzrokiem w niebo. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegł Shana.

- Znam cię - powiedział ochrypłym głosem i serce Shana zabiło żywiej. - Przyniosłeś mi pędzel, bardzo dobry. Skąd wiedziałeś?

- Surya, to ja, Shan.

Oczy starca znów nabrały szklatego wyrazu.

- Surya, musisz słuchać uważnie. Wiem już, co się stało tamtego dnia w Zhoce. Widziałem człowieka, który płaci złodziejom. Wszedłem do podziemnego pałacu, byłem na półce nad kapliczką, w której znalazłeś zwłoki. Odkryłeś szabrowników i wpadłeś w gniew. Wiedziałeś, że są na górze, na tej półce, że przebijają szyb, żeby nieuczciwie dostać się do środka. Kiedy zobaczyłeś, że ukradli malowidło, w gniewie zabrałeś starą drabinę, po której wchodziło się na półkę. Zabrałeś ją i wrzuciłeś do wody, tak że spłynęła w przepaść. A kiedy wróciłeś, zobaczyłeś, że ten człowiek leży martwy, w kałuży krwi. Myślałeś, że zginął przez ciebie, że próbował zejść na tę drabinę, ale jej nie było, więc spadł i zabił się, przebił się dłutem, które trzymał w ręce. Ale ty do tego nie przyłożyłeś ręki. Zaatakowano go na półce, dłutem, bo próbował powstrzymać tych, którzy włamywali się do świątyni mandali. - Shan wciąż pamiętał, jak dziko patrzył na niego Dolan, gdy powiedział, że nie zostawi mu thanks. Obecność mnichów nie powstrzyma mnie przed wciśnięciem odpowiednich przycisków, stwierdził. Bez wątpienia nakazał z Seattle uśmiercić Lodiego, tak jak polecił zabić McDowell, wcisnąwszy odpowiednio przyciski swego telefonu. - Potem zrzucili go w dół i zostawili tam, żeby umarł. Ty nie miałeś z tym nic wspólnego. Wyraz twarzy Suryi się nie zmienił.

- Ty słuchasz - powiedział Shan. - Coś w tobie słucha. Wiem to. Nikogo nie zabiłeś. Możesz wrócić, znów możesz włożyć mniszą szatę.

Stary Tybetańczyk długo patrzył na swoje dłonie, wreszcie spojrział współczująco na Shana.

- Masz miłą twarz - powiedział. - Żal mi twojego przyjaciela, który zabrał tę drabinę. - Westchnął. - Ale wiesz, że to nie fizyczne działanie zabija duszę. Dusza nie ginie w wyniku samego zabójstwa, ale od ognia nienawiści, który je poprzedza, może nawet zginąć, gdy ktoś odkryje, że jego długie życie poszło na marne.

Nagle Shan przypomniał sobie, co napisał brat Bertram. „Przez śmierć odnawiają się bóstwa”. Patrząc w twarz starca, uświadomił sobie w końcu, że to nie jego stary przyjaciel przed nim siedzi, że Surya naprawdę odszedł, że ogień szalejący w duszy starego Tybetańczyka wypalił większą część jego wspomnień, humoru, niefrasobliwości, które składały się na Suryę, i pozostawił niewinną nabożność, pozostawił bóstwo, które było, a zarazem nie było Suryą, nowego artystę, który musiał malować odmiennych bogów w odmienny sposób. A to, jak powiedziałaby Gendun, samo w sobie było cudem.

Wstał i miał już odejść, spróbował jednak raz jeszcze dotrzeć do wspomnień starego człowieka.

- Toczy się wielka walka o skarby Zhoki - powiedział. - Z daleka przybyli ludzie, którzy chcą je odebrać lamom.

- Tacy ludzie walczą tylko sami ze sobą - odparł stary Tybetańczyk. - To po prostu ich sposób bycia. Każdy ma inną drogę do centrum swego wszechświata. - Odstawił miskę na ziemię i wstał. - Istota obłaskawiania ziemi nie tkwi w ziemi, ale w ludziach - dodał i nagle umilkł zdumiony, jakby zaskoczyło go to, co sam powiedział. Wreszcie, po dłuższej chwili, wzruszył ramionami i wrócił do stajni.

Shan patrzył w puste drzwi, rozważając jego dziwne słowa. Sprawiały wrażenie proroctwa.

Kiedy opuścił podwórko, zbieracze odchodów już nie pracowali. Stali zbici w gromadkę za jednym z zardzewiałych zbiorników, niespokojnie popatrując po sobie. Na ulicy, obok swego samochodu, stał pułkownik Tan. Gdy Shan ruszył w jego stronę, nie przywitał go ani słowem, ale otworzył mu drzwi i wskazał siedzenie obok miejsca kierowcy. Był bez szofera i zwykle towarzyszącej mu eskorty. Siadł za kierownicą i wyjechał za miasto, minął koszary, nie odzywając się, ani nawet nie patrząc w stronę Shana. W końcu dotarli na wzgórze górujące nad obozem 404. Ludowej Brygady Budowlanej i Tan zatrzymał samochód na poboczu. Wysiadł i natychmiast zapalił papierosa.

Wielki namiot magazynowy rozbity na potrzeby ekip terenowych Minga zniknął. Na jego miejscu stały teraz dwa tuziny mniejszych namiotów, połowy obóz wojskowy. Tan wzmocnił strażę. Sprowadził tu Shana, żeby go ostrzec, przypomnieć mu, jaką ma władzę.

- Macie pojęcie, kim jest ten człowiek? - odezwał się z namysłem. - Ten Amerykanin, który pojechał z Mingiem w góry?

- To przestępca.

- Nie - odparł stanowczo Tan. - To jeden z najbogatszych ludzi na świecie. Wielki dobroczyńca chińskiego narodu. Jada obiady z Przewodniczącym, może dzwonić do niego pod prywatny numer, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Może rozmawiać z prezydentem Stanów Zjednoczonych. - Przerwał i zaciągnąwszy się papierosem, wzruszył ramionami. - Nie można go uznać za przestępcę. Dzwonili do mnie w jego sprawie dwaj generałowie, w tym jeden z Pekinu.

Shan przyjrzał się Tanowi.

- Myślałem, że przywieźliście mnie tutaj, żeby mnie ostrzec - powiedział.

- A co u diabła myślicie, że robię?

- Mam wrażenie, jakbyście próbowali mnie chronić. Tan odwrócił się tyłem. Kopnął kamień w powietrze i odszedł na kilka kroków.

- On kazał zabić tę Angielkę, McDowell - powiedział Shan do jego pleców. - Tę, która pomagała głodnym dzieciom.

Pułkownik odwrócił się w jego stronę i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

- Wasz inspektor Yao został odwołany. Ma niezwłocznie wracać do Pekinu i zająć się inną sprawą. - Pokazał Shanowi zaadresowany do Yao faks z eleganckim nagłówkiem Rady Ministrów.

- Już o tym wie?

- Pojechałem do zajazdu, żeby mu to oddać. Zostawiłem w kopercie w jego pokoju.

Shan przyjrzał się pułkownikowi.

- Chcecie powiedzieć, że oficjalnie nic nie wiecie? - zapytał. - Oficjalnie go nie zawiadomiliście?

Tan lekko skinął głową, krzywiąc usta. Odwrócił się w stronę obozu.

- Odwołany detektyw. Amerykanin bez upoważnienia do działań na terenie Chin. I wy. Nie zdołacie ich powstrzymać.

Shan musiał zacisnąć zęby, żeby nie okazać, jak jest zaskoczony. Tan dał mu do zrozumienia, że pozwoli jemu, Yao i Corbettowi pójść w góry.

- Jeden z moich helikopterów wrócił z remontu. Musi odbyć lot próbny, tak zostanie to odnotowane. Może zabrać was wszystkich do Zhoki. Albo półtora kilometra dalej, jeśli wolicie. Ale to wszystko, co mogę zrobić.

- Mój syn. Chcę, żeby mój syn poszedł z nami.

- On jest więźniem. Na moim biurku leżą papiery nakazujące mi odstawić go do kopalni węgla. Wstrzymywałem to już zbyt długo. - Pułkownik uważnie patrzył przez chwilę na Shana. - Za mało macie w życiu problemów? Musicie stawać na głowie, żeby znaleźć następne? Jeśli ucieknie, zostaniecie oskarżeni o pomoc w ucieczce. Najmniej pięć lat.

- Myślałem, że dziesięć.

Gdy Tan zapalał kolejnego papierosa, w jego oczach pojawił się błysk perwersyjnej przyjemności, jakby cieszyło go, że Shan wierci mu dziurę w brzuchu.

- Jeśli Ming albo ten Amerykanin, Dolan, zażyczą sobie wsparcia wojska, moi żołnierze im pomogą. - Przyglądał mu się, wypuszczając dym przez otwarte usta. - Chcę, żeby tamci wynieśli się z mojego okręgu, to wszystko.

Wylądowali półtora kilometra na południe od Zhoki i w milczeniu ruszyli na północ. Ko trzymał się z tyłu, jakby nie miał ochoty wracać do ruin. W plecy zaczął im wiać zimny wiatr, rzadki w środku lata. Wył tak głośno, że nie słyszeli się nawzajem. Zdawał się nieść ich

w stronę Zhoki, jak gdyby stara świątynia ziemi przyzywała ich do siebie. W połowie drogi, gdy wyszli na wysoki grzbiet, z którego po raz pierwszy otworzył się przed nimi widok na ruiny, Corbett ostrzegawczo uniósł dłoń. Po stoku biegł w ich stronę mocno zbudowany, kulejący Tybetańczyk. Zbliżywszy się, zwolnił, patrząc na nich zdziwiony, i zatrzymał się. Zdjął czapkę i zaczął ją miętolić w rękach. Był to Jara.

- Myśleliśmy, że już was tu nie ma - powiedział przeprasząco. - Oni kazali wszystkim pasterzom i rolnikom ze wzgórz zgłosić się do pomocy - wyjaśnił, gdy Shan i pozostali podeszli do niego. - Ten Ming i bogaty Amerykanin. Wypatrzyli was i wysłali mnie, żebym was sprowadził. Myśleli, że jesteście Tybetańczykami.

Shan rozejrzał się po okolicy.

- Jak to wypatrzył nas? Skąd? - Jeszcze przed chwilą nie mogli być widoczni z ruin.

- Człowiek, którego nazywają Khan, siedzi z lornetką w tej starej kamiennej wieży. Zawiadomił ich przez radio.

Szansa na zaskoczenie przepadła. Corbett, rozczarowany, zmarszczył brwi. Yao zrobił zadowoloną minę, jakby ta wieść sprawiła mu przyjemność. Ko z zimnym, zaciętym błyskiem w oku wpatrywał się w ruiny.

- Kto jeszcze tu jest? - zapytał Shan.

- Sześciu pasterzy. Stary lama. Moja siostrzenica i Lokesh. Dawa suszyła mi głowę, żebym zabrał ją z powrotem do czortenu. Liya była z nami, ale uciekła dziś w nocy. Dlatego teraz Amerykanin postawił na straży tego Khana z karabinem.

- Gendun? - zapytał Shan. - Gendun jest z Dolanem? - Popędził w dół zbocza. Główny dziedziniec gompy przeistoczył się w centrum dowodzenia. Pod jedną ze ścian rozbito wielki niebieski namiot z nylonu, przed czortenem stały sterty pudeł oraz kuchnia polowa. Dawa, siedząca w kucki przy ogniu, na ich widok zerwała się z radosnym krzykiem i padła w ramiona Corbetta.

Dolan stał pod przeciwległą ścianą, odwrócony tyłem, patrząc w jarzący się ekran jakiegoś małego, wymyślnego urządzenia. Cienki metalowy kabłąk na jego głowie utrzymywał małą słuchawkę oraz mikrofon. Amerykanin mówił podekscytowany do mikrofonu, wodząc palcem po liniach na ekranie.

Gendun siedział pod ścianą i rysował coś palcem na ziemi. Lokesh, kucający obok niego, na widok Shana podniósł się zaniepokojony. Gendun powitał Shana znużonym skinieniem głowy i znów zajął się swym rysunkiem. Ko przystanął, nieufnie przyglądając się lamie, i Shan przypomniał sobie, że ci dwaj już się raz spotkali, w ciemnościach, kiedy Ko uznał Genduna za ducha.

Nagle rozległ się przenikliwy gwizd. Dolan wzywał wszystkich do siebie. Dmuchał w gwizdek, kiwając na ludzi na dziedzińcu. Shan przypomniał sobie relacje z wcześniejszych pobytów Dolana w Chinach, jako sponsora, a niekiedy kierownika wykopalisk.

- Odkryliśmy komorę! - zawołał Amerykanin po chińsku. - W samym centrum gomy, pod gruzem, dokładnie tam, gdzie przewidywaliśmy - oświadczył triumfalnie. - Ming! - krzyknął. - Możemy się tam dostać przed zachodem słońca! Zagoń tych ludzi do...! - Urwał w pół zdania, gdy spostrzegł Shana i Corbetta. Rzucił słuchawkę z mikrofonem na stół i podszedł do nich.

- Pan chyba ma skłonności samobójcze, agencie Corbett - warknął. - Z przyjemnością popatrzę, jak agent FBI rujnuje sobie karierę. - Gdy przeniósł wzrok na Shana, na jego twarzy pojawił się zimny gniew. - A pan pewnie uważa się za bardzo sprytnego, towarzyszu Shan. To nic nie zmienia - stwierdził lekceważąco. - Jedyne, co pan zyskał, to moje zapewnienie, że odnajdę skarb ambana.

- To zmienia wszystko. Jest pan teraz tutaj - odparł Shan, wskazując otaczające ich ruiny. - Niebezpiecznie jest źle rozumieć to miejsce, a pan zawsze źle je rozumiał. - Nagle uświadomił sobie, że Dolan patrzy ponad jego ramieniem, wskazując na niego, i nagle poczuł na ramionach czyjeś dłonie. Tuż za nim stał Lu. Niski Chińczyk obszukał go od góry do dołu. Gdy skończył, Corbett zapraszająco uniósł ręce i Lu poddał go tej samej procedurze.

- Skoro już tu jesteście - odezwał się Dolan, gdy Lu dał znak, że nie mają przy sobie broni - przyłączycie się do naszego małego przedsięwzięcia. Właśnie otwieramy kryptę.

- To stary klasztor - powiedział Shan. - Święte miejsce. Wielu ludzi straciło tu życie.

- Bez wątpienia - odparł z chłodnym uśmiechem Dolan. Skinął na Genduna, żeby wstał. - Wszyscy pomagają usunąć gruz! - warknął. Gdy lama nie zareagował, szturchnął go butem w nogi. Gendun uśmiechnął się, jak gdyby dopiero teraz go zauważył, i podniósł się wolno.

Na płachcie leżącej pośrodku ruin Ming rozkładał sprzęt: małe metalowe puszkę połączone długimi przewodami z pulpitem innego wymyślnego instrumentu, z którego sterczała krótka antenka.

- To radar geofizyczny - wyjaśnił Dolan - wypożyczony z Ministerstwa Przemysłu Naftowego. Potwierdził, że pod tym gruzowiskiem w centrum jest pustka - dodał, wskazując wysoką prawie na sześć metrów stertę kamienia. Pomarańczową farbą w sprayu zaznaczono na niej kwadrat o boku trzech metrów. - Chcemy dostać się do niej, wydobyć to, co jest w środku, i odjechać. Jeśli okażecie się skłonni do współpracy, tylko was zwiążemy przed

odlotem. Zanim dotrzecie do Lhadrung, będę już w drodze do domu. Nikt nie zginie. Nikt nie odbierze wam tych ruin.

Z grupy Tybetańczyków dobiegł cichy głos. Głos Genduna.

- Co mówi ten dziadek? - zapytał Dolan. Lokesh wyszedł przed innymi.

- On mówi, że być może powinien pan zabrać to. - Podał Amerykaninowi małą tsa-tsa z wizerunkiem Buddy Przyszłości. - Powiedział, że będzie pan tego potrzebował. - Dolan wziął tabliczkę, marszcząc brwi. - Powiedział - ciągnął rzeczowo Lokesh - że jeśli nie rozumie pan, co tam jest, może to mieć fatalne skutki dla tego, co zostało z bóstwa, które w panu zamieszkuje. Tam jest pogrzebane coś o wielkiej sile.

Oczy Dolana znów rozbłysły gniewem. Rzucił tabliczkę o skałę, rozbijając ją na kawałki.

- Powiedz mi, że doskonale rozumiem, co tam jest. Nie ma nic podobnego na całym świecie i to jest moje. Będzie moje na zawsze - oświadczył szyderczo. - I powiedz mi, że kto jak kto, ale ja wiem, czym jest siła - dodał z drwiącym uśmiechem.

- Przykro mi - westchnął Lokesh.

Dolan mruknął coś pod nosem i pchnął najbliższego stojącego człowieka, Ko, w stronę sterty gruzu. Chłopak zabrał się do odgarniania kamieni, wcześniej jednak ukradkiem zerknął pytająco na Lokesha. Czyjego syn zrozumiał, zastanawiał się Shan, czy wie, że Lokesh nie przeproszał Dolana, ale użalał się nad nim?

Wkrótce do Ko dołączył Jara, a po nim pozostali pasterze, z zaciekawieniem i wyczekiwaniem przyglądający się bogatemu Amerykaninowi. Jedyne Gendun pozostał tam, gdzie stał. Ze smutkiem w oczach usiadł na ziemi pod murem, wpatrując się w pomarańczowy kwadrat na gruzie.

Gdy Shan podszedł do niego i kucnął obok, lama znów zaczął rysować na ziemi. W pierwszej chwili Shan pomyślał, że jest to jakiś pradawny symbol, potem jednak spostrzegł klockowate kształty, a między nimi przerwy, niczym przejścia lub bramy. Gendun szkicował budynki, które stały tu przed zburzeniem gompy, tak jak wyglądały stąd, gdzie siedział. Dwa długie eleganckie pawilony o ścianach nachylonych lekko do wewnątrz w charakterystyczny dla tybetańskiego budownictwa sposób, wznosiły się nad wschodnimi i zachodnimi schodami do podziemnej świątyni. Między nimi znajdowała się niezwykła budowla, prawdopodobnie pochodząca z czasów, gdy gompy służyły także jako twierdze: wysoka wieża, dwa razy wyższa niż inne budynki, z której można było obserwować okoliczne tereny, nie opuszczając otoczonej murem świątyni, a w dni świąteczne zwieszano z niej święte chorągwie lub

olbrzymią thankę. Wieża, której głównym zadaniem mogł^o być strzeżenie świętej komory ze skarbem, która musiała znajdować się bezpośrednio pod nią.

Dolan z pobłażliwym rozbawieniem przyglądał się, jak Lokesh wypisuje modlitwę na skrawku papieru, a następnie prosi pasterzy, żeby ułożyli nad nią kopiec z usuwanych kamieni. Najwyraźniej dodało to pasterzom energii. Pracując w milczeniu, odsłonili otwór na środku pomarańczowego kwadratu. Dolan na pozór nie zwrócił uwagi, że Jara podał Gendunowi odłamki tabliczki, by je pogrzebał i odmówił nad nimi modlitwę.

Przez dwie godziny zrobili głęboki niemal na półtora metra otwór w gruzowisku, dokładając wciąż nowe kamienie do kopca. Odsłonili długie fragmenty drewnianych belek, potem ciężkie kamienne płyty, o których Dolan powiedział, że były podporami dachu krypty. Wzrok Shana wciąż wędrował ku rysunkowi Genduna.

Ming nie podzielał już entuzjazmu Dolana. Zerkał nerwowo na Yao i Corbetta, raz po raz nachylając się do ucha Lu. Niski Chińczyk za każdym razem kręcił głową, jak gdyby się nie zgadzał. Shan, który nosił gruz z innymi, właśnie czekał, aż Jara poda mu kolejny kamień, gdy nagle zorientował się, że Gendun zniknął. Przypomniał sobie szkic nakreślony na ziemi przez starego lamę. Wieża musiała być wzniesiona na litej skale, a skarbiec powinien znajdować się niżej, głęboko pod powierzchnią skały. Ale radar Dolana wykazał pustkę wewnątrz gruzowiska.

Amerykański miliarder wpadł w dziwną euforię. Z błyskiem w oczach ponaglał robotników, zachęcając ich do szybszej pracy nie ostrymi słowami, ale obietnicami, że ich hojnie wynagrodzi.

- Dwadzieścia dolarów dla każdego, jeśli skończymy przed zmierzchem - oświadczył po kolejnej półgodzinie kopania, a godzinę później podniósł zapłatę do pięćdziesięciu dolarów. Ani razu nie przyłączył się do pracy, a mimo to sprawiał wrażenie niezwykle zajętego: to dmuchał w gwizdek, to łąsił się do Tybetańczyków, opowiadając im o nowych butach, nowych czapkach, nowych owcach, które będą mogli kupić, to znów podchodził do przyrządów, przyglądając im się wyczekująco, albo naradzał się z Mingiem, który obserwował swego amerykańskiego partnera z coraz większym zdenerwowaniem. Już nie partnera, uświadomił sobie Shan. Dolan przejął inicjatywę. Dn i jego dwaj pomocnicy zabili obu sojuszników Minga, a on »am przestał już udawać, że kiedykolwiek zamierzał podzielić \$ię z nim skarbem.

Gdy Shan spostrzegł, że Lokesh przygląda się rysunkowi jenduna, położył na kopcu kamień, który właśnie niósł, i stanął obok przyjaciela.

- W dolnej części wieży musiało być jakieś pomieszczenie - zauważył. - Być może magazyn albo sień. On tylko traci izas.

Lokesh skinął głową.

- Spotykałem już Amerykanów, ale żaden nie był taki jak on - powiedział. - Myślę, że nigdy go nie uczono, jak szukać. - Było to rzadkie u niego potępienie, choć może nie tyle potępienie, ile smutna refleksja nad stanem ducha Dolana. - Szuka zapamiętałe, a jednak w jego poszukiwaniach nie ma treści.

Gdy od zmroku dzieliły ich dwie godziny, odkryli pod gruzem otwór, małą wyrwę, za którą otwierała się czarna czeluść Dolan wspiął się na rumowisko i wsadziwszy tam tyczkę stwierdził, że niecałe dwa metry niżej jest podłoga albo inn solidne podłoże, na którym można stanąć. Dolan polecił, żeby połowa ludzi nadal odgarniała kamienie, a pozostali przynieśli stojące pod plandeką na dziedzińcu wielkie, przypominające walizy, metalowe skrzynie. Były to specjalne kontenery do przewozu delikatnych, cennych obiektów. Dolan uznał, że skarb cesarza jest wreszcie w zasięgu jego ręki.

Nagle Shan spostrzegł, że obok niego stoi Gendun. Lama trzymał w rękach kilka starannie złożonych mnisich szat i Shan uświadomił sobie, że musiał je przynieść z izb mieszkalnych na trzecim poziomie świątyni.

- Dlaczego...? - zaczął, urwał jednak, widząc, że Gendun siada na płaskim głazie i zaczyna przesuwając w palcach paciorki mali, recytując smętnie, ze znużeniem, mantrę.

Ku swemu przerażeniu spostrzegł, że Lokesh znów podszedł do Dolana.

- To nie tak - usłyszał donośny głos przyjaciela, ruszając w ich stronę. - Musi pan najpierw odnaleźć własne bóstwo.

Bez ostrzeżenia Dolan odwrócił się i wymierzył staremu Tybetańczykowi siarczysty policzek.

- Obrażasz mnie, dziadku - warknął. - Zmęczyło mnie już to wasze cholerne wywyższanie się. Róbcie tak dalej, a nauczę was wszystkich, z kim macie do czynienia.

Lokesh nie dotknął policzka, w który uderzył go Amerykanin. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nie zauważył ciosu.

- Proszę z nami usiąść - powiedział zatroskany. - Możemy pójść w jakieś spokojne miejsce i porozmawiać o różnych sprawach.

Zanim Shan podszedł do nich, Dolan skinął na Lu i niski Chińczyk odciągnął od niego Lokesha. Amerykanin przyglądał się staremu Tybetańczykowi już nie z gniewem, lecz z przelotnym zaciekawieniem.

Dolan uparł się, że pierwszy wejdzie do komory. Obwiązał się w pasie liną, umocował na głowę latarkę czołówkę i rozejrzawszy się dokoła z miną zwycięzcy, rzucił szyderczy uśmiech stojącym w cieniu Corbettowi i Yao. Shan popatrywał z niepokojem, jak Ko przemyka się ukradkiem za plecami Tybetańczyków, zbliżając się do Dolana, któremu przyglądał się z fascynacją. Amerykanin zniknął w otworze, a Ming zaczął podawać mu sprzęt: dwie metalowe skrzynie, aparat fotograficzny, kolejne latarki. Wymienili parę zdań, których Shan nie dosłyszał, po czym Ming wstał, demonstracyjnie wyciągając z saszetki przy pasku małą krótkofalówkę, jakby chciał wszystkim przypomnieć, że w każdej chwili może wezwać helikoptery z wojskiem.

Nagle nie wiedząc skąd dobiegł głośny jęk przerażonego człowieka, a potem żalony krzyk. Gdy Ming pochylił się nad otworem, leżąca obok zwinięta lina zaczęła się zsuwać w dół. Dało się słyszeć coś jakby szloch, a gdy Ming rzucił się, żeby złapać koniec liny, pod jego ciężarem zarwał się strop komory. Ze sterty gruzu posypały się kamienie, wzbił się kłęb pyłu i gdzieś w dole zatrzeszczało drewno. Gdy pył opadł, Ming stał na skraju powiększonego otworu, który częściowo wypełniał gruz.

Wszyscy rzucili się do wyrwy i przy wtórze okrzyków Minga i Lu, rozpaczliwie nawołujących Dolana, zaczęli usuwać kamienie oraz potrzaskane belki. Po dwudziestu minutach uprzątnęli dość gruzu, żeby Khan mógł się precyzyjnie przeczisnąć przez otwór. Ruszył, trzymając się liny, i minutę później wrócił z Dolanem na plecach.

Amerykanin nie stracił przytomności, nie wyglądał na rannego, ale jego oczy nabrały niepokojąco szklatego wyrazu. Usiadł na kamieniach, z twarzą bladą jak papier, pocierając ramiona, jakby mu było zimno. Patrzył nieobecny wzrokiem, nie reagował, gdy Ming i Lu podsuwali mu wodę. W końcu wstał, podszedł do Minga i pchnął go na ziemię, a następnie skoczył na niego i zaczął go okładać pięściami po twarzy i piersi, mimo że Lu usiłował go odciągnąć. Dyrektor nie opierał się, nawet gdy z nosa zaczęła płynąć mu krew, wpatrywał się tylko w Amerykanina ze zgrozą w oczach.

Przemoc najwyraźniej otrzeźwiła Dolana. Odtrącił Lu i wstał, nie zwracając już uwagi na Minga. Spojrzał na Lokesha.

- Wiedziałeś, sukinsynu! - wrzasnął do starego Tybetańczyka i rzucił się w jego stronę, jakby go chciał zaatakować, lecz Shan i Corbett zagrodzili mu drogę.

Lokesh nie cofnął się, w ogóle nie zareagował na wybuch złości Amerykanina.

- Wiedziałem tylko, że tam nie znajdzie pan tego, czego szuka - odparł spokojnie. - Mówiłem to panu.

Dolan chwycił wojskową krótkofalówkę, włączył ją i spojrział na Tybetańczyków, którzy cofnęli się w cień pod murami, obserwując go przerażeni, a następnie przeniósł wzrok na wzgórze ponad gompą. Po stoku biegło kilku pasterzy przerażonych szaleństwem cudzoziemca. Amerykanin sprawiał wrażenie, jak gdyby miał zamiar porozmawiać z kimś przez radio, jednak zaklął tylko, opuścił rękę i z jadowitą miną odszedł do namiotu rozbitego na dziedzińcu.

Gdy Shan i Lokesh dotarli do wyrwy, Lu, przywiązawszy linę do stojącego sześć metrów dalej słupa, opuszczał Minga do komory. Lokesh bez słowa usiadł na kamieniach, spuszczając nogi w otwór, i gdy tylko Ming odsunął się na bok, skoczył w dół. Shan, który chwilę później poszedł w jego ślady, usłyszał, że ktoś schodzi za nim. Pomyślał, że to Corbett, jednak był to Ko, który podszedł do niego w ciemnościach z elektryczną latarką w dłoni.

Znajdowali się w czymś w rodzaju skrzyni z grubych belek, długiej mniej więcej na trzy i pół metra, z drewnianą podłogą, której potrzaskane deski sterczały w górę pod różnymi kątami. Głębiej widać było krótką, nie naruszoną ściankę z desek, ułamanych równo wzdłuż dolnej krawędzi. Ming, o krok przed nimi, lawirował wśród desek i gruzu, nerwowo omiatając latarką pomieszczenie, głównie belki sufitu, gdyż, jak podejrzewał Shan, obawiał się, że mogą się zawalić. Nagle jęknął i cofnął się. Lokesh przecisnął się obok niego, przystanął, po czym sięgnął za siebie i dotknął ramienia Ko.

- Musisz sprowadzić Genduna Rinpocze - powiedział cicho i przesunął się na bok, żeby przepuścić Shana. Ko wycofał się, blady jak płótno.

Zwłoki dwóch mężczyzn, siedzących pod ścianą na wprost nich, dawno temu pokrył kurz, choć nie aż tak grubą warstwą, żeby zasłonić ich rysy, zachowane w suchym i chłodnym powietrzu, lub ukryć krótkie siwe włosy na czaszkach czy złotą lamówkę na kołnierzu bordowej szaty nieboszczyka po lewej. Jego towarzysz także miał na sobie szatę tybetańskiego mnicha i ze swoją bezbarwną, wysuszoną twarzą mógłby za niego uchodzić, gdyby nie siwe, podkreślane wąsy oraz niezwykle strój wierzchni. Gdy Shan przykucnął i dotknął jego tkaniny, osypało się nieco kurzu i poznał, że to czerwona, ozdobiona złotym brokatem kurtka od galowego munduru brytyjskiego żołnierza z innego stulecia. Shan widział już taki mundur, na zdjęciu w chatce w Bumpari. Brat Bertram, niegdyś major McDowell, zdawał się patrzeć na swoje nogi, najwyraźniej złamane, oraz ciemną plamę pod nimi, która prawdopodobnie świadczyła o tym, że strzaskana kość naruszyła naczynia krwionośne.

Gdy Lokesh uklęknął przy zwłokach, Shan jeszcze raz spojrzął na połamane belki wzdłuż ścian. Wyglądały na zgniecione przez silny nacisk, nie spalone czy pęknięte w wyniku eksplozji.

- To był szczyt wieży - stwierdził nagle. - Wieża została trafiona przez bombę u podstawy i zawaliła się. Górne pomieszczenie osunęło się w dół i wtedy pękły belki. - Spojrzął przez ramię na sterczące w górę belki na drugim końcu pomieszczenia, które weszli do środka. - To nie jest ścianka z desek. To była weranda, balkon, który się oderwał i stanął na sztorc przy upadku.

- Ale dlaczego oni byli właśnie tutaj? - zdziwił się Lokesh. - Nie w świątyni? - Delikatnie trącił palcem szary koc na kolanach majora. Opadł kurz, ukazując krzyżujące się pasy żywych barw: czerwieni, bieli i granatu.

- Dlatego, że próbowali powstrzymać bombowce - odparł Shan. - Na ścianie nad łóżkiem majora wisiało kiedyś coś dużego. Ta flaga. Kiedy dowiedział się, co się dzieje, złapał swoją kurtkę mundurową i flagę, licząc na to, że jeśli piloci zobaczą brytyjskiego żołnierza, brytyjską flagę, może ich to powstrzymać.

- I opat - ochryple powiedział z za ich pleców Gendun. - Jest z nim błogosławiony opat. - Lama dotknął złotego obrąbka szaty, oznaki wysokiej rangi w starej gompie. - Ostatni z Kamiennych Smoków.

Shan odwrócił się. W głosie Genduna nie było smutku. Stary lama, uśmiechając się promiennie, podszedł do zwłok opata i z szacunkiem ujął zmumifikowaną dłoń. Pod pachą trzymał szaty ze świątyni. Lokesh wziął je od niego i rozłożył na nogach obu nieboszczyków.

Pomagając Lokeshowi, Shan spostrzegł Ko. Chłopak stał dwa kroki dalej, z wyłączoną latarką, wpatrując się w ciała.

- Żyli jeszcze, kiedy zostali uwięzieni pod gruzem - wyjaśnił Shan. - Obaj doznali śmiertelnych ran. - Wskazał zgięte pod nienaturalnym kątem lewe ramię opata oraz, tuż obok, ciemną plamę na jego szacie. Prawdopodobnie odłamek bomby złamał mu rękę, a następnie przeszył tułów. - Siedzieli razem w ciemności, uwięzieni, wiedząc, że umierają, wiedząc, że ginie ich gompa.

- Nie - szepnął Gendun. - Wiedząc, że ich gompa nigdy nie zginie. - Usiadł przed zmumifikowanymi zwłokami i zaintonował mantrę brzmiącą nie jak lament, ale jak pozdrowienie.

- Powinni byli mieć karabiny - powiedział Ko. - Z karabinu można zestrzelić samolot, jeśli się wie, jak to zrobić. - Podszedł bliżej. Na jego twarzy malowała się zarówno odraza,

jak i jakieś inne uczucie, które nie pozwalało mu oderwać wzroku od szczątków dwóch starców, równie pogodnych w swej bolesnej śmierci, jak pogodni byli, z pewnością, za życia.

Gdy Shan uniósł wzrok, Minga już nie było. Gendun, obojętny na wszystko, recytował mantrę.

- Będziemy potrzebować lampy naftowej, pełnej paliwa - powiedział Shan.

Lokesh skinął głową. Gendun prawdopodobnie nie poruszy się przez wiele godzin.

- Czemu on po prostu nie sprowadzi tu wojska? - zapytał nagle Ko. - Mógłby rozwalić to wszystko. On przecież może robić co chce.

- Nie - odparł Shan. - Nie może. On zamierza ukraść skarb. Nie chce, żeby ktokolwiek o tym wiedział, żeby ktokolwiek wiedział choćby o istnieniu tego skarbu.

- My wiemy - zauważył chłopak.

- On myśli, że jesteśmy bezsilni, że nas unieszkodliwił.

- A jeśli nie uda mu się znaleźć skarbu, pójdzie sobie? - zapytał Ko.

- On wie, że skarb tu jest. Nie odejdzie. Jest pewien, że go znajdzie, bo uważa, że przynajmniej jeden z nas wie, gdzie go szukać.

- Gendun? Tylko Gendun wie, prawda? Dolan by nie... Genduna można ukryć. Nas jest więcej niż ich. - Ko, uświadomił sobie Shan, pytał go, jak powinni postąpić.

- Gendun się nie ukryje. Nie pozwoli, żeby kierował nim strach. A Dolan umie tylko zastraszać - odparł, spoglądając na martwych mężczyzn. Nie czuł lęku przed nimi, ale dziwny przypływ sił, jak gdyby ich grób został otwarty w jakimś celu, aby przekazać coś żywym.

Kiedy wrócili do obozu, okazało się, że Ming uciekł.

- Wezwał helikopter, chciał, żeby przyleciał po niego do starej kamiennej wieży - wyjaśnił Jara. - Ten Chińczyk, Lu, poszedł razem z nim. Odlecieli parę minut temu. - Dolan pił whisky z butelki i kłócił się z Mingiem, dodał pasterz. Smigłowiec przywiózł Tashiego, donosiciela, a potem, kiedy Dolan poszedł ze swoją whisky do namiotu, Ming, Tashi i Lu zaczęli o czymś cicho rozmawiać i spakowali rzeczy. - Zabrali radia, wszystkie radia.

Dolan wciąż kipiwał gniewem, ale już nie na Minga. Wydawało się, że jest wściekły na dwóch martwych mnichów, których malazł, jak gdyby czuł się przez nich oszukany albo odrwiony. O ile wcześniej z determinacją dążył do zdobycia skarbu ambala, o tyle teraz sprawiał wrażenie fanatyka, opętanego tylko:ą jedną myślą. Przegonił resztę pasterzy, dając każdemu na adchodnym po kilka dolarów. Khan kręcił się teraz w pobliżu, wymachując karabinem - robił obchód ruin.

- Nie rozumiem - odezwał się Ko, gdy jedli smażony ryż przyrządzony przez Lokesha.

- Tu są dwaj gliniarze, jeden z Ameryki, drugi z Pekinu. Jak Dolan może tak postępować?

Corbett wbił wzrok w ogień.

- Kiedy wy nosiliście kamienie - powiedział - przypomniał mi, że złożył na mnie skargę. Dowodził w niej, że prowadzę jakąś prywatną wojnę, że postępuję, jakbym był na skraju załamania nerwowego. Powiedział, że bez względu na to, co powiem, co napiszę w raportach, on będzie miał co najmniej czterech świadków gotowych zeznać coś przeciwnego, a w Waszyngtonie będą się urywać telefony w tej sprawie. Mówił, że jeśli mu pomogę, zagwarantuje mi, że zostanę następnym regionalnym szefem FBI. Jak przypuszczam, on już wie, że Yao zdaje sobie sprawę, że to samo odnosi się do niego w Pekinie.

- Oni mają tylko jeden karabin - rzekł zawziętym głosem Ko. - Mógłbym załatwić Khana, rzucić się na niego z łopata. - Przez chwilę w milczeniu przyglądał się swym towarzyszom. - Nie macie żadnego planu - dodał oskarżycielsko. - Po co tu przyszliśmy? Myślałem, że chcecie ich powstrzymać, a wy dźwigacie dla nich kamienie.

Corbett i Yao nie zareagowali. Shan spojrział na syna z żalną miną, ale nie przychodziły mu na myśl żadne słowa, których Ko zechciałby wysłuchać.

- Widzieliśmy, jak Khan zamordował McDowell - upierał się chłopak. - Mamy prawo go zabić.

- Nie - odparł Shan. - Nikt nie ma prawa zabijać.

Ko prychnął z pogardą, rzucił resztę swego obiadu na ziemię i zniknął w cieniu.

- W każdym uczuciu tego chłopca - odezwał się rzeczowym tonem Lokesh - jest ogień. - Zanim Shan zdążył cokolwiek powiedzieć, stary Tybetańczyk sięgnął za jeden z gałęzi i wyciągnął garść gałązek. - Jałowiec - szepnął i Shan pomyślał, że przynajmniej on jeden ma jakiś plan. - Schowałem go w dniu urodzin dalajlamy, tak na wszelki wypadek. - Rzucając gałązki w ogień, zauważył pytającą minę Corbetta. - Ich dym przyciągnie bóstwa - wyjaśnił.

Ale gdy gałązki płonęły, pojawił się Dolan. Przyglądał im się z posepną miną, lekko chwiejąc się na nogach, najwyraźniej odczuwając skutki wypitej whisky.

- Mamy jeden dzień - oświadczył. - Potem muszę wracać do Stanów na zebranie zarządu. - W jego głosie nie było już gniewu, lecz zimna, jadowita nuta. Ming opuścił go, a martwi mnisi na swój sposób stawili mu opór. Wyraźnie nie był przyzwyczajony, żeby mu się opierano. - Jutro zaprowadzicie mnie do górnej komory, do skarbu ambana. Pomożecie mi zapakować wszystko, co tam znajdziemy, załadować to, a potem możecie żyć dalej tak żałośnie jak dotąd.

Nikt nie odpowiedział. Dolan zerkał raz po raz w stronę wyrwy, gdzie Gendun rozmawiał ze zmarłymi.

- Zapomnicie o wszystkim. Niemożliwe, żeby coś tutaj miało dla was aż takie znaczenie - ciągnął Dolan dziwnie płaczącym tonem. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej książeczkę czekową. Zaczął pisać. - Nie jestem złym człowiekiem, jestem po prostu bardzo zajęty. - Wydarł czek. - Sto tysięcy dolarów - rzekł, upuszczając go u stóp Shana, który nawet na niego nie spojrział. Dolan znów zaczął pisać. - Następne sto tysięcy - powiedział, rzucając drugi czek na kolana Corbetta. Agent FBI zignorował go. - Do diabła. Nic nie możecie zyskać, a wszystko możecie stracić. To tylko interesy. - Wypisał trzeci czek i rzucił go przed Yao. - Do pobrania gotówką. Możecie zrobić z tą forszą co chcecie.

Corbett wolno podniósł czek z kolan.

- Świetnie. Pomogę panu - powiedział. - Ale za sto tysięcy dolarów chcę, by pan przyznał, że zabił pan tę dziewczynę w Seattle. - Wrzucił czek w ogień, co najwyraźniej zdenerwowało Dolana. Miliarder opadł na kolana i przez chwilę wyglądało na to, że sięgnie w żar i wyjmie płonący blankiet. - Nie ma tu nikogo prócz nas - ciągnął Corbett. - Żadnych magnetofonów. Żadnych wiarygodnych świadków, których można by wykorzystać w kraju. Tylko my. Sam pan powiedział, że nasze świadectwo nic nie będzie znaczyło. Właśnie zapłaciłem panu sto tysięcy dolarów. To tylko interesy.

Dolan uniósł wzrok i spojrział na przypatrującego mu się Corbetta. Oczy miliardera miały tępy, niemal półprzymiotny wyraz.

- Ja tylko chcę dostać swoje i odejść. Mogę was wzbogacić - dodał głucho. - Przecież tego chcą wszyscy. - Gdy to mówił, Lokesh wstał i podszedł do kadzielnicy. Jego bliskość zdawała się niepokoić Dolana. Zerknął na Khana, który stał z karabinem piętnaście metrów dalej.

- Kończymy ten kopiec - odezwał się do niego Lokesh - żeby uczcić opata i tego angielskiego mnicha. Każdy z nas dołoży jeszcze jeden kamień i odmówi modlitwę.

Wszyscy wstali. Dolan nie odezwał się słowem, gdy ruszyli w stronę kopca, nie zareagował, gdy Ko wyszedł chyłkiem z mroku i podniósł dwa pozostawione na ziemi czeki.

Lokesh znalazł gdzieś szal modlitewny, zapewne jeden z tych, które czasem fruwały po gruzowisku, i zatknął go za róg na szczycie kopca. W milczeniu dokładali kamienie. Ko zwieńczył całość wielkim płaskim głazem. Nie mówiąc nic, otoczyli kopiec półokręgiem, zwróceniem do otwartej komory, w której leżeli zmarli. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Ustawiona w piasku obok kopca samotna lampka maślana zaskwierczała, jak gdyby lada moment miała zgasnąć.

Nagle z ciemności wyłonił się Dolan z płaskim kamieniem w dłoni. Położył go na kopcu.

- Nie miałem zamiaru ich niepokoić - powiedział niepewnie. - Nie mógłbym... - zaczął znowu i urwał. - Ming powinien był mnie uprzedzić - wypalił i niezdarnie pochylił się, żeby podnieść kolejny kamień. - To, co zaszło pięćdziesiąt lat temu między Chinami i Tybetem, nie miało nic wspólnego ze mną. - Mówił szybko, mocno ściskając kamień, oburącz, jak gdyby nagle stał się niezwykle ciężki. Uniósł wzrok, w którym znów pojawił się gniew. - Niech to będzie lekcją! - warknął. - Jutro jest ostatni dzień - dodał ostrzegawczo i odszedł zamaszystym krokiem.

- To najbardziej przerażający człowiek, jakiego poznałem - stwierdził Corbett.

- Jego bóstwo ledwie dyszy - dodał ciężkim głosem Lokesh.

Ułożyli się do snu i przykryli kocami. Khan stał na warcie, nie wypuszczając z rąk broni. Ko wrócił i usadowił się w narożniku walących się murów. Shan zapadł w niespokojny sen. Obudził się raptownie ze straszliwego koszmaru, choć nie pamiętał z niego nic poza głębokim poczuciem straty. Chodziło o Ko. Jego synowi przydarzyło się coś straszego, ponieważ Shan i inni nie zrobili tego, co należało. Wstał i stwierdziwszy, że Khan śpi na posterunku, odszedł między skąpane w księżycowym blasku ruiny. Dotarł na placyk przed bramą i usiadł na szerokim kamieniu nadproża, tym samym, na którym Gendun medytował w dniu święta. Nie wiedział, ile czasu minęło, godzina czy może więcej, gdy nagle usłyszał obok siebie czyjś głos.

- Dlaczego przyprowadziliście tu syna? - zapytał Yao. - Skończy się na tym, że go zabiją. On zachowuje się tak, jakby się o to prosił.

Słowa inspektora nie zraniły Shana tak bardzo, jak mógłby się spodziewać. Jemu także przyszła do głowy ta myśl.

- Kiedy będzie już po wszystkim, on wróci do obozu - odparł. - Dolan i Ming wiedzą, że jest świadkiem. Zostanie pogrzebany w lao gai tak głęboko, że nikt już go nie znajdzie. Wiecie, co oni robią, kiedy chcą, żeby więzień zniknął, ale nie chcą go zabić. Zmienia mu nazwisko, zrobią nowy tatuaż, wymyślą nową historię, zniszczą jego stare akta. Nigdy nie uda mi się go odnaleźć. Już nigdy go nie zobaczę. - Ogarnęła go taka fala emocji, że pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

- Po wszystkim Dolan i Ming będą za kratkami.

- Nie - odparł Shan, unosząc głowę, żeby spojrzeć w gwiazdy. - Możemy liczyć tylko na to, że zdołamy ochronić przed limi skarb, nie dopuścić, żeby skrzywdzili łamów. Sprawić, żeby wynieśli się z Lhadrung - dodał, uświadamiając sobie, że powtarza słowa pułkownika Tana.

- Wszystko może ułożyć się inaczej - rzekł Yao. - Dla was i dla Ko.

- Jakim cudem?

- Gdy wrócę do Pekinu, porozmawiam z pewnymi znajomymi. Z sędziami. Przekonam ich. Ludzi, którzy zniknęli, można przywrócić do życia. Postaram się, żebyście wrócili do życia, zaczęli na nowo w Pekinie. Jesteście jednym z najlepszych śledczych, jakich znam. Załatwiłbym wam pracę, być może dałoby się utworzyć dla was nowy etat w moim biurze. A wtedy poszukamy Ko, razem.

- I beze mnie będziecie mieli w Pekinie dość problemów. Yao spojrzął na Shana. Po chwili milczenia rzucił mu wymuszony uśmiech.

- Macie na myśli to odwołanie? Zdarza mi się to mniej więcej co rok. To nie pierwszy raz. Wrócę do domu, odbędę parę szczerych rozmów i wszystko pójdzie w niepamięć.

- Nie odwołanie. To, że je zignorowaliście. Tym razem milczenie inspektora trwało dłużej.

- Nie pozwalam, by przestępcy odchodzili wolno. Nigdy.

- Wracajcie do domu - powiedział Shan. - Ja sam znajdę rozwiązanie.

- I ukradniecie mi całą chwałę?

- Nie - odparł Shan i odwrócił wzrok. - Nie chcę tylko, żebyście skończyli jak ja - rzucił w ciemność nocy.

Yao długo się nie odzywał.

- Gdybyśmy spotkali się w Pekinie - odezwał się w końcu - zostalibyśmy dobrymi przyjaciółmi.

Shan wskazał spadającą gwiazdę.

- Obiecuję wam dwie rzeczy - powiedział stanowczo Yao. - Dopadnę Minga. I zrehabilituję was. Dzięki temu moglibyście uratować Ko. Obaj moglibyśmy go uratować.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Shan powtórzył sobie w myślach całą rozmowę. Yao chciał zabrać go do Pekinu, dać mu nowe życie. Przypomniawszy sobie, że miał odejść do samotni, bo krzyczał w malignie, że chce wracać do domu.

Co dziwne, zaczął się zastanawiać, gdzie jest jaskinia, którą wybrał dla niego Gendun. Potrzebował miesiąca spokoju, potrzebował samotności, żeby ukoić nieznane emocje, które przewalały się przez niego od dnia urodzin dalajlamy.

Nie wiedział, ile czasu minęło, nim odwrócił się i przekonał, że Yao już odszedł. Poszperawszy w kieszeniach, znalazł pudełko zapalek i położył je przed sobą na kamieniu. Oderwał górną część koperty biletu lotniczego, który miał w kieszeni, jedyne go papieru, jaki mógł znaleźć, i wyciągnął z kieszeni ogryzek ołówka. *Ojciec, napisał przy świetle księżycy, z lęku o syna budzę się, drżąc. Ja śmiałem się, kiedy byłem synem.* Wpatrywał się w te słowa,

mrugając powiekami, pogrążony we wspomnieniach swego radosnego dzieciństwa, po czym znów uniósł ołówek. *Powiedz mi, co zrobić, żeby zabrali mnie zamiast niego*, dopisał, a następnie złożył kartkę. Zrobił z zapalek mały stosik, podpalił go i położył na nim list, a potem przyglądał się, jak popioły wzlatają w górę, niosąc jego wiadomość do nieba. Nagle poczuł zapach imbiru i miał wrażenie, że ktoś usiadł obok niego. Ale gdy odważył się spojrzeć w tę stronę, nie ujrzał nikogo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ostatni dzień przyniósł burzę, jedną z tych rzadkich letnich burz, które docierają przez Himalaje do Tybetu. Wiatr szarpał połami namiotu Dolana, deszcz zgasił ognisko, nim zdążyli przygotować śniadanie, a grzmot zatrzęsł kruchymi, wałącymi się murami gomy. Gendun zniknął bez śladu, a Lokesh, gdy Shan znalazł go na placyku przed bramą, stał w strugach deszczu, spoglądając w niebo.

- W dole będzie podobnie - odezwał się z respektem stary Tybetańczyk. - Dziś przemawia ziemia.

Dolan szalał jak sama burza, pełen furii, bez śladu niezdecydowania z poprzedniej nocy, bez śladu tego, co Lokesh nazwał dyszeniem jego bóstwa. Ko również był jakby odmieniony. Jego ponura niepewność ustąpiła przymilnej usłużności wobec Dolana. Shan słyszał, jak chłopak wyjaśnia Amerykaninowi, że uciekną przed burzą, schodząc w dół, że jeśli inni nic nie zdradzą, on może zaprowadzić go na trzeci poziom, że pokaże mu małe skarby w kaplicach po drodze.

- On ma czeki - mruknął Corbett. - Dwieście tysięcy dolarów. Uznał, że może ma jakieś wyjście.

Czeki. Shan zapomniał, że Ko podniósł czeki Dolana, które zostawili na ziemi.

Shan, przerażony i zdziwiony, obserwował syna, gdy zostawiwszy Lokesha pogrążonego w modlitwie przy kopcu, schodzili do podziemnego pałacu. Ko unikał jego wzroku i starał się, żeby między nim a Shanem i resztą grupy zawsze znajdował się Dolan lub Khan. Posunął się nawet do tego, że żartował z Khanem na temat małego złotego Buddy, którego ukradł i dał mu w prezencie. Kiedy wyszli z szybu przebitego na pierwszy poziom gomy, Ko zdołał namówić Dolana, żeby wysłał Khana z pozostałymi na trzeci poziom, a on pokaże mu skarby w kaplicach. Dolan chętnie się zgodził. Puścił chłopaka przodem, pozwalając mu nieść latarkę, sam zaś wziął worek, do którego zaczął ładować przedmioty z ołtarzy, zanim jeszcze odłączyli się od pozostałych. Yao i Shan wymienili smutne spojrzenia.

Nikt nic nie mówił, gdy wspinali się najpierw po drabinie z kołków, a potem wąskim przejściem do sali z maskami. Gdy dotarli na trzeci poziom, Shan bez słowa poprowadził całą grupę do celi ambana i zapalił kilka lampek maślanych. Przyglądał się starym malowidłom na ścianach, gdy zza drzwi dobiegł ich głuchy, upiorny jęk. Khan ostrzegł ich, żeby nie opuszczali izby, i wyszedł na korytarz. Chwilę później coś stęknęło w ciemnościach. Corbett wypadł za drzwi, a po paru sekundach wrócił, trzymając za nogi Khana. Mężczyzna był nieprzytomny. Ko, który dźwigał go pod pachy, rzucił triumfalne spojrzenie ojcu, po czym posadził Khana na krześle. Gdy Yao przywiązywał osiłka do krzesła jego własnymi sznurowadłami, Ko przyniósł z korytarza karabin i podał go Corbettowi.

- Gdzie jest Dolan? - zapytał Yao.

- Poszedł wynieść łup - odparł pospiesznie Ko. - Musimy stąd odejść, zanim wróci.

- Gdzie jest Dolan? - powtórzył Shan.

- Na razie nie musimy się nim przejmować. Shan przyjrzał się wzburzonej twarzy syna.

- Zostawiłeś go w labiryncie - domyślił się nagle. - Zabrałeś latarkę i zostawiłeś go w ciemnościach.

- Jak na takiego bogacza, nie jest zbyt bystry. Pozwolił mi nieść jedyną latarkę. Nie uderzyłem go mocno, tylko tak, żeby się przewrócił.

- Zaplanowałeś to - odezwał się Corbett. - To dlatego powiedziałaś mu o kaplicach i starałaś się z nim zaprzyjaźnić dziś rano.

Ko zdawał się tego nie słyszeć. Z wyzwaniem w oczach wpatrywał się w ojca.

- Chciałeś sprawiedliwości. To jest sprawiedliwość. Powiedziałem mu, że jej ciało jest razem z nim, w jednej z kaplic. Ciało McDowell.

- On może tam umrzeć - upomniał go Shan.

- On zabił Punji - odpalił Ko. - A na koniec miał pewnie za,iar zabić nas wszystkich. Ale widziałem, jaki był przerażony, iedy znalazł tych martwych mnichów. To wtedy przyszło mi a myśl, jak trzeba go potraktować. A teraz musimy się stąd abierać. W góry. Albo do Lhadrung, jeśli wolicie. Zostawimy go i niech tu zgnije.

Khan zaczął się wiercić. Szamotał się w więzach, rycząc ak dzikie zwierzę w klatce. Corbett uderzył go w głowę kolbą:arabinu i mężczyzna obwisł bezwładnie, znów straciwszy przytomność. Corbett spojrział na karabin, jakby broń zadała ios z własnej woli, i wzruszył ramionami.

- Przepraszam - powiedział i oparł ją o regał.

Shan i Yao znów zaczęli rozglądać się po izbie. Przyglądali się pechom i malowidłom, próbując zrozumieć ostatnią zagadkę jałacu mandali.

- Musimy iść - ponaglił po kilku minutach Ko.

- Musimy zrozumieć - odparł Shan.

- W takim razie odejdę sam - oznajmił wyzywająco Ko. Nim Shan zdążył mu odpowiedzieć, do izby wpadł Lokesh, pchnięty w stronę łóżka silnym szturchańcem w plecy. Za nim wszedł Dolan, z pistoletem w jednej ręce i lampką maślaną w drugiej.

Gdy Corbett zrobił krok w stronę karabinu, rozległ się trzask dwóch wystrzałów. Pół metra od głowy agenta, obok regału, poleciały w powietrze drewniane drzazgi.

- No, dalej. Daj mi pretekst - warknął Dolan. Jego twarz była blada jak płótno, po policzku spływała mu strużka krwi. Oczy miał zapadnięte. Wyglądał, jakby postarzał się o kilka lat. Gdy Shan podniósł jedną z drzazg i podszedł do regału, Dolan ruszył w stronę Ko, który cofnął się w cień pod ścianą. Miliarder trzasnąwszy chłopaka pistoletem w skroń, powalił go na kolana.

- Nie pomyślałeś, że ten staruch pójdzie tam ze światłem, żeby szukać przyjaciół, ty mały bękarcie! Chciałeś mnie tam zostawić! - W głosie Dolana wciąż pobrzmiwała nuta przerażenia, które musiał odczuwać w ciemnościach, sądząc, że utkwiał na zawsze w pradawnej świątyni.

- Potrzebowałeś odosobnienia - mruknął Ko, trzymając się za głowę. Nie wstawał z klęczek.

Shan spojrział zaskoczony na syna. Gdy zrobił krok w jego stronę, Dolan ostrzegawczo uniósł pistolet.

- Tak właśnie myślicie, przyznajcie - powiedział. - Uważacie, że skoro mam pieniądze, muszę być płytki, że całe te wasze brednie o duszach stawiają was wszystkich nade mną. - W jego oczach pojawiła się niepokojąca dzikość. Ciemność odcisnęła na nim piętno, być może tak, jak chciał Ko. - Nic nie wiecie! Dostaję nagrody za działalność charytatywną na całym świecie. Zasłużyłem na swoje skarby.

- Nie - wolno i spokojnie zaprzeczył Lokesh, który wstał i patrzył na Dolana skupionym, oskarżycielskim wzrokiem. - Może kiedyś rozumiałeś takie rzeczy, może kiedyś je kochałeś. Ale teraz kochasz tylko posiadać.

- Ty stary głupcze - odparł Dolan - co ty wiesz o świecie? Wszyscy tutaj siedzicie i kontemplujecie własne pępki, kiedy ludzie tacy jak ja kształtują oblicze świata.

- Powinieneś zawrócić i odszukać to, co zgubiłeś - stwierdził Lokesh.

Jego słowa boleśnie ugodziły Dolana. Zwinął się, wykrzywił twarz, lecz najwyraźniej nie potrafił oderwać wzroku od spojrzenia Lokesha. Khan zaczął się wiercić. Zadowolony rozejrzał się dookoła.

- Moje ręce - warknął. - Niech mnie pan rozwiąże, a ja dam im nauczkę.

Dolan zignorował go. Wciąż wpatrywał się w Lokesha.

- Myślisz, że ja nic nie rozumiem? Myślisz, że nie mam sumienia? - Zrobił krok w stronę Khana. - Pokażę ci sumienie! Chcesz sprawiedliwości dla zabójcy Punji?! - Jednym szybkim ruchem uniósł pistolet, wycelował go w głowę Khana i wystrzelił.

Nikt się nie poruszył. Twarz Dolana przypominała oblicze jednego z owych demonów o dzikim spojrzeniu przedstawianych na dawnych thankach.

- Macie! - warknął. - Tak właśnie Chińczycy traktują morderców, zgadza się? Kula w łeb.

Khan obwisł na krześle. Głowa opadła mu na stół. Wokół niej zaczęła się rozplýwać kałuża krwi.

- Twoje bóstwo cię opuszcza - stwierdził Lokesh, nie drywając oczu od miliardera. - Możesz je zatrzymać, tylko aśli natychmiast z tym skończysz. Musisz dać spokój, musisz zacząć od nowa.

Jego słowa znów podziały na Dolana jak cios. Miliarder ipojrzał na pistolet w swojej dłoni, potem na Khana.

- Nawet nie wiem, jak się tym posługiwać - powiedział:icho, jakby zakłopotany. - On po prostu wypalił. Widzieliście,)o prostu wypalił.

- Pan jest szalony, Dolan - rzekł Corbett. - Umysłowo mory. Powinien pan się leczyć. - Zrobił krok w stronę regału,) który oparł karabin.

Lokesh podszedł do martwego mężczyzny, położył mu dłoń na plecach, jak gdyby chciał go pocieszyć, i zaczął rozwiązywać krępujące go sznurowadła. Shan dołączył do niego, żeby mu pomóc. Kula zostawiła równe kółko pośrodku czoła Khana.

- Ta dziewczyna w Seattle - odezwał się Shan - to też nie pańska robota, prawda?

Dolan machnął pistoletem w prawo i w lewo, na koniec skierował lufę w Corbetta. Uniósł broń, udając, że składa się do strzału, po czym odszedł i stanął przed portretem Qian Longa.

- To mój samochód - oświadczył tępym głosem, zwracając się do cesarza. - Ja tylko patrzyłem, jak pada nieprzytomna.

- A potem tylko patrzył pan, jak spycha ją pan do kanału, jak zrzuca pan jej rower z drugiego mostu? - zapytał Corbett. Spojrzał na karabin, wciąż oparty o regał.

- Mała Miss Perfect - powiedział Dolan głosem wibrującym jak napięty drut. - Mogłem dać jej wszystko. Ale ona powiedziała, że nie będzie jedną z moich nałożnic. Podrapała mnie, kiedy próbowałem. Zwolniłbym ją, ale pozwałaby mnie do sądu, suka.

Głębokie, przepelnione smutkiem westchnienie poruszyło barkami Corbetta.

- Ona widziała, jak tamtej nocy wyłączył pan alarmy i wpuścił Lodiego oraz Punji.

Dolan wciąż stał zwrócony do portretu Qian Longa.

- Myślała, że nie wiem o jej sekretnym przejściu przez mur. Zawsze mnie unikała. Miała jakieś tajemnice z moimi dziećmi-

Była taką perfekcjonistką, że musiała wrócić i wyłączyć ten cholerny piec. - Odwrócił się wolno. - Zabieram go ze sobą do domu - powiedział.

Shan zrobił krok w stronę syna, wyczuwając, że Ko ma zamiar rzucić się na Dolana.

- Spójrzcie na ich oczy. Oni byli wielkimi ludźmi. Rozumieli te sprawy, znali ciężar władzy. Tego też zabieram - oświadczył miliarder, wskazując portret cesarskiego siostrzeńca.

- Zwiń ich - rzucił do Ko, machając na niego pistoletem.

- Nie jestem pańskim niewolnikiem - odburknął chłopak.

- Owszem, jesteś. A kiedy już znajdziemy skarb, mam co do ciebie plan. Zaprowadzę cię do tego labiryntu i przestrelę ci obie nogi, a potem zostawię w ciemnościach. Wojsko zabierze twoich przyjaciół, a ty umrzesz samotnie, po kilku dniach. - Uśmiech Dolana sprawiał wrażenie wykutego z lodu. - I tak miałeś szczęście. Gdybyś próbował uśmiercić cesarza, zginąłbyś pocięty na tysiąc plasterków.

- Oni nie wiedzą, gdzie jest skarb - warknął Ko. - Dalej już nie pójdziesz.

Dolan znów ściągnął język spustowy, raz i drugi. Ko cofnął się gwałtownie i wykrzywił twarz, chwytając się za rękę. Jedna z kul przeszła mu dłoń. Przez palce zaczęła mu się sączyć krew. Po chwili jednak chłopak zrobił krok w stronę Amerykanina, jakby chciał go sprowokować do kolejnego strzału.

- Nic nie wiesz o cesarzach - syknął Dolan.

Yao wyciągnął chusteczkę i przycisnął ją do rany Ko. Shan stanął między lufą pistoletu a synem.

- Zamierzam go zabić - oświadczył Dolan lodowatym głosem. - Jeśli spróbuje mnie pan powstrzymać, po prostu zrobię to szybciej, zastrzelę go już teraz. Decyzja należy do pana, Shan. Jak pan woli? Ma umrzeć powoli w ciemnościach czy szybko na oczach jego ojca?

Gdy Ko spojrzał w oczy Shana, na jego twarzy nie było śladu błagania, jedynie wyzwanie.

Shan odwrócił się plecami do syna, osłaniając go.

- Zaprowadzę pana do skarbu ambana - powiedział. W izbie znów zapadła martwa cisza.

- Do diabła, nie! - wrzasnął Ko.

- Zabierze mnie pan tam, pomoże mi pan go załadować przetransportować do Lhadrung - wycedził Dolan. W jego ustych oczach zapłonął okrutny, dziki ogień.

- Zrobię to. - Słowa te wyszły z gardła Shana, ale głos iawał się należeć do kogoś innego.

- Nie znasz drogi! - krzyknął Ko za jego plecami.

- Już znam. Pan Dolan mi ją pokazał.

- Nienawidzę cię! - jęknął Ko.

Shan przymknął na chwilę powieki, ale nie odwracał się, eby nie widzieć tego, co zobaczyłby w oczach syna.

- Ale tylko jeśli obieca mi pan, że nie skrzywdzi chłopca - uprzedził Dolana.

- Niech mi pan da skarb, a nie skrzywdzę go.

- Pozwoli mu pan wrócić do obozu. Bez stawiania nowych zarzutów.

- Bez nowych zarzutów - zgodził się Dolan z zimnym, wycięskim uśmiechem. - Ale potem pan sam odda się w ręce ego pułkownika jako zabójca Khana. Podpisze pan oświadczenie, że związał go pan i zastrzelił z zimną krwią z zemsty za śmierć Lodiego i Punji.

Shan spuścił oczy i skinął głową. Nie wiedział, jak długo opatrywał się w podłogę, w końcu jednak uświadomił sobie, że wszyscy patrzą na niego. Wszedł na korytarz.

- Widział pan te tęczowe promienie? - zapytał. Nie mógł już patrzeć na Dolana. - Nad każdymi drzwiami na tym poziomie, i tylko na tym, jest namalowany fragment tęczy, skierowany w górę. Te podstawy wielu tęczy tworzą razem krąg. Podobno kiedy umiera święty człowiek, jego ciało rozpuszcza się w świetle, a jego istota wstępuje do nieba w tęczy. Do nieba. W górę.

- Wiemy już, że jest tu jakiś wyższy poziom - warknął Dolan.

- Taki fragment tęczy jest nad każdymi drzwiami - powtórzył Shan. - Z wyjątkiem jednych, do celi opata. Ponieważ opat był najwyższej rangi mnichem, tym, ku któremu wiodły wszystkie tęcze, tym, który żył w bramie niebios. - Wszyscy poza Lokeshem ruszyli za nim. Stary Tybetańczyk pozostał przy zwłokach Khana, leżących teraz na podłodze pod regałem. Łagodnie ocierał głowę martwego mężczyzny, oglądając mu czaszkę, szepcząc słowa pouczeń pośmiertnych. Dla Tybetańczyka jedną z najstraszniejszych rzeczy, jakie mogły go

spotkać w chwili śmierci, była rana zamykająca otwór na czubku głowy, przez który dusza opuszcza ciało.

- Idziemy do centrum wszechświata - przypomniał mu Shan.

Lokesh uniósł dłoń, przyjmując to do wiadomości, ale nie oderwał oczu od martwego mężczyzny.

Dolan zrobił krok w stronę starego Tybetańczyka i otworzył usta, najwyraźniej zamierzając przywołać go do porządku, zawahał się jednak, gdy jego wzrok padł na zwłoki. Na chwilę w jego oczach znów pojawił się dziki obłęd, jak wówczas, gdy wyszedł z labiryntu.

- On odszedł, ty głupcze. Tam już nic nie ma - powiedział płacząco.

- Nie - odparł Lokesh. - Niektórym ludziom po śmierci można pomóc bardziej niż za życia - dodał znacząco.

Dolan uniósł pistolet, ale zrobił to bez przekonania, niepewnie, jakby chciał tylko przestraszyć Lokesha.

Shan podszedł wolno do miliardera, nie spuszczać z oka lufy pistoletu. Gdy dotknął chłodnej stali, Dolan wzdrygnął się, jak gdyby Shan dotknął jego samego.

- Kiedy umiera zabójca - oświadczył Shan - istnieje niebezpieczeństwo, że to, co pozostaje, nigdy nie odnajdzie piękna.

Przez chwilę Dolan przyglądał się badawczo jego twarzy, jakby miał zamiar poprosić go o wyjaśnienie, ale nie odezwał się słowem. Posłusznie opuścił rękę z pistoletem i wyszedł z Shanem na korytarz.

Chwilę później Shan stał na środku sąsiedniej izby, celi opata, rozglądając się po niej w milczeniu. Khan i Lu nie próżnowali. Ściany zostały ogołoczone z malowideł. Cztery z siedmiu rytualnych czarek, które stały przedtem na prostym, wbudowanym w ścianę ołtarzu, rzucili na podłogę. Shan podniósł jedną z nich i obejrzał ją uważnie, nim ponownie postawił ją na ołtarzu.

- Czarki - powiedział cicho, przyglądając się ścianie. - tian i Lu myśleli, jak przypuszczam, że mogą mieć jakąś artość, i wyrzucili je, gdy się przekonali, że nie zrobiono ich szlachetnego kruszcu. Są ciężkie, jak z litego złota, ale to nie jest złoto, tylko ołów. W tych trzech - wskazał czarki pozostawione przez złodziei na ołtarzu - wciąż jeszcze są resztki iar z ziół. W pozostałych czterech powinna być woda, która wyparowała już dawno temu. - Przyjrzał się zdziwionym twarzom swych towarzyszy. - Dajcie mi butelki z wodą.

Corbett i Yao, zerkając na Dolana, sięgnęli do plecaków wyciągnęli dwie butelki. Dolan po tym, jak wy dostał się labiryntu, był jeszcze bardziej przerażający niż poprzednio, edział na łóżku, z rękoma splecionymi na piersi, kołysząc się w przód i w tył. Patrzył przed

siebie mniej lub bardziej ieprzytomnie. Shan zauważył, że Corbett i Yao spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Przerażony, że spróbują rzucić się na szaleńca, dotknął ramienia Corbetta, wskazując puste arki.

- Tu osiąga się niebo, składając hołd bóstwu - wyjaśnił.

- Pieprzenie - odezwał się Dolan. Wstał, mierząc do niego pistoletu. - Nikomu nie składam hołdu. Nie znasz jeszcze tojej mocy.

- Nic nie może się równać z mocą starego Tybetańczyka siłującego pomóc duszy chińskiego zabójcy - odparł Shan.

Usta Dolana wykrzywił pogardliwy grymas.

- Kto chce iść wyżej, do centrum gompy, musi złożyć ofiarę a ołtarzu - ciągnął Shan. - To dotyczy każdego z nas.

Twarz Dolana nie zmieniła wyrazu, ale wykonał polecenie hana, napełniając czaręk wodą.

Gdy Ko postawił na ołtarzu czwartą czaręk, dało się słyszeć tłumione stuknięcie, jak gdyby gdzieś w pobliżu przesunęły ię kloce drewna, uderzając o siebie nawzajem.

- Poprzednim razem sprawdziliśmy wiele ścian - posiedział Shan. - Ale nie mieliśmy czasu sprawdzić każdej owierzchni, każdego fragmentu. Kiedy Dolan strzelił do egału w tamtej celi, myślałem, że pocisk trafił w okładkę:siążki. - Podniósł drzazgę, która leżała na podłodze. - Ale to schodzi ze ściany. Kula uderzyła w ścianę za regałem. Ściana 3st z drewna, tylko pomalowana jak kamień. - Podeszedł do ściany przy łóżku opata, w miejscu, naprzeciw którego, według jego oceny, uderzyła kula w sąsiedniej izbie. Namalowano tu gniewne bóstwo opiekuńcze wyciągające ręce ku niebu. Shan przyjrzał się mu, po czym położył dłonie na rozcapierzonych dłoniach bóstwa i nacisnął. Drewniana ściana przesunęła się do środka, ukazując małą izbę. W głębi znajdowały się prymitywne, przypominające drabinę schody wykonane z surowego, ręcznie obrabianego drewna. Podobne schody widywał już w ubogich świątyniach, gdzie umożliwiały dostęp do wysoko położonych sanktuariów. Podobne schody mogły być w użyciu od setek lat, nim wzniesiono pierwsze tybetańskie świątynie.

Dolan sprawiał wrażenie, jakby dotarcie na wyższy poziom nagle przestało go interesować. Nie odezwał się słowem, gdy Shan wszedł na schody, milczał też, gdy Corbett, Yao i Ko ruszyli za nim starą trzymetrową drabiną i dołączyli do niego w krótkim, wyłożonym wonnym drewnem korytarzu prowadzącym do niskich drzwi, obok których znajdowała się półka z kilkunastoma brązowymi lampkami maślanymi. Zanim Shan uświadomił sobie, co robi, wyłączył swą elektryczną latarkę, odłożył ją na półkę i zapalił lampkę maślaną. Nie pytając dlaczego, pozostali zrobili to samo.

Zawahali się, spoglądając po sobie, w końcu Shan skinął na Ko, aby ruszył przodem. Gdy szli korytarzem, usłyszeli odgłos przypominający szum wiatru. Stawał się on coraz głośniejszy, powietrze robiło się chłodniejsze. Nagle zniknęły boczne ściany i Ko się zatrzymał. Spojrzał w dół. Podłoga także zniknęła. Chłopak stał na pojedynczej belce. Belka była złota, zdobiona bogatym reliefem przedstawiającym jelenie, ptaki i kwiaty. Przywiązana była do niej lina z sierści jaka, eleganckim łukiem biegnąca w mrok po drugiej stronie. Ko wyciągnął lampkę w bok. Pod belką pędziła czarna woda.

- To fosa - stwierdził Shan. - Symboliczny ocean, który otacza górę Meru w centrum wszechświata. Za oceanem znajdują się złote góry.

Gdy Ko ruszył po belce, Dolan dołączył do nich, również przyświecając sobie jedną z lampek maślanych. Był to otepiały, gniewny Dolan, wciąż z pistoletem w dłoni. Gdy spostrzegł otą belkę, symboliczny most zwodzony, na jego twarzy pojawił się wyglodniały uśmiech.

Za mostem, na wykutych w żywej skale cokołach, stało edem wykonanych ze złota lśniących mitycznych gór, wzorowanych najwyraźniej na szczytach Himalajów, pierwsza ysoka na przeszło sześćdziesiąt centymetrów, kolejne coraz mniejsze, aż do ostatniej, mierzącej nie więcej niż dwadzieścia ięć centymetrów. Dolan szturchnął kilka z nich, próbował nieść najmniejszą, jakby oceniał je pod kątem transportu.

Nagle znaleźli się w okrągłej sali o średnicy około sześciu letrów, z kopulastym sklepieniem pomalowanym na czarno, rzez co sprawiała wrażenie bezkresnego nocnego nieba. Tuż nad ich głowami sklepienie otaczał pas srebra ozdobiony świętymi symbolami, z wstawką z innego materiału znakującą każdą z czterech stron świata: złoto na północy, kryształ;órski na wschodzie, szafir na południu, rubiny na zachodzie. Podłogę sali otaczał kanał z wartko płynącą wodą, co nadawało jej wygląd unoszącej się na morzu wyspy.

Na brzegu „wyspy” stały kręgiem cztery eleganckie, wygięte w łuk stoły ołtarzowe, pomiędzy którymi, pod symbolami kierunków świata, pozostawiono przerwy, niczym bramy. Każdy z ołtarzy zastawiony był wizerunkami bóstw ze złota, srebra, Lapis lazuli i drogich kamieni. Gdy Shan szedł wzdłuż kapiących od ozdób stołów ofiarnych, szum pędzącej wody stawał się coraz głośniejszy. Przy znaku północy oświetlił fosę lampką i odkrył zdradliwe kłębowisko wody, gwałtowny wir o mniej więcej metrowej średnicy, wskazujący miejsce odpływu. To był szczyt wodospadu, uświadomił sobie, źródło wody, która opadała w przepaść pod Zhoką.

Odwrócił się i spostrzegł, że pozostali wpatrują się jak urzeczeni w zgromadzone na ołtarzach przedmioty. Yao stał przed najpiękniejszym wizerunkiem Buddy Śakjamuniego,

jaki Shan kiedykolwiek widział, odlanym ze złota, wysokim na sześćdziesiąt centymetrów posążkiem o oczach z lapis lazuli i twarzy tak realistycznej, oddanej tak drobiazgowo, że wyglądała jak maska zdjęta z twarzy żywego człowieka.

- Mechaniczna mandala - szepnął inspektor - tak jak opisywał amban. - Pchał dźwignię na nakrytym kopułą urządzeniu ze srebra i złota i przyglądał się, jak wieko rozkłada się na boki niczym płatki lotosu, a cztery koncentryczne pierścienie unoszą się, tworząc miniaturową wersję pałacu Zhoki. - To wszystko jest tutaj, jak w liście ambana. - Obok mechanicznej mandali znajdowały się dwie thanki o żywych barwach, rozwinięte niemal poziomo na niskich drewnianych stelażach, oraz wyrzeźbiona z czarnego jak węgiel kamienia figurka Jambhali, bóstwa opiekuńczego, klęczącego, jak gdyby na chwilę przed skokiem, z wielkim rubinem w kształcie drogocennej wazy w rękach. Dalej stał misterny srebrny posążek Buddy Przyszłości, a za nim dostojny Budda na złotym tronie, nie tradycyjnym, z kwiatów lotosu, ale smoczym tronie dynastii Ching.

Dolan wydawał dziwny odgłos, brzmiący ni to jak modlitwa, ni to jęk. Nieco dalej stał Corbett, który wpatrywał się w wir.

Dolan podniósł czarny posążek opisany w liście ambana, przyglądał mu się przez chwilę, po czym postawił go przy wejściu do sali. Jego twarz znów stała się trupio blada. Z zakłopotaną miną przenosił wzrok z posążka na pozostałe po nim puste miejsce na ołtarzu. Przetawiał sąsiednie przedmioty, jakby chciał zatuszować jego zniknięcie.

Shan nie wątpił, że zdołałby skłonić tego Dolana, niepewnego Dolana, żeby odszedł, przekonać go, by przemyślał sprawę raz jeszcze, a przynajmniej dał im trochę czasu, aby mogli zatroszczyć się o martwych mnichów, których obraz go prześladował, zanim ich okradnie. Ale nie sposób było przewidzieć, kiedy znów przebudzi się gniewny, brutalny Dolan, ten, który mordował ludzi, a chwilę później zapominał o tym. Coś szamotało się w duszy Amerykanina, coś, czego on sam nie potrafiłby nazwać.

Ale gdy nękany wątpliwościami Dolan patrzył na ołtarze, nagle stanął mu nad głową Corbett.

- Dość już tego, Dolan - oświadczył.

Ton sprzeciwu przywrócił do życia gniewnego Dolana. Twarz miliardera znów stała się zacięta. W jego dłoni pojawił się pistolet.

- Ta pańska włoska pukawka ma magazynek na osiem aboi - zauważył Corbett. - Zostały panu jeszcze trzy. Nas;st czterech.

- Jeśli zabiję jednego albo dwóch, to powstrzyma resztę - powiedział szyderczo Dolan.

Corbett pokręcił głową.

- To będzie tak: rzucę się na pana i być może uda mi się wytrącić panu broń. Może wpakuje pan we mnie kulkę, może nie. Ale ja jestem sporym facetem, a pan jest kiepskim strzelcem. Jeden pański strzał nie wystarczy, żeby mnie położyć, i w tym czasie pozostali zdążą odebrać panu broń. Bez broni jest pan zwykłym zafajdany szabrownikiem.

- Tak czy inaczej, kończy pan jako trup. - Dolanowi najwyraźniej spodobała się zagrywka Corbetta.

Agent wzruszył ramionami.

- Przemyślałem to sobie. Tutejsi ludzie, ci, do których naprawdę należy Zhoka, są ważniejsi, niż pan będzie kiedykolwiek. W domu nikogo nie obejdzie, jeśli zginę. Ale wiem, że ludzie tacy jak Lokesh usiądą przy mnie i wypowiedzą odpowiednie słowa. Wie pan, czego to miejsce nauczyło mnie przede wszystkim? Bez względu na to, jak bardzo ludzie tacy jak pan rozpieprzają świat, prawda pozostaje prawdą. Zawsze istnieje jeszcze jedna szansa.

Pistolet w dłoni Dolana zadrżał. Miliarder zacisnął na nim drugą rękę, stabilizując chwyt, i nagle wycelował broń w Shana.

- Nie muszę zabijać pana, żeby powstrzymać pana i Yao. Jeśli podejdzie pan bliżej, zastrzelę Shana. To on spowodował to wszystko. To on ściągnął mnie tu podstępem. Nie przypuszczałem, że to będzie... Powinienem być zostać w domu i wysłać tu swoich ludzi. Wy wszyscy możecie odejść, ale on musi zginąć. Cokolwiek się stanie, on zginie. On jest jak jeden z tych cholernych demonów opiekuńczych, którym wydaje się, że mogą odstraszyć człowieka. Które myślą, że Dolan jest mordercą. Które myślą, że Dolan nie kocha piękna.

Shan nie poruszył się. Oczy miliardera zaśmiały. Zrobił krok w jego stronę i odbezpieczył pistolet.

- Mówi pan, że Dolan jest kiepskim strzelcem? Niech pan patrzy.

W chwili, gdy pistolet wypalił, coś przemknęło przed oczyma Shana i czyjeś ramię odepchnęło go na bok. Shan, zdezorientowany, z hukiem wystrzału wciąż jeszcze dudniącym w uszach, zobaczył, że Yao, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie, odwraca się, drżąc, chwytając się za brzuch i osuwa na kolana. Dolan cofnął się o krok, ze zgrozą w oczach, otwierając usta, jakby zamierzał się czegoś wyprzeć. A potem, wciąż w zwolnionym tempie, Ko wyskoczył w powietrze, z impetem zwałił się na Dolana, oplatając go ramionami, przycisnął mu rękę z pistoletem do tułowia i pozbawiwszy równowagi, zepchnął o krok, potem dwa, pod złoty znak północy. I nagle zniknęli.

- Nie! - krzyknął Shan. W mgnieniu oka znalazł się na skraju wyspy i pochylił się nad wodą. Ko wciągnął Amerykanina prosto w wir. Nie było po nich śladu.

Shan odwrócił się i ujrzał Corbetta klęczącego obok Yao. Inspektor opierał się plecami o ołtarz i coś do nich mówił, trzymając dłoń na brzuchu. Przez palce sączyła mu się krew.

- Ruszajcie! - krzyknął Yao. - Ko może wisieć na dole! Obaj! Biegiem!

Shan zawahał się, patrząc na ranę inspektora. Jego koszula była przesiąknięta krwią.

- To nic! - warknął Yao. - Idźcie!

Trzy minuty później Shan i Corbett dotarli do podziemnego strumienia u stóp wodospadu i pobiegli z jego nurtem w stronę wylotu, omiatając tunel latarkami, przyglądając się obu brzegom. Na końcu, gdzie strumień spływał w przepaść, zobaczyli, że ostatni żelazny szczebel, przeżarty rdzą, ten sam, na którym dwa tygodnie wcześniej zatrzymał się Corbett, jest złamany, wygięty na zewnątrz, jakby zawisł na nim jakiś wielki ciężar. Shan poczuł, że wzbiera w nim straszliwa pustka.

- Pewnie uderzył się w głowę - stwierdził ze smutkiem Corbett. - Wątpię, żeby cokolwiek poczuł.

Shan wiedział, że Amerykanin nie mówi o Dolanie.

- Niech pan wraca do Yao - powiedział. - Niech pan go wyprowadzi na powierzchnię.

- Popatrzył na biegnącego w głąb tunelu agenta i znów odwrócił się w stronę wylotu strumienia. Z jego gardła wyrwał się cichy jęk. Osunął się na kolana. Dużo, dużo później wstał, wciąż otępiały, i ruszył z powrotem ku świątyni. Nie dostrzegł ani śladu Corbetta i Yao. Gdy przeszedł przez wąski, wykuty w skale tunel, zawahał się i nagle stwierdził, że zamiast ku drabinie z kołków, wiodącej na następny poziom, idzie w przeciwną stronę, ku pierwszemu korytarzowi z kaplicami, do którego weszli.

Gdy dotarł do północnej bramy, do sali, do której wpłynęli pod wodospadem, w pierwszej chwili pomieszczenie wydawało mu się puste. Ale kiedy po raz drugi oświetlił je latarką, dostrzegł stertę szmat wiszącą nad wodą na drugim końcu. Zbliżył się wolno, jak we śnie, dopóki nie otrzeźwiło go nagle zrozumienie. Ruszył biegiem.

- Ko! - krzyknął.

Jego syn leżał na brzegu, z ręką w lodowatej wodzie. Oddychał, ale najwyraźniej był nieprzytomny. Shan obrócił go i położył sobie jego głowę na kolanach, głaszcząc włosy chłopaka, wcierając ciepło w jego dłonie.

- Strumień porwał go ze sobą - odezwał się Ko słabym głosem. - Ja dostałem się pod wodospad. On się szamotał, wpychał mnie pod kaskadę, a potem spłynął z prądem, a ja zacząłem tonąć. Opadałem coraz głębiej i głębiej. Przepraszam. Wciąż miałem dwa z tych złotych posążków. A potem znów usłyszałem to, co mówił Lokesh. Musisz pozbyć się

wszystkiego, żeby zacząć od nowa. Więc opróżniłem kieszenie i złoto opadło w dół, a ja zacząłem się wznosić. - Ko, pospiesznie wyrzuciwszy z siebie ostatnie słowa, zaczął kaszleć.

Kwadrans później Shan i Ko, w kurtce ojca, szli przez kolejne poziomy świątyni. Shan wciąż się spodziewał, że lada moment spotkają Corbetta i Yao, wciąż nasłuchiwał odgłosów, które świadczyłyby o tym, że schodzą, ale na górze panowała głucha cisza.

- Wszyscy są już na zewnątrz - stwierdził, gdy odkrył, że Lokesh opuścił izbę Kamiennego Smoka, pozostawiając zwłoki Khana na podłodze.

Ale gdy w końcu postawił stopę na złotej belce, zatrzymał się. Cisza miała jakieś nowe brzmienie. Potem usłyszał znajome słowa i znów chwycił go w szpony mdlący paraliż. Postawiwszy dwa kroki, musiał się oprzeć o jedną ze złotych gór, żeby nie upaść. Lokesh recytował pouczenia pośmiertne.

Gdy Shan chwiejnie wszedł do okrągłej sali, Corbett, siedzący z Lokeshem przy zwłokach Yao, uniósł ku niemu wzrok.

- On specjalnie was odprawił - powiedział przepaszająco stary Tybetańczyk. - Nie chciałem, żebyście widzieli, jak jest z nim źle. Musiał napisać list. - Wskazał złożoną kartkę papieru sterczącą z kieszeni Corbetta.

Ko podszedł do nich i z jękiem uklęknął obok Yao.

- Kula przerwała tętnicę brzuszną - wyjaśnił Corbett. - Kiedy wróciłem, już konał. Powiedział mi, że zrozumiał, że nie ma żadnych szans, kiedy poczuł, jak twarde jest jego brzuch. Krwotok wewnętrzny.

- Co to za list? - zapytał Shan.

- Do pułkownika Tana i Rady Ministrów - oparł Corbett.

Ko wstał i z jakiegoś powodu zaczął wycierać kurz ze wszystkich posążków.

Shanem wstrząsnął niemy szloch. Po chwili usiadł na ziemi i w otępieniu poprawiał na Yao ubranie, powtarzając bezgłośnie za Lokeshem słowa pouczeń pośmiertnych, podczas gdy jego syn odkurzał bóstwa zamieszkujące w centrum wszechświata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cisza tuż po śmierci jest dźwiękiem samym w sobie, niczym milczący krzyk lub głuchy, szarpiący trzewia grzmot, odbierany nie uchem, ale samą istotą słuchu. Shan ujął dłoń Yao, jeszcze ciepłą, i ścisnął ją oburącz.

Lokesh przerwał recytację, żeby napić się wody z butelki, którą podsunął mu Corbett, i dostrzegł ból na twarzy przyjaciela.

- Tutaj nie będzie miał żadnych kłopotów - szepnął uspokajająco.

- Tutaj? - zapytał łamiącym się głosem Shan.

- W Zhoce. Nawet dusza tak mizerna jak tego Amerykanina może nie być zupełnie stracona, gdyż została wyzwolona wśród tylu pięknych duchów, które tu mieszkają.

Shan uśmiechnął się smutno i zwrócił się do Corbetta.

- Co jest w tym liś...? - Urwał w pół słowa, gdy z dołu rozległ się rozpaczliwy krzyk.

Ko wypadł z sali i wrócił po dłuższej chwili.

- To Jara! - zawołał. - Mówi, że żołnierze atakują Zhokę! Pasterz stał u stóp schodów na trzecim poziomie.

- Przylecieli helikopterami pod starą kamienną wieżę - oznajmił z niepokojem w oczach. - Mnóstwo żołnierzy, a wszyscy biegną w tę stronę.

- Musimy wyjść do nich - stwierdził znużonym głosem Shan. - W przeciwnym razie będą szukać, dopóki nie znajdą świątyni.

- Musimy zabrać Yao - dodał ponuro Corbett. - Szukaliby też jego.

Przy pomocy Jary podnieśli zwłoki Yao i zamykając po kolei tajemne drzwi, już po kwadransie, mimo że było to trudne zadanie, wspinali się po schodach wiodących ku powierzchni.

Byli już niemal na zewnątrz, gdy kilka głosów naraz krzyknęło, żeby nie ruszali się z miejsca. Z cienia pod bocznymi ścianami wyskoczyli żołnierze w zielonych mundurach mierząc do nich z karabinów. Minutę później obaj stali przed pułkownikiem Tanem, który z papierosem w ustach i gniewnym błyskiem w oku stał oparty o czorten.

Wyciągnął z kieszeni złożony papier i rzucił go Shanowi. Był to brudnopis jednego z raportów Minga dla Pekinu. *Bunt więźniów w Lhadrung*, głosił nagłówek. Pułkownik udawał, że nie widzi ponurych min Corbetta i Shana.

- Napisał, że to się stanie dzisiaj - powiedział.

- Wydarzyła się straszliwa tragedia, pułkowniku - wtrącił Corbett. - Yao został zabity przez szabrowników. Dolan spadł i zabił się, próbując stawić im opór.

Shan spojrział na Corbetta, starając się nie zdradzić zaskoczenia.

Tan przyjrzał się im bez słowa.

- Kłamiecie.

Corbett wyciągnął list Yao i podał go Tanowi.

- Inspektor Yao wyjaśnił to wszystko, zanim zmarł. Był... był bohaterem.

Tan zerknął na Shana, nie otwierając listu. Po chwili jego spojrzenie powędrowało gdzieś dalej i Shan zauważył, że gniew pułkownika zmienił charakter, nie wygasł, ale jakby nałożyło się na niego znużenie. Tan oderwał się od czortenu i minawszy Shana, podszedł do najbliższego muru, gdzie pod osłoną kamiennej półki bielila się plama, ślad rozsypanej podczas święta mąki. Tan dotknął jej, uniósł palec do ust, po czym odwrócił się znów do Shana i zmierzył go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Jeśli Ming ma rację, jeśli to wszystko jest jakąś intrygą, żeby pomóc więźniom w ucieczce, to będzie wasz koniec.

- Koniec nas obu, pułkowniku - odparł Shan. - Dlaczego przyszliście tutaj, skoro niepokoiacie się o więźniów?

- Dlatego, że Ming tak powiedział. - Tan skrzywił się, jakby pożałował tych słów. - Napisał w raporcie, że Tybetańczycy ściągają wielki złoty wizerunek Buddy, Buddę z Gór, który ma być sygnałem do wszczęcia buntu, że więźniowie zamierzają uciec, aby przemycić go przez granicę i złożyć w darze dalajlamie, a po drodze chcą werbować okolicznych mieszkańców. Ming twierdzi, że to spisek uknuty przez ludzi z zewnątrz, by zdestabilizować sytuację polityczną w tym okręgu. - Zacisnął dłoń na liście, przyglądając mu się z niepewną miną, a następnie spojrzął na Corbetta. - Domyślam się, że ciała zaginęły - warknął.

- Tylko jedno - odparł Amerykanin.

Zeszli po schodach, powoli, poprzedzani przez żołnierzy, jak gdyby groziła im jakaś zasadzka. U podnóża schodów Lokesh i Ko siedzieli przy zwłokach Yao, opartych plecami o ścianę. Tan przykucnął i chwycił inspektora za ramię, jakby chciał nim potrząsnąć, zmusić go, żeby zaprzestał komedii, natychmiast jednak je wypuścił i cofnął się od zimnego już ciała. Z jego ust wyrwał się cichy jęk.

- Ci z Pekinu nigdy nie rozumieją. - Zabrzmiało to, jakby przepraszał Yao. Potem wstał i rzeczowym tonem zażądał, żeby pokazali mu miejsce, gdzie spadł Dolan.

W całkowitym milczeniu poszli wolno w głąb tunelu, do wodospadu i dalej, wzdłuż strumienia. Żołnierze Tana zerkali niespokojnie na malowidła ścienne, on sam przystawał kilkakrotnie, żeby przyjrzeć się gniewnym bóstwom, i zdawało się, że ma zamiar o coś zapytać, jednak za każdym razem ruszał dalej bez słowa.

- Czy on żył jeszcze, kiedy strumień zniósł go w przepaść? - zapytał, gdy stanęli nad kaskadą, patrząc na wykręcone, połamane żelazne szczeble.

- Nie wiemy - odparł Shan. - Prawdopodobnie.

- Musimy znaleźć ciało. Jego spadkobiercy będą musieli mieć pewność. - Podszedł bliżej do ujścia strumienia. - Tam w dole jest zbyt niebezpiecznie dla helikoptera.

- Wąwóz łączy się z doliną osiem kilometrów stąd - wyjaśnił Shan.

- Wyślę żołnierzy.

- Tam są dwa ciała - zaznaczył Shan. - Powinni pójść też inni, żeby powiedzieć odpowiednie słowa.

Tan zmarszczył brwi.

- Macie na myśli tę McDowell? Chcecie powiedzieć, że powinni tam pójść Tybetańczycy, by odmówić modlitwy za Amerykanina i Angielkę? To śmieszne.

- Żeby odmówić modlitwy za dwoje ludzi, którzy zmarli w tybetańskim klasztorze. Wyślijcie Lokesha.

- I mnie - wtrącił Ko, wychodząc przed pozostałych. - Ja też pójdę.

- Ty potrzebujesz lekarza - zaprotestował Shan. Przestrzelona dłoń chłopaka wciąż broczyła krwią.

Tan znów zmarszczył brwi.

- Ty jesteś więźniem. Pójdiesz, gdzie ci każą.

Ko jakby zmałał. Shan patrzył na syna, który ze wzrokiem utkwionym w kłębiącą się, czarną wodę, odpowiedział wolno:

- Jestem więźniem. Pójdę, gdzie mi każecie.

Tan zaczął rzucać rozkazy stojącemu za nim adiutantowi.

- Kajdanki - dodał na koniec.

Oficer odczepił od pasa parę kajdanek i ruszył w stronę Ko.

- Nie dla niego - powstrzymał go Tan i zwrócił się do chłopaka. - Pójdiesz z oddziałem poszukiwawczym do wąwozu, żeby pomóc temu staremu Tybetańczykowi nadażyć za moimi ludźmi. Jutro oficer Urzędu Bezpieczeństwa zabierze cię z powrotem do kopalni węgla. - Wziął kajdanki i zamknął jedną obręcz na nadgarstku Shana. - On idzie ze mną - oświadczył - żeby zapobiec buntowi więźniów. - Drugą obręcz zatrzasnął na własnym przegubie.

Gdy oficer odprowadzał Ko w głąb tunelu, chłopak przystanął obok Shana, wyciągnął z kieszeni jakieś papiery i nie patrząc na ojca, wcisnął je do kieszeni jego kurtki. Shan zerknął w dół. Były to czeki Dolana, ostatnia szansa Ko na odzyskanie wolności. Wolną ręką przytrzymał syna, wyciągnął z kieszeni inny papier i podał mu go. Chłopak zerknął na kartkę, po czym szybko sięgnął po nią i wsunął pod koszulę. Był to portret Punji McDowell, który Shan zabrał z Bumpari.

Pół godziny później Shan wraz z pułkownikiem ze zdumioną miną spoglądał na teren robót Czterysta Czwartej. Więźniowie byli znów w dolnej części doliny, gdzie oczyszczali i wyrównywali pola pod wysokim urwiskiem.

- Myślałem, że zatrzymacie ich w obozie - odezwał się Shan. Widok okolicy budził w nim jakieś niejasne wspomnienia.

- Nie dam się zastraszyć plotkami - oświadczył Tan, zapalając papierosa. - Byli już w pracy, kiedy odkryłem ten raport Minga.

Shan spojrział tam, gdzie patrzył pułkownik, na srebrny samochód zaparkowany między dwiema wojskowymi ciężarówkami. Był to wóz Minga.

- To znaczy, że on wam o tym nie powiedział? - zapytał.

- Najwyraźniej nie zamierzał dzielić się ze mną swymi spostrzeżeniami.

Zapewne, odgadł Shan, Ming miał nadzieję, że ucieczka się powiedzie. Desperacja dyrektora nie wpłynęła ujemnie na jego instynkt polityczny. Tan byłby skompromitowany. Ming mógłby skierować na inny tor każde śledztwo dotyczące jego własnych poczynań, a Pekin miałby niezbitą dowód jego politycznej przenikliwości. Gdyby udało mu się odnaleźć złotego Buddę bez świadków, zostałby bogaczem. A gdyby złoty Budda objawił się publicznie, mógłby po prostu zagarnąć go dla swego muzeum i rozgłosić to w krajowych gazetach. Polityczne skarby, które miał szansę zebrać w Lhadrung, były dla niego warte więcej niż skarb ambana.

Tan nie oponował, gdy Shan ruszył w stronę samochodu Minga. Drzwi były zamknięte, ale na tylnym siedzeniu stało kartonowe pudło z kilkoma młotkami i dłutami. Trzydzieści metrów dalej na skraju szosy stała mała przysadzista ciężarówka. Na jej platformie siedziało trzech mężczyzn. Ming przygotował się na każdą ewentualność.

Więźniowie pracujący pod urwiskiem usuwali z pola kamienie, rozbijali zbite grudy, zwozili taczkami ziemię, którą wypełniali płytkie zagłębienia. Całą straż stanowiła jedynie garstka żołnierzy pilnujących dwustumetrowego pasa oddzielającego teren pracy więźniów od sąsiednich poletek, na których tu i ówdzie krzątali się tybetańscy chłopcy. Shan, wciąż przykuty do Tana, ruszył za nim skrajem pola ku szarym ciężarówkom, które na koniec dnia miały odwieźć więźniów do baraków. Pułkownik najwyraźniej robił wszystko, żeby Shan nie miał okazji nie tylko zbliżyć się na odległość głosu do jakiegokolwiek więźnia, ale nawet nawiązać kontaktu wzrokowego. Ciągnął go za sobą, zmuszając niemal do biegu, i oczyma drapieżnika rozglądał się po okolicy.

- Może to naprawdę tylko plotka - podsunął cicho Shan, gdy dotarli do ciężarówek.

- Każdy dom, każde obozowisko na tych wzgórzach świeci pustkami - odparł Tan. - Stada pozostawiono w wąwozach, strzegą ich tylko psy. Nigdzie nie ma ani śladu ludzi. - Kiedy spojrzął na Shana, w jego oczach znać było chłodną wściekłość, ale i coś jeszcze, coś, co wyglądało niemal jak ból. - Nie zmuszajcie mnie do tego - powiedział. - Jeśli chcecie coś zrobić, zróbcie to teraz.

Shan nie odpowiedział.

Tan przyjrzał mu się, zaciskając zęby, po czym podszedł do najbliższej ciężarówki i odrzucił plandekę. W środku siedziało pół tuzina żołnierzy, czujnych, z niepokojącym, głodnym spojrzeniem. Przed nimi stał karabin maszynowy na trójnogu.

- Są jeszcze dwa takie pododdziały - oświadczył pułkownik. - Ukryte w skałach i w zaroślach u stóp urwiska. Otrzymały już rozkazy. - Skinął na stojącego w cieniu adiutanta. - Poruczniku. Zasady postępowania w takiej sytuacji.

Młody oficer podszedł do niego i wyprężył się.

- Jeśli wśród więźniów pojawią się oznaki buntu, należy wydać jedno ostrzeżenie, a tym, którzy okażą posłuszeństwo, rozkazać, żeby położyli się na ziemi w celu uniknięcia ostrzału.

To niemożliwe, powiedział sobie Shan. Nie po to tak długo i tak uparcie, ponosząc takie ofiary, starali się odkryć prawdę na temat Zhoki i obu kradzieży, żeby teraz wszystko zaprzepaścić. Z pewnością Liya i ludzie ze wzgórz nie są tak głupi, by porwać się na coś takiego. Tan z pewnością nie jest tak głupi, żeby odpowiedzieć na to masakrą. Ale spojrzawszy w oczy pułkownika, zrozumiał, że się myli. W oczach Tana nie było już okrucieństwa, tylko cień smutku. To nie z okrucieństwa rozkazałby żołnierzom strzelać. Zrobiłby to z powodu polityki, z powodu stałych instrukcji, które nie zostawiały mu żadnej swobody decyzji co do metod tłumienia buntów więźniów.

Shan ponownie rozejrzał się po okolicy, rozpaczliwie starając się odnaleźć w tym wszystkim sens. Nienawidził siebie za to, iż kazał Tashiemu powiedzieć Mingowi, że Budda z Gór opuścił kryjówkę, że Dolan próbuje go znaleźć. Chciał jedynie oddzielić Minga od Dolana. Ale teraz chciwość dyrektora muzeum mogła doprowadzić do śmierci ludzi z 404. Brygady Budowlanej. Ming zamierzał zainscenizować bunt, a może nawet go wywołać. Jeśli zadowolił się fałszywym grobem, również fałszywy bunt z pewnością byłby wystarczający dla jego celów.

- Lu opuścił góry razem z Mingiem - powiedział.

- Nikt go nie widział. - Tan wypuścił z nozdrzy dwie strugi tytoniowego dymu. - Nie mamy żadnego powodu go szukać. Nie udowodniliście jeszcze, że ktokolwiek z tych ludzi jest przestępcą.

- Yao to udowodnił.

- Raport Yao zniknął w Pekinie.

Gdy rozmawiali, na skraju pola pojawił się Ming, w wojskowej kurtce na białej koszuli. Obok niego szedł drobnym, niepewnym krokiem ktoś w długim wojskowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Ming najwyraźniej dobrze go znał. Przystanął, kładąc mu dłoń na ramieniu, i nachyliwszy się, powiedział mu coś do ucha. On także, pomyślał Shan, czuje się niepewnie. Wie tylko, że skarb jest już blisko.

Zniecierpliwienie Tana stawało się oczywiste. Wypalił drugiego papierosa i zaraz potem wolną ręką stuknął w paczkę i wyjął wargami trzeciego. Ciągnąc Shana, ruszył ostro skrajem pola i szedł tak, wskazując każdy dostrzeżony ruch w skałach pod urwiskiem, klnąc, gdy za pierwszym razem okazało się, że to czmychający pika, a za innym - duży ptak.

Gdy znów spojrział w stronę Minga, nagle z ramion towarzyszącego dyrektorowi mężczyzny spadł płaszcz, lecz on szedł dalej, jakby tego nie zauważył.

Shan bezwiednie wyciągnął przed siebie rękę, aż targnął kajdankami. To był Surya. Ming sprowadził Suryę do więźniów. Być może chciał w ten sposób sprowokować incydent, gdyż prędzej czy później Surya nie zdoła się powstrzymać, zechce podejść do uwięzionych starych łamów, a wówczas stanie się głuchy na protesty strażników, naruszy strefę śmierci, nie zważając na swoje bezpieczeństwo. Albo może dyrektor zamierzał się w ten sposób upewnić, że Shan nie będzie się wtrącał.

- Ten Ming zachowuje się jak jakiś cholerny oficer polityczny - rzędził Tan. - Paraduje po całym... - Urwał. Nagle rozległ się nowy dźwięk. Ryk jakiegoś zwierzęcia w oddali, pomyślał w pierwszej chwili Shan, ale potem, przycichnąwszy na moment, dźwięk przybrał na sile, stał się równy, chrapliwy, wibrujący. Większość więźniów znieruchomiała, wpatrując się ze zdumieniem w urwisko, skąd najwyraźniej dobiegał ten odgłos, wzmacniany przez skalną ścianę.

- Dungchen! - usłyszał Shan okrzyk stojącego czterdzieści kroków dalej Minga.

Na zniszczonych twarzach obszarpanych starców pojawiły się uśmiechy. Teraz już wszyscy przerwali pracę, porzucili narzędzia i taczki. Był to dźwięk długiego, teleskopowego rogu, z rodzaju tych, które po raz ostatni słyszał w wiosce Bumpari, rogów, które wzywały wiernych, dźwięk, którego większość więźniów nie słyszała od dziesiątków lat.

- Dungchen! - powtórzył głośno Ming, jakby w nadziei, że podburzy więźniów.

Adiutanci Tana lornetowali skalną ścianę. Rogu nie było nigdzie widać, ale na szczycie urwiska znajdowało się wiele ocienionych szczelin, gdzie mógł być ukryty.

Rozległy się gwizdki. Połowa rozstawionych wokół pola strażników wbiegła między więźniów, wrzeszcząc na nich, klnąc, grożąc im pałkami.

Ale im dłużej grał róg, tym mniej uwagi więźniowie zwracali na strażników.

- Oddech Buddy! - wykrzyknął jeden ze starszych mężczyzn i Shan przypomniał sobie, że tak właśnie w obozowych opowieściach opisywano głęboki, rezonujący dźwięk tych rogów. Ale w jego uszach brzmiało to jak grzmiący gardłowy śpiew, tak silny, jakby wydawała go góra, jakby rzeźbiła jej dusza. Jak gdyby przybywał Budda z Gór.

- Trzydzieści kroków w tył - sucho rozkazał Tan.

Shan nie był jednak pewien, czy to pułkownik wypowiedział ten rozkaz, czy też tylko to sobie wyobraził. Potem jednak spostrzegł, że jeden z adiutantów Tana biegnie do strażników, którzy powoli, niechętnie, wycofują się na obrzeże terenu robót. Pułkownik, z pociemniałą twarzą, ruszył wolno skrajem pola, niekiedy ciągnąc Shana, i znów zatrzymał się przed ciężarówkami. Shan przyjrzał mu się uważnie i spostrzegł, że na jego twarzy przez rzednącą zasłonę gniewu przebija się chłodne zaciekawienie.

Dźwięk rogu urwał się po pięciu minutach. Strażnicy patrzyli gniewnie, jak więźniowie gromadzą się wolno na środku pola, starcy uśmiechnięci, młodszy otaczając kręgiem swoich starych towarzyszy, jakby zamierzali ich osłonić. Na okolicznych poletkach chłopcy przerwali pracę i patrzyli w stronę urwiska.

Nagle szczyt wysokiej skalnej ściany zaczął się poruszać. Jeden z więźniów wydał radosny okrzyk. Jakiś oficer krzyknął ostrzegawczo - ale nawet on się nie poruszył, jak wszyscy porażony tym, co zobaczył. Na urwisku ukazał się Budda. Był to jeden z olbrzymich malowanych sztandarów, szeroki na piętnaście metrów i dwa razy tak długi. Bez wątpienia namalowano go w Zhoce, gdyż miał wszystkie cechy tamtejszych wizerunków bóstw. Wielka, pogodna, uśmiechnięta twarz spoglądała na dolinę niczym błogosławieństwo, jedna dłoń trzymała miseczkę jałmużniczą, druga ułożona była w mudrę powoływania ziemi na świadka urzeczywistnienia stanu buddy. Włosy były niebieskie, otoczone zieloną aureolą, oczy żywe, skóra lśniąca od złotej farby. Shan uświadomił sobie nagle, że czytał o tym sztandarze w dzienniku brata Bertrama. Przypomniał sobie krążki i zetlałe liny z jacej sierści na podziemnej półce, podłużne zagłębienie, w którym zapewne przechowywano malowidło, strzałkę z kości ułożoną przez Lodiego, żeby wskazać Liyi to miejsce, słowa potężnego pasterza o ludziach, którzy wynosili coś z Zhoki w noc po śmierci Lodiego. Był to sztandar rozwijany w świąteczne dni z centralnej wieży gompy. Budda z Gór.

Więźniowie zaczęli siadać na ziemi w pozycji lotosu. Jedni głośno recytowali modlitwy dziękczynne, inni stali jak sparaliżowani radością, ze łzami spływającymi po uśmiechniętych twarzach. Shan uświadomił sobie, że słyszy odgłos uruchamianego silnika, i odwrócił się w samą porę, by ujrzeć, że Ming odjeżdża na pełnym gazie.

Strażnicy wyciągnęli pałki. Większość patrzyła wyczekująco na Tana, kilku śledziło wzrokiem Suryę, który, z twarzą uniesioną ku Buddzie z Gór, szedł ku więźniom. Adiutanci podbiegli do Tana, wskazując coś w dolinie. Przez pola, z motykami i grabiami w rękach, biegli rolnicy. Z nielicznych widocznych domów wysypywały się dzieci. Wszyscy pędzili w stronę sztandaru Buddy.

Jeden z adiutantów gorączkowo wskazywał Tanowi platformę ciężarówki. Tan spojrzał na oficera, lecz zignorował jego niemą prośbę, żeby się przesunął, Shan uświadomił sobie, że pułkownik stanął dokładnie na linii strzału ukrytego pod plandeką karabinu maszynowego. Tan uniósł głowę i bez słowa wpatrywał się w sztandar.

- Mnich! - krzyknął adiutant, wskazując szczyt urwiska nad sztandarem. Ukazała się tam postać w bordowej szacie. Nawet z tej odległości Shan bez trudu rozpoznał Genduna, który od samego początku to właśnie miał na myśli, mówiąc o oswobodzeniu więźniów.

- Trudno poznać z tak daleka - stwierdził Tan, przyjrzawszy się Gendunowi. - Myślę, że to koza.

Gdy adiutant sięgnął po lornetkę, drugi, starszy oficer położył mu dłoń na rękę.

- Pułkownik powiedział, że to koza - upomniał go.

- Możemy wezwać helikopter - podsunął pierwszy adiutant. - Przestrzelić liny, wysadzić desant na szczycie.

Shan nagle poczuł na sobie wzrok Tana. Pułkownik patrzył na niego z tą samą obojętnością, z którą wcześniej przyglądał się Buddzie. Przez chwilę wpatrywał się badawczo w oczy Shana, wreszcie westchnął i odwrócił się do swoich oficerów.

- Wszystkie helikoptery są zajęte - oświadczył im. - To - dodał, wskazując olbrzymi malowany sztandar - jest ćwiczenie zorganizowane przez dyrektora Minga. Pracownicy muzeum wietrzą stary zabytek. Powiedźcie ludziom, że zareagowali właściwie na tę zaaranżowaną sytuację. - Jego twarz stwardniała i wywarknął kilka rozkazów. Ukryci żołnierze wybiegli zza skał oraz zarośli i wraz z innymi wspięli się na ciężarówkę, która ruszyła z rykiem i odjechała na północ. Na polu pozostał jedynie starszy adiutant Tana i strażnicy więzienni.

- Więźniowie harowali w tym tygodniu wyjątkowo ciężko - rzucił szorstko Tan. - Jeśli nadal mają wydajnie pracować w służbie narodu, potrzebują godzinnej przerwy. Rozkazuję,

żeby przerwali pracę. - Nie rozkuł Shana, ale podał mu swoją lornetkę. Przez jej szkła Shan wyraźnie dostrzegł rysy łamy na szczycie urwiska. Obok Genduna stała Fiona, w odświętnej sukni, otaczając ramieniem Dawę. Był tam też Jara i około trzydziestu innych mieszkańców wzgórz. Gdzieś za plecami Shana, wśród rolników, zaczął bić dzwon.

Było to dziwnie ciche święto. Jeden po drugim więźniowie usiedli na ziemi, niektórzy nucąc mantry, rolnicy podeszli do kordonu strażników, dzieci wskazywały palcami olbrzymiego Budę, wielu starszych ludzi obejmowało się nawzajem, niektórzy siadali na ziemi, żeby się pomodlić. Surya chodził między nimi, czasem przystawał, żeby uklęknąć wśród dzieci. Nawet z oddali Shan widział jego uśmiech. Przybywało coraz więcej Tybetańczyków, jedni pieszo, inni na koniach.

Kilku rolników zaczęło rzucać więźniom jabłka ponad głowami strażników, którzy patrzyli niepewnie na Tana, ale nie zrobili nic, żeby ich powstrzymać. Niektórzy więźniowie zaczęli śpiewać. Wszystko to sprawiało wrażenie dziwnego, nierealnego pikniku. Tan nie zamierzał dopuścić Shana do więźniów, ale nie protestował, gdy przyglądał się on im przez lornetkę. Shan dostrzegł wśród nich znajomych i nagle zapragnął do nich podejść, chętnie zniósłby ciosy pałek strażników, byle jeszcze raz usłyszeć swe imię z ust starych łamów, ale Tan nie zdejmował kajdanek i zmuszał go, żeby pozostał w cieniu, gdzie więźniowie nie mogli go dostrzec.

Pułkownik palił jednego papierosa za drugim, w milczeniu przyglądając się więźniom, obserwując Genduna. Nie zaprotestował, gdy jedna z Tybetanek, nerwowo zerkając na Shana, podała im obu jabłka, które wyciągnęła z kieszeni fartucha. Przyjął owoc, patrząc na nią niepewnie, na przemian to otwierając, to zamykając usta, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

- Dziękuję! - zawołał w końcu, gdy już odchodziła, ale zbyt cicho, żeby to mogła usłyszeć.

Odrzucił papierosa i obaj zaczęli wolno gryźć jabłka. Gdy zjedli, Tan dał jakiś znak oficerowi, który dmuchnął w gwizdek. Więźniowie wstali z ziemi. Sztandar zaczął się zwijać, wciągany na linach.

- Powinienem kazać go śledzić - odezwał się Tan, gdy wrócili do jego samochodu. - Minga. - Ani słowem nie przeprosił, ściągając kajdanki z nadgarstka Shana. - Teraz jest już bezpieczny. Zdażył wyjechać z Lhadrung. Ma ludzi, którzy go ochronią.

Shan spojrział w głąb doliny.

- Nie - odparł. - Ming nie wyjechał. On nie wie, że Dolan zginął.

- No więc?

- Więc myśli, że wciąż musi się z nim ścigać, żeby zgarnąć jak najwięcej łupów z Lhadrung. Boi się, że Dolanowi zostanie się więcej niż jemu. Chciałby opuścić Lhadrung, ale jego chciwość przeważa nad strachem.

- No więc? - powtórzył Tan, sadowiąc się na tylnym siedzeniu. Tym razem prowadzić miał jego adiutant.

Shan usiadł obok pułkownika.

- Więc muszę jechać do miasta.

Kwadrans później Shan wysiadł w bocznej uliczce przy gmachu władz okręgu. Tashi siedział w cieniu po przeciwnej stronie placu.

- Powiedz mi, co zrobił Ming, kiedy przekazałeś mu tę wiadomość i wrócił do helikoptera - odezwał się do niego Shan.

- Tak jak kazałeś, powiedziałem mu, że Dolan wie o Buddzie z Gór i ma zamiar zabrać go ze sobą, że zmienił zdanie i chce wszystko z powrotem. Ming zapytał, gdzie mógłby dostać ciężarówkę i paru silnych ludzi. Potem wsiadł do swojego samochodu, z tym Lu, i pojechał na południe.

- Na południe? Tam przecież nic nie ma.

- Na południe - powtórzył Tashi.

Shan spojrzał w głąb ulicy, która prowadziła na południe, po czym wrócił truchtem do samochodu Tana. Gdy ruszyli, wyjaśnił pułkownikowi, co odkrył z Yao na temat tego, jaki użytek Ming robił z falsyfikatów. Wciąż mówił, gdy adiutant zatrzymał samochód pod murem opuszczonej cegielni.

Trzymając się w cieniu, zgięci wpół przebiegli obok srebrnego samochodu i cicho weszli przez otwarte drzwi głównego budynku. Natknęli się na Lu, który stał pochylony nad skrzynią, przyklejając jedną etykietę na drugiej.

- Nie wolno... - warknął, gdy ich dostrzegł, i sięgnął po pistolet u pasa.

Tan bez słowa uniósł gwałtownie rękę zaciśniętą na kolbie własnego pistoletu i spuścił ją na skroń Lu. Mężczyzna upadł na skrzynię. W rozległej głównej hali cegielni stał Ming, tyłem do nich, z notatnikiem w ręce, a przed nim piętrzyło się ponad dwadzieścia skrzyń, niektóre otwarte, wyścielone skrawkami papieru. Z małego czarnego pudełka płynęła zachodnia muzyka rockowa.

Tan wyłączył urządzenie.

- Galeria Antyków Crofta - odczytał świeżo naklejoną etykietę na najbliższej skrzyni.
- Szanghaj.

Ming odwrócił się na pięcie z wściekłym błyskiem w oku.

- To z pewnością kontrahent muzeum - zauważył Tan.

- Oczywiście. Specjaliści od konserwacji zabytków - odparł niepewnie Ming, wpatrując się w cień za jego plecami.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Nietrudno będzie to sprawdzić.

- Nie macie prawa - warknął Ming.

- Zapomnieliście chyba, że w tym okręgu obowiązuje stan wyjątkowy. Nie uwierzylibyście, jak wiele uprawnień mi to daje. Mogę wysłać was do obozu reedukacyjnego na rok albo dwa, nie pytając nikogo o zgodę.

- Uprawnienia, na tym kompletnym zadupiu, może i macie. Ale nie prawdziwą władzę. Spróbujcie tylko, a zniszczę was. Pewni ludzie w Pekinie dowiedzą się o tym.

- Zanim oni się dowiedzą, ja zdążę potwierdzić to i owo.

- To znaczy?

- Oświadczenie Dolana, że wymieniliście bezcenne zabytki z waszego muzeum na falsyfikaty - skłamał Tan. - Wasze umowy z Williamem Lodim. Jak wam się wydaje, co zrobi Przewodniczący, gdy usłyszy, że ukradliście malowidło z pałacyku Qian Longa, a potem okłamaliście go, mówiąc, że znaleźliście list, w którym jest mowa o Lhadrung? Choćby nie chciał, musi was przykładnie ukarać. To malowidło było w centrum zainteresowania. Byliście zaufanym urzędnikiem państwowym. Przewodniczący znalazł się w kłopotliwej sytuacji wobec przedstawicieli obcych państw.

Ming zerknął w stronę drzwi.

Tan spojrział na zegarek.

- Jeśli się pośpieszycie, zdążycie na wieczorny samolot do Pekinu.

Ming zrobił krok naprzód, lecz zatrzymał się, wyraźnie zdezorientowany.

- Możecie odejść - wyjaśnił Tan. - Ale składam wam tę propozycję tylko raz. Powiedzcie mi, gdzie jest malowidło Qian Longa, a gwarantuję wam, że nie zostaniecie straceni. Więzienie, na wiele lat. Ale nie kula w głowę.

Ming odwzajemnił spojrzenie pułkownika, po czym spuścił wzrok na notatnik, jakby wracał do swoich interesów.

- Nigdy nikogo nie zabiłem - powiedział głucho. - Nikt nie miał zginąć. To Dolan. To wszystko wina Dolana.

Shan podszedł do długiej skrzyni. Znajdowała się w niej zawinięta w folię pęcherzykową płyta wsparta na drewnianych listwach. Pociągnął folię, odsłaniając ozdobny

szlak kwiatów lotosu biegnący wzdłuż górnej krawędzi grubego płata tynku z domieszką końskiego włosia. Malowidło skradzione z Zhoki.

- Nie dam się aresztować temu sukinsynowi Yao - powiedział Ming.

- Nie musicie. Po prostu wiedźcie, że to Yao i Shan was powstrzymali.

Puste spojrzenie Minga spoczęło na Shanie.

- Jesteście tylko bezdomnym więźniem - wycedził. - Nikim.

- Co robiliście z Suryą w gompie, Ming? - zapytał Shan. - Po tym, jak mu powiedzieliście, że jesteście opatem, zrobiliście coś jeszcze. Zniszczyliście go. Przez was uznał, że jego życie nic nie jest warte.

Wąskie wargi Minga wygięły się w uśmiechu.

- Miałem ze sobą laptopa. Ten stary głupiec nigdy nie widział komputera. Powiedziałem mu, że potrafię tworzyć wspaniałe obrazy jednym ruchem palca. Włączyłem komputer i wywołałem program, który wyświetla słynne dzieła sztuki. Można zmienić obraz jednym uderzeniem w klawisz. Był przerażony. Płakał. Ale kiedy odchodziłem, stary głupiec pocałował mnie w rękę.

I właśnie tamtej nocy, odgadł Shan, Surya zniszczył własne dzieło, uznał, że jego życie jest bez sensu. Wszystko dlatego, że arogancki przybysz z Pekinu nabrał go, korzystając z komputera.

Ming znowu zwrócił się do Tana.

- Dolan jest szalony, zrozumcie. Ludzie nie zwracają na to uwagi, bo jest bogaty. Jak niektórzy z dawnych cesarzy. - Podeszedł do skrzyni z malowidłem, miętoląc w palcach zwisający z wieka długi kawałek taśmy, a następnie szybkim krokiem skierował się ku skrzyni z papierem, wyciągnął czystą kartkę i zaczął pisać. - Malowidło z pałacyku cesarza jest w kontenerze ze sprzętem komputerowym. Będzie potrzebna pomoc agenta Corbetta. Kontener od wczoraj powinien być w Oregonie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gdy Shan z pułkownikiem przyjechali do zajazdu, cały kompleks roił się od obcych. Przy bramie stały dwie karetki pogotowia, jedna wciąż z migającymi światłami, a nieco dalej kilkanaście samochodów dostawczych. Jakiś oficer zameldował Tanowi, że z Lhasy przyjechali dziennikarze, ambasada Stanów Zjednoczonych dzwoniła z pytaniami na temat wypadku Dolana, a trzech generałowie zostawili wiadomości.

Zwłoki Dolana leżały zawinięte w płótno na stole przy fontannie. Kilku mężczyzn fotografowało je, podczas gdy jeden z asystentów Minga udzielał na tle stołu wywiadu dla telewizji.

Tan odprowadził Shana do strzeżonej przez żołnierza szopy po drugiej stronie kompleksu.

- Urząd Bezpieczeństwa zabiera go jutro - przypomniał mu. - Będziemy musieli go przewieźć do nas - dodał, mając na myśli areszt w bazie wojskowej w pobliżu Czterysta Czwartej. Osadził tam już Minga i Lu, pod silną strażą, po tym, jak wyciągnęli z nich wyczerpujące zeznania. - Dziś po południu. - Pułkownik utkwiał w Shanie nieruchome, beznamienne spojrzenie. - Podobno nie sprawiał żadnych kłopotów - dodał, obrócił się na pięcie i odszedł. Słowa Tana oznaczały, że to koniec, że Shan powinien pożegnać się z synem.

Shan długo wpatrywał się w zamknięte drzwi, szukając słów. W końcu strażnik mruknął coś, odwrócił się i pchnięciem otworzył drzwi. Ko, z dłonią owiniętą czystym bandażem, siedział na ziemi. Między nogami trzymał znajomo wyglądający worek. Uniósł wzrok. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

- Lokesh mówił, że będziesz tego potrzebować - powiedział, popychając worek w stronę ojca. Był to ozdobiony mantrą mani pustelniczy worek Shana. Przez długi czas wpatrywali się w niego w milczeniu.

- Kiedy byliśmy w wąwozie - odezwał się nagle Ko - i owijaliśmy jej zwłoki w całun, Lokesh powiedział mi, żebym nie oplakiwał jej śmierci, ale to, że dopiero niedawno zaczęła poznawać siebie. Powiedział, że ze wszystkich tajemnic życia największą jest odnalezienie własnego bóstwa.

Shan spostrzegł, że jego syn trzyma coś w zdrowej ręce. Była to długa kasetka z lakierowanego bambusa.

- Zawinałem to w koc - powiedział, kucając. - Ale nie myślałem, że... - Nie dokończył zdania. Ko pochylił się i położył przed nim kasetkę. - One są w naszej rodzinie od pięciu pokoleń - rzekł Shan. - Ty jesteś szóstym. - Popchnął kasetkę ku synowi.

Ko wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, nim znów wziął ją do ręki. Trzymał ją teraz inaczej, ostrożniej, jakby niezdarnie, podtrzymując zabandażowaną dłońią, kiedy ją obracał, żeby obejrzeć zdobiące ją wyblakłe ideogramy. Wreszcie otworzył wieczko i zajrzał do środka.

- Jest ich sześćdziesiąt cztery - wyjaśnił Shan, gdy Ko wyciągał pokryte laką łożyki krwawnika.

- Lokesh mówił, że to patyczki modlitewne. To coś takiego jak różaniec?

- Należały do twojego pradziadka, a wcześniej do jego ojca. Służą do losowania ustępów *Tao Te Ching*.

- Ustępów *Tao Te Ching*? - zapytał Ko.

I nagle czas stanął w miejscu. Shan zapomniał o strażniku pod drzwiami, o żołnierzach, którzy wkrótce mieli przyjść, żeby zabrać Ko, być może na zawsze. Jego syn pytał o *Księgę drogi i cnoty*.

- To coś śmiesznego? - usłyszał pytanie Ko i uświadomił sobie, że się uśmiecha. Pokręcił głową, wciąż się uśmiechając, nie mogąc wydobyć głosu.

Ko wpatrywał się w patyczki.

- Pokaż mi, tato - poprosił niemal szeptem.

Shan rzucił patyczki i rozdzieliwszy je na kupki, pozwolił, żeby Ko je przeliczył, a sam objaśnił synowi stosowaną od wieków procedurę. Wyrecytował kilka ustępów, a Ko, nie odrywając oczu od patyczków, powtórzył je wraz z nim, gdy tylko uchwycił ich rytm. W końcu jego syn powoli włożył patyczki do kasetki, patrząc na nie z wyrazem, jakiego Shan nie widział jeszcze na jego twarzy. Ze spokojem.

- Ja jestem szósty - powiedział. - Syn wielkiego przestępcy Shan Tao Yuna - dodał z lekkim uśmiechem. Zamknął kasetkę i podał ją ojcu. - Oni mi je zabiorą. Zniszczą je albo sprzedadzą. Przechowaj je dla mnie.

Shan poważnie skinął głową, po czym sięgnął do kieszeni i podał mu lśniący niebieskawy kamyk.

- Lokesh spędził większą część życia za drutami - wyjaśnił. - Kiedy go zwolniono, kilka miesięcy przede mną, dał mi ten kamyk. Powiedział, że miał go przez wszystkie te lata, że to jest potężny amulet. - Ko przyjął kamyk od Shana. - Mówił, że pocierając go, zachowywał łączność z resztą świata, z tym, co jest ważne w świecie.

Ko wcisnął kamyk głęboko do kieszeni.

- Raz albo dwa razy na rok dostajemy pocztę - powiedział. - Czasem pozwalają nam wysyłać listy.

Shan starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie.

- Będę wysyłał listy. Spróbuję znaleźć adres, pod który mógłbyś do mnie pisać.

Otworzyły się drzwi i weszło dwóch żołnierzów. Jeden z nich niósł ciężkie kajdany na nogi. Ko wstał, gdy mocowano mu je na kostkach.

- Wymierzylimy sprawiedliwość - odezwał się nagle z dumą. - Kiedy nikt inny nie mógł tego zrobić.

Żołnierze pociągnęli go w stronę drzwi.

- Przeżyj! - zawołał ochryple Shan. - Wiesz, jak przeżyć.

Jego syn odpowiedział mu wyzywającym uśmiechem, gdy żołnierze wyprowadzali go za drzwi.

Shan siedział w szopie przez kilka minut, wpatrując się w kasetkę w swej dłoni, wreszcie zapakował ją do pustelniczego worka.

- Jakaś kobieta przyszła ze wzgórz w sprawie ciała McDowell - powiedział Tan, gdy Shan znalazł go za bramą kompleksu. Karetka z migającymi światłami już odjechała. Zniknęło też ciało Dolana. - Pytała, czy może skorzystać z telefonu, żeby zadzwonić do Anglii. Gdy następnego dnia rano przy starej kamiennej wieży wylądował helikopter, Lokesh i Jara czekali z grubym kocem, żeby zabrać w nim doczesne szczątki Punji McDowell. Bez słowa przywitali skinieniem głowy Shana oraz Liyę i spojrzeli zaskoczeni na Corbetta, który wysiadł za nimi i ujął róg koca. Poprzedniego dnia Shan udał się do małej salki konferencyjnej, gdzie Liya, której po policzkach spływały łzy, rozmawiała przez telefon, próbując łamaną angielszczyzną dogadać się z matką Punji. Wziął od niej słuchawkę i przez pół godziny służył obu kobietom za tłumacza. Godzinę później Corbett, z Shanem przysłuchującym się jego rozmowom, z tego samego telefonu zadzwonił do Bailey'a, a potem do kilku innych osób w Stanach. Z niektórymi prowadził dość ostre dyskusje, aż wreszcie, upewniwszy się, że cesarskie malowidło zostało odzyskane, zgodził się podpisać oświadczenie, że Dolan poniósł bohaterską śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Ponad pięćdziesięciu poważnych Tybetańczyków stało w milczeniu, gdy weszli na dziedziniec z białym czortenem. Shan dostrzegł wśród nich ludzi, których widział w Bumpari, większość mnichów z Yerpy, wielu mieszkańców wzgórz, z którymi świętował dzień urodzin dalajlamy, a nawet kilku ragyapów, między innymi ślepą staruszkę.

Shan z przyjaciółmi zostawił ciało Punji McDowell przy wielkim stosie belek wydobytych z ruin, a potem mnisi złożyli je przy zwłokach brata Bertrama. Obok szczątków opata spoczywały jeszcze jedne. Na odwrocie przedśmiertnego listu Yao zapisał swe ostatnie życzenie: *Pozwólcie mi zostać w Zhoce.*

Dookoła stosu ustawiono ofiary maślane w kształcie świętych symboli i gdy Gendun zaintonował mantrę, którą wkrótce podjęli pozostali Tybetańczycy, mnisi podpalili je w pierwszej kolejności. Suche drewno szybko się zajęło i po chwili płomienie stały się tak gorące, że nikt nie mógł zbliżyć się do stosu bliżej niż na dziesięć metrów. Języki ognia skakały wysoko, a wiatr ucichł, tak że dym wznosił się prosto w bezchmurne niebo.

- Nie rozumiem - odezwał się Corbett po kilkunastu minutach, podczas których w milczeniu wpatrywali się w płonący stos. - Myślałem, że wszyscy zmarli są oddawani ptakom.

- W dawnych czasach było inaczej - odparł Shan. - Zgodnie z tradycją ciała świętych i wielkich nauczycieli są palone.

Były jeszcze jedne zwłoki, o których nikt nie wspominał, jeśli nie liczyć cichego szeptu Liyi. Khan został odniesiony na kwaterę zmarłych.

W niespełną godzinę było już po wszystkim. Ze stosu pozostały jedynie popioły. Liya zawołała wszystkich na placyk przed bramą, gdzie na kocach rozłożono poczęstunek. Shan dostrzegł w pobliżu znajomą twarz.

- Szczęść ci Boże - odezwał się po angielsku.

- Szczęść ci Boże - odpowiedziała Fiona, która piekła dzikie jabłka nad małym koszem na żar. - Moja siostrzenica siedzi z mnichami - dodała po tybetańsku.

Chyba raczej cioteczna wnuczka, pomyślał Shan. Odwrócił się i zobaczył stojącą przy Gendunie Dawę. Ale dziewczynka tuliła się do ramienia nieznajomej krzepkiej kobiety, a obok niej stał mężczyzna o szczerej twarzy noszącej ślady zmęczenia, jak po długiej podróży. To byli rodzice Dawy.

- Oni tu zostają - powiedziała Fiona. - Pomogą mi odbudować piec. Będziemy robić garnki i tsa-tsa, jak za dawnych czasów, tsa-tsa dla wszystkich ludzi ze wzgórz.

Nie trwało długo, nim Corbetta otoczyli wieśniacy z Bumpari. Częstoowali go jedzeniem i herbatą, a ci, którzy znali chiński, powiedzieli mu, że uprzątnęli jedną z chatek, by mógł w niej zamieszkać. Shan nie dostrzegł w oczach Amerykanina śladu zaskoczenia, nie usłyszał też, aby zaprotestował lub się zgodził.

Zostawił rozmawiających smutnymi, a jednak ożywionymi głosami ludzi otaczających Corbetta i odszedł, żeby posiedzieć samotnie nad przepaścią.

- Wciąż mogę zaprowadzić cię do tej jaskini - dobiegł go zza pleców dobrze znany głos.

Shan poklepał kamień obok siebie, zapraszając Lokesha, żeby się przysiadł.

- Potrzebuję odosobnienia - przyznał. - Ale zostawiłem worek w mieście. Możesz narysować mi mapę.

- Będę tu na ciebie czekać. Zaprowadzę cię. Po drodze jest pewne miejsce, które chciałbym ci pokazać, góra, na której skały układają się w znaki mantry mani. Na południowych stokach dojrzewają jagody. - Lokesh przeniósł wzrok za spojrzeniem Shana na

odległe góry i powiedział, jak zwykle zdając się czytać w jego myślach, a w każdym razie w jego sercu: - Odnalazłeś go, Xiao Shan, a on odnalazł ciebie. To nie jest koniec. To początek.

- Pytał mnie o patyczki wróżebne - odparł Shan. - Pokazałem mu, jak ich używać.

W oczach Lokesha zapłonęła radość, nie odezwał się jednak. Siedzieli w milczeniu, obserwując ptaka unoszącego się na prądach wstępujących, a potem, tak jak często robił ojciec Shana, kiedy Shan był chłopcem, Lokesh znalazł jego dłoń i ścisnął ją, mocno i krótko, po czym wstał.

- Amerykanin powiedział, że ma dla nas wszystkich wiadomość od inspektora Yao.

Grupa siedząca wokół Corbetta uciszyła się. Shan słyszał, jak Corbett opowiada o Yao, o tym, jak chiński inspektor ocalił Zhokę przed łupieżcami świątyni.

- On mówi o łupieżcach - odezwał się do Lokesha - ale nikt nie pyta o skarb, którego oni szukali.

- Mówiłem naszemu przyjacielowi Corbettowi, że Gendun jeszcze nie zdążył porozmawiać ze wszystkimi bóstwami tam w dole - wyjaśnił Lokesh. - To potrwa wiele tygodni. A nawet wtedy... - dodał i zamilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów. - Nawet wtedy nie każdy będzie gotowy, żeby tam wejść. Wiemy, że to nie jest dla wszystkich.

Shan podszedł do ludzi skupionych wokół Amerykanina. Corbett trzymał w obu dłoniach świstek papieru. Był to jeden z czeków Dolana, które oddał mu Shan.

- Sto tysięcy dolarów - mówił Corbett. - Przed śmiercią pan Dolan powiedział inspektorowi Yao, że chce, aby ta suma została przekazana dziecięcej lecznicy Punji McDowell. - Między innymi z tego powodu poprzedniego wieczora Corbett kłócił się przez telefon. Nie chciał podpisać oświadczenia o śmierci Dolana, dopóki nie otrzymał zapewnienia, że czek będzie honorowany na podstawie listu umierającego inspektora. Pieniądze nie należały do spadku Dolana, lecz Yao. Inspektor oświadczył w swoim przedśmiertnym liście, że Dolan dał mu dwa чеки, jeden przeznaczony dla kliniki, drugi dla rodziców dziewczyny, która zginęła w Seattle.

Ale Corbett miał też własny dar dla Tybetańczyków. Wskazał dwie wielkie skrzynie i walizkę przetransportowane helikopterem i przytaszczone z kamiennej wieży przez Jarę i jego rodzinę. Jara podał Corbettowi oklejoną taśmą walizkę. Shan i Corbett zabrali ją tego ranka, ale nie z magazynu Minga. Skrzynie i walizka zaadresowane były na McDowell z Lecznicy Pediatrycznej, po przeciwnej stronie starej cegielni. Tan nie zadawał żadnych pytań, kiedy postawili je przy zwłokach Punji, a nawet pomógł im załadować je do helikoptera.

Corbett ściągnął taśmę z walizki i otworzywszy wieko, ukazał jakieś pakunki zabezpieczone gazetami i plastikową folią. Tybetańczycy stłoczyli się dookoła, po czym znów

usiedli, kiedy wyciągnął jeden z nich i go rozwinął. Bezcenny piętnastowieczny posążek Buddy na tronie z drogich kamieni roziskrzył się w słońcu. Amerykanin uniósł go, a następnie złożył w dłoniach Fiony.

- Komu jeszcze bogobójcy zabrali bóstwa? - zapytał, rozwijając figurkę Tary, która niegdyś znajdowała się w muzeum Minga, a potem w zbiorach Dolana.

Shan spodziewał się, że znajdą tylko tę walizkę z zabytkami, którą Lodi przywiózł samolotem z Seattle, ale stojące tuż obok niej skrzynie zbyt zwracały na siebie uwagę, żeby nie sprawdzili, co zawierają. McDowell przesłała pozostałe zabrane Dolanowi eksponaty na adres lecznicy. A teraz Corbett, który poprzedniego dnia powiedział przez telefon swemu szefowi, że po raz pierwszy, odkąd pracuje w FBI, nie zdołał odzyskać skradzionych dzieł sztuki, rozdawał całą kolekcję Dolana pasterzom i rolnikom ze wzgórz.

Shan pomógł przy opróżnianiu walizki i otwieraniu pierwszej skrzyni, a następnie odszedł w cień, gdzie siedziała, obserwując tę scenę, młoda kobieta w ciemnym ubraniu. Uśmiech, którym Liya powitała Shana, zdawał się wymuszony.

- Gendun mówi, że kiedy żałoba się skończy, urządzą tu kolejne święto - powiedział Shan.

Liya jakby tego nie słyszała.

- Nie mamy już żadnej przyszłości - odezwała się. - Teraz, gdy Lodi i Punji nie żyją, Bumpari musi zginąć.

- Zhoka wróciła do życia - odparł Shan. - Bumpari może obić to, co robiło zawsze: dzieła sztuki dla klasztoru.

- Znalazłam list, który Punji pisała do Lodiego. Miała zamiar wybrać się do Dharamsali i opowiedzieć o tym wszystkim la dworze dalajlamy. Twierdziła, że zapewniłoby to ochronę Bumpari. Teraz nie ma kto tam pójść. Nikt o nas nie opowie.

- Ja znam kogoś odpowiedniego. Nową przywódczynię Bumpari.

- Nie mam nic, co mogłoby zainteresować ludzi za granicą.

- Możesz zabrać opowieść o tym, jak niewiele brakowało, żeby Chiny były rządzone przez lamę Kamiennego Smoka, o tym, jak w Zhoce nieomal odmienił się los całego cesarstwa. To dlatego to wszystko się stało.

- O czym ty mówisz? Chodziło po prostu o ten skarb.

- Skarb był tutaj z powodu ambana. Amban był tutaj z powodu sztuki, ponieważ chciał uhonorować cesarza dziełami Zhoki. - Widząc powątpiewanie na twarzy Liyi, Shan usiadł obok niej na skale i rozpoczął opowieść. Po kilku minutach uświadomił sobie, że wokół nich zebrała się mała grupka. Po dziesięciu minutach słuchali go wszyscy obecni na placu.

Kiedy skończył, wciąż widząc niepewność na niektórych twarzach, ściągnął woreczek, który nosił na szyi, i wyjął z niego przewiązane jedwabiem zwoje, które trzymał tam od czasu pobytu w Pekinie.

- To są ostatnie dwa listy wymienione między ambanem i cesarzem po tym, jak Qian Long zaproponował siostrzeńcowi, żeby został jego następcą. Amban wiedział, że jest zbyt chory, by przyjąć tę ofertę, zbyt chory nawet na to, by opuścić Zhokę. List jest napisany po tybetańsku. To tylko krótka notatka, gdyż niemal wszystko zostało powiedziane już wcześniej. - Shan rozejrzał się dokoła i zobaczywszy pełne wyczekiwania twarze, zaczął czytać:

Czcigodny wuju, na całym szerokim świecie nie znalazłoby się tak wielkiego zaszczytu ani pochwały, która wzruszyłaby mnie równie głęboko. Prosisz mnie o szybką decyzję, ale decyzja została podjęta przez czas i słabość mojego ciała, które muszę wkrótce opuścić. Często przyglądałem się, jak wiatr strąca kwiaty z gałęzi drzew, ale nigdy nie widziałem, żeby umieścił je tam z powrotem. Zaszczycem, jakim mogę się odwzajemnić, jest prawda, a prawdą jest, że wiem, iż bez względu na to, jak bardzo mógłbyś mnie wywyższyć, nic nie da mi pogody większej niż ta, którą znalazłem jako lama Kamienny Smok tu, w mandoli we wnętrzu góry, gdzie mądrość i piękno są jednym. Klasztor, który mi powierzono, jest dla mnie wystarczającym cesarstwem. Gdybyśmy spotkali się znowu, mój wuju, domagałbym się, abyś to dobrze przemyślał, gdyż byłbym władcą, który stawiałby współczucie ponad władzę i życzliwość ponad złoto. Jestem lepszym Chińczykiem jako Tybetańczyk, niż kiedykolwiek byłem jako Chińczyk.

Skończywszy czytać, Shan wciąż wpatrywał się w liczący dwieście lat list, nie zdając sobie sprawy, że wokół panuje cisza. Kiedy opuścił zwój, dostrzegł zdumienie w oczach Liyi i wszystkich dookoła.

- A to odpowiedź cesarza - dodał, pokazując drugi zwój. - Tylko parę linijek. - Uniósł list i przeczytał:

Szlachetny siostrzeńcze, w sercu ukoronowałem cię na swego cesarza. Jestem jedynie władcą tego skromnego imperium troszczącym się o swoje krótkie życie. Ty zaś przekraczasz granice naszego świata i sięgasz poza czas. Proszę, zatrzymaj te skarby w Tybecie. Niech zwyciężą bogowie.

- Przyniosłem te listy, żeby zostawić je tutaj, w świątyni - powiedział Shan. Spojrzał na Liyę. - Ale myślę, że powinnaś je zanieść dalej. - Podał jej oba zwoje. - Jako urodzinowy prezent od ludzi z Zhoki.

Gendun uśmiechnął się promiennie jak dziecko.

Było późne popołudnie, gdy Shan i Corbett wrócili do kamiennej wieży, skąd miał ich zabrać helikopter. Corbett ścisnął prostokątny pakunek, który dostał od Liyi.

- Pomyślałem sobie - odezwał się Amerykanin - że powinien pan wrócić ze mną. Potrafię to załatwić. Mam tę chatkę na wyspie. Mógłby pan tam zamieszkać. Są tam kajaki. Moglibyśmy pływać kajakiem od wyspy do wyspy. Razem chodzić na ryby. Mógłby pan mieć nowe życie. Zasługuje pan na to.

Z zaskoczenia i wdzięczności Shan lekko się uśmiechnął do Amerykanina. Po chwili jednak odwrócił się w stronę ruin.

- Już mam nowe życie - powiedział.

- Wszyscy kochają Amerykę - odparł Corbett z wyczuwalną rezygnacją. - Wszyscy chcą tam żyć.

- To nie jest mój kraj - stwierdził Shan.

- Pański kraj odwrócił się do pana plecami.

- Tylko mój rząd. Siedzieli w milczeniu.

- Ten lśniący budynek... - odezwał się wolno Shan. - Ten, który nazwał pan centrum handlowym... Powiedział pan, że zabrał mnie tam, żebym zobaczył Amerykę. Kiedy do niego wszedłem, w pierwszej chwili myślałem, że to kościół. A potem zobaczyłem tych ludzi. Nie wiem, nie umiem znaleźć słów. Zrobiło mi się jakoś smutno. Przepraszam. - Ale Shan znał odpowiednie słowa, pamiętał, co powiedział Lokesh po wizycie w jakimś mieście. Stwierdził, że wszyscy wydawali się tam jacyś cieni, wręcz przezroczyści, bardzo oddaleni od swoich bóstw.

Znowu zapadła cisza. Corbett podniósł kamyk i rzucił go długim łukiem nad szczytem wzgórze, po czym odwrócił się, gdy za ich plecami rozległ się ryk helikoptera.

- Co to jest kajak? - zapytał Shan, gdy odchodzili od wieży.

Przez całą drogę powrotną milczeli, wpatrując się w iluminatory.

- Muszę napisać jeszcze parę raportów - powiedział Amerykanin, gdy znaleźli się w zajęździe, i poszedł do sali konferencyjnej. Shan, wyczerpany, rzucił się na łóżko Yao. Kiedy obudził się w środku nocy, zza drzwi sali konferencyjnej wciąż sączyło się światło. Wszedł tam i zobaczył, że Corbett śpi na stole, z głową na splecionych ramionach. Po rzekomych raportach nie było ani śladu. Amerykanin rysował ołówkiem portrety Yao i łamów. Kilka ukończonych rysunków leżało bezładnie na stole, kilka zmiętych walało się po podłodze. Shan podniósł jeden z nich i rozprostował go. Był to niemal ukończony szkic przedstawiający

Yao z małym posążkiem Buddy w dłoni. Shan starannie wygładził zagniecenia, złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

Wczesnym rankiem Shan siedział pod drzewem, gdy pojawił się przed nim Corbett, z torbą w ręce, ubrany do podróży. Spozrzegł leżący obok Shana worek i wskazał samochód.

- Dokąd mam pana zabrać?

- Do miasta.

- W nocy przemyślałem sobie parę spraw - powiedział Amerykanin. - Chcę doprowadzić do użytku ten domek na wyspie, pomieszkać tam trochę. Malować.

- Nie musi pan wracać tak szybko.

- Sprawa nie jest zakończona, dopóki nie przekażę czeku rodzicom tej dziewczyny. I kazałem Baileyowi przetrzymać malowidło cesarza. Chcę je zobaczyć, zanim je odeślą.

Parę minut później, wysiadając z samochodu, Shan spozrzegł leżący na torbie pakunek, który Amerykanin dostał od Liyi.

- Co to takiego?

- Jeszcze nie odważyłem się zajrzeć. - Corbett sięgnął po prezent Liyi. Był owinięty w kilka warstw grubego filcu, a kiedy ostatnia opadła, Amerykaninowi zaparło dech w piersi. - Piżama lamy - wyszeptał.

Dostał oprawiony w ramki limeryk na wojskowym papierze listowym, ten sam, który major zostawił na ścianie swego domku. Na odwrocie zapisano parę słów. Corbett, czytając je, uśmiechnął się szeroko. Pokazał je Shanowi.

Opowieść o wysokim Amerykaninie tańczącym ze ślepą staruszką przy świetle księżycy będzie żyła w naszych sercach, przeczytał. Już teraz dzieci mówią, że widziały tęczę sięgającą w stronę Ameryki, i pytają, czy jesteś na drugim końcu. Kiedy znajdziesz właściwą tęczę, w Bumpari czeka na ciebie dom.

- Wróci pan? - Shan oddał mu limeryk majora i zamknął drzwi samochodu.

Corbett uruchomił silnik.

- Wszystko, czego potrzeba, to właściwa tęcza. - Wyciągnął rękę przez otwarte okno i krótko uściskał dłoń Shana, odjechał.

Większość zbieraczy fekaliów wyszła już na poranny obchód, ale w starej stajni dwie kobiety napełniały lampki maślane stojące przed sekretnym malowidłem.

- Czy on wróci niedługo? - zapytał Shan.

Najbliższa kobieta wyprostowała się i powoli pokręciła głową.

- Nigdy. Odszedł już od nas.

- Odszedł?

- Wczoraj, po objawieniu się Buddy z Gór - wyjaśniła. - Zaczął zbierać swoje pędzle i farby. Powiedział, że musi iść, znaleźć następne miasto, gdzie jest potrzebny. Dałam mu worek z jedzeniem i po prostu odszedł, śpiewając starą pielgrzymią pieśń.

Shan, jak otepiały, pomógł kobietom napełnić pozostałe lampki, a potem raz jeszcze w milczeniu przyjrzał się malowidłu Suryi. Tak właśnie żyli niektórzy święci, powiedział stary człowiek podczas jego poprzedniej wizyty, wędrując od miasta do miasta, niosąc ze sobą bóstwa.

Gdy Shan, dźwigając swój pustelniczy worek, wyszedł z zajazdu na ulicę, czekał na niego znajomy samochód.

Tan, siedzący za kierownicą, sięgnął nad fotelem pasażera i otworzył mu drzwi. Shan wsiadł do środka, przyciskając worek do piersi.

- Z samego rana zjawili się ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa - powiedział głucho pułkownik. - Już pojechali. Ming też. Będzie jeden z tych tajnych procesów przewidzianych dla wysokiej rangi członków Partii.

Shan przypuszczał, że Tan chce, aby mu pomógł zredagować oświadczenie, które będzie musiał złożyć podczas procesu Minga. Jednak zamiast skręcić przy bramie bazy wojskowej, pojechali dalej żwirową drogą, którą Shan znał aż za dobrze. Jeszcze mocniej przycisnął worek do piersi i spojrzał w stronę odległych gór.

- Na dłoni Dolana znaleziono ślady prochu - powiedział Tan, gdy w zasięgu wzroku pojawił się obóz Czteryście Czwartej. - Krótko przed śmiercią strzelał z pistoletu.

- Szabrownicy - odparł Shan. - Czytaliście list Yao. Szamotał się z szabrownikami, wyrwał im pistolet.

- Obaj wiemy, że to kłamstwo. Czy byłoby tak źle, gdyby jeden z najbogatszych kapitalistów na świecie został zdemaskowany jako morderca i złodziej, pospolity przestępca?

Shan przyjrzał się pułkownikowi, rozważając jego słowa. W Tybecie nauczył się nie tylko tego, że sprawiedliwość jest czymś nieuchwytnym, ale także że jest jedną z fundamentalnych rzeczy, jedną z prawdziwych rzeczy, jak powiedziałyby Lokesh, których nie sposób w pełni zawrzeć w słowach. Składa się częściowo z prawdy, częściowo z ducha. A dla człowieka takiego jak Tan zawsze, przynajmniej w części, jest sprawą polityczną.

- Gdyby tak się stało, na Lhadrung zwałiby się cała armia śledczych z Pekinu i Ameryki, a po nich tłumy dziennikarzy, dyplomatów, reporterów telewizyjnych z całego

świata, przy których ta garstka, która kręciła się tu wczoraj, byłaby niczym. Lhadrung znalazłoby się pod mikroskopem. Być może to byłaby dla was wielka szansa - zaryzykował Shan.

Tan westchnął i zatrzymał samochód tuż przed bramą, w pobliżu miejsca, gdzie nie tak dawno stał namiot z zapasami. Przez dłuższą chwilę siedział, patrząc na góry, wypuszczając ustami dym z papierosa.

- Szanse - powiedział wolno - już mnie nie interesują. - Wzruszył ramionami. - Będę musiał ostrzec sąsiednie okręgi, bo szabrownicy najwyraźniej opuścili Lhadrung.

Wysiadł z samochodu. Shan ruszył za nim. Pole, na którym obozowali żołnierze mający wesprzeć straż obozową, było puste. Gdy Tan zapalił kolejnego papierosa, Shan odwrócił się w stronę odległego o piętnaście metrów ogrodzenia. Był to dzień odpoczynku dla więźniów i na drugim końcu obozu widać było kilku siedzących w kręgu starszych mężczyzn.

- Wrócę w góry - powiedział, dziwnie zaniepokojony. Tan, który przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż samochodu, zdawał się go nie słyszeć. Stojący przed bramą wartownik najwyraźniej poznał Shana i mruknął coś do strażnika po stronie wewnętrznej, który zaczął obserwować go nieufnym wzrokiem.

W końcu pułkownik podszedł do drzwi kierowcy, jakby miał zamiar wsiąść do samochodu, a w tej samej chwili z budynku administracji wyszli dwaj strażnicy i chudy jak tyka chłopak w kajdankach, z pochyloną świeżo ogoloną głową, ubrany w szary obozowy drelich. Shan przyglądał się, jak strażnicy ciągną nowego więźnia ku wewnętrznemu ogrodzeniu.

- Nie mogę zmienić tego, co zrobił, ani wyroku, jaki otrzymał - powiedział Tan. - Ale przekonałem ich, że w Czteryście Czwartej warunki są surowsze niż w jakiegokolwiek kopalni węgla, że zasłużyłem na to, by zatrzymać go za wszystkie kłopoty, jakie mi sprawił.

Więzień, popchnięty na ogrodzenie, uniósł ramiona i chwycił za siatkę, wpatrując się w chude, zgarbione postacie za drutami. Nie poruszył się, gdy strażnicy zdjęli mu kajdanki i otworzyli bramę, nie zareagował, gdy odciągnęli go od siatki i poprowadzili przez ogrodzone drutem kolczastym przejście na teren obozu. Ale potem, jak gdyby wyczuł, że ktoś mu się przygląda, wolno uniósł głowę i zwrócił ją w stronę Shana. Był to Ko.

Gdy chłopak rozpoznał ojca, zamarł i stał tak, dopóki strażnicy nie pchnęli go naprzód. Kiedy minął drut kolczasty i znalazł się w strefie śmierci, przystanął i znów spojrzął na Shana, który zrobił kilka kroków ku ogrodzeniu, aż wszedł w strefę śmierci na zewnątrz drutów. Usłyszał protesty strażników, które uciszyła komenda Tana.

Usta Ko wykrzywił charakterystyczny wyzywający uśmiech. Uniósł przestrzeloną dłoń, owiniętą znów zakrwawionym bandażem, i wyciągnął ją w stronę ojca. Shan bez słowa również uniósł rękę i przez chwilę patrzyli na siebie, uśmiechając się, dopóki w ramię Ko nie uderzyła pałka strażnika. Chłopak padł na kolana, a wówczas drugi strażnik pchnął go w plecy. Obaj podnieśli go za pasek od spodni, wywlekli ze strefy śmierci, rzucili twarzą do ziemi i odeszli.

W obozie zapanowała straszliwa cisza, którą przerwał jedynie zgrzyt zamykanej bramy i stuknięcie zatraskującego się zamka. A potem zza jednego z baraków wyszedł, kuśtykając wychudły stary Tybetańczyk w więziennych łańcuchach i uklęknął przy Ko. W nieruchomym powietrzu Shan usłyszał dźwięk, nie poszczególne słowa, ale sam kojący ton głosu gdy sędziwy lama wyciągnął rękę i położył ją na plecach jego syna. OD AUTORA

W pierwszych dniach roku 1904 przez himalajską przełęcz Jelap La w Sikkimie wkroczyła na nieznaną ziemię Tybetu jedna z najdziwniejszych ekspedycji w dziejach ludzkości. Zaalarmowany pogłoskami, że Rosja zakłada własne placówki w tym kraju, brytyjski rząd wysłał tysiąc pięciuset żołnierzy, którym towarzyszyło niemal dziesięć tysięcy tragarzy oraz tysiące mułów, koni, wielbłądów, bawołów, jaków, a nawet, jak pisze Peter Fleming w swej urzekającej książce *Bayonets to Lhasa*, dwa mieszańce muła z zebrawą, wszystko to pod dowództwem pułkownika Francisa Younghusbanda. O ile ten zbrojny najazd na praktycznie bezbronny kraj trudno uznać za szczytowe osiągnięcie polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii, o tyle czysto ludzki wymiar owej kampanii oraz jej następstw był zadziwiający. Żołnierze pułkownika Younghusbanda byli przygotowani do bitwy, walki z zarazą, ostrym zimmem i zdradzieckimi górami, przygotowani na wszystko z wyjątkiem społeczeństwa, jakie tu zastali. Brytyjscy żołnierze, wyposażeni w najnowocześniejsze karabiny maszynowe Maxima, stanęli naprzeciw Tybetańczyków uzbrojonych w muszkiety, miecze i papierowe amulety. Brytyjscy oficerowie mieli za przeciwników łamów wymachujących packami na muchy z włosia jaków i różańcami. Żadna ze stron nie wiedziała, jak postępować w takich warunkach. Dobrodusznym Tybetańczykom wręczali Brytyjczykom tradycyjne szale powitalne nawet wówczas, gdy oddziały interwencji nacierały na źle zorganizowaną armię Lhasy. Brytyjscy dowódcy byli zadziwieni, gdy ich tybetańscy odpowiednicy odmawiali za nich buddyjskie modlitwy, Tybetańczycy zaś - gdy Brytyjczycy zaczęli otwierać szpitale polowe, by leczyć tybetańskich rannych.

Ekspedycja ostatecznie dotarła do Lhasy, wyznaczonego jej celu, wynegocjowała układ handlowy, co było jej głównym zadaniem, i wkrótce została przysypana pyłem dziejów. Ale na kilku duszach po obu stronach kampania ta zostawiła niezatarty ślad. Wyprawa

Younghusbanda po raz pierwszy otworzyła mieszkańcom ukrytego za Himalajami płaskowyżu okno na zewnętrzny świat i garstka Tybetańczyków zaczęła uczęszczać do szkół w Indiach oraz Anglii. Resztki wrogości wkrótce zastąpiło tak głębokie zaufanie, że kiedy w 1910 roku Chiny dokonały pierwszej w tym stuleciu próby przejęcia kontroli nad Lhasą, ówczesny dalajlama schronił się w brytyjskich Indiach. Pułkownik Younghusband wkrótce złożył swój patent oficerski i zwrócił się ku duchowym poszukiwaniom oraz budowaniu mostów między religiami świata, szczególnie zaś Wschodu i Zachodu, co doprowadziło go do założenia Światowego Kongresu Wyznań, a wiele lat później napisał, że najbardziej uduchowione chwile swego długiego życia przeżył w Tybecie. Kiedy zmarł w Anglii w roku 1942, na jego nagrobku umieszczono widok Lhasy, a na trumnie postawiono glinianą figurkę Buddy. Wielu spośród brytyjskich oficerów i żołnierzy oraz pracowników służb dyplomatycznych, którzy zamieszkali w Tybecie, uległo urokowi tego kraju i poświęciło się działalności naukowej oraz filozoficznym dociekaniom. Jeden z nich, David McDonald, spędził dwadzieścia lat w służbie brytyjskich i tybetańskich rządów, rejestrując w swej książce *Twenty Years in Tibet*, jak Tybet zmienił jego życie. Inny starszy oficer, Austin Waddell, który po raz pierwszy przybył do Tybetu w przebraniu w ramach wczesnych misji wywiadowczych, zajął się badaniem zawiłych buddyjskich tradycji Tybetu i został uznany za czołowy zachodni autorytet w sprawach tybetańskiej kultury i religii swoich czasów.

Ekspedycja Younghusbanda stanowiła pierwszy znaczący kontakt cywilizacji Zachodu z odległym Tybetem, Europejczycy jednak od dawna mieli swoje, aczkolwiek mało eksponowane, miejsce na cesarskim dworze w Pekinie. Jezuicy księża byli obecni w Pekinie, zanim jeszcze w połowie siedemnastego wieku przybyli tam Mandżurowie i założyli dynastię Ching. Zamiłowanie uwielbianego powszechnie cesarza Qian Longa do sztuk rozciągało się także na reprezentatywne dzieła Zachodu. W osiemnastym wieku pod skrzydłami tego władcy powstała niewielka, lecz kwitnąca kolonia europejskich malarzy, której najbardziej znaczącym członkiem był Giuseppe Castiglione, i gdy cesarz postanowił wybudować pałacyk, w którym zamierzał spędzić ostatnie lata swego życia, nie było zaskoczeniem, że jego przyozdobienie zlecił między innymi Castiglionemu i jego chińskiemu podopiecznym. Pałacyk ów, zwany Juanqin Zhai, Pałac Spokojnej Długowieczności, do dziś stoi w Zakazanym Mieście, a jego zdumiewająco zachodnie w charakterze malowidła ścienne zachowały się w niemal nie naruszonym stanie. Obecność na dworze Qian Longa łamów oraz elementów tybetańskiej kultury jest również dobrze udokumentowana i wiadomo, że cesarz ten podczas swych długich rządów wspierał zarówno buddyzm, jak i buddyjskich artystów.

Qian Long był jednym z wielu ludzi różnych epok, których zaintrygowała tybetańska sztuka. Na pierwszy rzut oka thanksi mogą się wydawać nazbyt uproszczonymi, sztywnymi czy wręcz prymitywnymi przedstawieniami banalnych religijnych treści. Ale, jak zwykle bywa z wybitnymi dziełami sztuki, im dłużej się zglębia, tym bardziej wciągają one człowieka w swój złożony świat, w którym każda barwa, każdy element, od starannie ułożonych ludzkich rąk po wzniesione płatki lotosu, ma symboliczne znaczenie. Ich tworzenie było bezinteresownym aktem wiary - nazwiska autorów większości najświetniejszych dzieł nie są nam znane, ponieważ nie podpisywali oni swych prac - i żadne malowidło nie było uznane za skończone, dopóki nie dokonano konsekracji, czyniąc z niego dom bóstwa. Surowe piękno tych boskich mieszkań staje się tym bardziej znaczące, że śmiertelnicy, którzy je stworzyli, mieli do dyspozycji jedynie naturalne materiały swego górskiego świata, pigmenty pozyskane z miejscowych roślin i minerałów. Ci, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej o intrygującym świecie tybetańskiej sztuki, mają do dyspozycji wiele znakomitych książek. Trzy spośród najbardziej wyczerpujących i przydatnych to *Sacred Visions* Stevena Kossaka i Jane Casey Singer oraz dwie prace pod tytułem *Art of Tibet*, jedna autorstwa Roberta Fishera, druga Pratapadityi Palā.

Smutną konsekwencją przebudzenia Zachodu na tę sztukę jest plądrowanie świątyń. Choć jedynie znikoma część skarbów Tybetu przetrwała kataklizm „rewolucji kulturalnej” lat sześćdziesiątych, większość tych, które ocalały, znajduje się na odludziu, w nie chronionych świątyniach, grotach i ruinach. Złodzieje, niektórzy dysponujący najnowocześniejszymi urządzeniami, obrabowali w ostatnich latach co najmniej kilka takich miejsc, w tym słynne sanktuarium Nyetang na południe od Lhasy, małe, lecz posiadające niezwykle zbiory muzeum w Tsetang oraz tysiącletnią świątynię Toling na dalekim zachodzie Tybetu. Liczące setki lat posążki w kaplicach na pielgrzymim szlaku wokół świętej góry Kailas oszczędziła „rewolucja kulturalna”, ale nie gang złodziei, który złupił je dziesięć lat temu. Czas także nie oszczędza tybetańskich skarbów. W *Tibetan Rescue* Pamela Logan opisuje desperacką międzynarodową akcję ratowania pękających malowideł ściennych w klasztorze Pekar.

Świątynie obłaskawiające ziemię, których fikcyjnym przykładem jest Zhoka, były skarbnicami najlepszych dzieł sztuki powstałych u zarania buddyzmu w Tybecie. Choć świątynie te nie odgrywają znaczącej roli w dzisiejszym buddyzmie, w owej niezwyklej epoce, gdy pierwsi buddyści nawracali wyznających animizm mieszkańców Tybetu, były one najważniejszymi budowlami w tym kraju. Ich budowa wymagała cudów techniki i sztuki. Jak w tybetańskiej thance, nie było ani jednego aspektu ich konstrukcji, który nie byłby symboliczny lub starannie przemyślany jako odwołanie do odpowiednich bóstw. Wierni

buddyjskiej tradycji Tybetańczycy nadal twierdzą, że zanim wybudowano świątynie oblaskawiające ziemię, Tybet był nękany przez wstrząsy sejsmiczne.

Na koniec jak zawsze podkreślę, że choć postaci i miejsca, w których rozgrywa się akcja moich powieści, są fikcyjne, walka Tybetańczyków o zachowanie swej wiary, kultury i tożsamości narodowej jest, niestety, jak najbardziej realna. Ziemia Tybetu są być może mieszkaniem bóstw, ale są też domem tysięcy cichych bohaterów, którzy poświęcając życie dla spraw najważniejszych, mogą nas wiele nauczyć o męstwie i wytrwałości w surowych warunkach. Lha gyal lo.

Eliot Pattison

SŁOWNICZEK TERMINÓW OBCOJĘZycznych

Słowniczek ten nie obejmuje terminów użytych tylko raz, których znaczenie zostało wyjaśnione bezpośrednio w tekście

aku *tybet.* Wujek.

amban *chin.* Przedstawiciel cesarza dynastii mandżurskiej (Ching) w Lhasie. Urząd ten został utworzony w 1727 roku i zniesiony przez XIII Dalajlamę w roku 1913.

bardo *tybet.* Trwający 49 dni pośredni stan między śmiercią a ponownymi narodzinami.

bayal *tybet.* Dosłownie „ukryta kraina”, miejsce zamieszkiwane przez bóstwa i inne święte istoty.

czorten *tybet.* Tybetańska stupa, tradycyjna buddyjska kaplica w kształcie zwieńczonej iglicą kopuły, zazwyczaj pełniąca funkcję relikwiarza.

dorje *tybet.* Dosłownie „pan kamieni”, w sanskrycie zwany wadźrą, przedmiot obrzędowy o kształcie zbliżonym do berła, symbolizujący drogę do oświecenia, określany jako „niezniszczalny jak diament” i „potężny jak piorun”.

dronma *tybet.* Drewniany ubijak służący do sporządzania tradycyjnej maślanej herbaty.

dungchen *tybet.* Długa trąba obrzędowa o głębokim brzmieniu, zwykle składająca się z teleskopowych segmentów.

durtro *tybet.* Kwatera zmarłych, gdzie zwłoki są rozczłonkowane, a następnie pozostawiane sępom.

dzi *tybet*. Podługowate ciemne paciorki w naturalne bądź ryte jasne wzory, noszone jako amulet chroniący między innymi przed nagłymi chorobami i wpływem złych duchów.

gau *tybet*. Noszony na szyi mały metalowy relikwiarzyk na tekst modlitwy lub amulet.

gompa *tybet*. Klasztor buddyjski, dosłownie „miejsce medytacji”.

gonkang *tybet*. Kaplica bóstwa opiekuńczego, często umieszczana w klasztorach, z reguły na dolnych poziomach budowli świątynnych.

goserpa *tybet*. Dosłownie „żółta głowa”, jedno z określeń cudzoziemca.

Jama *sansk.* Pan Śmierci, władca piekieł.

kanglingfyóez. Obrzędowa trąba tradycyjnie wykonywana z ludzkiej kości udowej.

khata *tybet*. Szal modlitewny, zazwyczaj z białej bawełny lub jedwabiu.

kora *tybet*. Ścieżka pielgrzymia wokół świętego miejsca.

lama *tybet*. Tybetańskie tłumaczenie sanskryckiego *guru*, oznaczające w pełni wyświęconego, starszego rangą mnicha nauczyciela.

lao gai *chin*. Dosłownie „poprawa przez pracę”, obóz pracy przymusowej.

lha gyal lo *tybet*. Tradycyjne tybetańskie zawołanie wyrażające cześć lub radość, dosłownie „niech zwyciężą bogowie”.

mala *sansk.* Buddyjski różaniec, składający się najczęściej ze 108 paciorków, używany przy recytacji mantr i w innych praktykach religijnych.

mandala *sansk.* Dosłownie „okrąg” (tybet, *kyilkhor*). Mistyczny symbol wszechświata, w którego centrum znajduje się istota boska, tradycyjnie wykonywany z barwnego piasku, choć jego symetryczny, symboliczny układ przyjmuje także formę trójwymiarową w konstrukcji niektórych świątyń.

mani *tybet*. Kamień z wykutym lub wymalowanym tekstem buddyjskiej modlitwy lub mantry, zazwyczaj *OM MANI PADME HUM*.

Mańdźuśri *sansk.* Ważna postać buddyjskiego panteonu, Bodhisattwa Mądrości, często przedstawiany z mieczem przecinającym błędne myśli.

Milarepa *tybet*. Wielki tybetański święty i poeta żyjący w latach 1040-1123.

mudra *sansk.* Dosłownie „znak”. Ściśle ustalony układ dłoni i palców symbolizujący określoną modlitwę, ofiarę lub stan umysłu.

nei lou *chin*. Tajemnica państwowa, dosłownie „wyłącznie do użytku władz”.

pecha *tybet*. Tybetańska księga, zazwyczaj złożona z nie zszywanych długich kart owiniętych w tkaninę, często ujętych w rzeźbione drewniane okładki. Tradycyjnie drukowano w tej formie teksty modlitw i nauk religijnych. Ponieważ pechë zawierają święte słowa, nie wolno nimi dotknąć ziemi.

ragyapa *tybet.* Rozcinacz zwłok, człowiek zajmujący się rozczłonkowywaniem ciał w ramach tradycyjnego tybetańskiego podniebnego pochówku.

rinpocze *tybet.* Honorowy tytuł przysługujący wybitnym mistrzom duchowym, dosłownie „drogocenny (nauczyciel)”.

samkang *tybet.* Kadzielnica, z reguły używana w klasztorach.

Tara *sansk.* Bóstwo medytacyjne, czczone jako żeński aspekt miłosierdzia i uważane za szczególną opiekunkę Tybetańczyków. Przybiera wiele form, z których najważniejsze to Zielona Tara i Biała Tara. Niekiedy nazywa się ją także matką buddów.

thanka *tybet.* Malowidło na tkaninie, zwykle o charakterze religijnym, często uważane za święte, tradycyjnie ma formę zwoju z bawełnianego płótna obszytego brokatem.

tsampa *tybet.* Prażona mąka jęczmienna, podstawowe pożywienie Tybetańczyków.

tsa-tsa *tybet.* Mały wizerunek odcisnięty w glinie (często wymieszanej ze świętymi substancjami), zazwyczaj przedstawiający świętego lub bóstwo.